

Konrad T. Lewandowski

ORZEŁ BIELSZY  
NIŻ GOŁĘBICA





Konrad T. Lewandowski

ORZEŁ BIELSZY  
NIŻ GOŁĘBICA



PIERW '12

# Spis treści

[Okładka](#)

[Wstęp](#)

[Prolog](#)

[Defilada](#)

[Adiutant do specjalnych poruczeń](#)

[Matematyczny wróżbita](#)

[Lwica Rzeczypospolitej](#)

[Potęga Imperium](#)

[W cieniu zdrady](#)

[Pianola profesora Maxwella](#)

[Zemsta starej lwicy](#)

[Obok-Polska](#)

[„Zawisza Czarny”](#)

[Rozkaz: „Nie bać się!”](#)

[Głupota zdrady warta](#)

[Pierwszy męczennik](#)

[Stos ofiarny](#)

[Akt desperacji](#)

[Szarża „Zawiszy Czarnego”](#)

[Biel Orła](#)

[Posłowie](#)

[Biogramy](#)

[Tygodnik Ilustrowany](#)

[O autorze](#)

[Strona redakcyjna](#)

# Wstęp

Pytanie o sens powstań narodowych to wciąż jeden z głównych składników polskiej tożsamości i świadomości narodowej. Wydawałoby się, że od ostatniego powstania upłynęło wystarczająco dużo czasu, by emocje wokół nich opadły. Nic bardziej mylnego. Okazuje się, że wbrew oczekiwaniom konserwatystów o stańczykowskim rodowodzie i pozytywistom pragnącym przede wszystkim modernizować swój kraj pamięć o zrywach wolnościowych jest wśród Polaków wciąż żywa.

Powstania narodowe są obecne w rodzimym krwiobiegu nieustannie od ponad 200 lat. Powstańcy listopadowi żyli mitem konfederacji barskiej i insurekcji kościuszkowskiej, a powstańcy styczniowi otwarcie nawiązywali do wydarzeń roku 1831. XIX-wieczne powstania rozbudzały serca uczestników jedyne zwycięskiego powstania wielkopolskiego, a wszystkie bez wyjątku insurekcje odżyły w trakcie powstania warszawskiego. Jego wpływ można też zaobserwować w ostatnich kilkudziesięciu latach, kiedy ludzie pracy mówili wspólnotowe „NIE!” reżimowi komunistycznemu: w czerwcu 1956, grudniu 1970 i sierpniu 1980. Być może nawet – jak twierdzi część historyków – bez mitu walczącej Warszawy nie byłoby po 1989 roku wolnej Polski.

Także literatura żywi się mitem powstańczym. Na temat powstań narodowych napisano mnóstwo, czasem bardzo żywo dyskutowanych książek. I wciąż powstają nowe. Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby triumfem zakończyło się nie tylko powstanie wielkopolskie, ale też wcześniejsze od niego o przeszło pół wieku powstanie styczniowe? Takiemu rozwojowi wypadków poświęca Konrad T. Lewandowski swoją brawurowo poprowadzoną powieść *Orzeł bielszy niż gołębia*. Kolejny tom wydawanej przez Narodowe Centrum Kultury serii „Zwrotnice czasu. Historie alternatywne” odpowiada na pytania: jak mogło dojść do zwycięstwa, w jaki sposób Polacy mogą je wykorzystać, co na to wszystko odpowiadają zaborcy?

Zapraszam do lektury

*Krzysztof Dudek Dyrektor Narodowego Centrum Kultury* Lecznymiesione to godło  
zostało

Od chwili, kiedy Bóg gniew okrył chwałą, I gdy zawisły nad domostwem sławy  
Znów orły czarne oraz sępy szare.

W nim to, gdzie wojna świętsza jest niż pokój I gdzie nad miłość nienawiść zachwyca.

Zabłył straszliwy jako sam Duch Święty Orzeł, co bielszy jest niż gołębica.

Gilbert K. Chesterton, *Polska*

## Prolog



Zapach gorącej nafty jest nieustępliwy, nieznośny i ani na chwilę nie daje o sobie zapomnieć. Podobnie jak hałas, po paru godzinach wprost rozsadzający skronie – niekończący się łomot, dudnienie, warkot, syk płomieni... Zdawać by się mogło, że znalazłem się w kraterze wulkanu, który za chwilę wybuchnie, ale na razie ukryty w głębi maszynerii ogień niczego nie oświetla. Zaledwie dwie maleńkie naftowe lampki rozjaśniają mrok, jedna z nich wydobywa z ciemności tarcze ciśnieniomierzy przy głównym kotle oraz czujnie wpatrzone w nie twarze maszynistów. Druga, na mostku dowodzenia, oświetla koło sterowe, dłonie sterownika i fragment rozpostartej mapy. Jadę na dnie stalowej skrzyni wypełnionej gęstymi cieniami, hukiem maszynerii, natarczywym śwadem nafty...

*Mon Dieu*, to najbardziej niewygodna podróż jaką kiedykolwiek w życiu odbyłem! Biblijny Jonasz w brzuchu wieloryba miał z pewnością o wiele większe wygody niż ja, on z pewnością mógł tam swobodnie usiąść, a kiedy zapragnął się oprzeć, żelazne nity nie ugniatały go w plecy i nie wbijały mu się boleśnie w ciało na każdym wyboju drogi. Ja jestem poobijany jak jabłko kopane zamiast piłki przez grupę wyrostków na brukowanej ulicy. Sińców i guzów na własnej głowie nie potrafię już zliczyć, lecz to dalece nie wszystko! Dotąd nie wyobrażałem sobie, że można jednocześnie marznąć i pocić się z gorąca. Żelazna ściana, o którą się opieram, jest przeraźliwie zimna – na zewnątrz piętnaście stopni mrozu! Natomiast tutaj, w środku, z pewnością grubo ponad czterdzieści! Po plecach przebiegają mi zimne dreszcze, zaś oczy zalewa pot. Obawiam się ciężkiego zapalenia płuc, gdy tylko wyjdę z tego pieca na ziąb. Towarzyszący mi Polacy



radzą sobie na swój sposób – piją wódkę z laudanum... Doprawdy, rację miał Pierwszy Cesarz, gdy mówił: „Pijcie jak Polacy i bijcie się tak jak oni!”. Często ją i mnie, lecz odmawiam tej osobliwej mikstury, choć niewątpliwie pomogłaby ona uczynić te wszystkie niedogodności trochę znośniejszymi. Pragnę jednak chłonąć wszystkie dostępne wrażenia niczym niestęzionymi zmysłami. Cierpienie sponiewieranego ciała jest nieistotne wobec doniosłości i wagi historycznej chwili, w której dane mi było przyjąć udział.

## TAJEMNICZA WYPRAWA DO POLSKI

Zatem pięć godzin już jestem nielitościwie utrząsany, a przy tym równocześnie gotowany i mrożony żywcem. Polacy przeklinają, że im zawadzam. Bóg mi świadkiem, że staram się nikomu nie przeszkadzać, kulę się jak mogę, wciskam we wszelkie możliwe kąty, ale wolnej przestrzeni tu po prostu nie ma! Genialni konstruktorzy tego niezwykłego wehikułu nie przewidzieli nigdzie miejsca dla korespondenta wojennego.

A jednak wypada przyznać, że to najwspanialsza przygoda mego życia! Pomimo bezsenności, mimo wszelkich cielesnych udręk, jestem pełen podziwu i ekscytacji. Któż by się spodziewał, że w tym słowiańskim narodzie drzemie aż tyle geniuszu! Ja François Faucheux choć nie mam w żyłach polskiej krwi, współodczuwam dumę, jaką każdy obywatel cywilizowanego świata żywić powinien wobec tak wspaniałego dzieła technicznej inwencji.

Człowiek, który uchwycił myślą tę ideę i wcielił ją w ziemską materię, nazywa się Ignacy Łukasiewicz. W mniemaniu swoich sąsiadów oraz władz austriackich uchodził dotąd za spokojnego aptekarza. W istocie zaś jest błyskotliwym wynalazcą, twórcą nowego rodzaju silnika parowego. Wytłumaczono mi istotę rzeczy naprędce, osłaniając liczne szczegóły tajemnicą wojskową. Otóż w kotle zamiast wody wrze nafta i to jej sprężone pary poruszają tłoki i koła tego wehikułu. Ponadto, ażeby uzyskać więcej mocy, w cylindrach odbywa się proces dodatkowego spalania owej nafty, za sprawą wynalazku naszego francuskiego rodaka, chemika Louisa Thénarda. Mam zatem pełne prawo i zaszczyt napisać, że ów fascynujący pojazd lądowy jest wspólnym dziełem polsko-francuskiego braterstwa geniuszu.

Znalazłem się tutaj na zaproszenie polskiego Rządu Narodowego, którego tajny emisariusz dwa miesiące temu zawitał do naszej paryskiej redakcji. Wyprawa na wschód od początku zapowiadała się niezwykle intrygująco. Sugero- wano, że będę świadkiem wybuchu nowego polskiego powstania przeciwko Rosji, ale to, co zobaczyłem na miejscu, przerosło moje najśmielsze oczekiwania.

W Warszawie, kiedy zgłosiłem się pod wskazany adres i podałem uzgodnione

hasło, polecono mi udać się do miasta Lublina, a stamtąd razem z grupą uzbrojonych spiskowców udaliśmy się nad granicę cesarstwa Austrii, „zaboru austriackiego”, jak mówią Polacy. W drodze dogonił nas kurier z wiadomością, że powstanie stało się faktem. Tajny polski Rząd Narodowy wezwał wszystkich patriotów pod broń do walki z odwiecznym najeźdźcą. Dowiedziałem się tego wczesnym popołudniem 22 stycznia 1863 roku, proszę dobrze zapamiętać tę historyczną datę!

Byłem przekonany, że jako korespondent wojenny dołączę do jednego z polskich oddziałów i będę miał zaszczyt relacjonować jego szlak bojowy. Początkowo wiele na to wskazywało. W lesie przy granicy austriackiej spotkaliśmy oddział polskiej kawalerii, który, jak mi powiedziano, miał do wykonania bardzo szczególne zadanie. Mieliśmy czekać na coś, co wydarzy się po zmroku.

### NIEBYWAŁY WIDOK

Myślałem zrazu, że są to odgłosy zbliżającej się burzy, choć w środku zimy grzmoty zdarzają rzadko. Kolejne, większe zdumienie ogarnęło mnie, kiedy poczułem pod stopami wyraźne drżenie zamarznętej ziemi.

Chwilę później pomiędzy drzewami zabłysło pulsujące czerwono-żółte światło, a łoskot przybrał na sile i stał się bardziej miarowy. Nasze konie zaczęły się niepokoić. Co bardziej spłoszonym kazano zarzucić derki na łby.

Wyznaję, że nie uwierzyłem własnym oczom! Myślałem, że śnie lub majaczą. Od austriackiej granicy nadjechały trzy zdumiewające wehikuły, przywodzące na myśl angielskie omnibusy parowe, lecz daleko od nich potężniejsze i szybsze. Każda z tych polskich machin poruszała się na sześciu wielkich kołach, pomiędzy których tryskał żywy ogień płonącej nafty.

Pojazdy te sunęły nocą przez ośnieżony las, jeden za drugim, topiąc śnieg na poboczach duktu i osmalając pnie drzew. Proszę to sobie wyobrazić – stalowe, nitowane skrzynie z armatami i wieżyczkami, poruszające się jakby w burzy płomieni (z dala nie widać było kół). Widok zapierał dech! Towarzyszący mi Polacy, choć chyba byli uprzedzeni, co zobaczą, z wrażenia zdejmowali czapki i żegnali się z wielkim przejęciem.

Groźne maszyny stanęły, część załóg wysiadła, zbliżyli się do nich nasi ludzie z pochodniami i odbyła się pospieszna narada. Dowiedziałem się teraz, że nasz oddział kawalerii miał zapewnić tym pojazdom osłonę i eskortę w drodze do odległego celu, którego na razie nam nie ujawniano. Ów niezwykły konwój granicę przekroczył bez najmniejszych przeszkód, albowiem wszystkich austriackich i rosyjskich strażników na tym odcinku zawczasu przekupiono lub zwerbowano i zaprzysiężono. Wyjaśniono mi ponadto, że pojazdy te budowano oficjalnie jako

maszyny rolnicze, co nie wzbudziło żadnych podejrzeń władz. Byłem oto świadkiem ukoronowania tajnych prac i starań trwających już od pięciu lat. Teraz zaś zaczynała się misja bojowa. Zbudowane w najgłębszej tajemnicy pancerne wehikuły miały wesprzeć rozpoczęte właśnie powstanie.

Nadano im imiona sławnych polskich poetów, w natchnieniu przepowiadających odrodzenie Polski w burzy ognia i żelaza, która spadnie na zaborców. Miałem przed oczami ziszczone przepowiednie... Każdy z tych pojazdów jest ruchomym pomnikiem wzniesionym narodowym wieszczom – Adamowi, Juliuszowi i Zygmuntowi. Tylko pierwsze z tych imion nie było mi obce. Chodziło o profesora Adama Mickiewicza, wykładowcę paryskiego Collège de France, na którego wykłady miał zaszczyt uczęszczać mój Ojciec.

Polacy pozwalają mi zostać pasażerem pojazdu nazwanego właśnie imieniem „Adam”. Sam nalegałem na to, niezmiernie ciekaw wnętrza tej maszyny. Może nazbyt się pospieszyłem. Chyba lepiej, a na pewno wygodniej byłoby jechać konno za nimi albo przodem, wraz z ludźmi ze ślepych latarniami wskazującymi w ciemnościach drogę sternikom tych machin. Tu w środku widać bardzo niewiele, wstrząsy ogromnie utrudniają robienie notatek, chwilami nie sposób utrzymać ołówka w palcach, lecz świadomość dokumentowania tworzącej się historii wynagradza wszystko.

## NOCNY RAJD

Mijamy polskie wioski, zostawiając za sobą płonące płoty – zapalone od ognia buchającego z naszych maszyn. Psy wokół ujadają jak szalone, lecz dudnienie pędni Łukasiewicza zagłusza je niemal zupełnie. Nader wątpliwe, aby ktokolwiek z pocziwych włościan zdołał przespać przejazd naszego konwoju. Z pewnością hałas wszystkich poderwał na nogi, a widok ujrzany za oknem niejednego biedaka wpędzić musiał w niezmierne przerażenie. Nikt nigdzie nie śmiał wyjść za próg. Dalibóg, można wziąć nas za jeźdźców Apokalipsy! Wieziemy zagładę świata tyranii i niewoli!

Posuwamy się z prędkością biegnącego człowieka, który nie zna zmęczenia. Co godzinę robimy tylko krótkie postoje dla uzupełnienia nafty oraz tej drugiej, tajemniczej mikstury wynalezionej przez monsieur Thénarda. Początkowo Polacy nie chcieli mi zdradzić, co to jest. Podejrzywałem, że spirytus lub witriol. Teraz mogę już ogłosić, że chodzi o wodę tlenową, zwaną też utlenioną. Połączona z gorącą parą nafty wyzwala ona moce wielokrotnie przewyższające zdolności zwykłego silnika parowego. Stąd ów nieustanny grzmot oraz płomienie buchające na boki.

W kolejny miasteczku już wita nas pożar. Kapitan Jan Godlewski, dowódca

„Adama”, wyjaśnia mi lakonicznie, że znajdował się tutaj cyrkuł – posterunek rosyjskiej policji, który grupa spiskowców zlikwidowała zawczasu przed naszym przybyciem, aby nie było świadków ani przeszkód. Jedziemy dalej, nie zatrzymując się.

Ta sama sytuacja powtarza się w kolejnej miejscowości Opole Lubelskie, dwie godziny później. Przetaczamy się przez rynek, na którym płonie kilka domów. Przez szczelinę obserwacyjną w stalowej burcie dostrzegam ludzi z kosami na sztorc, którzy zamierają z wrażenia na nasz widok. Ogarnia mnie przedziwne wrażenie, że to nie oni, lecz my wzniecamy pożar, który rozszerza się właśnie na całą Polskę. Niesiemy ogień i zemstę! Nastrój chwili udziela się moim towarzyszom. Zaczynają śpiewać, a raczej skandować jakiś wiersz Mickiewicza:

*Zemsta, zemsta, zemsta na wroga!*

*Z Bogiem, a choćby mimo Boga!*

Zaczynam rozumieć, co znaczy polski bunt!

Mijamy miasto Puławy, nad którym też widać łuny pożarów. Bez przeszkód pędzimy na północ.

## BITWA O DĘBLIN

Nareszcie świt.

Przyjmuję z niejakim zdziwieniem fakt, że po tej oszalamiającej nocy nastaje dzień. Myślałem już, że mrok, huk i żywioł ognia tańczący wokoło nas będą trwać wiecznie. Lecz oto dojeżdżamy, ujawniony zostaje cel naszego ataku. Jest nim rosyjska twierdza w mieście Iwanogród, który Polacy nazywają Dęblinem.

W strategicznym miejscu na północ od ujścia rzeki Wieprz do Wisły ćwierć wieku temu Rosjanie rozpoczęli budowę cytadeli, której zadaniem było kontrolować przeprawy i żeglugę na Wiśle oraz utwierdzić moskiewskie panowanie nad środkowo-wschodnimi rejonami Królestwa Kongresowego. Nigdy za mało twierdz, by ujarzmić Polaków! Lecz teraz odwraca się karta historii. Zdobycie Iwanogrodu zapewni solidną bazę rozwijającej się insurekcji.

Ostatni postój dla uzupełnienia paliwa. Podobno wszystko przebiega zgodnie z planem. Mamy uderzyć o świcie. *Mon Dieu*, dopiero teraz to do mnie dociera! Trzy polskie pancerne lokomotywy lądowe kontra wielka rosyjska twierdza... Cóż to będzie za bitwa! Ekscytacja sprawia, że zapominam o zmęczeniu, sińcach i braku snu. Obym tylko zdołał przeżyć i dać świadectwo tym wydarzeniom.

W wielkim lesie na południowym brzegu rzeki Wieprz przez całą noc gromadzili się uzbrojeni spiskowcy, przygotowujący się do ataku na Dęblin. Kiedy

dojeżdżamy, jest tam ich już blisko tysiąc – to im mamy zapewnić wsparcie. Prości polscy powstańcy dopiero teraz widzą, jak niezwykłą pomoc zapewnił im ich Rząd Narodowy oraz inżynierowie-patrioci. Ze względu na konieczność zachowania tajemnicy dowódca uprzedził ich dopiero w ostatniej chwili. Widzę, jak na twarzach strzelców i kosynierów mieszają się uczucia obawy, podziwu i narodowej dumy. Jakiś ksiądz uroczyście nas błogosławi. Ten religijny gest wywołuje wybuch entuzjazmu. Żołnierze przyjmują to jako znak, że Bóg im sprzyja.

Formujemy kolumnę bojową. Kawaleria przenosi się na skrzydła. Za pojazdami pancernymi stają najlepiej uzbrojeni strzelcy, za nimi kosynierzy, którym mamy utorować drogę przez rosyjskie fortyfikacje. Przebiega to nader sprawnie, ale trzeba się coraz bardziej spieszyć! Jest już całkiem widno, a przed nami jeszcze Wieprz, który musimy przebyć.

Poważnie się obawiam, czy mimo srogiej zimy lód na rzece wytrzyma ciężar tych wehikułów. Kapitan Godlewski zapewnia mnie, że wszystko przygotowano zawnazasu. W wybranym na przeprawę miejscu jeszcze jesienią zatopiono barkę z piaskiem i kamieniami, która teraz posłuży nam za filar lodowego mostu.

Wjeżdżamy na zamrożoną rzekę. Lód przejmująco chrzęści i kruszy się pod kołami, ale to tylko wierzchnia warstwa. Przemysłnie podparta od dołu tafla kry wytrzymuje i wszystkie trzy maszyny bez przeszkód przedostają się na drugi brzeg. Za nami przechodzi piechota.

Wytaczamy się na trakt lubelski. Tu przystajemy jeszcze na chwilę, aby uporządkować szyki po przeprawie. Chorążowie rozwijają polskie sztandary, unoszą się kościelne feretrony, krótka modlitwa przed walką. Głównodowodzący natarciem generał Edmund Taczanowski, były pruski oficer, w towarzystwie dwóch adiutantów wjeżdża konno na pobliski pagórek, wyjmując szablę i wskazuje ją na rosyjską twierdzę. To znak. Rozpoczynam atak!

– Pędnie na całą moc! – rozkazuje kapitan Godlewski i zaprasza mnie do siebie na mostek.

Ciasno tutaj, ale za to dobrze widać, co dzieje się przed nami i z tyłu. Staram się, jak mogę, nie przeszkadzać sternikowi, ale też niczego nie uronić.

Nasz „Adam” rusza pierwszy, za nim „Juliusz” i „Zygmunt”. Na równej drodze szybko nabieramy prędkości. Strzelcy biegną za nami, dotrzymując nam kroku. Szarżujemy na wroga, cóż za wspaniałe uczucie!

Po trzech minutach przed nami wylania się pierwszy rosyjski fort – to część zewnętrznego pierścienia umocnień Iwanogrodu. Jedziemy wprost na niego! Za chwilę padną strzały. Kanonierzy w dziobowym przedziale ładują armatę. Jest 23 stycznia 1863 roku, godzina szósta rano...

Rosjanie nie reagują. Wydają się kompletnie zaskoczeni. Jeden z ich wartowników staje na szczycie szanca i przygląda się nam w osłupieniu. Jest tak zdumiony,

że nie wszczyna alarmu. Tymczasem z naszej tylnej wieżyczki pada pierwszy, wyborowy strzał. Moskał wypuszcza karabin i osuwa się z nasypu.

Podjeżdżamy od tyłu, do wrót fortu. Są zamknięte na głucho. Kapitan Godlewski nakazuje artylerzystom otworzyć ogień z bliskiej odległości. Grzmot działa w zamkniętej stalowej skrzyni przywodzi na myśl wewnątrz bijącego dzwonu. We wszechobecny swąd nafty wdziera się nowy zapach – woń spalonego prochu. Nasze działo jest ładowane odtylcowo, to wynalazek włoskiego generała Cavallego, wystrzelały następują co kilkanaście sekund. Przyłączają się do nas pozostałe dwa wehikuły.

Polskie pociski roznoszą rosyjską bramę w drzazgi w ciągu minuty. Przeciwnicy odpowiadają jedynie rzadkim ogniem karabinowym. Wciąż nie mogą ochłoniąć z zaskoczenia. Teraz ruszają piesi powstańcy, wbiegają w dym i z marszu przedzierają się przez zrujnowane wrota. Dwóch z nich pada po drodze.

Walka przenosi się na teren fortu. Nie widzę, co się dzieje w środku, ale po kwadransie nad zdobytym rosyjskim umocnieniem dumnie łopocze już polski sztandar. Pierwszy sukces! Lecz to dopiero przystawka... Teraz czeka nas prawdziwe wyzwanie. Musimy uderzyć na główną cytadelę, której załogę zaalarmowały już odgłosy bitwy.

Kapitan Godlewski proponuje mi opuszczenie wozu. Mówi, że teraz będzie naprawdę niebezpiecznie. Być może, ale w takich okolicznościach nie sposób myśleć o strachu. Zrezygnować teraz, w takiej chwili? To niemożliwe! Postanowiam być świadkiem wydarzeń do końca, jakkolwiek będzie.

Polskie lokomotywy lądowe zawracają na główną szosę. Dołącza piechota, ruszamy. Przed nami Brama Lubelska – to właściwy cel naszego ataku. Prowadzi do niej most nad szeroką fosą. Nie ma innej drogi do serca rosyjskiej cytadeli. Czy się na tym moście zmieścimy? Czy udźwignie nasz ciężar? To wszystko wybadano zawczasu i specjalnie tak zaprojektowano te wehikuły, aby podołały zadaniu. Za chwilę przekonamy się, czy w obliczeniach nie było błędu, czy czegoś jednak nie zaniedbano...

Oto przed nami Brama Lubelska i prowadzący do niej most. Zaskoczeni Rosjanie nie zdążyli go zniszczyć ani uszkodzić. W zamian przygotowali już armaty w działobitniach znajdujących się po bokach bramy. Nadjeżdżające polskie pojazdy wita potężna salwa z sześciu luf. Wybuchy granatów podrywają śnieg i zmarznąętą ziemię wokół nas. Odłamki, grudy ziemi i lodu gwałtownie grzechoczą o pancerz.

Polacy odpowiadają ogniem. Trzy pancerne lokomotywy lądowe suną teraz łąwą, osłaniając kryjącą się za nimi piechotę.

– Mierzyć w strzelnice – rozkazuje nasz kapitan artylerzystom.

Trafiono nas!

Ogłuszający huk przechodzi wszystkie dotychczasowe hałasy. Wstrząs strąca mnie z mostka. Mając ręce zajęte przyborami do pisania, nie zdołałem się w porę niczego chwycić. Oszołomiony lecę do wnętrza pojazdu, boleśnie tłukąc barkiem i głową o jakieś fragmenty maszynierii. Rozcinam o coś usta, tracę kawałek zęba. To jednak zauważam później. Teraz na chwilę ogarnia mnie przerażenie. Jestem pewien, że nastąpi pożar, że zaraz zaleje mnie płonąca nafta...

– Pancierz wytrzymał! – oznajmia zupełnie spokojnie kapitan Godlewski.

Opanowuję nerwy, odszukuję po omacku mój notes. Ołówek szczęśliwie przywiązałem do zakładki, mogę więc kontynuować pracę. Nie mam już jednak odwagi, aby ponownie wejść na mostek.

W pancierz znów uderza jakby potężny młot. To tylko rykoszet... Polacy krzyczą coś do siebie w bitewnym uniesieniu! Walka trwa, a ja jestem w centrum bitwy. Zbieram się na odwagę i znów wspinam się do wąskiego wizjera.

Rosyjskie działobitnie pluja ogniem. Polacy nie pozostają im dłużni. Mają tylko trzy trójcalowe działa przeciwko całej fortecznej baterii, ale mierzą zdecydowanie lepiej. Jeden z polskich pocisków wlatuje do wnętrza działobitni w prawym skrzydle bramy i wznieca tam wybuch amunicji. Płomienie buchają ze strzelnic! Aż trzy moskiewskie armaty uciszono za jednym wystrzałem!

„Adam” skręca i wjeżdża na most prowadzący do dymiącej bramy. Otwiera się niespodziewanie, wybiegają rosyjscy strzelcy, przyklękają, unoszą karabiny i dopiero teraz zdają sobie sprawę, z jakim przeciwnikiem mają do czynienia, pojmują, jak nierozsądnie postąpili, wychodząc z bezpiecznej kryjówki.

Strzelcy na wieżyczkach „Adama” palą raz za razem. Mają bębnowe karabinki systemu Colta i z tego co widzę, nie marnują żadnego naboju! Najpierw pada rosyjski oficer, po nim kolejno niższe szarże. Rosjan opuszcza odwaga, cofają się z powrotem do bramy, ale właśnie zostaje za nimi zamknięta, odcinając im odwrót. Tymczasem „Adam” przyspiesza, jedzie prosto na nich, ziejąc płonącymi parami nafty. Moskale porzucają karabiny i ratują się przed ogniem i zmiążdżeniem kołami, w popłochu wspinają się na barierki mostu, skaczą na łeb, na szyję do zamarzniętej fosy. Tracę ich z oczu, ale później się dowiem, że wszyscy połamali nogi lub ręce.





Wtem otrzymujemy kolejne trafienie. Sześciofuntowa kula armatnia wgniata do środka stalowe sztaby, z których złożono najgrubszy, przedni pancerz. Wytrzymuje cios, ale wewnątrz, od gwałtownie wygiętych sztab odpryskują ostre jak brzytwa kawałki metalu. Któryś zacina mnie w policzek. Czuję piekący ból, na otwarty notes spada kropla krwi. Doprawdy, nie pora zbyt wiele o tym myśleć...

– Taranujemy bramę! – rozkazuje kapitan Godlewski.

Maszyniści energicznie rozkręcają zawory. Czuję, jak pancerny wehikuł przyspiesza, słyszę dudnienie jego kół na belkach mostu. *Mon Dieu*, muszę natychmiast się czegoś złapać!

Na swoje nieszczęście zdążyłem tylko jedną ręką. To za mało, wstrząs zrywa mój niepewny uchwyt i drugi raz lecę jak worek w kanciastym wnętrzu. Wpadam bezwładnie do przedziału bojowego, wybijam sobie kolejne dwa zęby...

Cóż, nie ma co narzekać. Brama rosyjskiej twierdzy wyszła na tym o wiele gorzej! Poza tym jeden z polskich artylerzystów fatalnie rozbił sobie głowę, leży obok zalany krwią, nieprzytomny. Chcę go cucić lub opatrzeć, ale drugi Polak daje mi gorączkowe znaki, abym podawał mu amunicję.

Czy korespondent powinien brać udział w walce po jednej ze stron? Słony smak krwi w ustach natychmiast rozstrzyga tę sprawę. Budzi się we mnie duch potomka zwycięzców spod Austerlitz i Jeny! Zgubiony notes odszukam później. Teraz bez wahania pomagam Polakom. Poza tym zyskuję znacznie lepsze miejsce do obserwacji bitwy. Wyglądam przez szczelinę obserwacyjną na dziobie.

Cofamy się, rozjeżdżając na miazgę rosyjskie trupy. Kolejny dobrze wymierzony wystrzał z działa wyrywa ocalałe jeszcze skoble. Znów nabieramy prędkości i uderzamy taranem. Zapieram się rękami i nogami o podstawę armaty i jakoś to znoszę. Nieprzytomny nieszczęśnik obok mnie odnosi kolejne obrażenia, niech Bóg ma go w swojej opiece.

Zawiasy wylatują z murów. W polu widzenia pojawia się polski piechur – trzyma w rękach hak na grubym łańcuchu i zaczepia go o wyłamane skrzydło wrót. Cała wstecz, wyrywamy je i wywlekamy na most. Droga wolna! Polacy wdzierają do serca twierdzy. Kilku z nich podważa drągami drugie skrzydło strzańskiej bramy, wyłamują je do reszty, unoszą i zrzucają do fosy. Teraz z kolei cały „Adam” może już wjechać na teren głównej cytadeli.

Robimy to ostrożnie, aby nie zawadzić o mur którąś z tylnych wieżyczek ze strzelcami wyborowymi. Na chwilę robi się ciemno i oto już jesteśmy na głównym dziedzińcu rosyjskiej twierdzy. Za nami wbiega powstańcza piechota i wtaczają się pozostałe dwa pancerne wehikuły.

Brama Lubelska wzięta!

Niepowstrzymanie przemy naprzód. Wróg jeszcze próbuje stawiać opór.

Rosjanie wylegają z koszar, niezupełnie ubrani, ale uzbrojeni, próbują formować szereg w poprzek głównego placu. Masakrujemy ich kartaczami, lecz nie poddają się jeszcze.

Teraz okazuje się, że przednie pochodnie-kominy polskich wehikułów dają się opuszczać poziomo i to właśnie robimy. Kierujemy na przeciwników wyloty rur, z których buchają pary płonącej nafty, i ruszamy prosto na nich. W ten sposób ostatecznie łamiemy ich wolę walki. Rosjanie idą w rozsypkę, poddają się dziesiątkami. Polscy strzelcy wdzierają się za niedobitkami do wnętrza fortecznych budynków. W kilku miejscach obrońcy jeszcze próbują stawiać opór, ale ostrzeżeni z naszych dział prędko wywieszają białe szmaty.

Z masztu na głównym placu dęblińskiej twierdzy zjeżdża w dół carska flaga. Po chwili unosi się polska. Chwyta mnie za gardło wzruszenie tak silne, jakbym widział triumfujące nasze francuskie Trzy Kolory.

Smak zwycięstwa! Mój dziadek, weteran czterech kampanii napoleońskich, tak wiele mi o nim opowiadał. Jako mały chłopiec niezbyt go wtedy rozumiałem, ale teraz rozumiem już w pełni. Już wiem, jak smakuje zwycięstwo! Poznałem jego smak!

I cóż jeszcze można tu rzec?

Tylko jedno...

*Vive la Pologne, monsieur Car!*

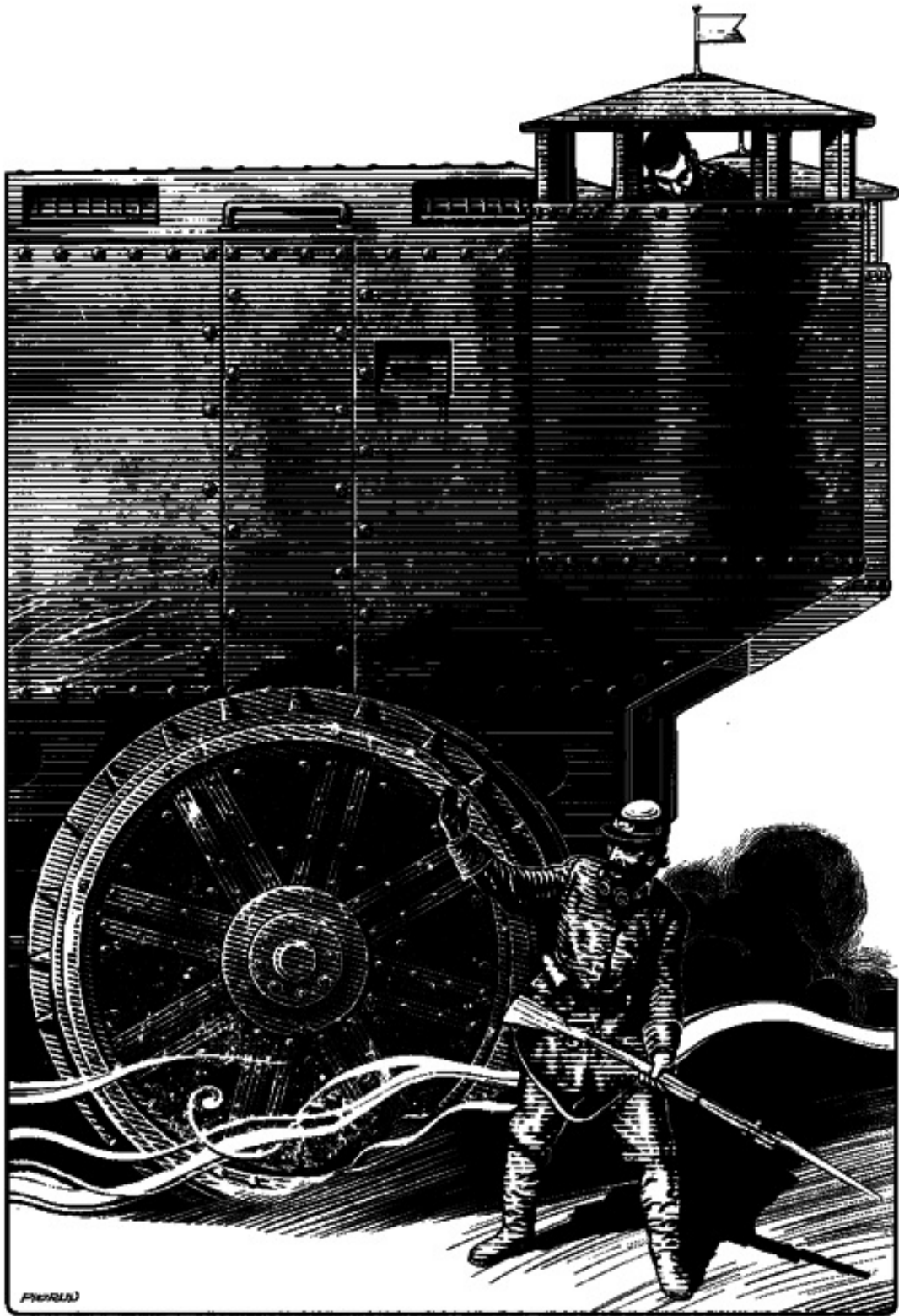
(FCF/KTL)

## Defilada

Polskiego munduru mu jeszcze nie wydano, więc włożył francuski. Potem stanął przed lustrem w drzwiach szafy i popatrzył na siebie krytycznie. Podporucznik Edward Mamert Jan Starosławski, lat dwadzieścia świeżo ukończone, jak również świeżo upieczony absolwent elitarnej francuskiej akademii wojskowej École Spéciale Militaire de Saint-Cyr pod Wersalem, specjalność wywiad i kontrwywiad, kurs przyspieszony, lecz ukończony chwalebnie z wyróżnieniem, świeżo po powrocie do kraju na specjalne polecenie Rządu Narodowego. Mundur ma się rozumieć też świeżutko spod igły, wcześniej tylko raz włożony na oficerską promocję. Nad górną wargą śniady, irytujący puszek nieudolnie imitujący poważny wąs elewa. Podsumowując, chodzący okaz rześkiej świeżości... Edward westchnął ciężko. Tylko żółtego dzioba do kompletu mu brakowało!

Co się zaś tyczy munduru, to biało-czerwony pióropusz na niebieskim kepi pasował jak najbardziej. Czarna kurtka również, ale cały zacny efekt doszczętnie psuły czerwone spodnie! We Francji, owszem, jak najbardziej dodawały szyku, zwłaszcza że ponoć krył się w nich „prawdziwy duch armii francuskiej”, jak mawiano nad Sekwaną, znacząco puszczając przy tym oko. W Polsce natomiast taki strój galowy był odpowiedni tylko dla bociana! Edward już słyszał gwizdy, śmiech i kpiny warszawskich uliczników, którzy natychmiast pociągną za nim całą gromadą, gdy tylko tak ubrany wyjdzie na ulicę.

Cywilnego surduta jednak zdecydowanie nie wypadało wkładać. Wszak dzisiaj wielkie święto, 22 stycznia 1866 roku, trzecia rocznica zwycięskiej insurekcji! Może zatem nie będzie tak źle? Nie ma co rozpamiętywać. Mówi się trudno i rusza naprzód!



PERRIN

Edward upewnił się jeszcze, że ma swój bilet wstępu na trybunę dla publiczności pierwszej kategorii nazywaną w gazetach z przekąsem „białą trybuną”, a to z racji zapatrywań politycznych większości towarzystwa, które miało się na niej znaleźć. Ów bilet był jedyną rzeczą, która czekała na Edwarda na wyznaczonej stacji. Nie upragniony polski mundur, chociaż jeszcze w Paryżu kazano mu przetelegrafować osobiste rozmiary. Nie było też żadnych rozkazów. Tylko sam bilet, bez choćby jednego słowa instrukcji. Cóż, wyglądało to na jakiś egzamin. Ale dlaczego ktoś taki jak on, przyuczony do skrytego tropienia szpiegów, miał brylować jawnie wśród towarzyskiej śmietanki stolicy? Odpowiedź nasuwała się jedna – to jego chciano komuś pokazać! Ktoś chciał, aby go widziano... Już sama ta myśl przyprawiała Edwarda o przyspieszone bicie serca. Ekscytację dodatkowo wzmagał fakt, że dziś pierwszy raz w życiu zobaczy z bliska przesławne twardochody Łukasiewicza. Tylko to jedno było warte wszelkich drwin z czerwonych portek!

Młody oficer wyszedł ze swojego pokoju i ruszył do drzwi wejściowych. Krzątająca się przy kuchni kostyczna gospodyni odprowadziła go wzrokiem bez słowa. Jak zwykle. Od dwóch dni, od kiedy Edward się tu zatrzymał, nawet mu się nie przedstawiła, wypełniała swoje obowiązki, prawie w ogóle się nie odzywając, ale na wszystko miała oko. Niewątpliwie została wcześniej zaprzysiężona, a to było zaufane mieszkanie rządowe. Dowodził tego choćby bezwzględny zakaz sprowadzania gości. Nie należało pytać o nic więcej. Edward strzelił przed kobietą obcasami i pół żartem, nieregulaminowo, bo do gołej głowy, zasalutował we francuskim stylu, co pani domu przyjęła z kamienną twarzą. Potem zrobił w tył zwrot i po chwili był już na schodach. Zbiegł w dół, trzymając kepi pod pachą, w bramie założył je na głowę, zaciągnął pasek pod brodą, przyglądził cokolwiek rozwichrzone czerwone epolety i starając się nie myśleć, jak wygląda od pasa w dół, z godnością wymaszerował na ulicę Szczygłą.

Zaraz za rogiem, na Wróblej, było już gęsto od odświętnie ubranych przechodniów całymi rodzinami zdążających w kierunku Kra-

kowskiego Przedmieścia. Żywo migały wśród nich dwa amarantowe mundury Korpusu Cudzoziemskiego. Ci delikwenci pomimo wczesnej pory mieli już dobrze w czubach – staropolską gościnność dzielnym zagranicznym ochotnikom wdzięczni warszawiacy okazywali szczerze na każdym kroku, bez mała w każdej bramie. Obaj filuci, zdaje się jacyś Niemcy albo Duńczycy, od razu dostrzegli Edwarda, zaczęli doń machać, nieskładnie, acz nader entuzjastycznie wywrzaskując przy tym Marsyliankę, licząc, że napotkany Francuz przyłączy się do ich towarzystwa.

Edward poprzestał na oddaniu honorów towarzyszącej mu broni, przyspieszył kroku i przeszedł na drugą stronę ulicy. Niewiele to dało, bo tłum przed nim tężał szybko, a tamci nie zamierzali rezygnować i ruszyli za nim w pościg. Przed niechcianą fraternizacją uratował młodego podporucznika kordon Żandarmerii Narodowej stojący w poprzek Tamki oraz byłej ulicy Aleksandra, obecnie Iganiowskiej. Na widok okazanego biletu Edwarda natychmiast przepuszczono, wskazując mu dalszą drogę Iganiowską w kierunku pomnika Kopernika. Para zawianych chwatów natomiast bezsilnie odbiła się od szpaleru surowych, czarnych postaci. Nie mieli żadnych przepustek i nie pomogło wygłaszane chrapliwie łamaną polszczyzną hasło: „Za wolność nasum i wassum”. Wnosząc z akcentu i artykulacji, byli to jednak Duńczycy.

Nic w tym dziwnego, gdyż obecnie, tak jak i w czasach szwedzkiego potopu, Dania była najbliższym sojusznikiem Królestwa, a to z racji politycznego szacha, którego zwycięskie polskie powstanie dało pruskiemu pretensjom terytorialnym wobec Danii. Od dwóch lat duńskie statki z niebywałą brawurą, po całym Bałtyku igrały z rosyjską flotą w kota i myszkę, przewożąc na Litwę wojenną kontrabandę. Potomków wikingów nie brakowało więc i w polskich wojskach lądowych, zwłaszcza w Korpusie Cudzoziemskim. Równie wielu służyło tam Niemców z krajów południowoniemieckich, zwłaszcza Saksonii.

Jaśniej mówiąc, Prusy zostały ujęte w karby „żelaznego kwadratu”, czyli sojuszu Polski, Danii, Francji i Saksonii. Wprawdzie to

ostatnie państwo formalnie do wspomnianego paktu jeszcze nie przystąpiło, ale wszystkie gazety zapewniały nieustannie i solennie, że król Jan bliski jest przyjęcia polskiej korony, którą domowi Wettynów przeznaczała wskrzeszona Konstytucja 3 Maja. Kwestia ta odwlekała się jednak nieustannie z niejasnych przyczyn. Na razie jedynym niebagatelnym saskim wsparciem sprawy polskiej był nieta-mowany przez rząd króla Jana napływ do Korpusu Cudzoziemskiego romantycznych ochotników germańskich, którym patronowała sła-wiąca wolność poezja Goethego i Schillera. Dotyczyło to zresztą mło-dych idealistów ze wszystkich krajów Europy i obu Ameryk. Dla wiel-kiej rzeszy cywilizowanej młodzieży męskiej choćby krótka, waka-cyjna służba w polsko-litewskiej armii stała się punktem honoru, upragnioną formą męskiej przygody, *rites de passage* gwarantującym *względy pań i panien* oraz kwestią mody nader życzliwie przyjmowa-nej w salonach po obu stronach Atlantyku, rzecz jasna z wyjątkiem salonów pruskich i rosyjskich. Najnowsza wieść głosiła, że do Króle-stwa zmierzała właśnie misja wojskowa modernizującego się cesar-stwa Japonii. Aż tam dotarła sława polskich twardochodów!

Zawiani ziomkowie Hamleta chyba nie zdążyli się rozczarować, bo natychmiast zaopiekowała się nimi jakaś zacna mieszczańska rodzina, za którą kroczył poważny, stary sługa niosący oburącz, niczym relikwię, kuferek z domowymi kordziałami „na rozgrzewkę”. Wszyscy razem odeszli zaraz Tamką w stronę sektorów drugiej kate-gorii.

Styczniowy mróz był dzisiaj rzeczywiście tęgi. Niewątpliwie przed wyjściem z domu należało pomyśleć o jakiejś piersiówce. Koniec końców Edward, ściśle rzecz biorąc, nie był na służbie, a trzecia rocz-nica odzyskania niepodległości to było święto godne wzniesienia toastu.

Ech, naprawdę szybko upłynęły te trzy pełne wrzawy i chwały lata, od chwili gdy zabór rosyjski zerwał kajdany i mocą orężnego geniuszu wybił się na niepodległość, zadziwiając cały świat. Nieletni podówczas Edward był niepokieszony, że nie pozwolono mu wziąć

udziału w żadnej z bitew zwycięskiej kampanii, która przeszła już do historii wojskowości. W zamian posłano go do akademii we Francji, gdzie wyłącznym źródłem wiedzy młodego kadeta o wydarzeniach w kraju, a także jego jedyną rozrywką były gazety czytane pasjami we wszystkich językach, które Edward zdołał posiąść, a uczył się w rzeczy samej pilnie. Nie tracił wieczorów na bywanie w kawiarniach z francuskimi kolegami, a tym bardziej na wypadki do jeszcze bardziej niestosownych miejsc, o których istnieniu nie wypadało mu nawet wiedzieć. Podporucznik Starosławski najlepiej jak umiał, wykorzystał dany mu czas i nie wątpił, że właśnie to zwróciło nań uwagę przełożonych.

Zaraz za pomnikiem Kopernika zaczynał się sektor przeznaczony dla najlepszej mieszczańskiej i arystokratycznej publiczności. Wiele obecnych tu twarzy było dobrze znanych z gazetowych portretów. Profesjonalnie wyrobiony umysł Edwarda natychmiast łączył je z nazwiskami: najbliżej hrabia Zamoyski... gawędzili z nim jegomościowie Jürgens i Kronenberg... nieco dalej księżę Czartoryski junior... Za panami magnatami oraz towarzyszącymi im damami w etolach stąpali wyniośli lokaje w szamerowanych liberjach i w białych rękawiczkach roznoszący na tacach kieliszki koniaku. Ma się rozumieć, najuprzejmiej częstowano każdego, kto zdołał się tutaj przedostać.

Edward niewiele myśląc, chwycił najbliższą podsunętą mu kryształową lampkę i chlupnął z fasonem, jakby to była wódka. Choć nie miał w tym wielkiej wprawy, a właściwie to żadnej, jednak nie zakrzusił się, co wypadało uznać za jego pierwszy sukces bojowy. Przygodni świadkowie tej sceny docenili ów wyczyn życzliwymi uśmiechami i lekkimi ukłonami. Nikt się nie zgorszył takim potraktowaniem szlachetnego trunku. Wiadomo, mróz! Podporucznik odstał kieliszek i przystanął na chwilę, ciesząc się miłym ciepłem w żołądku mieszającym się z przepelniającą go już narodową dumą. Orkiestra wojskowa, stojąca po drugiej stronie Krakowskiego Przedmieścia, w zaułku przy kościele Świętego Krzyża, wzięła właśnie



pierwsze takty *Warszawianki*.

– *Vive la France!* – Edward usłyszał nagle za sobą entuzjastyczne, dziewczęce okrzyki i zanim się spostrzegł, dostał ognistego cmoka w policzek.

Młodego oficera we francuskim mundurze zaatakowały równocześnie dwie roześmiane panny w siwych, karakułowych płaszczkach obowiązkowo z lamówką z biało-czerwonych wstążek. Jedna szturmowała z prawej flanki, druga zaś z lewej. Skutkiem pomyślnym uwieńczony został manewr z zaskoczenia w wykonaniu tej pierwszej. Drugiej panie Edward zaskoczyć się już nie dał. Nieznacznie przekręcił głowę i całus mierzony w drugi policzek wylądował prosto na jego ustach. Pewnym ruchem przytrzymał dziewczynę w talii, by nie umknęła mu nazbyt szybko. Ta, ze swej strony uciekać bynajmniej nie zamierzała, śmiało oddała mu pocałunek i zawisała na jego ustach na długą... długą i porażająco słodką chwilę. O, nie! To z pewnością nie był pocałunek li tylko ciut śmielszy niż siostrzany, który Edward zdołał skraść podczas szczenięcych amorów z kuzynką Alfredyną. O, nie, tu i teraz zdecydowanie był to pocałunek z prawdziwego zdarzenia! Dopiero kiedy zetknęły się czubki ich języków, do rozochoczonej panny dotarło, co robi i gdzie właściwie jest. Wywinęła mu się niczym łasica i odskoczyła, szybko zakrywając twarz puchatą mufką. Jednak wyraz oczu patrzących śmiało znad futra dowodził, że zuchwała pannica wstydzi się jedynie *pro forma*.

Edward odruchowo postąpił krok w jej stronę.

– Młody człowieku! – zmitygował go surowy, niewieści głos mówiący po francusku. – Proszę nazbyt skwapliwie nie wykorzystywać sytuacji! Ani mojej bratanicy!

– *La garde meurt, mais elle ne se rend pas!* – przepił do Edwarda rozbawiony mężczyzna w czarnym cylindrze. „To Majewski... Karol Konstanty...” – zarejestrował odruchowo podporucznik. Stojąca obok polityka dama dwukrotnie dała brawo.

Młody oficer obejrzał się teraz na swą nemezis. Była to rumiana

jejmość w wieku dalece postbalzakowskim, trzymająca za rękę około dziesięcioletnią, roześmianą dziewczynkę.

– Najmocniej proszę o wybaczenie! – Edward stanął na baczność i przedstawił się jak należy.

– Pan jest Polakiem! – zawołała ucieszona matrona, przechodząc na polski. Następnie surowo spojrzała na swoje podopieczne. – Moje panny, proszę podejść tutaj! Najwyższy czas zaprezentować nieco mniej dzikie obyczaje!

Obie sprawczynie całego zamieszania stawily się ze skromnie spuszczoneym wzrokiem i dygnęły kolejno, kiedy ciotka wymieniała ich imiona.

– Panna, z którą z racji zawarcia aż tak poufałej znajomości powinieneś młody człowieku się teraz niezwłocznie ożenić, nosi imiona Judyta i Oktawia, a to jest Apolonia Paulina, siostry bliźniacze, choć, jak widać, zupełnie do siebie niepodobne, wszystkie co do jednej panny Radoszkowskie, również i ta mała Wandzia Justysia... – jejmość wskazała na towarzyszącą jej dziewczynkę.

– Judka z Polą postanowiły dziś zapolować na mężów! – zakomunikowała bez ogródek rezolutna podfruwajka, skutkiem czego jej starsze siostry postanowiły zapaść się pod ziemię ze wstydu, najwyraźniej dopiero teraz. Owa dziewicza konsternacja jeszcze bardziej dodała im uroku. Obie były naprawdę ładne. Zuchwała panna Judyta miała zachwycające oczy, zaś Apolonia fascynujący krój ust, które może nawet bardziej niż w przypadku jej siostry prosiły się o namiętny pocałunek... Edward poczuł lekki zawrót głowy.

– Ja zaś jestem Olimpia Jadwiga Bielawska z domu Radoszkowska, z woli Bożej wdowa, matkująca tym oto sierotkom po chwalebnej pamięci kapitanie Ignacym Roszkowskim poległym sławnie w trzecio-majowym szturmie na warszawską Cytadelę. Przez wzgląd na jego pamięć nas tu zaproszono.

Dotychczasowy nastrój krotchwili prysnął jak bańka mydlana.

– Jestem w najwyższym stopniu zaszczycony, mogąc poznać córki sławnego bohatera! – zapewnił Edward z szacunkiem. Nazwisko, jak powinien, skojarzył od razu. Kapitan Ignacy Radoszkowski wsławił się tym, że jako pierwszy Polak z bronią w ręku wkroczył na teren warszawskiej Cytadeli, prowadząc do ataku swój oddział przez wyłom w murze dokonany taranami twardochodów. Poległ pół godziny później, kiedy odbijano dziesiąty pawilon, uwalniając więzionych patriotów. Okryło to kapitana Radoszkowskiego sławą nieśmiertelną, czyniąc go bohaterem setek artykułów prasowych, patriotycznych wierszy i wierszydeł.

– Ich świętej pamięci matka, Helena, odumarła je wcześniej – dokończyła pani Olimpia. – Nie doczekała, biedaczka, zmartwychwstania kochanej ojczyzny... Ale dziś nie czas na smutki! – oznajmiła energicznie. – Czy nie zechciałbyś, młody panie oficerze, wziąć pod swoją opiekę cztery damy w potrzebie? – Starsza pani najwyraźniej nie zamierzała się dłużej gniewać z powodu publicznego skandaliku. – Szczerze mówiąc... – zniżyła głos – potrzebuję męskiego ramienia, by wdrapać się na te oto schody – wskazała wzrokiem najbliższe wejście na trybunę. Tak się składało, że Edward zmierzał tam również.

– Wielki to dla mnie honor! – zapewnił, podając kobiecie ramię.

Ruszyli, nie zwlekając dłużej, i nie tylko oni. Orkiestra właśnie po raz trzeci zagrała *Warszawiankę*, co zgodnie z programem wydrukowanym we wszystkich warszawskich gazetach oznaczało początek uroczystości.

Żandarm przy schodach kolejny raz sprawdził ich bilety i zsalutował, schodząc z drogi. Edward z pomocą panny Apolonii wprowadził starszą damę na pomost widokowy, gdzie czekało na nią krzesło. Dla młodzieży miejsc siedzących nie przewidziano.

Skąpana w czerwieni i bieli trybuna honorowa, urządzona na wysokim ganku kościoła Świętego Krzyża, znajdowała się niemal dokładnie naprzeciwko. Miała dwa poziomy. Na niższym zasiedli już siwobrodzi starcy – dostojni weterani poprzednich polskich insurek-

cji, a wśród nich czterech jeszcze, otoczonych najwyższą czcią towarzyszy samego Kościuszki. Asystowały im trzy siostry miłosierdzia w białych kornetach i dwóch lekarzy. Na ulicy poniżej seniorów kłębił się pstrokaty tłumek zagranicznych reporterów, rozstawiono tam liczne trójnogi z czarnymi skrzynkami dagerotypów oraz palniki magnezji.

Górny poziom trybuny, znajdujący się po obu stronach pomnika dźwigającego krzyż Chrystusa, przeznaczony dla najwyższych władz Królestwa, był jeszcze pusty. Dostępu tam strzegł zastęp sztyletników – elita Żandarmerii Narodowej. Stali na schodach, po obu stronach kościelnego przedsionka oraz w samych drzwiach kościoła. Ich twarze zakrywały kraciaste chusty, naciągnięte aż po oczy. Wzór kraty na masce każdego sztyletnika, podobnie jak na szkockiej spódnicy, był niepowtarzalny – po nich się rozpoznawali, kiedy na co dzień przychodziło im udawać zwykłych ulicznych łotrzyków. Dla fasonu oraz dla ułatwienia sztyletnikom ich tajnej służby podobne kraciaste apaszki nosili w Warszawie niemal wszyscy młodzi mężczyźni z niższych klas społecznych. Było to dobrze przyjmowane, ale pod żadnym pozorem nie wolno było umyślnie lub nieumyślnie naśladować wzorów używanych przez prawdziwych sztyletników, oznaczało to bowiem natychmiastową śmierć z ich rąk, bez sądu. Mądrze więc było kupować owe chustki wyłącznie w wyznaczonych kantonach, poddanych cenzurze żandarmerii. Wszakże mimo tej surowej restrykcji kraciaste apaszki cieszyły się rosnącą popularnością. Wyglądać „prawie jak sztyletnik” stanowiło powód do zawadiackiej dumy, a im bardziej owo „prawie” zbliżało się do zakazanego wzorca, tym większy był smak i urok wyzywającej igraszki ze śmiercią.

W ten dzień świąteczny sztyletnicy zaprezentowali się, można by rzec, w mundurach galowych – stali w długich czarnych płaszczach, niezapiętych jednak mimo chłodu, a wręcz przeciwnie, rozchylonych, demonstrując złoconą rękonożkę sztyletu zatknietego za pas na brzuchu. Oprócz tej ozdobnej broni niewątpliwie mieli jeszcze skryte pod

ubraniami sześciostrzałowe rewolwery, a także pałki i szpadryny. Gdyby jeszcze zamiast angielskich meloników nosili kapelusze amerykańskich pastuchów bydła, byłiby całkiem nie do odróżnienia od tamtejszych bandytów...

Pochód defiladowy tymczasem formował się na placu Zamkowym, a miał dojść do placu Trzech Krzyży. Sektory dla widzów zaczynały się od ujścia ulicy Trębackiej, naprzeciw pałacu wygnanego namiestnika, a kończyły za Aleją Jerozolimską. Wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia i całego Nowego Świata tłoczyła się już bodaj cała ludność Warszawy, miasteczek oraz wsi okolicznych, a także delegacje wszystkich ziem Królestwa i Litwy.

Na całej długości trasy pochodu, po obu jej stronach, oprócz szpalerów Żandarmerii Narodowej rozstawiono wysokie na metr płoty obleczone mokrym wołokiem, obecnie zmrożonym na blachę. Zrobiono tak, aby uchronić publiczność przed groźbą oparzenia płonącymi oparami nafty uchodzącymi spomiędzy kół twardochodów, które pierwszy raz miały uroczyste przedefilować ulicami Warszawy. Dotychczas podczas ruchów tych machin po stolicy surowo nakazywano zamykać bramy i okiennice oraz bezwzględnie usuwano gapiów. Ostatnio zaś wszystkie gazety, plakaty gęsto rozlepione na murach oraz rozdawane w dniach przed rocznicą ulotki zawierały stanowcze nalegania, ażeby podczas przemarszu groźnych wozów bojowych pod najmniejszym pozorem nie wkraczać na jezdnię dla lepszego ich podziwiania, a nade wszystko strzec przed tym dzieci.

Z miejsca, gdzie stał Edward, rozciągał się widok pierwszorzędny, na dobre dwieście kroków w prawo i lewo. Na dodatek nie było widać jego spodni... Nie wszyscy byli jednak równie jak on zadowoleni.

– Ależ ja miałam machać panu Naczelnikowi i rzucać kwiatki bohaterom! – nadąsała się mała Wandzia.

Pretensja dziewczynki była o tyle uzasadniona, że wysoka barierka trybuny sięgała jej do czoła. Żeby dobrze widzieć, musiała

się wspinać na palce. W rzeczy samej nie było to wygodne położenie.

– Panienczka pozwoli... – Edward podniósł Wandzię i postawił bučikami na poręczu, dla pewności obejmując małą mocno nad kolanami. – Czy teraz dobrze?

– Dobrze! Dobrze! – Zachwycona dziewczynka zaklaskała w dłonie. – O! Już... Już!

Zaiste, niewinne dziecko zobaczyło pierwsze. W drzwiach kościoła Świętego Krzyża zaczął się ruch. Sztyletnicy usunęli się z progu, zsalutowali. Wzruszenie ścisnęło Edwarda za gardło.

Wyszedł On!

Romuald Traugutt. Naczelnik Państwa, regent Królestwa, umiłowany dyktator, który z niezachwianą pewnością prowadził Oba Narody do ostatecznego zwycięstwa nad plugawym imperium carów.

Traugutt pozdrowił zebranych uniesieniem dłoni. Zewsząd zerwała się owacja.

No i, niestety, nie tylko. Nie uszanowano Osoby ani podniosłej chwili. Cóż, to była Polska właśnie... Wśród wiwatów tłumów pozdrawiających wodza narodu, u podnóża białej trybuny rozległy się okrzyki utrzymane w całkiem innym tonie i duchu.

– Kraków! Kraków! – zaczęła się nieprzyjazna demonstracja. – Kraków! Zdrajca! Kraków! Zdrajca! – Głosy te były wprawdzie nie-liczne, ale dobrze słyszalne ze względu na ich chytre usytuowanie. Na szczycie białej trybuny co prawda nikt się jawnie do tej zniewagi nie przyłączył, milczano wyniośle, ale Edward dostrzegł, jak kilku jaśnie panów wymienia porozumiewawcze uśmieški. Oficer zacisnął zęby. Wypadałoby rzucić któremuś w twarz rękawiczką, ale w obecności dam i z dzieckiem na ręku było to nader niezręczne.

– Niech żyje pan Naczelnik! – zawołał zamiast tego podporucznik, a panny Radoszkowskie niezwłocznie się do niego przyłączyły. Nie zdołali jednak zagłuszyć krzykaczy w dole.

Traugutt opuścił rękę i słuchał z kamienną twarzą. Sztyletnicy przystąpili do niego, czekając na rozkazy. Podnieceni skandalem dziennikarze pilnie skrobali w swoich notesach.

– Kra-ków! Kra-ków! Kra-ków! – Wrogie skandowanie zagłuszyło na moment wszelkie wyrazy poparcia.

Kraków pozostający wciąż za austriackim kordonem był niewątpliwie żywą raną w polskich sercach. Cesarz Napoleon III, ogromnie zainteresowany przeszczepieniem twardochodów na francuski grunt, a zwłaszcza tajnikami konstrukcji pędni Łukasiewicza, skwapliwie opowiedział się jako najserdeczniejszy przyjaciel Królestwa i w tej roli, pod groźbą powtórki z Solferino wymógł na Franciszku Józefie, obawiającym się też kolejnej rebelii Węgrów zapatrzonych w polski triumf, przyjazną neutralność wobec Warszawy. W ramach zawartego kompromisu przedstawicielstwa Rządu Narodowego mogły działać w Austrii bez mała jawnie, pod zaledwie figowym przykryciem spółek handlowych. Dzięki temu przez Adriatyk oraz południową granicę Polski szeroką strugą płynęły dostawy wojenne – pieniądze, żelazo, miedź, nafta równie cenna jak żołnierska krew, chemikalia do wyrobu amunicji i oczywiście najnowocześniejsza broń, jak choćby kartaczownice systemu Gatlinga kupione na pniu przez narodowych emisariuszy od ich wynalazcy, wcześniej ze swym projektem bezskutecznie kołatającego do drzwi amerykańskiego departamentu wojny. Szlak zaopatrzenia przez Austrię to była najżywniejsza aorta podtrzymująca byt Królestwa zmagającego się z tysiącokroć potężniejszym Imperium. Niestety, ceną za to był Kraków.

Żaden rozumny Polak nie wierzył w polityczną stałość tego rozwiązania. Kraków musiał do macierzy wrócić prędzej czy później, najlepiej razem ze Lwowem, jednak nie teraz! Wojna na dwa fronty z Rosją i Austrią była niemożliwa. Równie skuteczną metodą wojowania było od razu podciąć sobie gardło! Ale to nie przemawiało do nieprzejednanych „prawdziwych patriotów”, których zdaniem odłożenie żądania zwrotu dawnej stolicy kraju, do czasu lepszej politycznej koniunktury, równało się narodowej zdradzie. Wawelski symbol był

dla nich daleko ważniejszy od rozumnej kalkulacji, nazywanej gromko: „sprzedają starej matki za srebrniki”. Kto nie umiał ważyć „za” i „przeciw”, a było takich wcale niemało, blisko czwarta część narodu, chciał Krakowa już i zaraz. Dostawy wojenne jakoś tam się przemyci... Nie bądźmy przyziemnymi kupczykami! Więcej wiary! „Hej, kto Polak, do Wawelu!”, „Traugutt Judasz!” I tak dalej w tymże stylu. Aż dziw, jak wielu podchwytywało te samobójcze hasła. Sprawa Krakowa była niewątpliwie piętą achillesową obecnego rządu, a opozycja zmierzająca do jego obalenia wygrywała tę kwestię bez umiaru, nieraz jawnie przekraczając granicę warcholstwa, budząc tym już gdzieś na Zachodzie szyderczy śmiech ze sprawy polskiej. Przypominano tam sobie, jak doszło do rozbiorów, i podnosiły się głosy, że Polacy niczego się nie nauczyli i nauczyć nigdy nie zdołają.

Mącieli pochwyć nie kazano. Traugutt pokręcił nieznacznie głową i sztyletnicy odstępili. W zamian Naczelnikowi Państwa pospieszyły w sukurs inne wychodzące z kościoła osoby.

Pojawili się Ignacy Łukasiewicz, tytułowany powszechnie, choć wbrew swej woli, Zbawcą Ojczyzny, oraz największy z żyjących geniuszy ludzkości Szkot James Clerk Maxwell. Ów „czarodziej elektryczności”, jak pisały o nim gazety, z kurtuazją brytyjskiego gentlemana prowadził pod rękę siwiuteńką Emilię Plater. Legendarna bohaterka listopadowej insurekcji wkrótce po rozpoczęciu powstania styczniowego wróciła do Królestwa z długiej paryskiej emigracji, bez wahania przyjmując ofiarowany jej stopień generała wojsk polskich. Młody Edward podówczas rozminął się z nią i dopiero dziś pierwszy raz ujrzał czcigodną seniorkę na własne oczy. Złośliwi nazywali ją niegdyś „babochłodem”. Obecnie lata wieku podeszłego przydały jej wyższego piękna dostojnej matrony. Nazywano ją teraz z czułością „babką narodu”, o tyle trafnie, że ostatnio zrezygnowała już z wkładania mundurów, a nosiła suknie właściwe dla jej płci i wieku. Wciąż jednak biło w niej serce lwicy. Na nowo wsławiła się w bitwie nad Narwią, w pierwszych dniach 1864 roku, w krytycznym momencie



obejmując komendę i wysyłając do boju nowe twardochody Model II, których dowództwo wzbraniało się użyć wcześniej, ponoć z pobudek religijnych.

W tej chwili natomiast widok sędziwej bohaterki sprawił, że krzykacze spuścili z tonu. Wiedzieli zresztą dobrze, że ona by się z nimi nie patyczkowała. Obok jej familiarnego przydomka, w obieg weszło też i drugie, dosadniejsze przysłowie, że tam, gdzie Traugutt nie może, Platerównę na miotle pośle. W istocie, nadal była panną, poślubioną Bogu i Ojczyźnie, jak sama o sobie mawiała. Natomiast jako krwiożerczą czarownicę przedstawiali ją Moskale od czasu boju nad Narwią. W Rosji straszono nią dzieci i rekrutów, oby skutecznie!

W dalszej kolejności na trybunę wyszli generałowie Langiewicz, Hauke-Bosak i Mierosławski, pozostali panowie generalicja oraz ministrowie Rządu Narodowego. Ostatnie wrażenie po skandalicznej prowokacji zatarł tamburmajor, zarządzając odegranie *Boże, coś Polskę*. Do odśpiewania narodowego hymnu podnieśli się z miejsc wszyscy, którym siły na to pozwalały. Ostatni wers podniosłej pieśni przyjął ostatnio brzmienie: „Geniusz ojczyzny wolnej pobłogosław, Panie!”. Wzięło się to od hasła „Geniusz zwycięzcą przemocy” albo „Idea nad knutem”, tłumaczonego też jako „Rozum, nie siła”, które stało się dewizą sprawy polskiej na całym świecie. Rozważano nawet umieszczenie tak lub podobnie brzmiącego motta w godle Polski.

Po hymnie znów zerwała się owacja, szczęśliwie już bez nieprzyjaznych wrzasków. Chwilę później od placu Zamkowego doleciał pogłos wiwatującego tłumu. Defilada ruszyła!

Zanim czoło pochodu dotrze tutaj, Edward miał jeszcze z dziesięć minut, by ochłonać z patriotycznej egzaltacji i użyć części umysłu wyćwiczonej we Francji w trzeźwych karczemnych rozumowaniach. I dostrzec to, czego nie było widać, a mianowicie fakt, że członkom Rządu Narodowego nie towarzyszył ani jeden purpurat. Prasa nieobecność biskupów objaśniała tym, że arcybiskupowie czas defilady spędzą na żarliwych modłach za ojczyznę. Była to połowa prawdy.

Bardziej liczyło się bowiem nie to, co panowie biskupi robili, gdyż nie można było wątpić, że modlili się szczerze, ale z jakiego powodu robili to akurat teraz. O tym polskie gazety nie wspominały ni półsłówkiem, natomiast francuskie i angielskie, owszem, rozwodziły się nad tym nader chętnie!

Coraz bardziej zaostrzał się konflikt pomiędzy Rządem Narodowym a Stolicą Apostolską. Jego świątobliwość papież Pius IX na wieść o wynalezieniu twardochodów oraz skutkach ich użycia na polach bitew bliski był ponoć obłożenia Polski interdyktem, do czego podobno namawiał go także ambasador austriacki. Wiedeń zaprzeczał temu równie stanowczo, co niewiarygodnie. Prawdą jednak było to, że w Watykanie odkurzono niedawno średniowieczny casus kuszy i przypomniano, iż są takie rodzaje broni, których katolikom przeciw innym chrześcijanom, choćby nawet prawosławnym schizmatykom, używać się nie godzi. Szczególnie zaś machin jawnie woniejących piekłem. No, nie da się ukryć, że nafta używana w pędniach Łukasiewicza, równocześnie jako paliwo i jako czynnik roboczy pchający tłoki, zawierała znikome ilości aliansów siarki, skutkiem czego po jej spaleniu roznosił się wyraźny czarci zapach... Na dodatek, aby przstraszyć wroga, celowo zbędną już parę nafty kierowano ku ziemi, upuszczając ją z rur między kołami, a ona z racji własnego gorąca zapalała się samoczynnie w zetknięciu z powietrzem. Rozpędzony w szarży twardochód zdawał się wtedy unosić na poduszce z huczących płomieni. Widok był iście apokaliptyczny, zwłaszcza o zmierzchu i nocą, nieodmiennie przyprawiający wziętych w sołdaty, zabobonnych ruskich muzyków o panikę nie do pohamowania. Moskiewscy oficerowie, zwłaszcza starszej daty, też często nie wytrzymywali nerwowo i bywało, że strzelali sobie w łeb rozdarci pomiędzy żołnierską powinnością a porażającym wszelkie męstwo przekonaniem, że jawnie stają przeciw nim moce piekielne.

Na tym tle doszło w Messynie na Sycylii do niebywałego spotkania Piusa IX z prawosławnym patriarchą Konstantynopola, honorowym zwierzchnikiem całej Cerkwi, podczas którego uzgadniano pro-

jekt wspólnego, ojcowskiego napomnienia grzesznych Polaków. Słowem, wynalazek Łukasiewicza o mało co nie doprowadził do pojednania dwu największych odłamów chrześcijaństwa! Zamiar ten jednak spełził na niczym. Różnice doktrynalne pomiędzy Kościołem a Cerkwią przeważały nad doraźnym interesem politycznym. Przynajmniej na razie. Potem zaś sprawę dodatkowo pogrzebały rozruchy w Wielkopolsce, do których doszło, kiedy papież dla wstępnego wybadania nastrojów nakazał arcybiskupowi poznańskiemu, aby ów, niby to we własnym imieniu, wydał pasterskie rozporządzenie, że poległym członkom załóg „piekielnych rydwanów” należy odmawiać katolickiego pogrzebu. Co prawda, w zaborze pruskim, mimo desperackich wysiłków kanclerza Bismarcka, żadnych twardochodów jako żywo nie było, w zamian znalazło się wiele łajna, którym zgromadzony w proteście tłum dobrych polskich katolików obrzucił okna kurii, wykrzykując przy tym „Targowica!”. Interweniowała policja i w Poznaniu doszło do krwawych zamieszek, które doprowadziły do tego, że Pius IX wstrzymał się od oficjalnych poczynań przeciw Królestwu, poprzestając tylko na okazywaniu osobistego niezadowolenia na audiencjach prywatnych.

Jednak w samym Państwie Kościelnym, pod wpływem wydarzeń w Polsce, papież odwołał swoje dotychczasowe rozporządzenia modernizacyjne. Zasiadający wcześniej na tronie Piotrowym Grzegorz XVI zwykł był mawiać, że „drogi żelazne są drogami do piekła” i nie godził się na budowę kolei na terenie Państwa Kościelnego. Pius IX początkowo odstąpił od tej polityki, ale krótko po bitwie nad Narwią oficjalnie przyznał swemu poprzednikowi rację, skutkiem czego zatrzymano ruch na wybudowanych ledwie kilka lat wcześniej drogach żelaznych, a w Rzymie zdemontowano nowiutkie oświetlenie gazowe. Nie pomogły protesty zrujnowanych przedsiębiorców i akcjonariuszy. Jako uzasadnienie ogłoszono, że rozwój techniki prowadzi wyłącznie do złego i Państwo Kościelne musi dawać światu dobry przykład. Lepiej też by ludzie stracili ziemskie majątki niżli nieśmiertelne dusze. Po sprawie Mortary, kiedy to na rozkaz obecnego papieża odebrano żydowskim rodzicom ochrzczonego pota-

jemnie chłopczyka, żeby wychować go na katolickiego janczara, kolejne ekscentryczne polecenie rozbiórki i złomowania wszystkich lokomotyw oraz zamknięcia gazowni prasa światowa uznała ogólnie za objaw jawnego szaleństwa papieża, przypominając, że od lat cierpi on na epilepsję.

Być może teraz Jego Świątobliwość planował lub nawet już uczynił kolejny ruch w podobnym stylu, skoro polscy biskupi dyplomatycznie, ale ponad wszelką wątpliwość zbojkotowali obchody narodowej rocznicy.

Postawa papieża nie pozostała bez reakcji drugiej strony. W ostatnim półroczu coraz głośniej dyskutowano nad zerwaniem więzi ze Stolicą Apostolską i ustanowieniem w Polsce Kościoła narodowego obrządku katolickiego. Rzecz charakterystyczna, że tego typu sugestie pojawiały się w wywiadach co znaczniejszych Polaków dla zagranicznych gazet tudzież w listach pisanych do ich redakcji, natomiast cenzura w kraju uciszała te głosy bez wyjątków. Rząd Narodowy zatem jednocześnie ostrzegał papieża przed nową schizmą i zarazem unikał wzburzenia umysłów w Królestwie tudzież lania wody na austriacki młyn. Dyktator Traugutt wyraźnie starał się uzyskać wobec Rzymu pozycję gwaranta prawowierności Polski. Można to było interpretować jako akt osobistej wiary, gest dobrej woli, makiaweliczną machinację lub polityczną roztropność. Z całą pewnością Warszawa nie chciała wojny na dwa fronty, nawet jeśli ten drugi miał biec tylko w sferze duchowej. Nie przeszkadzało to jednak zachodnim publicystom snuć daleko idących przypuszczeń, kto miałby stanąć na czele ewentualnego polskiego Kościoła narodowego. Księży-patriotów, gotowych się na to poważyc, było w Królestwie naprawdę wielu. Najczęściej w tym kontekście wymieniano nazwiska księdza generała Brzóska. Ciekawe zatem, dlaczego teraz nie było go obok Traugutta? Wszak wczorajsze popołudniówki donosiły, że sławny ksiądz Stanisław przybył już do Warszawy. Czyżby więc nawet słynący z osobistej stanowczości naczelny kapelan wojsk Królestwa obawiał się papieskiego potępienia?

Publiczność oczekująca na początek korowodu zaczęła okazywać znudzenie. Na trybunie honorowej Ignacy Łukasiewicz i profesor Maxwell wdali się w przyjacielską pogawędkę. Edward pożałował serdecznie, że nie może usłyszeć rozmowy tych dwóch tytanów umysłu. Z pewnością musiała być niezwykle pouczająca!

Polak reprezentował szczególny typ geniuszu praktycznego, który pozwolił mu nie tylko wpaść na pomysł pędni, wielokroć mocniejszej od zwykłej maszyny parowej, oraz procesu tenardyzacji, ale nade wszystko zdołał nadać tym ideom sprawną i użyteczną formę. Niuanse techniczne, owe nieznośne diabły w szczegółach, decydujące nieraz o upadku najbłyskotliwszych projektów, umysł Łukasiewicza poskromił intuicyjnie, niemalże od pierwszych chwil, dobierając optymalne kształty cylindrów, zaworów i tłoków oraz warunki reżymu ich pracy. Dość rzec, iż pierwszy prototyp pędni twardochodu zadziałał od razu, a kolejne udoskonalenia przyniosły tak widoczne korzyści, że w ciągu dalszych pięciu lat, przy wsparciu grupy majątnych patriotów, stało się możliwe skonstruowanie pojazdu bojowego, który pomścił sejm niemy, rozbiory i rzeź Pragi. Owym szczególnym darem umysłu pozwalającym z wielu jawiących się w imaginacji projektów wybrać od razu ten dobry, jeśli nie najlepszy, wciąż nie mogli się poszczycić żadni naśladowcy polskiego geniusza, a zwłaszcza inżynierowie francuscy i niemieccy, których zawodne i niemrawe konstrukcje budziły śmiech w porównaniu do polskich twardochodów. Nikt prócz samego Łukasiewicza nie umiał należycie wyrefinować procesu tenardyzacji, to jest wtrysku wody utlenionej do cylindra wypełnionego gorącą parą nafty, co pozwalało uzyskać spotęgowanie siły parcia na tłok. Termin „tenardyzacja” wywodził się od nazwiska chemika Louisa Thénarda, wynalazcy wody utlenionej. Mimo iż cały ten system był wyłącznym dziełem Łukasiewicza, polski wynalazca przez osobistą skromność uparł się, aby rzecz określać słowem pochodzącym od nazwiska francuskiego kolegi, a nie jego. Było jednak kilku narodowych purystów, którzy w krajowych gazetach z uporem lansowali nazwę „łukianizacja”. Jak zwał, tak zwał! Sedno procesu polegało na tym, że tlen wydzielony z

wody utlenionej natychmiast zapalał i częściowo spalał wtłoczoną do cylindra pędni parę nafty. Wywiązujące się wówczas dodatkowe ciepło powodowało natychmiastowe odparowanie wody, zarówno powstałej z rozkładu nadtlenu wodoru, jak i użytej wcześniej do jego rozcieńczenia. W efekcie w cylindrze gwałtownie, wręcz wybuchowo, przybywało pary wodnej sprężonej do ciśnień, których nie mógł dać żaden znany kocioł parowy. Ta siła naciskała na tłok z mocą równą tabunowi stu pięćdziesięciu żywych koni pociągowych. Pierwsze twardochody Model I miały po dwa takie cylindry z tłokami, co dawało im moc trzystu koni. Modele II wyposażono w pędnie czterocylindrowe, ale już o łącznej mocy siedmiuset koni, a to dzięki dalszemu wydoskonaleniu procesu tenardyzacji. Istota rzeczy bowiem, jako się rzekło, kryła się w małych z pozoru szczegółach, takich jak stężenie wody utlenionej, wielkość jej porcji i szybkość dozowania. Szczegółowa ta wiedza stanowiła najpilniej strzeżoną tajemnicę Królestwa, skrywaną nawet przed sojusznikami.

Natomiast profesor Maxwell dwa lata temu wykazał jedność natury elektryczności, magnetyzmu i światła, ujmując to w czterech równaniach matematycznych, które natychmiast stały się chlubą i symbolem nowożytnej nauki. Dokonawszy tego iście kopernikańskiego dzieła, brytyjski uczyony powodowany najszlachetniejszymi pobudkami ofiarował swe służby Polsce zmagającej się z moskiewskim Goliatem. W jednym z wywiadów Maxwell uzasadnił tę decyzję następująco: „Nam, Szkotom, łatwo przychodzi zrozumieć sytuację małych krajów obdarzonych kłopotliwym zainteresowaniem wielkich imperiów”. Bez trudu można było zgadnąć, że angielska prasa go po tym nie pokochała.

Obdarzony pełnym zaufaniem Rządu Narodowego i środkami na badania szkocki geniusz elektromagnetyzmu jeszcze bardziej posunął swoje dotychczasowe odkrycia, po czym sprowadził je z wyżyn matematycznej abstrakcji na ziemię i wzorem Łukasiewicza także aplikował je w użytecznej formie. W rezultacie od nieco ponad trzech miesięcy działał w Królestwie znakomicie usprawniający ruchy

wojsk system telegrafu bez drutu, oparty na rozmieszczonych równomiernie stu jeden wieżach z induktorami fal eteru, zwanych potocznie „wieżami eterowymi”. Obecnie trwały, ponoć nader pomyślne, prace nad skonstruowaniem pomniejszonej, przenośnej wersji tej aparatury dla Litwy, gdzie toczyła się wojna partyzancka.

– Pan się zamyślił, panie Edwardzie... – zagadnęła podporucznika panna Apolonia Radoszkowska.

– Tak, w istocie! – Młody oficer potrząsnął głową, wracając na ziemię. – Dopiero od niedawna jestem w kraju po dłuższej nieobecności i doprawdy, proszę panny, chwilami patrzę na wszystko dookoła oczami dziecka, które nie może się wszystkiemu nadziwić.

– Oczami dziecka, powiada pan Edward? – wtrąciła się pani Olimpia z uśmiechem. – A to się bardzo dobrze składa! Wandziu droga – zwróciła się do dziewczynki – pokaż panu oficerowi, jak ładnie odrobiłaś swoją lekcję.

– Tak, proszę cioteczki. – Dziewczynka skłoniła główkę, zamknęła oczy, po czym pełnymi zdaniami i równym głosem zaczęła recytować wyuczoną na pamięć czytanekę z podręcznika dla szkół elementarnych:

„W austriackim zaborze, między rzeką San a granicą moskiewskiego zaboru, niedaleko wsi Antoniów, w roku Pańskim 1858, a w sześćdziesiątym trzecim roku niewoli ojczyzny stanęły tajne warsztaty narodowe. W nich pod pozorem budowy nowych machin rolniczych magister Ignacy Łukasiewicz wraz z grupą zaprzysiężonych inżynierów rozpoczęli składanie pierwszych twardochodów. Kiedy zajaśniała jutrzienka wolności, gotowe do boju stanęły trzy: »Adam«, »Juliusz« i »Zygmunt«, a imiona swe wzięły od trzech wieszczów narodu na znak, że przepowiednie ich ciałem i żelazem właśnie się stały. Dano twardochodom działa z ziemi włoskiej sprowadzone, przemyślnie od tyłu ładowane, a ponadto tarany, aby każdą przeszkodę napotkaną w proch i pył znosiły. Kartaczownic nie znano jeszcze, a zatem z tyłu każdego twardochodu uszykowano dwie

ambony przeznaczone dla strzelców najwyborniejszych. I tak, gdy rozkaz do powstania nadszedł, twardochody ruszyły w chwalebny bój. Pędziły bez wytchnienia noc całą, a rano stanęły pod murami twierdzy w Dęblinie, Iwanogrodzką wtedy zwanej, gdzie Moskal pewny bezpieczeństwa swego smaczno jeszcze spał...”

„Ech, jak łatwo to się teraz mówi”, uśmiechnął się w duchu Edward. Ponadstukilometrowy, trwający sześć godzin nocny rajd pierwszych twardochodów wymagał przygotowań, które zaczęły się na pół roku wcześniej. Wpierw wytyczono dokładną trasę, następnie nieznacznie połatano dziury w drogach, w miarę możliwości utwardzając ich powierzchnie techniką makadam. Wzmocniono i poszerzono mostki, a przy wszystkich brodach zgromadzono sągi bali drewnianych tudzież stopy kamieni dla utwardzenia dna rzek i strumieni oraz ich brzegów. W miejscach postoju musiały czekać gotowe bańki z naftą i gąsiory stężonej wody utlenionej. Wymagało to tajnego nadzoru Żandarmerii Narodowej, aby nigdzie, w decydującej chwili niczego nie ukradziono. Ponadto specjalne oddziały bojowe musiały zawczasu rozbić zawadzające w przemarszu cztery ruskie cyrkuły i roгатki, zaś w samych Puławach, żeby twardochody mogły je bezpiecznie ominąć, grupy spiskowców wywołały pożary, odwracając uwagę miejscowego garnizonu. Decydująca dla powodzenia całej operacji była przeprawa przez zamarznięty Wieprz. Dlatego jeszcze jesienią w wybranym miejscu zatopiono obciążone piachem barki dla podparcia tafli lodu od dołu. Wszystkie te przedsięwzięcia musiały się zbiec z tajną koncentracją na przedpolach Dęblina należycie licznych oddziałów powstańczych, które dopiero w ostatniej chwili powiadomiono, jak niezwykle wsparcie będzie im dane. Przed tym wszystkim jeszcze, zanim w ogóle przystąpiono do prac konstrukcyjnych, skrycie zmierzono bramy twierdzy Iwanogrodzkiej, upewniając się, że twardochody w nich nie utkną, a także zbadano szerokość i oszacowano wytrzymałość prowadzących do nich mostów. W sumie całe przedsięwzięcie wymagało organizacji, przezorności i planowania taktycznego, jakiego po Polakach nikt się nie spodziewał, łącznie z nimi samymi. Do tej pory, jak widać, ów pouczający aspekt sprawy



pomijano, kształtując patriotyczny zmysł młodego pokolenia.

„I oto zaświtał dla nas dzień krwi i chwały, a dla Moskali dzień sądu! – recytowała dalej przejęta Wandzia. – Wrogowie zostali całkiem zaskoczeni. W huku dział, w kurzawie ogni, twarchoód »Adam« całą mocą pędni runął przez most nad fosą ku bramie od drogi lubelskiej i taranem swoim wyłamał wrota siedziby Moskala. Za »Adamem« wdarli się do środka twierdzy żołnierze polscy”.

W istocie, po tylu znużających przygotowaniach zaskoczenie było piorunujące! Twierdzę zastano na stopie pokojowej, zupełnie nieprzygotowaną do obrony. Komendantura nie otrzymała jeszcze pewnych wiadomości o rozmiarach powstania, uznano je za kolejne rozruchy w Warszawie. Skutkiem tego dwa zewnętrzne forty przy dojeździe do dęblińskiej twierdzy były obsadzone jedynie przez oddziały wartownicze, bez kanonierów. Wzięto je w kwadrans, praktycznie z marszu. Zacięty bój wywiązał się dopiero przed Bramą Lubelską, której załoga zdołała wydostać z kazamat amunicję i działobitnie otworzyły ogień. Wzięły go jednak na siebie i wytrzymały czołowe pancerze twarchoodów, a odpowiedź ich szybkostrzelnych włoskich armat odtylcowych systemu Cavallego była miażdżąca. Po trzeciej polskiej salwie w lewym skrzydle bramy wybuchły ładunki prochowe. Potem ruszył do szarży twarchoód „Adam”, spędzając rosyjskich żołnierzy, którzy wprawdzie wylegli na most, nierozważnie usiłując kontratakować, po czym w strachu wielkim, bo zamknięto za nimi bramę, na łeb, na szyję skakali do zamarzniętej fosy, aby uniknąć rozjechania i spalenia żywcem. Brama pękła od pierwszego ciosu taranem. Jej resztki wyrwano hakami na łańcuchach, dając bieg wsteczny, po czym piechota oraz twarchoody „Adam” i „Juliusz” wtargnęły do serca cytadeli. Na głównym dziedzińcu wysypujący się z koszar moskiewscy strzelcy, co poniektórzy boso i w samych gaciach, próbowali jeszcze formować szyk, ale na widok twarchoodów z opuszczonymi rurami wytchnieniowymi, zionących ogniem jak smoki, wszystko to poszło w rozsypkę. Twierdza padła ostatecznie godzinę później po wielu drobnych utarczkach wewnątrz budynków.

„Po wzięciu Dęblińska – mówiła dalej dziewczynka – twarchochody wyzwoliły Siedlce, zdobywając tam wielkie magazyny wojskowe, pełne broni, amunicji i innych dóbr wojennych, a następnie ruszyły na Węgrów. Fortelem zaś wzięto Zamość, gdzie zamiast prawdziwych twarchochodów pokazano Moskalom skrzynie z desek obitych blachą, lecz i to wystarczyło, by ich duch zwiotczały całkiem upadł. W dalszych postępkach wojskom polskiem przeszkodziła odwilż i rozmiękła ziemia, ale ten czas wykorzystano dobrze, ażeby przyszykować w Dęblińsku most łyżwowy przez Wisłę i przeprowadzić twarchochody na lewy brzeg, gdzie zaraz wzięto Kielce oraz manufaktury żelazne Ostrowca i Starachowic. W nich niezwłocznie rozpoczęto budowę nowych twarchochodów, którym nadano imiona „Jan”, od Jana z Czarolasu, oraz „Ignacy” na cześć biskupa Krasickiego. W kwietniu rozpoczął się ciężki bój o Warszawę, którą Moskale razili bezlitośnie bombami z Cytadeli. Ducha narodu to jednak nie złamało. Dnia trzeciego maja, na pamiątkę chwalebnej konstytucji, nastąpił szturm ostateczny, w którym Polska zbrojną ręką zgmiotła gniazdo przewrotnego Moskala, wzniesione na zniewagę i pohańbienie stolicy naszej. W boju tym poległ twarchochód „Adam”, którego załoga żywym ogniem płonąć, bić z działa nie zaprzestawała, dopóki im naboje od żaru nie wybuchły. Poległ także śmiercią bohaterską kapitan Ignacy Radoszkowski... mój tatuś...” – Wandzia urwała i zaczęła łykać łzy.

– Bravo! Bravo! – zaczęto wołać i klaskać zewsząd na całej białej trybunie oraz poniżej niej, gdziekolwiek dotarły słowa dziewczynki. Jakaś wytworna dama precyzyjnie się przez zgromadzonych i ucałowała małą w oba policzki. Na trybunie honorowej, gdzie głos Wandzi z pewnością nie doleciał, zorientowano się jednak, co chodzi, i także dawano recytatorce brawa.

– Ukłoń się, kochanieńka! – szepnęła poruszona pani Olimpia. – Sam pan Naczelnik do ciebie macha!

Edward oburącz uchwycił dziewczynkę, która z wdziękiem sikorki dygnęła na barierce. Jednocześnie umysł oficera wykonywał intensywną pracę nad identyfikacją twarzy kobiety, która przed chwilą

pocałowała Wandzię. Też bywała w gazetach... nawet często... Zaraz! Łupińska! Eliza. Pisarka. Zyskała wielki rozgłos w 1863 roku, jeszcze przed końcem walk, drukując w gazetach świeżo wyzwolonej Warszawy porywające reportaże i opowiadania o geniuszu inżynierów skupionych wokół Ignacego Łukasiewicza oraz męstwie pierwszych twardochodźczy, opisując zdarzenia z punktu widzenia żon, matek i siostr bohaterów, czym szczególnie wzruszała czytelników. Ponadto Łupińska, dzięki osobistej znajomości z dyktatorem Trauguttem, miała zawsze wiadomości z pierwszej ręki i to od niej głównie opinia krajowa dowiedziała się o istnieniu i sukcesach nowych wojennych wynalazków. Do tej pory wyrobiła sobie pozycję „sumienia i pierwszej muzy Królestwa”. Tu, na trybunie otaczał ją wianuszek młodych wielbicielek, zapewne początkujących pisarek i poetek, zapatrzonych w swą mentorkę jak w święty obraz.

Edward uznał, że powinien Łupińską rozpoznać szybciej, i zgañił się w duchu za niedostatek profesjonalnej bystrości. Stanowczo, we Francji należało pilniej wprawiać się w ćwiczeniach zapamiętywania twarzy metodą Vidocq'a!

Uzupełniając zaś relację urwaną przez wzruszoną Wandzię, należało jeszcze wspomnieć o wzięciu Płocka i twierdzy Modlin w połowie czerwca 1863 roku. Płock wyzwolono świetnie zaplanowanym i dowodzonym przez generała Hauke-Bosaka atakiem piechoty ze wsparciem zdobycznej artylerii, acz bez udziału machin Łukasiewicza nazywanych wtedy uczenie „lokomobilnymi fortalicjami” tudzież „festmobilami”, a pospolicie przez żołnierzy i lud „łukaszkami”. Oficjalną nazwę „twardochody” ogłoszono później, po naradach z akademickimi językoznawcami.

Specjalnie dla uporania się z Modlinem w Warszawie dokończono w pośpiechu most Kierbedzia, po którym twardochody przeszły z powrotem na prawy brzeg Wisły, a także zorganizowano przeprawy na Bugu i Narwi, co wymagało budowy nie tylko mostów, ale i specjalnych dróg bitych, czego zdołano dokazać w pięć tygodni. Rosjanie ochłonęli już z pierwszego zaskoczenia i byli zdecydowani twier-

dzę Modlin utrzymać. Szturmowano ją nocą, dla zmylenia wroga między prawdziwymi twarochodami stawiając makiety, wzorem wziętym z Zamościa, gdzie zresztą całą komendanturę zastano bezbronną w garnizonowej cerkwi podczas modłów zarządzonych dla odwrócenia „apokaliptycznego nieszczęścia”, któremu, jak się Moskalom zdawało, żadna ludzka siła zapobiec nie zdoła. Całkiem serio przyzywali zatem odsiecz y jazdy niebieskiej z ognistymi mieczami. Śmiała się potem z tego cała Europa.

W walkach o Modlin uszkodzone zostały twarochody „Zygmunt” i „Ignacy”, ale twierdzę wzięto po tygodniu krwawych szturmów. W pierwszych dniach lipca skapitulowały ostatnie rosyjskie garnizony na terenie Kongresówki, z wyjątkiem Suwałk, i zaczął się trwający już trzeci rok patriotyczny karnawał, którego dzień dzisiejszy stanowił ukoronowanie. Na Litwie i Rusi Białej, korzystających ze wsparcia wolnego Królestwa, trwała wciąż wojna partyzancka.

Czoło defilady znalazło się w zasięgu wzroku. Orkiestra powitała ją *Mazurkiem Dąbrowskiego*, a publiczność burzą braw.

Na początku maszerowali kadeci pierwszego rocznika odnowionej Szkoły Rycerskiej, a wśród nich trzy kadetki przyjęte za poręczeniem i po stanowczych naleganiach Emilii Plater. Wojskowa młodzież niosła wielką, purpurową poduszkę, a na niej Ostatnie Insignium – Szczerbiec, miecz koronacyjny królów polskich odebrany Prusakom, jak mówiono. Niektórzy malkontenci upierali się, że to tylko kopia, lecz nie dawano im wiary. Prusy w tej sprawie milczały wyniośle, poniekąd milczeniem swoim potwierdzając polską rację.

Sprawa Szczerbca była akurat mniejszym policzkiem dla pruskiej buty w porównaniu z drugą demonstracją w wykonaniu postępującej za kadetami kompanii doborowych strzelców Taniewskiego w kremowo-popielatych mundurach i zawadiackich kepi z ukośnym daszkiem. Piechurzy ci uzbrojeni byli w karabiny igliczne Dreysego, a dokładniej mówiąc ich polskie, udoskonalone repliki produkowane od niedawna w Radomiu na podstawie wykradzonych z Berlina pla-

nów i prototypów. Wielu dobrych patriotów złożyło za to głowy pod toporami pruskich katów, ale najnowocześniejsza broń strzelecka niezawodnie znalazła się w rękach żołnierzy Królestwa i wszyscy, cały świat mógł to teraz zobaczyć! Taniewiczycy przystanęli na małą chwilę przed główną trybuną, prezentując broń Naczelnikowi i Rządowi, a ponadto dla ułatwienia roboty zagranicznym fotografom, którzy skwapliwie, raz po raz odpalali magnezję.

Za piechotą na bruku Krakowskiego Przedmieścia zastukotały podkowy i nadciągnęło marzenie każdego dorastającego chłopca z rycerskiego rodu, także i Edwarda przez czas jakiś – husaria ogniowa, czyli oddziały specjalne Kawalerii Narodowej przeznaczone do bezpośredniej osłony twardochodów poruszających się zbyt szybko, aby piesi żołnierze mogli łatwo za nimi nadążyć. Potrzebna tu była jazda, ale na koniach specjalnie przyuczonych i oswojonych znosić bijący od rozpędzonych twardochodów ogień, huk i gryzący dym. Zatem wierzchowce miały długie azbestowe kropierze, chroniące pęciny sztylpy z tegoż materiału, podbrzusznice, a na łbach kaptury z gogłami z ciemnoniebieskiego szkła. W razie potrzeby rumaki te mogły pędzić przez rozlewiska płonącej nafty. Jeźdźcy również byli w azbestowych kostiumach i przyłbicach pozwalających im wstąpić w żywy ogień choćby po to, by ratować załogę trafionego twardochodu. Ich bronią były bębnowe karabiny systemu Colta oraz pradawne koncerze, dla uszanowania chwalebnej tradycji. Z tej samej przyczyny nosili oni też skrzydła, lecz nie z orlich piór jak dawni husarze, ale jedwabne, imitujące szkarłatne płomienie tańczące u ramion. Z tej przyczyny nazywano ich także „Jeźdźcami Pochodni” – głównie w zagranicznej prasie, gdzie słowo „husaria” mało co komu mówiło. I chociaż ci kawalerzyści z ogólnego wyglądu byli biało-żółto-czerwoni, wrogowie rysowali ich zawsze na czarno niby jako upadłe anioły. Ten styl portretowania na opak, wynaleziony przez Moskali, szybko upowszechnił się w Prusach, a ostatnio też i w gazetach Państwa Kościelnego. No dobrze, prawdy było w tym tyle, że husarze ogniowi dłużej towarzysząc twardochodom, cokolwiek ciemnieli od sadzy, ale tylko po jednej stronie!

Na każdy twarдохód Modelu II przypadał jeden szwadron husarii ogniowej, zatem dziś Krakowskim Przedmieściem powinny przejść cztery szwadrony, ale porzeczano na jednym, aby nie uczynić pochodu nazbyt monotonnym. Jeźdźców zaś wybrano ze wszystkich czterech, dla zachowania dumy każdej jednostki.

I wreszcie nadeszło to, na co wszyscy czekali!

Warszawa zadrżała w posadach, a tłumy w dwójnasób wybuchły krzykiem entuzjazmu.

„Połonka”, „Witebsk”, „Czaśniki” i „Zieleńce” – twarдохody drugiej generacji, a prawidłowo mówiąc: Model II wzór 1863. Dla odróżnienia od wcześniejszych Modeli I, chrzczonych imionami poetów, Modele II nosiły nazwy zwycięskich dla Polski i Litwy bitew w wojnach z Moskwą. Dzisiaj przypominano bardziej egzotyczne batalie, gdyż te szerzej znane, jak Raławice, Smoleńsk czy Orsza, wykorzystano już w pierwszej kolejności. Twarдохodów Model II razem służyło w armii czternaście, z czego cztery prezentowane obecnie w stolicy wyszły świeżo spod młotów nitowaczy Ostrowca Świętokrzyskiego oraz Zagłębia Dąbrowskiego. Pierwotnie miały powstać tylko trzy pierwsze z wymienionych, ale za sprawą ofiarności śląskiego ludu ze wszystkich trzech zaborów zdołano ufundować i wykonać, pracując po nocach oraz w niedziele, także i „Zieleńce”. Ta ofiarowana ojczyźnie praca w dni święte stanowiła kolejny zgrzyt w stosunkach z Kościołem, a właściwie z jego wyższymi hierarchami, gdyż szeregowi księża w zdecydowanej większości udzielali dyspensy i błogosławili robotnikom bez zastrzeżeń.

Pierwsze twarдохody miały tylko sześć kół i jedno działo kaliber trzy cale oraz przedni pancerz ze stalowych sztab grubości dwóch i pół cala pozwalający powstrzymać dwunastofuntową kulę armatnią. Blachy z boków i z tyłu, nieco ponadpółcalowe, chroniły jedynie przed ogniem karabinowym i kartaczami. Mogły one też jeszcze znieść trafienie pociskiem z połowego działa sześćofuntowego, byle nie wystrzelonym z bliska i na wprost. Obecnie Modele I w bezpo-

średnim boju nie były już używane. Po bitwie nad Narwią pozabawiono je dział i taranów, przekształcając w samobieżne wozy taborowe zwane taboronami, a służące do zaopatrywania w paliwo i amunicję Modeli II stanowiących teraz standard wyposażenia armii.

I oto teraz, Krakowskim Przedmieściem, jeden za drugim sunęły te pięcioosiowe kolosy. Każdy uzbrojony w dwa działa – przednie nieruchome kaliber siedem cali, a nad nim trzycalowe na obrotowej wieży. Do tego cztery wirowe kartacznice Gatlinga w osobnych, bocznych wieżyczkach. Czołowe płyty pancerne Modeli II, ozdobione jak należy tarczą z godłem Królestwa, były lite, grubości trzech cali, odlane z pierwszorzędnej, martenowskiej stali wytopionej dla Polski na osobisty rozkaz cesarza Napoleona III. Zamiast taranów Modele II miały opuszczane lemieszce, bardziej przydatne do niwelacji wałów i szanćów, za którymi próbowały się kryć wojska rosyjskie.

Twardochody sunęły na minimalnej tenardyzacji, w pierwszym tempie marszowym, czyli z prędkością idącego umiarkowanie szybko człowieka, ale mimo to ognie z ich rur wytchnieniowych buchały na przeszło metr, liżąc bruk i wzbijając skłębione obłoki sadzy oraz pary, które w mroźnym powietrzu krzepły zaraz w czarny śnieg. Żandarmi na widok zbliżających się machin czym prędzej schodzili z ulicy i chowali się za wojskowy parawan. Stojący najbliżej ludzie odruchowo, rękawami osłaniali twarze przed falą żaru. Grzmot pędni Łukasiewicza przywodził na myśl rytmiczną palbę rewolwerową.

Trzeba uczciwie wyznać, że jadące twardochody nie pachniały zbyt pięknie, zwłaszcza teraz, kiedy do woni spalonej nafty, wraz z ową nieszczęsną siarkowo-piekielną nutą, i nieapetycznych aromatów gorących smarów doszedł jeszcze zapach przypalanej gumy, którą obleczono żelazne koła dla ochrony warszawskich bruków.

Wytworne panie miały z tym kłopot niemały. Nie wypadało wszak podziwiać pokazu narodowej potęgi zbrojnej z wyrazem obrzydzenia na twarzy oraz perfumowaną chustką przyciśniętą do nosa i ust. To stanowczo nie byłoby patriotyczne zachowanie! Damy z wyższych

sfer po wzajemnych konsultacjach ogłosiły zatem wszem i wobec, że chusteczek, owszem, będą używać, ale machając nimi przed twarzą – pozdrawiając w ten sposób defilujących żołnierzy i zarazem mimochodem rozpraszając przykre wapory. Ten dyplomatyczny kompromis wszedł w modę bez niczyich obiekcji. Gazety doradzały też słabej płci rozluźnienie gorsetów i przezorne zaopatrzenie się w sole trzeźwiące oraz papierowe torebki dla dyskretnej i higienicznej womitacji. Dla panów jednak żadnych względów nie przewidywano. Za zatykanie nosa wobec przejeżdżającego twardochodu można było stracić honor Polaka oraz kilka zębów na dodatek.

Masywne, pokryte siecią grubych nitów, osnute dymem kolosy sunęły przez Warszawę z surową godnością, powiewając biało-czerwonymi chorągiewkami na najwyższych wieżyczkach obserwacyjnych dowódców, górujących nad pięcioma pozostałymi wieżami bojowymi. Na pierwszy rzut oka przywodziły na myśl średniowieczne zamki, ale bliższe wpatrzenie się pozwalało dostrzec zachowane wciąż linie i zarysy pospolitych parowozów, na których pierwotnie wzorowali się konstruktorzy. Łatwiej i bez wzbudzania podejrzeń przychodziło zresztą zamawiać w różnych manufakturach elementy konstrukcyjne przypominające części lokomotyw. Austriacka policja i wywiad ani przez chwilę nie podejrzewały, że to może być broń.

Koła wysokości dorosłego człowieka, szerokie na pół metra, mimo gumowej amortyzacji wprawiały zmarznięty bruk ulicy w potężne drżenie, a wibracje te przenosiły się na ściany kamienic. Co chwila gdzieś, w którymś z okien pękały szyby, ale to nic! To na szczęście!

Załogi twardochodów nosiły srebrzyste mundury. Pierwotnie szyto je z azbestu, ale w gorącym wnętrzu pojazdu nie dało się tego nosić. Wprowadzono więc lekkie kostiumy lniane, dla ochrony przed ogniem pokrywane z wierzchu cienką folią srebrną, a w najnowszych fasonach sprowadzonym z Francji aluminium. Nakrycia głów wzorowane były na kapeluszach hutników, ale z pięciokrotnie grubszego filcu, by zapobiec nabijaniu guzów o wewnętrzne elementy konstruk-



cji podskakującego na wybojach wehikułu. Podwinięte fantazyjnie runda można było opuścić i spaść razem, tak by osłaniały kark, policzki i usta. Uniform uzupełniały apaszka z biało-czerwoną szachownicą, gogle i długie do łokci rękawice.

Poza okolicznościami oficjalnymi niższej rangi członkowie załóg twarchochodów mieli zwyczaj paradować półnago, nic sobie nie robiąc z ewentualnych oparzeń i demonstracyjnie gardząc bólem. Jak twierdzili, w przypadku wybuchu w maszynowni żaden strój ochronny ich nie uratuje, a tylko przedłuży proces pieczenia żywcem. Ich ulubioną próbą męstwa i popisem towarzyskim, praktykowanym zwłaszcza przy cudzoziemcach, było przypalanie się świeczkami. Aby jeszcze bardziej podkreślić zawadiacką nonszalancję i brak lęku przed ogniem, a także odegrać się za papieskie muchy w nosie, niektórzy z nich zadawali szyku w malutkich, azbestowych czapeczkach, wzorowanych na piuskach. Nie był natomiast żartem rozpowszechniony ponoć wśród nich zwyczaj noszenia ampułek z cyjankiem dla skrócenia cierpień w razie ciężkiego poparzenia, co nie podobało się Kościołowi. Oficjalnie był to jednak tylko wymysł zachodniej prasy.

Kapitanowie przejeżdżających wozów siedzieli w otwartych włazach wieży górnego działła, salutując zwierzchnikom i publiczności. Kanonierzy i strzelcy maszynowi stali za dowódcami na tylnych dachach pojazdów, dwoma rzędami po pięciu żołnierzy, na baczność, obok otwartych wywietrzników. Wewnątrz kadłubów pozostawali tylko sternicy i maszyniści.

Trybunę honorową twarchochody minęły bez zatrzymywania się. Postąpiono tak specjalnie, aby robione im fotografie wyszły nieostre. Cokolwiek rozmazane kontury pojazdów z jednej strony lepiej działały na imaginację, przydając im bardziej niesamowitego wyglądu, z drugiej zaś uniemożliwiały dopatrzenie się na dagerotypach jakichś istotniejszych szczegółów technicznych.

Mimo wszelkich niedogodności towarzyszących przejazdowi twarchochodów entuzjazm widzów nie osłabł. Pod koła i na kadłuby

leciały kwiaty, a wiwatujący usilnie starali się przekrzyczeć łoskot maszyn. Konsternacji nie spowodował nawet widok „Zieleńców”, którego załoga, złożona z ochotników z Sosnowca, pozwoliła sobie na wyzywającą polityczną demonstrację, przypinając do mundurów socjalistyczne kokardy. Naczelnik Traugutt pierwszy dał im brawo, zaś biała trybuna przełknęła afront z wyniosłą godnością.

Z wyjątkiem małej Wandzi, która wpierw dzielnie rzucała podawane jej zewsząd bukiety, ale w miarę przejazdu kolejnych twardochodów coraz bardziej bladła i zieleniała, a *nomen omen* przy „Zieleńcach” dziecko pisnęło rozpaczliwie, że mu mdło i nie wytrzyma...

Edward czym prędzej postawił dziewczynkę na podłodze za barierką, której wysokość bardzo się teraz przydała dla zapewnienia dyskrecji. Obie starsze siostry natychmiast osłoniły małą, podsuwając jej pod buzię papierową torebkę. Edward, pani Olimpia oraz inni świadkowie niezręcznej sceny taktownie udali, że nic nie widzą.

Kryzys został zażegnany, zanim przejechał toczący się za Modelami II, wyglądający przy nich jak blaszana zabawka taboron „Juliusz”, ciągnący za sobą dodatkowy wagonik z zaopatrzeniem, co było już jawnie śmieszne. Prasowi komentatorzy programu uroczystości prześcigali się w pisanych półserio wyrazach współczucia dla wieszczki Słowackiego z powodu takiej degradacji i upokorzenia. Niewątpliwie poeta ów, znany z cholerycznego usposobienia, zadowolony by raczej nie był. Edward również nie podzielał tej wesołości. Bądź co bądź, twardochód „Juliusz” brał udział w sześciu bitwach, o czym zaświadczały liczne szramy na sfatygowanym pancerzu i nie zasłużył na mało chwalebny los obozowego ciury. Jednak pragmatyzm przeważał nad symboliką. Nawet zaszczyt dopuszczenia do udziału w defiladzie jako jedyne z Modeli I stanowił tu małą pociechę.

Jednak ktoś, kto decydował o kompozycji korowodu, nieprzypadkowo pod postacią taboronu „Juliusz” wprowadził element rozluźniający podniosły nastrój. Publiczność mogła na chwilę odetchnąć swobodniej i przygotować się na znacznie większe wzmożenie uczuć

wyższych. Po pokazie siły narodowego oręża przyszła bowiem kolej na prezentację potęgi ducha.

W należyтым odstępie za „Juliuszem”, poprzedzana przez grupę kapelanów wojskowych w szatach liturgicznych, sunęła ciągnięta przez cztery kare konie, spowita czarnym kirem platforma z narodową relikwią, czyli potrzaskanym kadłubem twardochodu „Adam”, który podczas szturm warszawskiej Cytadeli dostał się w krzyżowy ogień dział fortecznych. Zrazu jego pancerz znosił mordercze ciosy nad podziw dobrze, zbijając idące skosem pociski, ale po którymś kolejnym nie zdzierzył. Zapaliła się pędnia. Strzelcy wyborowi z tylnych wieżyczek zdołali wyskoczyć z nieznacznymi oparzeniami. Maszyniści już jako żywe pochodnie. Dwóch z nich przeżyło, choć straszliwe blizny na zawsze pozbawiły ich człowieczego wyglądu. Kanonierzy odcięci przez ogień w przednim przedziale nie zdołali ująć górnym włazem, który zakleszczył się wskutek deformacji pancerza. W tak beznadziejnej sytuacji zdołali jednak zachować męstwo i faktycznie, jak mówiła szkolna czytanka Wandzi, strzelali aż do eksplozji przegrzanej amunicji. Ba, nawet jeszcze później, ponieważ kiedy cały twardochód stał się jednym wielkim gorejącym piecem i nikogo żywego tam już być nie mogło, działo wystrzeliło po raz ostatni. Niewątpliwie ułamek sekundy przed wybuchem zdołano je załadować i zamknąć zamek, a potem żar spowodował odpalenie, ale tak przyziemne tłumaczenie się nie przyjęło. Poszła legenda, że duchy poległych czekały z wstąpieniem do nieba, aby jeszcze raz wspomóc walczących towarzyszy. Potem już każdy narodowy grafo-man czuł się w patriotycznym zobowiązaniu spłodzić łzawy poemat opiewający tę chwilę. To akurat był jedyny powód, dla którego Edward szczerze się cieszył, że nie było go podówczas w kraju. Zdecydowanie wołał francuski styl, umiar i elegancję w wyrażaniu wzniosłych uczuć.

Po bitwie roztartych na proch i popiół szczątków bohaterów nie zabrano z wypalanej skorupy „Adama”. Zniszczony twardochód przekształcono w wielką trumnę-urnę, ujmując koła i zasklepiając wszyst-

kie otwory, z wyjątkiem jednego, przez który dokładano do wnętrza nowe prochy, z reguły bezimiennych bohaterów, oraz ziemię z pól bitewnych. Na ową posępną skrzynię teraz sypały się zewsząd białoczerwone kwiaty, specjalnie dla tej chwili hodowane w oranżeriach i pilnie chronione przed mrozem.

Za pierwszym symbolem męczeństwa sunął drugi, o wiele straszniejszy. Była to platforma z inwalidami – członkami załóg innych spalonych twardochodów, którzy dla ojczyzny przeszli przez piekło na ziemi, ale nie dane im było zaznać kojącej słodczy śmierci. Nad nimi rozpięto transparent z cytatem-memento: „Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny”.

Te blizny, choć niewątpliwie chwalebne, stanowiły jednak widok niemożliwy do zniesienia dla co wrażliwszych oczu. W białych maskach kryjących już tylko koszmarnie pozory ludzkich twarzy, z upalonymi członkami, które trzeba było amputować, szesnastu straszliwie okaleczonych bohaterów siedziało na rozstawionych na platformie miękkich fotelach, pod opieką całego zastępu pielęgniarek, lekarzy i duchownych.

Tłum zamilkł ze zgrozy. Mężczyźni zdejmowali kapelusze z głów, mundurowi prężyli się na baczność i salutowali, starsze kobiety znakami krzyża błogosławiły męczenników. Lecz oto w nich, na widok Naczelnego Wodza jeszcze raz zagrała żołnierska krew. Ci, którzy mogli, poderwali się ze swoich foteli. Ku skroniom, w dumnym i upiornym zarazem salucie uniosły się kikuty pozbawione dłoni.

Żadnego z najciężej doświadczonych żołnierzy Królestwa nie chciano pominąć w tym honorze, mimo że połowie z nich doznane niewyobrażalne cierpienie głęboko zmaciło zdrowe zmysły. Wydano więc surowe rozporządzenie, aby na czas przejazdu platformy z inwalidami bezwzględnie powstrzymać się od robienia im zdjęć. Jaskrawe błyski magnezji mogły bowiem na nowo przebudzić w nie-szczęśnikach jak najgorsze wspomnienia i obawy. Niejeden z nich nie mógł już bowiem patrzeć na zapaloną świecę. Niektórzy lękali się

nawet blasku słońca.

Dziennikarze zgromadzeni pod trybuną honorową gremialnie posłuchali zakazu. Z wyjątkiem jednej kanalii, która bez skrępowań odpaliła flesz, powodując najpoważniejszy incydent podczas całej defilady.

Zgodnie z najgorszymi oczekiwaniami oślepieni z nagłą białym ogniem inwalidzi wpadli w panikę. Czterech czy pięciu zerwało się z miejsc, usiłując gdzieś uciekać. Któryś nieborak się przewrócił, inni pospadaliby z platformy, gdyby ich w porę nie przytrzymało. Dwaj beznodzy zaczęli konwulsyjnie miotać się w fotelach, wydając krzyki przerażenia. Niestety, nie było wśród nich tych najbardziej opanowanych, którzy mimo doznanych okaleczeń zachowali dobrą kondycję psychiki. Ci bowiem, pragnąc nadal służyć ojczyźnie, występowali w cyrkach Europy i Ameryki, za opłatą prezentując swe budzące grozę blizny, a zarobione tak pieniądze przekazując na skarb narodowy. Uczucia opinii publicznej były w tej mierze mieszane, bo na jednej szali leżały sumy naprawdę znaczne oraz jarmarczna wprawdzie, lecz niebagatelna propaganda sprawy polskiej, z drugiej była to jednak niewątpliwa wyprzedaż godności i honoru. Edward sam nie wiedział, jak by postąpił na miejscu tych ludzi. Dla spokoju sumień wszystkich zainteresowanych podkreślano stale i z mocą, że był to własny wolny wybór i kolejna ofiara czcigodnych weteranów.

Szcęściem przewidziano wszystko. W krytycznej chwili na platformę wskoczyli, idący dotąd za nią, rośli sanitariusze, którzy sprawnie dopomogli siostrze miłosierdzia usadzić z powrotem przerażonych inwalidów. W rękach lekarzy pojawiły się strzykawki z środkami uspokajającymi. Najbardziej niespokojnego biedaka, któremu piana wystąpiła na usta, niezwłocznie osłonięto przed publicznością przygotowanymi wcześniej parawanami. W kilka chwil sytuacja na platformie została opanowana, choć niesmak pozostał.

Sprawcę zamieszania natychmiast pochwyciła Żandarmeria Narodowa. Łajdaka zawleczono czym prędzej w zaułek za orkiestrą, która

zagrała zaraz żwawszą polkę, by ukryć odgłosy wymierzonej doraźnie sprawiedliwości. Jak się wkrótce okazało, pismak ów był w istocie pruskim agentem i zamierzał celowo zepsuć uroczystość, dając podwójny ładunek błyskowego proszku. Inni reporterzy, kierując się zawodowym honorem i przyzwoitością, zrelacjonowali ów incydent nader oględnie.

Za inwalidami postępowała delegacja Czerwonego Krzyża, nowo utworzonej organizacji humanitarnej, pod osobistym przewodnictwem jej założyciela Henri Dunanta. Sławnego filantropa i jego wolontariuszy, maszerujących pod szwajcarską flagą o zamienionych barwach narodowych, witano w Warszawie z umiarkowaną życzliwością, co jednak pozwoliło trochę odbudować zakłócony nastrój święta.

Następną grupę defilujących przyjęto już znacznie goręcej. Byli to litewscy powstańcy generała Sierakowskiego, przybyli wprost z pola walki, niektórzy ze świeżymi bandażami na głowach oraz rękami na temblakach. Zjawili się nie tylko, by wziąć udział w defiladzie, ale też odebrać dwie ofiarowane litewskim wojskom kartaczońce Gatlinga, które teraz właśnie toczyli ze sobą. Niestety, tylko nieliczni prasowi komentatorzy zapowiadający obecność Litwinów wyrażali przy tym nadzieję, że ten dar przybliży zwycięstwo powstania w drugim z krajów Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Kłopot polegał na tym, że twarchochy okazały się niejako przypisane do gładkich mazowieckich równin, najlepiej jeszcze głęboko zmrożonych. Polskie wozy bojowe nie mogły już przebyć bagien Narwi i Biebrzy, a tym bardziej błot Polesia, żeby przywieść wolność Litwie. Nawet działania zimą nie przynosiły rezultatu, gdyż buchające ogniem ciężkie wehikuły szybko topiły zmarzlinę pod sobą i bez nadziei zapadały się w błoto. To już nauczyli się wykorzystywać Moskale, którzy wznosili przed nacierającymi twarchochami zapory ze zwalonych drzew i wały ziemne, zmuszając wehikuły do jak najdłuższego przystawania, czemu towarzyszyło niebezpieczne rozmiękanie podłoża.

Dlatego niepowodzeniem skończyła się próba odbicia Białegostoku na przełomie lat 1863/64, nazywana bitwą nad Narwią. Polska ofensywa załamała się właśnie na zamrzniętych rozlewiskach tej rzeki. Zdobycie przyczółków na drugim brzegu okazało się niewykonalne, przynajmniej dla Modeli I. Największym z błędów, jakie popełniono, było opóźnienie rozpoczęcia produkcji Modeli II. Stracono czas i materiały, budując w świętokrzyskich manufakturach żelaznych cztery kolejne Modele I – „Mikołaja”, „Andrzeja”, „Fryderyka” i „Szymona”. Nie dość, że wieszczowie byli coraz bardziej naciągani, to jeszcze moc pędni i odporność pancerzy okazała się za mała, a sztywne tarany nie dość skuteczne do usuwania przeszkód wznoszonych przez Moskali. Nie pomogła modernizacja polegająca na zamontowaniu na tylnych ambonach sprowadzonych z Ameryki jednolufowych kartaczownic Agera, zwanych „młynkami do kawy”, które okazały się przestarzałe już w chwili zakupu. Szczęściem nie nabyto na nie pełnej licencji, gdyż zorientowano się w porę, że konkurencja w osobie doktora Gatlinga ma znacznie lepszy towar do zaoferowania.

Skutkiem tych nieporozumień na Białystok w grudniu 1863 roku wyruszyło aż siedem Modeli I i tylko trzy Modele II. Siły te, jak się okazało, były imponujące tylko z pozoru. Nad Narwią, a dokładniej mówiąc na jej kilkunastokilometrowym odcinku w rejonie Wizny, omal nie doszło do militarnej katastrofy. Moskale zabezpieczyli przejścia przez rzekę wałami i rowami, zmuszając twarochody do ich mozolnego rozgrzebywania i znoszenia, a przy tym zbyt długiego jeżdżenia tam i z powrotem po rozmarzających bagnach. Kiedy twarochody zaczynały grzęznąć, wróg ściągał ciężką artylerię i brał je w krzyżowy ogień, z powodzeniem powielając sukces odniesiony pod Cytadelą Warszawską. Polacy w ciągu tygodnia walk stracili spalone doszczętnie „Fryderyka”, „Mikołaja” oraz „Ignacego”, natomiast „Szymon” i „Jan” zostały unieruchomione. Poeci nie poradzili sobie, mówiąc krótko. Na domiar złego ruszyła rosyjska kontrofensywa liczebnie wielokrotnie przewyższająca wojska polskie. Kiedy w szarży na moskiewskie baterie stracono jeszcze „Zygmunta”, dowództwo bliskie było wydania rozkazu odwrotu, który miały osła-

niać Modele II. Generał Plater znalazła jednak dla nich lepsze zastosowanie, nakazując im rozstrzelać z kartaczownic nacierające kolumny rosyjskiej piechoty.

„Orsza”, „Smoleńsk” i „Kłuszyn” okazały się naprawdę godne swych imion. Doszło do monstrualnej masakry Moskali, która tak wstrząsnęła zwierzchnikami chrześcijaństwa. Kontrofensywę rosyjską zatrzymano i odrzucono, po czym zdobyto Wiznę, która wcześniej w zaciekłych walkach cztery razy przeszła z rąk do rąk, a następnie uchwycono przyczółki na drugim brzegu Biebrzy. Droga na Białystok zdawała się utorowana, ale wobec doznanych strat zrezygnowano z pierwotnego planu do czasu zbudowania większej liczby Modeli II. Miała to być kwestia następnej zimy, jednak pierwsza okazja przepadła bezpowrotnie. Ustalony na początku 1864 roku graniczny *status quo* pozostał niezmienny aż do dziś. Białostoczczyzna i Podlasie na północ od Bugu wciąż pozostawały w moskiewskich rękach.

Bitwę nad Narwią w sensie taktycznym można było uznać za polskie zwycięstwo, ale w skali strategicznej była to porażka. Na dodatek ujawnił się tu kres zdolności ofensywnych Królestwa. Nie zmienił tego fakt pojawienia się kolejnych jedenastu Modeli II. Niby była to siła ogromna, ale powtórnej wyprawy na Białystok nie podejmowano, wyraźnie koncentrując się na zwiększaniu sił obronnych. Wyjaśnieniem tego stanu rzeczy mogły być pogłoski o nowych rodzajach gwintowanych dział rosyjskich, strzelających pociskami stożkowymi. Być może wobec takiej broni Modele II też już stawały się przestarzałe. Bliższych szczegółów tej sprawy Edward nie znał.

Tylko jedno było w tym wszystkim pewne: Rosja o pokoju z Polską słyszeć nie chciała! Wszelkie próby mediacji podejmowane przez cesarza Napoleona i prezydenta Lincolna Petersburg pozostawiał bez odpowiedzi. Co więcej, carscy dyplomaci nie wypowiadali się o polskim powstaniu ani oficjalnie, ani nawet prywatnie – jak gdyby nic takiego w ogóle nie zaistniało. Wyśmiewano ich czasem, że reprezentują myślenie magiczne, wychodząc z założenia, że czego się nie nazwie, tego nie ma, ale nie da się ukryć, że wrażenie robiło to nie-



małe. Wobec świata dyskutującego gorąco o szansach sprawy polskiej Rosja zachowywała się jak niemy, ponury olbrzym. I z pewnością coś knuła.

Mógł to być choćby sojusz z Prusami. Tym bardziej prawdopodobny, że kanclerz Bismarck i jego monarcha mieli ostatnio powody do osobistej vendetty. Szło tu o coś znacznie więcej niż sprawa Szczerbca i karabinów Dreysego, bo o zranioną prywatną ambicję i dumę własną. Latem zeszłego roku Prusy ogłosiły, że zbudowały własny twarochód. W związku z tym przygotowano uroczysty pokaz z osobistym udziałem króla Wilhelma „Białobrodego”, kanclerza Bismarcka, generalicji i dziennikarzy zagranicznych.

Wiele wskazywało, że pruscy inżynierowie całą swoją wiedzę o procesie tenardyzacji czerpali z popularnych gazet. Skoro tam napisano „woda utleniona”, więc wzięli tę apteczną o stężeniu trzy procent. To było stanowczo za mało, więc niemiecki wehikuł włókł się ospale, wywołując jawne zniecierpliwienie jego królewsko-pruskiej mości. Zirytowany kanclerz Bismarck nakazał przyspieszyć, a w Prusach, jak wiadomo, rozkaz to rozkaz! Co zrobiono, można się tylko domyślać, bo sprawcy zginęli na miejscu. Zapewne jakiś nadgorliwy feldfelbel kazał lać do pędni czysty perhydrol o stężeniu trzydziestu pięciu, może nawet i czterdziestu procent. Prawidłowo, jak prywatnie szacował Edward, bowiem była to wiedza tajna, powinno być około dwudziestu.

Krótko mówiąc, po daniu takiej ostrogi pruski twarochód wybuchł jak wielka bomba, a podmuch zniósł trybunę z dygnitarzami. Paru generałów odniosło ciężkie rany, ale że złego diabli nie biorą, król i kanclerz uszli cało. No, prawie. Oprócz sińców i zadrapań, Wilhelm I stracił swoją sławną białą brodę wraz z lewym bokobrodem, które zostały opalone na podobieństwo kurczaka szykowanego do rosółu. Dawny złowrogi „Książę Kartaczy” stał się pociesznym „Królem Rosółowym”. Kanclerz Bismarck zwichnął rękę, a ponadto, co skwapliwie odnotowali dziennikarze angielscy, na jego spodniach pojawiła się niezbyt miło pachnąca plama. Po czymś takim

chyba tylko czwarty rozbiór Polski mógł dać satysfakcję Prusakom upokorzonym wobec całego świata.

Jednakże wystąpienie Prus przeciwko Królestwu oznaczało dla nich natychmiastową wojnę z Danią i Francją, może też z Saksonią, a na pewno powstanie w Wielkopolsce. Całe Poznańskie, podobnie jak Galicja, wrzało na wolnym ogniu i mogło wykipieć w każdej chwili. Jakkolwiek reakcja Austrii mogła z kolei sprowokować Węgrów i Włochów z królestwem Piemontu na czele. Stanowisko Anglii było tu zagadką, ale mimo to Wielka Europejska Wojna Ludów, przepowiedana przez wieszczka Adama, stawała się całkiem realna. Polska na tym zyska czy straci? Na dwoje babka wróżyła! W każdym razie Bismarck dyszał Polsce w kark jak wilkołak na łańcuchu, który w każdej chwili mógł się zerwać.

Edward rozmyślał nad tym w czasie, gdy po Litwinach między głównymi trybunami maszerowały poczty sztandarowe mniej sławnych jednostek wojskowych oraz miast Królestwa i rozmaitych organizacji narodowych, dla których udział w tej defiladzie miał znacznie większe znaczenie niżli dla tych, co mieli je oglądać. Był więc czas odpłynąć myślami, ochłonąć po dotychczasowych emocjach i nabrać ochoty na ukoronowanie całego korowodu, czyli prezentację Modelu III.

Ściślej mówiąc, nie był to sam Model III, ale jego kopia pomniejszona półtorakrotnie. Oryginał, na którym w Starachowicach zakuwano właśnie ostatnie nity, zmieściłby się na Krakowskim Przedmieściu właściwie na wcisk, bez miejsca dla publiczności, za to z katastrofalnymi konsekwencjami dla ścian budynków oraz ich fundamentów, a może nawet dla całej skarpy wiślanej w rejonie przejazdu.

Dwudziestokołowy kolos – ruchoma stalowa twierdza napędzana przez trzy sześciocyldrowe pędnie Łukasiewicza po dziewięćset koni mechanicznych każda – zaliczał się do kategorii krążowników lądowych. Miał dwa pokłady – górny bojowy i niższy maszynowy, a uzbrojony był sześć dział i dziewięć kartaczownic Gatlinga rozmiesz-

czonych w dziesięciu wieżach bojowych plus gniazdo ciężkiego, jedenastocalowego moździerza na dachu za wieżyczką dowodzenia.

Imienia własnego Model III jeszcze nie miał. W tej mierze trwał ogólnonarodowy konkurs ogłoszony we wszystkich zaborach. Definitywnego rozstrzygnięcia spodziewano się w najbliższych dniach. Jak na razie, według przewidywań najpoważniejszej prasy, największe szanse miały „Grunwald”, „Zawisza Czarny” i „Bolesław Chrobry” tudzież „Władysław IV”.

Zdaniem Edwarda wywoływanie sporów pamięci wokół zasług królów Polski, który z nich lepszy, a który gorszy, nie było rozwiązaniem politycznym ani stosownym. Z kolei Grunwald – znana tylko erudytom średniowieczna bitwa, bez znaczniejszych następstw, też nie budziła jego entuzjazmu. Za dobry uważał młody oficer natomiast pomysł, aby trzecia seria twardochodów nosiła imiona sławnych polskich rycerzy. On osobiście optował za Walgierzem Wdałym na początek.

Żadnego kłopotu z nazewnictwem nie miały natomiast pisma błahe – satyryczne i paszkwilowe – które już dawno temu ochrzciły Model III nader swojsko „Trąbą naszą” i wciąż prześcigały się w karykaturach przedstawiających cara Aleksandra II oraz jego ministrów doznających sercowych palpacji tudzież rozstroju nerwowego wskutek koncertu odegranego im przez „Trąbę naszą”. Przykładowo nader popularny był wizerunek Imperatora Wszechrusi wyskakującego w popłochu z łóżka i wdeptującego przy tym w nocnik. Mało wybredne, trzeba przyznać.

Mało też prawdopodobne, aby Model III dojechał aż do Petersburga. Był on przeszło dwukrotnie wolniejszy od Modeli II, na sprzyjającym terenie mógł osiągnąć najwyżej dziesięć kilometrów na godzinę. W praktyce poruszał się w tempie spacerującego po parku statecznego mieszczucha w średnim wieku. Typ uzbrojenia i opancerzenie Modelu III przeznaczały go zdecydowanie do walk obronnych. Na dodatek był on zbyt wielki, aby zmieścić się na moście Kierbedzia,

więc przeprowadzenie tego kolosa przez Wisłę było nie lada wyzwaniem, może nawet zadaniem zupełnie niewykonalnym. To zaś w ogóle stawiało pod wielkim znakiem zapytania możliwość jego użycia przeciwko Rosji. Czyżby więc szykowano Model III do wojny z Prusami? Albo z Austrią o Kraków? Czy tylko dla samego podniesienia morale narodu? A może do rozpaczliwej obrony linii Wisły i samej Warszawy? Ta ostatnia perspektywa była zdecydowanie tragiczna. W sumie, jakkolwiek na rzecz patrzyć, profesjonalna wiedza wojskowa zastosowana do oceny walorów militarnych Modelu III nie przynosiła wniosków zbyt optymistycznych.

Warszawska publiczność nie podzielała jednak trosk Edwarda. Ogólnie zachwycono się ogromem nowego twardochodu. Dzięki temu, że był to tylko model poruszany przez zaprzęgi konne, nie było huku, ognia ani cuchnących spalin, najświeższym dziełem narodowego geniuszu, a właściwie jego zapowiedzią można było się cieszyć bez dodatkowych nieprzyjemności.

Widzowie wprost oszaleli. Panny Radoszkowskie klaskały, skakały i piszczały jakby w jakimś amoku. Powagi nie zachowała nawet stająca pani Olimpia, tupiąc i wykrzykując co chwila: „Hajże na Moskale!”, aż Edwardowi zrobiło się głupio i wstyd własnej powściągliwości. Wszędzie dookoła wrzeszczano nieprzytomnie: „Na Kraków!” albo „Na Poznań!”. Niektórzy zdawali się już świętować zwycięski koniec wojny, jakby ów widok był tego gwarancją. Patriotyczna egzaltacja sięgnęła zenitu. Jakaś rozhisteryzowana kobieta wypadła z tłumu na ulicę, aby ucałować ogromne koło przypominające kształtem walec do ubijania dróg. I choć była to tylko obita blachą drewniana beczka, łatwo mogło dojść do groźnego wypadku. Na szczęście Żandarmeria Narodowa szybko przywołała wariatkę do porządku.

Przejście Modelu III miało zakończyć defiladę i przekształcić ją dalej w swobodny pochód ludności stolicy – kto chciał mógł iść za makietą albo podążyć na festyn do Ogrodu Saskiego, gdzie miano serwować darmowy poncz. Nastąpiła jednak kolejna niespodzianka. Miła i zatrważająca zarazem.

Oto bowiem niespodziewanie odnalazł się ksiądz generał Stanisław Brzóska idący na czele oddziału swoich zuchów, z którymi dokonywał regularnych wypadów za Bug, niosąc płomień powstania aż na Wołyń. Szli oni tuż za Modelem III.

Ksiądz generał maszerował z karabinem na ramieniu jak prosty strzelec. Kiedy jednak podszedł bliżej, okazało się, że w lufę swej broni zatknął krucyfiks. Cóż miała znaczyć ta demonstracja?

Entuzjazm widzów był tak wielki, że zdumienie i konsternacja nie zdołały go stłumić. Osobliwy gest głównego kapelana wojsk narodowych wzięto za dobrą monetę, rozległy się brawa. Lecz, jak zauważył Edward, ów widok na trybunie głównej wywołał poruszenie. Naczelnik Traugutt pochylił się i patrzył wyraźnie zdziwiony, jakby nie wierzył własnym oczom. Dziennikarze poniżej dyktatora palcami pokazywali swym fotografom ów krzyż na karabinie.

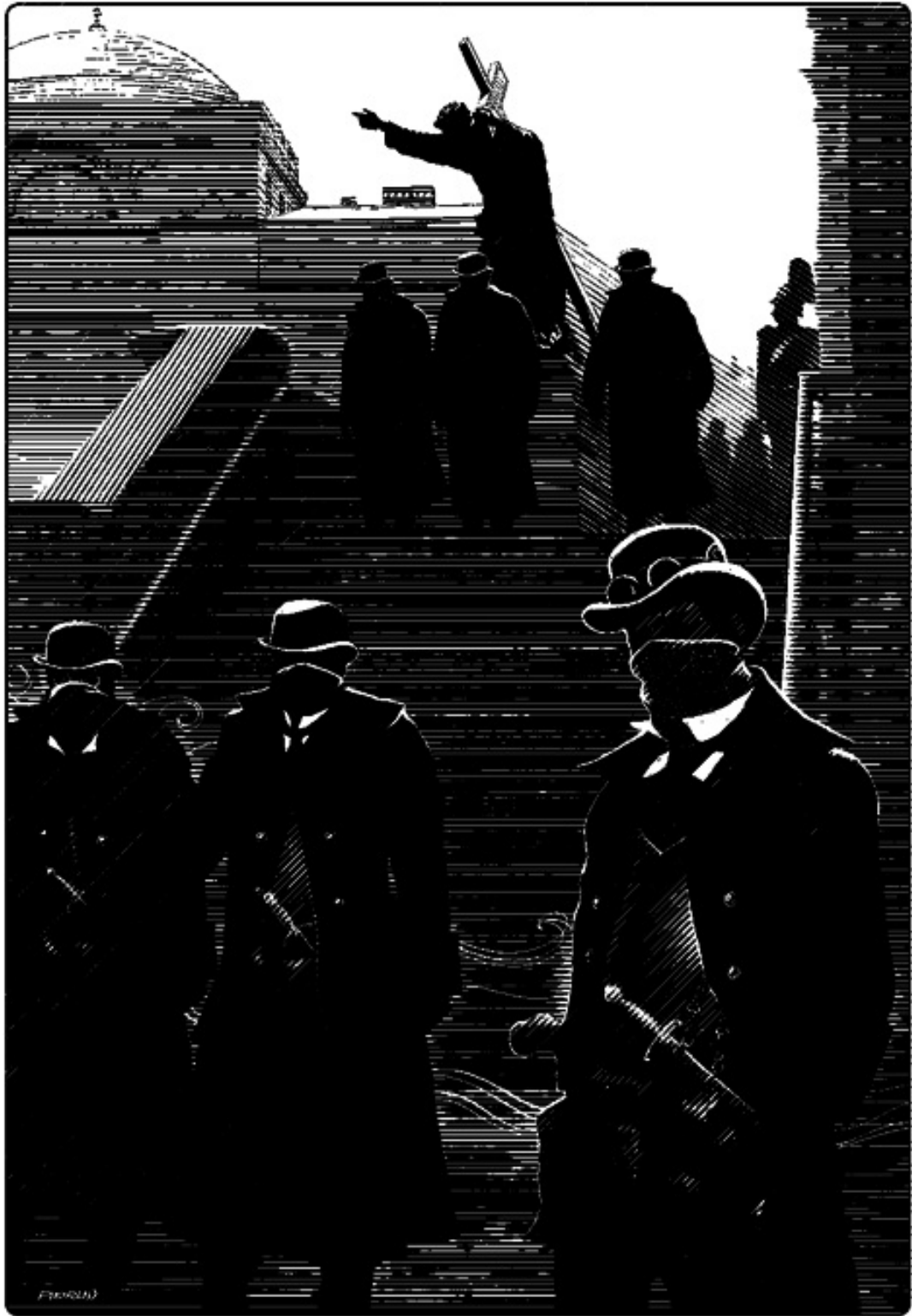
Cóż, wyglądało na to, że sławny ksiądz-patriota rzucił właśnie Rzymowi symboliczne wyzwanie. Gdyby Stanisław Brzóska był biskupem, można by to wręcz uznać za akt założycielski nowego narodowego Kościoła polskokatolickiego. Niewykluczone jednak, że w gronie polskich arcybiskupów znalazł się ktoś gotowy wynieść go do tej godności, wbrew wyraźnej woli papieża. Wszelkie bowiem dotychczasowe prośby o sakrę biskupią dla naczelnego kapelana wojsk Królestwa Pius IX załatwiał odmownie.

Jako zawodowy wojskowy podporucznik Starosławski w dywagacje teologiczne wdawać się nie zamierzał. Wyrzucił natychmiast całą sprawę z głowy i zwrócił się do towarzyszących mu pań z pytaniem, w czym jeszcze mógłby być im pomocny.

– Drogi panie Edwardzie – odpowiedziała zdyszana i cokolwiek zachrypnięta pani Olimpia. – Jeżeli nie ma pan innych rozkazów i nie wzgardzi sierocą kuchnią, to zapraszamy serdecznie na obiad. Mieszkamy całkiem niedaleko, na Mazowieckiej.

– Będę zaszczycony – zapewnił młody oficer.

– Judka i Pola wezmą pana w obroty! – zakomunikowała mała Wandzia, która odzyskała już rezon po swoim niefortunnym wypadku. – A pan którą z nich woli?



FRODO

## Adiutant do specjalnych poruczeń

Edward wrócił wieczorem na stację rozkojarzony, a właściwie to w stanie daleko idącego pomieszania umysłu. Jak łatwo zgadnąć powodem były panny Judyta i Apolonia, które najwyraźniej zgodnie zagięły na niego parol i żadna ani myślała ustąpić drugiej. Po trzech latach życia spędzonego w bez mała mniszej ascezie, takie powodzenie jawiło się wręcz klęską urodzaju. Pani Olimpia, serdecznie rozba-wiona całą sytuacją, mitygowała swe wychowanice tylko z lekka, nadmieniając mimochodem, że one już od maleńkości zwykły właśnie tak walczyć o zabawki... Ponadto starsza pani wcale nie kryła, że chciałaby je szybko wydać za mąż. Aż prosiło się zapytać, czy również za jednego mężczyznę? Jawnie ku temu szło.

Bestyjka Wandzia miała wielką uciechę, kreując się na samozwań-czego arbitra i głośno przyznając starszym siostrom punkty w zmaganiach o serce podporucznika, który w tej sytuacji płonął się najbardziej z całego towarzystwa. Co tu dużo gadać, w tym domu zdecydowanie zabrakło surowej ojcowskiej ręki, za wiele zaś było współczucia i pobłażania okazywanego na każdym kroku córkom świętej pamięci bohatera narodowego.

Oczywiście Edward robił wszystko, by zachowywać się jak należy, ale myślenie, która z panien Radoszkowskich podoba mu się bardziej, zaprowadziło go wprost na granicę absolutnego wariactwa. No więc obie! Wybrać było nie sposób, przynajmniej na tym etapie znajomości.

Na koniec wieczoru rywalizacja stanęła na pięć do siedmiu dla panny Apolonii, ale po Judycie wyraźnie widać było, że bardzo chce się odegrać. Bogu dzięki za konwenanse stanowiące, iż nie wypada przedłużać pierwszej wizyty. Za ich sprawą świeżo promowany oficer mógł zrejterować z placu boju, zachowując twarz.

Wtem, kiedy tak szedł, obracając w myślach walory urody i cha-



rakteru obu kandydatek na panią podporucznikową Starosławską, od tyłu, poniżej krzyża trafiła go piguła śniegu, zdecydowanie przypominając o kolorze jego mundurowych spodni, stanowczo niemodnym w Warszawie, oraz że świąteczna taryfa ulgowa dla paryskich żabojadów wraz z ich odzieżowymi fanaberiami właśnie się skończyła. Lepiej było wracać dorożką, ale Edward chciał się przejść i ochłonać. Zły pomysł!

Ponieważ oficerowi nie wypadało uganiać się za bezczelnymi ulicznikami, podporucznik zdecydowanie przyspieszył kroku, co w jego obecnym stanie ducha jawiło się bez mała ucieczką z placu boju i jeszcze bardziej pogłębiło dręczącą go rozterkę.

Na szczęście kamienica przy Szczygłej była już blisko, więc honor munduru ucierpiał jeszcze tylko od dwóch śnieżnych kul. W sukurs napastowanemu elewowi Saint-Cyr pospieszył dozorca uzbrojony w szufłę do czyszczenia chodnika, a Edward korzystając z tej osłony, czym prędzej skoczył do bramy i wbiegł na schody.

Drzwi do mieszkania zastał otwarte, gospodyni nie było na jej zwykłym miejscu przy oknie od podwórza, a w przedpokoju paliła się świeca ustawiona dokładnie naprzeciwko wejścia do jego pokoju.

Wchodząc do siebie, Edward musiałby stanąć pomiędzy źródłem światła a drzwiami, w które wprawiono matowe szybki...

Wyuczone odruchy zadziałały bez zarzutu i podporucznik stanął jak wryty, zanim zdołał świadomie skojarzyć powyższe fakty. Zwłaszcza ten, że ktoś ukryty z pistoletem w ciemnym pokoju, widząc cień na drzwiach, miałby cel jak na dłoni.

Młody oficer momentalnie wytrzeźwiał z zadurzenia i jasno ocenił sytuację. Po pierwsze, nie miał przy sobie broni palnej, tylko paradną szablę, zupełnie nieprzydatną w tych okolicznościach. Jego hiszpański rewolwer, prezent pożegnalny od francuskich kolegów, leżał w pokoju w walizce. Nie pasował do galowego munduru.

Cóż więc robić? Przycząić się z wniesioną szablą w przedpokoju i

czekać, aż znudzony intruz sam wyjdzie pod ostrze? A może wybiec z powrotem na ulicę i zawezwać patrol Żandarmerii Narodowej, których dziś krążyło po ulicach więcej niż zwykle. Wszakże wtedy, powróciwszy z eskortą, na pewno już nikogo by w swoim pokoju nie zastał i wyszedłby na durnia bojącego się własnego cienia. Może zatem zapukać do któregoś z sąsiadów i poprosić o broń? Ale które mieszkanie wybrać?

Edward zrobił krok do tyłu.

– Niech się pan, poruczniku, tak nie skrada! – zawołał męski głos z głębi ciemnego pokoju. – Już dobrze. Winszuję, nie wyszedł mi pan na strzał jak ostatni głupiec. Zaliczył pan próbę bystrości pomyślnie, proszę wejść!

– Kto mówi?! – Edward nie zamierzał naiwnie wykonać polecenia.

W pokoju trzasnęła zapalka i po chwili zamigotała świeca, potem jeszcze jedna.

– Zapraszam, na razie nie ma żadnego powodu, aby pana zabijać, poruczniku Starosławski – powiedział głos.

Gospodyni wyszła teraz ze swojej sypialni i to przekonało Edwarda, że faktycznie nie ma do czynienia z nasłanym mordercą i zrezygnował z kontynuowania dyskusji.

– Jestem podporucznikiem – oznajmił, stając w progu.

– Pańskie informacje są nieściste, panie poruczniku – odrzekł intruz, kładąc nacisk na ostatnie słowo. Był to zwalisty mężczyzna około lat pięćdziesięciu. Ubrany był po cywilnemu, ale na szyi miał zrolowaną apaszkę sztyletnika.

„Awans! Tak szybko? Dlaczego? Za co?”, przemknęło błyskawicznie przez głowę młodzieńca.

Gość wyciągnął dłoń.

– Major Jasiński – przedstawił się. – Sekcja specjalna Straży Bezpieczeństwa.

Zatem nie był to zwykły sztyletnik, ale sam *crème de la crème* – ochrona osobista samego naczelnika Traugutta, inżyniera Łukasiewicza i ministrów rządu! Wypadało aż westchnąć z podziwu, że ktoś taki raczył zaszczyścić te skromne progi.

– Czy będę panu podlegać, panie majorze? – zapytał ostrożnie Edward.

– Mnie?! – Jasiński okazał wyniosłe rozbawienie. – To wy, poruczniku, jeszcze się nie domyślacie?

– Nie...

– No to czego oni was w tej Francji, w tym całym Saint-Cyr wyuczyli? Dziewczęta bałamucić? – Starszy oficer wyzywająco założył ręce na piersiach. – Macie już wszystkie przesłanki, zatem wy mi to powiedzcie, słucham! Okażcie no, poruczniku, że jesteście godni tego awansu.

Edward poczuł, że znów się czerwieni, ale opanował emocje i zaczął głośne rozumowanie.

– Za pierwszą przesłankę należy uznać fakt, że otrzymałem bilet uprawniający mnie do wstępu na trybunę dla pierwszorzędnej publiczności – oznajmił.

– Powiedzmy... – uśmiechnął się z przekąsem major Jasiński.

– Nasuwa się przypuszczenie, że chciano mnie komuś pokazać – kontynuował Edward, żalując, że wcześniej nie odrobił tej lekcji z logiki. Świąteczny nastrój nijak go nie usprawiedliwiał. – Gdyby jednak chodziło tu o kogoś z białej trybuny, zaproszono by mnie raczej do któregoś ze stołecznych salonów, gdzie łatwiej byłoby nawiązać znajomość – zakończył pierwszą implikację.

– Słusznie – skwitował gość.

– A zatem miał mnie zobaczyć ktoś z trybuny głównej, znajdującej się naprzeciwko – wnioskował Edward. – Tak się składa, że pan naczelnik mnie zna, gdyż z racji dalekiego pokrewieństwa bywał

kilka razy w majątku moich rodziców.

– Wiemy – rzekł major.

– Gdyby zaś chodziło o któregoś z ministrów lub panów generałów, wystarczyłoby zwykłe wezwanie do jego gabinetu. To samo należy mniemać względem pana inżyniera Łukasiewicza i profesora Maxwella. Równocześnie uwzględnić wypada fakt, że nostryfikować mój francuski stopień wojskowy w armii polskiej i zarazem podnieść go o jedną rangę mógł tylko sam naczelnik państwa. Z trzeciej strony, poza dotąd wymienionymi, jedynymi obecnymi na trybunie honorowej byli panowie sztyletnicy, zważywszy okoliczności, zapewne wszyscy pozostający w służbie...

– Dokładnie cała sekcja – zgodził się Jasiński.

– Panowie sztyletnicy mieli zatem zobaczyć mnie – podsumował Edward, czując, że blednie z wrażenia. – I to na rozkaz pana naczelnika, który raczył mnie awansować, a zatem... – przełknął ślinę – Straż Bezpieczeństwa będzie widywać mnie także i w przyszłości.

– Nader często, poruczniku. Dlatego skorzystaliśmy z dzisiejszej defilady, aby wszyscy nasi ludzie dobrze się wam przyjrzeni i zapamiętali waszą twarz, nie odrywając się przy tym od służby. W innych okolicznościach zorganizowanie takiej prezentacji byłoby dość kłopotliwe.

– Więc mam pełnić służbę przy samym panu naczelniku... – Młodemu oficerowi zaparło dech.

– No, widzę, że jednak czegoś was w tej Francji nauczyli! Będziecie osobistym adiutantem naczelnika państwa, do specjalnych poruczeń. Jutro o dziewiątej macie stawić się na zamku przed obliczem jego ekscelencji. Przepustek żadnych już nie potrzebujecie. – Sztyletnik ruszył do wyjścia. – To wszystko.

– A mój polski mundur?

Major bez słowa wskazał za plecy Edwarda, na łóżko, w którego

nogach leżała wielka paczka owinięta w szary papier.

– Dziękuję... – szepnął młody oficer.

Sztyletnik skinął głową i wyszedł bez słowa.

Ręce świeżo awansowanego oficera drżały, gdy odpakowywał przesyłkę. Czarny pas... czerwona kurtka... białe spodnie... płaskie kepi z granatowo-amarantowym otokiem... Słowem mundur paradny porucznika żuawów śmierci!

Edward zamarł w oszołomieniu, z gardłem ściśniętym ze wzruszenia. O takim zaszczycie nie śmiał nawet marzyć! Uhonorowano go na wyrost, nie przeszedł żadnych ceremonii... Wszak nawet jeszcze nie stawał w boju! Jakże więc mógł uważać się za prawdziwego żuawa? To był zatem honorowy kredyt, wielki dług i zobowiązanie, które należało koniecznie i jak najszybciej spłacić!

Jedyną stosowną walutą była własna krew.

Porucznik Starosławski odetchnął bardzo głęboko. Wszelkie amory momentalnie wywietrzały mu z głowy. Był teraz żuawem śmierci!

Aczkolwiek... Tu włączyła się część umysłu odpowiedzialna za chłodne, kartezyjskie rozumowanie. Nie przesadzajmy może z tą egzaltacją w odniesieniu do oddziału, który w swej debiutanckiej bitwie pod Miechowem stracił dziewięciu na dziesięciu żołnierzy i ostatecznie nie osiągnął zamierzonego celu. Potrzebna była poprawka miesiąc później, ale już bez udziału żuawów, których oddział odtwarzano, szkoląc nowych ochotników. Tych zaś nie brakowało, garnęli się licznie, zwabieni heroiczną legendą. Owszem, arcy-polskie to było, jak najbardziej godne narodowej apoteozy, ale we Francji wpojono Edwardowi, że żołnierz na polu bitwy ma parę innych spraw do załatwienia niż umieranie.

„Polec z honorem można przy okazji, ale nie przede wszystkim i nie tak od razu, ledwie co ujrzawszy nieprzyjaciela – podsumował pierwszą bitwę o Miechów colonel Lhomond, wykładowca taktyki w

Saint-Cyr. – Najpierw przyjemna służba, *monsieur* Starosławski, potem wyższa przyjemność! Zwycięstwo, tak, tak, wyznajmy to szczerze, jest rzeczą przyjemną i przemijającą, trzeba je co rusz odnosić od nowa. To zupełnie nie to, co nieśmiertelna żołnierska chwała, trywialne zwycięstwo równać się z nią nie może, ale właśnie o sukces na placu boju trzeba zabiegać w pierwszej, drugiej, a nawet i trzeciej kolejności”.

Francuscy koledzy tarzali się w ławkach ze śmiechu, a spłoszonym Edward w obronie polskiego honoru chciał ich wszystkich wyzwać na pojedynki. Potem jednak uznał tę rację. Wszelako na dziś miał serdecznie dość wszelkich rozterek, więc położył się spać.

Wstał wcześniej i z największą starannością przygotował się do pierwszego dnia służby.

Przy śniadaniu gospodyni zachowywała się inaczej niż zwykle. Uśmiechnęła się parę razy, a nawet spytała, czy kawa mu smakuje. Wcześniej sama posłała dozorcę po poranne gazety, które czekały już na stole. We wszystkich, obowiązkowo na pierwszej stronie, umieszczono zdjęcie trybuny honorowej z naczelnikiem Trauguttem oraz paradujące poniżej twardochody. Tylko ujęcia były inne, na jednym, w samym rogu znalazł się Edward z Wandzią. Piękna pamiątka!

Kiedy porucznik zbierał się do wyjścia, gospodyni niespodziewanie poprosiła go, by chwilę zaczekał.

– Ja nie myślałam... – zaczęła wyraźnie stropiona. – Ot, wydało mi się, że taki francuski... ja przepraszam, fircyk. A tu się pokazuje, że adiutant samego pana Naczelnika. Nie myślałabym... – powtórzyła.

– Nic nie szkodzi, proszę pani.

Kobieta podeszła do kredensu i wyjęła żelazny krzyżyk na łańcuszku.

– To pamiątka po moim synu poległym nad Narwią... – zawiesiła go na szyi Edwarda.

Młody porucznik pochylił się i pocałował ją w rękę, ona go w czoło.

– Z Bogiem, panie oficerze.

Tym razem oddał jej honory, jak należy.

Na ulicy spotkał wczorajszych urwisów, ale na widok polskiego munduru salutowali mu z całą powagą. Pieszko dotarł do Krakowskiego Przedmieścia, tam złapał dorożkę i kazał się wieść na Zamek Królewski.

Po wczorajszej defiladzie pozostały już tylko wojskowe osłony chodników, przymarzniete do drewnianych stelaży. Pewnie czekały na odwilż, bo inaczej nie dałoby się ich zrolować. Trybuna honorowa znikła w ciągu nocy, białą właśnie teraz rozbierano. Tak przemija chwała tego świata.

Przy kolumnie Zygmunta minęli się z jadącą z naprzeciwka, stukającą energicznie kareta motorową. Rzadki był to widok w Królestwie. Cywilnych pojazdów naftowych prawie się nie wytwarzało, było ich pół tuzina, może z osiem. Paliwa, metali oraz czasu pracy manufaktur potrzebowało przede wszystkim wojsko, a przeznaczanie tych dóbr na rzecz zbytku przyjmowano bardzo źle, wręcz jako zdradę. Z pobudek patriotycznych, od samego początku powstania powszechnie zrezygnowano z używania lamp naftowych, by oszczędzać naftę dla twardochodów. Karety motorowe, czyli „lekkochody”, służyły więc przede wszystkim najwyższym władzom Królestwa oraz kurierom specjalnym, gdyż na równej drodze przekraczały nawet pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, dorównując kolejom szynowym, ale bijąc je wszędobylskością, natomiast żywe konie przewyższały wytrzymałością.

Podobno niektórzy polscy arystokraci skrycie zamawiali sobie te pojazdy w zachodnich fabrykach, ale nawet za granicą nie chwalili się swoimi lekkochodami poza obszarem własnych posiadłości. Inaczej natychmiast padłoby pytanie, dlaczego nie przekazali tego wehikułu do dyspozycji Rządu Narodowego? Choćby któremuś z polskich

ambasadorów dla podniesienia prestiżu jego misji. I cóż ma znaczyć taki brak miłości ojczyzny? Mógł to być pierwszy krok do niezapowiedzianej wizyty sztyletników... Jediną osobą, której uchodziło używanie karety motorowej do celów prywatnych, była Emilia Plater, ale w jej przypadku doprawdy trudno było odróżnić sprawy osobiste od publicznych.

Lekkochody miały pięć kół, z czego trzy pierwsze skątne, połączone razem w równoboczny trójkąt, co zapewniało większą stabilność pojazdu i pozwalało mu jechać dalej mimo złamania na wybojach jednej, a nawet dwóch osi, co na polskich drogach zdarzało się nader często. Dwa tylne koła były pchające, połączone z miniaturową pędnią Łukasiewicza, zastępującą dziesięć koni. Z przodu znajdowała się budka sternika, za nią właściwa skrzynia karocy z miejscami dla sześciu osób. Z tyłu była kolejna kabina dla strażnika, mechanika i maszynisty, siedzących plecami do kierunku jazdy i nadzorujących drogę za kareta, oraz umieszczony przed nimi kocioł naftowy pędni i jej system tenardyzacji. Spaliny uchodziły w górę przez komin umieszczony na samym końcu pojazdu.

Na ile Edward zdołał się zorientować, w środku mijającego go pojazdu siedział jakiś generał, któremu towarzyszyła dama. Nie zdążył rozpoznać twarzy.

Po chwili wszedł na zamek. Funkcjonariusze Straży Bezpieczeństwa przywitali go jak starego znajomego i skierowali od razu do gabinetu naczelnika państwa. Kiedy Edward wszedł do przedpokoju, od dyktatora wychodził właśnie ksiądz generał Brzóska. Ewidentnie rozmowa obu osobistości nie była zbyt przyjacielska. Kapelan był wzburzony, omal nie trzasnął za sobą drzwiami.

– Papieże też wojują! – krzyknął na odchodne i oddalił się szybko, w przelocie kładąc krzyżyk na młodego oficera.

Edward nie zdążył się odezwać.

– Porucznik Starosławski melduje się na rozkaz! – zaanonsował jego przybycie umundurowany sekretarz w stopniu podpułkownika.



– Prosić! – dobiegło z gabinetu.

Edward wstrzymując oddech, sprężyste wmaszerował do środka, strzelił obcasami, stając na baczność, i zasalutował. Skoro go już zapowiedziano, postanowił się nie powtarzać ani nie odzywać niepytany.

Romuald Traugutt w czarnym cywilnym surducie stał przy oknie oparty oburącz o parapet. Wyraźnie starał się odzyskać spokój po scysji z legendarnym duszpasterzem. Edward domyślił się, o co poszło. W prasowych sprawozdaniach z wczorajszej defilady, pod wzmianką o obecności oddziału księdza Brzóska widniała charakterystyczna biała luka obejmująca kilka wersów – ślad po ingerencji cenzury. Znikła wiadomość o krzyżu w lufie.

– I cóż, młody kuzynie? – rzucił przez ramię dyktator, nie oglądając się.

Porucznik milczał wyprężony jak struna. Nie wypadało wszak bez rozkazu odstępować od wojskowej etykiety.

– Spocznij, spocznij... – Naczelnik państwa odwrócił się wreszcie od okna. – Miło cię znowu widzieć, drogi chłopcze.

– Cieszę się, że zastałem waszą ekscelencję w dobrym zdrowiu. – Zdecydowanie nie wypadało się zwracać do dyktatora per „kuzynie”.

Traugutt nie robił takich ceregieli, podszedł, uściskał Edwarda i serdecznie ucałował go w oba policzki.

– Jak miewają się rodzice?

– Mam nadzieję, że dobrze, panie naczelniku. Z Paryża przyjechałem prosto do Warszawy, nie zdążyłem zajechać do Szczawina, a listy jeszcze nie dotarły na mój nowy adres.

– Dobrze, chłopcze, zgaduję, że chciałbyś mnie teraz o coś spytać... – Traugutt zachęcająco zawiesił głos.

Edward postanowił wykazać spryt. Nie warto było pytać o charakter jego przyszłej służby, bo to mu i tak powiedzą. Skoro jednak

dostał prawo zadania pytania samemu naczelnikowi państwa, nie należało zmarnować takiej okazji. I zagadnąć o to, o czym nie śmiały pisać gazety.

– Za pozwoleniem, waszej ekscelencji, chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nie wzięliśmy Białegostoku?

– Od pieca zaczął! – parsknął z cicha rozbawiony Traugutt i natychmiast spowaźniał. – Dobrze pytanie, chłopcze. Prawda jest taka, co tu kryć, że przespaliśmy gruszki w popiele. Zeszłej zimy, kiedy szykowaliśmy się do drugiej bitwy nad Narwią, przyszła wieść o nowych rosyjskich działach gwintowanych, strzelających pociskami świdrującymi. Naszym ludziom udało się wykraść jedną taką armatę i parę skrzyń amunicji. Jej próby dały wyniki nader niepokojące. Przednie pancerze naszych twardochodów zniosły ostrzał dobrze, ale boczne i tylne okazały się za słabe. Wytrzymały tylko trafienia pod kątem mniejszym od trzydziestu stopni.

– Wiedząc o tym, można się strzec od ognia z flanki – zauważył Edward.

– Można, chłopcze, ale w bitwie różnie bywa. Mieliśmy wtedy tylko osiem Modeli II, a w tej sytuacji należało się poważnie liczyć z tym, że w walkach o Białystok stracimy nawet połowę z nich. Uznaliśmy więc, że skórka niewarta wyprawki. To był błąd, przyznaję. Nie doceniliśmy znaczenia strategicznego białostoczczyzny i nieumyślnie pozostawiliśmy uchyloną bramę Królestwa.

– Skoro tą bramą jest obszar w miarę twardego gruntu pomiędzy bagnami Polesia a błotami Biebrzy... – domyślił się Edward i urwał, blednąc z wrażenia. Zwykle wojska rosyjskie mogły wejść do Polski z niemal każdego kierunku, ale przez białostoczczyznę tylko... – Czy to znaczy, że Moskale mają już własne twardochody?! – zawołał zdumiony.

– Wiele na to wskazuje, mój chłopcze – westchnął Traugutt – jednak na razie nic bliższego o nich nie wiemy. Mamy na to tylko pośrednie, acz groźne poszlaki...

– Cóż nam wiadomo, ekscelencjo? – zapytał przejęty porucznik.

Traugutt w milczeniu wrócił za swoje biurko i dłuższą chwilę przeglądał leżące na nim papiery. Wreszcie wy dostał spod nich mapę sztabową i gestem przywołał Edwarda.

– Na początek – zaczął naczelnik państwa – Moskale poszerzyli linię kolejową z Petersburga do Białegostoku. Jesienią 1864 roku zaczęli kłaść trzeci tor, równoległy do dwu dotychczasowych. Wkrótce zaczęły po nich jeździć specjalne platformy z trzema rzędami i pięcioma szeregami kół. W Białymstoku wybudowano dla nich osobną rampę kolejową otoczoną szczelnym parkanem wysokości dwupiętrowej kamienicy. Ponad tę osłonę wystają dźwigi. Co się tam dokładnie dzieje, nie wiemy, żaden z naszych zwiadowców nie zdołał powrócić z wieściami, ale ostatnio wciąż dobiega stamtąd wielki stukot młotów, zarówno ręcznych, jak i parowych.

– Zatem na tych trójrzędowych platformach przyjeżdżają do Białegostoku części rosyjskich twardochodów, a za owym płotem Moskale je montują? – zgadł Edward.

– Bardzo możebne – zgodził się Traugutt. – Ale skoro to prawda, należy bardzo się obawiać tego, co stamtąd wyjedzie. Dla transportu swojego gotowego twardochodu, czy cokolwiek to będzie, Moskale wyprowadzili z Białegostoku specjalną drogę żelazną złożoną już z czterech równoległych szyn, rozmieszczonych zgodnie z normami Imperium, czyli o piędź szerzej niż stosuje reszta Europy. Niedawno widziano na tych torach czterdziestokołową platformę, wielkości połowy rynku Starej Warszawy, pchaną przez dwa zwykłe parowozy. Była ona załadowana na próbę kamieniami i to taką ich górą, że to, co miałyby na niej w przyszłości podróżować, przechodzi wszelką ludzką imaginację. Moskale sprawdzali w ten sposób nowy most na Narwi.

– Dokąd zmierza ten poczwórny tor, panie naczelniku?

– Przez Bielsk Podlaski, w kierunku Bugu. Stacji ostatecznej jeszcze nie znamy. Jak dotąd Moskale, kładąc szyny, minęli Ciechano-

wiec. Bardzo się spieszą i jeszcze bardziej pilnują. Ani nasze podjazdy, ani partyzanci księdza Brzóska nie zdołali im dotąd przeszkodzić.

– A gdyby, panie naczelniku... – zapalił się Edward, wpatrując się w mapę. – Gdybyśmy wszystkimi naszymi siłami uderzyli z Wizny i przecięli im tę drogę żelazną?

– Rozważaliśmy to, chłopcze – Traugutt uśmiechnął się lekko – ale ten projekt upadł wobec braku pewnych wiadomości, z czym właściwie mamy do czynienia. Może być, że Moskale za tym wielkim płotem w Białymstoku tylko udają, że szykują jakieś wojenne maszyny. Może chcą nas zmylić i znów nakłonić do wejścia na narwiańskie błota. Postanowiliśmy więc poczekać, aż wszystko okaże się jawnym, a do tej pory szykować się do obrony.

– I na to jest nam potrzebny Model III, panie naczelniku? Żeby powstrzymać monstrum, które budują Moskale?

– Do tej pory, panie poruczniku Starosławski, zamierzaliśmy mieć już trzy Modele III, a tymczasem jeden jeszcze nie jest gotowy. Nasze opóźnienie ciągle rośnie, a sytuacja strategiczna odwraca się na niekorzyść Królestwa.

– Dlaczego, panie naczelniku?

– Cesarz Franciszek Józef, dzięki naszym krzykaczom domagającym się Krakowa, pojął dobrze, że on będzie następny, jeśli wygramy z Rosją. Robi zatem wszystko, abyśmy nie wygrali.

– Cóż na to Napoleon III?

– Nic, bo formalnie nie ma powodów do podjęcia oficjalnych kroków. Austriacki cesarz niby postępuje po naszej myśli, godzi się i zezwala na wszystko, czego francuski ambasador sobie życzy. Tylko że zaraz za rogatkami Wiednia, na prowincji mnożą się zbiegi okoliczności, przypadki na drogach i kolei, zapadają się mosty, mylą lub gubią adresy dostaw, a głupi urzędnicy robią wciąż jakieś niedorzeczne trudności. Stało się więc na tym, że czternaście Modeli II i

jeden Model III to wszystko, co możemy dziś mieć, i trudno będzie nam uzupełnić straty, gdyby do nich doszło. Manufaktury świętokrzyskie i dąbrowskie wyczerpały całe zapasy żelaza, a nowe dostawy idą coraz wolniej. Być może popełniamy kolejny gruby błąd strategiczny, ale postanowiliśmy jednak poczekać i nie porywać się na oślepa, bez rezerw, na całą potęgę Rosji. Jeśliby o losie tej wojny miały rozstrzygać moce wytwórcze przemysłu ciężkiego, to już ją przegraliśmy. Nasz skrawek wolnej Polski wobec imperium carów nie jest nawet Dawidem przy Goliacie, lecz liliputem naprzeciw mamuta...

– Mamuty wyginęły, panie naczelniku, bo miały zbyt małe mózgi wobec masy całego cielska! – zawołał Edward z entuzjazmem. – Postawmy zatem po raz drugi nasz narodowy geniusz przeciw moskiewskiej przemocy! – powtórzył z przekonaniem popularne hasło.

– To właśnie, mój chłopcze, będzie poniekąd twoje zadanie – rzekł Traugutt.

– Jak mam to rozumieć, panie naczelniku?

– Warszawa pełna jest ostatnio innowatorów przybyłych z całego świata. Każdy z nich serdecznie pragnie dopomóc Polsce, a przy okazji sam zyskać sławę i majątek. Wszyscy co do jednego mają do zaproponowania genialny wynalazek, ba, zwykle po kilka rewolucyjnych wynalazków, które zaaplikowane w armii pozwolą niezawodnie rozstrzygnąć wojnę z Moskalami po naszej myśli. Nie muszę też chyba dodawać, że większość tych oryginałów uważa się za inżyniera Łukasiewicza i profesora Maxwella w jednej osobie. Ja nie mam czasu rozważać wszystkich przedkładanych mi projektów, dlatego postanowiłem powołać osobistego adiutanta, który się tym zajmie. Najlepiej młodego, zdolnego, po dobrych szkołach, z otwartą głową...

– Mnie? – Mina Edwarda mocno się wydłużyła. – Ależ, panie naczelniku! Kiedy ojczyzna w potrzebie, ja mam się zagrzebywać w papierach i służyć za nadzorcę szpitala wariatów?! Na to tyle lat...

– Uspokój się, mój chłopcze! – zmitygował go Traugutt. – Stawiam przed tobą bynajmniej nie głupie zadanie. To prawda, znaczna częśći tych ludzi, może nawet połowa, kwalifikuje się do przebrania w kaftany bezpieczeństwa, lecz daleko nie wszyscy. Z pewnością są wśród nich także szpiegzy, którzy dając nam coś na zachętę, liczą, że w zamian dopuścimy ich do naszych tajemnic. Szczegóły procesu tenardyzacji oraz zasada działania telegrafu bez drutu to wiedza, za którą obce rządy naprawdę wiele by dały.

– Rozumiem już, panie naczelniku. – Porucznik ochłonął. – Rozumiem i proszę o wybaczenie. Mam tropić szpiegów podających się za wynalazców i oddawać ich w ręce sztyletników, czy tak?

– Owszem. A ponadto nieuków odprawić z kwitkiem, wariatów skierować do szpitali bądź pod kuratelę rodziny, zaś pospolitych szarlatanów niezwłocznie wydalić z granic Królestwa. Macie jak najprędzej rozeznaczyć w tym całym tłumie petentów antyszambrujących w kancelariach Wydziału Wojny i posortować ich na wspomniane wyżej kategorie. Nie wykluczam, że znajdą się wśród nich uczciwi ludzie z naprawdę przydatnymi projektami, i te życzę sobie zobaczyć na moim biurku, z pominięciem zwykłej drogi służbowej. Jeśli znajdziecie coś dobrego i możliwego do aplikacji, chcę o tym wiedzieć jeszcze tego samego dnia. Macie w tej mierze moje całkowite zaufanie, poruczniku Starosławski.

– Dziękuję, panie naczelniku! – Edward znów stanął na baczność. – Przrzekam uczynić wszystko, aby okazać się godnym tego zaufania!

– Naprawdę dobrze by było... – Traugutt sposepniał – gdybyście znaleźli mi jeszcze kogoś na miarę Łukasiewicza i Maxwella. Bóg jeden wie, jak bardzo teraz trzeci taki geniusz by nam się przydał.

– Znajdę! – zapewnił słuźbiście Edward i pozwolił sobie na żart. – Skoro Bóg trójcę lubi, jak mawiają Moskale, na pewno zesłał nam tego trzeciego.

– Dobrze, chłopcze. – Dyktator poklepał go po ramieniu. – Jednak

się spiesz! Czuję, że czasu mamy naprawdę mało...

– Według rozkazu! – zasalutował porucznik, widząc, że to już koniec audiencji.

– Możecie odejść – zezwolił Traugutt, a następnie podążył do przedpokoju za Edwardem. – Proszę skierować porucznika Starosławskiego do jego biura – polecił swojemu sekretarzowi.

– Tak jest, panie naczelniku! – Podpułkownik poderwał się z miejsca. – Wszystko już przygotowane – zameldował i zwrócił się do Edwarda. – Wasza kareta czeka na zamkowym dziedzińcu.

– Zapraszam, panie hrabio. – Traugutt skierował wzrok w głąb poczekalni.

Z krzesła podniósł się generał Hauke-Bosak w polowym mundurze artylerii.

Edward zasalutował starszemu oficerowi i podążył na dziedziniec.

Tu spotkało go małe rozczarowanie, gdyż kareta okazała się najzwyczajniejsza, parokonna, właściwie kibitka, chyba nawet kiedyś nią była... Widać adiutanta do specjalnych poruczeń naczelnika państwa to jednak jeszcze była zbyt niska ranga jak na przydział lekkochodu. No, trudno! Edward wszedł do środka, nie pytając, dokąd go wiozą, by nie wyjść na niekompetentnego durnia w pierwszym dniu służby. Po rozmowie z dyktatorem postanowił dalej stosować metodę, od której tu zaczął, i nie pytać o rzeczy oczywiste, z natury własnej szybko ujawniające swą istotę.

Pojechali na plac Saski.

Stojący tu przez ponad dwie dekady pomnik generałów-lojalistów, zabitych pierwszego dnia powstania listopadowego, zniesiono w tydzień po zdobyciu Cytadeli. Jeszcze zdążył posłużyć jako szubienica, na której zawiśli pojmani arcyzdrajcy i kaci ludu Warszawy, a wśród nich generał-policmajster Trepow odpowiedzialny za rozstrzelanie patriotycznych demonstracji. Aby zwiększyć wymowę sym-

bolu, stryczki wykonano z nahajek Kozaków i Czerkiesów, którymi ci zwykli chłostać tłumy na ulicach.

Nazajutrz po egzekucji obelisk z lanego żelaza, ważący sto siedemdziesiąt z górą ton, zwalono i w kawałach powieszono do świętokrzyskich hut celem przetopienia na twarochody. Ten sam los spotkał wykonane z brązu lwy i orły z podstawy tego fallusa, a ponadto znieawidzoną statwę Paskiewicza, zwaloną z cokołu od razu w pierwszym dniu walk o stolicę, jak również żeliwną kolumnę Monumienta Szturma Warszawy, sterczącą w miejscu przesławnej reduty Ordona, i do tego niezliczoną liczbę cerkiewnych dzwonów oraz innych pamiątek imperialno-bizantyjskiej pychy.

W pierwszych miesiącach insurekcji był to doprawdy ożywczy zastrzyk strategicznych surowców, których nie mogły dostarczyć w potrzebnych ilościach ubogie kopalnie Królestwa. Gazety paszkwiłowe ironizowały, że gdyby, nie daj Bóg, Moskale znów zwyciężyli, to przezornie następne znaki swej hegemonii w Polsce będą stawiać wyłącznie z *papier mâché*. Jedno z pism posunęło się nawet do wystosowaniu zuchwałego adresu otwartego do cara Aleksandra II, aby jego imperatorska mość raczył łaskawie przysłać do Warszawy jeszcze parę monumentów, najchętniej własnego ojca Mikołaja I oraz cara Piotra, wziętych z placów rosyjskiej stolicy. Takich bowiem, i tylko takich carów było Polakom potrzeba!

Obecnie na miejscu po pomniku lojalistów stała zwykła drewniana szubienica, a na niej chybotał się spaczony od deszczów i wyblakły od słońca portret margrabiego Wielopolskiego, zbiegłego do Petersburga. Dwóch uliczników właśnie na zawody rzucało w sfałtgowany obraz kulami śniegu, czemu przyglądał się pobłażliwie spacerujący opodal żandarm.

Nad pałacem Saskim, zajmowanym w całości przez Wydział Wojny, wznosiła się smukła, kratownicowa wieża induktora Maxwella, stanowiąca część systemu telegrafu bez drutu. Na dole przy środkowej kolumnadzie dymiły trzy lekkochody.



Departament Inżynierii Nowej, którego kierownictwo obejmował właśnie Edward, mieścił się w północnym skrzydle pałacu, na pierwszym piętrze. Były to dwa podrzędnej kategorii pokoiki z oknami wychodzącymi na Ogród Saski. Personel już czekał, a składał się z dwóch młodych, wesołkowatych kancelistów i siwobrodego, kostycznego referenta o manierach wyniosłego angielskiego kamerdynera. Na widok nowego szefa, który z powodzeniem mógłby być jego wnukiem, usztywnił się jeszcze bardziej. Był to typ żywca wzięty z dowcipu o starym słudze brytyjskiego lorda dostojnie anonsującym podczas powodzi przybycie Tamizy w progi domu.

– Pan Józef Lipski – przedstawił starca towarzyszący Edwardowi sztyletnik, który przyprowadził porucznika z portierni. – A to nasi młodzi geniusze nauk przyrodniczych, panowie fizykaliści Zygmunt Wróblewski i Karol Olszewski.

Obaj byli rówieśnikami Edwarda.

– Witam, panów! – Młody oficer przywitał się po kolei ze wszystkimi. Po akcencie zorientował się, że referent Lipski jest rodowitym warszawiakiem, natomiast Wróblewski i Olszewski pochodzili z zupełnie różnych dzielnic kraju. Pierwszy zaciągał z wileńska, drugi wysławiał się z intonacją charakterystyczną dla szlachty galicyjskiej, acz rodowitym lwowiakiem na pewno nie był.

– Skąd panowie się tutaj wzięli? – zagadnął porucznik.

– Kiedy rozeszła się wieść o twardochodach – odpowiedział Olszewski w imieniu swoim i kolegi – obaj wpadliśmy na tę samą myśl, że owe maszyny napotkają wielkie trudności podczas przekraczania rzek i moczarów, szczególnie w cieplejszych porach roku. Najlepiej byłoby takie miejsca zamrażać na czas przejazdu i niezależnie od siebie poszukaliśmy na to sposobu. Nasze projekty wysłaliśmy do Warszawy, a że przypadkiem okazały się one dalece ze sobą zgodne, więc zaproszono nas tutaj i skontaktowano. Od tej pory, już półtora roku pracujemy razem.

– Nad czym teraz? – spytał Edward.

Olszewski z Wróblewskim wymienili się znaczącymi spojrzeniami.

– Adiutantowi pana dyktatora chyba możemy powiedzieć... – rzekł Wróblewski. – Otóż zaprojektowaliśmy agregat mrozący, działający za sprawą skroplonego amoniaku.

– Czynniki roboczy ma minus trzydzieści pięć stopni Celsjusza – dodał Olszewski. – Procedura polega na tym, że w lodzie kujemy przeręble, a przez nie, aż do dna rzeki opuszczamy rury, w których cyrkuluje skroplony amoniak. W ciągu godziny, najdalej dwóch, powstaną lodowe kolumny podpierające wierzchnią taflę lodu, tak że może po niej przejechać twardochód. To znacznie wygodniejsze rozwiązanie od zatapiania barek z piaskiem, z paromiesięcznym wyprzedzeniem, zanim nadejdą chłody.

– Po takim lodowym moście zamierzamy przeprowadzić przez Wisłę Model III – oznajmił Wróblewski. – To będzie nasze *opus magnum*. Kiedy tylko ten nad-twardochód wyjedzie ze Starachowic, mamy dołączyć do jego eskorty razem z naszą aparaturą.

– Rozumiem... – pokiwał głową skonfundowany Edward, wspominając swoje wcześniejsze wątpliwości dotyczące uwięzienia Modelu III na lewym brzegu Wisły. Jak na dyrektora Departamentu Inżynierii Nowej wykazał haniebnie małą wiarę w możliwości polskiego geniuszu!

– Wiosną i latem – wtrącił Olszewski – Wisły na całej szerokości zamrozić wprawdzie już nie zdołamy, ale pomniejsze rzeczutki i bagniska jak najbardziej.

– Dziękuję, panowie. – Edward powściągnął swoją konsternację. – A teraz proszę mnie zaznajomić z sytuacją tu na miejscu.

– Służę najuprzejmiej, panu dyrektorowi! – odezwał się referent Lipski i z godnością szambelana ruszył w stronę najbliższej szafy.

Kiedy się odwrócił, okazało się, że na plecach ma przylepioną kartkę z napisem: „OKAZ POWAGI”.

Edward z kamienną twarzą udał, że tego nie widzi. Dołożył w tej mierze wszelkich starań, bo Wróblewski z Olszewskim przypatrywali mu się jak szczurowi laboratoryjnemu, pilnie badając jego reakcje.

Stary urzędnik otworzył pierwszą szafę. W całości, na wcisk, wypełniały ją pękate sznurowane teczki z projektami wynalazków wojskowych. To samo w drugiej, natomiast w trzeciej było jeszcze trochę miejsca, na jakąś piędź u góry...

– Stan na dziś: trzy tysiące czterysta osiemdziesiąt jeden innowacji – oznajmił z namaszczeniem pan Lipski. – Nie licząc tych popalonych... – Referent popatrzył z wyrzutem na młodszych kolegów.

– To były projekty oparte na różnych wersjach *perpetuum mobile* – wyjaśnił Wróblewski.

– Palimy nimi w piecu, bo przydziały drewna na nasz departament są nader skąpe – uzupełnił Olszewski, uśmiechając się łobuzersko. – Komuś w tutejszej intendenturze najwyraźniej wydaje się, że skoro my zajmujemy się zimnem, to pasjami lubimy też siedzieć w chłdzie. Zupełnie jakby o losie Bonapartego zapomnieli!

– Radzimy więc sobie, jak umiemy... – rzekł skromnie Wróblewski.

Dopiero teraz Edward zwrócił uwagę, że w tym pokoju jest wyraźnie cieplej niż w innych pomieszczeniach pałacu Saskiego, przez które wcześniej przechodził. I zauważył kolejną stertę teczek z projektami, wciśniętych bezładnie pomiędzy ścianę a kaflowy piec, niewątpliwie w charakterze paliwa...

– To jest jedyny sposób, w jaki z *perpetuum mobile* można uzyskać użyteczną energię – kontynuował Wróblewski. – Jednakowoż nasz drogi pan Lipski niechętnie daje temu wiare.

– Należało wykonać odpisy! – stwierdził stary referent, jawnie urażony do głębi swych profesjonalnych uczuć.

– Dobrze panowie zrobili – uciął dyskusję Edward, zadowolony,

że może popisać się brakiem przesądów w zakresie współczesnej termodynamiki.

– Do tej pory wszystkie przedłożone projekty zdołaliśmy skategoryzować – poinformował go Olszewski, przechodząc do rzeczy – i robimy to na bieżąco, ale ocenę ich użyteczności ograniczyliśmy tylko do zakresu naszych kompetencji, czyli fizyki i chemii.

– Panowie są magistrami? – upewnił się młody oficer.

– Owszem, panie poruczniku. Ukończyliśmy eksternistycznie warszawską Szkołę Główną, a teraz, po godzinach pracy, robimy doktortaty – powiedział Wróblewski.

– Obawiam się, że od dziś panowie nie będą mieli na to czasu. – Edward stanowczo wszedł w rolę szefa. – Ile godzin urzędowania dziennie panowie dotychczas odbywali?

– Dziesięć, panie poruczniku.

Edward nie odpowiedział od razu. Najpierw podszedł do pana Lipskiego i odczepił mu kartkę od pleców. Referent chrząknął zde gustowany i podziękował lekkim skinieniem głowy. Zdaje się, był już do takich figli przyzwyczajony. Młody oficer miał nadzieję, że żaden z tych dwu dowcipnisiów nie odważy się w podobny sposób targnąć na honor munduru...

– Niniejszym przedłużam godziny pracy do czternastu na dobę! – oznajmił porucznik Starosławski. – Przed końcem stycznia musimy nadrobić zaległości i rozpatrzyć wszystkie czekające tu projekty oraz nadać im dalszy bieg.

– Ma się rozumieć, panie dyrektorze! – zapewnił słuźbiście referent Lipski. Wyglądało na to, że była to pierwsza wypowiedź nowego zwierzchnika budząca prawdziwy szacunek biurowego weterana, który z niejednego kałamarza atrament przelewał.

Wróblewski z Olszewskim przyjęli decyzję bez szemrania i ruszyli do swoich biur.

Edward zdjął czapkę oraz mundurową kurtkę, po czym podwinął rękawy koszuli. Referent Lipski przyniósł mu do gabinetu pierwszy tuzin teczek z projektami, opatrzonymi już notatkami z komentarzem obu fizykalistów.

I tak to się zaczęło!

# Matematyczny wróżbita

Wyglądało na to, że oficera z przygotowaniem wywiadowczym w Departamencie Inżynierii Nowej naprawdę do tej pory brakowało. Od razu w pierwszej godzinie urzędowania Edward wytypował delikwenta kwalifikującego na intymne spotkanie z panami sztyletnikami.

Poszło o karabin Chassepota właśnie wchodzący na wyposażenie armii francuskiej. Edward krótko przed wyjazdem był na jego prezentacji w Saint-Cyr, więc natychmiast w rzekomo oryginalnym projekcie rusznikarskim rozpoznał Le fusil Mle 1866, który dopiero w połowie roku miał trafić w ręce pierwszych francuskich szeregowców. Kształt kolby się różnił, ale charakterystyczna kauczukowa uszczelka zamka nie pozostawiała co do tego żadnych wątpliwości.

Projekt nie wzbudził podejrzeń Wróblewskiego i Olszewskiego, którzy stwierdzili tylko, że konstrukcja pod względem technicznym wydaje się bez zarzutu, ba, jest wyraźnie lepsza od karabinu Dreysego, więc wydali pozytywną opinię i właśnie zamierzali wysłać tę teczkę do manufaktury w Radomiu, aby tam wykonano prototyp i przeprowadzono jego próby. Dla porządku pokazali rzecz nowemu zwierzchnikowi, któremu na ten widok włosy stanęły dęba.

Skąd bowiem prosty rzemieślnik spod Sieradza mógł mieć plany najnowszego francuskiego karabinu? Oczywiście, że nie był tym, za kogo się podawał! Najpewniej stała za nim pruska agentura, która wcześniej wykrała Francuzom ich znakomity projekt i teraz perfidnie podsuwała go Polakom. Okraść wroga z iglicówek Dreysego to było całkiem co innego niż zadrażnianie stosunków z pryncypialnym sojusznikiem Królestwa, do czego niechybnie by doszło, gdyby okazało się, że w Radomiu produkują bądź choćby tylko zamierzają wytwarzać karabiny Chassepota bez pytania o zgodę Francji, na dodatek jako rodzimy koncept polski...

Prowokacja była prosta i bardzo tania, a jej skutki polityczne mogły być katastrofalne. Po fakcie niemożliwością byłoby sprawę wyjaśnić i naprostować, gdyż błyskotliwy sieradzki wynalazca na pewno zapadłby się zawczasu pod ziemię i brakłoby świadków mogących uwiarygodnić późniejsze oświadczenia, przeprosiny i inne *démarche*. Wszystkie nieprzychylnie Królestwu gazety nad Sekwaną zgodnym chórem krzyczałyby o polskiej niktzemności i czarnej niewdzięczności. Doprawdy mało brakowało, by Prusacy zemścili się za defiladę strzelców Taniewskiego.

Edward natychmiast polecił Lipskiemu przygotować notatkę służbową z doniesieniem do Straży Bezpieczeństwa oraz jeszcze dziś z pełnymi honorami odesłać teczkę z oryginalnym projektem do ambasady francuskiej. Kopię rysunku technicznego ze wszystkimi wymiarami i tolerancjami sporządzili priorytetowo Wróblewski z Olszewskim.

Właśnie tak należało to załatwić.

A potem udać się ze świeczką do najbliższego kościoła, gdyż doprawdy było za co dziękować Bogu i to po trzykroć!

O godzinie jedenastej zaczęło się przyjmowanie interesantów i trwało do trzeciej. Przez ten czas przewinęło się przez biuro ponad trzydziestu wynalazców, z tego połowa z projektami *perpetuum mobile*, przeważnie pierwszego rodzaju. Edward nie mógł wyjść ze zdumienia na widok takiej skali nieuctwa w narodzie. Wróblewski z Olszewskim zapewniali zgodnie, że to są zwykłe proporcje statystyczne i niewydarzonymi innowatorami zajmowali się nad wyraz czule, acz za plecami nazywając ich ze szczerą wdzięcznością „dostawcami opału”.

Większość tych dziwaków oprócz złożenia dokumentacji chciała też koniecznie „zamienić słówko z panem namiestnikiem *dyrektorem* ordynatorem”. Edwarda brano ogólnie za jednego z kancelistów, więc w roli szefa, z racji wieku i aparycji, występował nieodmiennie referent Lipski.

Staruszek zatem, przez bite cztery godziny, niczym ksiądz wysłuchiwał uczenie zawitych spowiedzi wynalazców. Bodaj nic z tego nie rozumiał, ale minę miał mądrą i regularnie kiwał głową z aprobatą.

Prócz wynalazców teoretyków byli jeszcze modelarze z gotowymi prototypami swoich konstrukcji, ale tych z powodów bezpieczeństwa nie przepuszczano przez portiernię pałacu Saskiego. Kierowano ich od razu do Cytadeli, gdzie najpierw w ustronnym miejscu rzecz sprawdzali pirotechnicy, a upewniwszy się, że dane ustrojstwo nie wybuchnie, po parotygodniowym przechowywaniu, jeżeli Departament Inżynierii Nowej nie okazał projektem zainteresowania, przekazywali aparat młodym potomkom kadry garnizonu „do testowania”. Dzieciarnia ponoć miała zabawy co niemiara, a prototypy przechodziły próby ǐście bojowe. Potem w charakterze złomu jechały do Starachowic lub Ostrowca.

Wariatów awanturujących się z tytułu, że dotąd na ulicach nie widzieli, aby wojsko korzystało z ich wiekopomnych urządzeń i wynalazków, że co to za bajzel, sabotaż, zdrada, zaprzaństwo, że ojczyzna ginie, a jedyny właściwy środek jej zbawiania leży odłogiem i w ogóle całe to biuro pełne jest carskich agentów, błyskawicznie wyprowadzali żandarmi wzywani tajnym elektrycznym dzwonkiem przez Olszewskiego. Szło to nader sprawnie i szybko. Ochrona DIN miała już dobrze wyćwiczone chwytaki i duży zapas kaftanów bezpieczeństwa, które potem odsyłano puste ze szpitala św. Jana Bożego, gdzie ich zawartością zajmował się doktor Adolf Rothe, wybitny psychiatra.

Po przerwie obiadowej drugą połowę dnia zajmowały studia nad sensowniejszymi projektami, w które należało się uważniej wczytać, a potem skierować je do specjalistycznych konsultacji. Początek urzędowania przyniósł sukces także w tej mierze. Chodziło o „system pasów człapiących”, wbrew swej nazwie wcale nieśmieszny pomysł obłóczenia kół twardochodów łańcuchami połączonymi ze sobą poprzecznymi płytkami żelaznymi. Wróblewski policzył na poczekaniu, że takie rozwiązanie znacznie zmniejsza nacisk twardo-



chodu na podłoże, a zarazem skutecznie utrudnia jego zapadanie. Obiekcje zgłosił Olszewski, zauważając, że będzie to przeszkadzało kołom w skręcaniu, więc rzecz wymaga radykalnego przeprojektowania całego podwozia twarchochodu, a zwłaszcza jego systemu kierowania. Jednak dla par kół podpierających, niepołączonych z kołem sterowym, takie rozwiązanie mogło być zastosowane bez większych przeróbek. Ostatecznie, po krótkiej dyskusji przygotowali list i przesyłkę do rąk własnych samego Łukasiewicza.

Edward miał wielką nadzieję, że genialny inżynier zainteresuje się tym projektem i wkrótce będą mogli poznać się osobiście. Jeszcze atrakcyjniej jawiło się ewentualne spotkanie z profesorem Maxwellem, ale jak na razie nie było powodu prosić go o konsultacje. Należało więc pilniej przyłożyć się do selekcji!

Oprócz planów wiecznie działających machin do pieca hurtem poszły także projekty nowych twarchochodów, rozbuchanych do rozmiarów morskich okrętów liniowych albo wręcz całych miast na kołach. Fantazja twórców nie znała tu żadnych granic, a zwłaszcza tej najistotniejszej, że ciężar wehikułów bojowych rósł w trzeciej potędze do ich rozmiarów, a proporcjonalnie do ciężaru zwiększała się siła nacisku na podłoże i opory toczenia. Na morzu masę najpotężniejszego kadłuba brało na siebie prawo Archimedesesa, a energia maszyn parowych służyła przede wszystkim nadaniu ruchu postępowego. Na lądzie natomiast lwia część mocy pędni musiała zostać zużyta na pokonanie siły tarcia. I na nic pancerze nie do przebiccia, na nic setki dział i kartaczożnic, skoro nie było maszyny zdolnej ruszyć to wszystko z miejsca. Ludźmi, którzy o tym nie wiedzieli, nie warto było zawracać sobie głowy.

Wizje te miały jednak pewną malowniczą urodę, więc referent Lipski bronił ich dotąd jak niepodległości. Ustąpił dopiero na polecenie Edwarda i tym sposobem udało się opróżnić od razu pół jednej szafy.

Niemniej wciąż pozostawało dobre dwa tysiące projektów, któ-

rych nie można było zbyć i należało je przeanalizować w miarę poważnie i wnikliwie. Edward heroicznie postanowił, że mają się z tym uporać do lutego, czyli wypadało po dwieście pięćdziesiąt dni, na trzech, gdyż Lipski nie miał kwalifikacji w zakresie nauk przyrodniczych i mechaniki. Wyglądało na to, że dadzą sobie zdrowo w kość, ale ojczyzna w potrzebie!

Te idealistyczne zamiary zderzyły się z rzeczywistością od razu tego samego dnia, tyle że po południu, kiedy po sukcesach pierwszych godzin urzędowania przepełniony euforią porucznik Starosławski spodziewał się, że odtąd jego służbowe sprawy będą miały się już tylko lepiej, sprawniej i jeszcze bardziej ekscytująco.

Zaledwie Departament Inżynierii Nowej pod nowym, ambitnym kierownictwem ruszył z kopyta pełną parą, gdy pracę zakłóciła niespodziewana wizyta wielkiej rangi. Generał Plater we własnej osobie! Na dodatek w towarzystwie żurnalisty „Kuriera Polskiego”, niejakiego Tomaszковского, czy jakoś tak, wraz z fotografem. Na kategoryczne polecenie czcigodnej bohaterki narodowej Edward miał się natychmiast ubrać i dać zdagerotypować przed pałacem, a ponadto wygłosić oświadczenie, którego gotowy tekst pani generał przyniosła ze sobą. Oprócz zwykłych bogoojczyźnianych formułek była tam też informacja o związkach pokrewieństwa łączących familie Starosławskich i Trauguttów. Bez żadnych dodatkowych objaśnień w postaci wzmianki o ukończeniu Saint-Cyr lub jakiegokolwiek bądź słówka o kompetencjach Edwarda pachniało to jawnym nepotyzmem. Ot, złoty młodzian wrócił z miłych wojaży po słodkiej Francji i od razu dostał adiutanturę, stopień oficerski i ciepłą posadkę w stołecznym Wydziale Wojny jako bonus.

– Mogłabym nakazać, ale powiem, że tak trzeba! – Generał Plater bez dyskusji ucięła obiekcje Edwarda.

On wobec tego uznał, że dysponować w taki sposób adiutantem naczelnika państwa pani generał mogła tylko za zgodą samego dyktatora, więc wykonał polecenie bez dalszych zastrzeżeń. Domyślił się,

że wikłany jest właśnie w jakąś grę, więc postanowił mieć oczy szeroko otwarte.

Zatem musiał te oczy doprawdy wytrzeszczyć następnego dnia rano, kiedy na trzeciej stronie „Kurierza Polskiego” zobaczył własną podobiznę, a pod nią notatkę z wręcz półjawną sugestią, że pan porucznik Starosławski żadnych szkół nie ukończył i jest za tępy, aby zawdzięczać awans czemu innemu jak więzom krwi. Słowem, młody i głupi! Nie dość, że oświadczenie, które wczoraj wygłosił, zostało dodatkowo beczelnie przeinaczone, to jeszcze cenzura nie kiwnęła palcem w obronie honoru naczelnika państwa!

Edward był wściekły, a jego gospodyni znów zaczęła się na niego bocyć. Nie pozostawało nic innego, jak skupić się na pracy. Zagrzebać po uszy w papierach i cieszyć tym, że przynajmniej jego podwładni zachowują się, jakby tej przeklętej gazety nie widzieli.

Czytali ją za to najwyraźniej wszyscy co do jednego petenci DIN, którzy przestali się nabierać na rzekome kierownictwo referenta Lipskiego i walili jak w dym prosto do Edwarda, zadręczając go prośbami o wyjednanie audiencji u samego dyktatora Traugutta. Niektórzy posuwali się do łapówek. I nie chodziło już tylko o sprawy wynalazczości, ale każdej kategorii, którą naczelnik państwa mógł załatwić. Ochronie DIN zabrakło wolnych kaftanów bezpieczeństwa.

Przez to wszystko w gruzach legło nie tylko dobre samopoczucie porucznika Starosławskiego, ale też jego ambitne plany. Zamiast rozpatrzyć dwieście pięćdziesiąt projektów, przez cały drugi dzień uporali się tylko z nieco ponad setką.

Owszem, kartezyjska część umysłu Edwarda podsunęła mu myśl, że to może być kamuflaż. Że dla naczelnika Traugutta i generała Plater z jakiegoś względu korzystne jest przedstawić młodego oficera w stereotypowym świetle, jako bawidamka, a nie sumiennego fachowca, zatem pal licho urażoną dumę! Jednak kłóciło się to z wyraźnymi dyspozycjami, jakie Edward dostał wszak od samego dyktatora. Może faktycznie nie należało ujawniać publicznie, że woj-

skową specjalnością nowego adiutanta jest wywiad i kontrwywiad, ale skoro miał on wyszukać te nowe genialne projekty, które pozwolą odeprzeć ponoć rychły najazd Moskali, to, na miły Bóg, nie należało mu w tym przeszkadzać!

Tymczasem przeszkadzano skutecznie. Czternastogodzinny dzień pracy okazał się fikcją, kiedy w dalszej konsekwencji nieszczęsnego artykułu zaczęły napływać zaproszenia na warszawskie salony. Uniżone, przyjacielskie bądź nader serdeczne, powołujące się na bliższe lub dalsze koligacje. Może ten Starosławski był młody i głupi, ale niewątpliwie ustosunkowany, więc dobrze było go znać...

Chciał nie chciał, zamiast pracować, musiał bywać! Po pięciu dniach desperackiej szarpaniny, Edward został zmuszony uznać swoje Waterloo i odwołał pierwsze heroiczne rozporządzenie. Wrócili do dziesięciogodzinnego systemu pracy, co referent Lipski przyjął ze źle skrywaną pogardą. Potrzebny był jednak czas, by się odświeżyć, przebrać i pojawić choć na godzinkę tu czy tam, wygłosić i wysłuchać parę konwencjonalnych frazesów. Afrontów osobom zapraszającym robić nie wypadało i to nie tylko przez grzeczność, jak pannom Radoszkowskim, które zaczęły wreszcie zachowywać się jak należy i przestały wlec go we dwie siłą do ołtarza (przynajmniej tyle dobrego!). Obecności porucznika Starosławskiego w wielu domach wymagały już względy polityczne, przede wszystkim powaga urzędu naczelnika państwa.

Wobec tego wszystkiego Edward postanowił, że nie zrobi z siebie durnia na dodatek i nie będzie się skarżyć. Zdecydował, że nie poprosi o spotkanie z dyktatorem, dopóki nie będzie mieć po temu lepszych powodów od marudzenia na osobliwe pomysły dziwaczej niewątpliwie „babci narodu”.

Zresztą po tygodniu sam zwątpił w sens swojej pracy. Przez ten czas do dalszych fachowych konsultacji skierowali już piętnaście perspektywicznych wynalazków, a tymczasem naczelnik Traugutt powiedział wszak wyraźnie, że Królestwo nie ma rezerw. Zatem pomimo

najlepszych opinii o wdrożeniach nie mogło być mowy. Chyba że byłoby to coś całkiem prostego, taniego i niebywale skutecznego... Najlepiej zakłęcie czarodziejskie, które wyśle cara Aleksandra do piekła, wzorem króla Heroda z dziecięcej wyliczanki.

Z końcem stycznia przyszła nowa fala mrozów, entuzjazm Edwarda wychłódl, a ręce mu opadały. Poza sprawą karabinu Chassepota nie pojawiły nowe wyzwania tej miary. Szpiedzy i prowokatorzy jakby zapadli w sen zimowy. Kolejne projekty młody oficer czytał coraz bardziej pobieżnie, z wciąż rosnącym dystansem, nieuchronnie zbliżając się do stanu markowania pracy, no bo po co się starać? Referent Lipski z sarkazmem przebąkiwał coś o słomianym zapale, natomiast Wróblewski i Olszewski, wnosząc z ich wzajemnych rozmów, wrócili do pisania swoich doktoratów, i to nie tylko po godzinach pracy. DIN faktycznie stawał się synekurą, w istocie nader ciepłą z racji żywo płonących w piecu stert projektów *perpetuum mobile*. Gryziony przez sumienie porucznik Starosławski też się palił, ze wstydu. Nie sprostał zadaniu! Poległ na pierwszej przeszkodzie, okazał się fatalnym organizatorem, ale cóż miał począć?

W tym stanie ducha zastało go właśnie TO zaproszenie. Do rezydencji państwa Zamoyskich w Pałacu Błękitnym, a więc całkiem po sąsiedzku. Hrabia Andrzej Artur po powrocie z niemieckiego wygnania, na które w 1861 roku wysłał go carski ukaz, kontynuował tradycję zapoczątkowaną przez swoich rodziców, Stanisława i Zofię, organizatorów sławnych wieczorów literacko-artystycznych. Wtedy i teraz salon Zamoyskich uchodził za pierwszy w stolicy. Obecnie główną jego ozdobą była pani Eliza Łupińska wspierająca w charakterze współgospodyni młodziutką panią domu Lucynę Zamoyską, niedawno poślubioną drugą żoną Andrzeja Artura, właśnie spodziewającą się pierwszego dziecka. Zaproszenie do Pałacu Błękitnego było wielkim zaszczytem, o który wielu daremnie zabiegało, tym większym że czasami gościł tam też i sam naczelnik Traugutt, prywatnie zaprzyjaźniony ze sławną pisarką.

Edward wcale nie poczuł się zaszczycony, wręcz przeciwnie, miał

nieodparte wrażenie, że teraz nie dość, iż każą mu robić z siebie głupka jak dotąd, to jeszcze przed znacznie wykwintniejszym towarzystwem. Pod żadnym pretekstem nie wolno mu było jednak wymówić się od tej wizyty, ale porucznik był w tak podłym nastroju, że postanowił zrobić rozmyślny skandal.

Mianowicie zabrał ze sobą Wróblewskiego i Olszewskiego, nie konsultując tego wcześniej z gospodarzami. Ot, przyprowadził kolegów z pracy do pierwszego salonu Warszawy, niczym do byle szynku! Sztubacki kawał, w rzeczy samej. I nader ryzykowny towarzysko, gdyż po czymś takim można było skończyć w charakterze gościa wyłączenie na salonach najbliższych krewnych.

Kartezjańska część umysłu Edwarda usilnie protestowała, ale tym razem spacyfikowała ją polska fantazja młodego oficera, który dobrze się bawił, widząc bezgraniczną konsternację na obliczu majordomusa Zamoyskich, kiedy pan porucznik bez ogródek zakomunikował mu, że „ci panowie także wchodzą”. Wróblewski z Olszewskim również ubawili się wybornie, a zamierzali jeszcze lepiej.

Państwo Zamoyscy cieszyli się chyba trochę mniej, ale jak na arystokrację przystało, nie dali nic po sobie poznać. Oficera i obu fizykalistów przyjęto ze staropolską gościnnością. Co będzie potem, to będzie! Służba z prawdziwego zdarzenia w jakimś prowincjonalnym garnizonie i łapanie szpiegów, zgodnie z wyuczonymi kwalifikacjami, jawiły się teraz Edwardowi całkiem przyjemną perspektywą.

I chyba nawet to mu się nie udało! Panowie Zygmunt i Karol nie zamierzali, przynajmniej na początek, prezentować braku dobrych manier, co w biurze robili notorycznie. Natomiast goście salonu potraktowali jako miłą odmianę obecność dwóch młodych ekspertów od wszystkiego, co obaj wszem i wobec chętnie dawali do zrozumienia. W kwadrans było po skandalu. Co więcej, kilku dystyngowanych jegomości, którym nie wypadało osobiście antyszambrować w DIN, również ogłosiło się wynalazcami i osaczywszy Wróblewskiego przy

stole z zakąskami, jęło wykladać mu swoje projekty, co do jednego oparte na idei *perpetuum mobile*. Pan Zygmunt z ustami pełnymi sandwicz wyrażał absolutny zachwyt i poparcie dla tych koncepcji całą resztą swojej fizis.

Olszewski trafił lepiej, bo w towarzystwo młodych dam, kuzynek pani domu, które koniecznie chciały wiedzieć, jak działa pędnia Łukasiewicza. Szczerze powiedziawszy, mogły to sobie przeczytać w dziale naukowym niemal każdej gazety, o licznych książkach nie wspominając, ale panny Ludmiła i Eleonora Krasińskie wyraźnie zapragnęły usłyszeć to właśnie od pana Karola...

– Czy to w końcu jest silnik parowy, czy nie jest? – nadąsała się ta pierwsza. – Ponieważ ja zupełnie nic a nic z tego nie rozumiem!

– Pędnia Łukasiewicza, proszę łaskawej pani, jest silnikiem parowym, w którym wodę zastąpiono naftą – odpowiedział z kurtuazją magister Olszewski.

– I węgiel także zastąpiono naftą! – oznajmiła konkurentka nadąsanej piękności, niedwuznacznie zamierzając pokonać ją inteligencją.

– Ma pani całkowitą słuszność – zapewnił Olszewski. – W zasadzie to już wystarczy, aby pędnia działała, ale dalece nieefektywnie. Twardochód napędzany tylko w ten sposób wprowadzie mógłby jechać, ale powoli i niedaleko.

– Skąd owa nieefektywność? – Panna Ludmiła przestała się dąsać i niezwłocznie wykazała rywalce, że zna i rozumie słowo „efektywny”.

– Ze spalania nafty uzyskujemy osiemdziesiąt razy więcej ciepła, niż nam potrzeba, aby naftę zagrzać do wrzenia i przeprowadzić ją w stan pary. To oznacza, że po wykorzystaniu naftowej pary do poruszenia tłoków i kół, tylko niewielką jej część potrzebujemy następnie spalić pod kotłem. Reszta się zmarnuje, gdyż trzeba by ją wypuścić w powietrze. Twardochód funkcjonujący w takim reżymie bardzo szybko wyczerpałby całe paliwo i musiał stanąć. Można by oczywiście pomyśleć o chłodnicy, pozwalającej ponownie skroplić i odzyskać

choćby część oparów nafty, ale takie urządzenie zawadzałoby w pojazdach wojennych, odbierając miejsce potrzebne dla żołnierzy, armat i amunicji. Dlatego chłodnice bywają stosowane tylko w lekkich chodach.

– Zatem nieefektywności pędni Łukasiewicza zapobiega proces tenardyzacji, czy tak? – Panna Eleonora nieoczekiwanie okazała się prawdziwą sawantką.

– Ma pani rację! – pan Karol uśmiechnął się do niej szeroko. – Aby zaoszczędzić naftę, w chwili kiedy jej pary zaczynają wypełniać cylinder i pchać tłok, specjalna pompa, którą uruchamia właśnie ów wstępny ruch tłoka, wstrzykuje do cylindra dozę wody utlenionej, oczywiście znacznie bardziej stężonej niż ta, którą kupujemy w aptece. Ile dokładnie, tego zdradzić mi nie wolno pod groźbą śmierci... – tu Olszewski zrobił ogromnie zboliałą minę.

– Nie będziemy pana na to narażać – zapewniła z kokieterią pierwsza rozmówczyni i postanowiła zadać rywalce cios rozstrzygający flirt. – Wskutek kontaktu gorącej pary nafty z wodą utlenioną następuje samozapłon! – oznajmiła z emfazą.

– Niemalże wybuch, proszę łaskawej pani – uściślił Olszewski. – Wskutek częściowego spalania nafty wywiązuje się ciepło powodujące natychmiastowe odparowanie wstrzykniętej wody oraz tej powstałej z rozkładu nadtlenu wodoru. Dodatkowe ciepło potrzebne do odparowania wody pochodzi od przegrzanej pary nafty. Proporcje są tu różne w zależności od stężenia wody utlenionej. W ostatecznym efekcie jednak to para wodna powstająca podczas tenardyzacji, a nie para nafty, wykonuje główną pracę parcia na tłoki pędni. W tym sensie można więc uznać, że pędnia inżyniera Łukasiewicza jest silnikiem wodno-parowym, aczkolwiek do wytworzenia pary dochodzi na innej drodze niż gotowanie wody w kotle.

– Opuszczająca cylinder mieszanina oparów wody i nafty jest jeszcze tak bogata w naftę, że może być spalona pod kotłem. – Druga z pań wcale nie zamierzała się poddać. – Natomiast wypuszczona



na zewnątrz z rur wytchnieniowych zapala się sama po zetknięciu z powietrzem.

– Panie znają tajniki pędni Łukasiewicza lepiej ode mnie samego!  
– zapewnił szarmancko Olszewski.

– Och, panie Karolu! Jesteśmy przecież Polkami! – obruszyły się zgodnie obie panny. – Jakżeż mogłybyśmy tego nie wiedzieć?!

– Nigdy nie śmiałem w to wątpić!

– Lecz proszę nam powiedzieć jeszcze, panie Karolu, dlaczego próba pruskiego twardochodu skończyła się katastrofą?

– Zdradzę paniom, że Francuzom również się to przydarzyło, ale oni nie robili swojego pokazu na oczach dziennikarzy. Cała sztuka i tajemnica tenardyzacji polega na tym, aby możliwie zbliżyć się do granicy wybuchu, bo wtedy uzyskujemy więcej mocy, ale żeby do tego wybuchu nie doprowadzić. Pomagają w tym specjalne zawory bezpieczeństwa, które rozładowują nadmierne ciśnienie w cylindrach, kierując zbytek oparów i spalin do ruch wytchnieniowych. Jednak najważniejszy jest precyzyjny dobór parametrów procesu tenardyzacji. To jest jak spacer po linii, drogie panie. Prusacy i Francuzi z niej spadli, natomiast nasz Łukasiewicz okazał się mistrzem niezrównanym!

Ta wypowiedź Olszewskiego została nagrodzona oklaskami zarówno przez obie jego rozmówczynie, jak i pozostałych świadków dyskusji.

Chwilę później początkowa sensacja wieczoru musiała zrezygnować z uzurpacji i ustąpić przed prawdziwą królową i muzą tego salonu, czyli panią Elizą Łupińską, która właśnie przybyła. O Wróblewskim i Olszewskim natychmiast zapomniano. Wszyscy pospieszyli z hołdami do wybitnej literatki, która po przywitaniu się z towarzysztwem zasiadła w fotelu otoczonym kręgiem gości i odczytała fragmenty swojego najnowszego utworu poświęconego cichemu heroizmowi żon i matek litewskich partyzantów. W żywych, wzrusza-

jących słowach odmalowane zostały postacie tych dzielnych i smutnych kobiet, żyjących w nieustannej obawie o najbliższych, z drżeniem serc oczekujących na wieści z pól bitew, cierpiących przeróżny niedostatek i narażonych na napastowanie przez Moskali. Opowiadanie kończyło się dramatycznym pytaniem, kiedy wreszcie wstanie świt zwycięstwa i zakończy się udręka tych bezbronnych istot.

– Kiedy więc zwyciężymy? – powtórzyła swoje pytanie pani Łupińska, podnosząc wzrok znad pliku kartek trzymany w dłoniach.

Ktoś zaczął bić brawo, ale natychmiast przestał, gdyż nastrój chwili zdecydowanie temu nie sprzyjał. Tym bardziej że pisarka, chociaż skończyła już czytać, wyraźnie miała coś jeszcze do powiedzenia.

– Kochani, drodzy, na pewno wszyscy chcielibyśmy poznać przyszłość. Wierzymy, że będzie ona świetlana i pełna chwały, ale kiedy nadejdzie? Czyż można to wyliczyć...? – Łupińska wyczekująco zawiesiła głos.

– Może wywróżyć? – rzucił ktoś.

– A czyż w zwykłych wróżbach kiedykolwiek dawane są jakieś daty? Wszystkie one wygłaszane są ezopowym językiem, który można interpretować na najróżniejsze sposoby. Tak naprawdę przekonujemy się dopiero po fakcie, które z tych przypuszczeń było słuszne.

– Czyżby łaskawa pani знаła sposób usunięcia tej niedogodności?  
– Pan domu zadał niewątpliwie uzgodnione wcześniej pytanie.

– Spotkałam kogoś – oznajmiła tajemniczo Łupińska. – Pewnego człowieka, a właściwie, absolutnie niezwykle dziecko... Jeżeli państwo pozwolą, niezwłocznie je wam przedstawię.

– Ależ prosimy! Prosimy! – zawołała młoda pani Zamoyska i skierowała na służbę, która była już poinstruowana i gotowa, wnosząc ze sprawności przygotowań.

Niezwłocznie w całym salonie przyćmiono światła, a w jego najciemniejszym kącie zaaranżowano dość osobliwą scenerię – wnie-siono i postawiono tam niski dziecinny stolik wraz z krzeselkiem. Na blacie z czarnego orzecha umieszczono jedną małą zapaloną świeczkę w srebrnym lichtarzyku oraz rozłożono czyste kartki i ołówki. Z pobliskiej ściany zdjęto obrazy, a naprzeciw niej ustawiono latarnię magiczną.

Potem do salonu wszedł mężczyzna w czerni i nisko pokłonił się publiczności.

– Señor Alonso Gallipoli z Hiszpanii – przedstawiła go z powagą Łupińska. – Opiekun naszego małego bohatera.

– Szanowni państwo – zaczął przybysz półgłosem – jestem niezmiernie zaszczycony, mogąc zaofiarować moje skromne usługi waszemu jakże bohaterskiemu narodowi.

Mówił po francusku, ale bynajmniej nie z hiszpańskim akcentem, jak zauważył Edward. Z włoskim też chyba nie, raczej już słowiańskim... Zgadzał się tylko południowy typ fizjonomii.

– Ten nigdy się u nas nie pokazywał – Wróblewski szepnął porucznikowi na ucho.

Szarlatani w DIN rzeczywiście bywali rzadko. No, chyba że byli tak głupi i pewni siebie oraz swej blagi, iż ośmielali się zaryzykować kontakt z władzami Królestwa, fachową weryfikację prezentowanych rewelacji, a w konsekwencji zdemaskowanie i bilet czwartej klasy na najbliższy pociąg relacji Warszawa – Wiedeń. Raczej już, właśnie tak jak ten typ, krążyli po domach prywatnych, żerując na naiwnych i szukając protekcji pozwalającej im dotrzeć do możliwie najwyższych sfer. Szacunek oraz sympatia Edwarda do pani Łupińskiej upadły znacznie wobec tak jawnego świadectwa jej ignorancji. I to miała być ta wytrawna konspiratorka ukrywająca swego czasu samego naczelnika Traugutta?!

Na razie seans osobliwego jasnowidzenia rozkręcał się w najlep-

sze. Kiedy señor Gallipoli wygłosił już wszystkie bombastyczne komplementy pod adresem narodu polskiego oraz jego jakże słusznej walki o wolność dla wszystkich ludzi świata, lokaj na znak pseudo-Hiszpana wprowadził za ręką ciemnowłosego chłopca, mniej więcej dziesięcioletniego, patrzącego nieobecny, nieruchomy wzrokiem, cały czas wciąż przed siebie. W pierwszej chwili zdawało się, że to dziecko jest niewidome, ale wówczas powinno wciąż kręcić głową i nasłuchiwać, jak to czynią ślepy, zwłaszcza w nowym miejscu. Ten chłopiec jednak nie przejawiał żadnego zainteresowania otoczeniem. Stąpał jak lunatyk, a ożywił się dopiero na widok przyszykowanych dla niego przyborów do pisania. Niezwłocznie usiadł za stolikiem, chwycił ołówek i zaczął coś gryzmolić z zapalem, nadal najzupełniej ignorując wszystko, co działo się wokół niego.

– Ma na imię Daniel – oznajmił z przejęciem señor Gallipoli. – Pochodzi z Księstwa Serbii, lecz jego prawdziwą ojczyzną jest świat platońskich idei. Umysł tego dziecka przebywa nieustannie w całym innym wymiarach niż rzeczywistość, w której żyje jego ciało. Daniel nie umie mówić, ale jest geniuszem o niebywałych zdolnościach. Ten chłopiec, proszę szanownych państwa, komunikuje z naszym niskim wymiarem astralnym tylko i wyłącznie za pomocą wyższej matematyki.

To rzekłszy, farbowany Hiszpan odczekał chwilę i wziął od chłopca pierwszą zapisaną przez niego kartkę. Mały Daniel nie oponował, natychmiast zaczął notować na drugiej. Tymczasem jego opiekun włożył papier pomiędzy szybki latarni magicznej i na ścianie ukazały się długie szeregi zawiłych matematycznych wzorów. Trudno było uwierzyć, że dopiero co nakreśliła je ręka dziecka. A jednak! Señor Gallipoli wyregulował ostrość obrazu i odstał na bok, kłaniając się w milczeniu z ręką na sercu.

W salonie rozległ się narastający szmer ogólnego podziwu.

Edward obejrzał się na Wróblewskiego i Olszewskiego. Wyglądali na zaintrygowanych. Naradzali się szeptem.

– Interesujące rozwinięcie szeregu Fouriera – mruknął po chwili Wróblewski. – Nie widać absolutnie żadnych błędów...

– Jestem tylko skromnym nauczycielem szkoły elementarnej – szarlatan zaczął znów mówić. – Umiałem poznać się na geniuszu małego Daniela i za pozwoleniem jego rodziców, ubogich serbskich wieśniaków, zapewnić mu najlepsze warunki umysłowego rozwoju, na jakie tylko było mnie stać. Korzystamy także ze wsparcia wielu szlachetnych dobroczyńców, którym leży na sercu nawiązanie kontaktów z wyższymi sferami ducha. Niestety, zmuszony jestem wyznać, iż ja sam, pomimo niestrudzonych wysiłków nie posiadam talentów matematycznych pozwalających mi porozumiewać się z Danielem w stopniu zadowalającym. Dlatego wyruszyliśmy w podróż i przemierzamy Europę wzdłuż i wszerz, poszukując geniusza zdolnego nawiązać pełny kontakt z umysłem tego cudownego dziecka.

– I właśnie taki talent señor Gallipoli spotkał w Warszawie! – wtrąciła z entuzjazmem Łupińska.

– Tak, w rzeczy samej, łaskawa pani – skłonił się jej opiekun Daniela. – Szczęśliwy los na mojej drodze postawił niebywale utalentowanego matematycznie studenta warszawskiej Szkoły Głównej, którego teraz mam zaszczyt przedstawić. Oto on! Magister Adam Kuklinowski!

Łupińska pierwsza zaczęła bić brawo, a za jej przykładem poszli wszyscy obecni. Wywołany tym aplauzem do salonu wkroczył wypłosz o wyglądzie ubogiego studenta, niewątpliwie wskutek tego ubóstwa mocno niedożywionego albo też jego surdut był dopiero co wypożyczony i w pośpiechu nie zdążono go należycie dopasować do sylwetki. Stremowany przybysz nerwowo łypał na boki i mimowolnie zacierał ręce. Niewątpliwie na arystokratycznych salonach bywał rzadko, pewnie pierwszy raz. W sumie brakowało jeszcze, aby jako następna pojawiła się kobieta z brodą...

Tak, coś się tutaj doprawdy zdecydowanie nie zgadzało! Takie widowisko, jawnie trącające prowincjonalnym jarmarkiem, zdecydowa-

nie nie pasowało do ekskluzywnego salonu Zamoyskich. Bo chyba nikt nie zamierzał brać tej błazenady na poważnie? Jeżeli zaś chodziło o oryginalne zabawienie gości, to cały seans należało znacznie lepiej przygotować i wyreżyserować. Ta improwizacja sprawiała wrażenie nazbyt pospiesznej i amatorskiej, zwłaszcza w przypadku aktora, który jako ostatni wkroczył na scenę. Co też ta Łupińska wyprawiała?!

Edward nie miał czasu głębiej się nad tym zastanowić, gdyż Wróblewski z Olszewskim zaczęli skrycie dusić się ze śmiechu.

– Panowie... – zmitygował ich porucznik. – Więcej szacunku dla gospodarzy!

Fizykaliści zamilkli, ale chyba nie na długo.

– Magister Adam zapisze teraz w języku matematyki nasze pytanie o wynik obecnej wojny z Rosją – rzekł señor Gallipoli. – Daniel odpowie na swój sposób, a pan Kuklinowski odcyfruje nam jego odpowiedź. Nie należy wątpić, że z duchowych wyżyn, w których przebywa dusza tego chłopca, wyraźnie widać kształt rzeczy przyszłych, oby jak najpomyślniejszy dla wszystkich tutaj zgromadzonych. – Szarlatan znów skłonił się nisko.

Służba wniosła pulpit do pisania, przy którym „magister Adam”, robiąc kabotyńskie grymasy, napisał jakiś zawiły wzór. Przed podaniem go Danielowi, señor Gallipoli za pomocą latarni magicznej zaprezentował tę formułę wszystkim zgromadzonym.

– To jest rozwinięty zapis pierwszego z równań Maxwella – Olszewski poinformował szeptem porucznika Starosławskiego.

– Ale z dwoma błędami... – dodał ze zjadliwą uciechą Wróblewski. – Ten dureń nie wie, co pisze!

Pseudo-Hiszpan położył kartkę ze wzorem przed Danielem, który natychmiast zaczął pisać coś pod nim, przerywając swą dotychczasową pracę.

Wszyscy czekali w napięciu, aż chłopiec skończy i pozwoli sobie odebrać kartkę. Trwało to jakieś pięć minut. Potem señor Gallipoli włożył otrzymany wzór do latarni magicznej, a Daniel wrócił do kontynuacji swoich poprzednich zapisków.

– Prosimy o odczytanie – niby-Hiszpan zwrócił się do swojego polskiego asystenta.

Adam Kuklinowski chrząknął głośno i jał wpatrywać się intensywnie w gąszcz wyświetlonych na ścianie matematycznych symboli.

– No cóż... – westchnął ciężko po chwili. – Bardzo mi przykro...  
– Zamilkł z ponurą miną, jak gdyby nagle rozbolały go zęby.

– Nie do wiary! – wydyszał głęboko poruszony Wróblewski. – Dzieciak poprawił oba błędy tego nieuka!

– Panie Adamie, cóż pan tam widzi?! – zawołała teatralnie Łupińska. – Czyżby odpowiedź ze świata idei nie była dla nas pomyślna?! Odwagi! My, Polacy, potrafimy spojrzeć prawdzie w oczy!

Edward zacisnął zęby. To, co robiła pani pisarka, było jawnym sianiem defetyzmu, którego skutek mógł być tylko jeden – osłabienie ducha najwyższych polskich elit. Prosta, podręcznikowa, wręcz prymitywna moralna dywersja! Jeżeli ta kobieta nie była na usługach carskiego wywiadu, to musiała być zupełnie nieprawdopodobnie, wręcz piramidalnie głupia. Braku inteligencji jednak pani Łupińskiej nie można było zarzucić, zatem pozostawało tylko to pierwsze...

– Niestety, wielce szanowni państwo – magister Kuklinowski zwrócił się do oniemiałej z niepokoju i zgrozy publiczności. – Wzory matematyczne nie kłamią... Ta insurekcja skończy tak jak wszystkie poprzednie...

Porucznik Starosławski uznał, że powinien teraz stanowczo wkroczyć i przerwać tę niebezpieczną lub wręcz wrogą Królestwu farsę. Zastanawiał się tylko, w jakiej formie to zrobić oraz jak daleko może się posunąć w tym towarzystwie.

Nie zdążył nic postanowić, gdyż uprzedził go Zygmunt Wróblewski.

– Szanowni państwo! – zawołał fizykalista, wychodząc z cienia przed zgromadzonych. – Nie wierzcie w to! Ten człowiek kłamie! To nie jest żadna odpowiedź z zaświatów tylko równanie profesora Maxwella zapisane tylko w nieco innej, mniej znanej postaci, niż widuje się w podręcznikach!

Magister Adam Kuklinowski wyglądał, jakby zobaczył ducha, a raczej upióra wynurzającego się z otwartej trumny.

– Ten człowiek nie jest żadnym magistrem! – zdemaskował go bezlitośnie Wróblewski. – To były student relegowany z drugiego roku Szkoły Głównej za nieuctwo!

Publiczność w salonie zareagowała pełnym ulgi śmiechem.

– Daję słowo honoru! – kontynuował Wróblewski. – Sam jako asystent oblałem go na egzaminie z dwumianów Newtona! Prawda, panie Kuklinowski? Dobrze się wtedy obaj zapamiętaliśmy, nieprawdaż?

Kuklinowski nie zaprzeczył. Stał rozdygotany, wodząc błędnym wzrokiem po twarzach obecnych. W pewnej chwili zatrzymał wzrok na Łupińskiej i pogrążył się jeszcze bardziej.

– Miało nie być żadnych matematyków! – wyjęczał. – Pani mi to przecież obiecała!

– Kłamstwo! Potwarz! – wykrzyknęła natychmiast skonsternowana pisarka. – Zostałam wykorzystana! Haniebnie nadużyto dobroci mego serca! Panowie, błagam o pomoc! Moja cześć została opluta!

– Ja, jak już mówiłem, nie znam się na matematyce! – oświadczył przytomnie señor Gallipoli. – Ja również zostałem oszukany przez tego człowieka!

Do Kuklinowskiego dotarło, że został jedynym kozłem ofiarnym.

– Ale to oni mnie wynajęli! – zawołał z rozpaczą, wytykając pal-



cem Łupińską i szarlatana.

– Milcz, nikczemny łajdaku! – Jeden z adoratorów pisarki wyciął byłego studenta na odlew w pysk.

Skandal wybuchł całą mocą. Wszyscy zaczęli na zawody wyrażać swoje oburzenie. Jedni z powodu próby oszustwa, drugim nie spodobało się mordobicie w tak zacnym miejscu. Pani domu wskutek doznanego afektu zasłabła, a ponieważ była w widocznym stanie błogosławionym, gniew na sprawców kompromitującego zajścia wzmógł się przez to dwójnasób.

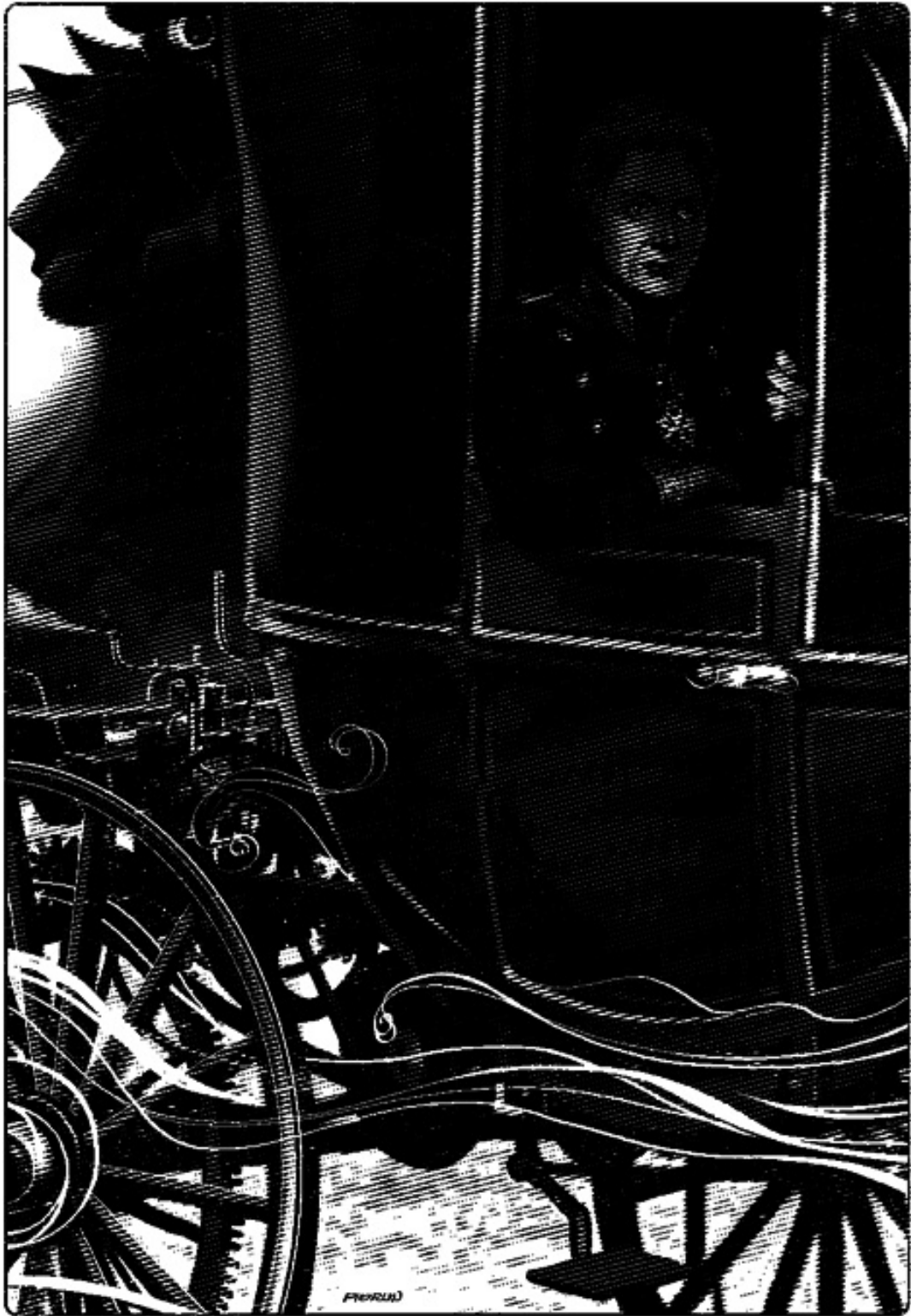
Gdyby miejsce było trochę mniej renomowane, mogłoby łatwo dojść do linczu albo przynajmniej wyrzucenia gagatka przez okno. Na szczęście hrabia Andrzej zachował autorytet i zimną krew. Najpierw osobiście powstrzymał gości rwących się do rękoczynów, następnie kazał służbie wezwać żandarmów i oddać w ich ręce obitego oszusta, po czym wyniósł na rękach panią Lucynę do prywatnych apartamentów małżeńskich.

Zapewne z powodu niedyspozycji młodej żony pan domu nie wydał żadnych poleceń dotyczących farbowanego Hiszpana. Señor Gallipoli skwapliwie wykorzystując ten fakt, a także ogólne zamieszanie, chwycił Daniela za rękę i rozsypując kartki z wzorami, bez mała siłą wywlókł chłopca z salonu. Nikt im nie przeszkodził w ucieczce. Edward chciał, ale nie zdołał, gdyż drogę zastąpiło mu kilka osób, które właśnie przypomniały sobie, że również młody pan oficer ma swój mało chwalebny udział w przykrościach, które spotkały brzemiennej panią domu. Edward zamiast gonić szarlatana, musiał przeproszać i gęsto się tłumaczyć.

Także i Wróblewski nie został jednoznacznie uznany za bohatera wieczoru. Powinszowania mieszały się z wyrazami dezaprobaty. Ostatecznie przeważały głosy sugerujące, że nie powinien przedłużać swojej wizyty. Fizykalista opuścił więc salon, nie czekając jak inni na informacje o zdrowiu pani domu.

Natomiast Olszewski, niezaczepiany przez nikogo, zajął się

porzuconymi notatkami Daniela. Zebrał zapisane kartki ze stolika i podłogi, przejrzał je uważnie, całkowicie ignorując zamieszanie dookoła, po czym bez ceremonii złożył je i schował do kieszeni.



# Lwica Rzeczypospolitej

Następnego dnia porucznik Starosławski wprost bał się zajrzeć do porannych gazet. I nie bez racji. Wysokie jury złożone z czynnych wojskowych, czcigodnych weteranów oraz zasłużonych profesorów lingwistów rozstrzygnęło konkurs na imię dla Modelu III. Wybrano Zawiszę Czarnego, ale ten od dawna wyczekiwany werdykt zupełnie przyćmiły doniesienia o wczorajszej awanturze u Zamoyskich. Wprawdzie żadne nazwiska nie padły, pisano oględnie: „wielce zasłużona dla kraju familia”, „adiutant wysokiej osobistości”, „nieodpowiedzialni młodzi ludzie” oraz „znakomita literatka”, ale było oczywiste, że bulwersująca wieść już obiegła stolicę i wszyscy zainteresowani doskonale wiedzą, o kogo chodzi. Do tego doszły zwykłe dziennikarskie nieścisłości, z których wynikało, że to Edward i Wróblewski wdali się karczemną bójkę w obecności dam, czyniąc tym niesłychany afront brzemiennej pani domu. Z oburzeniem i współczuciem cytowano majordomusa państwa Zamoyskich, który oświadczył, że wszelka czynność towarzyska w Pałacu Błękitnym zostaje niniejszym zawieszona do czasu powrotu młodej gospodyni do pełni zdrowia i sił. Uwzględniając zbliżający się termin rozwiązania i okres połogu pani Lucyny, wychodziło na to, że pierwszy salon Warszawy przestał funkcjonować na co najmniej pół roku, a zapewne aż do sezonu jesienno-wiosennego. Nie ma co! Edward w roli lwa salonowego spisał się wprost wspaniale! Nic, tylko sobie w łeb strzelić, zanim mu go urwą. Ponadto należało spodziewać się znaczącego odpływu fali kolejnych zaproszeń.

Tymczasem Wróblewski z Olszewskim nic sobie z tego nie robili. Z pracy zresztą też. Zamiast recenzować projekty wynalazcze, wstawili sobie do pokoju wielką szkolną tablicę i zawzięcie gryzmołąc na niej ściegi wzorów matematycznych, ścierając je co chwila, kłócąc się przy tym jak potępieńcy, wymyślając sobie od tępaków, godząc się i znów wypisując kredą nowe sążniste przekształcenia, analizowali

zapiski małego Daniela. Przybycie zwierzchnika ledwie raczyli dostrzec.

Kartki, które Olszewski wyniósł wczoraj z pałacu Zamoyskich, leżały teraz pasjansem na jego biurku, ewentualnie obaj fizykaliści wyrywali je sobie z rąk. Przerzucali się przy tym terminami z zakresu zaawansowanego rachunku fluksji, co do którego Edward wiedział tylko, że coś takiego istnieje i że wynalazł go sir Newton.

Jakakolwiek próba przywołania obu furiatów do porządku i nakłonięcia ich do podjęcia zwykłych obowiązków mogła się skończyć tylko jednym – buntem na pokładzie. Porucznik Starostawski okazał dość rozsądku, by nie wchodzić między podnieconych uczonych a ich pasję badawczą, więc przeszedł do porządku dziennego nad faktem, że Departament Inżynierii Nowej Wydziału Wojny Królestwa Polskiego i Litwy został samowolnie przekształcony w instytut matematyki wyższej i niebywale abstrakcyjnej.

Edward bez gadania, chyłkiem usiadł przy swoim biurku i sam cichutko zajął się pracą, co definitywnie pogrzyżyło jego autorytet w oczach referenta Lipskiego. Ten z miną wyrażającą najwyższą abominację dla takiego stylu sprawowania obowiązków dyrektorskich położył przed porucznikiem tuzin teczek z nowymi projektami oraz jedną, która wróciła właśnie z konsultacji w Departamencie Artylerii. Dziwnie szybko, gdyż posłali ją tam ledwie trzy dni temu, a problem był niebanalny i wymagający eksperymentów poligonowych.

Młody oficer zaczął zatem właśnie od tego projektu, a konkretnie od lektury specjalistycznej ekspertyzy sporządzonej przez panów kanonierów w odpowiedzi na formalny wniosek DIN. Była to tylko jedna kartka, ale już w połowie tekstu czerwone mroczki zaczęły latać Edwardowi przed oczami. Tego już było za wiele! Po prostu trafił go szlag!

Chodziło o nowy rodzaj pocisków artyleryjskich do kruszenia pancerzy rosyjskich twardochodów, gdyby takie w przyszłości się pojawiły. Poważnie się z tym liczą, chociaż Moskale, według

danych wywiadu, nie opanowali jeszcze techniki tenardyzacji. Ich doświadczenia dawały ponoć wyniki poniżej poziomu osiągniętego przez inżynierów pruskich i francuskich. Władze Królestwa nie wątpiły jednak, że wobec sił i środków pozostających do dyspozycji Imperium problem ten zostanie przez Moskali rozwiązany w stopniu zadowalającym w ciągu najbliższych pięciu lat i polskie twarochody nieuchronnie spotkają się w polu z podobnymi wehikułami strony przeciwnej. Być może już nawet w tym roku, uwzględniając niepokojące doniesienia z Białegostoku. Potrzebny był więc oręż na miarę wyzwania – co do tego nie było dyskusji.

Dowództwo planowało wyposażyć polskie twarochody w działa gwintowane, strzelające stożkowymi pociskami świdrującymi, dodatkowo wypełnionymi najnowszym materiałem wybuchowym – kwasem pikrynowym. Idea była rosyjska, skopiowana ze zdobycznego sprzętu, natomiast materiał eksplozywny do pocisków rodem z Francji. Wydawało się, że to połączenie zapewni wojskom Królestwa należytą przewagę.

Oto jednak do DIN wpłynął wniosek alternatywny, zaproponowany przez byłego kapitana armii rosyjskiej, niejakiego Anatola Karpowczenkę, pół-Polaka, który po zwycięstwie powstania i kapitulacji macierzystego pułku stacjonującego pod Łodzią opowiedział się po stronie Królestwa, po czym wstąpił do armii polskiej. Czystość jego intencji sprawdziła już Straż Bezpieczeństwa, więc ta akurat kwestia pozostawała poza dyskusją.

Pomysł Karpowczenki szedł w całkiem innym kierunku niż wydłużanie luf dział oraz zwiększanie w nich liczby gwintów, aby pocisk leciał szybciej i wirował intensywniej, co miało zwiększyć jego zdolność prześwidrowywania płyt żelaznych, wspomaganą dodatkowo wybuchem własnego ładunku. Innowator zostawił w spokoju działa, a skupił się na samym kształcie ładunku wybuchowego wewnątrz granatu przeciwpancernego. Mianowicie uznał, że po pierwsze nie można wypełniać czerepu do pełna, lecz należy zostawić blisko połowę wolnego miejsca, a po drugie, że najważniejszy jest kształt

ładunku, w którym miała być uformowana głęboka, lejkowata niecka, tak aby wewnątrz wydrążenia wybuch działał sam na siebie, ściskając i ukierunkowując płomień eksplozji, normalnie rozpraszający się równo we wszystkie strony.

Autor memorandum nazywał swoje pociski „drażonymi” albo „kumulującymi”, a pomysł ten poparty był już wstępnymi doświadczeniami, jakie dało się przeprowadzić w warunkach garnizonu w Płocku, gdzie kapitan Karpowczenko obecnie służył. Wyniki eksperymentów z użyciem armat polowych były na tyle obiecujące, że Edward, idąc za zgodną radą obu swoich fizykalistów, twierdzących, że „rzecz jest niegłupia”, zawnioskował o skonstruowanie próbnej serii takich granatów w warsztatach twierdzy Modlin i przyprowadzenie tam prób na działach dużego kalibru, siedmio- i jedenastocalowych, stanowiących główną artylerię twardochodów drugiej i trzeciej generacji.

Teraz okazało się, że ten projekt zbyto całkowitym lekceważeniem. Jakiś zadufany „ogniomistrz Goleń” zamiast nadać sprawie dalszy służbowy bieg, odesłał całą dokumentację z powrotem do DIN, odpisując autorytatywnie, że pomysł jest kompletną bzdurą, ponieważ ujmowanie masy ładunku wybuchowego musi zmniejszyć, a nie zwiększyć zdolności niszczące pocisku. Durny zupak pozwolił sobie nawet na stwierdzenie „to wie każde dziecko” i zasugerował postawienie wynalazcy przed sądem polowym pod zarzutem sabotażu i defraudacji, bo niby gdzie miałyby się podziewać zabrane z granatów kwas pikrynowy? Toż na pewno będzie sprzedawany na lewo, może nawet i Moskałom...

Zatem Edwarda najpierw trafił jasny szlag, a zaraz potem zawrzała w nim urażona ambicja. Poprzysiął sobie, że więcej nikomu nie pozwoli robić z siebie głupka! Ponadto Departament Inżynierii Nowej nie był tylko ciałem doradczym, na co mogła wskazywać codzienna rutyna. Postanowienia DIN miały charakter wiążący dla jednostek administracji wojskowej, do których się zwracał. Skoro departament Edwarda żądał testów, należało je wykonać! Ktoś tu naj-

wyraźniej o tym zapomniał!

Nie było jednak sensu chandryczyć się z zarozumiałym bęcwałem o mentalności pruskiego feldfebla. Porucznik Starosławski poderwał się zza biurka, dopiął mundur i z teczką z inkryminowanym projektem w ręku popędził piętro wyżej, gdzie mieścił się Departament Artylerii kierowany przez generała Hauke-Bosaka. Edward udał się, a właściwie ruszył szarżą wprost do generalskiego gabinetu. Wprawdzie nie był umówiony, ale rzucił na szalę całą powagę funkcji adiutanta naczelnika państwa i po krótkiej wymianie gorących zdań został przyjęty poza kolejką.

Generał broni Józef Hauke-Bosak był najmłodszym wiekiem członkiem generalicji Królestwa. Przystojny, sumienny, bardzo spokojny, o wręcz kobieco delikatnych manierach, czego dowód dał od razu na początku spotkania, nie unosząc się powagą wobec porucznika awanturującego się w jego sekretariacie. Mógłby być starszym bratem Edwarda i tak się właśnie zachował, z miejsca tonując scysję, zapewniając, że pamięta „pana adiutanta” z przelotnego spotkania u dyktatora Traugutta, po czym zaprosił młodego oficera do siebie.

Co poniektórzy nazywali Hauke-Bosaka za jego plecami „naiwnym paniczykiem”, ponieważ ludziom oceniającym po pozorach, w żaden sposób nie mieściło się głowie, że ten zniewieściały z wyglądu oficer może mieć sześć odznaczeń za męstwo w boju, z tego trzy otrzymane jeszcze w armii carskiej za kampanię przeciwko Szamilowi i jego kaukaskim góralom. Następne były już polskie Virtuti Militari – za szturm na Cytadelę Warszawską, wzięcie Płocka i bitwę nad Narwią. Jako dowódca Hauke-Bosak nigdy nie ograniczał się do pracy sztabowej, niezwłocznie po wydaniu rozkazów sam pilnował ich wykonania na pierwszej linii, orientując się w sytuacji bez pośrednictwa kurierów z meldunkami, a w razie potrzeby osobiście prowadząc ataki.

Paradoksalnie jednak, jakaś szczerza naiwność rzeczywiście była cechą charakteru Hauke-Bosaka, nie można było bowiem inaczej oce-



nić człowieka, który będąc już przez pewien czas osobistym oficerem ordynansowym cara Aleksandra, zrezygnował z imperialnej kariery i stanowczo poparł sprawę polską, na długo zanim usłyszał o istnieniu twardochodów. Złośliwi nazywali go też „Polakiem restaurowanym”, ponieważ ten z pochodzenia Flamand, wychowany w głęboko zrusyfikowanej rodzinie, język polski znający tylko ze słyszenia, w reakcji na masakry demonstracji patriotycznych 1861 roku ogłosił się Polakiem w wieku dwudziestu siedmiu lat i w dwa miesiące nauczył się mówić po polsku. Wtedy też, z tego samego powodu zrzucił carski mundur, przechodząc ze strony katów na stronę ofiar. Jeżeli ktoś potrzebował dowodu, że z krwi męczenników wyrastają bohaterowie, Józef Hauke-Bosak był tego przykładem wzorcowym.

Na jego talentach i zacności szybko poznała się Emilia Plater, której były carski adiutant towarzyszył w triumfalnym powrocie z paryskiej emigracji do Warszawy w ostatnich dniach stycznia 1863 roku. Sędziwa „polska Joanna D’Arc”, jak ją wtedy nazywano, po przybyciu do stolicy Królestwa ani myślała poprzestać na roli niemego symbolu na sztandarze i niezwłocznie postarała się o nowy tytuł „Lwicy Rzeczypospolitej”.

Na początek szybko i bardzo stanowczo rozstrzygnęła ambiciozalny spór o dyktaturę pomiędzy generałami Langiewiczem i Mierosławskim, nazywając obu publicznie „niewydarzonymi chłoptasiami”. Zarzut o tyle uzasadniony, że Mierosławski z irracjonalnym uporem forsował własną koncepcję „kosowozów” przeciwko znacznie lepszemu projektowi Łukasiewicza.

Na pojedynek „panowie L. i M.” wyzwać jej nie mogli, byłoby to zresztą bardzo ryzykowne w praktycznym wykonaniu, więc ustąpili ze wstydem. Ona zaś uporawszy się z nimi, wysunęła i z impetem szarżującego twardochodu przeforsowała kandydaturę Traugutta, którego prawą ręką został Hauke-Bosak. Obaj wcześniej, jako eksoficierowie rosyjskiej armii, byli przez starych narodowych spiskowców traktowani z chorobliwą podejrzliwością i nie mieli szans na poważniejsze stanowiska. Z kolei o spostponowanych generałach do tej

pory mawiano ze zjadliwą uciechą, że drugi raz woleliby już raczej zostać przejechani przez twardochód, niż ponownie zderzyć się z żywą legendą panny Plater.

Ona ponad wszelką wątpliwość dobrze znała się na ludziach. Przykro było myśleć, jak ułożyłyby się wewnętrzne stosunki w łonie Rządu Narodowego oraz Sztabu Generalnego, gdyby nie jej perswazja, legenda i powaga wieku. Bez generała Plater aż nazbyt łatwo można było sobie wyobrazić przegraną bitwę nad Narwią, a w dalszym skutku tej klęski rozłam w najwyższych władzach Królestwa, bratobójcze waśnie i upadek powstania jeszcze przed końcem 1864 roku. Genialna technika Łukasiewicza nie zdałaby się na nic, gdyby nie ta zawzięta Litwinka potrafiąca zgasić polskie piekiełko jednym spojrzeniem z ukosa i wycedzoną przez zęby inwektywą.

Z takim poparciem dyktator Traugutt zaraz po wyparciu Moskali z Królestwa, na fali ogólnonarodowego entuzjazmu, z całą energią przystąpił do realizacji swojego programu agrarnego. Do przywróconej Konstytucji 3 Maja wniesiono poprawkę definitywnie znoszącą poddaństwo chłopów i gwarantującą im prawo posiadania ziemi. Uwłaszczenie przeprowadzono na warunkach dwakroć korzystniejszych niż wcześniej w Rosji. Następnie rozparcelowano wszystkie majątki byłych targowiczian znajdujące się na terenie Królestwa, przeznaczając tę ziemię dla „obecnych i przyszłych obrońców Ojczyzny”. Niezadowoleni Biali próbowali wprowadzić utracić te rozporządzenia, ale Emilia Plater w podwójnej roli ministra spraw wewnętrznych oraz szefa Straży Bezpieczeństwa okazała się prawdziwą „Żelazną Damą”, dusząc w zarodku dwa kolejne spiski, budząc przerażenie nie tyle surowością kar, co szybkością i celnością działania. To wtedy utarło się powiedzonko, że gdzie Traugutt nie może, tam Platerównę na miotle pośle. Ostatecznie żadna biała głowa podczas reformy agrarnej nie spadła, ale wiele spłynęło zimnym potem.

Skutkiem tak sprawnie przeprowadzonego uwłaszczenia do armii Królestwa nastąpił niebywały napływ chłopów starających się o nadania dziedzicznych działek i gotowych twardo bronić uzyskanej ziemi

oraz wolności osobistej. W sumie, razem z ochotnikami z pozostałych zaborów, przed końcem 1863 roku znacznie mniejsza od Księstwa Warszawskiego Kongresówka zdołała wystawić przeszło dwukroć liczniejszą armię. Obecnie największym zmartwieniem Rządu Narodowego nie był brak żołnierzy, ale możliwość ich utrzymania i przyzwoitego uzbrojenia. Mimo wysiłków krajowych i zagranicznych patriotów oraz wszelkich dużych i małych darczyńców, sympatyków sprawy polskiej na całym świecie, budżet Królestwa obciążony dwustutysięczną armią i flotą twardochodów trzeszczał w szwach.

Natomiast tu i teraz, w swoim gabinecie w pałacu Saskim, generał Hauke-Bosak spokojnie wysłuchał Edwarda, nie okazując uprzedzeń i nie zgłaszając żadnych wstępnych obiekcji do projektu. Po krótkim namyśle stwierdził, że rzecz jest istotnie warta dokładniejszego sprawdzenia i obiecał osobiście zająć się sprawą podczas swojej najbliższej inspekcji w Modlinie, czyli już jutro. Na koniec porucznik Starosławski został poproszony o pozostawienie papierów sekretarzowi generała i powiadomiony uprzejmie, że może się odmeldować.

Słowem, wszystko poszło tak gładko i szybko, że Edward wychodząc od Hauke-Bosaka, nie wiedział, czy naprawdę załatwił swoją sprawę, czy został kopnięty w tyłek aksamitnym trzewikiem. Wchodzić z powrotem i pytać: „ale czy na pewno?”, zdecydowanie nie uchodziło, więc porucznik z mieszanymi uczuciami wrócił do siebie.

Zastał tam już dwie zabazgrane wzorami tablice, Wróblewskiego i Olszewskiego miotających się wokół nich w naukowej gorączce i rozchełstanych koszulach, referenta Lipskiego majestatycznie wydzwaniającego kuranty łyżeczką w szklance herbaty oraz jedno amaran-towo umundurowane i uzbrojone po zęby dziewczę w stopniu chorążego, patrzące na cały ten żywy obraz z miną mieszkanki Księżyca dopiero co przybyłej na Ziemię.

– Pan porucznik Starosławski? – upewniła się dziewczyna na widok wchodzącego Edwarda.

– Tak, to ja – zasalutował jej odruchowo, zastawiając się, czy

przypadkiem pani chorąży nie przyszła go aresztować za awanturę u Zamoyskich. Niby nie było powodu, ale sumienie gryzło za uszami... Przypuszczenia tego rodzaju nasuwał marsowy wygląd przybyłej. Na pasie głównym miała kaburę z bynajmniej nie damskim rewolwerem, a do tego wielgachne, ułańskie szablisko, którym można było przerażać lufę karabinu. Kolor munduru wskazywał na Korpus Cudzoziemski, ale tamci nosili do amarantowej kurtki niebieskie spodnie, ta zaś panna miała czarne bryczesy, a do tego czarną rogatywkę z białym barankowym otokiem zamiast purpurowego kepi. W kroju całość przypominała strój ułański, ale ostatecznie rodzaj wojsk, który reprezentowała interesantka, pozostawał zagadką dla świeżo przybyłego z Francji oficera.

– Chorąży Jadwiga Barczewska! – Dziewczę wyprostowało się na baczność. – Przybywam z polecenia... – nie zdążyła dokończyć. Ba, wręcz zapomniała języka w nawet ładnej buzi.

– Taż, ja gadam tobie, ty szeptunie leśny, że to musi być druga pochodna cząstkowa po czasie! – rozsierdzony Wróblewski wydarł się na Olszewskiego, ciskając kawałkiem kredy o podłogę.

– Ależ to jakiś nadmiarowy formalizm! – odparował ten drugi. – To zupełnie niemożliwe, aby tak mogło być!

– No jak nie może, skoro właśnie jawnie jest! – Wróblewski wprost dyszał żądzą mordy. – Rozwijaj ten szereg dalij w tyj postaci! Mówię ci, ty centusiu zatracony!

– Nie będą mnie niemeńskie śledziki różniczkować uczyć!

– U panów tak zawsze? – Dziewica chorąży odzyskała mowę.

– Nie, tylko w chwilach szczególnego wzmożenia geniuszu – odparł ponuro Edward. – Z czym panna przyszła?

– Proszę się do mnie zwracać regulaminowo!

– Słucham was, chorąży Barczewska.

– Pani generał dywizji Emilia Plater życzy sobie natychmiast

widzieć pana porucznika.

„O starej lwicy się pomyślało, stara lwica tuż...”, pomyślał skwaszony oficer, poprawiając mundur i szykując się w duchu na bezlitosną reprimendę, przy której rozjechanie twardochodem byłoby ciosem łaski. Przeczuwał, że generał Plater będzie z niego bardzo niezadowolona, ale nie wiedział, czym właściwie zawinił, i to wpędzało go w jeszcze większą konsternację. No, ale w zamian przynajmniej dowiedział się, że uniform wysłanniczki, zapewne adiutantki pani generał, reprezentował owe sławne „babskie wojsko”, którym Emilia Plater zwykła się otaczać i uparcie próbowała zwiększyć do rozmiarów samodzielnego kobiecego batalionu. Nie sposób było zliczyć, ile gromów miotali na tę ideę domorośli eksperci wojskowi i moraliści wszelkiej maści. Na razie z ambitnych i wojowniczych panien, protegowanych pani generał, dałoby się zebrać najwyżej pluton.

– Chodźmy zatem! – powiedział głośno Edward, odwracając się od lustra.

Do przejścia mieli spory kawałek drogi, w tym całą środkową kolumnadę pałacu Saskiego, gdyż gabinet pani generał mieścił się w przeciwległym skrzydle, na drugim piętrze, z oknami od ulicy Królewskiej. Bardziej reprezentacyjne biura mieściły się wprawdzie na pierwszym piętrze od frontu, ale generał Plater wolała urzędować wyżej, bowiem tam sąsiadowała drzwi w drzwi z telegrafistami eterowymi profesora Maxwella i meldunki o sytuacji na granicach Królestwa trafiały do jej rąk bez niczyjego pośrednictwa. Ona zawsze o wszystkim wiedziała pierwsza i na posiedzeniach Sztabu Generalnego oprócz wstępnych informacji o posunięciach Moskali zwykła też powiadamiać znakomitych kolegów, jakie adekwatne rozkazy już zdążyła wydać i proponowała, co robić dalej. Sprzeciwiano się jej rzadko, jedynie generał Hauke-Bosak zwykł z nią regularnie dyskutować. Natomiast naczelnik Traugutt, jak mawiano z przekąsem, był w Królestwie Polskim „tylko dyktatorem”...

Kiedy Edward i panna Jadwiga szli po schodach na górę, długa

szabla dziewczyny niemiłosiernie tłukła się o każdy stopień, aż zęby cierpły.

– Nie za ciężkie aby to żelastwo na panińską rękę? – nie wytrzymał w końcu porucznik.

– Jak bardzo chce, mogę mu głowę uciąć! – prychnęła.

– Nie wiedziałem, że z panny chorąży taka specjalistka od dekapitacji! – roześmiał się serdecznie Edward. – Wiele głów już panna ścięła?

– Jeszcze żadnej – stropiło się dziewczę. – Ale na młodniku brzo-zowym ćwiczyłam i dobrze mi szło!

Wyznanie było tak prostoduszne i naiwne, że młody oficer nie zdobył się na żaden sarkastyczny komentarz. Niewątpliwie coś ich ze sobą łączyło – oboje jeszcze prochu nie wączhali, a brak doświadczenia bojowego nadrabiali zapałem i niebywale marsowymi minami. Lekki nastrój krotochwili uleciał jednak chwilę potem, gdy dotarli na miejsce.

– Pani generał! – wyprężyła się służbiście panna Jadwiga, a Edward obok niej. – Melduję posłusznie sprowadzenie porucznika Starosławskiego zgodnie z rozkazem!

– Spocznijcie, dzieci – odrzekła „babcia narodu” i wstała zza biurka. Miała na sobie czarną suknię utrzymaną w fasonie z okresu żałoby narodowej. Na biurku leżały rozpostarte dzisiejsze gazety, jedna z nich poniewierała się na podłodze, zmięta z pasją w wielką kulę. Wyglądało na to, że nie tylko Edwardowi nie spodobała się naj-świeższa stołeczna publicystyka.

Generał Plater podeszła do porucznika i przyjrzała mu się krytycznie.

– A co to mi za wójsko, chtore biez orienza chadza? – zaciągnęła z wileńska z dezaprobatą.

– Z papierami wojuję, pani generał, więc na razie broń mi niepo-

trzebna – wytłumaczył się Edward.

– Wrag nasz nie spit i na naszym szkodzie zawsze i wszendzi gotow – odparła zirytowana. – Maskal ni mucha, gazetom jego nie ubijosz. Żeby mi lejtnantczik młodyj więcej na oczy biez orenża si ni pokazywał!

– Tak jest, pani generał! – porucznik strzelił obcasami.

– Spocznij, spocznij... – machnęła ręką i zwróciła się do adiutantki.

– Ty, Jadwinia, każ nam tu herbaty przynieść i baczenie na majora miej. Jak przyjdzie, prosić mi go zaraz.

– Tak jest! – Chorąży Barczewska zrobiła w tył zwrot tak energicznie, że końcówka jej szabli uderzyła w cholewę Edwarda. Irytujące to było, ale wypadało zignorować.

Kiedy zostali sami, generał Plater założyła ręce na plecy i zaczęła się przechadzać po gabinecie tam i z powrotem, patrząc z namysłem na porucznika.

– Z Korony młody pan oficer pochodzi? – zapytała, przechodząc z kresowego dialektu na prawie czystą mazowiecką polszczyznę.

– Tak, pani generał. Ze Szczawina pod Gostyninem.

– Ty mnie napsocił i pomógł jednocześnie – zakomunikowała krótko. – Teraz ja sama nie wiem, czy mu głowę z karku ukręcać, czy po niej głaskać.

– Gdybym był głębiej wtajemniczony, postarałbym się sprawić lepiej, pani generał.

– Może i tak... – zgodziła się z roztargnieniem. – Ale ja was jeszcze nie wypróbowałam, więc i zaufać w pełni nie mogłam. Teraz niech siada! Herbaty napijemy się i podumamy co dalej.

Edward nie skomentował. Wykonał polecenie i czekał, co będzie dalej. Pani generał zajęła miejsce po drugiej stronie stolika dla gości

ustawionego w rogu gabinetu. Chorąży Barczewska osobiście wniosła tacę, podzwaniając teraz i szablą, i zastawą. Przy okazji zdecydowanie należało wyperswadować jej ten przesadny ryzsztunek. Z równym wdziękiem ta dziewczyna mogłaby chodzić z katowskim mieczem u boku...

– Nie na rękę mi było, żeby taki młodzian tylko papierami się tu zajmował – generał Plater wróciła do tematu. – Dlatego wymusiłam całe to bywanie, choć mi mówili, że pan porucznik nie chciał. To dobrze o nim świadczy, że taki pilny, ale mnie było tak trzeba. O to się rozchodziło, żeby ludzie na mieście nie wiedzieli, co on umie i gdzie nauki pobierał.

– Ja to rozumiem, pani generał. Jednak szkoda, że nie wiedziałem, na kogo mam dawać baczenie.

– Na Łupińską – odparła lakonicznie, dodając łyżeczkę konfitury malinowej do swojej szklanki. – Ale teraz to już mało ważne.

– Cóż takiego pani pisarka zrobiła?

– Szpieguje dla Moskali.

– I wciąż chodzi wolna? – szczerze zdziwił się Edward.

– Ja dowodów nie mam, a Romeczek ją lubi...

Sposób, w jaki pani generał mówiła o naczelniku państwa, potwierdzał liczne prasowe sugestie, że zachodził pomiędzy nimi stosunek jakby matki do syna. Choć w oficjalnych ani nawet półoficjalnych okolicznościach generał Plater nigdy nie wyrażała się tak poufale, prywatnie nie kryła swego sentymentu, co zdołało zaobserwować już wielu dziennikarzy.

– Dwa lata już patrzę za nią, ale nic nie wypatrzyłam! – dokończyła posępnie gospodyni.

– To może pani Łupińska jest niewinna? – zaproponował ostrożnie Edward.

– Pan porucznik zna historię jej męża?



- Słyszałem, że zesłano go na Sybir i tam wciąż przebywa.
- A ona zamiast pojechać za mężem, jak się należy, przyjechała do Warszawy i za wesołą wdówkę-literatkę tu uchodzi!
- Być może nie kochała męża, ale to jeszcze nie jest zdrada ojczyzny.
- Moskale jej majątku nie zabrali, tak jak innym przyłapanym na konspiracji. Tylko samego męża zaaresztowali, jej samej nic, choć wiadomo, że w takich razach zawsze cała rodzina odpowiada.
- Podobno na męża pani Łupińskiej doniósł ktoś ze służby... – przypomniał sobie Edward.
- Skoro na męża jakiś sługa doniósł, to na nią czemu nie? – zagadnęła sarkastycznie generał Plater. – Tym bardziej że oni oboje w konspiracji narodowej czynni byli. Nie, ja myślę, że to nikt ze służby. Ona sama męża wydała, a z Moskalami weszła w pakt. Oni jej w zamian za to pozwolili dom sprzedać i z tymi pieniędzmi do Królestwa wyjechać.
- Przyznaję, pani generał, że to są dość podejrzane okoliczności, ale dla tak ciężkich oskarżeń podstawa jest jednak zbyt krucha.
- Toż samo mnie i Romeczek powiedział – westchnęła zdegustowana pani generał. – Ech, wy mężczyźni! Tylu rzeczy o kobietach nie wiecie...
- Postaram się zrozumieć, jeśli pani generał mi wytłumaczy.
- Później! – ucięła. – Łupińska wie, że ja mam ją w podejrzeniu, więc strzeże się mnie jak ognia. Pomyślałam zatem sobie, że skoro trafia mi się taki młody, nieznany nikomu w Warszawie, a wysoko przy samym Romeczku postawiony oficerek, to on mnie za przynętę posłuży. I tak zrobię, żeby go z tą lafiryndą zaznajomić, a potem się zobaczy. Jednak drogi lejtnantczik z kolegami-urwisami ten plan mi doszczętnie zrujnował.
- Przepraszam, pani generał! – Edward chciał się poderwać z

krzesła.

– Niech siedzi! – powstrzymała go stanowczo. – Jak mówiłam, ty w jednym mi namieszał, ale w drugim dopomógł. Ja nie wiedziałam, jakie wróżby ta Łupińska nam na wczorajszy wieczór przyszykowała.

– To było absolutnie niedopuszczalne, proszę pani generał! – zgodził się ochoczo porucznik. – Rozgłoszenie takiej wiadomości, w takim miejscu mogłoby zatruć ducha najwyższych elit! To była po prostu dywersja ideologiczna! – popisał się efektownym terminem z Saint-Cyr.

– Dlatego dobrze się stało, żeście tam wtedy byli i od razu całej intrydze w zarodku łeb ukęcili. Teraz wszyscy śmieją się z tego, zamiast martwić, choć pewnie jaśnie państwo Zamoyscy więcej już w gości nie zaproszą ani was, ani jej. Łupińska po tej psocie miała zamiar z Warszawy czmychnąć, jeszcze tej samej nocy, spakowana już suka była. Szczęściem Romeczek, jak się o tym dowiedział, zaraz kazał ją wziąć w areszt.

– Pani Łupińska siedzi w więzieniu? – zdumiał się Edward.

– W areszcie domowym – uściśliła generał Plater. – I to na razie tajemnica, z wami tylko pół tuzina ludzi wie.

– Dziękuję za zaufanie, pani generał.

– Ty nie dziękuj, lejtnantczik, tylko mi się do śledztwa przyłóż, skoroś taki zdolny, jak mi Romeczek opowiada. My nadal żadnych dowodów przeciw Łupińskiej nie mamy. Ona się tłumaczy, że głupia była i dała się oszustom podejść. Jak niczego nie znajdziemy, trzeba ją będzie wypuścić i za granicę ujdzie.

– O co dokładnie pani generał ją podejrzewa?

– Rok temu tajniki tenardyzacji wykradła i Moskałom dała.

– Niemożliwe, pani generał! Przecież podobno mamy naszych ludzi w petersburskich laboratoriach. Moskale jeszcze w lesie!

– Te raporty lejtnantczik widział? – zapytała oschle.

– Nie widziałem, ale koledzy z DIN mi wspominali...

– Ja widziałam i całkiem co innego z nich wyczytałam niż wy wszyscy.

– Co takiego, pani generał?

– Moskale wpierw się uwijali jak w ukropie, aż tu nagle zaczęli tylko udawać, że swoje doświadczenia robią. Przestali się przykladać, bo im już nie zależy. Oni to mają! – oznajmiła dobitnie.

Edwardowi z wrażenia zaschło w gardle. Czym prędzej napił się herbaty. Technika tenardyzacja w rosyjskich rękach to był miecz Damoklesa wiszący nad Polską! Może nawet już spadający...

– Jakoś tak miesiąc wcześniej Łupińska była z wizytą u Łukasiewicza – dokończyła myśl generał Plater. – To jest tylko poszlaka, ja wiem, ale serce mi mówi, że to właśnie wtedy nastąpiło. Ona podła, a ja na ludziach się znam!

Tego ostatniego pani generał w żadnym wypadku nie można było odmówić.

– Jeżeli to prawda... – skomentował ostrożnie Edward. – To sytuacja jest poważna.

– Mamy nóż na gardle – podsumowała Plater. – I tylko nam czekać pozostaje, kiedy Moskale złączą nam je podrzynać.

– Ile mamy czasu, pani generał? – zapytał pobladły porucznik.

– Tydzień, może dwa tygodnie.

Zapadła chwila posępnej ciszy, którą przerwało pukanie do drzwi.

– Melduję posłusznie, pani generał – w progu znów pojawiła się chorąży Barczewska – że przybył pan major Jasiński.

– Prosić!

Sztyletnik wszedł i zasalutował, po czym dodatkowo ucałował rękę gospodyni.

- Znacie się? – Generał Plater pokazała na Edwarda.
- Znamy – oznajmił zdawkowo Jasiński.
- No to mówcie, czegoście się dowiedzieli.
- Przy tym młodym? – upewnił się major.

Generał nie odpowiedziała, tylko ponagliła sztyletnika niecierpliwym spojrzeniem.

– Obaj byli już w drodze do austriackiej granicy, ale nasi ludzie zawrócili ich dwie stacje przed Częstochową. Od rana przesłuchujemy ich w Warszawie. Ten cały señor Gallipoli to żaden Hiszpan, tylko Chorwat, niejaki Dušan Vujičić z Zagrzebia, z zawodu dyrektor cyrku objazdowego, poddany austriacki.

– A dzieciak?

– Nazywa się Daniel Tesla, to faktycznie Serb, ale nie z Księstwa Serbii, jego rodzina żyje w Chorwacji w miejscowości Smiljan, zatem to też poddany cesarza Austrii i naprawdę upośledzony na umyśle, właśnie dostałem opinię doktora Rothe ze szpitala psychiatrycznego. – Sztyletnik sięgnął po notes i przeczytał: – Zdiagnozowano u niego *authysmus* oraz zaawansowaną *mania mathematica*, na postronnych ignorantach mogącą robić w istocie wielkie wrażenie. Dlatego chłopcem zainteresował się dyrektor cyrku i namówił rodziców na kontrakt, obiecując im pieniądze na leczenie syna. Podejrzewamy jednak, że mógł go porwać. Potem zaś uznał, że najwięcej zarobi w Warszawie, skoro nasza stolica stała się ostatnimi czasy mekką wszelkiej maści wynalazców i szarlatanów...

Edward chciał zaoponować i powiedzieć, że jego współpracownicy mają zupełnie inne zdanie na temat matematycznych talentów małego Daniela, ale nie dopuszczono go głosu.

– Co ten cały Vujičić powiedział o Łupińskiej? – Generał Plater nie chciała więcej słuchać o chłopcu.

– Że ich wynajęła, podobnie jak tego relegowanego studenta

Szkoły Głównej, i kazała im zaaranżować tę szopkę z matematycznym wróżeniem u Zamoyskich. Ona jednak zaklina się, że to kłamstwo i zmowa, że to oni ją namówili i nie miała pojęcia, jaki będzie wynik wróżby. Mamy więc słowo przeciwko słowu...

– Słowo pierwszej damy polskiej literatury przeciwko zeznaniom dwóch szemranych łotrzyków – uściśliła z przekąsem generał Plater.

– Po mordzie dać kazałem – poinformował sztyletnik – ale z podanym austriackim ostrzej nie można. Potrzymamy go w śledztwie jeszcze parę dni, do wyjaśnienia sprawy, i zapewne trzeba będzie puścić, zwłaszcza że z dzieciakiem nie mamy co zrobić.

– Rozumiem, że ze studentem Kuklinowskim było ostrzej? – mruknęła od niechcienia pani generał.

– Szkoda było ręki na żalostnego gnojka – stwierdził z niesmakiem major. – Cały czas płakał, przeproszał i obiecywał, że więcej już nie będzie. Gadał wszystko bez mocniejszej zachęty, jak na spowiedzi świętej, ale nic istotnego nie wiedział. Ot, mała blotka. Tłumaczył się, że z głodu zgodził się takie nikczemności u Zamoyskich wygadawać.

– A czemu on do wojska się nie zaciągnął, skoro w Szkole Głównej mu się nie poszczęściło? – zapytała gospodyni. – Tam by i głodny nie był, i wstydu by nie miał.

– Pewnie się bał, że będą do niego strzelać... – Jasiński skrzywił się z pogardą.

– Wcielić do karnego batalionu! – Generał Plater rozstrzygnęła o losie byłego studenta i wróciła do swojej *idée fixe*. – A teraz radźcie mi tu obaj, jak ucapić Łupińską!

Nie zdążyli wiele uradzić, gdyż przeszkodziły im podniesione głosy dobiegające z sekretariatu pani generał.

– Nie można! Nie wolno! – najpierw rozkrzyczała się piskliwie chorąży Barczewska.

– Ależ panienczko! Toż sprawa wagi niebywalej! – Edward rozpoznał tubalny głos Wróblewskiego. – Ustąpcie nam, panienczko!

– Nie można! Pani generał zajęta!

– Lecz to jest naprawdę ważne – odezwał się Olszewski. – Nasz porucznik i pani generał powinni razem pilnie dowiedzieć się o tym!

Któryś z natrętów otworzył drzwi gabinetu. Chorąży Barczewska zastąpiła im drogę w progu, ale obaj fizykaliści chwycili ją pod ramiona i po prostu wnieśli miotającą się adiutantkę do gabinetu. Dopiero na środku pomieszczenia z powrotem postawili ją na podłodze.

– Pani generał, ja się starałam powstrzymać... – zaczęła się tłumaczyć spłosziona dziewczyna.

– Na drugi raz ty mi się, Jadzia, nie staraj, tylko prosto w łeb kulą strzelaj – stwierdziła zimno pani generał. – Na co ty, dziecko, rewolwer przy sobie nosisz, a? Od parady może?

Dziewczyna zamilkła i z kolei zbladła.

– Później, później, kochana pani generał, niech nas rozstrzeliwać każe! – zawołał Wróblewski. – Wpierw niechże nas wysłucha!

Edward spostrzegł, że major Jasiński nie był ubawiony tą sceną ani trochę. Spięty, przygarbiony sztyletnik, z dłonią wsuniętą za połe surduta patrzył wyczekująco na panią generał, a w jego oczach malowało się wręcz fanatyczne oddanie. Starczyło jedno skinienie gospodyni, a to on bez wahania zacząłby strzelać, wyręczając pannę Jadwigę. Wróblewski z Olszewskim poigrali sobie z ogniem, ani przez chwilę nie podejrzewając, jak blisko było śmiertelne poparzenie...

– Wyjdźcie, chorąży Barczewska, i przemyślcie sobie waszą przydatność do dalszej służby – rozkazała oficjalnym tonem pani generał. – A panowie, skoro się tu już dostali, niech mówią.

– Chodzi tego małego Serba Daniela, który pisał wzory u Zamoy-

skich – powiedział Olszewski. – Trzeba koniecznie dowiedzieć się, gdzie on teraz jest.

– To już wiemy – rzekł major Jasiński, rozluźniając się nieco. – Chłopak i jego opiekun są w naszych rękach.

– Myśmy dokładnie zbadali zapiski Daniela – oznajmił Wróblewski – i wyszło nam, że one mają głęboki sens. To dziecko to naprawdę niebywały geniusz matematyczny!

– Cudowne dziecko, powiadacie? – upewniła się generał Plater, marszcząc brwi.

– Nie można w to wątpić – poświadczył Olszewski.

– Dobrze, wierzę panom, ale co w takim razie mamy z nim począć?

– Trzeba jak najszybciej skontaktować Daniela z profesorem Maxwellem.

– Dlaczego?

– Wzory, które napisał ten chłopiec, to jest nieznanie nauczanie uogólnienie jego równań.

– Nie rozumiem – przyznała się otwarcie gospodyni.

– Zechcą to nam panowie przystępnie wyjaśnić? – Edward włączył się do rozmowy.

– Przystępnie? – Olszewski z Wróblewskim popatrzyli po sobie. – Ano, może się da...

Wróblewski chrząknął.

– Państwo rozumieją, co to jest funkcja matematyczna? Przyporządkowanie jakiegoś „x” do „y” według zadanego wzoru?

– Powiedzmy... – odpowiedziała ostrożnie generał Plater.

– Zatem proszę łaskawie przypomnieć sobie, jak się liczy równania z jedną niewiadomą. Powiedzmy, jeżeli  $x + 3 = 5$ , to ile wynosi

„x”?

– Oczywiście, dwa – odpowiedział Edward.

– Rzecz w tym, że w zwykłych równaniach niewiadomą jest liczba. Natomiast w równaniach rachunku fluksji, zwanych też różniczkowymi, niewiadomą jest cała funkcja matematyczna, która z kolei może mieć wiele różnych rozwiązań. Kiedy z równania fluksji otrzymujemy jakiś wzór, to zawsze jest przypadek szczególny z całej gromady możliwych rozwiązań.

– Czy formuły profesora Maxwella dotyczy to także? – spytała pani generał.

– Oczywiście, jak wszystkich. I właśnie nasz Daniel odkrył tę wyższą, ogólniejszą zależność, której przypadkiem szczególnym są cztery równania Maxwella.

– Skądże dziecko, które nawet nie mówi, mogło na to wpaść? – zdumiał się major Jasiński.

– Pewnie pokazano mu gdzieś książkę z równaniami Maxwella i on zaczął się nimi bawić jak inni pospolitą łamigłówką, rozpisywał je, przekształcał, aż doszedł do tego... – Olszewski wyjął i podał gospodyni notatki chłopca.

– Zaiste, oryginalna zabawa jak na dziecko – stwierdziła generał Plater.

– W rzeczy samej, to geniusz! – zapewnił Wróblewski. – Mówić nie umie, ale w zamian posługuje się językiem matematyki wyższej. W tej kwestii jego opiekun mówił szczerą prawdę.

– Być może Daniel to geniusz o klasę większy od Łukasiewicza i Maxwella – powiedział Olszewski. – Dlatego tak trudno przychodzi nam się na nim poznać.

– No dobrze, moi panowie – westchnęła gospodyni. – Być może to dziecko jest niebywale uzdolnione, ale co nam po nim?

– Możemy dzięki niemu uzyskać dostęp do zupełnie niebywałej



wiedzy – odparł Olszewski z przekonaniem. – Trudno to teraz przesądzać, pani generał, ale profesor Maxwell powinien koniecznie jak najszybciej zobaczyć zarówno te notatki, jak i samego Daniela.

Emilia Plater zamyśliła się głęboko.

– Czy dzięki temu można będzie udoskonalić nasz system telegrafii bez drutu? – zapytała.

– Niech profesor Maxwell sam to oceni.

– Dobrze – zdecydowała gospodyni i zwróciła się do sztyletnika.  
– Panie majorze, proszę przekazać Daniela Tesłę pod tymczasową opiekę profesora.

– Według rozkazu! – odparł służbiście Jasiński.

– Nasza obecność podczas tego spotkania również byłaby wskazana – zasugerował ostrożnie Wróblewski.

– W takich strojach mają panowie zamiar składać wizytę pierwszemu gościowi Królestwa? – spytała z przekąsem generał Plater, patrząc na nich znacząco. – Ja spędziłam pół życia w obozach wojskowych, w pierw za młodu na Litwie, potem u karbonariuszy i Garibaldiego, więc doprawdy wiele rzeczy już widziałam, ale nasz dystyngowany pan Szkot to chyba niekoniecznie...

Rzeczywiście, obaj fizykaliści wyglądali mało reprezentacyjnie. Do gabinetu pani generał popędzili, jak stali, kiedy tylko doszli do porozumienia w sprawie wzorów Daniela. Bez fularów, wciąż w powyciąganych koszulach, tylko surduty zarzucili na grzbiety, a ów strój niedbały uległ dalszemu zaniedbaniu podczas szamotaniny z chorążą Barczewską. Portier Resursy Obywatelskiej przy Krakowskim Przedmieściu, którą w całości przeznaczono na mieszkanie i pracownię profesora Maxwella, z pewnością nie wpuściłby takich obwiesi nawet w towarzystwie całego legionu sztyletników. Bądź co bądź tego wymagał honor Rzeczypospolitej!

– Zaraz się odświeżymy i przebierzemy! – zapewnił skwapliwie

Olszewski.

– Daję panom godzinę – zakomunikował major Jasiński.

Fizykaliści opuścili gabinet równie szybko, jak do niego weszli.

– Tylko niech panna nie płacze – Wróblewski w biegu pocieszył adiutantkę. – Wszystko na dobre wyszło!

Te słowa wyraźnie poruszyły panią generała.

– Chyba zbyt surowo potraktowałam to dziecko... – szepnęła skonfundowana. – Niech panowie już idą. – Sprawa Łupińskiej najwyraźniej zesłała na plan dalszy. – Proszę mnie powiadomić, gdy tylko coś wykryjecie.

– Odmeldowujemy się! – Major i porucznik stanęli na baczność.

Przechodząc przez sekretariat, Edward zobaczył, że zrugana adiutantka rzeczywiście siedzi zapłakana na stołku w kącie. Na widok młodego oficera panna Jadwiga podniosła zaczerwienioną buzię.

– Pan powie tym swoim gburom... – wydyszała przez łzy – że ja... ja... Następnym razem naprawdę któregoś zastrzelę albo obu!

W drzwiach gabinetu stanęła macierzyńsko zatroskana pani generała.

– Dziecko moje drogie! – zawołała czułością. – A na cóż tobie się tak zamartwiać, a? No już dobrze, dobrze...

# Potęga Imperium

Następny dzień Edward zaczął od naładowania swojego rewolweru.

Upewnił się, że kominki komór nabojoych nie są zatkane, po czym nałożył na nie sześć kapiszonów w miedzianych kapturkach. Starannie odmierzył porcje prochu, ubił je w komorach bębena, po czym włożył kule i wcisnął na nie przybitki z nasyczonego parafiną filcu. Do osobnej ładowniczkę włożył dwanaście zapasowych naboji w papierowych torebkach i jeszcze pół tuzina dodatkowych kapiszonów. Nanizał kaburę z ładownicą na pas główny i przymierzył przed lustrem. Wyglądało to nieźle, chodziło się znośnie, ale zdecydowanie niewygodnie było z tym żelastwem u boku siedzieć i pracować przy biurku. Jednak znacznie gorsze byłoby niezadowolenie pani generał Plater.

Zatem porucznik Starosławski pierwszy raz stawił się do pracy uzbrojony, ale jego powaga jako kierownika DIN nie wzrosła od tego ani trochę. Panowie Wróblewski i Olszewski nawet pod rewolwerem nie daliby się zmusić do jakiegokolwiek roboty. Teczki z planami wynalazków po prostu przestały dla nich istnieć. W pałacu Saskim pojawili tylko po to, by zakomunikować formalnemu zwierzchnikowi, że wybierają się właśnie do profesora Maxwella i zamierzają spędzić w Resursie Obywatelskiej cały najbliższy dzień oraz najpewniej kilka następnych. I bynajmniej nie była to prośba o pozwolenie.

Angielski profesor natychmiast poznał się na talencie małego Daniela i zgodził się wziąć chłopca pod swoją opiekę. Co więcej, porzucił wszystkie swoje dotychczasowe projekty i zajął się wyłącznie analizą równań wyprowadzonych przez młodego geniusza. Wróblewski i Olszewski twierdzili zgodnie, że są w tych badaniach wprost nieodzowni w charakterze asystentów. Na odchodne łaskawie zakomunikowali, że będą pana porucznika informować na bieżąco o

dokonanych odkryciach i chwilę później po obu fizykalistach zostały tylko wspomnienie i smuga cienia.

Edward został sam w towarzystwie referenta Lipskiego oraz dwóch tysięcy wniosków racjonalizatorskich. Nie wiadomo, co gorsze. Stary urzędnik wprawdzie nie mówił nic, ale o czym myślał, było po nim doskonale widać. Jedyne, co by go teraz zadowoliło, to niezwłoczne samobójstwo niewydarzonego dyrektora DIN. Po co zwlekać, skoro rewolwer pod ręką już był...?

Krótko mówiąc, Departament Inżynierii Nowej zawiesił działalność na czas nieokreślony. Edward z rozpędu przejrzał jeszcze kilka nowych teczek, ale nie mogąc zawartych tam tez i opisów na gorąco skonsultować z Wróblewskim i Olszewskim, odłożył sprawy *ad acta*. Jedyne, co jeszcze można było w DIN robić, sprowadzało się do wstępnej segregacji starych projektów oraz napływających nowych. Tym jednak z powodzeniem mógł się zająć sam referent Lipski. Edward wydał mu więc takie polecenie, po czym zamknął się na głucho w swoim gabinecie, uciekając przed srogimi wymówkami, dlaczego to niby sterany życiem starzec ma wyręczać młodych leni i w ogóle być tu jedynym, który robi, co mu każą, a wszak on też chciałby robić rzeczy o wiele ważniejsze od pracy, jak choćby karmienie sikorek i innych ptasząt, no bo jakże niebożęta srogą zimę przeżyją i cóż będzie szczebiotać na wiosnę? Ma się rozumieć, matematyka wyższa była dla referenta Lipskiego bezużytecznym błazeństwem i próżniaczą grą w szarady, która w żadnym wypadku nie mogła się równać z domową produkcją karmników.

Czym powinien się teraz zająć pan porucznik Starosławski, to rzeczywiście było dobre hamletyczne pytanie. Dyktator Traugutt, generalicja Plater i Hauke-Bosak chwilowo nic od niego nie chcieli. Po skandalu u Zamoyskich warszawska socjeta zaczęła Edwarda gremialnie ignorować, a jedyne zaproszenia, jakie jeszcze otrzymywał, pochodziły z domów, w których adiutantowi naczelnika państwa zdecydowanie nie wypadało bywać. Pozostawały jeszcze panny Radoszkowskie, ale młody oficer uznał, że powinien natychmiast

zerwać z nimi wszelkie prywatne stosunki. Okazało się bowiem, że obie rozbisurmanione trzpiotki zaczęły postępować w sposób właściwy dla dobrze wychowanych panien tylko z pozoru i na krótko. W rzeczywistości zaś knuły intrygę, która przyprawiła Edwarda o ciężki wstrząs moralno-honorowy.

Owoż córki poległego bohatera narodowego wymyśliły sobie przed zawarciem świętych węzłów małżeńskich nieskromnie pozbyć się swojej czci dziewiczej, obie jednej nocy, na jednym łożu i o zgrozo z jednym mężczyzną. W roli zdobywcy swoich wianków widziały pana porucznika Starosławskiego...

Edwardowi spłonęły uszy, kiedy ta propozycja została mu w nie namiętnie wyszeptana przez obie zainteresowane z obu stron na raz. Było to wczoraj wieczorem po kolacji. Kiedy odzyskał mowę, wydukał, że czuje się niezmiernie zaszczycony i zwyczajnie uciekł, tak że mało nóg nie pogubił, niegrzecznie zapominając pożegnać się z panią Olimpią. Rozgorączkowana wyobraźnia podsuwała mu potem wizje przygotowujące o zmazy nocne, ale przyzwoitość i honor oficerski stanowczo nakazywały odrzucić tak daleko idące awanse.

Porucznik Starosławski zatem chwalebnie oparł się pokusie. Pierwsze, co zrobił, kiedy został sam w swoim gabinecie, było napisanie listu, w którym z żalem zawiadamiał opiekunkę panien Radoszkowskich, że nawał obowiązków służbowych nie pozwala mu już dłużej korzystać z jej gościny oraz dotychczasowych zaproszeń na obiady i wieczery. Krótko mówiąc, w obronie honoru własnego oraz frywolnych panien nałgał jak pies, i na dodatek sam skazał się na areszt biurowy, bo wypadało teraz solennie uwiarygodniać wymówkę o bezmiarze papierkowej roboty.

W praktyce zaś cała ta praca sprowadziła się do napisania jeszcze jednego listu, zaadresowanego do kapitana Karpowczenki, wynalazcy pocisków kumulatywnych. Edward oficjalnie powiadomił innowatora, że jego projekt został skierowany do dalszych badań i w najbliższym czasie należy się spodziewać zorganizowania prób poligonowych,

przy których asysta pomysłodawcy będzie nad wyraz pożądana. Posunięcie to było trochę na wyrost, ponieważ o wszystkim decydował teraz generał Hauke-Bosak, ale rzecz wydawała się logiczna. W każdym razie autora powiadomić należało.

Jednak to już było naprawdę wszystko, co porucznik Starosławski miał w swoim departamencie do zrobienia! Teraz mógł już tylko ciskać się w czterech ścianach gabinetu jak Żyd po pustym sklepie, gapić się w ścianę albo za okno, na ośnieżony Park Saski, grać w rosyjską ruletkę albo wreszcie dla zabicia czasu kazać sobie podać herbatę i gazety. Edward wybrał to trzecie, polecając Lipskiemu dostarczyć najnowszą prasę francuską, która z pewnością dotarła już do Warszawy wieczornym pociągiem ekspresowym z Paryża.

Dystyngowany referent dał wyborny pokaz sztuki mimicznej, okazując, co myśli o robieniu z niego chłopca na posyłki, a następnie wrócił po kwadransie z samą tylko herbatą, oznajmiając, że czytelnia Wydziału Wojny właśnie zakwalifikowała całą prasę zagraniczną do działu prohibitów, dostępnych tylko za specjalnym zezwoleniem. Stary urzędnik dowiedział się ponadto, że Straż Bezpieczeństwa zarekwirowała wszystkie prywatne prenumeraty natychmiast po ich wyładunku na Dworcu Głównym w Warszawie.

Coś się stało!

Edward zapominając o herbacie, natychmiast popędził do czytelnicy. Adiutantowi naczelnika państwa nie robiono przeszkód, wyrażono jedynie zdumienie faktem, że on jeszcze tego nie wie... Kilka minut później porucznik Starosławski drżącymi z podniecenia rękami przerzucał pachnące świeżą farbą płachty francuskiego „Le Figaro”. Angielski „The Times” miał nadejść w nocy, jednak nie można było mieć wątpliwości, co będzie widniało na pierwszej stronie.

Rosyjskie nad-twardochody!

W Białymstoku za ów wysoki, tajemniczy płot wpuszczono wczoraj grupę wybranych reporterów francuskich, angielskich, niemieckich i amerykańskich. Doprawdy, mieli oni tam co oglądać!

Największy polski nad-twardochód „Zawisza Czarny”, który wypadło zaliczyć do klasy krążowników naziemnych, jawił się niepozornie wobec właśnie zademonstrowanych światu rosyjskich pancerników lądowych: „Imperatrix Jekaterina” i „Wielikij Piotr”. Były to bliźniacze kolosy, każdy mniej więcej dwa razy cięższy od „Zawiszy”. Długością i wysokością wprawdzie go nie przewyższały, ale szerokość rosyjskich jednostek była znacznie większa, co robiło przytłaczające wrażenie, zwłaszcza jeśli spojrzeć od czoła. Polskie twardochoły drugiej generacji, stanowiące trzon sił pancernych Królestwa, wobec tych imperialnych molochów wyglądały jak muchy obok żabiego pyska. Francuzi przygotowali wymowne zestawienie proporcji i sylwetek, na widok którego zimna groza ścisnęła gardło.

Opanowawszy zaś pierwsze emocje, wypadło zauważyć, że jeśli polskie twardochoły w ogólnym pokroju przypominały parowe lokomotywy, to rosyjskim zdecydowanie patronowała marynarka wojenna. Dominującym elementem ich architektury była wieża artyleryjska z dwoma działami kaliber jedenaście cali, wzięta jakby wprost od amerykańskiego „Monitora”. Nie wypadło się temu dziwić, ponieważ projektantem był ten sam człowiek – inżynier John Ericsson, który przyjął cesarskie zaproszenie oraz honorarium na miarę Imperium.

Samo to byłoby jeszcze pół biedy. Ericsson był wolnym człowiekiem i mógł przyjmować zlecenia, od kogo chciał. Gorzej, że w tym przypadku rzecz odbyła się z jawnym błogosławieństwem prezydenta Johnsona, który ani na jotę nie odstąpił od prorosyjskiej polityki zamordowanego w zeszłym roku Lincolna. Wręcz przeciwnie. Ericssonowi towarzyszyła grupa młodych, zdolnych inżynierów, zaprotegowanych carowi przez samego prezydenta USA. Działalności wspierających Polskę stowarzyszeń wprawdzie nie ograniczono, ale nie było najmniejszych wątpliwości, na kogo stawia pragmatyczny Biały Dom. Nigdy dotąd z tak wysokiego szczebla politycznego nie poszedł w świat równie jednoznaczny komunikat, że sprawa Polska jest mrzonką niewartą wchodzenia w spór z Rosją. Natychmiast poja-

wiły się głosy, że Napoleon III powinien pójść po rozum do głowy i wziąć przykład z amerykańskiego prezydenta.

Co zaś tyczy się kwestii technicznych, najnowsze dzieło Ericssona miało jedno istotne udoskonalenie – jedenastocalówki na głównych wieżach artyleryjskich „Jekateriny” i „Piotra” były ładowane odtylcowo, co zapewniało im trzykrotnie większą szybkostrzelność, niż miał „Monitor”. Do tego dochodziły nowe, dotąd nieznane, stulufowe kartacznice, strzelające salwami lub seriami po dziesięć pocisków. Razem miało to dać „prawdziwy huragan ognia, który zmiecie zbuntowanych Polaków z powierzchni ziemi”, jak chełpił się, pragnący zachować anonimowość, jeden z carskich generałów.

W chłodniejszym komentarzu redakcyjnym zauważano, że Ignacy Łukasiewicz w osobie Johna Ericssona znalazł doprawdy godnego siebie przeciwnika. Jeszcze nie przesądzano wyników tego pojedynku, ale stwierdzono wprost, że „Pani Polska znalazła się w nie lada kłopotcie”.

I nie był to żaden propagandowy blef, co Moskale niezwłocznie i na miejscu udowodnili. Zaproszonym żurnalistom rozdano stopery, po czym „Imperatrix Jekaterina” ruszyła z miejsca i, jak opisano, „wyzwalając wkoło istnie trzęsienie ziemi”, przejechała sto osiemdziesiąt metrów z prędkością pięć i pół kilometra na godzinę, co zostało dokładnie zmierzone przez grono niezależnych arbitrów. Nieszczęsny pruski twardochód zanim się rozpętał, jechał o trzy kilometry na godzinę wolniej. Nie istniała też żadna inna siła w przyrodzie zdolna poruszyć taką górę żelaza i stali. Zatem nie ulegało już najmniejszych wątpliwości – Moskale znali technikę tenardyzacji i zbudowali własny odpowiednik pędni Łukasiewicza.

Luty zaczął się więc od przytłaczającej demonstracji potęgi Imperium. Tym bardziej niepokojącej, że Rosja wciąż zachowywała wyniosłe milczenie. Nikt z petersburskich dygnitarzy nie wygłosił żadnego oficjalnego oświadczenia w związku z ujawnieniem pancerników. Oficerowie towarzyszący dziennikarzom ograniczali się wyłącznie do



odpowiadania na pytania techniczne, na przykład o kaliber dział i wagę poszczególnych jednostek (1560 ton), moc pędni (15 000 koni mechanicznych), nadmieniając, że mają surowy zakaz wygłaszania jakichkolwiek osobistych komentarzy i przewidywań. Tylko jednemu generałowi wymusnęła się na boku cytowana powyżej opinia. Rosja postawiła przede wszystkim na nokautującą wymowę żywego obrazu

Najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że „Zawisza Czarny” wciąż nie był gotowy. Podobno zabrakło stali na jego wykończenie. Zapewne właśnie dlatego cenzura i Straż Bezpieczeństwa podjęły beznadziejną na dłuższą metę próbę wstrzymania rozpowszechniania wiadomości o pokazie w Białymstoku. W praktyce działania te mogły opóźnić powiadomienie opinii publicznej Królestwa najwyżej o kilka dni.

I nieuchronny powszechny szok...

Który byłby niewątpliwie o wiele większy, gdyby dobiegła wcześniej wieść o złowróżbnym seansie matematycznym w salonie Zamoyskich. Stawiało to panią Łupińską w jednoznacznie złym świetle. Edward przestał wątpić w winę pisarki, ale ta koincydencja faktów wciąż jeszcze nie stanowiła wystarczającego dowodu dla bezstronnego trybunału. Tajny sąd sztyletników wobec tak znanej postaci w grę nie wchodził.

Zatem nad ojczyznę gęstniały gradowe chmury, a porucznik Starosławski nudził się wprost jak potępieniec.

Przez kolejne trzy dni panowie fizykaliści nie pokazali się w biurze ani na minutę. Jedynie Olszewski przysłał krótki list, w którym zawiadamiał, że zamieszkali w Resursie u profesora Maxwella i pracują z nim dzień i noc, badając równania małego Daniela. Chłopiec wypisywał je teraz ponoć z niebywałym zapalem. Chyba się zorientował, że nareszcie ktoś go rozumie, i nawiązał kontakt ze światem w jedyny znany sobie sposób. Olszewski wspomniał, że te wizje matematyczne młodego Serba wprost zapierają dech w piersiach, natomiast jego umysł działa jak jakaś maszyna matematyczna, we trzech

ledwie za nim nadążają. Poza tym żadnych bliższych szczegółów, „bo pan porucznik i tak by nie zrozumiał”. Pięknie!

Żeby się dobić, pozostawała lektura zachodniej prasy, zwłaszcza tej mniej przychylniej Polsce, która już wieszowała Rosji i odprawiała nad Królestwem sępie egzekwie. Polacy stracili najpierw inicjatywę strategiczną, a teraz jeszcze przewagę techniczną, zatem wobec przemysłowej potęgi Imperium ich irracjonalny bunt jest jak zwykle bez szans i prędzej czy później znów „porządek zapanuje w Warszawie” – taki był ogólny ton komentarzy. W gazetach pruskich, jak łatwo zgadnąć, podszyty nieskrywaną *schadenfreude*... „POLEN KAPUTT”, krzyczały berlińskie tytuły.

Niewielką pociechę stanowiła mobilizacja przyjaciół sprawy polskiej. Grupa amerykańskich uczonych i pisarzy z młodym rozrabiaką Markiem Twainem na czele wykupiła całostronicowe ogłoszenie w „New York Timesie”, zawiadamiając uroczyście, że odtąd panu Ericsonowi ręki nie podają. Organizowano zbiórki pieniędzy na „obronę ducha wolności”. Angielscy magnaci węgla i żelaza ogłosili, że ofiarują Królestwu tysiąc ton najlepszej stali ze swoich hut, co natychmiast miejscowa prasa bulwarowa skomentowała ironicznie, że wystarczy to Polakom na niespełna dwie trzecie rosyjskiego pancernika lądowego... Ale za to w sam raz powinno tego być na żelazną biżuterię, tak chętnie noszoną przez polskie damy!

Mądrzej byłoby się tym cynicznym jadem nie zatruwać, ale porucznik Starosławski w ponurym samoudręczeniu czytał przychodzące do Warszawy gazety od pierwszej do ostatniej litery.

Naprawdę nie było wesoło. Nieprzyjazne Polsce środowiska tym razem, oprócz tradycyjnej złej woli i złośliwości, dysponowały jeszcze niepodważalną logiką faktów i rozumowań. Żeby się czymkolwiek zająć, Edward zabrał się za płodzenie prasowej polemiki, nie bacząc, kto mu ją wydrukuje. Po godzinie zmagania z piórem, dumny ze swego kartezjańskiego intelektu absolwent Saint-Cyr ze wstydem przyłapał się na konstatacji, że oto wypisuje jakieś wzniosłe patrio-

tyczne androny i inne strzeliste akty wiary w męstwo żołnierzy i Ducha Narodu... Natomiast rzeczowych kontrargumentów ani dudu!

Bo niby czym, na litość boską, mieli powstrzymać te rosyjskie potwory?!

Jak na złość, Edwardowi znajdującemu się akurat w tym stanie upadku ducha dostarczono list od Ignacego Łukasiewicza, który w serdecznych słowach dziękował Departamentowi Inżynierii Nowej za przesłany mu wynalazek pasów człapiących, tych do zakładania na koła twardochodów. Sławny inżynier informował, że projekt wydaje się użyteczny, w sam raz jako dodatkowe wyposażenie Modelu III, przydatne zwłaszcza w mokrych porach roku. W związku z tym Łukasiewicz zapowiadał przekazanie zlecenia i planów którejs z krajowych manufaktur żelaznych wiosną lub latem, w zależności od innych priorytetów produkcyjnych.

Jeszcze dwa dni wcześniej porucznik Starosławski byłby takimi podziękowaniami ogromnie uszczęśliwiony, usatysfakcjonowany i zaszczycony. Miałby dowód, że pomimo bałaganu i kompletniej zapaści organizacyjnej pod jego nieudolnymi rządami DIN na coś się przydał. Teraz jednak kurtuazyjny list Łukasiewicza wpędził Edwarda w iście samobójczą melancholię.

Pasy człapiące przeciw lądowym pancernikom...

Doprawdy, nie wiadomo, czy się śmiać histerycznie, czy od razu w łeb sobie palnąć? A może tak samemu ubrać się w kaftan bezpieczeństwa i na ochotnika zgłosić się do szpitala dla obłąkanych? W tym szaleństwie doprawdy była metoda, albowiem można było mieć nadzieję, że chorych na umyśle zwycięzcy Moskale nie będą wieszać ani na Sybir zsyłać.

W końcu pozostała już tylko jedna myśl, jedna idea, której umysł Edwarda uczeplił się jak tonący brzytwy. Już nic innego nie mogło obronić go przed utratą szacunku do samego siebie oraz druzgoczącą myślą, że po prostu o nim zapomniano. Komuż potrzebne były nowe przyszłościowe wynalazki i zajmujący się nimi oficerek, kiedy

wszystko się waliło, a przed insurekcją stanęło realne widmo klęski?

Był jednak jeszcze cień nadziei – pociski kumulatywne!

Być może byłyby przydatne, gdyby istniały w rzeczywistości, a nie dopiero na papierze. Próby poligonowe oraz wdrażanie produkcji musiałyby potrwać całe miesiące, tymczasem zagraniczni żurnaliści już za tydzień, najwyżej za dziesięć dni spodziewali się zobaczyć Moskali w Warszawie. Jeden z francuskich felietonów wymownie ilustrowała rycina przedstawiająca kolumnę Zygmunta zwaloną i rozjechaną przez rosyjski pancernik lądowy...

Spokojnie!

Tylko spokojnie! Przecież żaden z tych potworów nie miał szans sforsować Wisły! Przeprowa przez Bug jakimś zamrażniętym brodem w rejonie Grannego też będzie dla nich wielkim wyzwaniem. Zwłaszcza jeśli polska artyleria skruszy przed nimi lód na rzece...

Edward odetchnął głęboko, odsunął od siebie panikę i zaczął myśleć tak trzeźwo, jak tylko był w stanie. Dlaczego tylko „Imperatrix Jekaterina” została dziennikarzom pokazana z bliska i w ruchu? Oficjalny powód, że „Wielikij Piotr” jest identyczny, więc nie warto się powtarzać, nie był przekonujący. Dwa jadące pancerniki lądowe zrobiłyby wszak na żurnalistach podwójne wrażenie. Zatem rosyjskie nad-twardochody, wbrew sugestiom prasowym i zapewnieniom Moskali, nie osiągnęły jeszcze gotowości bojowej. Była to kwestia nie najbliższych dni, lecz przynajmniej tygodni.

W takim razie zaś, gdyby teraz wykazać najwyższy pośpiech, powinno się udać przeprowadzić próby i wykonać pierwszą doświadczalną serię pocisków Karpowczenki, wystarczającą do uzbrojenia jeśli nie wszystkich polskich twardochodów, to przynajmniej „Zawiszy Czarnego”. Tylko koniecznie należało się spieszyć!

Z tym wnioskiem Edward, po trzech dniach czyśćca i samotnych rozmyślań, z nowym zapałem wybiegł ze swojego biura i znów pope-

dził na górę do generała Hauke-Bosaka. Młody oficer uznał, że nie może już dłużej czekać na oficjalną odpowiedź i postanowił głównemu dowódcy artylerii powtórnie uświadomić powagę sprawy oraz konieczność pośpiechu.

Tym razem jednak nic nie wskórał.

Powiedziano mu, że generała nie ma, odmówiono podania informacji, gdzie pan generał aktualnie przebywa i kiedy wróci, powiadomiono, że przedłożony przez DIN projekt jest badany wnikliwie i z najwyższą uwagą, na jaką zasługuje, a w stosownym czasie wszyscy zainteresowani zostaną o wszystkim należycie poinformowani drogą służbową. Krótka mówiąc, porucznik Starosławski został z Departamentu Artylerii spławiony dużo szybciej, niż tam się udał. Cóż, jakkolwiek patrzeć, było z górki...

Edward nie zamierzał się poddać. Jak ścieżka służbowa, to służbowa! W końcu był adiutantem do specjalnych poruczeń! Chwytał płaszcz i jak stał, nie czekając, aż intendentura zorganizuje mu przejazd, na przełaj przez plac Saski szybkim krokiem pomaszerował na Zamek.

Po drodze okazało się, że cenzura właśnie odpuściła i polskie gazety przygotowały wydania specjalne ze spóźnionymi rewelacjami z Białegostoku. Gazeciarze oznajmiali o tym głosami wypranymi ze zwykłego entuzjazmu. „Ojczyzna w niebezpieczeństwie!”, „Moskał u bram!” – tych tytułów nie wykrzykiwali, lecz wymawiali je ściszymi głosami. Obywatele na Krakowskim Przedmieściu przystawali z rozłożonymi płachtami papieru i wpatrywali się w zdjęcia oraz towarzyszące im teksty z twarzami pochmurniejącymi z każdą chwilą.

Warszawa wprost zamierała ze zgrozy.

Za to młodemu porucznikowi tym razem szczęście dopisało. Naczelnik Traugutt był u siebie, a nieproszonemu interesantowi kazano czekać tylko nieco ponad godzinę.

– I cóż cię sprowadza, drogi chłopcze? – zapytał dyktator, kiedy

Edward oficjalnie zameldował swoje przybycie. – Tylko bez żadnych ceregieli, proszę, mamy najwyżej dziesięć minut.

– Panie naczelniku, gdybym znalazł coś ważnego, miałem się stać o każdej porze – przypomniał porucznik.

– O tym genialnym dziecku już słyszałem – zakomunikował mu Traugutt. – Nie przeczę, że to wielki fenomen, ale w obecnej sytuacji politycznej nie mamy czasu na jego podziwianie.

– Nie chodzi o Daniela Tesłę, panie naczelniku – Edward przełknął ślinę – tylko o nowe pociski przeciwpancerne działające na zasadzie kumulacji siły wybuchu.

– Hrabia Hauke wspominał mi o nich... – Ton głosu dyktatora nie wróżył najlepiej perspektywom tego projektu.

– I co mówił, pan generał? – spytał ostrożnie adiutant.

– Wszyscy jego eksperci, co do jednego, zgodnie uznali, że to jest zupełna niedorzeczność. Nie można uzyskać zwiększonej siły przebięcia, zmniejszając ładunek wybuchowy.

– Ależ to jest właśnie niedorzeczność, panie naczelniku! – wykrzyknął zdenerwowany porucznik.

– Wobec zupełnie jednoznacznego stanowiska swoich doradców generał Hauke zdecydował o zaniechaniu dalszych prac nad tym wynalazkiem. Przez wrodzoną delikatność jednak, wiedząc, jak bardzo młodemu panu porucznikowi na tym zależy, pan hrabia poprosił mnie, jako twego bezpośredniego zwierzchnika, abym ci, chłopcze, przekazał tę przykrą wiadomość. Zamierzałem to zrobić przy najbliższej okazji. A zatem... – dyktator odchrząknął i rzekł oficjalnie: – W imieniu Królestwa Polskiego dziękuję bardzo, panie poruczniku Starosławski, za wasze dotychczasowe starania. Szukajcie dalej czegoś nowego! – Traugutt dał do zrozumienia, że to koniec audyencji i pochylił się nad papierami na swoim biurku.

Edward poczuł, że krew odpływa mu z twarzy, ale nie ruszył się z miejsca.

– Panie naczelniku, nie powinien pan wierzyć durniom! – zawołał determinacją.

– Ja się chyba przesłyszałem... – Dyktator uniósł głowę znad dokumentów. – Czyżbyście poruczniku Starosławski w mojej obecności nazwali generała Hauke-Bosaka durniem? – zapytał lodowatym tonem.

– Proszę mnie, ekscelencjo, ukarać według swojego uznania, ale wpierw proszę wysłuchać! – Edward postawił wszystko na jedną kartę. – Generał Hauke-Bosak jest bohaterem i człowiekiem godnym najwyższego szacunku, ale w tej sprawie zbyt łatwo dał posłuch zacofanym durniom.

– Dobrze, mój młody panie. – Z głosu Traugutta znikł dotychczasowy familiarny ton. – Daję panu porucznikowi pięć minut, ażeby mi dowiódł swojej racji. – Dyktator demonstracyjnie wyjął z kieszonki kamizelki zegarek na dewizce i otworzył kopertę. – Jeżeli nie zdołacie mnie przekonać, od jutra rozpoczynacie służbę jako kaprał w karnym batalionie gdzieś nad Bugiem.

– Zgoda, panie naczelniku! Proszę więc najpierw zauważyć, że wszelka krytyka koncepcji kapitana Karpowczenki stoi wyłącznie na gołosłownych opiniach oponentów. Za nami zaś świadczą wszystkie wyniki wstępnych prób.

– Mówcie dalej, poruczniku.

– Nie kwestionuję w czambuł kompetencji naszych wybitnych ekspertów od artylerii, ale chciałbym zwrócić uwagę pana naczelnika, że dotyczą one wyłącznie dotychczas istniejących rozwiązań technicznych. To, co nowe, z założenia się w tych kompetencjach nie mieści.

– Zatem cały Departament Artylerii Królestwa Polskiego uznaje pan porucznik za niekompetentny, czy tak?

– W tej kwestii tak właśnie uznaję, panie naczelniku! Czy specjaliści od kolei żelaznych kiedykolwiek pochwaliliby projekt twardego chodu?

– Niektórzy z nich nadal twierdzą, że to się nie przyjmie... – Traugutt uśmiechnął się lekko.

– Na czele Departamentu Inżynierii Nowej chyba nieprzypadkiem postawiono młodych specjalistów, nieskażonych rutyną i archaicznym myśleniem! – rozkręcał się Edward, czując, że jest na dobrym kursie.

– Istotnie, panie poruczniku, starzy majstrowie zbyt wiele rzeczy mogliby uznać za niemożliwe. Wiemy dobrze, jak ciernistą drogę przechodzą wszelkie nowe wynalazki. Jednak w tym przypadku nie ma żadnego podziału opinii. Gdyby choć jeden fachowiec was poparł, ta rozmowa byłaby inna. Tymczasem wszyscy, dosłownie wszyscy oni są przeciw wam. Na cóż więc zgromadziliśmy w Departamencie Artylerii najbardziej doświadczonych w rzemiośle puszkarskim głowy, skoro ich zdanie mamy mieć teraz za nic? Dlatego że mamy was? Trzech młokosów o niewyparzonych językach, którym najlepiej wychodzi robienie skandali w najmodniejszych salonach Warszawy...

– I ten skandal też się przydał! – odpalił z miejsca Edward.

– To prawda – zgodził się Traugutt z nadspodziewaną powagą. – W tym wypadku muszę wam przyznać rację. Zawiodłem się ogromnie na mojej drogiej przyjaciółce...

– Nie proszę o wiele, panie naczelniku. Niech odbędą się te próby i jeśli wypadną pomyślnie, proszę o wyznaczenie warsztatu, który wykona pierwszą partię takiej amunicji, żeby starczyło jej przynajmniej dla „Zawiszy Czarnego”. Ale najważniejsze, by działać bez dalszej zwłoki.

– I uważacie, poruczniku, że te wasze pociski zdołają sprawić, by szykowana na nas para ich imperatorskich mości zrezygnowała z przedłużania swej wizyty w granicach Królestwa... – Dyktator nadal



się wahał.

– Tego nie mogę obiecać, dopóki nie zobaczę wyników prób, panie naczelniku.

– To jest rozsądna odpowiedź... – zamyślił się Traugutt. – Dobrze, wydam generałowi Hauke formalne polecenie, żeby nakazał przeprowadzenie tych badań. Według najnowszych ocen naszego wywiadu atak Moskali nastąpi za dwa tygodnie, zdążycie?

– Zdążymy! – zawołał Edward z entuzjazmem. – Jeśli nie będzie innych przeszkód...

– Nie będzie – odparł oschle naczelnik państwa. – Możecie odejść, poruczniku.

W drodze powrotnej, patrząc na ponure miny mieszkańców stolicy, Edward poczuł się prawdziwym zbawcą ojczyzny. Oto wszak znalazł środek ocalenia! Klucz do zwycięstwa był w jego rękach! Z niemałym trudem młody oficer powstrzymywał się, by nie pocieszać napotkanych przechodniów. Tajemnica wojskowa pierwsza! Wciąż musiał to sobie powtarzać.

Po powrocie do pałacu Saskiego okazało się, że naczelnik Traugutt i generał Hauke-Bosak zdążyli tymczasem wymienić depesze eterowe i na biurku porucznika czekało już oficjalne zawiadomienie od dowódcy artylerii, że testy nowych pocisków przeciwpancernych odbędą się w twierdzy Modlin za cztery dni. To był najwcześniejszy możliwy termin, w którym mogły zostać wykonane prototypy oraz zakończone inne niezbędne przygotowania.

Oznaczało to, że cały pierwszy tydzień lutego upłynie pod znakiem nudy, ale przynajmniej przyszłość zapowiadała się już nieco bardziej optymistycznie. Edward polecił Lipskiemu, by zawiadomił o planowanych próbach Wróblewskiego i Olszewskiego, po czym niespodziewanie przyłapał się na myśli, że jest jeszcze jedna osoba, która powinna przy nich w Modlinie asystować...

Panna chorąży Jadwiga Barczewska.

Co więcej, właśnie ją porucznik Starosławski zapragnął powiadomić i zaprosić osobiście. Niezwłocznie więc udał się do sekretariatu generała Plater.

Być może nie była to właściwa ścieżka służbowa, prawdę mówiąc, zdecydowanie nie, ale za to jaki przyjemny spacer! Zdecydowanie najprzyjemniejszy ze wszystkich, które Edward dotychczas korytarzami i kolumnadą pałacu Saskiego odbył. W miarę jak szedł, przyszłość jawiła mu się nie tylko optymistycznie, ale już wręcz różowo...

Na miejscu przyjęcie było jednak zdecydowanie chłodne.

– W jakim to niby charakterze ja miałabym tam przebywać? – Dziewczyna nastroszyła się natychmiast, gdy tylko usłyszała, o co chodzi. Jej szablisko brzęknęło złowieszczo pod biurkiem.

– Oczywiście jako obserwatorka z ramienia pani generała Plater...

– Taką dyspozycję powinnam otrzymać od mojej przełożonej. I zdecydowanie nie w takiej formie! – Panna adiutantka uniosła się regulaminowym oburzeniem. – Tymczasem pan porucznik przychodzi tu sobie, ot tak, jakby chciał mnie prosić, za przeproszeniem, na jakąś potańcówkę!

Edward przezornie ugryzł się w język.

– Nie chciałyby panna chorąży... hm... pojechać do Modlina?

– Jakież ma znaczenie to, co czego ja chcę?! – podniosła głos. – Pozostaję w służbie wojskowej, mój drogi panie! Czego pan, pomimo iż sam nosi mundur, i to tak sławny mundur żuawów, raczy najwyraźniej nie zauważać! Wpierw wypadałoby o tym zamierzeniu powiadomić panią generał!

– Jestem pewien, że pani generał już wie.

– Wiem, wiem! – dobiegło przez zamknięte drzwi. – Czy ten gołowąs przyszedł tu znów bez nijakiego oręża?

– Nie ośmieliłbym się nie wykonać rozkazu pani generał! –

odkrzyknął Edward.

– Ano obaczmy... – Generał Plater stanęła w progu i popatrzyła krytycznym wzrokiem na młodego porucznika, który oddawszy honory, dodatkowo wykonał w prawo zwrot, by zaprezentować kaburę na lewym boku.

– Pokażże, mój chłopcze, tę swoją pukaweczkę.

Edward wyjął rewolwer i trzymając za lufę, podał go pani generał. Ta z wprawą odwiodła kurek, energicznie zakręciła bębenkiem i fachowo oceniła czystość broni oraz stan ładunków.

– Oryginalne colty są lepsze – stwierdziła, zwracając rewolwer porucznikowi – ale ta hiszpańska podróbka wygląda możliwie... Strzelać on z tego aby umie?

– Melduję posłusznie, że umiem, proszę pani generał! – wyskan-dował Edward z przydechem.

– No to możesz, Jadzia, jechać.

– Tak jest, pani generał! – Dziewczyna wyprężyła się na baczność za swoim biurkiem.

– A gdyby młody kawaler i do kawiarni chciał mi Jadzię prosić, ja z góry moje przyzwolenie daję, żebyście mnie smarkacze dwa razy głowy nie zawracali.

Dziewczyna spłoszowała.

– Według rozkazu! – zasalutował Edward i jak na musztrze paradnej na dziedzińcu w Saint-Cyr zrobił efektowny zwrot w kierunku chorąży Barczewskiej. – Za pozwoleniem zwierzchności – strzelił obcasami – jutro po służbie najuprzejmiej zapraszam pannę Jadwigę na kawę i ciastka!

– Ależ ja pracuję do późna wieczór... – Speszona adiutantka nie wiedziała, gdzie oczy podziać.

– Od trzeciej masz wolne, moje dziecko – zakomunikowała jej

szefowa i uśmiechnęła się jakoś tak dziwnie miękko.

– Dziękuję bardzo, pani generał.

– Idźcie dzieci, idźcie, póki jeszcze pora... – powiedziała Emilia Plater z niezwykłą dla siebie łagodnością.



FERRIS

# W cieniu zdrady

Larum grają, panie poruczniku Starosławski!

Na miły Bóg, larum grają! Wróg na granicach! Ojczyzna w niebezpieczeństwie śmiertelnym! Kto żyw i zdrów za broń chwyta! Regimenty narodowe pod rozwianymi sztandarami w ordynku stają! Starcy, niewiasty, dzieciętki niewinne po wszystkich świątyniach modły o zwycięstwo zanoszą! Wszelkie polskie serca w jednym rytmie biją, jednym płomieniem goreją!

A pan, panie poruczniku Starosławski, co?

Panu porucznikowi amory w głowie, ot co!

Dzień piątego lutego 1866 roku zaczął się w nastroju bez mała nowej żałoby narodowej. Gdzie nie spojrzeć, kogo nie zagadnąć, desperacja graniczyła z rozpaczą. Rozgniotą nas i zmiażdżą ci przekłęci Moskale! Zadepczą, połamią w drzazgi! I gdzie Rząd Narodowy?! Gdzie wódz naczelny?! Gdzie Łukasiewicz?! Czemu milczą?! Czemu nie radzą, jak nieszczęście odwrócić?!

Słowem, jak Królestwo Polskie długie i szerokie, ludzie odchodzili od zmysłów z niepokoju, z jednym jedynym wyjątkiem w osobie pana porucznika Starosławskiego, który w tym czasie siedział bezczynnie w swoim gabinecie, z nogami na biurku, rękami za głową i z rozanieloną miną gapił się w ścianę przed sobą. Wiedział już, że się zakochał. Kontemplował ów stan swojej duszy, upajał się nim i nawet ruskie pancerniki spadające z nieba na kształt szarańczy nie były w stanie zmącić mu błogiego nastroju.

Kudy tam ruskie nad-twardochody grzejące pędnie w Białymstoku, skoro dziś w Warszawie pan Edward miał randkę z panną Jadzią!

Po prostu nie był w stanie się przejmować ani nudzić, chociaż

mijała już połowa dnia, a młody dyrektor DIN nawet małym palcem nie kiwnął.

A właściwie niby po co miałby kiwać? Wszystko wszak robiło się samo! Najważniejsze było teraz dotrzeć na posterunku do godziny trzeciej. A potem będzie długi spacer z chorążą Jadwigą pod ramię Nowym Światem, przez plac Trzech Krzyży i ulicą Wiejską, przy której mieściły się najszykowniejsze kawiarnie stolicy. Jeżeli pannie będzie niewygodnie iść z tą jej szablą, to wezmą dorożkę.

Naprawdę wiele wskazywało, że nic mu w realizacji tych miłych zamiarów nie przeszkodzi. Skoro nie Moskale, to cóż? Co gorszego mogło zwarzyć tak euforyczny nastrój i postawić romantyczne plany pod znakiem zapytania? Była li taka koalicja nieszczęśliwych fenomenów w przyrodzie, która mogłaby tego dokazać?

Ano była.

Wróblewski i Olszewski wrócili.

Jawnie niewyspani i niedogoleni, bardziej pozacinani niż oskrobani, ale wciąż pełni zapału, a co gorsza niebywale chętni do nadrabiania zaległości w pracy. Ledwie weszli, rzucili się na teczki z projektami jak wygłodniałe afrykańskie lwy na stado antylop, tyle tylko że wynalazki, jak na złość, im nie uciekały. Na nieśmiałą sugestię Edwarda, iż mogliby dać sobie pokój, bo teraz to i tak nikomu na nic, fizykaliści oświadczyli, że ostatnio u profesora Maxwella tak się sforsowali umysłowo, że teraz tylko głęboka zmiana przedmiotu zainteresowań oraz myślowy płodozmian pozwolą im zachować wrodzony geniusz na resztę życia.

Co robili w Resursie, tego akurat powiedzieć nie chcieli, gdyż jak utrzymywali, zdecydowanie wypadało oraz było w dobrym tonie, aby profesor Maxwell wypowiedział się w tej materii jako pierwszy. Kiedy zaś to zrobi, nie wiadomo, ale oni do tej pory obowiązkowo nosić będą pieczęć milczenia na ustach. Koniec, kropka i mroczne fatum!

To rzekłszy, zabrali się do jakichś beznadziejnych dyrdymałów z taką

pasją, jakby od tego los insurekcji zależał. Edward zaś jął coraz bardziej nerwowo zachodzić w głowę, jaki by tu wymyślić wiarygodny pretekst, by wcześniej zakończyć w dniu dzisiejszym działalność departamentu. Niedobory kadrowe jawnie w grę nie wchodziły. Deficytu nowych wynalazków i wynalazców też nie udało się stwierdzić. Ci ostatni zrobili się nawet bardziej niż zwykle namolni, gdyż ojczyzna w potrzebie, a oni ją właśnie ratować przyszli... Trzy kaftany bezpieczeństwa znów były w robocie.

Z kolei bez uzasadnienia, tak po prostu porzucić pracy porucznik Starosławski nie mógł, gdyż w przypadku wojskowego byłaby to dezercja. Zupełną przesadą natomiast było biegać do Zamku, do bezpośredniego przełożonego z prośbą o zwolnienie ze służby z powodu miłosnego *tête à tête*...

Doprawdy ironia losu, że akurat dziś DIN ruszył pełną parą i tym razem zupełnie nikt się nie kwapił, aby w jego działalności choć trochę poprzeshkadzać. Kiedy Olszewski oznajmił, że gotowi są pracować do północy, sterroryzowany moralnie Edward wycofał się do swojego gabinetu i klnąc w duchu w żywy kamień, zabrał się za pisanie podsumowań i wniosków do spływających kolejno na jego biurko opinii fizykalistów.

Wychodziło na to, że randkę z chorąży Barczewską trzeba będzie odwołać...

Przed tym dramatem uchronił Edwarda referent Lipski, aczkolwiek nieumyślnie i za cenę wielkiego kaca moralnego.

Mianowicie kiedy Wróblewski z Olszewskim bili rekordy niedorzecznej pracowitości, stary urzędnik demonstracyjnie, że niby on tu się już dość napracował, rozparł się za swoim biurkiem z rozłożoną szeroko płachtą „Kuriera Polskiego”, na którego pierwszej stronie widniało wielkie zdjęcie „Imperatricy Jekateriny”. Fizykaliści znali już złą nowinę i widzieli ów pancernik lądowy wcześniej, lecz akurat nie w tym ujęciu. Tu rosyjski kolos był dagerotypowany bardziej z dołu, zamiast, jak gdzie indziej, z oddalenia i z boku lub od czoła. Pewnie



w ten sposób wyglądał on bardziej pokracznie niż strasznie i dlatego wzięto to zdjęcie do polskiej gazety. Skutkiem tego zabiegu na pierwszym planie znalazły się środkowe koła nośne pancernika omotane misternie splecionymi łańcuchami.

One właśnie przykuły uwagę obu ekspertów.

Wróblewski zerknął na gazetę raz i drugi, po czym bezceremonialnie wyrwał ją Lipskiemu z rąk, zawołał Olszewskiego, obaj kazali podać sobie lupy i zaczęli wpatrywać się w jakieś detale.

– Panie poruczniku! – wykrzyknął po chwili Wróblewski. – Na „Jekaterinie” są nasze pasy człapiące!

– Jak to nasze?! – zawołał Edward, wypadając z gabinetu.

– Identyczne z tymi, co na planach, które posłał inżynierowi Łukasiewiczowi – powiedział Olszewski. – Identyczne, nie podobne! – podkreślił z naciskiem.

Wróblewski pokiwał twierdząco.

– Okradli nas, sucze syny! – wycedził przez zęby.

Edwardowi zrobiło się gorąco. Lipski spoważniał jak nigdy dotąd.

– Kto oprócz nas czterech miał dostęp do tych dokumentów? – zapytał porucznik.

– Tylko goniec najzaufańszy, proszę pana dyrektora – odpowiedział stary referent. – On oddał przesyłkę do rąk własnych inżyniera Łukasiewicza.

– Trzeba się dowiedzieć, komu z kolei on to dał – powiedział Olszewski.

– Nikomu. – Edward przypomniał sobie list od wynalazcy. – Inżynier Łukasiewicz nadal trzyma ten projekt u siebie w domu...

– I stamtąd wydobyli go Moskale? – zdumiał się Wróblewski. – Wszakże to by znaczyło, że...

– Ich szpieg kryje się w bezpośrednim otoczeniu pana inżyniera – dokończył za niego porucznik. – Teraz wykradł plany pasów człapiących, a wcześniej procedury tenardyzacji.

– Gdyby choć trochę zmienili kształt klamer u tych pasów, pewnie nigdy byśmy się nie domyślili – zauważył ponuro Olszewski, patrząc na zdjęcie w gazecie.

– Oni też się spieszą, więc nie mieli już czasu zmieniać dobrego projektu – odparł Wróblewski. – Dlatego kopiowali żywcem. I chyba ów szpieg już przestał być im potrzebny.

– Wręcz przeciwnie – odrzekł Edward, pokonując nagłą suchość w gardle. – Oni właśnie teraz robią z tego swojego agenta najlepszy użytek...

– Co też pan mówi, poruczniku?! – zapytał zaskoczony Olszewski.

– Czy wy myślicie, że Łukasiewicz nie oglądał tych wszystkich zdjęć?

– Z pewnością dobrze oglądał – zgodził się Wróblewski – więc musiał to zauważyć!

– Zgadza się, panie magistrze – rzekł Edward. – Łukasiewicz zatem wie i milczy! Rozumiecie, co to oznacza?

– Nie uwierzę, by inżynier Łukasiewicz był moskiewskim szpiclem! – zawołał wzburzony Olszewski. – To niemożliwe! Wykluczone!

– Nie on, tylko ktoś z jego najbliższej rodziny... – powiedział porucznik Starosławski z ciężkim sercem. – Dlatego Łukasiewicz nie złożył dotąd doniesienia.

– Może złożył, tylko tajnie, dlatego my nic o tym nie wiemy – zaoponował Olszewski.

– Ja bym wiedział – odrzekł Lipski.

– Nasz pan referent taki niby zorientowany w czynnościach Straży Bezpieczeństwa?! – prychnął ironicznie Wróblewski.

– Ja właśnie jestem ze Straży Bezpieczeństwa – odpowiedział spokojnie stary urzędnik, a jego warszawski akcent ulotnił się gdzieś bez śladu. – Podpułkownik Lipski, do usług! Chyba panowie nie sądzili, że ten departament będzie pozostawiony bez nijakiego nadzoru w rękach rozbisurmanionych geniuszy...?

– Pogratulować! Pogratulować! – odciął się mu Wróblewski, nie tracąc rezonu. – Rolę starego pierdziela odgrywał pan podpułkownik doprawdy z wrodzonym talentem!

– Dziękuję za uznanie – sarknął Lipski. – Ale odtąd, moi panowie, koniec ze sztubackimi kawałami. Żarty się skończyły. Chyba że chciałibyście się przekonać, jaki rodzaj humoru preferowany jest w szeregach Straży Bezpieczeństwa...

– Nie wątpię, że bardzo czarny! – skwitował wesoło Olszewski.

– Ja bym powiedział raczej, że wisielczy – uściślił Lipski z dwuznacznym uśmiechem. – Zwłaszcza gdy wieszamy za części niewymowne...

Edward postanowił zakończyć tę dyskusję, zanim komuś z obecnych wymknie się o jedno słowo za dużo.

– Jest pan tu najstarszy stopniem – zauważył. – W takim razie pan tu dowodzi.

– Nie, poruczniku – podpułkownik pokręcił głową. – To pan jest zwierzchnikiem DIN z racji swojej funkcji i usytuowania u boku jego ekscelencji naczelnika państwa. Zatem decyzja w sprawie dalszego postępowania wobec inżyniera Łukasiewicza należy teraz do pana.

– Szpieg musi być osobą bliską sercu Łukasiewicza – stwierdził Edward. – Moskale nie zmienili projektu nie tylko ze względu na pośpiech. Oni chcą, abyśmy tę osobę aresztowali, i to właśnie teraz. Zapewne dlatego, że to poróżni naszego genialnego wynalazcę z Rządem Narodowym.

– Taka awantura w obecnej chwili spowodowałaby niepoweto-

wane szkody moralne – stwierdził Olszewski, marszcząc brwi. – Ludzie już podupadają na duchu, a gdyby tak jeszcze Łukasiewicz wyjechał z kraju lub, nie daj Bóg, został aresztowany... – Zbrakło mu słów.

– Jednak nie możemy również pozwolić, aby moskiewski szpieg działał swobodnie u boku takiej osobistości – stwierdził Lipski.

– Panie podpułkowniku, proszę niezwłocznie powiadomić dowództwo Straży Bezpieczeństwa – zdecydował Edward. – Nie pomijając żadnego aspektu tej sprawy! – dodał z naciskiem. – Nie możemy stać się ślepym narzędziem w rękach Moskali.

– Oczywiście – odparł Lipski i wyszedł szybko z pokoju.

– No to mamy pasztet... – Wróblewski wrócił za swoje biurko, wziął kolejną teczkę, zważył ją w dłoni, po czym z furią rzucił z powrotem na blat. – Do diabła! – wybuchnął. – Zadali nam cios w samo serce!

– Psychologiczne przygotowanie ofensywy militarnej. – Edward nazwał rzecz fachowo. – Najpierw zła wróżba u Zamoyskich, potem pokaz dla zagranicznych żurnalistów w Białymstoku, a teraz intryga wokół Łukasiewicza... Nieprzyjaciel działa metodycznie i z głową na karku.

– Wykazując iście diabelską inteligencję – przyznał Wróblewski.

– Czyli wychodzi na to, że my tutaj jesteśmy na pierwszej linii frontu – stwierdził Olszewski, patrząc ponurym wzrokiem na rozłożony projekt, którym się ostatnio zajmował. – Nie mogę już na to patrzeć! – wybuchnął, zgarnął papiery i zawiązawszy teczkę, obejrzał się na Edwarda. – Muszę odpocząć, panie poruczniku, proszę o zwolnienie z dalszych obowiązków w dniu dzisiejszym.

– Ze mnie też tak jakby cała para uszła... – westchnął Wróblewski.

– Idźcie panowie, wypocznijcie – zgodził się Edward.

Była godzina za dwadzieścia trzecia. Skoro zostawał sam w DIN, porucznik Starosławski miał wszelkie podstawy, by zakończyć działalność departamentu w dniu dzisiejszym. Powinien się z tego cieszyć, ale zupełnie nie miał sił ni ochoty. Wróblewski naprawdę dobrze to ujął – Moskale uderzyli w serce! Jeżeli teraz okaże się, że szpiegiem jest ktoś z licznej rodziny Łukasiewicza, a co gorsza, ktoś z jego najbliższych, żona lub córka... Nie, tej myśli lepiej było nie kończyć! Wypadało się raczej modlić, aby Straż Bezpieczeństwa nie zrobiła jakiegoś fałszywego kroku.

Na pewno nie! To przecież są specjaliści! Edward odetchnął. On już zrobił swoje i do dalszego rozpracowania przekazał sprawę towarzyszącej służby. Jeśli im nie będzie ufać, to komu?

Uspokojony porucznik dopił wystygłą herbatę i odzyskawszy względną równowagę ducha, starannie zamknął biuro. Pięć minut później zdał klucze na portierni i kiedy opuszczał pałac Saski, błogi poranny nastrój powrócił i młody oficer myślał już tylko o czekającym go spotkaniu.

Zaczekał na wychodzącą pannę Jadwigę pod szubienicą z portretem Wielopolskiego.

Niestety, chorąży Barczewska, choć akurat tym razem była bez swojej imponującej szabli, tylko tak jak on, z rewolwerem, w przeciwieństwie do porucznika nie zostawiła z równą łatwością służbowych problemów za sobą w pracy.

– Panie Edwardzie – powiedziała zaraz po powitaniu. – To nie jest dobra pora, aby się cieszyć... Tak wiele złych rzeczy się w kraju dzieje. Ja nie chciałam, aby pan sobie pomyślał, że... pańskie awanse są mi niemiłe, ale w takim dniu jak dziś to naprawdę nie uchodzi, abyśmy tak zwyczajnie poszli się gdzieś bawić... Jak gdyby nigdy nic...

– Panno Jadziu, chyba nie zamierza pani dawać carowi satysfakcji?

– Co też pan Edward mówi?! – obruszyła się.

– Car właśnie tego chce, abyśmy drżeli ze strachu i kryli się po mysich norach. Pokażmy mu, że się nim nie przejmujemy!

– Tak pan Edward myśli? – zawahała się.

– Poza tym – mówił jak w natchnieniu – naszym obowiązkiem jest dodać ducha mieszkańcom stolicy. Niech naród wie, że wojsko jest spokojnej myśli i nie okazuje żadnych obaw. Nasz widok z pewnością niejednego obywatela podniesie na duchu!

– Dobrze – zgodziła się po krótkim namyśle i postawiła warunek:  
– Ale nie będziemy tańczyć. Obiecujecie pan?

– Jak panna Jadzia sobie życzy. Proszę, oto moje ramię!

Edward co prawda konfabulował na poczekaniu, ale okazało się, że miał rację. Kiedy tak szli przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, przechodnie na widok oficera żuawów idącego pod rękę z dziewczyną w ułańskim mundurze odzyskiwali uśmiechy na twarzach i pozdrawiali ich miło. To sprawiło, że panna chorąży straciła całą dotychczasową sztywność i zaczęła opowiadać o osobie i swojej rodzinie.

Była najstarszą z rodzeństwa złożonego z samych sióstr i żeby zrobić przyjemność ojcu, niepokieszonemu z powodu braku męskiego potomka, zgłosiła się do służby przy boku generał Plater, kiedy nadarzyła się taka sposobność.

– Ja w przeciwieństwie do pani generał nigdy jednak nie chciałam być grecką Bubuliną – oznajmiła. – Wiem, że tak trzeba i wypada, ale jak wojna się skończy, chciałabym wystąpić z wojska i wrócić do domu. Potem wyjść za mąż i mieć dzieci.

– Czy dużo, panno Jadziu?

– A czemu pana Edwarda to tak bardzo zajmuje?

– Może mógłbym być jakoś pomocny w tej mierze...

Myślał, że tym małym szelmostwem ją zawstydzi, ale tu się oszukał.

– Proszę nauczyć się robić na drutach dziecięce kaftaniki! – odparła mu bez wahania. – Taką pomoc bardzo chętnie przyjmę.

– Synom Marsa to chyba nie wypada – oznajmił z udawaną urazą.  
– Nawet Herkules długo nie wytrzymał w tej roli.

– Tak pan Edward mówi? – Zerknęła na niego z filuternym uśmiechem. – Zatem jeśli okaże się, że ma pan w sobie coś marsowego, ba, herkulesowego, ja będę skłonna rozważyć zmianę pańskiego zastosowania...

– Ma panna Jadzia jakieś wątpliwości?

– A mam! Bo zamiast walczyć z nieprzyjacielem, pan wciąż próbuje mnie bałamucić!

Tak sobie dogadując, dotarli na Wiejską i tu zaraz za placem Trzech Krzyży znaleźli przytulną kawiarnię. Ponieważ po drodze trochę zmarzli, Edward zamówił na początek gorącą czekoladę. Kiedy ją pili, on z kolei zaczął opowiadać o życiu w Saint-Cyr.

– I nie poznał tam pan Edward żadnej ładnej Francuzki?

– Kobiet do francuskiej armii nie przyjmuje się.

– A to czemu? Zapomnieli już o swojej Joannie d’Arc?

– Z tego, co wiem, oni raczej słabo ją pamiętają. Paradoksalnie, to imię dla nas Polaków znaczy więcej.

– Pewnie przypomną sobie o Dziewicy Orleańskiej ponieważ, kiedy spadnie na nich jakaś wielka klęska. Ale czy to znaczy, panie Edwardzie, że tylko w Polsce są kobiety-żołnierki?

– Myślę, że wśród garybaldczyków jeszcze trochę by się ich znalazło. Tam, gdzie idzie walka o wolność, mniej patrzy się na płeć, a bardziej na ducha.

– Niby ładnie to pan Edward powiedział, a naprawdę znów mnie zwodzi!

– Ja? Czemu panno Jadzia tak myśli?

– Pytałam, czy była jakaś Francuzka...?

– Nie było, panno Jadziu. Słowo honoru. Była tylko nauka i praca.

– Przez całe trzy lata? Czyżby pan Edward nie lubi kobiet?

– Lubię, ale wyłącznie niepospolite.

– A cóż we mnie jest takiego niepospolitego?

– Szabla! – odpalił, zanim zdążył pomyśleć. – Zakochałem się w niej wprost na zabój!

– To prezent od mojego stryjecznego dziadka, ułana spod Somo-sierry – nachmurzyła się urażona.

– Przepraszam... – zaczął szukać jakiejś gładkiej repliki, która pozwoliłaby mu wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

Nie zdążył, gdyż na ulicy przed kawiarnią wszczął się niezwykle ruch. Ktoś wpadł do środka, podbiegł do sąsiedniego stolika i zaczął szeptać coś gorączkowo do siedzącego tam towarzystwa. Chwilę później do lokalu po krótkiej przepychance ze szwajcarem przy drzwiach wdarł się uliczny gazeciarz.

– Proszeee paaa! – wykrzyczał na całą salę, łykając końcówki wyrazów z fasonem właściwym dla przedstawicieli tego fachu. – Noweee wydaaa specjaaaa! Proklamaaa caraaa aaadraaaa!

Kelner chciał go natychmiast wyrzucić z powrotem na ulicę, ale przeszkodzili mu w tym zaintrygowani nowiną klienci, wśród nich Edward. Po chwili porucznik powrócił do stolika z dwustronicowym arkuszem świeżo zadrukowanego papieru. Usiadł z nim obok panny Jadwigi, aby oboje mogli czytać razem. W miarę lektury ich oczy ogromniały z niedowierzania.

Rosja wreszcie przemówiła!

I to od razu głosem samego cara Aleksandra II, który wydał oficjalną proklamację: „DO ZBUNTOWANEJ PROWINCJI NADWIŚLAŃSKIEJ”.



Pomijając inne oficjalne tytuły, z wyjątkiem „króla polskiego”, gdyż akurat ten co parę linijek się powtarzał, Imperator Wszechrusi w niezmiernie łaskawości swojej ofiarowywał polskim buntowczykom swoje wspaniałomyślne wybaczenie. Warunkiem była natychmiastowa, bezwarunkowa kapitulacja Królestwa, złożenie broni, wydanie twarchochodów, odesłanie „zagranicznych najemników” i oddanie się wszystkich obywateli pod władzę i ojcowski osąd miłościwego Imperatora, który wobec tego rozważy powszechną amnestię „z uzasadnionymi wyjątkami”. Poza tym żadnych obietnic politycznych, żadnych propozycji kompromisu. Aleksander II oczekiwał wyłącznie „odstąpienia od uporów” i zdania się na jego łaskę, co miało spowodować jej bliżej nieokreśloną obfitość.

W przeciwnym wypadku, wobec dalszego trwania Polaków w bezmyślnym oporze wobec prawowitej, danej od Boga i Kongresu Wiedeńskiego władzy, „prowincja nadwiślańska” pokarana zostanie z całą surowością prawa wojennego. Gałązkę oliwną należało więc przyjąć z pocałowaniem cesarskiej ręki, zanim zastąpi ją żelazna różga i żelazna pięść. Miało to nastąpić już niebawem, czas dany na opamiętanie był krótki.

– On to do Polaków mówi?! – wykrzyknął ktoś, waląc dłonią w stół. – Do Polaków?!!

Rzeczywiście, żądania polityczno-wojskowe były, delikatnie mówiąc, na wyrost. Taki dyktat byłby zasadny w warunkach całkowitej katastrofy militarnej Królestwa, pogromu armii, utraty wszystkich głównych miast i twierdz. W żadnym wypadku nie wobec państwa, co prawda niewielkiego terytorialnie, ale dysponującego nienaruszoną, ćwierćmilionową armią na najwyższym światowym poziomie technicznym.

– Żadnych marzeń, panie carze! – zawołano z drugiego końca kawiarnianej sali.

Poszedł ogólny śmiech i owo sławetne carskie „żadnych marzeń” zaczęto wykrzykiwać z zapalem przy kolejnych stolikach. W ogólnym

rozgwarze ktoś zdobył się na więcej odwagi.

– Jebał cara pies! – przebiło się ponad hałas.

Rytm tej frazy wzbudzał znajome asocjacje i natychmiast ktoś inny powtórzył tę wulgarną propozycję, modyfikując nieco słowa, tak aby lepiej pasowały do melodii rosyjskiego hymnu *Boże, Cara chroni*.

To podziałało jak iskra na proch. Wszyscy poderwali się z miejsc i w tym duchu zaczęli improwizować odpowiedź na imperatorską proklamację. Z początku trochę chaotycznie to wychodziło, trudno było w tych warunkach uzgodnić treść poszczególnych wersów pieśni, ale już po minucie całość wypadła jeśli nie równie monumentalnie, jak pierwowzór, to na pewno bardzo energicznie i z uczuciem:

Pies cara jebał!

W zad przez długi czas!

Tu niektórzy śpiewali z ruska: „w żopu długi czas”, ale następne wersy wyszły już bardziej zgodnie:

Daj mu na tej ziemi

Harde sztorcowanie

Smutnym na pociechę!

Wszem na radowanie!

Dalej już tak jakoś samo wyszło, że z tą pieśnią na ustach wylegli na ulicę, ale tu szybko ta melodia okazała się zbyt skomplikowana jak na prostotę uczuć, które miała wyrazić. Zaczęto więc jedynie rytmicznie wykrzykiwać pierwszą linijkę. Edward przyłączył się od razu. Panna Jadzia z początku troszkę się zarumieniła, ale już po chwili razem ze wszystkimi innymi skandowała z zapałem: JE-BAŁ-CA-RA-PIES!

Rozpierzchły się minorowe nastroje z pierwszej połowy dnia. Jeśli dotychczasowe rosyjskie posunięcia faktycznie mocno podkopały polskiego ducha, tak teraz skutek okazał się dokładnie odwrotny do

zamierzonego. Pękła przeciągnięta struna lęku. W miarę jak rozchodziła się wieść o imperatorskiej proklamacji, ludzie spontanicznie dawali upust swemu oburzeniu. Otwierali okna, stawali na balkonach i wybiegali na ulice, wszędzie zgodnie, choć na różne sposoby wykrzykując swój gniew. Niektórzy podchwytywali parodię moskalskiego hymnu, inni z kolei na antycarski utwór adaptowali czym prędzej kolędę *Wśród nocnej ciszy*:

Wstańcie Polacy, bo was car ogłodzi!

W trudzie i znoju do walki z carami!

Jeszcze inni wrzeszczeli coś po swojemu. Trudno było rozpoznać słowa, ale nie tryskającą z nich złość. Propozycje, co car niezwłocznie powinien, względnie co jemu zrobić należało, były różne, ale pierwsza myśl w tej mierze zdobywała coraz większą popularność. Tłumy gęstniały błyskawicznie. Kiedy Edward i Jadwiga dotarli na plac Trzech Krzyży, ludzka ćma wrzała oburzeniem jak okiem sięgnąć.

Potrącano ich w zamieszaniu, więc porucznik mocno objął swą towarzyszkę w talii. Nie zaoponowała, przeciwnie przytuliła się do niego mocno. Krzycząc razem z innymi aż do zdarcia gardeł, dotarli pod kościół na środku placu. Tu chyba przerwano mszę i na schodach jakiś ksiądz, wymachując krucyfiksem, wraz z grupą wiernych dla odmiany wołali gromko: „Apage, Aleksander!”.

Naprawdę osobliwie to wyglądało, zważywszy, że patronem tej świątyni był car Aleksander I, ojciec egzorcyzmowanego właśnie imperatora. Ta myśl na chwilę otrzeźwiła Edwarda. Rodacy zwariowali, bez dwóch zdań! Powody do obaw były jak najbardziej uzasadnione. Nic się na lepsze nie zmieniło, ale wszyscy naraz przestali się tym przejmować. Jakiś amok ogarnął Warszawę. Gdyby teraz niespodzianie nadjechał tu rosyjski pancernik lądowy, nie można było wątpić, że podniecone tłumy w okamgnieniu rozpiłowałyby go pilnikami na drobne kawałeczki. Czy jednak ten stan ducha mógł cokolwiek w rzeczywistości załatwić?

Do diabła z kartezyjańskimi rozumowaniami! Był Polakiem! Liczyło się tylko tu i teraz! Edward odepchnął od siebie wszelkie wątpliwości. Pękły karby francuskiego racjonalizmu, które nałożono na jego słowiańską duszę. Wzleciał, dał się porwać i ponieść. Stał się, jak inni, szalonym Polakiem, upitym patriotyzmem do utraty tchu. Nie było to rozsądne, ale za to jakie piękne! Zwycięstwo czy przegrana insurekcji były niczym wobec możliwości przeżywania takiej chwili. Cokolwiek się stanie, już na zawsze wejdzie do legendy i pamięci pokoleń fakt, jak dumna Warszawa odpowiedziała zadufanemu w imperialnej pysze Petersburgowi. Właśnie to, nic innego, nadawało i wyłącznie nadać mogło sens polskiej egzystencji. Dla takiej chwili warto było znieść wszystko, co było przed nią, oraz to, co miało nastąpić po niej!

– Panie Edwardzie, panie Edwardzie! – pytała w uniesieniu rozgoryczowana chorąży Barczewska. – Oni nas nie pokonają? Prawda, że nie pokonają?! – Wpatrywała się w porucznika natarczywie, szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami. – Prawda, panie Edku?

– Nigdy! Nigdy nas nie pokonają! Nigdy, Jadziu!

Ich usta spotkały się.

Na środku zatłoczonego, kipiącego narodowymi emocjami placu Trzech Krzyży, pod kopułą bijącego w niebo krzyku JE-BAŁ-CA-RA-PIES!, żuaw śmierci całował ułankę z przybocznego szwadronu generała Plater, to namiętnie, to czule, ale niezmiennie w takim wzajemnym zapatrzeniu, zapamiętaniu, jakby byli tutaj najzupełniej sami.

# Pianola profesora Maxwella

Następnego dnia rano do proklamacji carskiej doszła jeszcze wieść o bulli papieskiej, ogłoszonej w Rzymie wczoraj wieczorem, niewątpliwie z tą pierwszą wcześniej uzgodnionej drogami dyplomatycznymi. Papież Pius IX po ojcowsku napominał niesfornych Polaków oraz wzywał ich, aby podporządkowali się danej im od Boga władzy, w zamian za co car Aleksander zapewni im całkowitą swobodę praktykowania religii katolickiej, a także potwierdzi wszelkie przywileje i posiadłości Kościoła oraz zakonów. Oczywiście pod warunkiem że lokalni hierarchowie jednoznacznie potępią „polski bunt” i okażą wszelką pomoc „legalnym przedstawicielom imperatora”. Ponadto papież powtarzał, że „są środki obrony, po które szczeremu chrześcijaninowi sięgać nie wolno”, i z całą surowością oznajmiał, że każdy duchowny katolicki, który ośmieli się poświęcić „Zawiszę Czarnego” oraz jakikolwiek inny nowy twardochód zostanie natychmiast, bez żadnych dodatkowych procedur wyklęty z Kościoła Świętego. Ekskomunika ta będzie nie tylko natychmiastowa, ale i nieodwracalna, przynajmniej do końca obecnego pontyfikatu. „Zapowiadamy zawczasu, że nie możemy i nie chcemy udzielać łaski odpuszczenia tego grzechu”, oznajmiał papież.

Ci księża, którzy dopuścili się tego występku wcześniej, zostali niniejszym suspendowani i mieli udać się do klasztorów wskazanych im przez lokalnych biskupów, celem odbycia pokuty.

Wiedeń tym razem już nie dementował, a nieoficjalnie wręcz szczyił się tytułem architekta obecnego porozumienia Rzymu i Petersburga, do którego w decydującej mierze przyczyniły się media austriackiego ambasadora przy Stolicy Apostolskiej. Wiedeńska dyplomacja tak wytrwale i w tak czarnych barwach odmalowywała zagrożenie rzymskiego katolicyzmu „polską herezją technikalną”, że Pius IX przeszedł do porządku dziennego nad zaszłościami doktry-

nalnymi i „w imię większego dobra” przystał na projekt krucjaty przeciw Polsce pod patronatem prawosławnej Cerkwi. Tym chętniej że militarna i moralna klęska Królestwa oznaczała silny cios w Garibaldiego oraz jego zwolenników, którzy na Półwyspie Apenińskim wchodzili papieżowi na głowę, i w konsekwencji, kto wie, może nawet fiasko całej włoskiej rewolty. To było owo „większe papieskie dobro”, jak złośliwie wytykała prasa włoska.

Cesarz Franciszek Józef triumfował. Z jednej strony papieskimi rękami utarł nosa Napoleonowi III, biorąc odwet za Solferino, z drugiej zaś Polskę, niewygodnego i narzuconego przez Francję sojusznika, popchnął znacząco w kierunku przepaści, zarazem politycznej i metafizycznej. Jak to ujął dosadnie jeden z prasowych komentatorów, Franciszek Józef posmarował Trauguttowi schody masłem i z wielce zadowoloną miną czekał, aż polski dyktator zechce z nich skorzystać... Ponieważ jednak Austria nie była stroną petersbursko-rzymskiego porozumienia i formalnie w konflikcie Królestwa z Imperium wciąż pozostawała neutralna, *casus belli* nie było i okpiony Napoleon III mógł tylko bezsilnie zgrzytać zębami.

Wczorajsze emocje już się wypaliły, więc odpowiedź warszawskiej ulicy dana Stolicy Apostolskiej nie była już tak gwałtowna i dosadna jak ta skierowana w pierw do Petersburga. Na murach Warszawy pojawiły się równania  $C + P = S$ , czyli Car plus Papież równa się Szatan, względnie trójkąty z tych liter, skierowane wierzchołkiem „S” do dołu oraz liczbą 666 pośrodku. Nazwano je z miejsca „trójkątami wspanokopatrzności”. Aby uniknąć dodatkowych zadrażnień z Rzymem, władze stolicy nakazały niezwłoczne usuwanie tych bluźnierczych malunków, ale przybywały tak szybko, że dozorczy nie nadążali z czyszczeniem ścian. W świadomości ogółu papież stał się jawnym wrogiem i austriacka intryga zaczęła nabierać cech samopełniającej się przepowiedni. Ksiądz Brzóska ogłosił, że powstanie narodowego Kościoła polskiego staje się niniejszym „żywotną koniecznością” i tym razem cenzura zareagowała zbyt późno – skonfiskowano zaledwie końcówki nakładów gazet. Trudno było uznać

taką opieszałość za przypadek. Nowa wojna, tym razem w aspekcie religijnym, została wypowiedziana.

Wobec tego całego rozwichrzenia uczuć nad wyraz skromnie, ale wcale niebagatelnie, prezentowało się spokojne oświadczenie naczelnika państwa Romualda Traugutta, który poniżej fotografii przedstawiającej go w codziennym surducie i binoklach, a nie, jak można oczekiwać zgodnie z protokołem we fraku i przy orderach, w kilku prostych zdaniach oznajmiał, że Rząd Narodowy jest świadom szczegółów zaistniałej sytuacji, śledzi jej rozwój na bieżąco, armia Królestwa czuwa w pełnej gotowości i nie brakuje jej ducha ani broni. Ostatnie stwierdzenie dyktatora: „Nie słowa, choćby największe, będą tu stanowić o czymkolwiek”, poszło w przysłowie powtarzane z prawdziwą satysfakcją w szynkach, kawiarniach i na salonach.

W DIN żadnej pracy dziś nie było. Jediną służbową kwestią poruszoną przez pułkownika Lipskiego była informacja, że nadzór nad śledztwem dotyczącym Łukasiewicza, jak na dobrą sprawę należało się tego spodziewać, objęła osobiście generał Plater. Poza tym wszyscy czterej od rana tylko pili herbatę, czytali gazety i dyskutowali zawzięcie.

– To będzie regularna krucjata przeciwko Polsce – podsumował kwaśno Olszewski. – Z Chrystusem Narodów tak się nie postępuje!

– Krucjata przeciw postępowi i rozumowi! – burzył się Wróblewski. – Mam nadzieję, że Garibaldi teraz szybko odpowie w naszym imieniu tak, że papieżowi w pięty pójdzie! Jeżeli jakkolwiek kraj kiedykolwiek naprawdę zasługiwał na rozbiory to nie Rzeczpospolita, a Państwo Kościelne!

– Ciekawe, co teraz zrobią nasi arcypasterze? – zamyślił się Olszewski. – Bo tutaj z jednej strony wyraźna wola papieska, z którą się nie dyskutuje, z drugiej jednak, panowie biskupi z pewnością nie zapomnieli, czym pachną sznury Targowicy...

– Cmentarzem dla zdrajców! – syknął zaperzony Wróblewski. – Papież z carem, ręka w rękę! To się w głowie nie mieści! Ale skoro

tak, ja mówię: precz z tyranami! Pal licho, ile koron noszą na głowach!

– Przedziwna rzecz... – stwierdził Lipski. – Polak zawsze katolikiem był, aż tu nagle przyszło nam wybierać, czym wolimy być bardziej, Polakami czy katolikami?

– Jedynym wyjściem jest ustanowienie polskiego Kościoła narodowego! – oznajmił stanowczo Wróblewski.

– Ja myślę, że jest jeszcze jedno rozwiązanie – odpowiedział Edward. – I pan naczelnik Traugutt chyba właśnie ku niemu dąży, zapewne z cichym poparciem większości episkopatu.

– No jakie? – zainteresował się Olszewski.

– Przeczekać ten pontyfikat, nie czyniąc żadnych kroków nieodwracalnych. Pius IX to obsesjonat, nienawidzi parowozów, kolei żelaznych, wszelkich machin oraz jakichkolwiek zmian. To człowiek bez mała obłąkany, może nawet nie „bez mała”. Wciąż ciska klątwami na prawo i lewo, bodaj nie ma już we Włoszech patrioty, na którym by nie ciążyła przynajmniej jedna ekskomunika. Sam Garibaldi uzbierał chyba z pięć, ale wciąż pomyślnie robi swoje. Zatem można mieć nadzieję, że następca obecnego papieża będzie rozważniejszy. Dlatego nasz rząd dobrze robi, nie dolewając oliwy do ognia. Sądzę, że nie przypadkiem pan naczelnik w swoim oświadczeniu ani słowem nie odniósł się do papieskiej bulli, wcześniej zaś, z tego co sam wiem, mitygował księdza Brzóske. Zapewne nasz dyktator uważa, że jakoś tam się z obecnym papieżem przemęczymy, unikając zerwania z Rzymem oraz niepotrzebnych sporów religijnych we własnym domu i w obliczu nieprzyjaciela. Moim zdaniem to słuszna polityka.

– Tylko że przykro będzie naszym chłopcom niepoświęconym twardochodem jechać w bój – powiedział Lipski. – Czegoś to nie po polsku...

– Coś wymyślimy! – odpowiedział z przekonaniem porucznik. – Może „Zawiszę Czarnego” poświęci się w obrzędku prawosławnym



albo pobłogosławi po protestancku?

– Nie! Ja wiem! – zawołał szybko Wróblewski. – Tu się trzeba od naszych Żydków uczyć i podejść do sprawy talmudycznie!

– Czyli jak? – spytał Olszewski.

– Skoro papież wzbronił święcić całego „Zawiszę” hurtem, to niech poświęcą każdą jego część osobno! Jeden ksiądz jedno koło, inny armatę, następny kocioł, drzwi... Nikomu przecież za jedną część twardochodu całej ekskomuniki chyba nie dadzą? Ot, na parę tuzinów mniejszych pokut się ją rozmieni...

– Aleś wymyślił, Zygmucie! – parsknął Olszewski. – Może ty sam na rabina się przekwalifikuj.

– Rabinów i cadyków zapytać warto! – Wróblewski uparł się przy swojej propozycji. – W końcu wśród nich też są dobrzy patrioci. Zwłaszcza nasz naczelny rabin Meisels.

– Nie będziemy Polakami, jak czegoś na te papieskie brewerie nie wymyślimy! – rozchmurzył się Lipski. – Ale z papieżem jawnie na udry iść nie wypada, to niezbyt mądrze i niepobożnie. Dobrze więc nasz pan naczelnik robi – zgodził się z porucznikiem.

Dalszą dyskusję przerwało wejście gońca z depeszą eterową, którą odebrali właśnie łącznościowcy rezydujący w południowym skrzydle pałacu Saskiego. Edward oraz obaj fizykaliści mieli pilnie, już za kwadrans stawić się na Zamku w gabinecie dyktatora Traugutta.

– To na pewno będzie tam też profesor Maxwell! – domyślił się Olszewski, zdejmując płaszcz z wieszaka.

– Matematyka... – skrzywił się zniesmaczony do imentu podpułkownik Lipski.

– Na dziś przyjęcia interesantów odwołujemy – zdecydował Edward, poprawiając mundur.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewnił Lipski.

Okazało się, że na dole przed wejściem czekał na nich gotowy lekkochód.

– Od razu widać, że mamy priorytet! – skwitował podekscytowany Wróblewski, wsiadając do środka.

– To na pewno z powodu nowej teorii Maxwella – powtórzył z przekonaniem Olszewski.

Przejażdżka warkoczącym wehikułem była intrygująca, ale bardzo krótka. Lekkochód śmignął przez plac Saski i Krakowskie Przedmieście całym impetem pędni i niecały angielski moment później zahamował na dziedzińcu zamkowym. Tu podbiegło do nich dwu sztyletników.

– Jego ekscelencja pan dyktator oczekuje! Proszę za nami! – polecili wysiadającym.

Zaprowadzono ich do jakiegoś nieoficjalnego apartamentu z widokiem na Wisłę. Sztyletnicy zostali za drzwiami.

Dyktator i profesor już byli w środku. Oprócz nich, o dziwo, także chorąży Barczewska, reprezentująca generał Plater, która wymówiła się od osobistego przybycia pilnymi obowiązkami. Adiutantka zachowywała się z oficjalną sztywnością. Zasalutowała Edwardowi, jak należało starszemu stopniem, ale poza tym cały czas unikała jego wzroku. Czyżby wstydziła się swojego wczorajszego wybuchu uczuć? To dla porucznika Starosławskiego była sprawa daleko większej wagi od wszelkich możliwych rewelacji angielskiego uczonego.

Rozmawiano po francusku.

– Siadajcie państwo! – polecił Traugutt niezwłocznie po powitaniu. – Pan profesor Maxwell ma nam coś niezwykle ważnego do zakomunikowania.

– Jestem niezmiernie zaszczycony i wdzięczny z powodu tak niezwłocznego przyjęcia.

– Skoro pan profesor mówi, że rzecz jest ważna, ja nie ośmielam

się w to wątpić i natychmiast rzucam wszystkie moje sprawy – odrzekł uprzejmie dyktator.

– Mimo wszystko postaram się nie zajmować zbyt wiele czasu, tak cennego w zaistniałych warunkach.

– Przyjaciele mają pierwszeństwo przed wrogami – zapewnił Traugutt. – Słuchamy, profesorze!

– Jeszcze jedna uwaga, za pozwoleniem waszej ekscelencji.

– Maxwell zwrócił się do ułanki. – Proszę wybaczyć, panienko, tę impertynencję, ale jeżeli panienka z moich wywodów czegoś nie zrozumie, proszę pytać bez skrępowania, chętnie wyjaśnię. Pozostałych panów też gorąco do tego namawiam.

– Będę pytać, panie profesorze – zapewniła chorąży Barczewska.

– Czym jest rzeczywistość? – Maxwell przestał się krygować i przeszedł do rzeczy. – Jak państwo mniemają?

– Rzeczywistość polityczna? – upewnił się ostrożnie Edward, zerkaając kątem oka, czy Jadwiga na niego patrzy.

Nie patrzyła.

Siedziała z zagadkową miną Sfinksa, podobnie jak Wróblewski i Olszewski. Ci dwaj z pewnością wiedzieli, do czego Maxwell zmierza, ale wyraźnie nie zamierzali ujawniać tej wiedzy przedwcześnie.

– Nie, panie poruczniku – odparł profesor. – Mam na myśli rzeczywistość w najszerszym rozumieniu tego słowa. Jako wszystko, co istnieje, cały świat, wszechświat, byt.

Edward zmilczał odpowiedź. Nie chciał przy panie chorąży wyjść na ignoranta i nieuka, przyznając się głośno do lekceważenia zagadnień metafizyki.

– Zatem czym jest rzeczywistość? – Maxwell powtórzył swoje pytanie po chwili wyczekującego milczenia.

– To może ja spróbuję odpowiedzieć – odezwał się Traugutt. –

Oczywiście, nie jestem teologiem, ale wydaje mi się, że należałoby w tej mierze przywołać opinię świętego Tomasza z Akwinu, którego zdaniem wszystko, co istnieje, jest skutkiem aktu istnienia, czyli działania boskiego podtrzymującego dalszą egzystencję wszelkich stworzeń po akcie stworzenia.

– Znakomicie, ekscelencjo! – zawołał Maxwell. – A teraz proszę powiedzieć, jak pan sobie wyobraża, czym jest ów akt istnienia?

– Nie mam szczególnych wyobrażeń w tej kwestii – odrzekł z wahaniem Traugutt. – Nie zajmowało mnie to, ale skoro pan pyta, profesorze, jako dobry chrześcijanin i katolik odpowiem: „słowo Boże”.

– Załóżmy, że ma pan rację, ekscelencjo – zgodził się Maxwell.  
– Czym zatem, w swej istocie, jest słowo?

– Drganie powietrza – odparł lekko znudzony i poirytowany Edward.

– To wtedy, gdy wypowiadamy je na głos – stwierdził Maxwell. – A jeśli odczytujemy słowa zapisane w gazecie lub książce? Czym one wtedy są?

– Drganie myśli – rzekł porucznik.

– Ja bym powiedział, że drganiem fal światła, które docierają do naszych oczu i dalej w głąb mózgu, wywołując w nim wibracje nazywane myślami.

– Zatem uważa pan profesor, że słowo Boga jest rodzajem drgań elektrycznych? – zapytał Traugutt.

– Myślę, że można tak to ująć, ekscelencjo. Wszystko, co istnieje, jest drganiem, oscylacją oraz wzajemną rotacją elektrycznych i magnetycznych fluidów, potocznie nazywanych eterem. Chciałbym zwrócić państwa uwagę, że nie jest to żadna wielka nowość. Nasza nauka już od dawna mówi o wiecznym ruchu materii i energii. Najstarsze ludzkie cywilizacje dzielają tę intuicję. Stare księgi hindu-

skie uczą, że wszystko, co nas otacza, jest wibracją prany. Chińczycy z kolei kładą nacisk na harmonię oddziaływań wszelkich rzeczy na siebie nawzajem, czyli rezonans drgań, jak my byśmy powiedzieli.

Otóż więc, ekscelencjo, drodzy państwo, zmierzam do tego, że cała nasza rzeczywistość w istocie nie różni się zbyt wiele od eterowej depeszy, to znaczy też jest drganiem elektromagnetycznym o pewnej częstotliwości, a dokładniej mówiąc złożoną sekwencją różnych częstotliwości, ale niczym więcej poza tym!

– Pan profesor nie widzi różnicy między materią a duchem lub energią? – upewnił się zdziwiony Traugutt.

– W rzeczy samej, ekscelencjo, takiej różnicy nie ma – odrzekł Maxwell. – Są tylko odmienne kody drgań płynów magnetycznych i elektrycznych. Same te płyny z kolei są drganiami wyższego rzędu. To właśnie uświadomiły mi równania wyprowadzane przez tego cudownego chłopca Daniela Teslę.

– Z jego wzorów – wtrącił się Wróblewski – wynika jednoznacznie, że materia i energia są sobie równoważne, są tym samym. To konkluzja o wprost niebywałym znaczeniu dla nauki!

– Energia równa się masa pomnożona przez kwadrat prędkości światła – doprecyzował Olszewski. – Wszyscy trzej jesteśmy zgodni, że należy nazwać to równanie imieniem jego odkrywcy Daniela Tesli.

– Czy to dziecko przypadkiem nie tęskni bardziej za swoją rodziną? – spytała Jadwiga i spostrzegłszy, że wszyscy patrzą na nią ze zdziwieniem, dodała szybko tytułem usprawiedliwienia: – Ja przecież miałam pytać...

– Trudno mi to stwierdzić, panienko – odparł z powagą profesor Maxwell. – Z moim nowym podopiecznym, na gruncie pozamatematycznym zdołałem porozumieć się tylko na tyle, iż dowiedziałem się, że ma on młodszego brata Nikołę, z którym łączy go jakaś szczególna więź.

– Oczywiście, chłopiec zostanie zwrócony rodzicom, których już

powiadomiliśmy, kiedy tylko on lub oni wyrażą taką wolę – powiedział dyktator do dziewczyny. – Do tej pory mały Daniel jest gościem Królestwa.

– Przepraszam, panie naczelniku, już nie przeszkadzam – opowiedziała chorąży Barczewska, rumieniąc się.

– Ale ja chyba trochę się w tym wszystkim pogubiłem – rzekł Traugutt. – Czyżby pan profesor sugerował nam, że jest sposób, który pozwoliłby wejść Bogu w słowo? Zmieniać Jego nieomylny wyroki?

– To byłaby, ekscelencjo, jakaś magia, którą współczesna nauka słusznie się brzydzi – odparł z godnością Maxwell. – A podejrzewam, że również i świętokradztwo. Obawiam się, że zostałem źle zrozumiany.

– Przepraszam, profesorze, jeśli poczuł się pan dotknięty – powiedział Traugutt.

– Z całą pewnością to ja wyraziłem się nieściśle – odparł Maxwell. – Zostańmy jednak przy metaforze Słowa naszego Stwórcy. Otóż ja wyobrażam je sobie nie jako pojedyncze słowo, ale całą księgę. Wszystko już zostało w niej zapisane i niczego nie można zmienić. Myślę wszelako, że istnieje możliwość, aby przerzucić jedną lub kilka stron i przeczytać fragment sąsiedniego rozdziału.

– Czy dobrze rozumiem, że każdy taki rozdział to inna rzeczywistość, a pan profesor chciałby tam zajrzeć? – Dyktator zmarszczył brwi.

– Trafnie pan to ujął, ekscelencjo! Tak, za pozwoleniem Stwórcy, a następnie pańskim oraz z pomocą małego Daniela chciałbym tego właśnie dokonać.

Traugutt zdjął okulary i dłuższą chwilę, wśród wyczekującego milczenia zgromadzonych z namysłem rozmasowywał sobie palcami nasadę nosa.

– Panie profesorze – powiedział wreszcie. – Przyznaję, że jestem tymi rewelacjami niezmiernie zaskoczony, wręcz oszołomiony. I z całym szacunkiem oznajmić muszę, że gdyby ktokolwiek inny mi to zakomunikował, nie traciłbym czasu na dalszą rozmowę. Pański geniusz i dobra sława każą mi jednak dać całkowitą wiarę pańskim słowom. Nigdy nie zawiódł pan naszego zaufania, więc pomimo przepełniających mnie wątpliwości, niniejszym oświadczam, że wierzę panu. Wszelako ufność w tym przypadku to za mało. Będę szczerzy. Uważam pańską propozycję za niewczesną.

– Ekscelencjo, nigdy nie ośmieliłbym się narzucać z moimi próżnymi marzeniami i domagać się ich spełnienia od władz kraju, który znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie i ma całkiem inne, znacznie pilniejsze potrzeby. Sądzę jednak, że da się pogodzić jedno z drugim. Otóż z analizy równań Daniela wynika, że owa inna rzeczywistość może być światem niebywale podobnym do naszego i że znajduje się on całkiem blisko w przestrzeni fazowej drgań. Co więcej, można sądzić, że to również jest Polska, nazwijmy ją dla wygody i odróżnienia „obok-Polską”. Jeżeli pan dyktator się zgodzi, spróbuje nawiązać kontakt z tym równoległym Królestwem i poprosić tamtejszych patriotów o pomoc dla naszej sprawy.

– Czy pan profesor chciałby sprowadzić ochotników z innego świata? – zapytał Edward. – Z których moglibyśmy sformować drugi Korpus Cudzoziemski?

– To są Polacy, nie cudzoziemcy – sprostował Maxwell. – Mieszkańcy obok-Polski z pewnością posługują się tym samym językiem co obecni tu państwo. Myślę, że tym, co ich różni, jest odmienna historia kraju, w którym żyją. To znaczy, do pewnego stopnia byłaby ona podobna do historii, którą my znamy, a od pewnego momentu już znacznie od niej różna.

– Od jakiego momentu? – Chciał wiedzieć porucznik.

– To też chciałbym zbadać.

– A ja – ponownie zabrała głos Jadwiga – w imieniu pani generał Plater chciałabym zapytać, czy dzięki temu będzie można udoskonalić system telegrafu bez drutu?

– Nie wątpię, że tak, panienko, ale chciałbym się co do tego upewnić. W obok-Polsce być może żyje też inżynier Łukasiewicz, z którym chciałbym się porozumieć, a być może też inni geniusze, których nie znamy.

– Zatem pan profesor tego nie wie? – nalegała Jadwiga.

– Nie wiem, ale chciałbym się dowiedzieć. Istnieje bowiem taka możliwość.

– Przekażę więc pani generał Plater, że na razie są to tylko przypuszczenia. I obawiam się, że pani generał będzie przeciwna tym eksperymentom. To również polecono mi przekazać.

– Jak wielkie sumy Królestwo miałoby wyasygnować na ów projekt? – zapytał wprost dyktator.

– Najważniejszą inwestycję już poczyniono, ekscelencjo. Jest nią nasz system telegrafu bez drutu. Wystarczy skorzystać z istniejących wież z induktorami fal eteru. Reszta to tylko niewielki dodatek do nich. Jestem gotów pokryć jego koszt z własnej kieszeni.

– Na to nie pozwolimy! – oznajmił stanowczo Traugutt. – Jaki dodatek ma pan profesor na myśli?

– Pianolę – odparł Maxwell, otwierając swoją teczkę.

– Jaką pianolę? – zdumiał się Edward.

– Nieznacznie zmodyfikowaną... – Profesor rozpostarł na stole płachtę papieru z rysunkiem przedstawiającym wspomniany instrument w przekroju i objaśniał dalej. – Zamiast strun będzie miała ona kable podłączone do baterii butli lejdejskich załadowanych nabojami elektrycznymi o wyliczonej wielkości. Młoteczki pianoli zaopatrzone w styki będą wyzwalać te ładunki w ściśle określonej kolejności i rytmie zapisanym na dziurkowanej taśmie papieru, przewijanej w niej w



zwykły sposób. Tak więc na pianoli o konstrukcji zmienionej według mojego projektu zamiast zwykłej muzyki odegramy fragment elektromagnetycznej harmonii sfer...

– Pan profesor znalazł sposób praktycznego wykorzystania równań Daniela! – zawołał z najwyższym podziwem podekscytowany Wróblewski.

– Ja myślałem, że to przedsięwzięcie będzie wymagać znacznie większych mocy elektrycznych – powiedział Olszewski. – Zupełnie nieosiągalnych w warunkach naszej cywilizacji.

– Nie siła, lecz geniusz, panowie! – uśmiechnął się aluzyjnie profesor Maxwell. – Drzwi do obok-Polski są jak szyfrowy zamek do bankowego sejfu. Można go wyłamać siłą jakimś wybuchem, ale znacznie prościej i dyskretniej będzie wprowadzić właściwy kod...

– I to dziecko naprawdę zna ów kod? – zdumiał się Traugutt. – Jakimże sposobem?

– Daniel Tesla żyje w obu rzeczywistościach jednocześnie – odpowiedział Maxwell. – W naszym świecie wydaje się niespełna rozumu, jednak to tamta druga, jakaś obok-Chorwacja jest jego właściwym domem. Tam Daniem jest dzieckiem niebywale uzdolnionym, ale jak się wydaje, zupełnie normalnym. Lubi wymyślać niezwykle wynalazki razem ze swoim młodszym bratem Nikolą.

– Co się zatem stanie, panie profesorze – zapytał dyktator – kiedy pianola pańskiego pomysłu wyzwoli ładunki elektryczne w zaprogramowanym układzie i skieruje je dalej, jakimś kablem, jak podejrzewam, do wieży induktora eterowego?

– Wyzwolona sekwencja drgań elektromagnetycznych wpłynie na strukturę materii, a zwłaszcza na umysły osób znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie masztu nadawczego.

– Proszę nam to wyjaśnić dokładniej – nalegał Traugutt.

– Na tym etapie badań skutków mogę się jedynie domyślać, eks-

celencjo.

– Czegóż więc się pan profesor domyśla?

– Podejrzewam, że to będzie wyglądało trochę jak sen. Ludzie znajdujący się w zasięgu oddziaływania anteny nadawczej zapadną w stan zbliżony do tego, który w naszym świecie przejawia mały Daniel.

– To znaczy w otępienie! – zawołał oskarżycielsko Edward. – Dostaną pomieszania zmysłów, po prostu zwariują!

– To będzie stan przejściowy, jak sędzę, trwający najwyżej kilka minut i tylko widziany z naszej perspektywy. Natomiast osoby poddane eksperymentowi w swoim subiektywnym odbiorze będą się czuć zupełnie dobrze. Zaczną tylko widzieć i doświadczać zmysłami obok-rzeczywistość. Te kilka minut wystarczy jednak, aby mogli zebrać istotne informacje o tym sąsiednim świecie i powrócić z nimi do nas, kiedy pianola przestanie działać. Tak widzę to na początek.

– Czy pan profesor jest pewien, że po wszystkim nasi wysłannicy będą zupełnie zdrowi na umyśle? – pytał dalej porucznik.

– Będą się zachowywać jak obudzeni ze snu. Zachodzi wyłącznie ryzyko, że zapomną, co widzieli, tak jak zapomina się sny, trzeba zatem zadbać o to, by jak najszybciej ich wspomnienia zaprotokółować.

– Sugeruje pan zatem, że będzie to zjawisko równie naturalne jak sen? – odezwał się Traugutt. – Skoro tak, powinniśmy mieć jeszcze jakieś jego przejawy, oczywiście oprócz przypadku małego Daniela.

– Nie miałem możliwości lepiej poszukać innych podobnych fenomenów, ale myślę, że zarówno pan, ekscelencjo, jak i każde z państwa tu obecnych doświadczyło już kiedyś czegoś podobnego. Mam na myśli sen szczególnego rodzaju, taki, w którym mamy wrażenie, że nie zasnęliśmy, a wręcz przeciwnie, właśnie się obudziliśmy. Kiedy ogarnia nas niezachwiane przekonanie, że całe dotychczasowe życie było snem, a oto właśnie zaczyna się prawdziwa jawa. I przypomi-

namy sobie nawet poprzednie szczegóły tej egzystencji. Ja miewam tego typu sny średnio raz na pół roku, a państwo?

Po dłuższym lub krótszym namyśle wszyscy obecni kolejno skinęli głowami.

– Mogą to być zatem przebłyski obok-rzeczywistości – konkludował profesor Maxwell. – Być może, od czasu do czasu, myśli w naszym śniącym mózgu same bezwiednie układają się w kod otwierający przejście między światami.

– Czyżby zatem w ludzkim mózgu odbywała się jakaś czynność natury elektrycznej? – zapytał Wróblewski.

– Tego nie wiemy, panie magistrze, ale warto by tę rzecz zbadać.

– Przepraszam najmocniej, że się wtrącam nie na temat – odezwał się nagle Olszewski, który od dłuższej chwili wpatrywał się w schemat pianoli Maxwella. – Wydaje mi się jednak, że będzie to dobra wiadomość dla pani generał Plater. Gdyby tak zmienić system odpalania butelek lejdejskich za pomocą innego programu, zapisanego na taśmie perforowanej, łatwo byłoby osiągnąć kilkakrotne wydłużenie czasu oscylacji elektromagnetycznych, potrzebnych do wysłania depezy eterowej, a może nawet udałoby się uzyskać chwilowe wzmocnienie sygnału. Depesze nie będą niknąć tak szybko jak teraz i docierać dalej.

Maxwell i Wróblewski czym prędzej pochylili się nad planem.

– W istocie! – zawołał po chwili profesor. – Nie pomyślałem o tym wcześniej, ale naprawdę można tak zrobić!

– Trzeba by... – Wróblewski wyjął z kieszeni ołówki i natychmiast zaczął korygować projekt. – Trochę zmienić połączenia... o tak i tak...

– Zgadza się – potwierdził Maxwell, oceniwszy poprawki.

– Panowie, to przesądza sprawę! – podjął decyzję Traugutt. – Możliwość wysyłania dłuższych i wyraźniejszych depez eterowych

jest dla nas w obecnej chwili prawdziwym darem niebios. Proszę niezwłocznie przystąpić do budowy takich aparatów!

– Jedna pianola jest już prawie gotowa, ekscelencjo – oznajmił Maxwell. – Pozwoliłem sobie poświęcić tę z mojego salonu, stanowiącą dotychczas przystawkę do fortepianu... – Uczony wyraźnie się stropił, przyznając do tego faktu.

– Nic nie szkodzi, panie profesorze – pocieszył go Traugutt.

– Dziękuję za wyrozumiałość, ekscelencjo. Doprawy niewiele trzeba, aby przystosować fabryczny instrument do naszych potrzeb. Struny wymieniamy na kable i dodajemy skrzynkę z baterią butelek lejdejskich. Najwięcej zacho­du wymaga przygotowanie perforowanej wstęgi, ale tym mały Daniel zajmuje się nad wyraz chętnie. Odnoszę wrażenie, że on chyba nawet woli dziurkować papier, niż pisać symbole matematyczne...

– Podziwiam! – wszedł mu w słowo Traugutt. – Ale teraz chciałbym podsumować, jeśli pan profesor pozwoli. Jeżeli więc pańska pianola zostanie wyposażona w podwójny system funkcji, przydatny zarówno do pańskich eksperymentów, jak i wysyłania przedłużonych depesz...

– To kwestia jednego przełącznika, panie naczelniku! – zapewnił Wróblewski, wpadając dyktatorowi w słowo.

– ... wówczas ani ja, ani generał Plater, jak sądzę, nie będziemy zgłaszać poważniejszych obiekcji – dokończył spokojnie Traugutt.

– Dziękuję, ekscelencjo, tak zrobimy! – zapewnił Maxwell.

– Panowie zaś, jak się domyślam, bardzo chcieliby w tym przedsięwzięciu dopomóc... – Traugutt zwrócił się do Wróblewskiego i Olszewskiego. Obu na te słowa tak się zaświeciły oczy, że dyktator nie czekał już na odpowiedź, tylko kontynuował myśl. – Panowie jednak winni pamiętać, że mają znacznie pilniejsze zobowiązania wobec ojczyzny, które należy wykonać w pierwszej kolejności – rzekł z naciśkiem.

– Pamiętamy, panie naczelniku! – zapewnił Olszewski w imieniu swoim i kolegi. – Kiedy „Zawisza Czarny” opuści Starachowice, niezwłocznie zajmiemy się przygotowaniem jego przeprawy przez Wisłę. Do tej pory jednak chcielibyśmy służyć pomocą profesorowi Maxwellowi.

– A kiedy to nastąpi? – Edward niezwłocznie skorzystał z okazji, by zadać nurtujące go od dawna pytanie.

– W najbliższych dniach – odparł oschle Traugutt, nie kryjąc irytacji. Nie ulegało wątpliwości, że kwestia gotowości bojowej Modelu III była dla niego tematem tabu.

– W takiej sytuacji – porucznik Starosławski pospiesznie zmienił temat – Departament Inżynierii Nowej powinien zawiesić swoją dalszą działalność, a przynajmniej ograniczyć ją wyłącznie do archiwizacji nowych zgłoszeń.

– Proszę postępować według własnego uznania – rzekł Traugutt.  
– Czy coś jeszcze, panowie?

– Trzeba wybrać miejsce eksperymentu – zauważył Maxwell.

– Z dala od ludzkich siedzib – odparł stanowczo dyktator. – Wolelibyśmy uniknąć epidemii zbiorowego somnambulizmu...

– Kłopot polega na tym, ekscelencjo, że na odludziu niewiele się dowiemy – zaproponował profesor. – Trzeba by długo szukać kogoś miejscowego i zapewne będzie to jakiś niepiśmienny chłop, mało zorientowany w bieżącej sytuacji politycznej.

– Gdzie zatem pan profesor chciałby przeprowadzać swoje eksperymenty?

– W Warszawie, ekscelencjo. Najlepiej korzystając z wieży eterowej w samym pałacu Saskim. Nasi ludzie mogliby wtedy szybko wybiec na ulicę i zagadnąć pierwszego napotkanego przechodnia.

– A może lepiej czytać tamtejsze gazety? – zaproponował Edward.

- Znakomita myśl! – ucieszył się Maxwell.
  - Wątpię, czy generał Plater się zgodzi – odparł Traugutt. – To może zakłócić funkcjonowanie całego Wydziału Wojny.
  - Dołożymy wszelkich starań, aby perturbacje były jak najmniejsze. Będziemy przeprowadzać nasze doświadczenia nocą.
  - A czy w obok-Polsce również będzie wtedy noc? – spytał dyktator.
  - To zależy od doboru składowych sekwencji harmonicznycy, ekscelencjo. To znaczy, chciałem powiedzieć, że porę dnia i nocy w wizytowanej obok-rzeczywistości można ustalić dowolnie.
  - Wobec tego nie wnoszę zastrzeżeń – oznajmił Traugutt. – Aczkolwiek zastrzegam sobie prawo zmiany zdania, jeżeli nastąpią skargi na zakłócenia w łączności.
  - Możemy zawrzeć dżentelmeńską umowę, że depesze wojskowe będą miały absolutne pierwszeństwo.
  - Dobrze, profesorze – zgodził się dyktator. – Trzymam pana za słowo. Kiedy mogę spodziewać się pierwszego raportu?
  - Za dwa dni będziemy gotowi do pierwszej penetracji sąsiedniego świata. Myślę, że przez kolejne dwa zbierzemy godne uwagi informacje.
  - Zatem widzimy się tu za cztery dni – postanowił naczelnik państwa. – Żegnam pannę chorąży i szanownych panów!
- Wyszli wszyscy razem, po czym szybko rozeszli się w swoje strony. Wróblewski i Olszewski, jak łatwo zgadnąć, podążyli od razu za profesorem Maxwelllem. Dyktator oddalił się w towarzystwie sztyletników z osobistej ochrony. W ten sposób Edward i Jadwiga znaleźli się nagle w pustym zamkowym korytarzu zupełnie sami.
- A pan porucznik to już nie raczy mnie zauważać?! – wybuchła gniewem dziewczyna.

– Ja??? – zdumiał się niezmiernie Edward. – To chyba raczej panna Jadwiga mnie...

– Najpierw pan hańbi moje dobre imię, całując mnie w miejscu publicznym, przy obcych ludziach, a potem udaje, że mnie nie widzi?! – Ułanka ewidentnie nie zamierzała dawać mu posłuchania.

– Ja myślałem, że to ty, Jadziu, się na mnie gniewasz za wczorajsze.

– Specjalnie uprosiłam panią generał, żeby pozwoliła mi tutaj przyjść, a ty co?!

– Ja... ja... – Edward zrozumiał, że wszelkie tłumaczenia tutaj na nic. – Ja cię kocham! – Przygarnął ją gwałtownie i pocałował w usta, zanim zdążyła wyartykułować kolejną pretensję.

– Ktoś może nadejść... – szepnęła, odrywając się od niego po dłuższej chwili.

– A niech nadchodzi! – Porucznik Starosławski gotów był w tej chwili stawić czoło całej Straży Bezpieczeństwa.

– Nie tu, głuptasie! – Chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. – Znam lepiej Zamek...

Przebiegli dwa zakręty korytarza i ukryli w ustronnej, okiennej wnęce przysłoniętej ciężką aksamitną kotarą.

– I cóż mi teraz pan porucznik powie? – Popatrzyła na niego na poły zalotnie, na poły wyzywająco. – To, co mówi każdej?

– Żadnej pannie jeszcze tego nie mówiłem.

– To skąd nauczyłeś się tak dobrze całować, ty draniu?!

– A niby skąd ty, Jadziu, wiesz, że ja dobrze to robię? Masz może jakieś porównanie...?

– Masz mnie za jakąś lafiryndę?!

– Jesteś moją boginią! Moją Dianą, moją Wenus...

- Mogę przysiąc, że była jakaś Francuzica!
- A choćby był i tuzin, nic nie znaczą przy tobie, Jadziu!
- Pocałuj mnie, draniu! – Zarzuciła mu ramiona na szyję. – Całuj znów tak, jakby Polska miała się zaraz skończyć!

Dwadzieścia minut później spłoszyły ich zbliżające się kroki.

Edward wychynął zza kotary pierwszy, aby Jadwiga mogła poprawić rozchełstany na piersiach mundur. Sztyletnik, który wyszedł zza rogu, wprawdzie rozpoznał młodego oficera natychmiast, ale bynajmniej nie zamierzał się cieszyć ze spotkania, tylko surowym tonem zapytał, co pan porucznik tu jeszcze robi. Usłyszawszy tłumaczenie, że ów się zgubił, rozkazał mu natychmiast iść za sobą do wyjścia.

Edward nie pożegnał się więc z Jadwigą. Nawet nie śmiał obejrzeć się na kotarę za sobą, by nie skierować na nią podejrzeń czujnego sztyletnika. Jednak mimo to wychodził z Zamku w stanie słodkiego oszołomienia, wciąż czując na koniuszkach palców miękkość kształtnych piersi panny chorąży...

Dopiero chłodny wiatr na Krakowskim Przedmieściu uświadomił Edwardowi, że dłużej tak nie wypada, nie uchodzi, no i zdecydowanie nie można.

Że trzeba mu się z panną Barczewską koniecznie ożenić!



# Zemsta starej Iwicy

– Harmata w gotowości! – zameldowano z głębi działobitni.

– Panienska lepiej zakryje uszy – poradził życzliwie generał Hauke-Bosak, zwracając się do Jadwigi.

Chorąży Barczewska zrobiła to bezzwłocznie, dodatkowo wciskając głowę w ramiona, zamykając mocno oczy i prześmiesznie marszcząc przy tym nosek. Nie było to zbyt marsowe zachowanie, ale nie było powodów do zgorzenia, gdyż była dziś ubrana po cywilnemu. Na wyjazd do Modlina włożyła zwykły zimowy strój polskiej szlachcianki – długą spódnicę podszytą na brzegach króliczym futerkiem i krótki lisi kożuszek z kapturem. Rewolwer wprawdzie miała, ale pod ubraniem i nie było go widać. Jej wygląd zatem nie wzbudzał już nijakiego respektu i zapewne dlatego dwaj młodzi adiutanci generała Bosaka tak jej nadskakiwali, że Edward musiał się wręcz przymuszać, aby nie dać któremuś w zęby.

– Ognia! – zakomenderował Hauke-Bosak.

Siedmiocalówka zagrzmiała donośnie.

Echo wystrzału odbiło się metalicznie w głębi kazamat artyleryjskich i niemal równocześnie nałożył się na nie huk eksplodującego w celu granatu Karpowczenki.

– Ledwo pyknął! – wzruszył ramionami ogniomistrz Goleń, który przybył tu z nimi z Warszawy. – A mówiłem, panie generale, że to na nic!

Edward serdecznie znieubił tego człowieka, zanim go poznał, i nie zamierzał zmieniać zdania po zawarciu osobistej znajomości. Wręcz przeciwnie! W DIN takich zaślepionych durni rutynowo pakowali w kaftany bezpieczeństwa, gdy tylko któryś z nich zdążył otworzyć gębę. Tyle bowiem im zwykle wystarczało, by ujawnić wrodzony

brak piątej klepki. Podróż do Modlina odbyli służbowym lekkocho-  
dem generała Hauke-Bosaka, ale w towarzystwie ogniomistrza Gole-  
nia była to mała atrakcja. Całą drogę musieli wysłuchiwać jego tyrad,  
że pociski kumulatywne to bzdura, niedorzeczność i tak dalej.

– Chodźmy! – zarządził generał i pierwszy obszedł działobitnię,  
wchodząc w siwy dym snujący się w ośnieżonej fortecznej fosie.

Znajdowali się na terenie jednej z samodzielnych grup warow-  
nych leżących poza obrębem właściwych wałów twierdzy Modlin.  
Grupa ta składała się z czterech ceglanych działobitni zbudowanych  
na krańcach bardzo głębokiej i szerokiej fosy w kształcie odwróconej  
liter „V”, i rozmieszczonych w tak przemyślny sposób – dwie na  
górze oraz dwie na dnie fosy, u jej krańców – że krzyżujący się wielo-  
krotnie ogień artyleryjski z tych umocnień uniemożliwiał podejście  
do nich od każdej strony, a nawet omiatał wzajemnie ich dachy.  
Sama polska piechota nie miałaby tu żadnych szans, ale wsparta  
przez twarchochód poradziła sobie z tym systemem obronnym w nie-  
spełna godzinę.

Teraz w jednym z ramion owego „V” przygotowano strzelnicę dla  
pocisków Karpowczenki, a w działobitni zamykającej wejście do tego  
fragmentu fosy umieszczano armatę kaliber siedem cali. Cięższej,  
jedenastocalowej nie zdołano sprowadzić i zainstalować w tak krótkim  
czasie. Dobre jednak było i to.

A nawet bardzo dobre!

W płycie pancernej grubości trzech cali, opartej o masywny stelaż  
z grubych sosnowych pni, ziała dziura, przez którą dorosły mężczy-  
zna mógłby zupełnie swobodnie, na wylot przesunąć pięść. Generał  
Hauke-Bosak nie zdobył się na to tylko dlatego, że metal jeszcze  
wprost skwierczał od żaru.

Ogniomistrz Goleń na ten widok złapał się za głowę.

– Panie generale, nie może to być! – Bez wahania zadał kłam wła-  
snym oczom.

– Płyta nie została rozbita, lecz jakby przetopiona... – stwierdził zdumiony Hauke-Bosak, wpatrując się w przestrzelinę.

– Wszystko się zgadza, panie generale – objaśnił kapitan Karpowczenko, podchodząc bliżej. Mówił po polsku z wyraźnym rosyjskim akcentem. – Kiedy moc eksplozji działa na samą siebie, ściśnięty tym sposobem płomień wybuchu osiąga temperaturę wielokrotnie większą niż zwykle. Podejrzewam nawet, że zbliżoną do tej, jaka panuje na powierzchni słońca. W tych warunkach żelazo nie tylko się topi, ale wrze, wręcz momentalnie sublimuje...

– To jakieś szachrajstwo! – powiedział Goleń z uporem. – Żelazo nie śnieg, nie topi się na słońcu!

– Powtórzmy więc próbę – wzruszył ramionami Karpowczenko.

– Wpierw ja to wybadam... – Ogniomistrz wyjął zza pasa młotek i zaczął nim energicznie opukiwać płytę pancerną. – Zobaczymy, czy nie ma tu aby gotowej dziury zalepionej dla niepoznaki gliną!

– O cóż wy mnie podejrzewacie! – obruszył się intendent Sawicki, który zajmował się przygotowaniami do prób.

Goleń nie słuchał. Pukał.

– Przekonaliście się? – zmytygował go w końcu Hauke-Bosak.

– Niech będzie drugi raz... – zgodził się Goleń, patrząc spode łba.  
– Dwa razy pod rząd takiego cudu nie będzie!

Ale był. Za trzecim i czwartym strzałem też.

Ogniomistrz patrzył na podziurawioną płytę z nienawiścią graniczącą z atakiem apopleksji. Gdyby był carem, niewątpliwie kazałby natychmiast zesłać na Sybir rzeczywistość, która tak jawnie drwiła sobie z niego.

– Złóżcie razem dwie takie płyty! – postanowił Hauke-Bosak. – I zwiążcie je dobrze łańcuchami.

– Ale wpierw strzelam ja, naszym porządnym granatem, panie

generale! – zaczął napraszać się Goleń.

– Dobrze, najpierw wy.

Ogniomistrz popędził do działobitni ile sił w nogach, mało się nie przewrócił na oblodzonym stoku fosy.

– Ładujcie mi czerep elaborowany po bożemu! – wrzasnął do obsługi. – Ekrazytem do pełna!

– Radzę panience zatkać uszy mocniej niż dotąd – poradził Jadwidze generał, kiedy znaleźli się w bezpiecznym miejscu na tyłach działobitni, i sam zastosował się do własnej rady. Wszyscy inni poszli za jego przykładem.

Eksplozja była tak potężna i bliska, że jej podmuch skupiony pomiędzy ścianami fosy uderzył w mury działobitni z siłą tuzina huraganów, sprawiając, że wewnątrz powykruszała się zaprawa pomiędzy cegieł, a na zewnątrz na skulonych obserwatorów osypała się z obłego dachu lawina zmrożonego śniegu i lodu.

Jadwiga parsknęła perlistym śmiechem i zaczęła się otrzepywać. Generał również się roześmiał, więc jego adiutanci przyłączyli się obowiązkowo. Edwardowi akurat do śmiechu nie było, bo dostał w łeb jakąś większą grudą, ale w zamian mógł się pocieszyć widokiem podrygów ogniomistrza Golenia, któremu za kołnierz wleciał niechybnie całkiem spory sopel.

Niebawem uparty artyleryjski dogmatyk miał jeszcze więcej powodów do złości. Siedmiocalowy granat burzący, wypełniony w całej objętości kwasem pikrynowym, zdemolował stanowisko doświadczalne w sposób wręcz katastrofalny. Pozrywał łańcuchy mocujące, połamał w drzazgi podporę z sosnowych bali, a same płyty pancerne odrzucił daleko jak kartki papieru. Jednak żadnej z nich nie przebił! W pierwszej płycie wytłoczył tylko nieckę głęboką może na trzy palce, w drugiej na pół cala. Lity, sześciocalowy pancerz zniósłby więc takie trafienie bez żadnych szkód.

– Złóżcie je znowu razem i teraz niech pan kapitan pokaże, co

potrafi! – zarządził Hauke-Bosak.

Wykonanie tego rozkazu trochę się przedłużyło, bo trzeba było przygotować nowy kozioł z belek. Potem dwunastu żołnierzy przytaczycyło po kolei stalowe płyty i umocowano je jak poprzednio. Wgniecenia po wybuchu dobrze do siebie pasowały, więc pomiędzy warstwami stali nie było szczeliny.

Pocisk Karpowczenki bez trudu przepalił je obie na wylot, a na dodatek zespawał razem w miejscu styku przestrzelin. Dziura była trochę mniejsza niż poprzednio, ale męskie przedramię wciąż dałoby się przez nią przecisnąć.

Ogniomistrz Goleń protestował głośno. Nie dało się wszakże ustalić przeciwko czemu właściwie. Wystrzelono cztery kolejne pociski kumulatywne, definitywnie potwierdzając ich skuteczność, a przy okazji tworząc najmasywniejszy durszlak nowoczesnej Europy.

Po obejrzeniu skutków piątego wybuchu generał Hauke-Bosak podszedł do Edwarda i demonstracyjnie wyciągnął rękę.

– Panie poruczniku! – oznajmił głośno wobec wszystkich zgromadzonych. – To pan miał rację, a ja się myliłem. Przepraszam najmocniej i gratuluję!

– Mylić się jest rzeczą ludzką, panie generale – odparł Edward, odwzajemniając uścisk.

Goleń wreszcie nabrał wody w usta i tylko łypał ponuro, kiedy Hauke-Bosak gratulował z kolei Karpowczence.

– Panowie oficerowie – generał zwrócił się następnie do porucznika i kapitana. – Zastanawia mnie jeszcze tylko jedna rzecz. Słyszeliście być może, że John Ericsson zaproponował ostatnio regułę, według której grubość pancerza głównych wież artyleryjskich pancernika winna być równa kalibrowi zainstalowanych w nich dział. Zatem jeżeli inżynier Ericsson wprowadził w życie tę zasadę w przypadku swych najmłodszych dzieci, czyli „Katarzyny” i „Piotra”, które mają jedenastocalówki, powinniśmy spodziewać się na nich równie solid-

nej osłony.

– Mało prawdopodobne, panie generale – zaproponował Edward. – Pancierz wieży na „Monitorze” Ericssona miał osiem cali grubości, a w przypadku pojazdów naziemnych jest to ciężar właściwie nie do udźwignięcia. Moskiewskie pancerniki lądowe będą więc miały najwyżej siedem cali w najgrubszych miejscach, jak sądzę.

Generał Hauke-Bosak zwrócił się do Karpowczenki.

– Jeżeli pański pocisk, kapitanie, przebije trzy złożone razem płyty trzycalowe, będę już zupełnie spokojny.

– Pocisk kumulatywny kaliber jedenaście cali przebije je na pewno, panie generale, ale na razie nie mamy go z czego wystrzelić.

– A siedmiocalowy?

– To duże wyzwanie, panie generale.

– Podejmijmy je zatem!

Niespodziewane obiekcje w tej mierze zgłosił intendent Sawicki.

– Panie generale! – zawołał. – Trzy płyty trzycalowe to już wszystko co jeszcze mamy na stanie. Jeżeli je poniszczymy, a trzeba będzie, nie daj Bóg, jaki twardochód reperować, co wtedy? Niechże pan generał każe choć jedną w całości zostawić.

– Dobrze, dajcie dwie... – Hauke-Bosak namyślał się chwilę. – W zamian niech intendentura opróżni nam jeden sejf i przyśle go migiem tutaj. Obłożymy go tymi dwoma i zmajstrujemy tu sobie własny moskiewski twardochód... – uśmiechnął się filuternie – po czym zobaczymy, jak pan kapitan sobie z tym poradzi.

Przygotowania do tej próby trwały tak długo, że cała delegacja zdążyła zjeść obiad. Edwarda mało co jasny szlag nie trafił, bo w kancynie generalscy adiutanci tak obstąpili Jadwigę, że on sam nie mógł się do niej zbliżyć. Ona zaś nie zamierzała mu w niczym pomagać i beztrudnie flirtowała z podporucznikami artylerii, jak gdyby z oficerem żuawów absolutnie nic ją nie łączyło.

Miarka przebrała się, kiedy namolni absztyfikanci usiedli przy stole po prawej i lewej ręce Jadwigi, odcinając mu wszelki dostęp do niej. Naprzeciw z kolei zajął już miejsce kapitan Karpowczenko.

– Panowie pozwalają sobie na zbyt wiele wobec mojej narzeczonej! – wybuchnął Edward, opierając się oburącz o stół.

– Ogromnie przepraszamy, panie poruczniku, ale nie zauważyliśmy żadnego pierścienia zaręczynowego – odpowiedział bezczelnie jeden z adiutantów. – Zatem mogliśmy mniemać, że panna Jadwiga jest nadal stanu wolnego.

– A fioletowe zaręczynowe kółko wokół pańskiego oka może być? – spytał zimno Edward.

Adresat tej uwagi wstał i zaczął demonstracyjnie rozpinąć mundur. Drugi podporucznik zwrócił się do Jadwigi.

– Cóż panna odpowie na to?

– Powiem... – chorąży Barczewska uśmiechnęła się szelmowsko i zamrugła oczami, udając zmieszanie. – Że skoro pan porucznik Starosławski publicznie deklaruje, że ja jestem jego narzeczoną to... – zawiesiła głos – to ja nie mam powodu temu przeczyć.

– Panowie, zarządzam odwrót! – zawołał z drugiego końca stołu ubawiony generał Hauke-Bosak do swoich przybocznych.

Na tym scysja się skończyła, a Edward bez dalszych przeszkód usiadł koło Jadwigi.

– Ile jeszcze miałam czekać na twoje oświadczenia? – ofuknęła go półgębkiem.

– A zamierzasz za mnie wyjść? – odszepnął z największą nonszalancją, na jaką było go stać.

– To chyba oczywiste!

– Od kiedy?

– Myślisz, że zwykłam się całować z każdym, kto tylko ma na to

ochotę? – obruszyła się. – Całuję się tylko z moim mężem! – stwierdziła stanowczo.

– Czy już mam się nim czuć? – zapytał prowokująco.

– Może... – Zatrzepotała rzęsami.

Edward zapomniał języka w ustach. Potem zrobiło mu się gorąco. To chyba były najdziwniejsze zaręczyny w całej dziewięćsetletniej historii Królestwa Polski. Lecz cóż, wojna i postęp techniki nie mogły ominąć również sfery obyczajów...

Po powrocie na strzelnicę zastali tam już sejf obłożony od tylnej ściany dwiema nowymi trzycalowymi płytami pancernymi oraz dodatkowym arkuszem blachy półcalowej, który forteczna intendentura zdołała jeszcze wygrzebać w jakimś magazynie. Razem z półtoracalową obudową sejfu dawało to w sumie osiem cali grubości pancerza. Dokładnie tyle ile miał „Monitor” Ericssona na swojej wieży działowej.

– Tego nie da się niczym przebić! – Ogniomistrz Goleń odzyskał rezon na widok sterty żelastwa. – Amerykańscy konfederaci sobie z tym nie poradzili, więc i pan kapitan nic tu nie zdziała!

– Założymy się? – Karpowczenko stracił cierpliwość. – Jeśli mi się nie uda, wracam na piechotę do Płocka! Albo pan ogniomistrz per pedes do Warszawy...

– Przybijam! – Goleń popluł na dłoń i wyciągnął rękę do kapitana. – A że stąd do Warszawy bliżej niż do Płocka, ja mogę jeszcze dołożyć sobie gwóźdź do buta! – oznajmił wspaniałomyślnie z niezachwianą pewnością siebie.

Na znak Hauke-Bosaka przecięła Jadwiga.

Na tym przygotowania się jednak jeszcze nie skończyły, gdyż przed zamknięciem pancерnej szafy Karpoczenko na najbardziej oddalonych, przeciwległych półkach, czyli w najbezpieczniejszych, jak się zdawało, kątach sejfu umieścił paczkę naboju karabinowych



oraz klatkę z dwoma szczurami, które wcześniej polecił złapać w podziemiach twierdzy.

– Ogłuchną i posrają się ze strachu, ale ujdą cało – wyprorokował Goleń los gryzoni.

Kapitan bez słowa, osobiście załadował siedmiocalówkę, wycelował ją i odpalił.

Kiedy przebrzmiały echa wystrzału i wybuchu, rozległy się chyba nie mniej donośne, plugawe przekleństwa pana ogniomistrza, który już zupełnie nie krępował się obecnością w towarzystwie niezamężnej panny. Pozostali zaś śmiali się zbyt głośno, by go mitygować.

Słowo się rzekło, w bucie gwóźdź!

Kij, którym Goleń badał głębokość przestrzeliny, dotarł do wewnętrznej powierzchni drzwi sejfu. I mimo kolejnych szturchnięć nie chciało być inaczej, aż wreszcie drewno zajęło się żywym płomieniem. W miarę dłubania w głębi dymiącego mocno otworu, przekleństwa upartego ogniomistrza cichły, a jego mina rzedła.

– Czterdzieści kilometrów marszu z gwoździem w bucie! – Edward nie odmówił sobie słodkiej zemsty na deser. – To doprawdy sprawiedliwa pokuta za brak wyobraźni! Ale też i prawdziwa rozkosz, kiedy szanowny pan go stamtąd wreszcie wyjmie...

Ogniomistrz Goleń jęknął z cicha i więcej się już nie odezwał.

Żeby otworzyć sejf, trzeba było łomami podważać koło poruszające zasuwę, które wygięły się od podmuchu.

W środku okazało się, że wszystkie naboje karabinowe wybuchły, a szczury zdechły, chociaż jedno i drugie przed bezpośrednim ogniem, buchającym z przebitej ściany, osłaniały solidne żelazne półki.

– Struły się dymem? – wyraził przypuszczenie Hauke-Bosak, przyglądając się martwym szczurom.

– Nie, panie generale, zabił je nagły skok ciśnienia – odparł kapi-

tan. – Proszę tylko popatrzeć, jak im ślepia do łbów powgniatało... Ta sama siła pobudziła też spłonki w nabojach, ale każdy inny materiał wybuchowy też odpaliłby w takich warunkach.

– Zatem po przestrzeleniu pancerza pańskim pociskiem nie skończy się na samej tylko dziurze? – upewnił się Edward.

– Zginą wszyscy znajdujący się w pomieszczeniu, w którym do tego doszło, panie poruczniku. Zdetonuje też cała zgromadzona tam amunicja.

– Przekonał mnie pan ostatecznie, kapitanie! – oświadczył Hauke-Bosak. – Niniejszym awansuję pana do stopnia majora, przenoszę i przydzielam do załogi Modlina.

– Ku chwale ojczyzny, panie generale! – zasalutował Karpow-czenko.

– Panie majorze, rozkazuję jak najszybciej sporządzić w tutaj-szych warsztatach tyle pocisków pańskiego systemu, ile pan tylko zdoła.

– Tak jest! Chciałbym też prosić o pozwolenie kontynuowania prób na granatach jedenastocalowych, kiedy to tylko będzie możliwe.

– Zezwalam.

Na tym skończyli. Przy drodze biegnącej obok grupy warownej, w której przeprowadzano eksperymenty, czekał już pod parą general-ski lekkochód, gotów do natychmiastowego odjazdu do Warszawy.

– Panie poruczniku – odezwał się niespodziewanie Hauke-Bosak do Edwarda, kiedy mieli już wsiadać do wehikułu. – Uznaję, że panu też należy się jakaś nagroda z mojej strony... – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Co prawda nie wypada mi pana awansować bez uprzedniego porozumienia z naczelnikiem państwa, ale w zamian mogę zaproponować pannie Jadwidze i panu narzeczeńską prze-jażdżkę moim pojazdem.

– A panowie jak wrócą? – zaproponowała dziewczyna.

– Jazda konna z pewnością dobrze nam zrobi. – Generał obejrzał się na swoich adiutantów. – Zbyt wiele czasu ostatnio spędziliśmy za biurkiem. Poza tym lepiej będzie, jeżeli zostanę w Modlinie do jutra i dopilnuję jeszcze kilku spraw.

– Dziękuję bardzo, panie generale! – zawołał Edward i otworzył drzwi karety motorowej przed Jadwigą.

Hauke-Bosak wydał dyspozycje sternikowi i maszynistom, po czym lekkochód ruszył. Po pięciu minutach opuścili teren twierdzy i wjechali na most na Narwi, a po przebyciu tej rzeki pojechali wzdłuż Wisły z zawrotną prędkością pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, o czym poinformował ich przez tubę głosową uczynny sternik.

– Jadziu... – Edward przysunął się do dziewczyny zapatrzonej w migający za oknem zimowy krajobraz. Delikatnie odwrócił jej głowę ku sobie.

– Jeszcze ktoś usłyszy... – szepnęła niespokojnie.

Było absolutnie wykluczone, aby obsługa lekkochodu mogła słyszeć rozmowy prowadzone w kabinie pasażerskiej. Chorąży Barczewska z pewnością o tym wiedziała, więc jej obiekcję należało traktować raczej jako zachętę do robienia bardziej ekscytujących hałasów. Porucznik upewnił się tylko, że wszystkie tuby głosowe mają szczelnie zamknięte pokrywy. Następnie zasłonił okna.

Zaczęli się całować. Już po chwili ogarnął ich ten sam ogień co wtedy na placu Trzech Krzyży. Znów byli ponad wszystkim i nie bali się niczego. Cara jebał pies!

– Zatem mam być twoim mężem... – wydyszał Edward. – Tak prędko? Jesteś pewna?

– Nie chcę czekać... – odszepnęła gorączkowo. – Chcę żyć! Szybko! Żyć i kochać, dopóki można... Chwytać chwilę, bo przecież

wojna nie będzie czekać. Miłość musi być szybsza od wojny, prawda? Ale czy ty mnie kochasz?

– Tak, Jadziu, Kocham cię!

Wewnątrz było dosyć ciepło, aby bez obawy zaziębienia rozsu-  
płać pannie gorsecik i wydostać bielutkie półkule piersi. Edward  
wytrwale dążył do tego celu w przerwach pomiędzy coraz namięt-  
niejszymi pocałunkami.

– Co też pan robi... poruczniku... – Panna Jadwiga zaczęła się  
bronić w sposób zachęcający do jeszcze bardziej zapalczego  
ataku. – Nie możemy...

– Możemy! – zapewnił ją Edward z całym przekonaniem. – Jeste-  
śmy wszak dziećmi epoki nafty i eteru elektrycznego! Te żywioły nie  
uznają żadnych ograniczeń! Znają tylko chwile, w których istnieją  
skry. Chwytajmy więc chwilę, jak mówiłaś!

– Ależ... ojczyzna...

– Ku chwale ojczyzny! – Przypadł ustami do jej wyzwolonego biu-  
stu.

Chorąży Barczewska zaprzestała oporu i długą chwilę przyjmo-  
wała pieśczętę w milczeniu, jakby się nad czymś zastanawiając.

Z zewnątrz dobiegał stłumiony warkot pędni. Lekkochód turko-  
tał, podskakiwał na wybojach i pędził niestrudzenie, wzbijając za  
sobą tumany śniegu przetykane smugami czarnego dymu z rury  
wytchnieniowej. Moc wrzącej i płonącej nafty pokonywała przestrzeń  
i zmuszała ją do zupełnej uległości, a pasażerom wewnątrz kabiny  
dodawała skrzydeł i odwagi. Czyż teraz można się było zatrzymać?

– Chcę! – powiedziała niespodziewanie Jadwiga dźwięcznym gło-  
sem. – Wszystkiego chcę!

Ogień pędni Łukasiewicza przelał się w żyły Edwarda. Wsunął  
dłoń pod spódnicę. W podnieceniu przyprawiającym go o wirujący  
coraz szybciej zawrót głowy szukał drogi ku górze, ale bez powodze-

nia. W gąszczu barchanowych falban i koronek zupełnie nie był w stanie dostać się do choćby najmniejszego skrawka nagiego ciała na jej udach. Same kolana skrywały dwie warstwy pończoch i lekkochód ze sternikiem temu, kto zgadnie, czy podwijać je w górę, czy też w dół?

– Niech pan nie zdejmuje majtek... – szepnęła Jadwiga, opuszczając rzęsy. – Za dużo z tym zachodu... Proszę je przedrzeć pośrodku...

– Nie wiem, czy dam radę – mruknął skonfundowany Edward, szacując dotykiem grubość i wytrzymałość bawełnianej tkaniny. Bielizna była zacna, zimowa. Rozedrzeć jej jedną ręką nie dało się na pewno. Oburącz też nie było gwarancji czy pierwsze ulegną majtki panny Jadwigi, czy kości jego palców. – Może scyzorykiem? – zaproponował.

– Ja troszkę poprułam niteczki... – przyznała się, rumieniąc. – Tylko proszę sobie o mnie źle nie pomyśleć...

– Nigdy!

– Ja jeszcze dziś rano wcale nie byłam pewna...

– Ale teraz jesteś?

– Tak. Teraz już tak...

Na wolne siedzenie poleciały ich rewolwery.

Chwilę później Jadwiga zakrzyczała z bólu i rozkoszy.

Edward zdobywszy jej wianek, w ostatnim trzeźwiejszym przebiegu myśli przed ostatecznym zapamiętaniem uchylił trochę zasłonę w oknie i tak oboje, złączeni z sobą wspólnym rytmem ciał i oddechów, szeroko otwartymi oczami patrzyli na przebiegające za oknem wierzby w śniegowych czapach, okryte szadzią olchy i połacie pustych pól, rozwijające się i kurczące na przemian, szybko, w spazmach niewolonej dziką prędkością przestrzeni.

Aż wszystko to skurczyło się, stopiło i eksplodowało w roziskrzo-

nym błysku rozkosznej Bieli...

Później zaczęły się szepty, przysięgi, pocałunki.

Oprzytomnieli, kiedy koła załomotały na moście Kierbedzia. Słońce już całkiem zaszło. Warszawę zatapiała ciemność.

Czym prędzej poprawili ubrania, broń znów znalazła się w kaburach. Uporali się z tym wszystkim, gdy lekkochód wjeżdżał na plac Saski. Był jeszcze czas na ostatni przelotny pocałunek, ale pocałować się już nie zdążyli.

– O Boże! – jęknęła z przerażeniem dziewczyna, wyrzawszy przez okno.

Generał Plater przechadzała się nerwowo, tam i z powrotem przed pałacem, niewątpliwie czekając właśnie na nich. Czarna sylwetka w głębokim mroku, przywodząca na myśl głodną strzygę, mogłaby wystraszyć niejednego. Znajomość tożsamości nie była potrzebna. Ale skoro już się ją znało, włosy tym skuteczniej stawały dęba.

Wysiedli, oddali honory wojskowe. Drżenia głosu żadne z nich nie zdołało ukryć. Podobnie jak rumieńców pochodzących bynajmniej nie od chłodu...

Generał Plater popatrzyła na Jadwigę, na Edwarda, po czym znów na dziewczynę. Odgadła. Zacięła usta. Wyraźnie powstrzymała się od wypowiedzenia pierwszych słów, które przyszły jej na myśl.

– Jadźka do domu, raport pisać! – syknęła wreszcie z pasją. – Proszę odwieźć chorąży Barczewską na kwaterę! – rozkazała głośno sternikowi.

– Według rozkazu, pani generał!

Dziewczyna, chowając głowę w ramionach, wsiadła rakiem do kabiny. Nawet kątem oka nie śmiała spojrzeć na Edwarda, kiedy ten zamykał drzwi.

Chwilę później na mrocznym placu Saskim pozostali tylko generał

Plater, porucznik Starosławski oraz powieszony portret margrabiego Wielopolskiego. Dalibóg zanosilo się, że ten ostatni nie będzie tu już dłużej wisiał sam. Edward ze swej strony stokroć bardziej wolałby teraz znaleźć się naprzeciw legendarnego warszawskiego bazyliuszka.

Na swoje szczęście to nie młody oficer żuawów śmierci był dziś największą przyczyną gniewu pani generał.

– Za mną, chłystku! – rozkazała i z wprawą, przenikliwie zagwizdała na placach.

Z ogrodu za pałacem, przejeżdżając pod kolumnadą, przytoczyła się do nich zwykła czterokonna kareta. Obok stangreta siedział jeden sztyletnik, drugi stał z tyłu na miejscu przeznaczonym dla lokaja. Pani generał sama sobie otworzyła, zwinnie wspięła się do środka i skinęła na Edwarda, by wsiał za nią.

Ruszyli gdzieś na północ, ku Nowemu Miastu. Generał Plater milczała w ciemności. Porucznik nie śmiał odzywać się pierwszy ani tym bardziej o cokolwiek pytać.

– Jedziemy do Prochowni – powiadomiła go lakonicznie.

To znaczy do aresztu śledczego Straży Bezpieczeństwa. Wprawdzie Cytadela nadawała się do tych celów znacznie lepiej, ale szacunek dla pamięci narodowych męczenników wykluczał wykorzystanie tamtejszych pawilonów do celów innych niż wojskowe. Po odzyskaniu niepodległości przywrócono więc dawną świetność staremu więzieniu z czasów króla Stanisława. Pytanie tylko, w jakim charakterze Edward miał się tam teraz znaleźć?

Czekano już na nich. Wartownicy otworzyli bramę i drzwi natychmiast, gdy pani generał się im pokazała. Komendant aresztu osobiście wyszedł im na spotkanie.

– Torturowaliście ją? – spytała niecierpliwie.

– Nie, pani generał – odpowiedział komendant, zniżając głos. – Wystarczyło tylko pokazać narzędzia... Na ich widok wyznała nie-

zwłocznie wszystko.

– Prowadźcie do niej!

– Tak jest!

Edward był przekonany, że mówią o Elizie Łupińskiej. Kiedy więc weszli do wskazanej celi i zobaczyli tam młodą, zapuchniętą od płaczu dziewczynę, może dwudziestoletnią, porucznik nie posiadał się ze zdumienia.

– Protokół z przesłuchania i światło! – rozkazała generał Plater, wyciągając za siebie rękę.

Sekretarz komendanta aresztu natychmiast podał jej żądany dokument i usłużnie przysunął zapaloną świecę.

– Pan porucznik mi poświeci, panowie zaczekają za drzwiami.

Polecenie wykonano w okamgnieniu.

– Stefania Aneta Groszkowska – przeczytała Emilia Plater, zerka-  
jąc w protokół. – Dziewiętnaście wiosen... – Pani generał mówiła  
coraz ciszej, ale w jej głosie pogarda i wstręt z każdym słowem  
wibrowały z coraz większą mocą. – Rodzona siostrzenica samego  
Ignacego Łukasiewicza... Takiego człowieka!

– Niech się pani nade mną zlituje! – zawołała dziewczyna, padając  
przed nią na kolana.

– Zlituje? – zdumiała się teatralnie generał Plater. – Sądysz, że ja  
po to tu przyszedłam? Żeby ci wszystko darować?

– Nie wiem, proszę pani... – szepnęła aresztantka, pochylając  
głowę.

– Od jak dawna jesteś kochanicą Łupińskiej?

– Prawie dwa lata, proszę pani... Poznałyśmy się w marcu, nie-  
długo po bitwie o Wiznę... ja... wtedy...

– Zakochałaś się w niej?



– Tak, proszę pani, całym sercem – odpowiedziała dziewczyna trochę mocniejszym głosem. – Ona jedna mnie naprawdę rozumiała, odgadła moją skłonność... była taka delikatna...

Edward poczuł, że się rumieni jak sztubak, słuchając tych wyznań, ale jedno zimne spojrzenie pani generał sprawiło, że natychmiast wziął się w garść i przypomniał sobie o wyuczonych kwalifikacjach. Wyglądało na to, że generał Plater zaplanowała dla niego na dziś pouczającą, pogładową lekcję na temat mrocznych spraw damsko-damskich. W tej chwili zaś osobiście sprawdzała, czy w zeznaniach aresztowanej nie ma istotnych nieścisłości.

– Kiedy Łupińska ci powiedziała, że służy Moskalom?

– Latem, proszę pani... byłam taka szczęśliwa, taka w niej zakochana... Ja naprawdę nie chciałam... nie chciałam zrobić niczego złego.

– Tylko co...? – generał Plater drwiąco zawiesiła głos.

– Liza mi powiedziała, że dzięki temu zapanuje pokój... że Polska będzie wolna... że car jest gotów do rokowań, ale to nasz rząd nie chce z nim mówić, bo sądzi, że ma zbyt wielką przewagę... dlatego jeśli damy Moskalom metodę tenardyzacji, wtedy nasze władze przyjmą kompromis... i wojna się skończy... ja jej uwierzyłam, naprawdę, proszę pani. Wierzyłam jej we wszystkim. Ja poczułam się okropnie, kiedy zobaczyłam te zdjęcia... te moskiewskie molochy...

– Nie wątpię – skwitowała oschle generał Plater. – Zobaczyłaś, że mają pasy człapiące, których plany wykradłaś dziesięć dni wcześniej swemu wujowi, i zrozumiałaś, że Moskale cię zdradzili.

– Ja... naprawdę... nie...

– Milcz, głupia dziewczko! Czy ty rozumiesz, ilu ludzi teraz przez ciebie zginie?

– Ale ja... ze mną... co będzie?

– A jak myślisz?

- Ja chcę żyć...! – załkała.
- Nie bądź bezczelna, mała żmijo.
- Czy pani... Pani przyszła tu patrzeć, jak umieram?
- Przyszedłam spojrzeć w oczy najpodlejszej istocie, jaką spotkałam w życiu.
- Błagam panią o litość! Ja się poprawię... przyrzekam! Odkupię moje winy, tylko proszę dać mi możliwość!
- Napisz list do Łupińskiej. Natychmiast! Wyznaj w nim wszystko, co razem zrobiliście. Jeśli ona w imię waszej miłości weźmie całą winę na siebie, wtedy zastanowimy się nad ułaskawieniem. Jeżeli zaś ona się wyprze, ty zostaniesz jedyną winną, a wtedy...
- Zginę?
- Nie tak prędko. Wpierw będziesz musiała wydać swoich łączników oraz wszystkich innych współników.
- Nic o nich nie wiem! Była tylko Liza!
- Wiele czasu minie, zanim przekonasz o tym swoich oprawców. I będzie bolało, bardzo bolało, więc pisz! Masz podać tam takie szczegóły, żeby ona nie mogła pomyśleć, że tylko podrobiono twój charakter pisma. Od tego zależy twoje życie! Pisz!
- Tak... już... zaraz... – Aresztantka poderwała się z podłogi i zaczęła szykować miejsce przy stole.
- Poruczniku, proszę pomóc! Niech jej przyniosą przybory do pisania.
- Tak jest!

Pisanie ostatniej konfesji panny Groszkowskiej trwało długo, ponad godzinę, ale generał Plater przez cały ten czas nie ruszyła się z miejsca. Zignorowała propozycję Edwarda, że pośle dla niej po krzesło. Kiedy wreszcie dostała list do ręki, przeczytała go uważnie, w milczeniu, a na koniec powiedziała tylko jedno słowo.

– Dobrze! – Odwróciła się na pięcie i wyszła, a porucznik za nią.

Na korytarzu, gdy zmierzali do wyjścia, zastąpił im drogę siwo-  
włosy oficer.

– Pułkownik Jan Michalski, przewodniczący nadzwyczajnego try-  
bunału wojskowego – przedstawił się. – Melduję, pani generał, że  
zebraliśmy się już i jesteśmy gotowi bez zwłoki rozpatrzyć sprawę  
oskarżonej Groszkowskiej.

– Jest winna – stwierdziła krótko Emilia Plater. – Wyrok wykonać  
o świcie.

– Pani generał... – zawahał się pułkownik. – Wprawdzie innego  
wyroku nie sposób sobie tutaj wyobrazić, ale z jego wykonaniem  
chyba trzeba się trochę wstrzymać.

– Dlaczego?

– Inżynier Łukasiewicz już wstawił się za siostrzenicą. Powołuje  
się na swoje wielkie zasługi. Istnieje więc prawdopodobieństwo, że  
wyjedna dla niej u pana naczelnika ułaskawienie, a co najmniej  
zmianę kary śmierci na...

– Romeczkowi tym głowy zawracać nie będziemy! – ucięła dysku-  
sję. – Powtarzam, wyrok wykonać o świcie!

– Ależ tu chodzi o rodzinę samego Łukasiewicza, zbawcę ojczy-  
zny... Możliwe są niebywałe komplikacje natury politycznej...

Generał Plater namyślała się chwilę z kamienną twarzą.

– Słusznie! – stwierdziła wreszcie. – Zróbcie tak, by wyglądało, że  
sama powiesiła się w celi.

To rzekłszy, pani generał wyszła z Prochowni, nie oglądając się za  
siebie. Edward podążał za nią jak cień.

Wsiedli do karety i ruszyli na Mokotów, gdzie w ofiarowanej  
przez Rząd Narodowy willi mieszkała, a obecnie przebywała w aresz-  
cie domowym Eliza Łupińska.

– Rozumiesz już, po co tu jesteś? – zapytała szorstko Emilia Plater, kiedy minęli Stare Miasto.

– Domyślam się tylko, pani generał.

– Młody jesteś, z otwartą głową, więc zapamiętaj to wszystko na przyszłość, żeby się nie powtórzyło, kiedy mnie zabraknie.

– Słucham, pani generał.

– Im wszystkim się wydawało, że szpieg musi mieć wąsy! – parsknęła. – No, może jeszcze być jakaś kokota podpytująca durnia w łóżku, w przerwach między igraszkami, albo cisnąca go szantażem, żeby się ich figle nie wydały. To tak! Ale dwie turkaweczki gruchające sobie słodko na boku? Gdzieżby! „Nie mogą mieć dość silnego motywu”, tak mi powiedzieli. Bo że mężczyzna dla kobiety gotów się ważyć na wszystko albo ona dla niego, o tym w każdym romansie przeczytać można. Ale że baba dla baby, to już się w generalskich głowach nie mieściło! Zbyt nieprzyzwoite! A tak jest i tak bywa... Kiedy próbowałam im tłumaczyć, głupie miny robili i zeza na boki, że niby głodnemu chleb na myśli. Wiary mi nie dali, no więc stało się!

– Czy... – zaczął Edward i natychmiast przeraził się własnej śmiałości. Zamilkł i siedział cicho, licząc, że wzburzona pani generał zapomni, że się odezwał. Nie zapomniała.

– Pytaj! – warknęła. – Przynajmniej ty jeden zadaj mi wreszcie to pytanie, patrząc prosto w oczy! Odpowiem jak na spowiedzi.

– Czy pani generał też... – zająknął się – odczuwa skłonność do kobiet zamiast do mężczyzn?

– Tak.

Przełknął ślinę. Nie wiedział, co ma powiedzieć jeszcze.

– Tak, mam upodobanie do własnej płci, ale nadal jestem dziewicą. Nietkniętą ani od mężczyzny, ani i od kobiety. Owszem, podejrzewali i pomawiali mnie o to zawsze, ale nic więcej. Wstrzymałam się i nie pofolgowałam sobie nigdy, bo taka rzecz wydałaby się prę-

dziej czy później, a wtedy całe dzieło mojego życia poszłoby w niwecz, wybrałam więc to, co ważniejsze. Polska jest moją jedyną kochanką! – Edward poczuł, że jednak się rumieni. – Swój pozna swego – kontynuowała Emilia Plater skryta w cieniu w kącie karety. – Dlatego od razu spostrzegłam, jakiego diabła chowa za skórą pani Łupińska. Po tym, jak pozbyła się męża, bo przyłapał ją na romansie z pokojówką, zaczęłam mieć na nią oko. Tu, w Warszawie od razu zrobiła się z niej wielka pani filantropka, zwłaszcza względem pensji dla młodych dziewcząt. Odwiedzała je często i nadzwyczaj skrupulatnie sprawdzała, czy niewinne panienki na jakieś wstydlive choroby nie chorują... Pomiarkowała się dopiero, jak na osobności dostała ode mnie w pysk, ale wygnać jej z Królestwa nie zdołałam, zbyt sławna już była.

– Ktoś taki jak ona chyba nie weźmie żadnej winy na siebie, żeby ocalić tę uwiedzioną nieszczęśnicę – zauważył Edward, odzyskując profesjonalną jasność myśli.

– Rzecz jasna, że nie – stwierdziła generał Plater. – Ale nareszcie mam solidny dowód przeciwko niej! Jeśli ona teraz się zdradzi i przyzna, wyda na siebie wyrok. To nasze zadanie.

– Rozumiem, pani generał.

Zastukała w ścianę koło siedzenia stangreta, kazała mu przystanąć i podać do środka latarnię. Przy tym świetle porucznik uważnie wczytał się w list Groszkowskiej. Generał Plater milczała. Tak dojechali na miejsce.

Elizy Łupińskiej pilnowały dwie sztyletniczki. Ich widok zaskoczył Edwarda, który zupełnie nie spodziewał się kobiet w tej służbie. Nie było jednak czasu na wydziwianie. Na polecenie pani generał wszedł do willi jako pierwszy. Miał się wykazać sprawnością w demaskowaniu. To był kolejny egzamin. Emilia Plater traktowała go jak ucznia, a może następcę...? Dość dywagacji! Należało skupić się na zadaniu.

– Z czym pan przychodzi, panie oficerze? – Pisarka próbowała się zachowywać, jakby wciąż była panią tego domu. Podała mu nawet

rękę do pocałowania, co zignorował. Z całą pewnością nie zasługiwała na królewskie względy.

– Przynoszę prośbę od pani serdecznej przyjaciółki, która popadła w wielkie kłopoty i błaga panią o pomoc.

– Mam wiele przyjaciółek. Któż to taki?

– Stefania Aneta Groszkowska, siostrzenica inżyniera Łukasiewicza.

– Kochana Stefi! A cóż się jej przydarzyło?

– Została aresztowana pod zarzutem szpiegostwa i zdrady głównej.

Łupińska zbladła, lecz wciąż panowała nad sobą.

– Cóż wyznała?

– Wszystko, proszę pani – mówił wolno porucznik Starosławski, patrząc jej prosto w oczy. – Zarówno jeśli idzie o łączący was stosunek, jak i przekazane pani tajemnice procesu tenardyzacji. – Usta Łupińskiej zadrżały. Edward postanowił, że nie pozwoli jej dojść do głosu. – Co teraz nam pani powie? Wyprze się pani tej znajomości? – naciskał. – Czy może będzie pani zapewniać, że panna Groszkowska była w zмовie z Gallipolim i Kuklinowskim?

– Pan się mną brzydzi, prawda? Pan jest do mnie uprzedzony.

– Przyznaję, że wątpię w to, by posiadała pani wyższe uczucia.

– Proszę się więc o tym przekonać!

– Jak wiele mogą zrobić dla siebie kochający się ludzie?

– Wszystko, panie oficerze.

– Zatem może ją pani jeszcze ocalić przed stryczkiem.

– Jak?

– Biorąc całą winę na siebie. Wtedy ze względu na jej młody wiek, naiwność oraz przez wzgląd na zasługi wuja, ułaskawienie byłoby do

pomyślenia. Zatem jeden szafot zamiast dwóch. Dla pani to już i tak bez różnicy...

– Mam zawisnąć zamiast niej? – Wzruszyła ramionami. – A któż panu naopowiadał, że ja ją Kocham?

– Ona sama – stwierdził krótko i zanim zdążyła obmyślić replikę, zadał decydujący cios. – Była najzupełniej przekonana o wzajemności waszego uczucia, całując pani malinowe znamię nad wzgórkiem Wenery... – Myślał, że te słowa nie przejdą mu przez gardło, więc aż się zdziwił, z jakim profesjonalnym chłodem je wygłosił. Trening z Saint-Cyr zadziałał bez zarzutu.

To Łupińska nie wytrzymała jego wzroku, słów, tonu głosu. Jej spojrzenie uciekło gdzieś w bok, spuściła oczy i popadła w głębokie zmieszanie.

– Z litości jej na to pozwoliłam! – wybuchła. – To ona zadurzyła się we mnie, głupia gąska! Narzucała mi się! Była taka natarczywa! Chciała za wszelką cenę pozyskać moje względy, wciąż robiła jakieś prezenty, wręcz obsypywała mnie nimi, sama dała mi te plany...

Zamarła z otwartymi ustami, pojmując, że właśnie powiedziała zbyt wiele.

– A pani potem oddała je Moskalom. – Edward postawił kropkę nad „i”.

Drzwi od kuchni uchyliły się ze skrzypieniem. Rozległy się powolne kroki.

– Kto tam?! – zawołała zdenerwowana Łupińska, oglądając się za siebie.

– Kostucha – powiedziała lodowato Emilia Plater, wkraczając do salonu.

– Więc jestem zgubiona... – Pisarka osunęła się na fotel.

– Dlaczego zaprzedałaś się Moskalom? – spytała natarczywie pani generał. – Czym cię kupili, suko?!

– Zmusili mnie. Odkryli mój sekret i powiedzieli, że wszystko rozgłoszą. To byłby koniec mojej kariery literackiej... Potem mogłabym być co najwyżej jakąś drugą panią Sand, żalosną skandalistką, a nie otoczoną powszechnym szacunkiem mieszkanką Olimpu... a przecież tam jest moje właściwe miejsce...

– Patrioci bez wahania oddają za Królestwo głowy. Tobie żal było paru książek?

– Moje dzieła były potrzebne całej ludzkości!

– Po co?

– Aby ją podnieść ku wyżynom ducha! Stworzyć nowe, światłe społeczeństwo!

– Kosztem Polski rzuconej w krwawe błoto.

– Taki miałam wybór i tak wybrałam. Nie mogłam zaprzepaścić mojego talentu dla tego tragicznego, nieszczęsnego kraju, niezdolnego do prawdziwego życia, skazanego na wieczne klęski.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

– Tak. Rozumiem cię, wielka, utalentowana pisarko. W zamian teraz ty zrozumiesz mnie. W ten sposób rozstaniemy się bez urazy.

– Pani mówi jak kat.

– Dziś jestem w jednej osobie sędzią, katem i demonem zemsty tego tragicznego, nieszczęsnego kraju. Twoją Nemezis.

– Potrafi pani tylko niszczyć, na śmierć posyłać! Ja chciałam żyć i tworzyć!

– Żeby coś stworzyć, trzeba wpierw coś ofiarować. Nie tylko brać dla siebie i pławić się w hołdach. Ja, zanim kogokolwiek posłałam na śmierć, wpierw sama wychodziłam jej na spotkanie i patrzyłam jej w oczy. Kto chce zachować życie, straci je... Pamiętasz jeszcze, kto to powiedział? Lecz dość o tym! Nie będę się tłumaczyć przed moskiew-



ską dziwką. Czas na ciebie!

– Zatem nie masz już nadziei! Jakże wielka artystka ginie we mnie!

– Szczerze mówiąc, niezbyt wielka. Zwykła błaźnica, której zawa-  
hałam się w porę skręcić kark. A twoje książki nadają się najwyżej na  
czytanki dla dzieci. Zabrakło w nich prawdziwej pasji i głębi, tego, co  
naprawdę czułaś i bałaś się powiedzieć. Nigdy ich nie lubiłam, lecz to  
już bez znaczenia. Niniejszym stwierdzam, że jesteś winna. Sprawie-  
dliwości stanie się zadość.

– Jak... Jak to się odbędzie? Czy wstąpię na szafot w huku i war-  
kocie werbli? – Wstrząśniętej Łupińskiej najwyraźniej jawa mieszała  
się już z improwizacją literacką. – Odejdę przez wszystkich znienawi-  
dzona... zniszczona przez małych ludzi... Genialna i nierozumiana...  
Ach, niech to będzie gilotyna! Będę polską Marią Antoniną!

Uśmiechnęła się przy tym... Edward nie dowierzał własnym  
oczom.

– Marzy ci się zostać męczennicą? – parsknęła pani generał. –  
Było przyjąć męczeństwo wraz z innymi, kiedy była na to pora. Teraz  
nie licz na sławę. Ogłosimy, że umarłaś w wannie podczas kąpieli na  
paraliż serca.

– A naprawdę? – Pisarka oprzytomniała na chwilę.

– Podetniesz sobie żyły.

– Nie wiem, czy umiem, czy zdołam... Skądże wezmę tyle  
odwagi?

– Pomogą ci. – Emilia Plater skinęła na sztyletniczki, które natych-  
miast zbliżyły się i stanęły wyczekująco za fotelem z na wpół omdlałą  
zdrajczynią.

– Czy mogę mieć jeszcze ostatnie życzenie? – jęknęła Łupińska. –  
Proszę o księdza...

– Do nieba się wybierasz, gangreno?! Zbyt wiele już twoich kapry-

sów spełniono. – Generał Plater zwróciła się do sztyletniczek. – Dopilnujcie, aby jej krew spłynęła do kloaki. Żadnych śladów na ścianach i podłodze.

– Tak jest, pani generał! – zaszalutowała starsza z nich.

– Chodźmy stąd, panie poruczniku. Już nic tu po nas.

– Nieee! – Łupińska zerwała się do panicznej ucieczki na oślep, ale jej strażniczki natychmiast sprawnie rzuciły ją na podłogę, przytrzymały. Jedna zaczęła ją wiązać, druga kneblować.

Generał Plater i Edward wyszli z willi, ale jeszcze przez jakiś czas siedzieli w milczeniu w karecie przed domem, nasłuchując dobiegających stamtąd odgłosów i wypatrując jakiegoś ruchu.

Wewnątrz jakby nic się nie działo. Przez kilka minut cisza była zupełna, potem gdzieś blisko, przejmująco zawył pies. Zaraz przyłączył się do niego drugi i kilka następnych. Czyżby żegnały duszę zdrajczynie...? Edward zastanowił się przez moment, czy nie powinien się pomodlić, ale jakoś nie był w stanie prosić o światłość wiekiustą dla wyrachowanej kobiety, która zgubiła Polskę. Czyżby był lepszym patriotą niż chrześcijaninem? Trudno. To nie był problem do roztrząsania dla żołnierza.

Po kwadransie w oknie poruszyła się zasłonka, ukazała się w nim sztyletniczka i zrobiła szybki, wymowny znak krzyża.

– Wracamy! – rozkazała generał Plater na ten widok.

– Już po wszystkim... – powiedział na wpół do siebie Edward, wzdychając mimo woli. – Sprawiedliwości stało się zadość.

– Tak, ale tylko sprawiedliwości! – Pani generał nadal nie odzyskała spokoju. – Niczego to już nie zmieni. Boże, Boże! – wybuchła autentyczną rozpaczą. – Przecież ja to czułam! Wiedziałam! Mogłam temu zapobiec! Czemu jak głupia jakaś czekałam na dowody?! Przecież wystarczyłoby jedno moje słowo, a zaraz zakopaliby ją w lesie! Albo by miała wypadek... Koń by ją kopnął, utopiłaby się gdzieś w

rzece... Jeden rozkaz, a ja go nie wydałam!

– Gdyby pani generał to zrobiła – powiedział Edward z przekonaniem – czym wtedy różniłaby się pani od cara?

Popatrzyła na niego z uwagą.

– Masz rację, mój chłopcze – rzekła w końcu i poklepała go po przedramieniu. – My musimy być lepsi od tyranów. Choćby przyszło za to płacić wielką cenę... – Uspokojona nieco odetchnęła głębiej i uniosła siedzenie obok siebie. Pod nim znajdował się mały schowek, a w nim kilka butelek. Emilia Plater sięgnęła po jedną z nich. – Napijesz się wódki, chłopcze?

– Jeśli pani generał tak łaskawa.

Z wprawą odbiła korek.

– Na zdrowie! – wygłosiła zdawkowy toast i nie zawracając sobie głowy szukaniem szklanek pociągnęła prosto z butelki długi łyk, jak wodę, po czym podała flaszkę oficerowi.

Edward nie miał równego doświadczenia, więc tę samą ilość zwykłej żołnierskiej siwuchy musiał łykać na trzy raty. Oddał butelkę generał Plater, ale ona już więcej nie piła, wetknęła korek i schowała ją z powrotem.

– Mam cię odwiedzić na Szczygłą? – zapytała rzeczowo.

– Będę bardzo zobowiązany, pani generał.

Podała stangretowi adres i poleciła przyśpieszyć. Zajechali przed kwaterę porucznika w dziesięć minut.

– Pani generał, to był bardzo pouczający wieczór – powiedział Edward na pożegnanie. – Z całą pewnością nie zapomnę go do końca życia...

– Nie podlizuj się, smarkaczu! – ofuknęła go, po czym odezwała się już bez gniewu, ze zwykłym, właściwym sobie zniecierpliwieniem i wileńską wymową. – Bacz ty lejtnantczik lepiej, byś mi Jadźki nie

skrzywdzi!

# Obok-Polska

Następnego dnia Edward, korzystając z otrzymanego od dyktatora upoważnienia, sam dał sobie wolne – musiał wiele rzeczy przemyśleć. Zamierzał do obiadu spacerować po mieście, ale szybko i skutecznie zniechęciły go do tego wszechobecne oznaki żałoby po Elizie Łupińskiej. Gazety prześcigały się w ckliwych nekrologach, obowiązkowo na pierwszej stronie. „W czasie wojny muzy milkną, ale czemuż nas opuszczają na zawsze...? Wybitna i utalentowana pisarka-patriotka... zgasła nagle, pozostawiając nas nieutulonych w smutku...” Inni opisując ciało leżące w otwartej trumnie, rozczulali się nad „alabastrową bielą oblicza nadającą Zmarłej uderzające podobieństwo do posągów antycznych i przyszłych, które pod wątpliwość wszelką będą Jej powszechnie wystawiane...”. Tak naprawdę ta trupa biel stanowiła objaw śmiertelnego wykrwawienia.

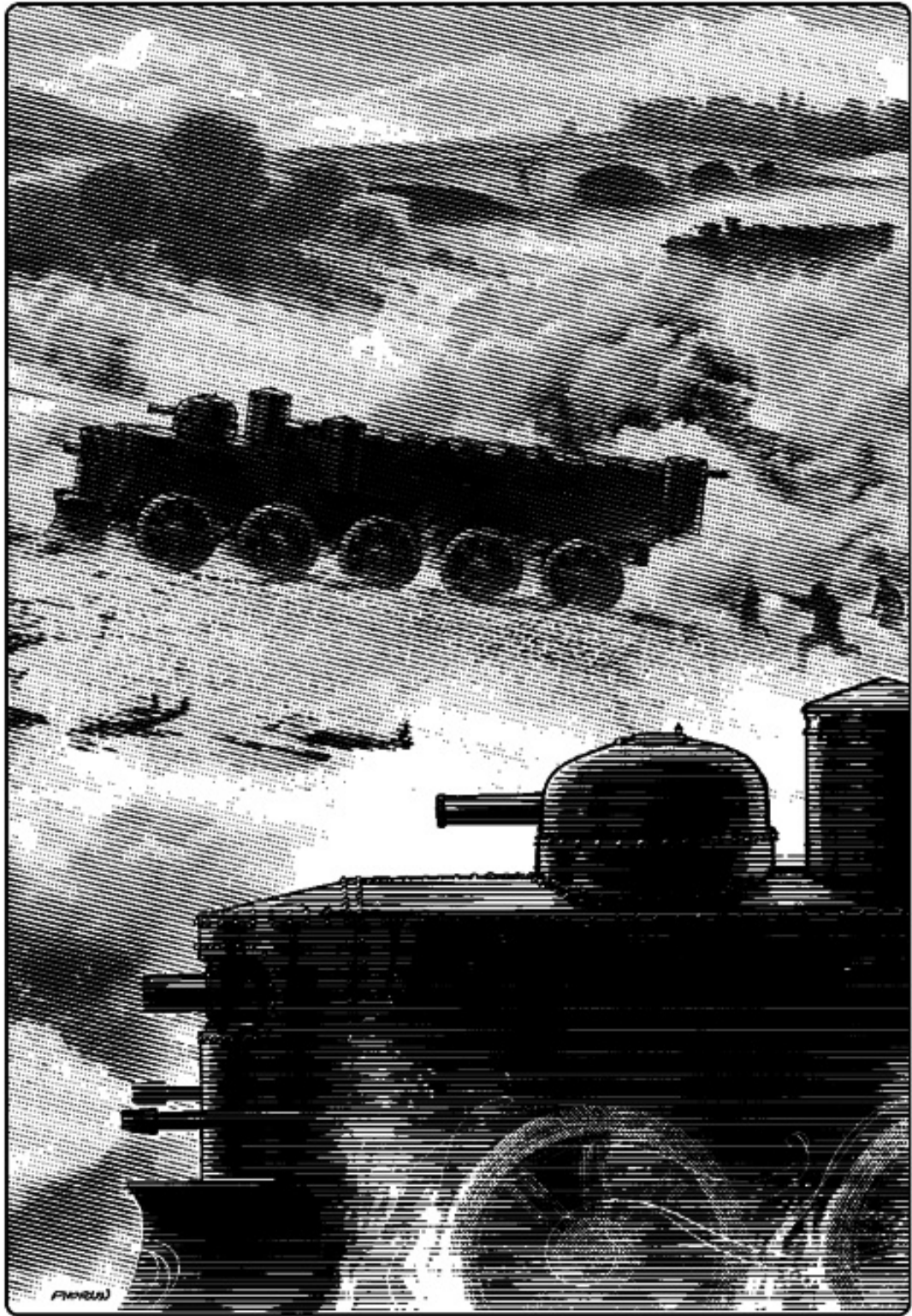
Żółć podchodziła pod gardło, a do tego na niemal każdej kamienicy wywieszono kir. I jeszcze chorągwie pogrzebowe lub wielkie klepsydry na drzwiach kościołów. Nic, tylko się upić! Najlepiej wręcz urznąć na ponuro, do zapomnienia, nieprzytomności i kompletnego sponiewierania. Niemniej były daleko ważniejsze sprawy do załatwienia od głuszenia absmaku po finale sprawy Łupińskiej.

Osaczany zewsząd przez wyrzuty sumienia porucznik umknął wreszcie do Ogrodu Saskiego i przynajmniej tutaj zaznał nieco spokoju, gdyż na przylegającym do parku pałacu żadnych żałobnych symboli nie umieszczono. Generał Plater zabroniła. Młody oficer mógł więc spokojnie błądzić wkoło wzrokiem i już bez dodatkowych sensacji pasować się ze swoimi uczuciami.

Zatem, po pierwsze honor...

Do tego wszystko się sprowadzało. Jednak przyzwoitość, obowiązki i należyte zachowanie były przeciw. Nie można było ot tak, bez pytania... Stanowczo nie wypadało! Ale z drugiej strony czasu

też nie było. Dobrze postąpić już w żaden sposób nie mógł, ale co było gorsze? Czego naprawdę pragnął dla siebie? Czy w ogóle można było myśleć o sobie w takiej chwili?! Lecz jeśli nie teraz, to kiedy? Po tym jak wszystko ogarnie wojenna zawierucha?



A zatem?

Miłość musi być szybsza od wojny!

Jadwiga miała rację, właśnie tak powinno być! Należało więc działać. I to szybko! Wojskowe wychowanie wzięło górę nad konwenansami, Edward obrócił się na pięcie i pobiegł do pałacu. Nie do swojego biura wszakże, lecz do przeciwległego skrzydła, prosto na drugie piętro.

– Chodź ze mną natychmiast! – zawołał, wpadając do sekretariatu generała Plater. – Zgodę już mamy, nie musisz się o nic pytać... – Zdecydowanie naciągał warunki pozwolenia otrzymane przed wyjazdem do Modlina, ale wołał zostać zbesztany za zuchwalstwo, niż dalej bić się z myślami.

Jadwiga tym razem nie oponowała. Od razu wstała zza biurka. Nie miała szabli, co zarejestrował przelotnie i od razu wypchnął to spostrzeżenie ze świadomości. Najważniejsze, by natychmiast wyszli stąd razem!

– Poczekaj chwilę, poproszę koleżankę, by mnie zastąpiła – odpowiedziała bez zwykłej zadziorności. – Pani generał jest u telegrafistów eterowych... – dodała nie wiedzieć po co i wybiegła na korytarz.

Wróciła dwie minuty później z towarzystwem nadąsanej panny chorąży sztabowej.

– Jak mam to wytłumaczyć pani generał, gdy wróci? – zapytała nowo przybyła wyniosłym tonem.

– Sprawa osobista wielkiej wagi! – odparł Edward tonem niedopuszczającym dyskusji. – Pani generał to zrozumie.

Zmienniczka wzruszyła ramionami i usiadła zza biurkiem. Porucznik podał Jadwidze płaszcz, po czym chwycił ją mocno za rękę i pociągnął za sobą.

Tak zbiegli ze schodów i zaczęli iść w kierunku placu Zamko-



wego.

– Dokąd my idziemy? Co chcesz zrobić?! – pytała co chwila Jadwiga, lecz on nie odpowiadał, tylko przyspieszał kroku.

Porucznik zatrzymał się dopiero przed frontem kościoła świętej Anny i odwrócił się do dziewczyny.

– Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? – zapytał zdyszany. – Teraz!

Spodziewał się wybuchu panieńskich fumów i wymówek, ale na szczęście ona też była żołnierzem.

– Tak, Edku.

Pocałowali się szybko i wpadli do kościoła jak burza.

– Prosimy o ślub! Tu i zaraz! – natarli na pierwszego napotkanego księdza bernardyna. Był to postawny mnich w sile wielu, acz bynajmniej nie dobrodusznego oblicza. Usłyszawszy, czego chcą, popatrzył jeszcze bardziej surowo.

– Ależ moje dzieci! – szepnął, marszcząc brwi. – Co nagle, to po... – chrząknął znacząco, by nie dokończyć w domu Bożym tego przysłowia.

– Moskał czekać nie będzie – odparł Edward.

– Błogosławieństwo rodziców macie?

Pokręcili głowami.

– Zatem tylko białe małżeństwo pobłogosławić mi się tu godzi.

Żadne z nich nic nie powiedziało, ale miny tak im się wydłużyły, że ksiądz sam się wszystkiego domyślił.

– Aha – stwierdził krótko. – Zatem tak się sprawy między wami mają...

– Nie chcemy żyć w grzechu – odezwał się porucznik, pokorniejąc.

– No to było go nie popełniać... – Bernardyn skrzywił się, ale nie przewlekał dłużej tej inkwizycji, tylko rozciągnął usta w uśmiechu. – Skoro oboje ojczyźnie służycie, można wam wiele wybaczyć. Zapraszam państwa do zakrystii!

Formalności dopełnili szybko. Trochę dłużej trwała spowiedź, mimo że ksiądz poprosił konfratra do pomocy. Rzecz odbywała się jednocześnie, ale nie zdawkowo, jak się okazało. Oboje zostali prze-maglowani z całego życia, a na pokutę każde dostało do odmówienia całej różaniec, co też bynajmniej nie trwało krótko. W tym czasie obaj księża poszli szukać dla nich obrączek i świadków ślubu. Edward był gotów przystać na pierwszą lepszą parę żebraków, ale powstrzymał go przed tym argument, że uchybi to godności mundurów ich obojga. Ojczulkowie obiecali im znaleźć kogoś zaniejszego, po czym zostawili ich samych, każąc modlić się i czekać.

Porucznik Starosławski, co tu dużo gadać, odklepując zdrowaśki myślał o czymś całkiem innym. Mianowicie, czy po opłaceniu owych świadków i co łaska dla księży bernardynów wystarczy mu pieniędzy z pierwszego żołdu na noc poślubną w przyzwoitym apartamencie któregoś z hoteli rozmieszczonych wokół placu Teatralnego. Na pierścionku zaręczynowym, jakby nie patrzeć, chytrze zaoszczędził... Obrączki miały być na razie mosiężne, kupione w pierwszym z brzegu kramiku przy Barbakanie, ale na ich pierwsze małżeńskie łożo Edward kutwić nie zamierzał. Szkopuł w tym, że wcześniej nie przyszło mu do głowy spytać o ceny, a chodzić teraz z młodą żoną, od „Krakowskiego” przy Bielańskiej przez „Litewski” przy Nowosenatorskiej do „Angielskiego” przy Wierzbowej było czegoś głupio... Może tak od razu, w pierwszym z brzegu wystawić weksel? Najbliżej zaś był „Saski” przy Koziej...

Dobrze, że solenności pokuty przynajmniej nikt nie sprawdzał!

Nagłe i liczne kroki w kościele przerwały mu te dywagacje oraz mało żarliwe modły, budząc profesjonalną czujność. Odwrócił się szybko.

W nawie głównej, bocznych kaplicach i na chórze zaroilo się od sztyletników. Fachowo sprawdzali wszystkie kąty oraz natarczywie zaglądali w twarze modlących się staruszkom. Jednej bez ceremonii ściągnęli chustę, zbyt głęboko naciągniętą na oczy, upewniając się co do jej płci i wieku. Potem wszystkich przypadkowych wiernych zgromadzono w jednej ławce przy drzwiach. Edwarda i Jadwigę zignorowano.

– Bezpiecznie! – zawołał ktoś półgłosem.

Do kościoła wszedł Romuald Traugutt we własnej sobie. Towarzystwo mu uśmiechnięta kwaśno Emilia Plater.

– Ot, i zguba się znalazła! – skwitowała sarkastycznie pani generał. – Chyłkiem ślub, a potem jurne obłapki po kątach... Wydział Wojny Królestwa Polskiego należałoby jak amen w pacierzu na świątynię Erosa przemianować!

Porucznik Starosławski ujął dłoń narzeczonej i oboje czerwieniąc się, ruszyli naprzeciw rozgniewanych przełożonych. Żadne z dwojga matrymonialnych spiskowców nie miało pomysłu, co powiedzieć lub zrobić w dalszej kolejności, więc szli jak na ścięcie.

– Sądziłem – zaczął oschle dyktator – że w tych kwestiach elewa Saint-Cyr uświadamiać nie potrzeba. Osoba na pańskim stanowisku nie może zniknąć bez uprzedzenia. Straż Bezpieczeństwa wszczęła alarm, kiedy okazało się, że pan porucznik wyszedł z domu, ale do biura o ustalonej godzinie nie dotarł.

– Przepraszam, panie naczelniku, ja chciałem...

– Wiem, co pan chciał, i wybaczam panu przez wzgląd na młody wiek i zaszłości uczuciowe. Ale to pierwszy i ostatni raz.

– Tak jest, panie naczelniku! Czy mógłbym...

– Nie traćmy czasu! – przerwał mu dyktator. – Bo mój jest wyjątkowo cenny. Razem z panią generał uznaliśmy, że oboje będziecie potrzebować naprawdę poważnego wstawiennictwa, kiedy wasi

rodzice się o tym wyczytnie dowiedzą.

– Ja wszak obiecałem wam godnych świadków – oznajmił z szelmowskim uśmiechem ich ksiądz bernardyn, wysuwając się zza pleców sztyletników. – Acz sam nie przypuszczałem, że będą aż tak godni!

– Niechże ksiądz dobrodziej już bierze stułę, bo na mnie na Zamku czeka kolejka dużo mniej romantycznych interesantów! – ponaglił go Traugutt.

– Rozkaz, panie naczelniku! – Kapłan zasalutował po wojskowemu i popędził do zakrystii.

– Ja też dziękuję bardzo i przepraszam... – zaczęła Jadwiga.

– Dobrze już, moje dziecko! – Generał Plater szybko pocałowała swoją adiutantkę w czoło i zrobiła nad nią znak krzyża, a Edwardowi pogroziła palcem. – Do ołtarza marsz! – zarządziła.

Dyktator i pani generał zajęli miejsca dla świadków.

Nie było organów, przy ołtarzu nie zapalono świec, a ksiądz wygłosił tylko najniezbędniejsze formuły. Ślub był naprawdę błyskawiczny – dwie minuty i po wszystkim – ale z pewnością niebanalny. Na koniec, wzruszone ceremonią i widokiem znakomitych person kobieciny z ostatniej ławy odśpiewały im *Boże, coś Polskę*, niezbyt unisono, ale za to z naprawdę szczerym zaangażowaniem.

– Serdecznie państwu gratuluję! Pani Starosławska... – Romuald Traugutt ucałował dłoń panny młodej i uściśnął rękę Edwarda. – Może pan zabrać żonę na kwaterę, gospodynię już uprzedzono – zakomunikował.

Sztyletnicy nie opuścili swoich posterunków, tylko uprzejmie kiwali głowami, gdy któreś z młodych małżonków na nich spojrzało.

– Ile im damy urlopu? – zagadnęła generał Plater. – Miesiąc miodowy wykluczony, ale ze trzy dni chyba można by... – podsunęła propozycję.

– Dwa dni – zdecydował dyktator i w otoczeniu swej straży pośpiesznie opuścił kościół.

– Nie zmarnujcie tego czasu – przestrzegła ich pani generał.

– Nie zamierzamy – zapewnił Edward w imieniu swoim i... żony. Właśnie teraz to do niego dotarło. – Pani Starosławska! – Zerknął na Jadwigę.

– Słucham? – spojrzała na niego pogodnie.

– Idę już, bo się rozczuję! – Generał Plater zawinęła się na pięcie. – Jednak najchętniej – rzuciła przez ramię – bym wam obojgu skórę przetrzepała! Ale tym razem pan generał Bosak usłyszy ode mnie to i owo. Jakby nie wiedział, do czego prowadzi zestaw: para smarkaczy i machina płomienista...

– Dziękuję za wszystko, pani generał! – zawołała za nią Jadwiga.

Zgodnie z daną im dobrą radą wzięli dorożkę i pojechali prosto na Szczygłą. Gospodyni już przygotowała dla nich pościel w swojej dotychczasowej sypialni, a sama przeniosła się do sublokatorskiego pokoiku Edwarda. Krótco przed młodymi na kwaterę dotarł kosz z kwiatami, wędlinami, słodyczami i kilkoma butelkami wina dostarczony na polecenie samego dyktatora.

Pani domu w obecności sąsiadów uroczyście pobłogosławiła małżonków świętym obrazem przed drzwiami mieszkania, a od chwili, gdy porucznik przeniósł żonę nad progiem, gospodyni zaczęła się zachowywać, jakby jej tu nie było. Nawet gotowała u sąsiadów, żeby państwu Starosławskim nie przeszkadzać. Ciepłe jedzenie zastawiali na stole, o czym zawiadamiało ich dyskretne pukanie.

Edward i Jadwiga, odcięci od zewnętrznego świata, przed półtora dnia i dwie noce odkrywali tajemnice swoich ciał, układali mozaiki z uścisków i wyznań, piętrzyli pieśzcoty w stopy namiętności, które gorzały dzikim płomieniem, a oni rozpalali je wciąż od nowa. Zasy-piali na krótko, a odpoczywając, wciąż dotykali się w półśnie. Nie zamierzali zmarnować żadnej z danych im chwil i oboje przyłożyli się

do tego zadania naprawdę sumiennie.

Trzeciego dnia rano zjedli drugie i ostatnie śniadanie beztroskich kochanków, po czym włożyli mundury, zaszalutowali sobie nawzajem przed lustrem w przedpokoju, a następnie wzięwszy się pod rękę, poszli razem do pracy.

Od chwili ślubu Edward nie zamawiał żadnych gazet. Gospodyni też o niczym nie mówiła, by nie mącić im krótkiego szczęścia. Dla tego widok, jaki zastali na placu Saskim, naprawdę ich zaskoczył.

Obok szubienicy stał czarny karawan z eskortą pełnego szwadronu Kawalerii Narodowej w uniformach galowych. Portret Wielopolskiego właśnie zdejmowano z pochybla. Kiedy małżonkowie Starosławscy podeszli bliżej, zobaczyli otwartą trumnę, do której na ich oczach włożono rozłączone uprzednio ramy oraz zwinięty w rulon obraz, po czym skrzynię zamknięto i załadowano na wóz pogrzebowy.

– Panie kapitanie, co się tu dzieje? – zapytał Edward dowódcę eskorty.

– To państwo nie wiedzą? – zdziwił się tamten. – Jaśnie pan margrabia w Petersburgu strzelił sobie w łeb! Wobec tego nasz naczelnik Traugutt zwrócił mu honor i zarządził pochówek symboliczny ze wszelkimi szykanami. Zaraz odbędzie się nad tą trumną uroczysta msza w katedrze świętego Jana, a po niej jedziemy z tym obrazkiem na Powązki... – Pochylił się w siodle i dodał ciszej. – Teraz mówią, że z tym starym draniem to nie było tak, jak wszyscy sobie myśleli. Że niby on przed carem za Polską apostołował. A skoro tak, to doprawdy wielka ciekawość bierze, cóż takiego usłyszał, że zaraz potem włożył sobie lufę w usta?

– Jesteśmy wdzięczni za wiadomość, panie oficerze – podziękowała Jadwiga.

Kiedy weszli do pałacu Saskiego, na portierni zakomunikowano im, że dziś w Wydziale Wojny wszelkie zwykłe czynności zostały

odwołane. Oni zaś, podobnie jak cała adiutantura najwyższych osobistości w państwie mają niezwłocznie udać się do katedry, by towarzyszyć swoim zwierzchnikom, którzy właśnie tam zmierzali lub byli już na miejscu.

Powóz dla państwa Starosławskich podstawiono w angielską chwilę. Do świątyni dojechali więc zaraz za karawanem i weszli do środka, kiedy ustawiano trumnę na katafalku. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to Emilia Plater w mundurze generalskim, w którym nie widziano jej już od bodaj roku. Z kolei naczelnik państwa Romuald Traugutt był dziś niezwykle wyniosły i nieprzystępny, ale raczej nie dlatego, że wyjątkowo włożył frak z szarfą orderu Orła Białego. Na ile porucznik Starosławski zdążył poznać swojego szefa, był on tylko z pozoru monarszo dostojny, w rzeczywistości zaś po prostu wściekły, ba, chyba wręcz się w nim gotowało!

Jadwiga niezwłocznie dołączyła do swoich koleżanek towarzyszących pani generał, a Edward do pozostałych pięciu adiutantów dyktatora, których dziś po raz pierwszy zobaczył wszystkich razem. Ledwie się przywitali i zamienili parę słów, zaczęła się msza żałobna. Podobno władze kościelne zgodziły się na nią, gdyż nie było zupełnej pewności, czy Wielopolskiemu w zejściu z tego padołu ktoś nie dopomógł, ale jak zdążył szepnąć jeden z oficerów, był to nader mało prawdopodobny i naciągany pretekst. W istocie modlili się za samobójcę z przyczyn honorowych.

W trakcie nabożeństwa odczytano fragmenty Księgi Hioba, a z Nowego Testamentu ten, w którym Chrystus wybacza jawno grzesznicy. Kiedy padły słowa: „Czy nikt cię nie potępił?”, Edward zauważył, że naczelnik Traugutt odwrócił głowę i utkwiał wzrok w generał Plater.

Po mszy do porucznika Starosławskiego zbliżył się sztyletnik i zakomunikował, że naczelnik państwa życzy sobie go widzieć natychmiast w swoim gabinecie. Edward niezwłocznie poszedł więc na Zamek i tu okazało się, że generał Plater wezwano także, co więc

cej, ona wcale nie miała wejść do dyktatora przed młodym oficerem.

Poproszono ich razem.

Traugutt do tej pory zdążył zdjąć order. Sądząc po jego zaciętych ustach i roziskrzonym wzroku, chyba tylko po to, by szarfą orderową zaraz kogoś tu udusić.

– Moi państwo – zaczął mówić dyktator, z wyraźnym wysiłkiem zmuszając się do spokoju. – Dziś rano doniesiono mi, w jaki sposób potraktowano panią Łupińską. Doprawdy, brak słów! – podniósł głos.

Edward był przekonany, że pani generał nic a nic sobie z tej reprimendy nie robi i że zaraz padnie owo przesławne „Romeczku”, ale oto przyszło mu przeżyć kolejne zaskoczenie i zdumienie w dniu dzisiejszym, a właściwie największe w całym dotychczasowym życiu.

Generał dywizji Emilia Plater wyprężyła się na baczność przed naczelnikiem państwa i w milczeniu słuchała, co miał do powiedzenia. A miał wiele. Ten stanowczy, lecz łagodny z natury człowiek, teraz po prostu stracił nad sobą panowanie.

– Majestat śmierci! – wybuchnął dyktator. – Nawet najgorszy zbrodniarz w obliczu nieuchronnej śmierci zostaje wywyższony z powrotem do godności dziecięcia Bożego! Ma prawo do pojednania z Bogiem i odrobiny ludzkiego miłosierdzia! A cóż państwo zrobili?! Gdzie był majestat śmierci kobiety, którą przemocą posadzono na ustępie i wykrwawiono, przekłuwając jej tętnice pachwinowe, żeby śladów w widocznym miejscu nie było? Jestem wstrząśnięty do głębi!

– Całą odpowiedzialność biorę na siebie – oznajmiła słuźbiście generał Plater. – Udział porucznika Starosławskiego sprowadzał się wyłącznie do przeprowadzenia rozstrzygającego przesłuchania podejrzanej. Pan porucznik aż do tej chwili nie wiedział, jaką metodą rzecz się odbyła.

– Czy tak? – dyktator zwrócił się do Edwarda. – Daje mi pan na to oficerskie słowo honoru?



– Daję, panie naczelniku!

– Przyjmuję je. – Dyktator zapomniał o poruczniku i wszystko skrupiło się teraz na pani generał. – Jakże pani mogła tak postąpić?!

– A cóż, do licha, miałam zrobić? Ubrać się w kieckę grecką i podać jej puchar cykuty? – Generał Plater ewidentnie wyczerpała już cały swój zapas pokory. – Mamy wojnę i prawa wojny! – podkreśliła z mocą. – Jak pan naczelnik wyobrażał sobie tę egzekucję?

– Proszę nie nazywać tego rzeźniczego aktu egzekucją! – wykrzyknął do niej. – Na to nie ma słowa w żadnym z języków białych ludzi!

– Ależ jest, panie naczelniku – odparowała spokojnie Emilia Plater. – Brzmi ono: „makiawelizm”.

– Pani śmie mniemać, że wyświadczyła mi przysługę?!

– Mieliśmy wobec tego spowodować powszechny skandal i zwątpienie, wieszając Łupińską jawnie, w majestacie prawa? Jeżeli bowiem „muza i sumienie Królestwa” zdradziła, to komu można ufać?

– Nie miałem na myśli publicznego procesu i kary, ale uczynienie zadość podstawowym prawom boskim. Należało potraktować ją jak człowieka, sprowadzić księdza, jak chciała!

– O wa, może jeszcze miałam do Rzymu po dyspensę dla zdrajczyńi posłać? Nie ma miłosierdzia dla wrogów Królestwa! – Teraz zdenerwowała się już pani generał. – Łupińska żyła podle i skończyła tak, jak żyła.

– Miała prawo do rozgrzeszenia – powtórzył dyktator.

– Sądzi pan naczelnik, że ja pokrzyżowałam Bogu plany? Myślę, że co najwyżej skierowałam duszę pani Łupińskiej do apelacji z pominięciem niższych instancji.

– Pani generał mnie czasem przeraża.

– Nieśluszenie, panie naczelniku. Nikt, kto dobrze służy naszemu Królestwu, nie ma powodu obawiać się ani mojego gniewu, ani nielojalności.

– Jest jeszcze Królestwo Niebieskie, szanowna pani generał. Pani zapomina o obowiązkach wobec naszej wyższej ojczyzny.

– Czuję powołanie tylko do obrony tej na ziemi. Na górze poradzą sobie bez nas.

– Najgorszym wrogom winniśmy elementarne miłosierdzie – rzekł z godnością Romuald Traugutt, odzyskując spokój. – Takie jest moje najgłębsze moralne przekonanie, proszę pani generał, i dopóki ja jestem dyktatorem w tym kraju, moja wola będzie tutaj powszechnym prawem.

– Nie ośmieliłabym się tej woli kwestionować, panie naczelniku. Proszę podjąć decyzję, dostosuję się do każdej.

– Ja w przeciwieństwie do pani generał nie będę uzurpować sobie boskich prerogatyw. Za sposób potraktowania Elizy Łupińskiej odpowie pani przed Bogiem. Pozostałe okoliczności polityczne uznaję za konieczne.

– Dziękuję, panie naczelniku.

– To nie wszystko, pani generał. Mimo wagi przyczyn, nie mogę się zgodzić z takim zanikiem rycerskiego obyczaju. Pani siepaczki zostają niniejszym zdegradowane do stopnia szeregowca, wydalone z szeregów Straży Bezpieczeństwa i skierowane do służby więziennej. Nie widzę, aby były w czymkolwiek lepsze od upadłych kobiet i przestępczyń, które odtąd będą pilnować.

– Tak jest, panie naczelniku. Przypomnę jednak, że to ja wzięłam na siebie całą odpowiedzialność.

– Ja też znam słowo „makiawelizm” i wiem, że pani generał kocha swoje podwładne jak matka. Ponadto, jako żywa legenda jest pani dla nas zbyt cenna i pożyteczna, aby narażać ją na publiczny szwank.

Natomiast zapowiadam, że jeszcze surowiej ukarzę każdego, kto ośmieli się wykonać kolejny pani rozkaz tego rodzaju. Siwej głowy nie tknę, lecz przetrączę rękę. Zrozumiała pani?

– Tak, panie naczelniku... – Stara lwica wyraźnie straciła pazur.

– Przejdźmy zatem do dalszych spraw. Jak pani generał ocenia talenty porucznika Starosławskiego?

– Zdolny i obowiązkowy. – Generał Plater nie spojrziała na Edwarda nawet kątem oka. – Niesubordynowany w sam raz tyle, ile potrzeba. Poza tym niewyrobiony szczaw i dzięcielina, ale ma szczeniackie szczęście. Powiedziałabym więc, że z niego „czterolistna dzięcielina”, panie naczelniku.

Edward poczuł, że zaczyna pałać rumieńcem.

– Czy można zatem powierzyć mu poważniejsze stanowisko?

– Można, panie naczelniku. Prędeż od tego spoważnieje.

– Wobec takiej rekomendacji, poruczniku Starosławski – oznajmił Traugutt – z mojego rozkazu uda się pan jutro do Starachowic celem dokonania formalnego odbioru gotowego „Zawiszy Czarnej”.

– Tak jest, panie naczelniku! – zawołał z entuzjazmem Edward i zasalutował.

– Następnie – kontynuował dyktator oficjalnym tonem – będzie pan nadzorował przeprawę Modelu III przez Wisłę i Wieprz oraz całą jego drogę na linię frontu, gdzie przekaże pan tę maszynę jej właściwemu dowódcy, którego mianuję w stosownym czasie.

– Tak jest! – powtórzył Edward.

– Spocznij. Jakież pytania?

– Czy otrzymam do dyspozycji lekkochód?

– Nie, pojedziecie taboronem „Juliusz”, który niniejszym przeznaczam do wyłącznej obsługi Modelu III. Oczywiście panowie Wróblewski i Olszewski jadą z panem. A z wami także major Jasiński, którego

sekcja Straży Bezpieczeństwa jest już na miejscu, jednak to pan będzie dowodzić w moim imieniu. Ponadto w Starachowcach otrzyma pan porucznik do dyspozycji dwie kompanie strzelców Taniewskiego dla zapewnienia pełnego bezpieczeństwa konwoju.

– A husaria ogniowa, panie naczelniku?

– Będzie na was czekać w Dęblinie, podobnie jak ciężka amunicja artyleryjska, którą załadujecie dopiero po sforsowaniu obu rzek. Pociski systemu Karpowczenki też zostaną dostarczone do twierdzy dęblińskiej i tam je pobierzecie. Wszystko jasne?

– Tak jest, panie naczelniku! Jestem niebywale zaszczycony okazanym mi zaufaniem i obiecuję dołożyć wszelkich starań...

– Ty nam, chłopcze, nie dokładaj żadnych starań, tylko zrób wszystko jak należy! – prychnęła generał Plater, odzyskując zwykłą werwę.

– Tak jest, pani generał! Czy, za pozwoleniem pana naczelnika, mógłbym jeszcze zadać jedno pytanie?

– Proszę.

– Dlaczego dziś opłakiwaliśmy margrabiego Wielopolskiego?

Dyktator sposepniał.

– Ponieważ służył Polsce.

– On? – zdumiał się znowu Edward. – Jakim to sposobem?

– Świętej pamięci pan margrabia Aleksander Wielopolski jako jedyny w ostatnim czasie Polak miał bezpośredni dostęp do cara Aleksandra II i usilnie starał się wykorzystać ten stosunek dla dobra Królestwa. Margrabia Wielopolski wytrwale próbował mediować, był poniekąd naszym ambasadorem w Petersburgu, a na pewno jedynym pośrednikiem, któremu los Polski naprawdę leżał na sercu.

– A portret na szubienicy?

– Służył raczej jego uwiarygodnieniu niż potępieniu.

– Co się zatem stało, panie naczelniku?

– Nasi informatorzy jeszcze nie przekazali bliższych szczegółów zajścia. Wiadomo tylko, że margrabia zabił się krótko po rozmowie z carem. Podobno wyszedł od imperatora bardzo głęboko poruszony. Można się tylko domyślać, że rozmowa dotyczyła reakcji ludu Warszawy na cesarską proklamację. Przyznaję, że ja osobiście wolałbym, aby była ona znacznie bardziej umiarkowana w tonie i w epitetach.

– Nie mogło być inaczej, panie naczelniku – rzekł Edward po trosze z przekonaniem, a po trosze tytułem usprawiedliwienia własnego udziału w tej demonstracji.

– Wiem, poruczniku. Dobrze wiem, jak zapalczego narodu przyszło mi być wodzem. Jednak ta świadomość w niczym mojego zadania nie ułatwia. Jeszcze coś pan porucznik chciałby wiedzieć?

– Czy mogę się odmeldować, panie naczelniku?

– To jeszcze nie wszystko – powstrzymał go Traugutt. – Profesor Maxwell za chwilę przedstawi nam swój kolejny raport i państwa obecność uważam za wskazaną. Pokój ten sam co poprzednio, proszę zaprowadzić tam panią generał, jeśli pan porucznik zna drogę.

– Trafię, panie naczelniku.

– To dobrze, bo o ile mnie pamięć nie myli, poprzednim razem mi pan tu w Zamku zabłądził... – dyktator spojrzał na adiutanta spod oka, ale już nie dokończył tej myśli. Popatrzył z kolei krytycznie po sobie. – Ja muszę się wreszcie przebrać w normalne ubranie, dołączę za dziesięć minut.

– Odmeldowujemy się! – stuknęła obcasami generał Plater.

Kiedy wyszli z sekretariatu, Edward pokazał jej którądy iść, po czym ruszyli niespiesznie zamkowym korytarzem.

– A mnie się te szkockie czary nie podobają! – oświadczyła półgłosem Emilia Plater, kiedy zostali sami. – Zupełnie nie! Wolałabym, uważasz lejtnantczik, raczej ducha Łupińskiej spotkać, niżli to, co

ostatnio, zobaczyć...

– Co się stało, pani generał?

– Zasiedziałam się wczoraj w biurze do nocy i wychodziłam, jak oni już te swoje eksperymenty z pianolą zaczęli. Byłam akurat przy oknie na plac Saski, a tu nagle niebieskie skry po ścianach i suficie poszły, jakby kto kota w czasie burzy głaskał. Po chwili patrzę z okna, a tam na placu sobór prawosławny!

– Jaki sobór, panie generał?

– A czort jego zna! Wielki jak katedra! Jak ten koło Kremla w Moskwie. A do tego dzwonnica, większa niż obelisk zdrajców, co tam wcześniej stał. Nie zdążyłam się przyjrzeć, bo zaraz mi się w oczach zaćmiło i widziadło znikło. Ale mówię ci, lejtnantczik, mnie się to nic a nic nie podoba!

Dotarli na miejsce i przywitali się z oczekującym już profesorem Maxwellem oraz towarzyszącymi mu fizykalistami. Uczni wyglądali na zakłopotanych i nie kwapili się z udzielaniem jakichkolwiek informacji przed przybyciem dyktatora. Ten zaś nie kazał im na siebie długo czekać ani nie przedłużał ceremonii powitalnych.

– Prosimy, profesorze! – Traugutt zajął swoje miejsce.

– Obawiam się, że nie mam zbyt dobrych wiadomości – rzekł Maxwell, popadając w jeszcze większą konfuzję. – Zacznę może od najbardziej niemiłej wiadomości. Otóż w obok-Polsce insurekcja styczniowa upadła po niespełna dwóch latach. Natomiast pan, eksce-lencjo... – uczony urwał zmieszany. – Doprawdy nie wiem, jak mam to ująć.

– W prostych, żołnierskich słowach, panie profesorze – odparł Traugutt.

– Został pan schwytany i powieszony 5 sierpnia 1864 roku. Tu w Warszawie.

– Na Cytadeli, jak inni? – spytał cicho dyktator.

- Tak, ekscelencjo, bardzo mi przykro...
- Proszę powiedzieć nam wszystko, co pan profesor ustalił.
- I co to za przeklęty sobór? Ten na placu Saskim! – chciała wiedzieć generał Plater.
- Świętego Aleksandra Newskiego, proszę łaskawej pani. Budowę rozpoczęto w 1894 roku, jako znak dominacji Imperium nad Polską.
- Mam nadzieję, że ja tego nie dożyłam!
- W istocie. Pani w tamtym świecie zmarła w kwiecie wieku...
- Zginęłam w jakiejś bitwie?
- Wskutek choroby. Zejście nastąpiło dokładnie 23 grudnia 1831 roku.
- Co takiego?! – Emilia Plater nie posiadała się z oburzenia. – Byłam młoda, silna, zdrowa jak rzepa i jakieś głupie przeziębienie miałyby mnie zabić?! Tamten świat to jakiś niedorzeczny absurd!
- Można i tak to ująć – ostrożnie zgodził się Maxwell. – Jednak przytoczone przeze mnie fakty są całkowicie realne dla ludzi żyjących w obok-Polsce.
- Ja tam spłonąłem żywcem... – zakomunikował ponuro Wróblewski.
- To inkwizycja też tam jeszcze działa? – zdumiał się niezmiernie Edward.
- Nie, zdarzył się wypadek. – Fizykalista popadł w wisielczy humor. – Spotkał mnie los ćmy w płomieniu lampy Łukasiewicza, którą przypadkiem na siebie przewróciłem.
- Jest też i dobra wiadomość – wtrącił Olszewski. – Zanim doszło do tego nieszczęścia, my obaj, w tamtym świecie zdołaliśmy skropić powietrze, a nie tylko amoniak, jak tu.
- Wpierw bardzo zimno, potem bardzo gorąco, czyli w sumie let-

nio mi będzie... – skwitował zde gustowany Wróblewski.

– A co z inżynierem Łukasiewiczem? – spytał Edward.

– Jest ogólnie szanowanym aptekarzem – oznajmił Olszewski. – I wynalazcą lampy naftowej... Tylko lampy – zaznaczył kwaśno.

– A twardochody? Pędnia Łukasiewicza? Tenardyżacja?!

– Nikt w obok-Polsce o tych wynalazkach nie słyszał – oznajmił profesor. – Tamtejsze siły powstańcze były niezwykle prymitywnie uzbrojone. Z rosyjskim wojskiem walczone kosami osadzonymi na sztorc...

– Chwała bohaterom! – rzekł Traugutt.

– Pan, ekscelencjo, jest jednym z nich – zapewnił z powagą Maxwell. – Bohaterem i męczennikiem swego narodu.

– A Łupińska? – Generał Plater otrząsnęła się z szoku. – Czy ją też za młodu szlag trafił?

– Zmuszony jestem panią rozczarować. Eliza Łupińska dożyła dwudziestego wieku. Pomimo jakichś ciągnących się za nią skandali została pisarką o międzynarodowej sławie. Panie nigdy się nie spotkały.

– Chyba szatan stworzył tamten świat! – wybuchła Emilia Plater.

– Pani generał! – zmitygował ją ostro Traugutt. – Proszę nie obrażać Boga w mojej obecności! Być może właśnie doświadcza pani Jego sprawiedliwości...

– Dobrze, jak pan naczelnik sobie życzy! – parsknęła z sarkazmem generał Plater. – Bohaterowie giną, zdrajcy zostają wywyższeni, ale ja, według rozkazu, będę się z tej niebywale łaski Bożej cieszyć! Mogę nawet zacząć dostrzegać jasne strony owej sytuacji. O, proszę! Skoro tam umarłam tak młodo, to przynajmniej nie będą mnie szkallować, że byłam kochanką żony Mickiewicza!

– Czy pani wierzy w Boga? – zapytał wprost Romuald Traugutt.



- Szczerze mówiąc, od tej chwili coraz mniej, panie naczelniku.
- Pani ma w sobie coś ze zbuntowanego anioła.
- Ćwierć wieku temu uznałabym to za komplement...
- Pragniemy wyzwolić Polskę z Bożą pomocą, nie zaś stając przeciwko Jego świętej woli.
- „Z Bogiem lub choćby mimo Boga!” – zacytowała pani generał. – Wprawdzie z żoną Mickiewicza nie spałam, ale z jego poezją pod poduszką bywało.
- Nie nam osądzać historię innego świata i Boże wyroki, które tam zapadły – Traugutt rozstrzygnął stanowczo religijny spór. – Wypadałoby dziękować za to, co nam tutaj dano.
- Ale na żadną pomoc z obok-Polski nie możemy liczyć? – zauważył Edward.
- Raczej nie, ogromnie mi przykro – odrzekł Maxwell.
- Czy to wszystko, co pan profesor miał nam do zakomunikowania? – spytał dyktator.
- Jest jeszcze jedna kwestia, ekscelencjo – powiedział uczony. – Bardzo bym jednak prosił o rozmowę w cztery oczy. To ważne.
- Wróblewski i Olszewski wymienili porozumiewawcze spojrzenia, ale żaden się nie odezwał.
- Oczywiście, panie profesorze – zgodził się Traugutt po krótkim namyśle. – Pozostali państwo mogą się oddalić do swoich zwykłych obowiązków.
- Na korytarzu porucznik Starosławski powiadomił fizykalistów o czekającej ich jutro misji. Nie oponowali, poprosili tylko o zwolnienie na resztę dnia, aby móc zamknąć swoje sprawy w Warszawie. Edward się zgodził.
- Kiedy rozeszli się po tej rozmowie, porucznik Starosławski zauważył, że Emilia Plater czeka na niego.

– Chodź ze mną lejtnantczik do Jadzi – powiedziała cicho. – Ja dam jej zaraz wolne, a ty ją zabierz gdzieś na dobry obiad. W Teatrze Wielkim grają dziś *Irydiona*, chcecie to idźcie, ale potem mocno się uściśnijcie, bo może być, że to już wasza ostatnia noc...

– Dziękuję, pani generał.

## „Zawisza Czarny”

Z rozkazu naczelnika Traugutta przyspieszono obchody trzydziestej piątej rocznicy bitwy pod Grochowem. Następnego dnia na polach wokół przesławnej olszynki odprawiono uroczystą mszę polową połączoną z koncentracją twardochodów wyruszających pod Sokołów Podlaski na spotkanie z moskiewskimi pancernikami.

Poranne gazety ujawniły dane wywiadu Królestwa, że „Katarzynie” i „Piotrowi” towarzyszyć będzie półmilionowa armia lądowa. Była to groźna wiadomość, ale tym razem reakcją na nią była powszechna narodowa mobilizacja sił zbrojnych i ducha. Znikła zupełnie obawa przed stalowymi kolosami. Śmiano się z nich, że przypominają pluskwy jadące na motylich gąsienicach, tylko milion razy powiększone. Podkreślano wielką powolność, bezwład i niemal całkowity brak zwrotności imperialnych ruchomych twierdz. Furore robił sztubacki żart, że jeśli „Imperatrix Jekaterina” nie wceluje w Warszawę, to zanim ją zatrzymają, zrujnuje Berlin... A co do przewagi liczebnej, jeżeli było tylko dwóch Moskali na jednego Polaka, doprawdy nie ma czego się bać!

Zatem mrowie ludu z chorągwiami przyszło na mszę celebrowaną osobiście przez księdza generała Brzóske, który jawnie igrając z papieską ekskomuniką, polecił ustawić wszystkie Modele II w jednym szeregu, zaledwie pięćdziesiąt kroków przed ołtarzem, po czym oficjalnie błogosławił tylko szykujące się na bój ich załogi, które stanęły przed swoimi maszynami. „Olszynkę Grochowską” uhonorowano w ten sposób, że stała wysunięta o jeden żołnierski krok przed innymi twardochodami.

Nikogo poza tym nie wyróżniono. Dyktator, panowie ministrowie i generalicja stali osobno, jedynie z przyboczną asystą wśród wierzynych lub pomiędzy swoimi żołnierzami. Ze względów bezpieczeństwa przezornie nie zgromadzono wszystkich wodzów na jednej try-

bunie.

Ksiądz Brzóska w płomiennym kazaniu przytoczył mowę Pawła Włodkowica na soborze w Konstancji w 1415 roku, w której poseł Królestwa Polskiego nie obawiał się pouczyć ówczesnego papieża, czym jest wojna sprawiedliwa w obronie ojczyzny. Na koniec mszy do błogosławieństwa wyruszającym wojskom przyłączył się rabin warszawski Dow Beer Meisels.

Po wszystkim dwanaście Modeli II i trzy taborony, ciągnące po sześć wagonów, razem z osłonowymi oddziałami husarii ogniowej ruszyło traktem lubelskim na miejsce przeznaczenia. Przemarsz ten spontanicznie zamienił się w defiladę, a ta z kolei w wyzywający akt sprzeciwu wobec Rzymu, kiedy to kilkunastu księży-patriotów ustawwszy się wzdłuż drogi, demonstracyjnie święciło przejeżdżające obok nich twardochody. Wprawdzie zostały one już wcześniej pokropione, więc czyn ten nie sprowadzał na nikogo papieskiej klątwy, ale intencje duchownych buntowników były czytelne. Przy tej okazji pokazano światu pierwszy znak wiary nowego Kościoła polskokatolickiego, który zamierzano ustanowić. Był to krzyż podobny do prawosławnego, z dodatkową poprzeczką u dołu, na której u stóp Chrystusa ukrzyżowano Orła Białego w Koronie. Na poprzeczce obok rozpiętego godła Polski siedziała gołębica symbolizująca Ducha Świętego. Zdaniem niektórych Orzeł był bielszy od Niej, i nie chodziło bynajmniej o kolorystykę, lecz symbol.

Dyktator Traugutt odmówił dziennikarzom jakiegokolwiek komentarza w tej kwestii.

Dwa twardochody – „Orsza” i „Smoleńsk” pozostały na miejscu do obrony Warszawy jako odwód, ale z nowymi załogami, gdyż poprzednie złożone z najbardziej doświadczonych twardochodziarzy miały odtąd stanowić obsadę „Zawiszy Czarnej”. Msza pod Olszynką Grochowską była dla nich uroczystym pożegnaniem ze starymi maszynami.

Po nabożeństwie rozjechali się także generałowie. Józef Hauke-

Bosak wyruszył na północ, by objąć dowództwo Armii Narew – była ona liczna, blisko osiemdziesiąt tysięcy, dobrze wyposażona w artylerię polową, ale poza tym złożona tylko z piechoty i kawalerii, bez twardochodów. Ten brak można było nadrobić wyłącznie jakością dowodzenia, zatem generał Hauke-Bosak okazywał się jedynym człowiekiem odpowiednim na to stanowisko.

Komendę nad siłami pancernymi gromadzącymi się pod Sokołowem Podlaskim objął osobiście Romuald Traugutt. Do pomocy miał dwie dywizje piechoty, pułk ułanów oraz ekscentrycznego Piemontczyka, generała Alphonsa Falconettiego dowodzącego siedmiotysięcznym Korpusem Cudzoziemskim, któremu nakazano stanąć pod Węgrowem, gdzie od razu zaczął się międzynarodowy festyn. Ponieważ honor wymagał, aby główny ciężar walk brali na siebie Polacy, cudzoziemscy ochotnicy mieli atakować w drugim rzucie, względnie osłaniać odwrót, jeżeli tylko stan osobistej trzeźwości pozwalał im odróżnić podstawowe kierunki strategiczne. „Nie jesteśmy opryskami z francuskiej Legii Cudzoziemskiej, za honor moich ludzi ręczę, a pruski dryl i dyscyplina to przeżytek”, zwykł mawiać Falconetti. Przez ostatnie trzy lata waleczny Korpus Cudzoziemski spłodził zdecydowanie więcej polskich dzieci mieszanej krwi, niż uśmiercił Moskali. Acz trzeba było oddać generałowi Falconettiemu sprawiedliwość – gwałtów żadnych nie odnotowano. Zapewne nie było potrzeby, gdyż w obecności zagranicznych junaków panny i panie, po równo chłopki, mieszczanki, szlachcianki, hrabianki i księżniczki krwi wprost rwały się do patriotycznych powinności, na co przez pamięć pani Walewskiej na ogół wyrozumiale przymykano oko i systematycznie naciągano metryki urodzeń. To ostatnie, jak głosiła salonowa plotka, miało już wkrótce dotyczyć obu starszych panien Radoszkowskich. Jak to mówią, „dopięły swego” z przystojnym włoskim oficerem z Korpusu Cudzoziemskiego, kapitanem Frascatim, który ofiarował im to, czego odmówił Edward. Tak hojnie, że obie znalazły się w kłopotach, a niestety sprawca mógł poślubić tylko jedną. I ponoć wciąż nie mógł się zdecydować którą...

Szczerych zapaleńców, nieusatysfakcjonowanych tak swobodnymi regułami służby i koniecznie chcącymi bić się w pierwszych szeregach, wcielono wprost do oddziałów polskich.

Na froncie południowym generał Langiewicz obsadził Lublin i Zamość, a Taczanowski został komendantem twierdzy Dęblin. Mierosławskiemu, który koniecznie chciał dowodzić twardochodami, a co najmniej „Zawiszą Czarnym”, i w tym celu intrygował bez umiaru, udzielono dymisji i wysłano go do Francji z pocztą dyplomatyczną.

Generał Plater pozostała w stolicy jako dowódca garnizonów Warszawy i Modlina, a także by czuwać nad całością systemu obrony i koordynować działania za pomocą telegrafu bez drutu. Major Jasiński, który przekazał Edwardowi wszystkie powyższe informacje, puentując swoją relację, pozwolił sobie nazwać panią generała „Wielką Pajęczycą w eterowej sieci”. Niezbyt grzecznie, ale trafnie, zważywszy, jaki los czekał cara Aleksandra II, gdyby się imperator w jej pajęczynę przypadkiem zaplątał...

Oficer Straży Bezpieczeństwa przyjechał wprost z mszy na praskich błoniach taboronem „Juliusz” na plac Zamkowy, gdzie u wylotu wiaduktu Pancera czekali Edward z Jadwigą, którzy na grochowskie nabożeństwo po prostu zaspali, oraz Wróblewski i Olszewski, aż do ostatniej chwili przesiadujący w Resursie u profesora Maxwella. Odprowadzał ich też podpułkownik Lipski.

Porucznik Starosławski czule pożegnał się z żoną, po czym wsiadł do taboronu przez otwarte szeroko tylne drzwi. Idąc do przedniego przedziału, minął najpierw zbiornik zimnej nafty, potem kocioł z wrzącą naftą, pod którym huczały palniki zasilane z rur wytchnieniowych. Następne w kolejności były dwa, duże jak wiadra, cylindry pędni Łukasiewicza, z własnymi pompami tenardyzatorów, zbiornik wody utlenionej, sprzęgło tarczowe i koło zamachowe w jednym oraz skrzynia przełożeń transmisji. Idący dołem główny wał napędowy, obracany przez tłoki pędni pracujące w układzie korbowym, widać było tylko częściowo, a docierał on do dwóch dyferencjałów

zainstalowanych na przedniej i tylnej osi. Za maszynownią, oddzielony od niej metalową grodzią, znajdował się mostek z wieżyczką dowódcy i kołem sternika, który za pośrednictwem systemu łańcuchów na wielokrążkach skręcał równocześnie koła przednie i tylne. Środkowa para kół tylko biernie podierała cały pojazd. Za kolejną grodzią znajdował się dawny przedział bojowy, w którym obecnie urządzono całkiem wygodną salonkę, wygłuszoną od strony pędni okładziną korkową. W byłą strzelnicę działową wstawiono okno z ośmiu szyb dające pasażerom dobry widok na drogę przed taboronem. Z pomieszczenia tego prócz drogi przez maszynownię można było wydostać się jeszcze przez właz w suficie. Tylne ambony strzeleckie, przerobione na cysterny, teraz były puste.

Po powitaniu i wzajemnej prezentacji wyruszyli w pierwszy etap podróży do Radomia, aby z tamtejszych zakładów zbrojeniowych odebrać aparaturę mrozącą skonstruowaną według projektu obu fizykalistów.

Odciążony Model I, bez armaty i tarana, rozwijał prędkość trzydziestu kilometrów na godzinę. Z pierwotnej załogi „Juliusza” pozostali tylko kapitan Piotr Szymański, sternik Cichocki i główny maszynista Piernacki, obaj Michałowie. Inni wystąpili o przeniesienie do Modeli II, kiedy ich twardochód zdegradowano do rangi taboronu. Tych trzech weteranów zostało przez miłość do maszyny, z którą tak wiele przeszli, ale szczęśliwi ze swej nowej roli zupełnie nie byli. Ich barwne wspomnienia z rajdu na Dęblin, bitew o Siedlce, Ostrowiec Świętokrzyski, Warszawę, Modlin i Wiznę zawsze kończyły się tym samym refrenem.

– A teraz jak ciury ostatnie wachamy dymy za innymi! – poskarżył się kapitan Szymański po raz bodaj piąty, zanim dojechali do rogatek Radomia.

– Ważne, że wciąż jesteście w służbie – pocieszył go Edward, powtarzając się już tyle samo razy i równie bezskutecznie.

– Służba rzecz święta, lecz jaki to będzie jej finał? – Szymański

tym razem rozwinął szerzej swoją posępną myśl. – Cóż zrobią z naszym kochanym „Juleczkiem”, kiedy się wysłuży?

– Pewnie przetopią – stwierdził bez skrępowań Wróblewski.

– Ano właśnie! Pójdzie biedaczek na złom, bo żelaza w Królestwie stale potrzeba.

– A wy byście chcieli może zrobić z niego pomnik?

– Jakżeby inaczej?! – obruszył się kapitan. – W czym żeśmy gorsi od „Adama”? Z niego teraz jest urna na kości i prochy bohaterów bezimiennych. Albo od „Zygmunta”, którego resztki wbudowano w ściany i ołtarz kaplicy na polu bitwy pod Wizną, więc to relikwie teraz. My przecież byliśmy jak bracia, nie mniej zasłużeni, razem z nimi wyruszyliśmy z Antoniowa, ale nam sławy odmówiono.

– Jeszcze zyskacie większą! – zapewnił Edward.

– Dziękuję pięknie, panie poruczniku, za ludzkie słowo, ale jak? Na pierwszą linię nikt nas już nie wypuści. Zamiast sławy tylko osławę zyskujemy. Co prawda, żaden dobry twardochodźca tak nam nie ubliży, ale podobno w piechocie mówią o taboronach, że gdy podjeżdżamy od tyłu do jakiegoś Modelu II, żeby im przez nasze przednie okno podać paliwo i amunicję, to niby ich, za przeproszeniem... w dupę całujemy.

– Głupi ludzie i gadają głupio! – obruszył się Edward. – Ważne, że pan naczelnik was uważa i teraz postanowił, że będziecie giermkim samego „Zawiszy Czarnego”.

– Wdzięczni jesteśmy niezmiernie za ów honor! – Nie wiadomo było, czy Szymański kpi, czy mówi serio.

– Dojeżdżamy! – zawołał jego zastępca z wieży dowodzenia przez tubę głosową.

W Radomiu zjedli obiad i doczepili do taboronu dwa wagony z aparaturą mrozącą. Z tym obciążeniem po południu wyruszyli do Starachowic, rozwijając już jednak prędkość nie większą od piętnastu



kilometrów na godzinę. Razem z nocnym postojem, koniecznym ze względu na niedostatek światła na drodze i brak jadących przodem konnych przewodników z latarniami, jak było podczas przesławnej rajzy na Dęblin, dotarli na miejsce dopiero następnego dnia rano.

August Leopold Drucki, łysawy, korpulentny, ale niebywale ruchliwy dyrektor starachowickiej manufaktury żelaznej, chciał ich wpierw prosić na śniadanie, ale Edward uparł się, że najpierw obejrzą „Zawiszę” i kazał wraz z całym towarzystwem prowadzić się prosto do hali montażowej. Gospodarz zrobił to niezwłocznie. Na jego polecenie stawił się Józef Szaybo, główny metalurg i nadzorca wielkiego pieca, a zarazem eksrotmistrz kawalerii narodowej, który teraz w iście ułańskim stylu tłumaczył się z opóźnienia.

– Wszystko przez tych przeklętych Austriaków! – pieklił się, na nowo przeżywając relacjonowane zdarzenia. – Ostatnia wlewka stali martenowskiej, przysłana z Francji na wieżę armaty siedmiocalowej i wieżyczkę kapitańską, po prostu wyparowała po drodze. Przeszło czternaście ton, fiuuu! Było i nie ma! Widział pan porucznik kiedy podobny cyrk?! Tylko we Wiedniu takie cuda! Franciszek Józef winien przyjąć tytuł cesarza prestidigitatorów! Ale nasi się zawzięli i podobno Napoleon III też się zdenerwował. Wlewek się odnalazł, ale, uważa pan oficer, w tym czasie doszedł do transmutacji i zamienił się w bryłę zwykłego szarego żeliwa! Dobrego na chłopskie garnki, nic ponadto! W taką wieżę starczyłoby co większym kamieniem rzuścić, a poszłaby w drobiazgi jak szkło! Albo ci Austriacy sądzili, żeśmy ostatni głupcy i na rodzaju stopu się nie poznamy, albo pomyśleliśmy sobie, że Francuzi nas oszukali. Nasi sztyletnicy podobno wstawili tam jakiegoś ważnego grafa nogami wprost do zapalonego kominka, znaczy się poniekąd konfuzję dyplomatyczną uczynili, ale nasz puc staliwa wreszcie znalazł się na dobre!

Słuchając tej opowieści, Edward poczuł ukłucie zazdrości. Wszak do takiej tajnej służby szkolono go w Saint-Cyr! W Królestwie i wokół niego działo się tyle tajnych akcji, spisek gonił spisek, a gdzie nie zdrada, to sabotaż. Tymczasem on paradował w galowym mundurze,

ciepła herbatka i biureczko w Wydziale Wojny, flirty i amory z panną Jadwigą... Przyglądał się wydarzeniom z boku, dowiadywał o wszystkim z drugiej lub trzeciej ręki, wręcz z gazet, zamiast z rewolwerem, fiolką trucizny lub bombą w garści stać w samym oku cyklonu, ech! Cóż jednak począć, był żółtodziobem, prawie bez doświadczenia. Gdzież tam on miałby się pętać pod nogami wytrawnym emisariuszem i agentom Królestwa, zwłaszcza teraz, kiedy los insurekcji ważył się na ostrzu sztyletu. Któż by miał głowę niańczyć amatora? I tak wypadało się cieszyć z rozkazu eskortowania „Zawiszy”. Chociaż ten zaszczyt spotkał go pewnie z tego tytułu, że inni byli bardziej zajęci... Smarkacz! Dzieciak! Okaz świętej naiwności! No i jeszcze tylko tego brakowało, żeby się zaczął nad sobą rozczulać!

Edward zacisnął zęby, a rotmistrz Szaybo ze swadą opowiadał dalej.

– Transport dotarł tutaj cztery dni temu, ale, panie poruczniku, gdzie wlewek, a gdzie gotowa wieża?! Trzeba było go wpierw stopić, korpus odlać, obrobić raz, wyżarzyć, obkuć powierzchnię dla uszlachetnienia, obrobić drugi raz, znaczy się oszlifować i nawiercić otwory na nity. Zwijaliśmy się dzień i noc jak w ukropie, panie poruczniku, zresztą co tam dużo gadać, naprawdę to goręcej niż w ukropie było. Nikt, idę o zakład, że nikt na świecie nie wykonał takiego elementu konstrukcyjnego szybciej od nas. Jeden majster, Buła Walerian, nam od tego ducha wyzionął, dwadzieścia godzin bez przerwy bił młotem i serce nie dało rady, świeć mu Panie, przedwczoraj to się stało, ale żeśmy jeszcze nieboraka nie pochowali, bo nie było komu iść na pogrzeb, a chcą wszyscy.

– Wspomnę o nim panu naczelnikowi.

– Dziękuję, ale nie trzeba, panie poruczniku – odezwał się dyrektor Drucki. – Pan naczelnik Traugutt już o wszystkim wie. Nasz dyktator codziennie o postępy się pytał i zaraz depezę z pociechą dla rodziny Buły wysłał i zapomogę im wypłacić kazał. Ja chciałem panów przyprowadzić tu na gotowe, po śniadanku, ale skoro tak, to proszę

uprzejmie, akurat żeśmy na ostatnie nitowanie przyszli. Z wieżą działową uporaliśmy się ostatecznie godzinę temu, armata też już wstawiona. Teraz będą zakuwać wieżyczkę kapitańską na samym szczycie.

Stanęli przez gmachem z czerwonej cegły o spadzistym, miedzianym dachu i wielkich żelaznych wrotach. W pobliżu kręciło się kilkunastu uzbrojonych żołnierzy i sztyletników. Z wnętrza dobiegał stukot i dudnienie.

– Otwierajcie! – zawołał Drucki do swoich ludzi. – Ale szeroko, żeby światła jak więcej wpadło! Przedstawiciel samego pana dyktatora przyjechał zobaczyć naszego Rycerza!

Wrota rozwarły się i oczom Edwarda ukazał się przód „Zawiszy Czarnej” – zwalista, dwupiętrowa bryła nitowanej stali, wysokości siedmiu metrów, wsparta na walcowatych kołach, szerokich na długość ramion dorosłego mężczyzny.

Dwa metry nad głową porucznika ział wylot lufy największej armaty kaliber jedenaście cali, zainstalowanej w nieruchomej działobitni. Kolejne dwa metry wyżej wznosiła się obrotowa wieża z armatą siedmiocalową, o której opowiadał dyrektor manufaktury. Pomędzy tymi działami i po bokach znajdowały się dwie mniejsze wieżyczki z kartaczownicami Gatlinga u szczytu, u dołu zaś, pod ich podstawami, zainstalowano ruchome wyloty rur wytchnieniowych, służące dodatkowo jako miotacze płomieni.

Pierwsze wrażenie byłoby bardziej imponujące, gdyby nie świadomość kształtu moskiewskich przeciwników polskiego nad-twardochodu. „Zawisza Czarny” był znacznie węższy i wyglądał przy każdym z tamtych jak szczupak koło sumów.

Wszystkie herby i napisy już były na swoich miejscach.

Zwiedzający poszli wzdłuż lewej burty w kierunku rufy, mijając dwie podwójne wieżyczki z działami trzycalowymi na szczycie i kolejnymi kartaczownicami Gatlinga zainstalowanymi poziom niżej.

„Zawisza” stał na dwudziestu cylindrycznych kołach, żywo przypominających walce drogowe, zebrane w zestawy po cztery przy pięciu wózkach. Na dachu, pośrodku kadłuba, znajdowało się gniazdo ciężkiego moździerza kaliber jedenaście cali.

Główne włazy i luki ładunkowe, jak we wszystkich twarchochdach, znajdowały się na rufie, strzeżone przez kolejny zestaw wieżyczek z kartaczownicami Gatlinga i miotaczami ognia. Za pancernymi drzwiami wejściowymi znajdowała się już cała klatka schodowa, ponieważ „Zawisza” miał dwa pokłady – dolny maszynowy i górny bojowy, na którym w dodatkowo opancerzonych skrzyniach magazynowano amunicję. Niżej nie można jej było umieścić ze względu na gorąco bijące od pędni Łukasiewicza.

Wewnątrz pachniało nawet przyjemnie – świeżą oliwą z nutą nafty. Edward wiedział jednak skądinąd, że po paru dniach już tak miło nie będzie. Woń nafty stanie się natarczywie wszechobecna, a do niej dołączą smród siarki, rozgrzanych smarów, zwykłej spaliny, ludzkiego potu i odchodów. Załatwiano się przez zwykłe otwory w podłodze, w kątach dolnego pokładu. O splukiwaniu nieczystości nie było mowy, na dodatek na pokrywach uniemożliwiających wepchnięcie do środka granatu zawsze coś zostawało i fermentowało w cieple...

Najpierw obejrzeni maszynownię podzieloną grodziami na trzy części, każda z osobnym zestawem zbiorników i kotłów naftowych oraz pędnią Łukasiewicza na sześć cylindrów z miedzianymi żebrami chłodzącymi. Pary cylindrów rozdzielały koła sprzęgłowo-zamachowe, które podobnie jak w Modelach II miały na zewnętrznej krawędzi tryby – w razie potrzeby dociskano do nich ślimaki wprawiające w ruch kable skrętne przenoszące napęd do kartaczownic i wentylatorów.

Nowością były automatyczne sterowniki tenardyzatorów działające jak pozytywki, na zasadzie mechanizmu krzywkowego, który w ustalonym rytmie otwierał i zamykał zawory. Cudeńka te osłonięto

stalowymi płytkami. Podobne dodatkowe opancerzenie miały kotły oraz rury z gorącą parą nafty pod ciśnieniem.

Pędnie poruszały koła w trzech środkowych wózkach, każda w jednym, za pośrednictwem mechanizmów różnicowych. Moment napędowy kierowano do nich z góry pionowym wałem zakończonym u szczytu przekładnią talerzową z trzema koncentrycznymi kręgami zębów, po których przemieszczała się, przesuwana ręczną dźwignią, ruchoma końcówka wału głównego pędni. Innymi słowy, przewidziano trzy biegi maszyny – mały, czyli manewrowy, marszowy i najprędszy – szturmowy. Żeby nie komplikować i tak już niebywale masywnej konstrukcji, zrezygnowano z łączenia napędu i sterowania na tych samych osiach. Skrętne były więc tylko dwa pozostałe wózki – przedni i tylny, każdy z osobnym podsternikiem wykonującym polecenia z mostka idące tubami głosowymi oraz telegrafem maszynowym na dublowanych linkach stalowych.

Kotły naftowe były już pod parą, wszyscy maszyniści na stanowiskach, gotowi do natychmiastowego odjazdu. Żeby nie stwarzać zagrożenia dla pracujących robotników, zawory bezpieczeństwa podłączono do zewnętrznych skraplaczy, przy okazji odzyskując naftę.

Na pokładzie bojowym było znacznie puściej – brakowało jeszcze wszystkich artylerzystów, którzy mieli dołączyć w Dęblinie. Tylko strzelcy maszynowi meldowali kolejno gotowość swoich kartaczownic. W odróżnieniu od amerykańskiego pierwowzoru polska wersja wielolufowych, obrotowych karabinów Gatlinga nie miała korby. Napęd zapewniały wspomniane wcześniej kable skrętne biegnące od maszynowni do wieżyczek. Strzelec tylko naciskał dźwignię sprzęgła przy zamku, a potem skupiał się wyłącznie na celowaniu. Zmieniono też magazynki, ponieważ oryginalne pionowe, ze swobodnie osypującymi się nabojami, były zbyt wysokie, by zmieścić się pod dachem wieżyczki twarchochodu, a przy tym za mało pojemne. Zastąpiono je więc spiralnymi talerzami, w których naboje popychała sprężyna. Te udoskonalenia stosowano już w Modelach II.

Kolejną nowością był ciężki moździerz na grzbiecie „Zawiszy Czarnego”. Zainstalowano go tam poniekąd w zastępstwie tarana. Było bowiem wykluczone, aby tak wielki pojazd lądowy sam torował sobie drogę przez ewentualne przeszkody ziemne, gdyż łatwo mógłby w nich utknąć. Do zasypywania rowów, znoszenia wałów i zasieków przewidziano dwa Modele II, stanowiące bojową asystę „Zawiszy”, a on – by ci „giermkowie” mogli wykonać swoje zadanie – miał wspierać ich ogniem stromotorowym, zdolnym dosięgnąć przeciwnika ukrytego za wysoką i masywną barykadą, czyli jedenastocalowymi bombami wystrzeliwanymi z moździerza, w którego gnieździe Edward oraz pozostali zakończyli zwiedzanie. Mieli stąd dobry widok na miejsce, gdzie za chwilę miała zostać zamontowana wieżyczka obserwacyjna dowódcy Modelu III.

Właśnie ją podniesiono na wielokrążkowym dźwigu, po czym za pomocą suwnicy korbowej przeniesiono nad okrągły otwór w dachu „Zawiszy Czarnego” i zaczęto opuszczać. Czekają tu już na nią czterech nitowaczy z młotami na długich trzonkach.

– Powoli! W dół! Niżej! Niżej! – zaczęli krzyczeć do ludzi obsługujących dźwig.

– Niby mała, a waży prawie tonę – powiedział dyrektor Drucki. – To ze względu na grubość ścian, daliśmy dziewięć i pół cala, czyli więcej niż miał sam „Monitor”, żeby nic szanownemu panu kapitanowi głowy nie urwało.

– Ale oczy można stracić jak dowódca „Monitora” porucznik Worden – zauważył Edward.

– Gogle trzeba nosić! – rzekł stanowczo Drucki. – Ależ broń Panie Boże, wszyscy Jego święci i anieli, żeby w czasie bitwy gołe ślepie wytrzeszczać przez szczeliny w pancerzu! Toż przez wizjery ciągle coś do środka wpada, a to piach z lodem, a to kamyki, mniejsze odłamki, wreszcie żywy ogień wybuchów. Bez gogli ślepotą najdalej po kwadransie pewna, wszyscy twardochodźiarze dobrze to wiedzą i pan porucznik, jakby co, niech sobie też zapamięta.

– Nie zapomnę o tym – zapewnił Edward.

Wieżyczkę umieszczono w kołnierzu otaczającym otwór, ustawiając ją na wspornikach ze stalowych belek, stanowiących część wewnętrznego szkieletu twardochodu. Jeszcze przez chwilę obracano ją mozolnie łomami, aby otwory na nity się pokryły. Kiedy się to udało, wsunięto je od wewnątrz i zablokowano śrubowymi rozpierakami.

Wtedy do dzieła przystąpili nitowacze. Długie młoty poszły w ruch, przy czym – jak Edward mógł się przekonać na własne oczy – praca ta nie wymagała wielkiej siły fizycznej, ale niebywałej zręczności i wprawy. Końce nitów nie mogły się zginać, lecz miały się przekształcić w foremne półkule, które wygładzano za pomocą specjalnych sztanc.

Dziesięć minut energicznego stukotu i nastał koniec. Ostateczny koniec.

„Zawisza Czarny” był gotowy!

– Panie oficerze! – zaczęli wołać robotnicy do Edwarda. – Prosimy o ostatnie uderzenie w imieniu naczelnika państwa!

– Niech pan idzie koniecznie! – ponaglił go Drucki.

Porucznik Starosławski przygładził mundur i oburącz wydzwignął się z moździerzowego gniazda, wdrapując na pancerny dach twardochodu. Mijając klapy wywietrzników, podszedł do robotników. Jeden z nich podał mu swój młot, a następnie uklęknął, przystawiając sztancę do jednego z nitów.

– Tylko mi nie po palcach... – przestrzegł z uśmiechem.

Edward przymierzył się dwa razy i wzniosł w górę młot.

W całej hali zapadła cisza jak makiem zasiał. Wszyscy patrzyli na porucznika żuawów śmierci w czerwono-białym mundurze, stojącego nieruchomo, wysoko w górze, z uniesionym młotem.

Nagłe wzruszenie ścisnęło Edwarda za gardło.

– Niech żyje Polska! – zawołał i uderzył.

Ostatni szczęk metalu rozbrzmiał echem, wywołując szaloną owację.

– Niech żyje dyktator Traugutt! Niech żyje Królestwo! – rozkrzyczano się ze wszystkich stron. – Wiwat Rzeczpospolita!

Dyrektor August Leopold Drucki nie krył wzruszenia, miał łzy w oczach. Wróblewski, Olszewski oraz major Jasiński ściskali się i klepali po plecach, podskakując przy tym i pohukując jak sztubacy. Kiedy Edward wrócił do nich, został przez każdego z obecnych w moździerzowym gnieździe ucałowany siarczyście w oba policzki – jak z dubeltówki. Sam porucznik natomiast żałował z całego serca, że nie było tu z nim Jadwigi. W zamian postanowił jej to wydarzenie jak najdokładniej opisać.

Potem czym prędzej zeszli na dół i razem ze wszystkimi robotnikami opuścili halę montażową. Nadeszła pora uruchomić stalowego kolosa i wyprowadzić go ze Starachowic.

Odłączono gorące kotły od skraplaczy, para nafty poszła na tłoki, zaskoczyła tenardyzacja. Wychylony z górnego wjazdu pomocnik głównego maszynisty dziarsko zameldował to Edwardowi.

– Mała naprzód! – zawołał donośnie porucznik Starosławski i razem z innymi zaczął iść do tyłu, cofając się od progu hali.

– Dajemy małą naprzód! – odkrzyknął pomocnik maszynisty.

Rury wytchnieniowe pod wieżyczkami bojowymi kaszlnęły jednocześnie i zasyczały ogniem. Trzy pędnie Łukasiewicza ryknęły jak smoki, wprawiając w drżenie podłogę oraz mury hali. Fala wibracji wprawiła w dygot wnętrza i kolana świadków.

„Zawisza Czarny” ożył, drgnął i potoczył się wolno przed siebie.

Czekali na to od dawna, ale kiedy ta góra stali ruszyła z miejsca, okazało się, że nikt nie jest przygotowany na ów widok. Ludzkie nerwy po prostu tego nie zniosły. Wiwatujący tłum przed halą



zamilkł w pół słowa i rozpięchł się bez mała w popłochu. Gdyby ktoś przypadkiem dostał się pod walce „Zawiszy”... Szkoda gadać! Trzeba by było delikwenta chyba pumeksem zdrapywać z bruku i w postaci czerwonoróżowego proszku sypać do trumny.

Edward za honor poczytał sobie to, że zrejterował jako ostatni, starając się zachować przy tym minimum godności.

Nad-twardochód sunął z prędkością czterech kilometrów na godzinę. Niby mało, niby łatwo dałoby się go wyprzedzić szybkim krokiem, ale nie było odważnego, by iść przed nim. Nawet porucznik Starosławski wolał się trzymać z boku.

Wycofując się z respektem, dotarli do bramy w otaczającym fabrykę murze. Otwarto ją teraz na oścież.

Po drugiej stronie, na środku ulicy stał kapłan w szatach liturgicznych. Ów ksiądz bynajmniej się nie wystraszył i ani drgnął, gdy kolos zbliżył się do niego na dziesięć kroków. Wtedy zaś jedynie rozkrzyżował szeroko ramiona.

– Dobrodzieju, w nogi! – krzyknął ktoś.

Zaskoczony Edward poznał księdza generała Stanisława Brzóske we własnej osobie. Naczelny kapelan wojsk Królestwa najwyraźniej zamierzał osobiście uściskać najnowsze dziecko polskiego geniuszu technicznego i zostać przez nie wzajemnie uściskanym...

– STAAAĆ!!! – wrzasnął porucznik do pomocnika maszynisty, starając się przekrzyczeć dudnienie i grzmot pędni.

Tamten zrozumiał jeśli nie słowa, to gesty, pokiwał głową i schował się we włazie. Niewątpliwie ruszył zawiadomić swojego zwierzchnika, ale tymczasem „Zawisza Czarny” sunął dalej na legendarnego duchownego.

Tylko tego brakło, żeby im Brzóske rozjechało! I to akurat dziś, w takiej chwili!

Porucznik Starosławski podbiegł do księdza generała i bez cere-

gieli złapał go za ramię.

– Proszę się odsunąć z drogi! – zawołał.

– Przecież zdążę – odparł spokojnie kapłan. – To nie dziki koń. Pan porucznik mi maści radość historycznej chwili.

„Zawisza Czarny” był już niespełna trzy kroki od nich. Jeszcze parę sekund, a chwila, choć niewątpliwie historyczna, zupełnie przestanie być radosna.

Krażownik lądowy zatrzymał się na wyciągnięcie ręki od księdza Brzóska, który palcem na jego pancerzu nakreślił szybko znak krzyża.

– Od razu widać, młodziku, żeś jeszcze nigdy w ogniu nie był – skwitował z politowaniem duchowny, po czym rozejrzał się i zobaczywszy, gdzie są wszyscy pozostali świadkowie zdarzenia, dodał: – No, ale jednak odwagi ci nie odmówię.

Dopiero teraz kapelan odstąpił parę kroków i machnął do kogoś w tłumie.

– Szykujcie ołtarz polowy! – rozkazał.

Okazało się, że ksiądz generał przyjechał tu lekkochodem w towarzystwie czterech innych kapłanów, którzy niezwłocznie z zaparkowanego za rogiem pojazdu wynieśli składany stół i ustawili go przez dziobem „Zawiszy Czarnego”, przykrywając białym obrusem. Na zaimprovizowanym ołtarzu stanął krucyfiks oraz inne niezbędne utensylia, w tym kropidło.

Maszyniści i strzelcy maszynowi wyszli na dach „Zawiszy”, a widząc, co się dzieje, dopinali i poprawiali mundury. Major Jasiński i jego ludzie wreszcie oprzytomnieli, zaczęli energicznie zaprowadzać porządek, wystawiając wokół strażę oraz przekształcając bezładne zbiegowisko w regularny kwadrat. Pomogła im w tym kompania strzelców Taniewskiego, która właśnie nadeszła. Drugi taki oddział miał dołączyć do eskorty za rogatkami miasta.

Zatem tu, w Starachowicach, na ulicy Radomskiej, przed bramą

rządowej manufaktury żelaznej jawnie miał się odbyć akt wypowiedzenia posłuszeństwa Rzymowi przez księdza generała Brzóske oraz grupę jego zwolenników, stanowiących niewątpliwie załążek nowego Kościoła narodowego.

Instrukcje, jakie otrzymał Edward, nie przewidywały takiej sytuacji, więc porucznik w pierwszej chwili nie wiedział, co ma robić.

– Czy pan naczelnik Traugutt o tym wie? – zapytał ostrożnie duchownego.

– Jeżeli nie wie, to na pewno się domyśla – odparł spokojnie ksiądz Brzóska. – Szczerze wątpię, aby choć przez chwilę pan dyktator spodziewał się, że ta niesłychana papieska bulla będzie w Polsce respektowana. Nie ten kraj i nie ten naród! Ja, naczelny kapelan wojsk Królestwa Polskiego, miałbym dopuścić do tego, żeby nasi żołnierze używali w boju oręża niepoleconego wcześniej Bogu?

– Naprawdę nie obawia się ksiądz generał ekskomuniki?

– Każdy ofiarowuje ojczyźnie, co ma najcenniejszego. Żołnierz krew i życie, kapłan duszę. Inaczej być nie może. A teraz, jeśli pan porucznik pozwoli, chciałbym już zacząć ofiarę.

Msza rozpoczęła się i postępowała zwykłym trybem. Poza tym, że głównemu celebrantowi towarzyszyło czterech koncelebrantów, do podniesienia nie wydarzyło się nic szczególnego. Chętnym robotnikom i żołnierzom udzielono komunii, co do ważności której nie mogło być jeszcze żadnych teologicznych wątpliwości. Dopiero na koniec nabożeństwa ksiądz Stanisław Brzóska ujął kropidło i zapadła przejmująca cisza, w której słychać było tylko szum płomieni na końcach rur wytchnieniowych nad-twardochodu.

– Biorę na świadków Boga i ludzi! – zawołał naczelny duszpasterz wojsk Królestwa. – I oświadczam, że są granice posłuszeństwa, które sumienie i miłość ojczyzny nakazują przekroczyć. Niechaj stanie tu przy mnie duch rycerza Zawiszy, który, kiedy tego wymagała sprawiedliwość, nie wahał się wznieść miecza przeciw zakonowi mienia-

cemu się zakonem Najświętszej Maryi Panny, a potem świadczył o tym z podniesionym czołem na soborze w Konstancji. – Ksiądz Brzóska odczekał chwilę, nabrał tchu i zwrócił się wprost do stalowego kolosa. – Niech zamieszka w tobie przesławny duch Zawiszy Czarnego i niech napełnia męstwem serca służących w twoim wnętrzu żołnierzy oraz otuchą tych, w których obronie stawać będziecie! Noś godnie imię Zawiszy z Garbowa zwanego Czarnym! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen! – Pokropił wodą święconą przedni pancerz.

Tłum wiernych wybuchnął entuzjastycznym krzykiem, potem zaczęto śpiewać *Boże, coś Polskę*.

Zatem stało się.

Narodowy Kościół polskokatolicki został ustanowiony. Bunt Polski, najmłodszej córki Kościoła, wobec Rzymu od tej chwili był faktem.

Po księdzu Brzósce kropidło przejęli kolejno pozostali jego konfratry i obeszlili cały lądowy krążownik dookoła, święcąc burty, koła i wszystkie wieże bojowe. Twardochodziarze na jego dachu przyklekali i żegnali się.

Zaraz potem uprzątnięto ołtarz i księża-patrioci zaczęli szykować się do odjazdu.

– Ksiądz generał nie będzie nam towarzyszyć? – zapytał Edward przy pożegnaniu.

– Trochę za długo by to trwało... – duchowny uśmiechnął się lekko. – A mnie, mój synu, pilno teraz na sąd Boży. Trzeba mi przed tronem Stwórcy jak najprędzej wytłumaczyć się z tego postępuku i prosić o miłosierdzie dla was.

– O czym ksiądz generał mówi? – zdumiał się młody oficer.

– O tem teraz mniejsza. Jeżeli nie lękasz się ekskomunikowanego odszczepieńca, przyjmijże, panie poruczniku, moje błogosławień-

stwo.

– Nie lękam się i z całego serca dziękuję księdzu generałowi za jego ofiarę! – Edward przyklęknął, a ksiądz Brzóska odmówił nad nim krótką modlitwę.

Potem rozstali się na zawsze.

Dyrektor manufaktury zabrał ich do siebie do domu na uroczyste śniadanie, które przeciągnęło się do obiadu. Przez ten czas dokończono pomniejsze przygotowania, między innymi załadowano „Juliusza” bańkami z naftą i gąsiorami wody utlenionej, które wypełniły go prawie pod dach. Wymontowano mu przednie, przeszklone okno i zastąpiono je pancerną okiennicą z wąskimi, poziomymi szczelinami obserwacyjnymi. Dotychczasowi pasażerowie, dla których zabrakło miejsca w taboronie, przenieśli się na mostek kapitański „Zawiszy Czarnego”.

Po południu opuścili Starachowice.

Jako pierwsza maszerowała kompania strzelców Taniewskiego, którym towarzyszyli konni sztyletnicy. Za nimi z łoskotem toczył się „Zawisza Czarny”, spowity ciemnymi chmurami sadzy, potem taboron „Juliusz” ze swoimi wagonikami, kolejna kompania piechoty i pięć zwykłych wozów taborowych z żywnością oraz sprzętem obozowym. Z gapiami kłopotów nie było. Choć gromadzili się licznie, to na widok dymiącego i parskającego ogniem krążownika lądowego usuwali się czym prędzej na boki, znacznie dalej niż eskorta chciałaby ich odsunąć.

W pierwszym etapie tego przemarszu mieli dotrzeć do Wisły w rejonie Wysokie Koło – Gołąb, gdzie po starannych poszukiwaniach latem i jesienią tego roku wybrano najbardziej odpowiedni bród, który teraz zamarznięty i dodatkowo zamrożony powinien przekształcić się w dostatecznie mocny lodowy most.

Aby tam dotrzeć zwykłą drogą, powinni byli teraz zawrócić do Radomia, ale zawczasu, specjalnie z myślą o „Zawiszy Czarnym”

wybudowano trakt na przełaj, biegnący od Starachowic przez Iłżę, doliną rzeki Iłżanki do Zwolenia, a następnie przez Czarnolas, co było w równej mierze wynikiem kalkulacji inżynierskiej oraz symboliczno-patriotycznej. Miała się tam odbyć wielka narodowa demonstracja. Pierwotnie planowano też ochrzcić krążownik lądowy właśnie w Czarnolasie, ale plany te pokrzyżowała bulla papieska. Uroczystości świeckich jednak nie anulowano. Mówiąc mimochodem, od czasu pojawienia się twardo- i lekkochołów stan gościńców w Królestwie poprawiał się zauważalnie z każdym rokiem.

Korzystając więc z dobrej drogi, zaraz po wyjeździe ze Starachowic maszyniści rozpoczęli testy pędni „Zawiszy Czarnej”, wyciskając z nich pełną moc. Niestety, bariera dziesięciu kilometrów na godzinę okazała się nieprzekraczalna. Najwyższa prędkość szturmowa, jaką zdołali osiągnąć z górki, to było dziewięć i pół kilometra na godzinę, w praktyce można było oczekiwać nie więcej niż ośmiu. Optymalna prędkość marszowa wyniosła sześć i tę zachowywali przez większość trasy, żeby niepotrzebnie nie przeciążać maszyn. Najmniejszy promień skrętu, rzędu dwustu metrów, czyli najlepszą zwrotność mieli przy trzech na godzinę.

No, nie były to świetne wyniki. Zdecydowanie gorsze od wyliczeń projektowych, które przewidywały, że Model III na równym i twardym gruncie zdoła osiągnąć dwanaście kilometrów na godzinę. Trudno się mówi! Na pociechę można było zauważyć, że w porównaniu z moskiewskimi pancernikami, polski krążownik lądowy był prawie dwa razy szybszy, a nawet potrafił dość efektywnie skręcać, co tamte w praktyce mogły robić tylko przed bitwą albo po niej. Zaraz więc jakiś frant przy obozowych ogniskach przechrzczył „Zawiszę Czarnej” na „Zawiszę Śmigłego”, co wkrótce wszyscy ze śmiechem powtarzali. Eskorta ze swej strony po dwóch dniach oswoiła się z kolosem na tyle, że żołnierze bez ceremonii zaczęli wieszać czajniki na rurach wytchnieniowych. Niektórzy próbowali się też grzać w ich ciepłe, ale tego im zabroniono, gdyż od sadzy szarzały mundury.

Podczas forsowania rzeki Iłżanki chrzest bojowy przeszła apar-

tura Wróblewskiego i Olszewskiego. Składały się na nią bardzo zgrabna, miniaturowa lokomobila parowa z kotłem ogrzewanym palnikami benzynowymi – dzieło pana Karola, z którego ów był niezwykle dumny. To finezyjne cudeńko napędzało trójstopniową sprężarkę chłodniczą, w której dochodziło do skroplenia amoniaku, a następnie ów przeraźliwie zimny płyn pompowano do rur zanurzonych w przerębłach, tworząc w ten sposób lodowe kolumny. Poszło to szybko i sprawnie. „Zawisza Czarny” przejechał przez zmrożoną rzeczkę wprawdzie z wielkim chrzęstem kruszonej pod kołami wierzchniej warstwy lodu, ale bez żadnych komplikacji. Można było być dobrej myśli przed znacznie poważniejszą przeprawą przez Wisłę.

W ciągu doby pokonywali pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów. W razie potrzeby mogliby bez trudu przekroczyć sto, ale prawie potroiłoby to zużycie paliwa, więc ekonomiczniej było nie szarżować, dopóki nie ma na kogo. Obecna prędkość marszu zadowalała wymogi logistyki, ale podróż dłużyła się bardzo. Edward pisał listy do żony, po kilka dziennie, lecz ich nie wysyłał, zamierzając je wręczyć Jadwidze osobiście. Liczył na spotkanie z nią gdzieś w okolicach Siedlec.

Ze względu na powolność marszu można było bez kłopotu w mijanych majątkach ziemskich wypożyczać konie i robić przejażdżki, mówiąc oficjalnie „wyjeżdżać na zwiad”, a potem zjeść obiad lub kolację u gościnnych właścicieli wierzchowców. W sumie więc była to całkiem miła zimowa wycieczka. Przynajmniej przez pierwsze dni.

Kiedy minęli Zwoleń, zaczęła się wojna.

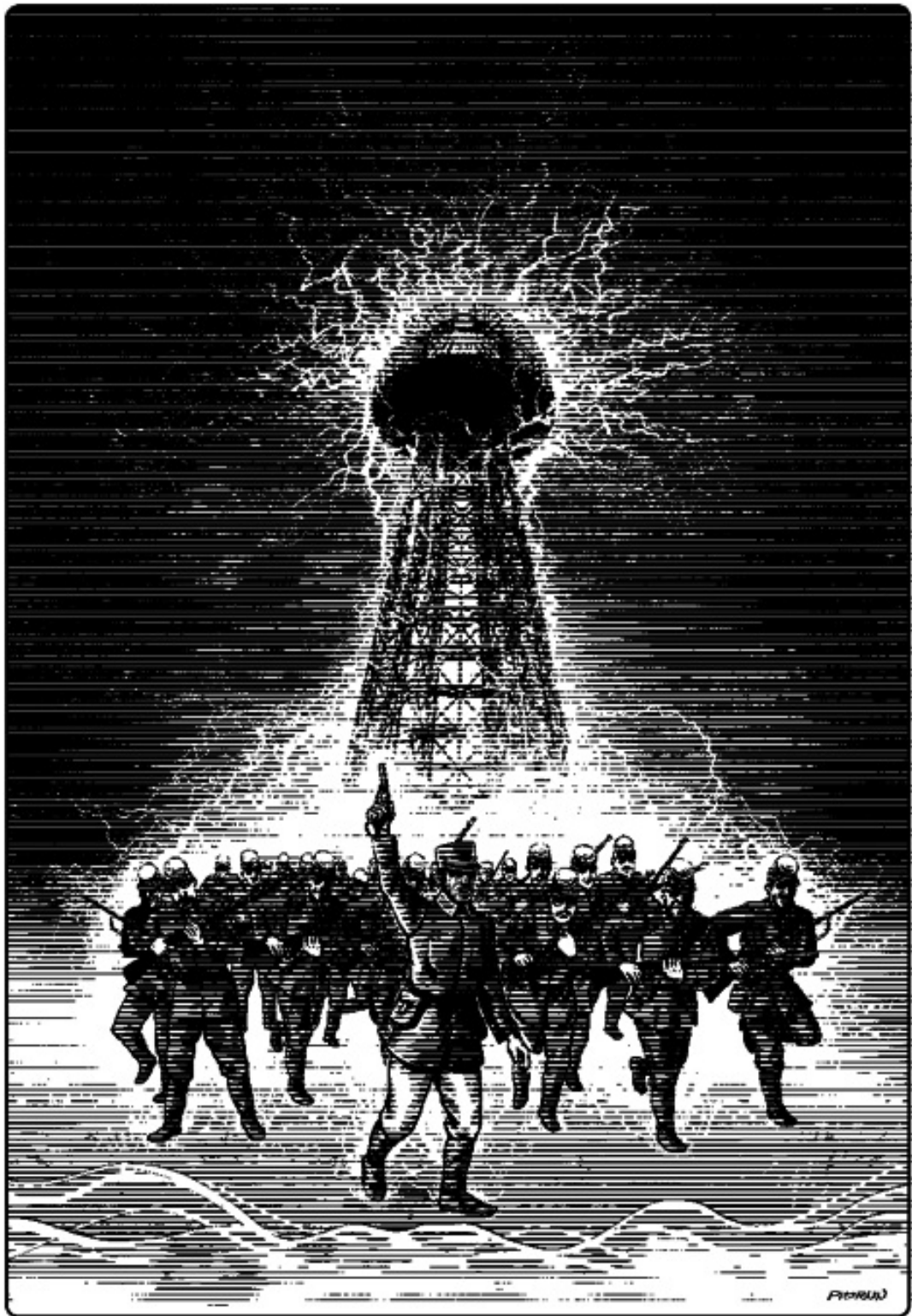
# Rozkaz: „Nie bać się!”

Na początku był terror.

Pierwsze uderzenie spadło nie, jak się spodziewano, na przyczajone wzdłuż Bugu i Narwi, czekające w pełnej gotowości oddziały polskie, lecz na bezbronną ludność Podlasia. Doszło do masowych, zaplanowanych z wyrachowaniem pogromów, podczas których palono całe wsie i miasta, a przerażone kobiety, starców i dzieci, nie bacząc na pełnię zimy, pędzono ku granicy Królestwa. Wszystkich zaś mężczyzn zdolnych do noszenia broni odsyłano pod zbrojnymi konwojami na wschód. Podobne wydarzenia miały już miejsce wcześniej, w związku z budową czteroszynowej linii kolejowej z Białegostoku do Grannego, ale teraz skala represji wielokrotnie przerosła wszystko, co oglądano do tej pory. Kiedy rozeszła się wieść o bestialstwach Moskali, pozostała ludność Podlasia, aby uniknąć rozdzielenia rodzin, sama zaczęła masami, wręcz lawinowo porzucać domy i chronić się w puszczech Białowieskiej i Białej albo uciekać pod opiekę wojsk polskich, które uszykowane do głębokiej obrony, nie były w stanie od razu przeformować się do ataku, żeby powstrzymać dręczenie cywilów. Wprawdzie generałowie Hauke-Bosak i Brzóska zareagowali bez wahania i natychmiast rozesłali wachlarzowo liczne podjazdy kawalerii, ale było ich zbyt mało, by w znaczącym stopniu ukrócić moskiewski terror. Całe Podlasie w widłach Narwi i Bugu ogarnęły chaos i pożoga, których nie sposób było opanować ani ugasić.

Wydarzeniom tym towarzyszyła druga proklamacja cara Aleksandra II, który wyrzekł się wszelkiej litości i zapowiadał wojnę totalną, wszelkimi środkami, aż do całkowitego unicestwienia Królestwa Polskiego. Błogosławiła temu dziełu moskiewska Cerkiew, która ogłosiła polskich buntowników wyznawcami szatana oraz poddanymi i sługami złego ducha. Papież milczał.





FRANCO

Warszawa miała się stać nowożytną Kartaginą.

Na przestrożę karbonariuszom, socjalistom, modernistom, garybaldczykom oraz wszystkim innym teraźniejszym oraz przyszłym buntownikom przeciw Bogu i legalnej władzy zapowiedziano, że po zdobyciu stolicy Polski jej ludność zostanie natychmiast wysiedlona, a wszystkie domy i pałace spalone lub rozebrane, ulica po ulicy, rok po roku, aż zostanie tylko puste miejsce nad Wisłą.

Odpowiedzią po polskiej stronie była powszechna determinacja. Ustały wszelkie polityczne spory. Wszystkie organizacje i stowarzyszenia obywatelskie zareagowały ogólną mobilizacją swych członków i zasobów, by nakarmić, rozłokować i zapewnić dach nad głową setkom tysięcy uchodźców zza Bugu. Rozłam nastąpił jedynie wśród władz duchownych. Arcybiskup metropolita warszawski Zygmunt Szczęsny Feliński, uważany dotąd za zdeklarowanego zwolennika Piusa IX, wobec zaistniałych wypadków opowiedział się po stronie narodu, ujawnił tajne porozumienie między papieżem a carem, w którym ten drugi nazwany został „mocarzem Opatrzności” i „narzędziem kary Bożej nad Polakami”, po czym ogłosił zerwanie więzów posłuszeństwa z Rzymem i zapowiedział wyświęcenie księdza Brzóska na biskupa, kiedy tylko kapelan wojsk Królestwa wyrazi wolę po temu. Z kolei sędziwy prymas Przyłuski złożył sakrę, oznajmiając, że dalsze sprawowanie urzędu stało się ponad jego siły fizyczne i duchowe. Większość polskiego episkopatu zaczęła się skłaniać ku stanowisku Felińskiego, biskupi lojaliści opuścili kraj i udali się do Stolicy Apostolskiej, gdzie równocześnie zapewniali papieża o swej wierności i starali się wyperswadować mu sojusz z carem.

Na razie jednak to wszystko nie miało znaczenia. Należało przede wszystkim opanować zamieszanie na tyłach wojsk polskich potęgowane przez bandy uzbrojonych Moskali, podszywających się pod uchodźców i wmieszanych pomiędzy nich. Owe grupy dywersyjne, liczące od kilku do kilkunastu ludzi, dobrze zaopatrzone w materiały wybuchowe oraz przenośne bomby, atakowały posterunki i patrole

Żandarmerii Narodowej, wysadzały mosty, mordowały urzędników próbujących zaprowadzać jaki taki porządek oraz niosących pomoc delegatów obywatelskich. Nade wszystko zaś, z największą zaciętością przebrani napastnicy starali się niszczyć wieże eterowe i rwać łączność.

Mimo zagrożenia bezpośrednim atakiem zaszła konieczność ściągnięcia z frontu znacznych sił dla zapewnienia porządku na tyłach oraz zwiększenia ochrony stacji telegrafu bez drutu. System profesora Maxwella w tych chwilach okazał się najskuteczniejszą bronią do walki z chaosem i był stokrotnie wart poniesionych na niego wydatków. Zamęt udało się utrzymać w ryzach dzięki nieustannej pracy eterotelegrafistów, a nade wszystko pani generał Plater, która zachowała zimną krew i ani na chwilę nie schodziła ze swego posturunku w pałacu Saskim. Podobno nie spała trzy dni i trzy noce, ale nie było po niej widać żadnych śladów zmęczenia.

W obliczu zagrożenia zewnętrznego i wewnętrznego uroczystości patriotyczne w Czarnolasie odwołano. „Zawisza Czarny” przejechał przez sławną wieś jedynie w asyście stojących przy płotach mieszkańców i ujadających jak oszalałe kundli. Całą ceremonię zastąpił ubrany odświętnie wójt z pisarzem gminnym oraz dwiema córkami trzymającymi chleb i sól, acz wójtówny uciekły z nieprzytomnym wrzaskiem, kiedy tylko krążownik lądowy podjechał bliżej. Bogu dziękować, że chleba nie upuścili. Ponadto od ognia z rur wytchnieniowych zajęły się słomiane chochoły w jednym ogródku, a od nich strzecha domostwa. Szczęściem było dość rąk do gaszenia i do większego nieszczęścia, tudzież symbolicznej konfuzji nie doszło.

Parę kilometrów za Czarnolasem zobaczyli nadjeżdżającą szybko z naprzeciwka kawalkadę trzech lekkochodów. Bodaj nigdy poza samą Warszawą nie widywano ich aż tyle na jeden raz. Powiadomiony o tym Edward schował notes, w którym opisywał dla Jadwigi ostatni etap przebytej drogi, i razem z majorem Jasińskim wyszli na spotkanie niespodziewanych gości.

Z pierwszego pojazdu wyskoczył i podbiegł do nich wzburzony profesor Maxwell.

– Panie poruczniku! – zawołał bez ceregieli na widok Edwarda. – Mam dla pana rozkaz na piśmie od jego ekscelencji Traugutta. – Wyjął z za pazuchy kopertę i wręczył ją młodemu oficerowi.

Był to odręczny list naczelnika państwa, który polecał porucznikowi Starosławskiemu niezwłocznie, „ponad wszelkimi innymi priorytetami”, udzielić brytyjskiemu uczoneму wszelkiej pomocy, jakiej tylko ten sobie zażyczy.

– Czego pan profesor potrzebuje? – spytał Edward, przekazując pismo do wglądu Jasińskiemu.

– Kilkunastu nieznających strachu żołnierzy pod pańskim dowództwem oraz monsieur Wróblewskiego lub Olszewskiego, niech uzgodnią między sobą, który z nich jest mniej potrzebny tutaj. Wyruszamy natychmiast! Resztę objaśnię po drodze.

O pomoc w wybraniu strzelców został poproszony dowódca taniewczyków kapitan Zięba. Był trochę zdziwiony, że odmówiono mu wyjaśnienia, jakie zadanie jego ludzie mają wykonać, ale ponieważ miał pod komendą najlepszych weteranów znad Narwi, nie było kłopotu z zebraniem potrzebnej liczby kawalerów srebrnych i złoty krzyży Virtuti Militari.

Fizykaliści po krótkiej naradzie ustalili, że jedzie Wróblewski. Szesnastu strzelców wcisnęło się do dwóch lekkochodów, które, jak się okazało, przyjechały puste specjalnie w tym celu. Edward i Zygmunt Wróblewski wsiedli do pojazdu uczonego, gdzie ledwie się pomieścili, mimo że było ich tylko trzech, bowiem większość miejsca zajmowała pianola Maxwella wraz z baterią butli lejdejskich oraz korbony elektryzator do ich ładowania.

Wyruszyli dziesięć minut od spotkania. „Zawisza Czarny” i reszta konwoju zostały pod komendą majora Jasińskiego.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Edward.

Profesor zrobił minę, jakby go ząb rozboleł. Nie chodziło jednak o żadną tajemnicę, ale nazwę miejscowości, nie do wymówienia nawet dla genialnego Szkota. Zamiast się męczyć z językiem polskim, uczony wyjął z kieszeni mapę i pokazał na niej palcem.

– Szydłowiec? – upewnił się porucznik.

– Tak, ale w obok-Polsce – rzekł Maxwell. – Musimy wykonać sondowanie w tym samym miejscu naszej rzeczywistości. Początkowo zrobiliśmy przesunięcie międzyprzestrzenne z Warszawy, ale sabotażyści uszkodzili służące nam za przekaźniki maszty induktorów w Raszynie i Warce...

– Ci bandyci przedostali się nawet za Wisłę?! – wpadł mu w słowo Edward. – I pod samą Warszawą?

Profesor kiwnął twierdząco głową i mówił dalej:

– Skutkiem tego ataku nasz wysłannik do obok-Polski został uwięziony w tamtym świecie, w okolicach miejscowości, którą wskazałem. Obawiam się, że jego życie jest zagrożone, zatem musimy działać najszybciej, jak to możliwe. Nie mogliśmy skorzystać z pośrednictwa stacji na prawym brzegu Wisły, gdyż od nich zależy teraz o wiele więcej niż los jednego człowieka. W zamian ofiarowano nam te pojazdy.

Porucznik Starosławski słuchał tego w kompletnym oszołomieniu.

– Ależ mówił pan, profesorze, że zwiedzanie tamtego świata jest jak sen! – zawołał zdumiony. – Jak można zagubić się we śnie?

– Mały Daniel jeszcze przed naszym wyjazdem z Warszawy wyprowadził nowe kategorie rozwiązań funkcji kodu – niespodziewanie odpowiedział Wróblewski. – Na tej podstawie pan profesor znalazł sposób przemieszczania żywych osób na dowolnie długi czas, ograniczony jedynie długością życia wysłannika. Początkowo była to informacja przeznaczona wyłącznie do wiadomości naczelnika państwa.

– Od czasu pańskiego wyjazdu zmieniło się jeszcze trochę – dodał Maxwell, spoglądając na fizyka. – Wspólnie z Danielem odkryliśmy sposób badania historycznej linii obok-Polski, w tym jej przyszłości. Uprzedzając zaś panów pytanie, informuję, że naszej przyszłości poznać w ten sposób nie możemy. To, do czego wcześniej próbowano wykorzystać tego chłopca, nie ma absolutnie żadnych podstaw naukowych. W zamian jednak skonstatowaliśmy istnienie innych, zapierających dech w piersiach możliwości. Wciąż je analizujemy. Na razie powiem tyle, że wystaliśmy zwiadowcę w daleką przyszłość tamtego świata, ponad pół wieku w przód. Niestety, w trakcie transmisji zdarzył się zamach na czynny przekaźnik w trakcie transmisji i nastąpiło splątanie czasoprzestrzeni. Wstępnie opanowaliśmy już sytuację, znaleźliśmy obejście przez czas, ale korekty przestrzennej musimy dokonać już w naszym świecie, jadąc na to samo miejsce co w tamtym.

– Naszego człowieka, gdyby tylko o niego chodziło, mogliśmy bez trudu ściągnąć z powrotem – zauważył Wróblewski. – Wróciłby on potem do Warszawy w zwykły sposób. Skoro jednak zadajemy sobie tyle trudu, domyślam się, że chodzi o artefakt. Pan profesor chce sprowadzić do nas jakiś przedmiot z obok-Polski, zgadza się?

– Tak, panie magistrze – przyznał Maxwell. – Stosując poprzednią metodę snu, zdołaliśmy się skontaktować ze zwiadowcą, ale on odmówił powrotu z samym tylko ustnym świadectwem, bez dowodu. Twierdzi, że inaczej mu nie uwierzymy i upiera się, że za wszelką cenę musi dostarczyć tę rzecz do rąk własnych jego ekscelencji dyktatora.

– Po co eskorta wojskowa? – spytał Edward.

– W tamtym świecie trwa z góry skazana na klęskę wojna Rosją – przypomniał profesor. – Nasz człowiek dostał się w centrum jakiejś bitwy, możecie więc natknąć się na wroga.

– Pod Szydłowcem? – wzruszył ramionami porucznik. – Moskale w samym sercu Królestwa?!

– W obok-Polsce trwa nieregularna wojna partyzancka.

– No dobrze. – Edward zrezygnował ze zbędnych dywagacji. – Zgaduję, że zostaniemy przeniesieni do obok-Polski, ale jak znajdziemy tam tego zwiadowcę?

– Powinien być niedaleko od miejsca, w którym się pojawicie. Przeszukajcie najbliższą okolicę.

– Rozumiem – zapewnił oficer.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Edward przetrawiał szczegóły czekającego go zadania. Skupiony Wróblewski przeglądał sążniste równania matematyczne w notesie, który pożyczył mu profesor. Ich lekkocród pędził z maksymalną prędkością. Do Szydłowca dotarliby więc w niecałą godzinę, ale w Radomiu musieli znacznie zwolnić, żeby nikogo nie przejechać. Ciągłe jeszcze i to zadziwiająco często zdarzali się bezmyślni gamonie, którzy chcąc przyjrzeć się naftowym pojazdom, stawali wprost na ich drodze. A potem, na widok zbliżającego się szybko wehikułu głupieli do tego stopnia, że w ogóle zapominali uciekać.

– Domyślam się, panie profesorze, że udało się nam zebrać już jakieś nowe informacje o tamtym świecie. – Młody oficer wrócił do rozmowy, kiedy wydostali się z miasta.

– Co pan porucznik chciałby wiedzieć? – spytał uprzejmie Maxwell.

– Jakie są tam pańskie losy, profesorze?

– Nie mam powodów do narzekań. Moje równania są w obok-świecie również znane i także nazywane moim nazwiskiem. Nie wynalazłem co prawda telegrafu bez drutu, jak tutaj, ale sławy zbytnio mi nie ubyło. Niestety, z przyczyn obiektywnych nie mogłem przyjechać do Polski i służyć moją wiedzą waszemu rządowi.

– A Daniel Tesla?

– Stwierdzam z głębokim smutkiem, że ten biedny chłopiec zmarł

w dzieciństwie, zanim zdołał ujawnić szerzej swoje niebywałe talenty. Okoliczności jego śmierci pozostają nieznane. W obok-świecie wielką sławę zyskał natomiast jego młodszy brat Nicola.

– Talent został w rodzinie – stwierdził Edward.

– W tym przypadku los z całą pewnością nie skompensował ludzkości straty – odparł zadumany Maxwell. – Osiągnięcia Nikoli Tesli są tylko cieniem dotychczasowych dokonań Daniela. Proszę tylko spojrzeć! – Profesor sięgnął po czarną torbę, jaką zwykli nosić ze sobą lekarze. Jednak w środku zamiast narzędzi i medykamentów znajdował się rulon perforowanej taśmy do pianoli. Maxwell odwinął kawałek, pokazując Edwardowi niebywale zawiły wzór prostokątnych otworków, gęsto pokrywających papier. – Daniel zrobił to własnoręcznie! Szybko, bez zastanowienia ani jakiegokolwiek błędu. Dzien- nie kilkadziesiąt tysięcy otworów! Wszystkie w precyzyjnym odstępnie jeden od drugiego!

– To jest ten klucz do obok-rzeczywistości? – upewnił się oficer.

– Tak to można nazwać – zgodził się profesor. – Aczkolwiek ja wolałbym wyrazić się precyzyjnie: zapis modulacji drgań elektrycznych wysokiego napięcia i częstotliwości. Nicola Tesla zdołał odtworzyć osiągnięcia swego starszego brata tylko w bardzo ograniczonym zakresie. To znaczy, zbudował system rezonansowy wytwarzający nader efektowne wyładowania, przypominające nieco pioruny.

– Generał Plater wspominała mi coś o iskrach towarzyszących uruchamianiu pańskiej aparatury – wtrącił Edward.

– To właśnie to! – skinął głową Maxwell. – My też stroimy nasze induktory w ten sam sposób co Nikola Tesla, to znaczy z obwodów elektromagnetycznych wieży eterowej i pianoli tworzymy dwa sprzężone wzajemnie układy rezonansowe. Tak uzyskujemy spotęgowanie napięć elektrycznych dostarczanych przez butle lejdejskie i w efekcie całe kaskady elektryczności tryskające z masztu induktora niczym woda z fontanny. Ale jest jedna zasadnicza różnica. Otóż system transformujący Nicoli działa w sposób chaotyczny, wyładowania są



całkowicie bezładnie i nie niosą żadnej informacji. Natomiast Daniel zdołał ponadto nadać tym, jak pan to ujął, iskrom, istic wojskowy dryl i porządek. W rezultacie wytwarzane przez nas wyładowania wchodzą w rezonans z najgłębszymi sferami atomowymi i w dalszej konsekwencji są w stanie zmieniać całą strukturę bytu.

– Mój ty Boże! – zawołał Wróblewski, wciąż wpatrzony w notes. – Profesorze! Przecież z tego wynikałoby, że... że...

– Bardzo proszę nie kończyć – przerwał mu stanowczo Maxwell. – Ja też to zauważyłem. I oczywiście mamy pełne zaufanie do pana porucznika Starosławskiego, ale szacunek wymaga, by jego ekscelencja Traugutt, tak jak poprzednio, dowiedział się o tym pierwszy.

– Niech mnie licho! – zawołał poruszony do głębi fizykalista. – Do diabła! To się wprost w głowie nie mieści... – Spojrzał przeproszająco na Edwarda. – Pan porucznik wybaczy, ale naczelnik państwa... tak...

– Jestem żołnierzem i dowiaduję się wszystkiego w czasie, który moi dowódcy uznają za właściwy – odparł kurtuazyjnie oficer.

– Dojeżdżamy! – zauważył profesor.

Zmierzchało już.

Obsługa wieży eterowej w Szydłowcu została uprzedzona już kilka godzin temu i czekała na nich. Natychmiast wyładowano przywiezioną aparaturę, zaczęto ją łączyć i stroić. Zajął się tym Wróblewski. Profesor Maxwell nadzorował przygotowania, ani na chwilę nie wypuszczając z ręki torby z programem do pianoli.

Strzelcom i porucznikowi polecono stanąć na specjalnie wybranym placyku, tuż obok maszty induktora. Na razie wolno było im palić i napić się gorącej herbaty, którą wyniesiono z budynku stacji telegrafu bez drutu. Edward już od jakiegoś czasu zastanawiał się, jak wytłumaczyć swoim podkomendnym, co właściwie ich czeka. Objąśnianie wszystkiego od początku trwałoby zdecydowanie zbyt długo.

- Zbliźcie się do mnie! – powiedział wreszcie.
- Czy mam zarządzić zbiórkę? – zapytał słuźbiście kapral.
- Nie. To będzie rozmowa nieformalna – oznajmił oficer. – Po duszy, jak mawiają Moskale...

Zaciekawieni taniewiczycy skupili się wokół niego.

– Zobaczycie tu niebawem coś, czego jeszcze nigdy żaden z was na oczy nie widział – rzekł Edward. – Nie mam czasu tłumaczyć wam, co i jak, więc powiem tyle, że macie się niczego nie lękać.

– Skoro pan porucznik się nie boi, to czemu my byśmy mieli? – zaczęli się dopytywać z śmiechem. – Przecież my się biliśmy nieraz, a to pan porucznik jeszcze nigdy prochu nie wężał... – wypomnieli mu bez skrępowania, korzystając z chwilowego zawieszenia stosunku słuźbowego. Cóż, tego cokolwiek krępującego faktu przed starymi wiarusami znad Narwi nie sposób było ukryć. Edward nawet nie próbował.

– Zatem wy zaraz zobaczycie, jak sobie poradę w bitwie – powiedział – a ja się przekonam, czy wy ustoicie, kiedy się zacznie koniec świata...

– To aż tak, panie poruczniku? – Ta wiadomość zrobiła na nich wrażenie.

– Tak to może wyglądać – złagodził nieco nowinę. – Prawie jak koniec świata, ale wieźcie, że wszystko, co wkrótce zobaczycie, to wielka tajemnica rządu narodowego. To nowa tajna broń...

– Jakieś lepsze twardochody, panie poruczniku? – zapytał ktoś z przejęciem.

– Broń piorunowa – oznajmił krótko. – Daję wam rozkaz: „nie bać się!” Kto inny powinien...

– Tak jest, panie poruczniku! – Odruchowo stanęli na baczność.

– Spoczniź. Doradę wam jeszcze to, byście się niczemu nie dzi-

wili. Są osoby w Królestwie, które dobrze wiedzą, co się dzieje i po co, niech to na razie wam wystarczy. W swoim czasie sam pan naczelnik wszystko, co trzeba, narodowi ogłosi.

Pokiwali głowami i rozeszli się dopalić papierosy.

Kwadrans później z okna budynku przy wieży eterowej wychylił się Wróblewski i zawołał, że butle lejdejskie już naładowane i za minutę uruchamiają pianolę.

Edward uniesioną dłonią dał znak fizykaliście, że zrozumiał, po czym z wysiłkiem przełknął ślinę, która nagle zgęstniała mu w ustach.

– W dwuszeregu zbiórka! – zakomenderował. – Do nogi broń!

Taniewiczycy ustawili się w okamgnieniu. Porucznik stanął zwrócony do nich, by widzieć twarz każdego z podkomendnych oraz wznoszącą się nad nimi kratownicę wieży eterowej.

Wieża zabłysła nagle niebieską poświatą.

Rozległy się coraz głośniejsze trzaski i skwierczenie, po czym wyładowania przypominające ognie świętego Elma roziskrzyły się nagle na lufach karabinów, dźwigniach zamków, medalach na piersiach żołnierzy, sprzączkach ich pasów, guzikach. Wszystko skąpane zostało w sinofioletowym blasku nabierającym coraz bardziej trupich odcieni. Z masztu eterowego wyleciały strugi iskier i zaczęły się wic między strzelcami, pełzać im po plecach, owijać się jak macki wokół łydek, bioder i ramion.

Niektórzy zaczęli nerwowo przestępować z nogi na nogę.

– Zachować spokój! – napomniął ich ostro Edward. Jego głos nawet do niego samego zdawał się dobiegać z jakiejś dali, ale usłyszano go i posłuchano.

Porucznik Starosławski spodziewał się, że usłyszy teraz jakąś muzykę, ową harmonię sfer, o której profesor Maxwell wspominał na swoim pierwszym wykładzie. Tak głęboko wziął sobie do serca tę

metaforę, że poczuł się rozczarowany faktem, iż nie stała się ona realna.

Rzeczywistość zmieniała się w ten sposób, że choć stali bez ruchu, wieża induktora eterowego wraz z budynkiem stacji telegrafu bez drutu gwałtownie oddaliły się od nich. Jeszcze przez chwilę pulsowała tylko niebieskawa poświata, lecz i ona zaraz zgasła gdzieś w niezmierzonej otchłani kosmosu.

Tutaj zaś spadła na nich księżycowa, zimowa noc. Kiedy oczy przywykły do mroku, okazało się, że jest dość jasno, by widzieć, co się dzieje na jakieś sto kroków wokół.

W oddali, poza zasięgiem wzroku, słychać było strzały, stłumione krzyki i łoskot kopyt na zmarzniętej ziemi.

Edward odwrócił się i popatrzył w stronę, z której dobiegał największy hałas. Nie zobaczył koni, ale wyraźnie usłyszał ich zbliżający się tętent.

– Ładuj broń! – rozkazał.

Strzelcy otworzyli zamki i sięgnęli do ładownic. Po chwili rozległ się szcęk ryglowanych kolejno karabinów Dreysego. Porucznik Starosławski wyjął z kabury rewolwer i odciągnął kurek.

– Za mną! – Ruszył w kierunku nadjeżdżającej konnicy.

Minęli biegiem kępę krzaków wikliny i zobaczyli pięciu ludzi z kosami na sztorc. Stali przyczajeni, zwrócenii plecami lub bokiem do ludzi Edwarda i z niepokojem wypatrywali się w ciemność przed sobą.

– Dołączyć do kosynierów! – Porucznik rozkazał swoim.

Tamci zaskoczeni odgłosem licznych kroków za sobą odwrócili się gwałtownie.

– Kto to?! Kto idzie?! – zakrzyknięto nerwowo do nadchodzących.

– Wojsko polskie! – odpowiedział Edward.

– Chwała Bogu Najwyższemu! – Kosynierzy wyprostowali się z ulgą, która zamieniła się w wielkie zdumienie, kiedy strzelcy podeszli bliżej.

– A cóż to za mundury?! Skądże wy je macie...?

– Wyfasowaliśmy – uciał porucznik. – Który z was starszy? Meldujcie, co się tu dzieje!

– Dziesiątnik organizacji narodowej Sakowicz! – Zasalutował mu jeden z kosynierów. – Melduję posłusznie, panie oficerze, że Moskale wypchnęli nas z Szydłowca. Myśmy w zamieszaniu odłączyli się od naszej partii. Szukaliśmy swoich, ale zamiast my ich, kozacy przekłęci nas odnaleźli...

– Jaki dziś dzień i rok? – przerwał mu Edward.

– No toć... – zapytany popatrzył na porucznika z osłupieniem. – Chyba nie ma jeszcze północks, czyli ciągle jest 22 stycznia...

– A rok?! – nalegał porucznik.

– 1863, panie oficerze...

Zatem to była pierwsza doba insurekcji styczniowej w obok-Polsce. W Królestwie, z którego przybyli, zresztą też, ale tam bitwa o Szydłowiec przebiegła znacznie pomyślniej. Oddział atakujący miasto był dużo lepiej uzbrojony niż ci tutaj. W ich rzeczywistości Rząd Narodowy zadbał zawczasu nie tylko o twardochody.

Strzelcy Edwarda zareagowali szmerem zdumienia.

– Spokój! Milczeć! – krzyknął na nich ostro.

Tętent koni przybrał na sile, kierując się prosto na nich. W samą porę, by oszczędzić zbędnych pytań i wydziwiania.

– Strzelcy na stanowiska! – zarządził porucznik Starosławski.

Taniewiczycy stanęli półkołem w kierunku jazdy, połowa z nich przyklękała, wszyscy złożyli się do strzału. Edward unosząc rewolwer, wyszedł krok przed luźny szereg swoich żołnierzy. Żeby dobrze

widzieli, że pan porucznik żółtodziób nie chowa się za ich plecami.

Zza sosnowego młodnika, niespełna sto kroków przed nimi, wypadły ze dwie dziesiątki kozaków.

– Saaalwą! Ognia! – rozkazał porucznik.

Taniewiczycy wypalili, celując pobieżnie, ale skutecznie. Trzy pierwsze konie zwały się z kwikiem na ziemię, dwóch dalszych jeźdźców spadło z siodeł. Być może jeszcze jacyś dostali, ale w kotłowaniu cieni nie dało się tego dostrzec.

Sam Edward nie strzelił jeszcze. Wciąż stał, trzymając rewolwer kolbą na wysokości policzka. Odległość jak na broń krótką była trochę za duża, więc oficer wołał nie palić w tłum na oślep, tylko poczekać, aż przeciwnicy znajdą się bliżej.

– Wpieroood! – Pozostali kozacy odważnie rzucili się do szarży.

Ich dowódca kalkulował dobrze. Skoro Polacy już wystrzelili, to przy tak krótkim dystansie dzielącym obie strony nie mieli szans ponownie nabić ładowanych przez lufę karabinów. Można było zatem Lachów dopaść i zmusić ich do walki na bagnety przeciwko lancom i szablom tnącym z wysokości siodeł, a do tego zgnieść samą masą koni.

Tylko że ci akurat buntownicy mieli karabiny ładowane odtylcowo, co robiło się szybko, zaledwie kilkoma ruchami, które strzelcy Taniewskiego mieli na dodatek wytrenowane do mechanicznej doskonałości. No, ale skądże nieszczęśni kozacy mieli o tym wiedzieć?

– Cel! – zakomenderował Edward, kiedy za jego plecami ucichł charakterystyczny szcęk domykanych zamków. – Pal!

Grad kul z odległości dwudziestu, trzydziestu kroków był morderczy. Bez mała rozstrzelali szarżujący podjazd. Co najmniej dziesięciu kozaków zważyło się z koni lub razem z końmi, reszta jeźdźców ściągnęła wodze i stając dęba, zatańczyła w miejscu, by uniknąć najecha-

nia na walących się im pod nogi towarzyszy.

– Bagnet na broń! Do ataku! – Porucznik skoczył naprzód.

Z kłębowiska sylwetek koni i ludzi wypadło na Edwarda dwóch kozaków. Do pierwszego młody oficer strzelił jak do tarczy, raz i dwa, pewnie strącając go z siodła. Drugi puścił wodze i podrzucił karabin do ramienia. Edward zbyt szybko przeniósł na niego ogień. Chybił. Następnie obaj wystrzelili jednocześnie.

I obaj trafili.

Porucznik Starosławski poczuł, jakby dostał grubym kijem po głowie. Spadła mu czapka, świat zakołysał się przed oczami, a dymiący rewolwer zaciążył w dłoni i wysunął się spomiędzy palców.

Ranny Kozak też nie zdołał utrzymać karabinu, sekundę później pchnięto go bagnetem w prawy bok, ostrze weszło po lufę. Równocześnie jeden z kosynierów z rozmachem ciął po pęcinach konia, który z rozpaczliwym kwikiem zarył się chrapami w śnieg. Za moment kolejnymi sztychami dobito jeźdźca. Ktoś inny miłosiernie dostrzelił wierzchowca.

Reszta Kozaków uciekła w popłochu. Było po walce. Przynajmniej na razie.

– Panie poruczniku! – Ślaniającego się na nogach Edwarda ktoś mocno uchwycił pod ramię. – Co panu?!

– Nie wiem... chyba nic... – Oficer pomacał sobie skroń. Poczuł pod palcami lepką, ciepłą wilgoć, ale czaszka wydawała się cała, kula chyba tylko się po niej omsknęła. – To draśnięcie – oznajmił. – Trochę mnie tylko zgłuszyło...

Inny żołnierz podniósł czapkę dowódcy. Trzeci zajął się jego rewolwerem, upewniając się przy tym sumiennie, czy lufa nie jest zatkana śniegiem.

Edward odetchnął głęboko orzeźwiającym, mroźnym powietrzem i odebrał podaną mu czapkę, daszek był wyszczerbiony pociskiem,

ale to drobiazg, nacisnął ją mocno na ranę, żeby tymczasowo zahamować krwawienie. Potem postanowił przywołać do siebie dziesiętnika kosynierów, ale ten już sam do nich biegł.

– Ludzie! – zawołał zdumiony i przestraszony Sakowicz. – Na miły Bóg! Co wy za broń macie?! Kto i gdzie widział takie karabiny?! Ktoście są?!

– Misja specjalna z polecenia Rządu Narodowego! – przerwał mu porucznik. – Nie pytajcie o nic, bo to nie wasza rzecz. Ja będę pytał! Szukamy zaginionego kuriera z ważnym meldunkiem. Powinien być gdzieś tu, niedaleko. Widzieliście może kogoś?

– Wcześniej ktoś strzelał, o, w tym lasku – Sakowicz wskazał na zagajnik, zza którego wyjechali kozacy.

Edward upewnił się, może już stać o własnych siłach. Było dobrze. Chwila słabości i oszołomienia minęła. Odebrał swój rewolwer.

– Pan porucznik ma jeszcze dwa naboje – zakomunikował strzelec, który podniósł jego broń.

Nie było czasu na ładowanie.

– Wszyscy za mną! – rozkazał oficer i szybkim krokiem poszedł w stronę drzew.

Dotarli tam w niespełna minutę.

– Przeczesać ten zagajnik! – polecił Edward. – Ale migiem!

– Hop! Hop! Panie kurier! – zaczęto nawoływać, rozgarniając i siekąc bagnetami kolczaste gałęzie. – Swoi po was przyszli!

– Tutaj! – dobiegło po chwili z głębi gąszczu. – Na pewno swoi...? – zapytano słabym głosem.

– Twardochód! – porucznik zaimprovizował rozpoznawcze hasło.

– Telegraf Maxwella... – padł odzew. – Jestem ranny, nie zdołam iść.



– Poniesiemy pana.

Za moment znaleźli leżącego pod rozłożystą sosenką kuriera, także uzbrojonego w rewolwer, który kurczowo przyciskał do piersi.

– Natknąłem się na kozacki patrol – zaczął tłumaczyć. – Trzech ich było... Zabiłem dwóch, ale trzeci mnie ranił i uciekł... Pewnie to on sprowadził tych, których spotkaliście przed chwilą...

– Zatem niedługo ściągną tu całą sotnię – podsumował Edward i obejrzał się na swoich. – Nie ma czasu do stracenia! Bierzcie ранnego na koc!

– Chwileczkę, panie poruczniku – szepnął kurier, macając koło siebie. – Ja muszę... Ja to tu zakopałem... na wszelki wypadek...

– Cofnąć się! – rozkazał Edward i przyklęknął obok ранnego, pomagając mu rozgarniać śnieg. Niebawem wydostali zagrzebaną w nim raportówkę. W środku było coś jakby butelka lub puszka.

– Pod żadnym pozorem nie wolno tu tego nie otwierać – szepnął kurier. – Tam jest szczelnie zamknięta rzecz z przyszłości tego świata... U nas można ją bezpiecznie oglądać... nasze atomy są inaczej nastrojone, więc nie wejdą w reakcję, ale... jeśli to zetknie się z tutejszą materią, nastąpi unicestwienie, być może zupełnie niewyobrażalny wybuch... – nabrał tchu. – Przyszłość i teraźniejszość w jednym świecie nie mogą istnieć równocześnie.

– Rozumiem, ale skoro wam tę przesyłkę powierzono, wy sami dostarczycie ją, gdzie należy.

– Ja już nie dam rady... dłużej żyć... – westchnął ранny. – Dostałem w brzuch... Musi być krwotok wewnętrzny, bo zimno mi strasznie. Ze wszystkich sił starałem się dożyć waszego przybycia... żeby ostrzec... no i zdołałem, ale te...

Umarł w pół słowa.

Edward zarzucił kurierską torbę na ramię i cofnął się do swoich żołnierzy.

– Nie zostawimy go tutaj – oznajmił. – Zabierzcie ciało!

Ze stygnącymi zwłokami na kocu niesionym za rogi przez czterech ludzi spieszenie pomaszrowali do miejsca, z którego mieli zostać zabrani do swojej Polski.

Tutejsi kosynierzy szli za nimi.

Porucznik obejrzał się na nich i zacisnął usta. Nie namyślał się długo. Przecież nie mógł zostawić tych ludzi na pewną śmierć. Kozacy znów nadjeżdżali. Sądząc po hałasie, co najmniej pół sotni.

– Rozkazuję wam: nie bać się! – rzucił żołnierzom z obok-Polski.

Zabłysło niebieskie światło znikąd. Kosynierzy stanęli jak wryci i zaczęli się lękliwie żegnać, wyjmować medaliki i całować je.

– Tajemnica Rządu Narodowego! – oznajmił im Edward. – Chodźcie z nami! Nie bać się! – powtórzył stanowczo.

W powietrzu zamajaczył kształt rozjarzonej elektryczną poświatą wieży eterowej, a poniżej ludzka sylwetka. Profesor Maxwell we własnej osobie.

– Znalazł pan? – zawołał uczony do porucznika.

– Tak, proszę. – Edward oddał profesorowi torbę poległego kuriera. – Nie wolno tu tego otwierać!

– Wiem – odparł Maxwell. – Właśnie dlatego przybyłem, żeby tego osobiście dopilnować.

– Chodźcie do nas! – zawołał porucznik do kosynierów, widząc, że ci wzbraniają się wstąpić w krąg niebieskofioletowego światła, w którym ustawili się już wszyscy strzelcy.

– Przykro mi, panie poruczniku, ale tych ludzi nie możemy zabrać ze sobą – powiedział uczony lekko drżącym głosem. – To nie jest kwestia niczyjej złej woli. Powodem jest inna faza elektromagnetycznych oscylacji atomów budujących ich ciała. Nie zdołamy tego tak szybko przestroić...

– Ale ta rzecz jest przecież stąd! – wykrzyknął zdenerwowany Edward, wskazując na przesyłkę w rękach profesora.

– Jest zamknięta w hermetycznym naczyniu, wykonanym z materii naszego świata – odparł Maxwell. – Dlatego możemy ją tu trzymać i stąd zabrać. Natomiast żeby ewakuować tych ludzi, musielibyśmy przygotować dla nich specjalne kapsuły albo przenieść ich w drugim, osobnym skoku, po uprzednim przestrojeniu pianoli. Żadnej z tych metod nie możemy zastosować w tej chwili. Jest mi naprawdę ogromnie przykro.

Kozacy pokazali się w zasięgu wzroku. Taniewiczycy zaczęli strzelać do nich bez rozkazu. Tamci nie pozostali dłużni. Zaświstały nad nimi kule, jeden ze strzelców z jękiem osunął się na ziemię.

– Osłonić profesora! – zawołał Edward.

Kilku żołnierzy natychmiast szczerze zastawiło uczonego własnymi ciałami.

Porucznik Starosławski z ciężkim sercem zwrócił się do Sakowicza.

– Rozumiecie po francusku? – zapytał.

– Nie, panie oficerze – odparł ponuro dziesiętnik – ale się domyślam, o czym była mowa. My... mamy tu zostać, tak?

Edward skinął głową. Nie był w stanie wykrztusić choćby jednego słowa. A należałoby powiedzieć im teraz naprawdę wiele. Dodać ducha mającym umrzeć. Rzec coś o ojczyźnie, Bogu, wiecznej chwale, choćby frazes... albo tak jakoś po wojskowemu szorstko, ale serdecznie... Jednak umysł i język za nic nie chciały mu służyć w tej mierze.

– Na rany Chrystusa! – wybuchnął rozpaczą jeden ze stojących za nim kosynierów. – Nie zostawiajcie nas! Wnet nas tu wytną! Zarąbią co do jednego!

– Nie wolno wam mówić, coście tu widzieli – powiedział wreszcie

Edward.

– Trupy nie mówią, panie oficerze – odparł spokojnie dowódca kosynierów, patrząc mu prosto w oczy. – Więc żaden z nas się nie wygada ani pary z gęby...

– Wybaczcie – westchnął ciężko porucznik.

– Jakże to?! – ciskał się jeszcze tamten zdesperowany kosynier. – Jakże to tak?!

– Służbowo, mój Piętka – odpowiedział mu z godnością dziesiętnik Sakowicz. – Wszystko podług służby. Dano nam rozkaz, „nie bać się”, a więc się bać nie będziemy. Kosy w garść! Formować szereg!

Pięciu kosynierów opuściło krąg światła, zbawczego, ale nie dla nich. Staęli ramię przy ramieniu, pochyłili ostrza kos. „Prawa!, lewa!, prawa...”, dziesiętnik podał im rytm. Równym, mierzonym krokiem ruszyli naprzeciw kilkudziesięciu pędzących na nich cwałem kozaków.

Oddalili się nienaturalnie szybko i znikli.

Pojaśniało trochę.

W wyzwolonym trzy lata temu Szydłowcu był teraz późny zmierzch, nie środek nocy, jak w tamtym, z którego wrócili. Strzelcy opuszczali karabiny, przekładali je z ręki do ręki i w milczeniu salutowali w pustkę przed sobą.

Edward poczuł, że coś mu cieknie po policzku. Nie wiedział, czy to krew ze zranionej skroni, czy łza. Zdecydował, że nie będzie się nad tym zastanawiać. Po pierwsze był dowódcą! Schował rewolwer do kabury.

– Kapral do mnie! – zawołał półgłosem.

– Tak jest! – Podoficer wyprężył się przed nim na baczność.

– Jakie mamy straty?

– Razem z panem porucznikiem trzech rannych. Ale jeden ciężko,

trzeba z nim prędko do lazaretu.

– Bierzcie lekkochód i wieźcie go do Radomia, tam się spotkamy.

– Tak jest!

– Jeszcze jedno, zaczekajcie! Powiedzcie ludziom, że walczyliśmy tu z bandą sabotażową w obronie stacji telegrafu. Tak mają mówić i tylko tak! Wszystko inne zapomnieć, zrozumiano?

– Według rozkazu, panie poruczniku! – Zasalutował kapral.

– Możecie odejść.

Profesor Maxwell zaproponował, że weźmie rannego do swojego pojazdu i uda się do Warszawy dopiero po dostarczeniu nieboraka do szpitala. Ochronę w drodze powrotnej zapewniała uczonemu miejscowa żandarmeria, więc to już było wszystko na dziś. Mogli się pożegnać.

– Dziękuję, panie poruczniku. – Profesor uściśnął rękę oficera. – Nie omieszkam wspomnieć o pańskiej dzielności jego ekscelencji dyktatorowi.

– To zbyteczne, profesorze. Obyśmy następnym razem spotkali się w znacznie przyjemniejszych okolicznościach.

– Mam taką nadzieję – odparł Maxwell.

Nadeszli powiadomieni przez kogoś miejscowy proboszcz razem z kościelnym, aby zająć się pogrzebem poległego kuriera.

– Jak nazywał się zmarły? – zapytał ksiądz Edwarda.

– Nie wiem – odparł porucznik – ale meldunek telegraficzny do Warszawy już poszedł, więc niebawem powinni przysłać tu jego dane. Proszę pamiętać, że zginął jak bohater.

– Nie zapomnimy – zapewnił kapłan.

– Jeszcze jedno, proszę księdza... – Edward zawahał się. – Podczas mszy żałobnej proszę wspomnieć jeszcze o kimś...

- Słucham, synu.
- O pięciu poległych kosynierach. Nie mogę powiedzieć nic więcej, ale Bóg na pewno będzie wiedział.
- Bez wątpienia. Czy to wszystko?
- Tak, proszę księdza.
- Idźcie z Bogiem.
- Do wozów! – rozkazał Edward swoim żołnierzom.

Trzy lekkochody ruszyły w drogę powrotną do Radomia. Wróblewski na razie pojechał z profesorem i rannym, bo chciał jeszcze pilnie omówić jakiś problem matematyczny. Upewniono się tylko, że towarzyszący im strzelec nie zna języka francuskiego. Ponieważ pianola została w Szydłowcu, Edward mógłby też pojechać z nimi, ale jego podkomendni uprosili go, aby teraz im dotrzymał towarzystwa. Zgodził się.

Tym razem nie było już żadnych żartów z wieku i niedoświadczenia młodego oficera. Traktowano go bez mała jak półboga, a przede wszystkim przemyto mu wódką ranę na głowie i założono wreszcie porządny opatrunek. Napić się tej wódki Edward pozwolił sobie i im tylko po łyku, wszak nadal byli na służbie. W zamian więc nauczono pana porucznika palić żołnierskie skręty, której to sztuki prymus de Sain-Cyr jeszcze nie zdążył opanować.

Pod szpitalem w Radomiu do ich kabiny wcisnął się Wróblewski. Żeby zrobić mu miejsce, dwóch strzelców usiadło na podłodze. Reszta drogi upłynęła im na pikantnych opowieściach porównujących życie erotyczne studentów i żołnierzy. Obie strony koniecznie chciały się przelicytować w liczbie miłosnych podbojów, aż Edwardowi, mimo że był żonaty, uszy spłonęły. Sugerowano mu ze współczuciem, że stanowczo zbyt szybko się ożenił.

Żarty skończyły się jakiś kilometr od „Zawiszy Czarnej”, gdy usłyszeli strzały. Pojedyncze oraz całe serie z kartaczożnic Gatlinga.

Potem zobaczyli pożar. Paliło się coś dużego, skrytego za nad-  
twardochodem. Czyżby taboron „Juliusz”...?

Z rur wytchnieniowych „Zawiszy” wypuszczano dodatkowe ilości  
płonącej pary naftowej, przez co wokół krążownika było widno jak w  
dzień. W kręgu światła biegali bezładnie żołnierze z eskorty. Zamie-  
szanie było naprawdę duże.

Lekkochody stanęły, wysypujący się z nich piechurzy natychmiast  
uformowali tyralierę. Edward poprowadził ich, w duszy dziękując  
Bogu za własną przezorność, że po drodze nie zapomniał doładować  
rewolweru.

Miotający się wokół „Zawiszy” strzelcy na widok odsieczy i ofi-  
cera zaczęli się uspokajać.

– Co się tu dzieje?! – zapytał Edward pierwszego napotkanego.

– Melduję posłusznie, panie poruczniku, że zaatakowali nas  
moskiewscy dywersanci! Podłożyli bomby pod konwój...

– Pod co konkretnie?!

– Nie wiem, panie poruczniku.

– Gdzie kapitan Zięba?

– Nie żyje.

– Major Jasiński?

– Nie wiemy...

Po chwili okazało się, że wysadzono w powietrze wagoniki z apa-  
raturą mrozącą Wróblewskiego i Olszewskiego. Płonęła rozlana ben-  
zyna do palników pod kotłem lokomobili. Opary uwolnionego amo-  
niaku szczypały w oczy i drapały w gardle, uniemożliwiając bliższe  
obejrzenie szkód, ale oba wagony były w zupełnej ruinie. Przenośną  
bombę podłożono też pod wypełnionego naftą i wodą utlenioną  
„Juliusza”, ale tę kapitan Zięba osobiście wyniósł na bezpieczną odle-  
głość, zanim wybuchła mu ona w rękach.

Napastników było czterech. Trzech zginęło w walce, czwarty, osaczony, strzelił sobie w usta, krzycząc wcześniej, że nie będzie miał grzechu, bo im wszystkim wcześniej Cerkiew z góry dała odpuszczenie.

Atak był samobójczy i właśnie dlatego się powiódł. Straż samego „Zawiszy” spisała się wprawdzie znakomicie mimo zaskoczenia, nie pozwalając napastnikom choćby zbliżyć się do krążownika, ale pozostała część konwoju okazała się znacznie słabiej chroniona.

Niestety, cena tego zaniedbania okazała się wysoka.



## Głupota zdrady warta

Dotąd było tak, że to spokojniejszy z natury, sceptyczny Olszewski mitygował narwanego Wróblewskiego. Tym razem jednak opanowany zazwyczaj fizykalista zupełnie wyszedł z nerwów i bez skrępowań skoczył do oczu majorowi Jasińskiemu.

– Pan się zapomina, panie magistrze! – próbował usadzić go oficer Straży Bezpieczeństwa, ale w ten sposób tylko dolał nafty do ognia.

– JAAA?!! – Olszewski eksplodował dwójnasób. – A pan co robił, kiedy nam Moskale na głowę wchodziłi?!

Jasiński zmilczał odpowiedź, bo to już dobrze wiedzieli wszyscy. Panowie sztyletnicy w momencie ataku przesłuchiwali akurat podejrzanego o dywersję. Znajdowali się w sąsiedniej wsi, gdzie w jednej ze stodół zaimprovizowali sobie filialne biuro Straży Bezpieczeństwa oraz izbę tortur w jednym. Oprawiali w niej jakiegoś Bogu ducha winnego durnia, który chciał sobie obejrzeć „Zawiszę Czarnego”, ale zamiast otwarcie podejść do wartowników i zagadać ze swadą, jak to zwykle robili miejscowi ludzie, wpierw chwalać imię Boże, potem naczelnika państwa, a następnie obowiązkowo narodowy geniusz techniczny, ten bęczał czał się po krzakach, w których wypatrzyli go sztyletnicy. No i uznali, że skoro się kryje, to koniecznie musi mieć wrogie zamiary. Zwykły brak śmiałości i rozsądku wykluczono z góry. Zabawę w wymuszanie przyznania się do wszystkiego, czego sobie życzyli, przerwały im odgłosy wybuchów.

– Niewinnych łatwo się wam łapie, prawda?! – wrzeszczał wściekły Olszewski. – Niewinni źle się kryją i maskują! Niewinnym z natury rzeczy nie przyjdzie do głowy, że robią coś złego, za co mogą zostać pojmani i ukarani, bo za co?! Niewinni nie uciekają, nie bronią się jak dzikie wilki! W ogóle się nie bronią! Niewinnych może sobie pan major łapać tuzinami! Oni zaś, pojmani, będą przerażeni wielokroć

bardziej od wyrachowanych drani i w strachu powiedzą wszystko, do czego się ich zmusi! A potem można się wykazać przed przełożonymi gorliwością i sukcesami, nieprawdaż?! Piersi po orderzy wystawić! Awansów oczekiwać! Tylko tymczasem, kiedy wy się uganiacie za niewinnymi, kiedy tracicie na nich czas, siły i środki, prawdziwi winowajcy, szpiedzy i sabotażyści robią, co chcą, bo pan już zupełnie nie ma dla nich głowy! To pan jest ich największym sprzymierzeńcem!

– Jeszcze słowo, a każe pana aresztować! – rozsierdził się major Jasiński.

– Pod zarzutem mówienia prawdy w oczy?! – napierał Olszewski.  
– Ależ proszę bardzo! – Demonstracyjnie wyciągnął przed siebie nadgarstki, by ułatwić zaśrubowanie na nich kajdanek. – Będzie pan miał jeszcze jeden pretekst, by nie zajmować się tymi, co potrzeba! Wy bezpieczniacy jesteście zawsze głupszy od swoich prawdziwych przeciwników!

– Ja nie żartowałem... – wycedził przez zęby sztyletnik.

– Siejecie terror bez opamiętania na prawo i lewo! – Fizykalista wyraźnie za nic miał groźby. – Gotowi jesteście wieszać każdego, kto tylko spojrzy na was spode łba, oczywiście po uprzednim badaniu trzeciego stopnia, a tymczasem wszyscy spiskowcy od początku świata robią was w wała podług swojego uznania i potrzeb! Jeśli kogoś złapiecie, to przypadkiem albo wskutek zdrady po drugiej stronie! Władza nad ludźmi uderza wam do głów i głupiejecie od niej doszczętnie!

– Panie Olszewski! – warknął major. – Niech się pan liczy...

– Z kim niby?! – wpadł mu w słowo magister. – Z kim, do diabła, mam się liczyć?! Z bałwanami, którzy psują pracę nam wszystkim?!

Edward uznał, że czas najwyższy wkroczyć w ten spór. Odruchowo poprawił bandaż na głowie, bo przyschnięta rana dokuczała mu dzisiaj od samego rana, a następnie energicznym krokiem podszedł do awanturujących się towarzyszy wyprawy.

W porę, bo oficer Straży Bezpieczeństwa był już naprawdę bliski rzucenia Olszewskiego na ziemię.

– Niech pan się uspokoi, panie magistrze! – Porucznik zaczął od niego. – Pańskie wyrzuty już niczego nie naprawią. A pan, majorze, zechce wreszcie przyjąć do wiadomości, że wy, sztyletnicy, wczoraj zawiedliście nas całkowicie.

– Nie mam w zwyczaju wysłuchiwać pouczeń od młodszego stopniem!

– To w takim razie wysłucha ich pan wprost od naczelnika państwa, oczywiście jeśli tylko dyktator znajdzie czas, aby z panem mówić. Podejrzewam, że raczej ograniczy się do szybkiej decyzji personalnej...

– Wykonywałem swoje obowiązki. – Jasiński spuścił z tonu. – Zgodnie z regulaminem mojej służby.

– Wykazał pan nadgorliwość i nadużył władzy, a nasz przeciwnik skorzystał z tej okazji – stwierdził chłodno Edward. – Nie regulaminowi ma pan służyć, tylko Królestwu i naszej misji.

– Na co mi przyszło! – sarknął major, patrząc z niesmakiem na porucznika i magistra. – Panowie mogliby być moimi synami... Służę ojczyźnie od czterdziestego szóstego roku... Ale dobrze, czego młodzi panowie ode mnie teraz oczekują? Ja i moi ludzie chcielibyśmy się jakoś zrehabilitować.

– Zastanowimy się nad tym – odparł Edward.

Tymczasem z rumowiska za plecami sztyletnika wygramolił się Wróblewski z kluczem francuskim w rękę. Oddał narzędzie jednemu z żołnierzy, który w zamian podał mu manierkę z wodą. Fizykalista nalał jej sobie na dłoń i energicznie przemył podrażnione amoniakiem oczy, po czym szybkim krokiem podszedł do trójki dyskutantów.

– Nie jest tak źle! – oznajmił od razu. – Z lokomobili wprowadzie

nie ma co zbierać, ale sprężarkę da się naprawić.

– A amoniak? – spytał sceptycznie Olszewski.

– Diabli wzięli tylko trzy butle. Powinno wystarczyć. Ale wagoniki „Juliusza” już nigdzie nie pojadą...

– Sprowadzę nowe – zapewnił major. – Zajmę się tym niezwłocznie! – Z wyraźną ulgą zszedł z oczu napastliwym młokosom.

Na szczęście mieli jeszcze do dyspozycji dwa lekkochody, których ze względu na zaistniały wypadek nie odwołano do Warszawy i na razie pozostawiono im do dyspozycji. Jasiński mógł więc czym prędzej pojechać do Radomia z zapotrzebowaniem na nowe wagony i lokomobilę. Tak czy owak, mieli poważnie opóźnienie. Wyglądało na to, że stracą cały dzień, i oby tylko ten jeden.

Na razie zajęto się pogrzebem szczątków kapitana Jarosława Zięby. W dziennym świetle, na śniegu, łatwo było ich szukać. Kawałek ręki znaleziono na dachu „Zawiszy Czarnego”. W sumie skompletowali ponad dwie trzecie rozerwanego na strzępy ciała. Za brak reszty należało winić kręcące się w pobliżu wygłodniałe, bezpańskie psy. Rozwścieczeni żołnierze bez rozkazu wystrzelali je co do jednego. Edward nie oponował temu, tylko nakazał pozbierać padlinę i pochować ją w osobnym dole.

Grób dla poległego bohatera wykopano w miejscu jego śmierci, przy drodze, pogłębiając i poszerzając lej po wybuchu miny. Miejscowi ludzie przynieśli wyciosany własnoręcznie krzyż. Był z nimi też ów posiniaczony nieborak, którego poturbowali sztyletnicy. Nic nie mówił. Porucznik podszedł i przeprosił go w imieniu naczelnika państwa, na co wzruszony chłopina rozplakał się przez zapuchnięte oczy i powiedział, że winowajcom z serca odpuszcza.

Zabitym Moskałom wykopano wspólną mogiłę zaraz za grobem kapitana, tak aby polski bohater nawet po śmierci wciąż bronił im dostępu do drogi. Przeciwnikom postawiono prawosławny krzyż o połowę mniejszy niż Ziębie.

Księży przyszło aż czterech – dwaj proboszczowie pobliskich parafii razem z wikarymi. Przybyli też okoliczni włościanie i obywatele ziemscy z rodzinami. Nadbiegła też jakaś amatorska orkiestra. Msza polowa za duszę kapitana Zięby wypadła więc nader okazale. Na koniec, salwę honorową dały wszystkie kartaczownice z prawej burty „Zawiszy Czarnej”. Ogień skierowano na pobliskie pole w taki sposób, że rozrąbana pociskami czarna, zmarznięta ziemia utworzyła na tle śniegu zarys krzyża *Virtuti Militari*. Kiedy opadła biała kurzawa i ukazał się rysunek, zebrani odśpiewali *Boże, coś Polskę*.

Godzinę później wrócił major Jasiński. Z połowicznym sukcesem. Jego lekkochód przyholował tylko jeden wagonik – załadowano na niego cztery butle sprężonego amoniaku, które udało się wyszperać w radomskich zakładach zbrojeniowych. Drugiego wagonu w rozporządzeniu tam nie mieli, a co gorsza ich przemysłowe lokomobile okazały się zbyt ciężkie i niezdatne do transportu. Tę, którą im zniszczono, Karol Olszewski specjalnie zaprojektował, tak by zmieściła się w typowym wagonie taboronu.

Na tę wiadomość Edward zacisnął zęby, oznajmił, że nie będą tracić więcej czasu i nakazał wznowić marsz na miejsce przeprawy. Postanowił, że po drodze zastanowią się, jak rozwiązać problem. Na razie jeden lekkochód z dwoma sztyletnikami zawrócono do Starachowic, a gdyby tam im nic nie poradzono, mieli jechać z kolei do Ostrowca.

O drugi pojazd niespodziewanie poprosił Wróblewski. Spytany po co, odparł, że nie chce nikomu robić zbędnej nadziei, ale ma pomysł. Edward zgodził się na to, mitygując Jasińskiego, któremu wróciła już dawna podejrzliwość.

Przed południem następnego dnia, to znaczy 14 lutego, dotarli nad Wisłę. Zastali tu już kompanię saperów, którzy do tej pory wyrównali teren, przygotowując dla Modelu III utwardzone zamrożoną wodą podjazdy po obu brzegach rzeki. Oni też mieli za sobą starcie z sabotażystami, którzy próbowali wysadzić lód na brodzie,

ale udaremniono ten zamiar na samym wstępie. Ponieważ tym razem Moskale mieli do czynienia z fachowcami od robót ziemnych, ci usypali im geometrycznie foremą mogiłę w kształcie ściętego ostrosłupa. Jakiegoś nadgorliwego warchoła, który przyplątał się nie wiadomo skąd i pyskował, że sypią wrogom pomnik-kurhan, pogoniono precz kopniakami.

Wszystko było zatem gotowe na przybycie „Zawiszy”, ale bez domrożenia rzeki nie mogło być mowy o wprowadzeniu kolosa na lód. Saperzy mieli wprawdzie ze sobą dodatkową armaturę, która z nawiązką zastąpiła rury zniszczone w zamachu, ale w niczym więcej nie mogli już pomóc. Chcąc nie chcąc, wszyscy musieli więc czekać na sprowadzenie lokomobili i uruchomienie chłodziarki skraplającej amoniak.

Kiedy nad tym właśnie deliberowali, trąbiąc donośnie zajechał z fasonem lekkochód Wróblewskiego. Do pojazdu przyczepiono zwykły wóz drabiniasty, wyładowany z górką jakimś żelastwem i belkami. Po chwili z kabiny wyskoczył uradowany fizykalista.

– Cóż pan nam przywiózł? – zapytał Edward.

– Kierat! – oznajmił Wróblewski niebywale zadowolony z siebie. – Wyszukałem go w jednym z pobliskich majątków. Podłączymy konny kierat do sprzężarki! Uda się! Ja już wszystko policzyłem! – Wyjął zza pazuchy notes i podał go Olszewskiemu, który właśnie nadbiegł.

– Trzech koni do jednego kieratu nie zaprzęgniemy – zauważył sceptycznie pan Karol, sprawdzając obliczenia kolegi. – Bo to dla nich nowość i nieułożone będą się narowić.

– Wobec tego zamiast koni damy tuzin ludzi. Moc będzie ta sama, a przy tym bardziej stabilna, bo można ich szybciej zmieniać, kiedy się zmęczą.

– Świetnie, saperzy tym się zajmą – włączył się do rozmowy major Jasiński.

– O nie! – zawołał Olszewski. – Panowie sztyletnicy zawinili, więc

panowie sztyletnicy teraz to wszystko odkręca! Jest was tu teraz akurat dwunastu...

Oficer Straży Bezpieczeństwa popatrzył pytająco na Edwarda, ale ten milczał wymownie.

– Dobrze – ustąpił po chwili major. – Proszę to uznać za zadośćuczynienie z naszej strony.

– Panowie, pomóżcie! – zawołał Wróblewski do gromadzących się wokół nich saperów.

Było trochę śmiechów i docinków z tak osobliwego zestawu machin, ale błyskawicznie wyładowano z wozu części kieratu i zaczęto montować go we wskazanym miejscu. Okazało się, że Wróblewski zamówił już u miejscowego kowala żelazną kształtkę umożliwiającą połączenie maszyny rolniczej z głównym wałem sprzężarki amoniaku. Wiejski rzemieślnik wykonał zamówienie priorytetowo, pracując całą noc, i fizykalista miał już potrzebny element w lekko-chodzie.

Pół godziny później magister Karol Olszewski odkrył w sobie talent pańszczyźnianego ekonomy. Osobiście bowiem zajął się nadzorem obracających kierat sztyletników. Podał im właściwy rytm pierwszych kroków, po czym stopniowo, z zegarkiem w ręku, bezlitośnie narzucał im coraz szybsze tempo, aż na półnagich mężczyzn uderzyły siódme poty. I nie pozwolił im ustawać.

Konieczność niewątpliwie tu zachodziła, ale nie wiadomo, czy pan Karol nie miał z tego aby większej mściwej uciechy. Gdyby trzymał szpicrutę, niewątpliwie niejednego pana sztyletnika miałby już pręgi na plecach...

– Proszę tylko spojrzeć, panie poruczniku! – zawołał Olszewski do przechodzącego mimo Edwarda. – Cóż za widok niebywały! Tajna policja polityczna w służbie postępu...

Tymczasem w łodzi, w oznaczonych miejscach kuto przeręble i

zanurzano w nich miedziane rury, wygięte w wąskie „U”, o długości dobranej odpowiednio do głębokości, wciskając je nieco w dno. Na środku rzeki umieszczano te węzownice w potrójnych pakietach osłoniętych dodatkowymi arkuszami blachy, ażeby podlodowy prąd wody, o kilka stopni cieplejszej od zera, nie rozmywał zbyt szybko tworzącego się lodu.

Po dwudziestu minutach pracy sprężarki w jej zbiorniku zaczęły się pojawiać pierwsze krople płynnego amoniaku. Po godzinie mieli go już dosyć, aby rozpocząć mrożenie brodu. Ciekły gaz skierowano do zanurzonych rur gumowymi węzami, które natychmiast zeszywniały jak druty i zaczęły się pokrywać szronem. Ponieważ stały się przy tym niebywale kruche, rozstawiono przy nich co pięć kroków strażników, by nikomu nie pozwolili ich przypadkiem niczym trącić. Nawiasem mówiąc, sprężarka do amoniaku ocalała dlatego, że na czas transportu obłożono ją ze wszystkich stron zwojami tych gumowych rur.

W chwili gdy skroplony gaz zetknął się z miedzią, rozległ się przenikliwy warkot i wizg. Odgłosy te, co Wróblewski wyjaśnił Edwardowi już podczas forsowania lżanki, były spowodowane bardzo silnymi naprężeniami wywoływanymi przez intensywny ruch ciepła przenikającego z wody przez ścianki miedzianych rur do płynnego amoniaku, który skutkiem tego parował i musiano go tym szybciej dochładzać, co odbywało się poprzez trzykrotne sprężanie i rozprężanie, w systemie kaskady. Na trzecim stopniu chłodziarki z dyszy tryskał deszcz ponownie skroplonego gazu, co można było obserwować przez specjalną szybkę w ścianie zbiornika, póki nie zasnuł jej gruby na trzy palce szron.

Tym razem jednak efekt akustyczny spowodowany naprężeniami cieplnymi przerósł wszelkie oczekiwania. Po dwóch minutach od rozpoczęcia mrożenia, ku zdumieniu i zaskoczeniu wszystkich obecnych, bodaj hektarowa połać kry wpadała w rezonans i zadrżała jak jedna wielka membrana.



Zamarznięta Wisła na całej swej szerokości zadudniła jak jeden ogromny bęben wojenny.

A przy tym z zastałej powierzchni rzeki wzbił się w górę drobny lodowy puch, w którym zderzające się fale dźwiękowe jeły formować jakieś nieprawdopodobne kształty – a to ruchomych słupów, wijących macek, przedziwnych bestii albo wręcz ludzkich postaci, w których dopatrywano się duchów dawnych polskich rycerzy przybyłych podziwiać to niezwykle, militarne przedsięwzięcie. Istny seans spirytystyczny w biały dzień!

Miedziane końcówki wężownic zawodziły przenikliwie głosami piszczałek. Łód wtórował im monumentalnie, grząc niczym kotły i surmy. Wszystko to razem zgrało się w koncert przedziwny, zarazem porywający i groźny, wciąż zmieniający tony, ponieważ systematycznie grubiejące pod powierzchnią kry słupy lodowe i przęsła bez przerwy przestrajały cały ten grający lodowy most ku coraz wyższemu rejestrom.

Można by też rzec, że oto pod miejscem przeprawy zebrały się chóry wiślanych syren. Czy jednak śpiewały one pieśń chwały, czy przepowiadały klęskę – doprawdy nie sposób zgadnąć!

Pośród tego akompaniamentu pierwszy, na próbę, poprzez rozstępujące się przed nim białe zjawy, ruszył na drugi brzeg „Juliusz”. Pod koła, dla równomierniejszego obciążenia podkładano mu długie i szerokie deski. Przeszedł bez kłopotu, własnym ciężarem zmieniając jedynie śpiew lodowej tafli znów na bardziej basowy. Jak gdyby do syren dołączyły gryfy.

Upewniono się, że nigdzie nie ma pęknięć. Na wszelki wypadek odczekano jeszcze parę minut i wtedy, zionąc ogniem z zadartych w górę rur wytchnieniowych ruszył „Zawisza Czarny”.

Rozkładane na trasie przejazdu deski niewiele mogły już pomóc. Pod naciskiem kół Modelu III zostawały z nich tylko wykałaczki. Wszystko zależało teraz od grubości tafli lodu, od sklepień, które się pod nią wytworzyły i od twardości dna. Niby sprawdzono oraz wyli-

czono to wszystko zawczasu, ale zawsze coś mogło pójść nie tak...

I stało się!

Pękła jedna z rur doprowadzających ciekły amoniak.

Zmrożona do kryształowej kruchości guma nie wytrzymała wibracji i trzasnęła jak szkło. Skroplony gaz trysnął na lód, zgotował się na nim jak woda na gorącej blasze, eksplodował żrącym tumanem, wypłaszając stojących wokół ludzi.

Syreny śpiewające pod lodem wzięły gwałtownie ostrzegawczą nutę.

– Naprzód! Dalej naprzód! – zaczęli krzyczeć saperzy, a Edward energicznym machnięciem pokazał pomocnikowi maszynisty drugi brzeg.

Drogi powrotnej nie mieli. Zaczynanie wszystkiego od początku, drugi raz, nie wchodziło w grę. Gumowy rurociąg pękł w kolejnym miejscu, a potem trzecim, czwartym i piątym. Natychmiast odcięto dalszy dopływ amoniaku, ustała praca przy kieracie. Pozostało już polegać tylko na tym, co zrobiono do tej pory.

Teraz więc albo nigdy!

„Zawisza” całą swoją masą wtoczył się na zamarznięty bród. Wisła stęknęła z wysiłkiem, syreny zamilkły spłoszone.

Naprzód!

Krażownik lądowy przyspieszył, z prędkości manewrowej na marszową, aby prędzej przebyć przeszkodę. Po chwili był już na środku rzeki.

Pękający lód huknął ogłuszająco, jak gdyby wybuchła ciężka bomba. Po tafli poszła kilkudziesięciometrowa rysa, z której wytrysnęła woda. Szczelina nie rozeszła się jednak więcej niż na dwa palce. Naturalne i sztucznie wytworzone bloki lodu zaparły się o siebie oraz o brzegi i zablokowały wzajemnie na kształt sklepienia.

Krażownik lądowy sunął po zamrożonej Wiśle wciąż przed siebie.

Ludzie stojący obok Edwarda modlili się lub kurczowo zaciskali kciuki.

Dwie trzecie drogi...

Znów eksplodował pękający lód. Raz, drugi, trzeci! Istna kano-nada! Tym razem napierające na siebie tafle ukruszyły się i stanęły dęba, zaledwie kilkanaście kroków od Modelu III. Spod kry trysnęły w górę całe gejzery wody i błota. Było płytko, ale dla „Zawiszy Czar-nego” jednak za głęboko.

Nad-twardochód zachwiał się, zakołysał.

Kolejna, tryskająca kipiela szczelina wbiegła wprost pod jego tylne koła...

Serce zamarło Edwardowi w piersiach. Poraziła go pewność, że to koniec. Na oczach porucznika Starosławskiego połamany lód zapadał się pod naciskiem góry żelaza, strzykając w górę wszystkim, co znajdowało się pod nim – piachem, mułem, zieloną miazgą wodorostów.

Jednak „Zawisza Czarny” wciąż jechał. Na przekór oszalałym żywiołom nieustępliwie sunął naprzód. Był dość długi, aby w tym krytycznym momencie sam posłużyć sobie za most. Przód zachybotał się jeszcze, ale środek ciężkości już był w bezpiecznym miejscu po drugiej stronie rzeki, a po chwili znalazła się tam reszta kadłuba i oto nad-twardochód znalazł się cały na prawym brzegu Wisły i kontynuował podróż, wytrwale wspinając się po usypanej dla niego pochylni.

Edward nie wierzył własnym oczom, a potem wraz z innymi zaczął wrzeszczeć jak opętany.

Udało się!

– Niech żyje Polska! – krzyczeli razem pogodzeni fizykaliści i sztyletnicy.

Ktoś obok śmiał się jak szalony, płacząc przy tym z radości, ktoś

gromko dziękował Bogu. Udało się! Naprawdę im się udało!

Entuzjazm i wzajemne powinszowania trwały krótko, po czym w wielkim pośpiechu zaczęto uprzątać narzędzia i aparaturę. Wozy taborowe przeszły po lodzie, omijając szerokim łukiem obszar spękanej kry. Wykorzystane rury miały zostać w rzece do wiosny. Do forsowania Wieprza mieli dostać nowe wężownice. Teraz pojawiła się szansa nadrobienia opóźnienia i należało z niej koniecznie skorzystać.

O trzeciej po południu wyprowadzili „Zawiszę Czarnego” na trakt lubelski, skręcając na Dęblin. Tutaj czekała ich nagła i niespodziewana zmiana nastroju na znacznie bardziej minorowy.

Zobaczyli tłumy wynędzniałych uchodźców z Podlasia. Szli w przeciwną stronę, do Lublina, gdzie zorganizowano dla nich wielki obóz pod opieką wojsk generała Langiewicza.

Widok potężnej maszyny wojennej stanowił dla tych nieszczęśników małą pociechę. Apatycznie słuchali poleceń, by nie tarasować drogi, przeważnie tylko stawali i patrzyli przed siebie, czekając nie wiadomo na co. Rozstępowali się dopiero na wyraźny rozkaz usunięcia się z drogi konwoju. Saperzy kierowali furmanki na pobocze, wyprzęgali i odprowadzali w pole konie, aby się nie spłoszyły, a po przejeździe „Zawiszy Czarnego” pomagali z powrotem ustawić na drodze wozy z resztkami dobytku. Poruszeni widokiem nędzy wozacy z taboru na końcu kolumny bez pytania, w milczeniu wciskali w wyciągające się zewsząd ręce bochenki wojskowych chlebów, pledy i namioty. Nikt im tego broniał. Strzelcy odczepiali koce od swoich plecaków i też oddawali je potrzebującym.

Owszem, bywało, że ktoś z przechodzących zawołał: „pomścijcie nas!” albo: „śmierć Moskałom!”. Nim dojechali do Dęblina, kilkunastu mężczyzn zgłosiło się na ochotnika, pragnąc pomóc przy obsłudze „Zawiszy”. Edward i major Jasiński po krótkiej naradzie przydzielili tych ludzi do pomocy saperom, potem miano pozostawić ich w twierdzy na przeszkolenie. Generalnie jednak, w przeciwieństwie do

tęgo, co działo się na lewym brzegu Wisły, tutaj widok lądowego krążownika nie budził większego entuzjazmu. A bywało i odwrotnie. Jakaś stara kobieta chwyciła Edwarda za ramię i spytała go lęklwym szeptem, czy przez tego żelaznego smoka car przypadkiem jeszcze bardziej na nich się nie rozgniewa...?

Słowem, serce się krajało, ale robili swoje, jak należy.

Nastrój poprawiło forsowanie Wieprza. Tu przynajmniej wszystko było gotowe na ich przybycie. Uprzedzona intendentura dęblińskiej twierdzy zorganizowała im rolniczą lokomobilę, która czekała już na brzegu pod parą. Dojazdy po obu stronach rzeki były zrobione i solidnie utwardzone wylaną w nocy wodą, która do tej pory zamarzała. Miedzianą armaturę wpuszczono już w świeżo wykute przeręble. Ich nowa lokomobila służyła wprawdzie wcześniej do napędu młoc-karni, ale Wróblewski i Olszewski migiem uporali się ze sprzęgnięciem jej ze swoją sprężarką amoniaku.

Przebycie Wisły poniżej miejsca, gdzie łączyła się ona z Wieprzem, było dla „Zawiszy Czarnej” niewykonalne – koryto rzeki sta- wało się zbyt szerokie i głębokie. Dlatego po dokładnym sprawdzeniu terenu latem i jesienią zeszłego roku zdecydowano rozłożyć for- sowanie na dwa etapy.

Wieprz był rzeką o wiele węższą i leniwszą od Wisły, a przez to grubiej zamarznątą, więc jego domrażanie odbyło się bez zaskakują- cych fenomenów akustycznych. Ot, zwykły pisk i trochę łomotu. Może nawet zrobili ten lodowy most trochę zbyt solidnie, niepo- trzebnie przedłużając całą operację, ale po poprzedniej przeprawie już nikt nie miał ochoty na nowe dramatyczne przeżycia. „Zawisza Czarny” przetoczył się na drugi brzeg rutynowo, jakby była to jego setna, a nie dopiero trzecia przeszkoda wodna.

Krótko przed zachodem słońca zajęchali pod Bramę Lubelską, dokładnie w to samo miejsce, gdzie trzy lata temu odbyła się pierw- sza bitwa twardochodów. Upamiętniono ją wystawionym obok wjazdu na most, po którym szarżował twardochód „Adam”, niewiel-

kim wapiennym obeliskiem z krzyżem oraz wyrytymi na cokole nazwiskami poległych. Historia zatoczyła doprawdy przedziwne koło.

Oczywiście nie było mowy, żeby „Zawisza Czarny” wjechał na teren cytadeli. Nie pozwalały na to zbyt lekkie mosty nad fosą oraz wymiary bramy. Dowództwo twierdzy przyszło więc do nich.

Osobiście, z orkiestrą wojskową, powitał ich sam komendant dęblińskiego garnizonu generał Edmund Taczanowski, wysoki, szczupły mężczyzna z dużą łysiną i sumiastymi wąsami. Do uroczystości przyłączyła się nieoczekiwanie stara załoga „Juliusza”, składając pod pomniczką koło mostu wieniec ze świerkowych gałęzi, który sami upletli pod drodze.

Następnie odbył się pierwszy apel całej, uzupełnionej o kanonierów załogi „Zawiszy Czarnego”. Brakowało jeszcze tylko kapitana, którego naczelnik Traugutt jak dotąd nie mianował. Podobno dyktator wahał się z wyborem pomiędzy poprzednimi dowódcami „Orszy” i „Smoleńska”. Mówiło się też, że dyktator chce powierzyć Model III kapitanowi jakiegoś innego twardochodu, który wyróżni się w nadchodzącym starciu z rosyjskimi pancernikami i dzięki temu będzie miał największe potrzebne doświadczenie.

Oddziały husarii ogniowej po części wciąż jeszcze się szkoliły i wbrew początkowym planom miały do nich dołączyć i przejąć osłonę Modelu III dopiero pod Siedlcami. Zdaje się nastąpiło jakieś opóźnienie w tresurze koni, ale przede wszystkim ci, którzy już byli gotowi, zajmowali się teraz ściganiem band dywersyjnych oraz ochroną uchodźców i obiektów wojskowych.

Skutkiem tych zaszłości faktycznym zwierzchnikiem załogi „Zawiszy” pozostawał wciąż porucznik Starosławski. Co prawda decyzje miał podejmować wspólnie z majorem Jasińskim, ale ten po blamażu pod Czarnolasem usunął się w cień. Korzystając więc ze swoich wciąż aktualnych prerogatyw, Edward zarządził nocny załadunek ciężkiej amunicji artyleryjskiej, aby na rano krążownik lądowy był gotów do

wymarszu pod Sokołów. Generał Taczanowski wyraził zgodę, polecił otworzyć forteczną prochownię i rozpoczęto wynoszenie skrzyń z pociskami i ładunkami miotającymi. Żołnierzom przydzielonym do wykonania tego zadania wydano ślepe latarnie ze szczelnie zakrytym ogniem, które rozstawiono też na obu balustradach mostu oraz w bramie. Dla bezpieczeństwa na „Zawiszy” wygaszono rufową pędnię numer trzy.

Zdawało się, że wszystko idzie jak z płatka.

Nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca, no, ale przecież zachód już był! Co jeszcze mogło ich zaskoczyć? Tymczasem z pogodnego, czerwieniejącego na horyzoncie nieba spadł nagły grom.

Kiedy przytoczono pierwsze wózki z pociskami działowymi, Edward, rzecz jasna, od razu zapytał o przesyłkę z Modlina, od majora Karpowczenki. Odpowiedź, jaką otrzymał w tej sprawie, po prostu nie zmieściła mu się w głowie. Nie uwierzył własnym uszom, zapytał więc drugi raz.

– Co wyście zrobili?! – stęknął w kompletnym osłupieniu.

– Taż jak mówię, panie poruczniku, te granaty jakieś felerne były!  
– oznajmił zniecierpliwiony zbrojmistrz, sierżant Zawada, który, jak się właśnie okazało, mógł być rodzonym bratem ogniomistrza Golenia od gwoźdza w bucie. Podobni z rysów twarzy i postury co prawda zupełnie nie byli, ale jak się właśnie okazało, łączyło ich iście bliźniacze pokrewieństwo w głupocie.

– Tak więc żeśmy je elaborowali od nowa – gadał ogromnie zadowolony z siebie, brzuchaty podoficer. – Podczas sprawdzania wilgotności ładunków odkryliśmy, że tam w czerepach była ledwie co połowa materiału eksplozywnego. Pewnie ukradli jacyś dranie i sprzedali na lewo, no bo kto to tam po wybuchu dojdzie, ile tego w granacie naprawdę było...

– Tak miało być! – jęknął z rozpaczą Edward.

– Jakże miało być? – wzruszył ramionami zbrojmistrz, patrząc na

porucznika jak na wiejskiego głupka. – Taż wszyscy wiedzą, że taki granat siłę wybuchu będzie mieć za małą. No więc żeśmy do nich ekrazytu dosypali...

– I natychmiast wysypiecie go stamtąd z powrotem! Co do ziarnka! – warknął Edward, wpadając w szewską pasję. – Wysypiecie, aż do... – przypomniał sobie wewnętrzną konstrukcję pocisków kumulatywnych Karpowczenki – aż do tego lejka z miedzianej blachy, który włożono, aby utrzymywał kształt pierwotnego ładunku. Żeby mi ani szczypta więcej kwasu pikrynowego się tam nie znajdowała! Zrozumiano?!

– Ale myśmy te głupie blaszki precz wyrzucili! – oznajmił zirytowany podoficer. – Taż, mówię od początku, panie oficerze... – Wymówił słowo „oficer” z głębokim niesmakiem, dla podkreślenia jakich to młodocianych durni w dzisiejszych czasach na stopnie oficerskie promują. – Że elaborowaliśmy je od nowa, do pełna, jak się należy!

– Ile? – zapytał łamiącym się głosem Edward.

– Wszystkie! – oznajmił tamten wyzywająco. – Bo na co komu takie nie wiadomo co? Kto to niby tymi niedoróbkami strzelać będzie?

– Czy na skrzynkach wyraźnie napisano, że to jest amunicja specjalna?!

– Ano stało tak na nich, ale myśmy nie dali się nabrać na takie... – wydał wargi – specyjały!

– Dopuściliście się sabotażu – oznajmił lodowato porucznik, odzyskując spokój.

– Co?! Mnie sabotaż zarzucacie?! Mnie?! Taki smark nieopierzony! Patrzcie go! Zamiast podziękować pięknie, on od sabotażyistów wyzywa! Mundur żuawów włożył, a o strzelaniu nijakiego pojęcia chłystek nie ma! A niech mnie wsadzą do aresztu za łamanie regulaminu, ale ja mu prawdę w oczy powiem: gówniarz, nie oficer! Gów-



niarz jeden, ot co!

– Wstrzymać załadunek! – rozkazał Edward, kończąc dalszą dyskusję. Potem wezwał swoich sztyletników i kazał im aresztować zbrojmistra pod zarzutem sabotażu.

Wybuchła dzika awantura.

Niedługo potem jeszcze większa, ponieważ wezwany miejscowy profos odmówił przyjęcia aresztanta, twierdząc, że nie widzi do tego żadnych podstaw. Bo nie. Sierżant Zawada na przemian śmiał się lub wymyślał porucznikowi. Major Jasiński zaczął grozić, że aresztuje także i profosa, skutkiem czego spór dyscyplinarny zaczął nabierać cech iście karczemnej burdy. Pryśła wojskowa dyscyplina, zostało czyste warcholstwo.

Nie wiadomo, czym by się to skończyło, ale wiadomość o zajściu szybko dotarła do komendanta twierdzy, który ponownie zjawił się przed bramą.

– Co tu się dzieje? – Taczanowski zwrócił się wpierw do Edwarda.

– Melduję, panie generale, że zniszczono transport amunicji specjalnej.

– Tej z Modlina?

– Tak jest!

– Kto ją miał pod swoją pieczęcią?

– Ja, panie generale – wystąpił zbrojmistrz Zawada, któremu wreszcie zrzędnęła mina.

– Kto wam kazał ruszać te pociski?

– Nikt, panie generale. Ale ja sam znam własny fach i wiem, co trzeba...

– Zatem przyznajecie się do samowoli?

– Nie przyznaję się, panie generale. O wszystkim powiadomiłem

mojego bezpośredniego zwierzchnika majora Bielasa.

– I co on na to?

– Nic, panie generale. Więc uznałem to za przyzwolenie i zrobiłem, co należało.

– Aresztować obu! – generał Taczanowski zwrócił się do pobłażliwego profosa.

– Tak, jest! – zasalutował tamten. – Warta ku mnie!

– Ależ za co?! – jęknął Zawada.

– Wy za sabotaż i zniszczenie amunicji – odparł oschle generał. – Wasz zwierzchnik za zaniedbanie nadzoru i zlekceważenie rozkazów. – Taczanowski znów zwrócił się do profosa. – Sąd polowy ma się zebrać o północy, wyroki za zdradę wykonać niezwłocznie, o pierwszym brzasku.

– Ależ ja nikogo nie zdradziłem! Panie generale, zmiłowania! Zawsze wiernie służyłem ojczyźnie...

– Zdradziliście rozum, Zawada. A w dzisiejszych czasach rozum i ojczyzna to jedno. Odprowadzić!

Spokój i porządek regulaminowy zostały przywrócone. Przynajmniej tyle dobrego... Ciężko zafrasowany generał Taczanowski podszedł znów do Edwarda.

– Ogromnie mi przykro z powodu tych pocisków – rzekł. – Winni samowoli i zaniedbania zostaną surowo ukarani, pan porucznik ma na to moje słowo. Czy mogę dać panu jakieś zadośćuczynienie?

Edward z wysiłkiem zebrał myśli i nakazał sobie spokój.

– Obawiam się, panie generale, że muszę wziąć, co jest. Wznowić załadunek! – polecił z rezygnacją wyczekującym żołnierzom.

– Czy to już wszystko?

– Za pozwoleniem! – Młodemu oficerowi zaświtała nadzieja. –

Może w Modlinie do tej pory spreparowano już nowe pociski kumulatywne i jeszcze zdążą nam je dostać pod Sokołów Podlaski... Gdybym tylko mógł zawiadomić majora Karpowczenkę.

Generał Taczanowski skinął na swojego adiutanta.

– Proszę zaprowadzić pana porucznika do eterotelegrafistów. Udzielam w tej sprawie priorytetu drugiego stopnia. Priorytet pierwszy ma zawsze panna Plater – dodał tytułem wyjaśnienia, spoglądając na młodego oficera.

– Generał Plater, za pańskim pozwoleniem, też bym chciał zameldować o zaistniałej sytuacji – rzekł Edward.

– Udzielam zgody – powiedział Taczanowski i odszedł.

Porucznik Starosławski przekazał nadzór nad załadunkiem Jasińskiemu, a sam się udał do dęblińskiej cytadeli. Adiutant generała poprowadził go przez rozległy centralny plac do pałacu byłego rosyjskiego komendanta, w którym umieszczono stację eterotelegrafu.

Niezwłocznie zabrali się tam za pisanie i rozsyłanie depeesz. Edward dopiero pierwszy raz miał do czynienia z telegrafem bez drutu, więc bardzo zdziwiła go wiadomość, że nie można przekazać komunikatu eterowego bezpośrednio z Dębina do Warszawy, a tym bardziej aż do twierdzy Modlin.

– Sygnał pojedynczego induktora jest na to za słaby – tłumaczył mu szef eterotelegrafistów pułkownik Jakuszowski. – Dlatego najpierw ślemy depesze do Kozienic, tam je przepisują i przekazują do Warki, stamtąd z kolei do Góry Kalwarii lub Grójca, zależnie od obłożenia robotą. Dalej zwykle przekazywali do Raszyna, ale w Raszynie nam Moskale przedwczoraj złamali maszt, więc teraz z Góry nadają znów na prawy brzeg Wisły, do Otwocka i od nich dopiero fala eterowa leci do pałacu Saskiego w stolicy. I na koniec z Warszawy do Modlina.

– Nie miałem pojęcia, że to takie skomplikowane, panie pułkowniku – przyznał się Edward.

– A nigdy nie pomyślał drogi pan porucznik, dlaczego potrzeba ponad stu stacji i masztów eterowych rozstawionych w całym Królestwie? Sygnał elektromagnetyczny Maxwella zanika szybko w odcieciu eteru, całkiem jak fale w wodzie po wrzuconym kamieniu, nie umiemy jeszcze ich w żaden sposób wzmocnić, by mogły przebyć dłuższy dystans. Niemniej ten system, mimo wszelkich niedoskonałości jest o wiele szybszy i pewniejszy od konnego kuriera. Nie ma też drutów, które można przeciąć.

– A pianole Maxwella? – zapytał Edward. – Czy one...

– Skąd pan porucznik o nich, u diabła, wie?! – zapytał ostro Jakuszowski, bezceremonialnie wchodząc mu w słowo. – To jest najściślej tajemnica!

– Jestem adiutantem naczelnika państwa – przypomniał mu młody oficer. – Asystowałem przy pierwszej naradzie, na której o tych pianolach mówiono.

– Ach, tak... – pułkownik uspokoił się i skinął na Edwarda, by podążył za nim.

Przeszli do sąsiedniego pokoiku, w którym znajdował się znajomy instrument. Pracowało przy nim dwóch ludzi. Jeden właśnie wymieniał perforowaną taśmę, drugi kręcąc korbą elektryzatora, ładował butle lejdejskie nowymi nabojami elektrycznymi.

– Od kiedy mamy to cudeńko, możemy wysłać komunikaty od razu do Radomia, a oni stamtąd prosto do Warszawy – powiedział pułkownik Jakuszowski. – Wiele nam to uprościło, ale nadal w większości przypadków korzystamy ze starego systemu. Ten nowy jest tylko dla depesz z pierwszym priorytetem. Nadano go wszystkim eksperymentom profesora Maxwella, sprawy wojenne muszą czekać...

– Dziwne – stwierdził Edward. – Sam słyszałem, jak profesor zobowiązywał się, że nie będzie przeszkadzać w łączności wojskowej.

– Otrzymaliśmy osobisty rozkaz naczelnika państwa – odparł pułkownik. – Mamy obowiązek udostępniać induktory w całym Królestwie na każde żądanie profesora. Odmówić można dopiero, gdyby akurat los jakiejś bitwy od tego zależał. A póki bitwy nie ma, projekty pana Maxwella są najważniejsze. Aczkolwiek nie wiemy, co on właściwie robi ani po co. Tylko co rusz przysyłają nam pod konwojem z Warszawy nowe taśmy z dziurami i każą je o oznaczonych godzinach wkładać w pianolę i zapalać iskrowniki. Na innych stacjach jest to samo. Pan coś o tym wie?

– Od blisko tygodnia nie widziałem się z dyktatorem – wyjaśnił porucznik. – Dlatego nie wiedziałem o zaistniałych zmianach.

– Ostatnio bardzo wiele się w kraju dzieje – rzekł wymijająco Jakuszowski. – Gdzie pana zakwaterowano? Przekażemy tam odpowiedzi, gdy nadejdą.

– A czy nie mogę poczekać tutaj?

– Proszę bardzo, skoro ma pan tyle cierpliwości.

Cierpliwości Edward nie miał, ale wiedział też, że nigdzie indziej nie zdoła znaleźć sobie miejsca. Kolacji, którą mu niebawem podano, prawie nie tknął.

Pierwsza wiadomość zwrotna przyszła z Modlina, półtorej godziny później i, niestety, nie była najlepsza. Major Karpowczenko zawiadamiał, że ma w tej chwili do dyspozycji zaledwie osiem pocisków kumulatywnych, które przygotował z myślą o własnych doświadczeniach poligonowych. Ale jeżeli dostanie ludzi, materiały oraz priorytet w dostępie do warsztatów fortecznych, zobowiązywał się w ciągu dwóch dni wykonać nową partię amunicji, dość dużą, by wystarczyło jej przynajmniej dla samego „Zawiszy Czarnego”. Poprzednia dostawa, zniszczona przez zadufanego zbrojmistrza, była przeznaczona także dla twardochodów mających pełnić rolę „giernków” Modelu III.

Decyzję w sprawie udostępnienia warsztatów musiała jednak

podjąć osobiście pani generał Plater, której podlegał komendant Modlina, i to do niej należało się teraz zwrócić. Zrobili to niezwłocznie, Edward i Karpowczenko, każdy ze swej strony. Pytanie tylko, czy pani generał dość szybko wyłowi te wiadomości z mrowia innych depeesz, bo podobno uparcie czytała wszystkie. Jeśli przypadkiem udała się na spoczynek, odpowiedź przyjdzie jutro rano lub nawet w południe.

Pozostawało więc czekać. Kolejne godziny długiej, zimowej nocy wlokły się niemożliwie. Edward nie był w stanie iść spać. O trzeciej nad ranem stało się oczywiste, że generał Plater nie odpowie od ręki, ale porucznik wciąż czekał. Cały czas, w kłębach papierosowego dymu, czuwał z eterotelegrafistami, czasem tylko wychodząc na krótkie spacerunki wokół stacji, by odetchnąć świeżym powietrzem.

W trakcie jednej z tych przechadzek, kiedy niebo na wschodzie już szarzało, od strony Wisły, w krótkim odstępie czasu doleciały echa dwóch salw plutonów egzekucyjnych, a po każdej z nich, znacznie cichsze, lecz dobrze słyszalne w mroźnym powietrzu pojedyncze strzały pistoletowe. Surowej wojennej sprawiedliwości stało się zadość, ale ta świadomość porucznikowi Starosławskiemu nie przyniosła żadnej ulgi.

Dopiero o siódmej, krótko przed planowanym wymarszem konwoju z Dębłina, pani generał przysłała depezę, że na wszystko się zgadza i major Karpowczenko dostał wolną rękę. Nowe pociski kumulatywne mieli otrzymać za trzy, cztery dni w Sokołowie Podlaskim. Oby, nie później!

Szkodę można było więc uznać za naprawioną, ale Edward nie miał już siły się cieszyć. Ponieważ drugi lekkochód kazano im zostawić w Dęblinie, do dyspozycji generała Taczanowskiego, więc zupełnie wyczerpany fizycznie i psychicznie porucznik znalazł sobie miejsce w taboronie pomiędzy bańkami nafty. Mimo smrodu i niewygody zasnął od razu jak kamień.

# Pierwszy męczennik

Wojska Królestwa odstąpiły od Bugu.

Moskale bez walki uchwycili przyczółki po drugiej stronie rzeki i rozpoczęli przygotowania do przeprawy „Imperatricy Jekateriny”, którą przetransportowano już do Grannego. „Wielikij Piotr” w Białymstoku czekał na powrót czterdziestokołowej platformy.

Powodem polskiego ustępstwa były względy taktyczne. Nie sposób było przewidzieć, gdzie dokładnie nastąpi forsowanie Bugu, aby w miejscu przeprawy rozbić lód ogniem dział. W grę wchodził odcinek długości kilkunastu kilometrów, powyżej i poniżej krańca czteroszynowych torów. Nie było możliwe obstawienie artylerią całej tej rubieży. Po drugie, rosyjskie pancerniki przemieszczające się po wysokiej skarpie na prawym brzegu rzeki miałyby jak na dłoni wszystkie ewentualne polskie stanowiska rozmieszczone na płaskich jak stół, ośnieżonych łąkach po lewej stronie Bugu. Usypane pospiesznie okopy i szańce z czarnej ziemi na ogólnym białym tle miałyby wręcz walor tarczy strzelniczej.

Wobec przeciwnika górującego siłą i zasięgiem ognia Polacy nie byliby w stanie utrzymać tych pozycji bez wsparcia twarchochodów, ale te z kolei musiałyby jeździć po zamarzniętych starorzeczach i bagnach, co groziło powtórką z dramatu nad Narwią. Zatem z rozkazu naczelnika Traugutta wszystkie siły pancerne Królestwa miały oczekiwać nieprzyjaciela na pewnym gruncie, to znaczy na płaskowyżu wokół Sokołowa Podlaskiego. Z obrony przejść przez Bug zrezygnowano, ograniczając się wyłącznie do obserwacji ruchów nieprzyjaciela. Można więc powiedzieć, że sam wybór miejsca inwazji pozwolił Moskałom wygrać preludium tej bitwy bez jednego wystrzału działowego. Starły się tylko, tu i ówdzie, zwiadowcze podjazdy kawalerii oraz patrole piesze.





Pierwsza najbardziej wysunięta ku rzece pozycja obrońców znajdowała się dopiero pięć kilometrów od Bugu, pod wsią Dzierzby Włociańskie, z której zawczasu ewakuowano ludność cywilną. W poprzek drogi biegnącej znad rzeki stanęła reduta Świętej Trójcy wzniesiona na wniosek księdza generała Brzóska i obsadzona trzema setkami ochotników pod jego osobistym dowództwem. Wyposażeni w tuzin dział, w tym baterię siedmiocalówek, zaryglowali najdogodniejszy dla rosyjskich nad-twardochodów podjazd na sokołowski płaskowyż.

Wobec wielkości głównych sił Moskali była to placówka jawnie straceńcza, od razu ochrzczono ją „polskimi Termopilami”. Naczelnik Traugutt na naradach sztabowych długo przeciwko niej oponował, pragnąc oszczędzić ludzi i sprzęt. W zamian zamierzał wykorzystać przewagę zwrotności polskich twardochodów, by prowadzić energiczne walki manewrowe wokół Sokołowa. Przeważył jednak upór księdza generała oraz niepomijalne względy militarne. Niewątpliwie należało podjąć wstępną próbę powstrzymania przeciwnika, choćby tylko z tego względu, aby skłonić Moskali do ujawnienia wszystkich atutów. Co więcej, miejsce na takie rozpoznanie bojem też nie mogło być lepiej wybrane. Dlatego dyktator, choć niechętnie, ustąpił.

Z kolei księdzu Brzósce nie szło bynajmniej o strategię ani taktykę wojskową, a przynajmniej nie przede wszystkim. Wszyscy wybrani przez niego obrońcy reduty Świętej Trójcy byli wiernymi świeżo powstałego Kościoła polskokatolickiego. Nowa konfesja, by okrzepnąć, potrzebowała męczenników. Ofiara życia trzystu pierwszych wyznawców niewątpliwie mogła usunąć odium papieskiej klątwy i chwalebny przykład przyciągnąć do Kościoła narodowego liczne rzesze Polaków. Sam naczelnny kapelan wojsk Królestwa we wszystkich gazetowych wywiadach wciąż powtarzał, że pragnie jak najprędzej stawić się na sądzie Bożym, aby w obliczu Stwórcy odpowiedzieć na zarzuty Piusa IX. Miała to być swoista remonstracja kwestionująca duchową władzę papieża. „Ja na szalę wagi, na której ważona jest świętość naszej sprawy, w imię miłości kładę moją duszę

i zbawienie”, mawiał ksiądz Brzóska i pytał: „Cóż oprócz słów położy Rzym? Czy większą miłość okaże?”.

Moskale, po wielu pozornych przymiarkach dla zmylenia Polaków, ostatecznie wybrali miejsce przeprawy półtora kilometra poniżej Grannego.

Od samego świtu, przez sześć godzin, osłaniani przez piechotę i krążącą wkoło jazdę, rosyjscy saperzy wiercili w powierzchni zamrożonej rzeki dziury i zanurzali w nich zasklepione u dołu żelazne rury, które po wbiciu w dno napełniali chemiczną mieszaniną mrozącą z saletry, soli i kruszonego lodu, ubijaną mocno długimi drągami. Metoda ta nie była ani tak szybka, ani nowoczesna jak polska, ale wszelkie niedostatki nadrobiono z nawiązką liczbą i gęstością pali. W rezultacie w poprzek rzeki powstał już nie lodowy most, lecz tama, bez mała lita ściana, której prześwitami nie była w stanie przedostać się na drugą stronę cała napływająca z nurtem woda. Skutkiem powstałego spiętrzenia, wszelkimi otworami i szczelinami zaczęły wytryskiwać fontanny bijące coraz wyżej, w miarę postępów mrożenia i zamykania się podlodowych okien. W kilku punktach powyżej zapory woda przedostała się między ziemią a krawędziami lodowej tafli i wartkimi strumieniami popłynęła po jej powierzchni zamiast pod nią. Rzeka buntowała się, jak mogła, lecz nie zdołała zrzucić jarzma.

Potem nad Bugiem stanęło dwunastu popów w haftowanych złotem szatach liturgicznych, niektórzy z kropidlami, inni z kadzidłami lub ikonami w dłoniach. Zaczęli uroczyście święcić przeprawę, donośnym śpiewem wzywając rzekę do posłuszeństwa woli Boga oraz cara Imperatora. Saperzy zdejmowali czapki z głów, żegnali się zamasyście, prawosławnym obyczajem, kłaniając nisko na widok świętych obrazów i relikwii.

Był ranek szesnastego lutego w kalendarzu łacińskim, a czwarty luty według starego stylu prawowiernego, jedynie słusznego.

Wtem ponad skarpą, uciszając śpiew, rozległ się przepotężny,

smoczy ryk pędni o mocy piętnastu tysięcy koni mechanicznych. W górę wzbily się dwa słupy czarnego dymu, połączyły i rozplynęły po niebie, przysłaniając niedawno wzeszłe słońce. Przemarznięta ziemia zadygotała poruszona do głębi geologicznych trzewi i oto na szczycie skarpy pokazał się długi i tępo ścięty pancerny pysk „Imperatricy Jekateriny”, która w nowym, stalowym wcieleniu przybyła, aby drugi raz uśmierzyć zbuntowane Królestwo.

Nad ogromnymi przednimi kołami zawieszono widoczny z daleka, wielki i czerwony jak płomień piekieł napis cyrylicą w języku staro-cerkiewno-słowiańskim:

**СЪ НАМИ ІЕСТЬ БЪ**

**ВЪДИТЕ СЕ ПОГАНЪ І ПОКАИТЕ СЯ ЪКО ЖЕ СЪ НАМИ ІЕСТЬ БЪ!<sup>1</sup>**

Popi uformowali procesję, po czym z nową pieśnią wstąpili na zamarzną rzekę. Ten i ów zachwiał się na mokrym lodzie, ale saperzy niezwłocznie ujęli każdego batuszkę – we dwóch pod ramiona – i z szacunkiem prowadzili na drugi brzeg.

„Imperatrica Jekaterina” przysunęła się bliżej do krawędzi nadbużańskiej skarpy. Zmarznięta ziemia nie wytrzymała nacisku, pękła i osunęła się przeciągłym zgrzytem i chrzęstem, któremu wtórował przenikliwy trzask czarnych bezlistnych krzaków tarniny gwałtownie wyrywanych z korzeniami, łamanych i wgniatanych w zruszony stok.

Czarny dym walił z dwóch kominów umieszczonych w tylnej części kadłuba, tak jak na okrętach wojennych, z tą różnicą, że nie stały jeden za drugim, ale obok siebie.

Poszła lawina. Lądowy pancernik sunąc po wierzchu spowodowanej własnym ciężarem ziemnej fali, zadziwiająco płynnie, wręcz lekko stoczył się na dół i wjechał na przygotowaną dla niego lodową groblę. Naprawdę dobrze to skalkulowano. Coś gdzieś zatrzeszczało głośno, przeciągle, ale okowy ze sztucznego mrozu nie pękły i nie wyzwoliły rzeki. Tylko fontanny wody tryskającej spod lodu siknęły dwakroć wyżej.

Przednie walce „Katarzyny” miażdżyły i równały wszystko, co się pod nie dostało, jej pasy człapiące definitywnie uporawszy się z krzewami porastającymi nadbużańską skarpe, przejmująco zazgrzytały po lodzie. Żelazny potwór wtoczył się na środek rzeki. Na prawo i na lewo od niego zaczęły przekraczać Bug kolejne pułki rosyjskiej piechoty i szwadrony jazdy. Postacie w zielonych, szarych i niebieskich mundurach zamrowiły się jak okiem sięgnąć.

Popi śpiewali dalej, wzywając Bożej kary na niewiernych pogan i chwalać dzień gniewu, który nastał.

Wtórowały im miarowo pędnie „Katarzyny”, która właśnie gładko, bez przeszkód osiągnęła drugi brzeg. Osiki i wikliny, które znalazły się na jej drodze, znikły wtłoczone w ziemię, niemalże bezgłośnie w powszechnym łoskocie. Rosnący kawałek dalej olchowy zagajnik padł pokotem z przenikliwą kanonadą łamanych pni, z powodu panującego mrozu pękających ze szklanym trzaskiem.

Wreszcie „Imperatrix Jekaterina” przebiła się przez nadrzeczne zarośla i wydostawszy się na połać równiejszego terenu, zaczęła manewrować, niespiesznie biorąc kurs na redutę księdza Brzóska. Miała tam dotrzeć za godzinę. Tymczasem towarzyszące jej oddziały zaczęły przekształcać szyki marszowe na bojowe, metodycznie rozwijając się do ataku na dziesięciokilometrowym froncie. Nie napierały one jednak zbyt do przodu, czekając aż ich pancernik niczym stalowy taran roztrzaska i zmiążdży centrum polskiej obrony.

Działa reduty Świętej Trójcy otworzyły ogień, kiedy tylko nieprzyjaciół znalazł się w ich zasięgu. Polowe armaty sześćofuntowe zaczęły bić w oddziały eskorty, zaś cztery największe siedmialówki wzięły na cel zbliżający się nad-twardochód.

Pierwsza salwa chybiła, wszystkie pociski poszły górą. Drugą wymierzono lepiej, uzyskując pierwsze trafienie, lecz bez widocznego skutku po stronie wroga. Cętka ognia wybuchającego granatu bezsilnie rozpląnęła się po pancerzu „Katarzyny”. Ta jeszcze nie odpowiedziała. Na razie, w zamian coraz liczniej odzywały się poje-

dyncze rosyjskie działony towarzyszące nacierającej piechocie i dragonom.

Obrońcy wyczekali trochę i dali trzecią salwę. Trzy trafienia i znowu nic...

„Imperatrix Jekaterina” zbliżyła się na kilometr i dopiero wtedy zagrzmiały jej mniejsze działa umieszczone poniżej największej wieży. Moskale metodycznie wstrzelowali się w redutę buntowników, szykując namiary i poprawki dla artylerii głównej.

Polacy zaliczyli cztery trafienia!

Kurzawa skłębionego ognia omiotła rosyjski pancernik, zrywając precz wyzywający napis z dziobu, ale poza tym „Katarzyna” sunęła wciąż niewzruszenie, plując ogniem z trzycalówek. Nad redutą Świętej Trójcy gęstniały dymy, coraz wyżej wzbijały się grudy poderwanej eksplozjami ziemi. Chwilami zdawało się, że wcale nie opadają, że krążą jak kruki...

Trzy trafienia!

Czwarty polski pocisk rykoszetował od pancerza, krzesząc olbrzymi snop żółtych iskier, a następnie eksplodował kulą ognia wysoko i daleko za „Katarzyną”.

Ta jednak stanęła! Nadzieja obrońców szybko okazała się płonna. Moskale zatrzymali się nie z powodu uszkodzeń, lecz dla lepszego celowania. Z odległości pięciuset metrów w polskie pozycje wypaliły salwą dwa jedenastocalowe działa z głównej wieży oraz dziobowa siedmiocalówka. Po chwili zawtórowały im burtowe trójcalówki.

Pług ognia przeorał redutę Świętej Trójcy, aż zupełnie znikła w kurzawie. Kiedy się z niej wyłoniła ponownie, na nokautujący cios „Katarzyny” odpowiedziały trzy siedmiocalówki.

Dwa trafienia!

I podwójna, jedenastocalowa salwa jako replika.

Trzy polskie trafienia!

Jedenastocalowa salwa!

Jedno trafienie...

Polska artyleria zgubiła rytm. Po kolejnej rosyjskiej salwie odpowiedziała już tylko jedna siedmiocalówka. Chybiła.

„Imperatrix Jekaterina” ruszyła ponownie, przysunęła się trzysta metrów bliżej, znów stanęła i zaczęła miarowo bić kolejnymi salwami, wręcz rozstrzelując polską redutę.

Obrona załamała się w morderczym ogniu. Na reducie umilkły już wszystkie działa. Poszczerbione wyrwami wały obronne przestały stanowić jakkolwiek przeszkodę. Po piątej salwie w którymś okopie wyleciały w powietrze jeszcze amunicyjne z ładunkami miotającymi, rozpryskując się jak gigantyczne fajerwerki.

Potem z przeciągłym „URRRA!!!” do ataku ruszyła rosyjska piechota. Ostrzał karabinowy nielicznych zdolnych do walki obrońców nie zdołał jej powstrzymać ani przez chwilę. Zieloni piechurzy z marszu wzięli pierwszą linię i włączyli się do środka zrujnowanych szańców. Wtedy w dwóch miejscach wysadzono zapasy amunicji. Potężne eksplozje zmasakrowały obie strony, ale nie powstrzymały ataku. Druga fala Moskali przyszła już na gotowe. Nikt z Polaków się nie poddał ani nie uciekł. Rannych dobito.

Nabiegły gromady saperów z łopatami i zaczęto pospiesznie wyrównywać zdobyty teren. Trupy obrońców, złom, ułamki pali, desek oraz inne resztki umocnień wrzucano do lejów po wybuchach i zrujnowanych okopów, czym prędzej przywalając to wszystko ziemią. Wyznaczone plutony piechoty udeptywały ją, podskakując na komendę. Być może właśnie tak pogrzebano ciało księdza Brzóski. Dokładnie tego nie ustalono. Na pewno wiadomo było tylko to, że naczelny kapelan armii Królestwa przybył na swoją ostatnią placówkę i że z niej już nie wrócił. Ktoś puścił w obieg wieść, że ksiądz Stanisław osobiście wysadził prochy w jednym ze schronów i stawił się na sąd Boży razem z ciałem, w mundurze generała wojsk polskich. Takie portrety pojawiły się następnego dnia we wszystkich gazetach. W

„Kurierze Polskim” anioł witający Pierwszego Męczennika w progach niebios podawał mu rulon z napisem „Łaska”. I tytuł: „Kłątwa papiejska zmyta krwią patriotów”.

Nim nastąpiło południe reduta Świętej Trójcy oraz jej obrońcy stali się już tylko bohaterskim wspomnieniem. Moskale odtworzyli drogę, w poprzek której wybudowano polskie fortyfikacje. „Imperatrice Jekaterina” do tej pory uzupełniła amunicję, którą dostarczyły jej zwykłe wozy taborowe, po czym znów ruszyła i bez trudności przejechała przez zniwelowane pobojuwisko.

Po kolejnej godzinie jazdy w górę łagodnie wznoszącego się stoku moskiewski pancernik lądowy wjechał na szczyt płaskowyżu.

Tutaj, w jednym szeregu, stojąc w odstępach pięćdziesięciu metrów od siebie czekało na „Imperatricę Jekaterinę” dziesięć polskich twardochodów – „Racławice”, „Kuszliki”, „Zieleńce”, „Połonka”, „Czaśniki”, „Olszynka Grochowska”, „Witebsk”, „Stoczek”, „Ilganie” i „Warszawa”.

Wszystkie równocześnie odpaliły maksymalną tenardyzację. Śnieg wkoło nich wyparował, odtajała ziemia, zawrzało błoto. Za chwilę ruszyły ławą, nabierając prędkości.

Za twardochodami, w przepisowym odstępnie stu metrów postępowały kłusem szwadrony husarii ogniowej, każdy uszykowany w dwie linie, dalej za nimi batalionowe kolumny piechoty, potem trzy taborony z paliwem i amunicją, „Andrzej”, „Jan” i „Szymon”, osłaniane przez osobne oddziały piesze, a wreszcie kawaleria chroniąca skrzydła całej formacji.

Na samym końcu, w bezpiecznej odległości, otoczony rojem kawalerzystów eskorty oraz konnych kurierów przemknął opancerzony lekkochód naczelnika państwa. Po chwili przystanął między drzewami na jednym ze wzniesień dających dobry widok na pole bitwy. Romuald Traugutt w zwykłym zimowym żołnierskim szynelu wysiadł i podniósł do oczu lornetkę.

Moskiewski potwór dostrzegł przeciwników. Główna wieża obróciła się o kilkanaście stopni, rury jedenastocalowych dział, nadzarte świeżym ogniem u wylotów, zniżyły się, wężąc nowego żeru. Kurs i prędkość „Imperatricy Jekateriny” nie uległy zmianie. Zakładano, że nic jej nie powstrzyma.

Polskie twarochody przyspieszyły, skracając dystans, a zbliżywszy się na jakieś dwieście metrów od wroga stanęły i rozpoczęły „choinkowanie”, jak potocznie nazywano ten manewr, to znaczy po zatrzymaniu zaczęły się cofać na wstecznym biegu z jednoczesnym skrętem – w prawo pojazdy znajdujące się po lewej burcie „Katarzyny”, w lewo zaś te z prawej. W ten sposób Modele II zwracały się stale do zbliżającego się pancernika swoimi najgrubszymi przednimi pancierzami, a jednocześnie same mogły niebawem strzelać w burty przeciwnika, który kontynuując kurs, nieuchronnie wyjeżdżał jakby pomiędzy dwa plutony egzekucyjne. Ślady pozostawiane na śniegu przez zespół manewrujących twarochodów układały się przy tym w zarys świątecznego drzewka – stąd wzięła się nazwa choinkowanie. Była to taktyka obmyślona w polskim sztabie specjalnie na powitanie imperialnych molochów i ćwiczona sumiennie przez ostatni tydzień.

Wcześniej spodziewano się, a teraz już wiadano na pewno, że ogień armat siedmiocalowych nie jest w stanie naruszyć czołowego opancerzenia „Katarzyny” – tyle dała ofiara księdza Brzóska i jego ochotników. Postanowiono więc nie tylko skierować działa o tym kalibrze, znajdujące się na dziobie każdego Modelu II, na boki nadtwarochodu Moskali, ale jeszcze zrobić to pod kątem jak najbardziej zbliżonym do prostego i z możliwie najmniejszej odległości. Żeby nie marnować amunicji, działa trzycalowe na wieżach polskich twarochodów oraz ich kartaczownice w tym czasie cały swój ogień kładły na piesze i konne oddziały osłonowe „Katarzyny”.

Ta zaś jechała w pułapkę z całkowitą pewnością siebie. Obsługa głównej wieży artyleryjskiej nie nadążała z obracaniem masywnej skorupy i nie była w stanie doścignąć lufami przemykających szybko maszyn Królestwa. Moskale zrezygnowali więc z mierzenia do rucho-



mych celów i w wymianę ognia z Polakami wdały się tylko działa mniejszych kalibrów. Polskie panczerze z łatwością znosiły ich pociski.

Modele II nie zważając na kolejne trafienia, manewrowały spokojnie, metodycznie uzyskując zaplanowaną konfigurację. Teoretycznie ich zmasowana salwa z bliskiego dystansu mogła od razu rozstrzygnąć tę bitwę, ale dowództwo „Katarzyny” zupełnie się tym nie przejmowało. Dalej jechali prosto przed siebie. Zmieniło się tylko tyle, że do wymiany ognia przyłączyły się teraz stulufowe kartaczownice zainstalowane na grzbiecie pancernika. Strzelały długimi seriami, zmuszając do rozproszenia szyku kolejne szwadrony husarii ogniowej.

Twardochody zajęły pozycje. Ich siedmiocalowe działa zagrzmiały jedno po drugim. Grad ciężkich granatów burzących uderzył w pancierz „Imperatricy Jekateriny”, uciszając natychmiast jej kartaczownice. Plamy pulsujących wybuchów i buchający ogromnymi kłębami dym zlały się w jedną kipiącą ogniem chmurę, która przysłoniła cały pancernik.

Wszystkie polskie twardochody wystrzeliły przynajmniej dwa, trzy pociski, niektóre zdołały nawet cztery. Po takim bombardowaniu nie ustałyby mury żadnej twierdzy, bodaj nawet Chiński Mur!

Jednak „Imperatrix Jekaterina” wyłoniła się z kurzawy i jechała dalej...

Tylko stanowiska jej kartaczownic okazały się podatne na tak zmasowany ostrzał i wszystkie zostały wyeliminowane z walki. Stururkowe pakiety luf powyrywało z posad, jeden z nich, bezpośrednio trafiony, wybuch rozszczepił w pędzel. Po obsłudze zostały tylko czerwone zacieki na pancerzu. Wszelako ten sukces był o wiele za mały wobec polskich oczekiwań. Rosyjski potwór okazał się niezniszczalny!

Modele II rozpierzchły się z całą mocą wstecz. Zaczęły choinkowanie w przeciwną niż poprzednia stronę, aby nie nadstawić burt.

Manewr ten był tak zawiły i czasochłonny, że „Katarzyna”, wciąż sunąc przed siebie, wolno, ale konsekwentnie przedarła się przez linię polskich twardochodów, zostawiając większość z nich za sobą. Moskale mogli pogratulować sobie kolejnego sukcesu taktycznego. Druga linia polskiej obrony znalazła się w stanie krytycznym.

A potem wydarzyło się coś jeszcze gorszego.

Cofająca się „Olszynka Grochowska” wpadła w zasypany śniegiem wądoł, którego nie zdołano w porę wypatrzyć i ominąć. Rozpadlina nie była bardzo głęboka, miała może metr lub niewiele więcej, ale wystarczyło to, aby dwie środkowe osie zawisły w powietrzu, a ich koła zawirowały bezsilnie, rozbryzgując śnieg. Cała moc pędni przeniesiona na pozostałe osie nie wystarczyła, by wyrwać ciężki wehikuł z naturalnej pułapki. Twardochód stanął dęba, po czym bezsilnie osunął się z powrotem.

Najbliżej miejsca wypadku znajdował się taboron „Jan”. Natychmiast wysforował naprzód i dojechał, zanim na „Katarzynie” oślepianej kolejnymi eksplozjami granatów zorientowano się w czym rzecz. Z transportera wyskoczyło czterech ludzi dźwigających łańcuchy holownicze. Zdążyli je założyć i schronić się pod pancierz, kiedy wokół nich zaczęły wybuchać pierwsze trzycalowe pociski.

„Jan” szarpnął, dał całą naprzód, zawzięcie wyciągając „Olszynkę” z kłopotów. Prawie im się udało. Kiedy jednak środkowe koła uwięzionego twardochodu uchwyciły grunt, część zlodowaciałej skarpy w tym miejscu się odłamała i Modelem II zarzuciło. Wykonał on nagły konwulsyjny skręt, obracając się bokiem do nadjeżdżającego równolegle przeciwnika.

Artylerzyści „Imperatricy Jekateriny” tylko na to czekali. Główna wieża była już obrócona, a teraz tylko przesunęła się nieznacznie, jak gdyby z uwagą przyglądając się rozpaczliwej scenie czarnymi źrenicami luf. I dała ognia raz po razie.

Oba jedenastocalowe pociski przebiły boczny pancierz „Olszynki Grochowskiej” i eksplodowały w jej wnętrzu, powodując natychmia-

stowy wybuch całego paliwa oraz amunicji. Nic nie dało się zrobić. Nikt się nie uratował. Słup ognia wzbił się na kilkadziesiąt metrów.

Taboron „Jan” przyspieszył i skręcił gwałtownie, umykając spod ostrzału. Za sobą, orząc śnieg, włókł na łańcuchu bezkształtny kęs dymiącego żelaza...

Wyłom w polskiej obronie stał się faktem. Moskałom pozostało go tylko poszerzyć. Ich stalowa twierdza parła niepowstrzymana, urągając wszelkiemu męstwu, nieubłaganie zbliżając się do Sokołowa Podlaskiego. Twardochody Królestwa poszły w rozsypkę. Klęska stała się coraz pewniejsza.

W tej chwili, z punktu widzenia naczelnego wodza można było wydać już tylko jeden rozkaz i modlić się, aby husarze ogniewi zdołali dość szybko dojechać do każdego twardochodu i przekazać go załodze. Odwrót...

Naczelnik Traugutt opuścił lornetkę i przywołał do siebie kurierów. Zamierzał nakazać wycofanie się na przedmieścia Sokołowa. Musieli zyskać na czasie. Przynajmniej te dwie, trzy godziny, zanim „Katarzyna” tam dojedzie... Jednak dyktator nie zdążył nic rzec. Zdużenie odebrało mu mowę.

Nad polem bitwy, poprzez huk armat przebił się odgłos kawalerijskiej trąbki, energicznie wzywającej do ataku.

Osierocony szwadron husarii ogniowej „Olszynki Grochowskiej” ruszał do szaleńczej szarży na „Imperatricę Jekaterinę”. Natychmiast przyłączyły się do nich znajdujące się najbliżej oddziały osłonowe „Czaśników” i „Witebska”, a potem „Połonki”.

Nie, major Adam Kępicki prowadzący ten atak, bynajmniej nie oszalał. Nie skierował swoich ludzi wprost pod walce i pasy człapiące lądowego pancernika, lecz w martwe pola ostrzału, które powstały po zniszczeniu rosyjskich kartaczownic. Bezładny ogień dział mniejszego kalibru poszedł górą i bezsilnie zrył śnieg za nimi.

Rozpędzona husaria ogniowa spontanicznie uformowała dwie

kolumny, które pogalopowały wzdłuż obu burt „Katarzyny”. Jej kapitan nie stracił głowy. Natychmiast wypuszczono opary płonącej nafty, stawiając na drodze pędzących jeźdźców poczwórne ściany huczących płomieni.

A oni przeszli!

Przenikali kurtyny ognia jedną po drugiej.

Okryte azbestem konie w czarnych goglach nie spłoszyły się, wytrzymując gorący podmuch jak na ćwiczeniach. Tylko na plecach jeźdźców zapłonęły naprawdę jedwabne skrzydła, dotąd jedynie symbolicznie udające płomienie.

Tak wpadli na posuwający się za pancernikiem oddział moskiewskich dragonów, zupełnie nieprzygotowanych na taki obrót sprawy. Zaskoczeni Moskale rozpierzchli się i umknęli w popłochu. Wielu z nich poniosły przerażone ogniem konie. Rufowe działa „Imperatricy Jekateriny” zaczęły bić po równo w swoich i wrogów, masakrując stłoczoną masę jednych i drugich, ale *per saldo* okazało się to bardziej korzystne dla Polaków.

Husaria ogniowa sama płonąć i spalając wszystko na swej drodze, wciąż rwała naprzód.

Następny był batalion rosyjskiej piechoty. Zdążyli uformować czworobok i nadstawić bagnety.

Polskie koncerze okazały się dłuższe.

Lawina sztychów bijących w czoła, oczy, szyje, piersi i mur zielonych mundurów padł wbity kopytami w brudny śnieg. Pozostałe boki szyku rozleciały się jak domek z kart. Po chwili batalionu Moskali nie było, ale zemsta za „Olszynkę Grochowską” trwała dalej.

Naczelnik Traugutt wydał kurierom zmieniony rozkaz.

– Wszystkie pozostałe szwadrony ogniowe dołączyć do szarży!

Dowódcy pozostałych twardochodów też zrozumieli, co się dzieje, i w miarę możliwości zaczęli wspierać atak jazdy. Niektóre

porzuciły bezpieczne choinkowanie i ryzykując, popędziły prosto na Moskali.

„Imperatrice Jekaterina” stanęła.

Jeszcze przed chwilą znajdowała się w szpicy niepowstrzymanego ataku, a teraz oto została otoczona przez Polaków ze wszystkich stron. Jej pancerzy wprawdzie nie dawało się niczym przebić, ale ciągle jeszcze można było brać ją abordażem... Polska piechota rozsypała się w luźne tyraliery i biegła ku „Katarzynie” z takim właśnie zamiarem, po drodze ścinając pospiesznie małe drzewka i robiąc z nich osieki przydatne do wspinaczki na kadłub.

Rosyjski moloch przezornie postanowił nie czekać na los amazońskiego pancernika pożeranego żywcem przez rozwścieczone mrówki i dał całą wstecz, starając się jak najprędzej dołączyć do własnej osłony spychanej z powrotem z płaskowyżu ku rzece.

Pierwszy atak Moskali został odparty!

Po dalszych dwóch godzinach zmagania linia frontu okrzepła koło Jabłonny Lackiej. Dzień był wciąż jednak młody, a siły przeciwnika ogromne. Zza Bugu przybywały wciąż nowe jednostki. Najeźdźcy powstrzymani w centrum spróbowali jeszcze obejść polskie siły pancerne z prawej flanki. O godzinie czwartej po południu, wprawdzie bez wsparcia „Katarzyny”, ale za to dwoma świeżymi pułkami piechoty i jednym kawalerii uderzyli w kierunku na Węgrów, przecinając drogę z Małkini do Sokołowa, a następnie pod Miedzną napotykając oddziały Korpusu Cudzoziemskiego.

Miejscowość ta od dawien dawna słynęła z cudów i oto dokonał się tam kolejny. Niesforna, malownicza zbieranina ochotników wszelkich nacji, tolerowana dotąd bardziej ze względów politycznych niż militarnych, niespodziewanie spoważniała i zamieniła się w prawdziwe wojsko. Do wieczora żołnierze generała Falconettiego odparli dwa ataki Moskali i przeszli do kontrofensywy, zaskakując po równo wrogów i przyjaciół.

Mówiono, że do tej metamorfozy przyczynił się widok znękanych uchodźców, wzbudzając w szlachetnych cudzoziemcach słuszny gniew i wolę walki. Być może. Niewątpliwie swoje zrobiły też ataki dywersantów, w których zamordowano kilkunastu ich rozbawionych i podpitych kolegów. Jednak iskrą na zagraniczne prochy stało się przemówienie ekscentrycznego Piemontczyka, które tuż przed bitwą wygłosił do swoich żołnierzy.

Ze względu na dużą liczbę określeń dosadnych i niecenzuralnych, żadna gazeta nie ośmieliła się przytoczyć tej mowy w całości, a wersje ocenzurowane znacznie różniły się między sobą. Dopisano wiele słów o honorze, kurtuazyjnie oddając sprawiedliwość dowódcy Korpusu Cudzoziemskiego. Falconetti niewątpliwie dowiódł swej racji – liczył się nie dryl, lecz honor, duma i wyszkolenie, którego wszak nie zanedbywano. Poza tym wiadomo było na pewno, że piemoncki generał gromko zapytywał swoich podkomendnych, czy chcą dopuścić do tego, aby ich nieślubne potomstwo miało teraz z kolei rodzeństwo z ich przeciwnikiem? To, co było powiedziane wcześniej i potem, do druku nie nadawało się zupełnie, ale zagranicznych junaków bez dwu zdań porwało do boju. Ich zawołaniem szturmowym stało się hasło: „Za gościnność!” wykrzykiwane we wszystkich językach zachodniej i południowej Europy.

Słowem, było ciężko, ale obrona wytrwała i duch nie upadł. Tak zakończył się bitwy pod Sokołowem Podlaskim dzień pierwszy.

<sup>1</sup> Z nami Bóg! Zrozumcie to poganie i pokajajcie się, gdyż z nami Bóg!

# Stos ofiarny

W południe siedemnastego lutego w Mińsku Mazowieckim zapanała euforia tak wielka, jakby zwycięstwo nad Moskalami już się dokonało.

Ogłoszono wiadomość, że dziś o świcie, po przegrupowaniu swoich sił i skoncentrowaniu ich nad Wizną, w kierunku na Łapy uderzył generał Hauke-Bosak na czele Armii Narew. Atak ten był tak znakomicie przygotowany i poprowadzony, że w ciągu kilku godzin całkowicie zdeorganizował rosyjską ofensywę. Moskale zmuszeni zostali nie tylko do natychmiastowego zaprzestania pogromów ludności cywilnej, ale też do skierowania wielkich sił z południa na północ, co w znaczącym stopniu odciążało front pod Sokołowem.

Polski generał nie dał się zwieść pozoracji sugerującej, że ma przed sobą wielkie siły Imperium i brawurowo, z marszu rozniósł osłonę północno-zachodniej flanki Moskali, po czym kontynuował natarcie trzema dywizjami idącymi wachlarzem na północny wschód, wschód oraz południowy wschód, co kompletnie dezorientowało rosyjski sztab. W bitwie pod Starym Jeżewem doszczętnie rozgromiony został pułk huzarski lejbgwardii i pojawiło się ryzyko bezpośredniego ataku na Białystok. Jednocześnie rozpaczliwie błagały o ratunek garnizony w Łapach i Wysokim Mazowieckim.

W ogólnym zamieszaniu do linii czterotorowej przedarł się mały polski podjazd kawalerii i zdołał w kilku miejscach wysadzić tory. Zniszczenia nie były zbyt wielkie, ale o kilkanaście godzin opóźniły wyjazd „Piotra Wielkiego” z Białegostoku.

Jeżeli ktokolwiek dotychczas wątpił, że generał Józef Hauke-Bosak jest militarnym geniuszem, musiał natychmiast przestać. Mając do czynienia z pięciokrotnie liczniejszym przeciwnikiem, bił go, jak chciał i gdzie chciał, łącząc zaskoczenie z szybkością i precyzją manewru. Tuż przed południem pozwolono depesze z tymi informa-

cjami wywiesić przed wszystkimi stacjami telegrafu bez drutu, co wzbudziło we wszystkich zakątkach Królestwa entuzjazm niebywały.

W przepelnionym uchodźcami Mińsku Mazowieckim radość była szczególnie wielka, bowiem tu na dodatek poszła plotka, że od jutra można będzie już wracać na ojcowiznę, że car pobity na głowę, że sam naczelnik Traugutt weźmie teraz jego koronę. Kto żyw upijał się z radości, czym mógł, a jak nie miał czym, to samą radością w dwójnasób. Źródło tych dobrych wróżb było łatwe do ustalenia – do miasta przywiało także i tabor cygański.

Pani chorąży Jadwiga Starosławska stanowczo zabraniała swoim ludziom pić, ale kto by tam w tak podniosłej chwili słuchał babskich rozkazów! Gorzałkę pociągano co rusz, ukradkiem, kiedy tylko odwróciła głowę, z racji tej pospiesznej skrytości biorąc z manierek tym większe łyki. Na rozgrzewkę, na wesołość, dla kurażu i na pociechę, że baba się rządzi i bez umiaru na głowę włazi.

Konwój złożony z jednego lekkochodu oraz sześciu konnych wozów z amunicją z Modlina już od Warszawy z powodu uchodźców na drogach posuwał się wolniej, niż mógł, a wczoraj po południu w Mińsku Mazowieckim utknął na amen. Najpierw zatrzymała go panika i tłumy desperatów pragnących za wszelką cenę wydostać się z miasta na wieść, że „Moskal bije Traugutta i zarozki tu bendzi!”. Teraz te same tłumy, na tych samych ulicach robiły dla odmiany ludowy festyn z odpustem na raz. Do kompletu furmanki szczelnie wypełniły rynek oraz zatarasowały wszystkie wyjazdy z miasta. Ogniiska z płotów rozpalano, gdzie popadło, czasem także na środku ulic. Śpiewano, co się dało, i tańczono na rozgrzewkę.

Wojsko miało ręce pełne roboty na swoich zagrożonych placówkach, więc stała eskorta konwoju składała się tylko z jednego strzelca i uzbrojonego woźnicy na zaprzęg oraz dwóch dodatkowych strażników w lekkochodzie, oprócz sternika i maszynisty. W sumie dziewiętnaście osób – stanowczo zbyt mało jak na obecne warunki oraz rangę tego transportu. Dodatkową ochronę miały zapewniać



sztafetowo posterunki Żandarmerii Narodowej mijane w drodze do Sokołowa. Ten system działał dobrze tylko do Dęb Wielkich. Komendant w Mińsku, kiedy Jadwiga zażądała od niego konnego plutonu do Kałuszyna, z trudem się powstrzymał od popukania w czoło. Miał do dyspozycji niespełna kompanię żandarmerii, która ledwie była w stanie utrzymać w ryzach szaleństwo kipiące w mieście. Sugestia, że Mińsk Mazowiecki może sobie cały pójść z dymem, ale ta amunicja MUSI dotrzeć pod Sokołów, czegoś go nie przekonała. Straszenie samym nazwiskiem generał Plater też nic nie dało. Babcia Narodu musiałaby tu przybyć i postraszyć osobiście, ale chyba rzeczywiście na miotle, bowiem swój służbowy lekkochód oddała Jadwidze.

– Jedź, Jadwinia! – powiedziała pani generał dwa dni temu. – Nie dlatego, że tobie do męża pilno, wiem to, wiem! Ty mi, Jadzia, najlepiej dopilnujesz, żeby nikt przy tych granatach nic nie majstrował i znów na siłę nie poprawiał. Byłaś w Modlinie, na własne oczy widziałas, w czym rzecz, zatem tobie niczego tłumaczyć nie potrzeba. Jedź zatem, moje dziecko. I bierz mój lekkochód, cobyś mi szybciej wróciła!

Trzeba było więc nadać z Mińska pilną depezę eterową do Warszawy. Na szczęście Jadwiga miała dostateczne pełnomocnictwa, ale potem pozostawało już tylko biernie czekać na interwencję pani generał. Ta zaś wciąż uparcie i niezmiernie czytała wszystkie przychodzące do pałacu Saskiego depeze, więc kolejka nieustannie rosła. Jedyne, co pani chorąży była w stanie zrobić, to pilnować, aby jej ludzie całkiem się nie spili, ale jak na to, chyba zbyt krótko była mężatką...

Dopiero godzinę po ogłoszeniu dobrych wieści z północnego frontu komendant mińskiej żandarmerii dowiedział się, że ten dzień dla niego bynajmniej nie będzie dobry, a wręcz najczarniejszy w całej jego karierze, jeżeli natychmiast nie spełni wszelkich życzeń chorąży Starosławskiej. Priorytet nad ewentualnym pożarem w mieście okazał się mieć ogień pod jego własnym stołkiem. Konni żandarmi znaleźli się natychmiast i niezwłocznie utorowali konwojowi drogę

wyjazdu z miasta.

Kiedy minęli roгатki, Jadwiga odetchnęła z ulgą i pogrążyła się w myślach. Tak, chciała się spotkać z Edwardem, ale już raczej nie po to, by odzyskać kolejny dzień i noc z ich miodowego miesiąca, na który nie było czasu. Miała dla męża dobrą wiadomość. Cóż, może jeszcze nie na pewno, ale jednak już dobry znak. W końcu bardzo sumiennie się o dziecko postarali, więc to może już...? Pytanie tylko, czy wypada informować męża o takich kobiecych sekretach? No i czy wobec podejrzania stanu błogosławionego można jeszcze mu pozwolić na... Wspomnienia przyprawiały ją na przemian o błogość i gorąco. Pragnęła uścisków Edwarda bardzo, ale czy to aby nie zaszkodzi dzieciątku? W tej mierze Jadwiga też za krótko była mężatką.

Lekkochód szarpnął, hamując gwałtownie. Kilka minut temu minęli Osiny. Jak dotąd szosa, o dziwo, była pusta. Kto nią podążał wcześniej, już dotarł, gdzie chciał – zbiegowie do Mińska, wojsko pod Węgrów i Sokołów. Miejscowi nie ruszali się z domu bez konieczności. Od kiedy zaczęła się walna bitwa, na drogach w – rejonie walk przynajmniej – chwilowo zrobiło się luźno.

Pani chorąży odkryła tubę głosową.

– Co się dzieje? – zapytała sternika.

– A Żydek jakiś drogę nam zabiegł. Czegosik chyba chce...

Jadwiga wysiadła.

– Panie oficerze! Panie oficerze! – zawołał do niej dziesięcio-, może dwunastoletni wyrostek ubrany jak wszyscy starozakonni, ale bez czapki, którą najwyraźniej zgubił. Widząc, że ma do czynienia z kobietą, zamilkł z otwartymi ustami. Dyszał ciężko.

– Ja tu jestem oficerem – oznajmiła Jadwiga. – Czego, mały, chcesz?

– Złe ludzie... – wyrzucił z siebie Żydzik. – Złe ludzie tam w

lesie, wedle Jędrzejowa się przyczaiły... Ze trzy wiorsty stąd...

– Skąd wiesz, że to źli ludzie? – zapytał dowódca plutonu żandarmerii, wachmistrz Duchniak.

– Po rusku gadają, ale po naszymu chodzą odziane, jak ci, co zza Buga uszli... I wszystkie jak zbóje pistolce mają... te rewolwery znaczy. Przy drodze się zaczaii, wedle jakubowskiego rozstaja.

– Ilu ich?

– Dokładnie nie liczyłem, uciekłem, jak się tylko spostrzegłem.

– Dywersantów nigdy nie jest więcej niż tuzin – powiedziała pani chorąży.

– A ty coś tam niby robił?! – warknął podejrzliwie Duchniak.

– Ja z Cegłowa, proszę pana oficera – odrzekł chłopiec. – Siostrze starszej Lei co zeszłego roku za mąż poszła i w Jakubowie po połogu leży, ja pół gęsi zaniósłem, jak mnie mame posłała. I wracałem się potem wedle tego lasu...

– To czemuś zboczył na Mińsk?

– Przecie tak trzeba... Panów żandarmów o złych ludziach powiadamiać. Sam rebe nam tak w bożnicy przykazywał.

– Kochasz Polskę? – zapytał wprost Jadwiga.

– No przecie, że tak... – Żydziak uniósł wyżej głowę. – Przecie ja Polak, tylko że mojżeszowy...

– Wierzę mu! – oznajmiła pani chorąży.

– Gada składnie – przyznał wachmistrz. – Trzeba by wobec tego po nasze wojsko posłać, żeby ten las przeczesali i wymietli.

– W Wiśniewie, na górcie stoją polskie żołnierze! – oznajmił chłopak. – Ludzie z Jakubowa ich widzieli.

– Jacy żołnierze? Ilu ich?

– Dużo piechoty na biwaku, ale i ułani podobno też.

– Trzeba nam teraz tu stanąć, a ich stamtąd wezwać. Ty nam, smarku, drogę najkrótszą pokażesz!

– A dacie mi nową czapkę?

– Nie możemy czekać! – przerwała te targi Jadwiga. – I tak mamy już za duże spóźnienie. Jutro te pociski muszą koniecznie znaleźć się w Sokołowie!

– To co pani chorąży rozkaże? Mamy prosto w zasadzkę furgonami z amunicją wjechać?

– Wozów nie możemy narażać ani ich zatrzymywać – stwierdziła Jadwiga i namyśliła się szybko. – Podjedziemy lekkochodem! Jak Moskale zobaczą taki pojazd, na pewno zaatakują. A my w środku będziemy na to gotowi...

– Pani chorąży też? – zdziwił się Duchniak. – Za przeproszeniem... baba w bój?

– Ja tu dowodzę! – ucięła te dywagacje.

– Ano dobrze. – Wachmistrz odwrócił się do swoich ludzi. – Wadzik do mnie!

– Na rozkaz! – zameldował się młody żandarm.

– Bierzcie tego Żydka na siodło i jedźcie z nim, jak wam pokaże! Niech nam z Wiśniewa prędko wyślą odsiecz na jakubowskie rozstaje.

– Wedle rozkazu, panie wachmistrzu! Wskakuj, smarku!

– Ale czapkę dacie? Bo ja moją zgubiłem, no i czegoś mi głupio...

– Dajcie mu tę czapkę! – poparła chłopca Jadwiga.

Sternik lekkochodu zdjął własną i wcisnął ją na czoło małego Żyda.

– Masz ty moją, bo ja zaraz nie będę miał jej na czym nosić... – stwierdził z czarnym humorem. – Pewnikiem to mnie pierwszego w

tej zasadzce ukatrupią.

Jadwiga obejrzała się na niego, chciała coś powiedzieć, ale nie znalazła właściwych słów.

– Pani chorąży się o mnie nie martwi – odparł lekko sternik, wracając do kabiny. – Taki już ten żołnierski los...

– Najlepsi strzelcy do mnie! – krzyknęła Jadwiga, by opanować wzruszenie, które nagle chwyciło ją za gardło.

Stawiło się ośmiu, w tym trzech mińskich żandarmów. Może niekoniecznie najlepszych strzelców, ale na pewno każdy miał w tej materii najwyższe mniemanie o sobie. Od wszystkich wionęło wódką.

– Ukryjcie się razem ze mną w kabinie lekkochodu. – Jadwiga darowała sobie komentowanie ich stanu. – Burty są dość grube, wytrzymają kule pistoletowe. Szykujcie broń!

Wykonali bez gadania. Bo jeszcze by było, że się któryś przy babie pietra...

– Wozy jadą zwykłym tempem, my przodem! – zarządziła Jadwiga, rozpinając kaburę. – Pan wachmistrz według swego rozeznania wspomaga nas albo pilnuje wozów. One są najważniejsze!

– Tak jest, pani chorąży. – Zasalutował.

– Ruszamy! – Zatrzasnęła drzwi.

Lekkochód potoczył się z warkotem do przodu, szybko pozostawiając za sobą kolumnę wozów amunicyjnych i eskortę żandarmerii. Niebawem, za zakrętem drogi, zobaczyli las, w którym przygotowano zasadzkę. Sternik nakazał maszyniście zwolnić i ruszył środkiem drogi. Gdy minął pierwsze drzewa, przeżegnał się szybko.

Zaskoczenie było obustronne.

Moskale atakując najwyższej rangi pojazd oficerski, zupełnie się nie spodziewali, że będzie on pełen ludzi z palcami na cynglach. Ci z

kolei nie przewidzieli, że ze wszystkich stron zostaną obrzuceni granatami.

Wybuchy pod podwoziem urwały od razu dwa z trzech przednich kół i pojazd zarył dziobem w zlodowaciały żwir pośrodku drogi. Z rozbitych okien posypało się szkło. Gdyby lekkochód jechał prędeż, na pewno by się wywrócił, ale do tego nie dopuścił chwalebnej pamięci sternik, który dokładnie tak jak się spodziewał – zginął pierwszy.

Dywersanci wyskoczyli z za drzew, by ująć żywcem, jak im się zda wało, zaskoczonego napaścią kuriera lub generała. Na widok karabinowych luf, które wytlukły resztki szyb stanęli jak wryci, cofnąć się nie zdążyli. Dostali z bliska prosto twarze, piersi i brzuchy. Pięciu padło jakby od jednego zamachu kosy.

Jednak reszta zaczęła się ostrzeliwać i znowu rzucać granaty. Jeden wleciał do kabiny, ale w porę go wyrzucono. Jego wybuch uszkodził tylne koło. Lekkochód przechylił się na lewy bok.

Las był bezlistny, rzadki i przejrzysty do głębi. Po odrzuceniu misternie przyprószonych śniegiem opończy Moskale nie mieli się już gdzie ukryć ani dokąd uciekać. Pozostawało im zginąć, zabierając ze sobą jak najwięcej polskich sług szatana. Takie mieli rozkazy i na to cerkiewną dyspensę. Walka była więc krótka, lecz straceńczo mordercza.

Jadwiga strzelała raz po raz, mierząc najspokojniej, jak umiała. Kogoś trafiła na pewno. Zraniony Moskal skrył się za drzewem, zbyt cienkim, aby zasłoniło go całkowicie. Chorąży Starosławska skupiła się na celowaniu w wystający z za pnia fragment barku. Wypaliła i trafiła. Przeciwnik wyskoczył i zataczając się, ruszył poszukać sobie lepszej kryjówki, ale nim ją znalazł, dostrzelił go żołnierz klęczący obok Jadwigi.

Pani chorąży chciała pochwalić podwładnego, ale zamiast tego rozkasłała się mocno.

Coś ją natarczywie, wręcz nieznośnie drażniąco zadrapało w piersiach. Czyżby zakrztusiła się prochowym dymem? Dopiero po chwili spostrzegła, że kolba jej rewolweru oraz trzymającą ją dłoń, które znalazły się przypadkiem naprzeciw ust, pokryte są teraz strzępkami różowej piany.

„Dobrze, że nie w brzuch...”, pomyślała chorąży Jadwiga Starosławska.

Spłynęła na nią wielka ulga i spokój.

Kolejny Moskal zastrzelił maszynistę i doskoczył do pędni z roziskrzonym granatem. Nie rzucił nim jednak, lecz przyłożył go do kotła z gorącą naftą i przytrzymał gołą ręką aż do wybuchu.

Lekkochód stanął w płomieniach.

Znajdujący się w nim ludzie wyskoczyli drzwiami po obu stronach kabiny. Wpadli na ostatnich dwóch z dziewięciu Moskali i przez chwilę przeciwnicy prażyli do siebie nawzajem, niemalże przystawiając lufy do ciał.

Strzelanina urwała się jak ucięta nożem. Zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Przyczajeni Polacy z dymiącą bronią w rękach lustrowali uważnie las wokół siebie.

Między drzewami nikt więcej się już nie pokazał.

Za to rozległ się tętent na drodze. Nadjechał wachmistrz Duchniak na czele pięciu ludzi.

– Już po walce?! – upewnił się. – Gdzie pani chorąży?

– Jest po drugiej stronie lekkochodu – odpowiedziano mu jednocześnie po obu stronach płonącego wraku.

W nim właśnie zapalił się bak z zimnym paliwem. Chwilę później spieniona od gorąca woda utleniona rozsadziła swój zbiornik i połączyła się z naftą. Czerwone płomienie buchnęły aż po wierzchołki drzew.

– Ludzie, na miłosierdzie Boże! – zawołał wachmistrz łamiącym się głosem. – Gdzie jest wasza pani chorąży?!

Żołnierze walczący po obu stronach drogi zeszli się teraz na jej środku i patrzyli po sobie bezradnie.

– Myśleliśmy, że wyskoczyła z wami... – mówili jedni.

– A my, że skoczyła z wami... – odpowiadali tamci. – Czemu nikt się za nią nie obejrzał?

– Czy ktoś widział panią chorąży po wybuchu pożaru? – zapytał Duchniak, siląc się na spokój.

Nikt mu nie odpowiedział. Wszystkie oczy zwróciły się na buzujące wielkim płomieniem szczątki lekkochodu. Zrozumieli już, że patrzą na stos ofiarny. Jeden po drugim zdejmowali czapki, żegnali się. Ktoś uklęknął na poboczu i zaczął odmawiać *Wieczne odpoczywanie*. Do woni nafty dołączył swąd palonego ciała i włosów.

Wachmistrz Duchniak przemógł skurcz gardła.

– Policzcie się ludzie – powiedział. – Ilu ich tam w środku pozostało?

– Troje – padła odpowiedź po chwili. – A tutaj dwóch nieboraków dochodzi...

– Opatrzyc ich!

– Tak jest! – Żołnierze znów wiedzieli, co mają robić. Zakrzętnęli się rażno koło ciężko rannych kolegów.

Wachmistrz patrzył na to wszystko z wysokości siodła i bił się z myślami. Oprzytomniał dopiero, kiedy w zasięgu wzroku pojawiły się wozy z amunicją.

– Obejmuję dowództwo! – ogłosił. – Zgodnie z ostatnią wolą nieboszczki odprowadzę ten transport do Sokołowa.

Żołnierze zasalutowali mu w milczeniu.



– Rannych i naszych poległych na podwoły! – rozkazywał wachmistrz już spokojnie, rzeczowo. – Zostawimy ich w Kałuszynie. A teraz zetnijcie prędko parę drzewek na drągi. Trzeba usunąć tę zawalidrogę! Inaczej furgony nie przejdą!

Zabrano się do tego bez ociągania.

Najpierw odciągnięto w las trupy Moskali. Potem ostrożnie, z bezpiecznej odległości, podważany i dźgany grubymi tyczkami dzierzonymi przez sześciu ludzi, buchający ogniem wrak został z łoskotem i sykiem zepchnięty w śnieg na skraju drogi. Pozostałą kałużę płonącej nafty zasypano pospiesznie zmarzniętym piachem i starannie zdeptano. Niebawem paliło się tylko na poboczu. Koniom można było zarzucić płachty na łby i przeprowadzić je spokojnie obok.

Wozacy już wiedzieli.

Mijając płonące szczątki, jeden po drugim wstawali z kozłów, żegnali się i salutowali.

# Akt desperacji

Edward bardzo cieszył się na spotkanie z żoną.

Z Dębłina prawym brzegiem Wieprza pojechali na Kock, potem skręcili na Łuków. To tam porucznik Starosławski dowiedział się, że dowództwo nad konwojem z Modlina sprawuje Jadwiga i że zobaczą się w Siedlcach. Nic z tego jednak nie wyszło, bo ona utknęła w Mińsku Mazowieckim, więc przebrojenie „Zawiszy” zaplanowano przed Sokołowem Podlaskim, w Kowiesach. Zanim tam dotarli, czekało ich jeszcze mozolne forsowanie Liwca, który co prawda nie był rzeką o rozmiarach Wisły czy nawet Wieprza, ale ich krążownik miał już pełne obciążenie, więc tej przeszkody wodnej w żadnym wypadku nie należało lekceważyć i dobrze podmuchać na zimny lód, jeszcze zimniejszym amoniakiem. Na dodatek nie załatwiono im nowej lokomobili i znów musieli radzić sobie kieratem, ale przynajmniej chętnych do kręcenia było naprawdę wielu. Od Łukowa mieli już pełną eskortę. Dołączyła wreszcie długo wyczekiwana husaria ogniowa. Krótko mówiąc, z Liwcem bawili się na dwie szarże chłodnicze, bo na drodze prócz właściwej rzeki stanęło im jeszcze niewiele mniej wąskie starorzecze.

Budującą rozrywkę zapewniały wiadomości z frontu, przede wszystkim północnego, dotyczące generała Hauke-Bosaka, który otoczony pod Łapami z trzech stron bynajmniej nie czuł się ani trochę osaczony, a przeciwnie – to on osaczał i rozbijał kolejne nadchodzące jednostki przeciwnika, bezlitośnie punktując każdy brak koordynacji po stronie Moskali. Bitwa o Łapy właśnie aspirowała do roli żelaznego punktu programu nauczania we wszystkich akademiach wojskowych świata, aż Edward zaczął żałować, że jego tam nie ma. Pancerna pielgrzymka ze Starachowic, którą właśnie odbywał, choć niewątpliwie kwalifikowała się do klasyki inżynierii wojskowej, pomimo wszystkich przygód po drodze była przynajmniej o klasę

mniej wiekopomna.

Tymczasem pod Sokołowem oddziały Imperium starały się zająć możliwie najdogodniejsze pozycje przed decydującym natarciem. Polskie twardochody nie ułatwiały im tego, unikając jednocześnie bezpośredniego starcia z „Katarzyną”, która ze swej strony nie zaryzykowała już drugiej samotnej szarży w głąb polskich pozycji. Czeakała z tym na „Piotra”, a do tej pory tylko wspierała piechotę nacierającą na sokołowski płaskowyż. Ponieważ nie mogła być wszędzie, tam, gdzie jej nie było albo zaraz potem gdy się oddaliła, z polskiej strony następował pancerny kontratak, który z powrotem spychał Moskali ku rzece. Ich zdobycze terenowe były więc nieznaczące, przez cały dzień posunęli się tylko o dwa, trzy kilometry w stronę Sokołowa.

Wieczorem siedemnastego lutego generał Hauke-Bosak kompletnie ośmieszył i skompromitował głównodowodzącego rosyjską ofensywą generał-gubernatora Michaiła Murawiewa, zwanego „Wieszatkiem”, który wysłał do Petersburga triumfalną depezę, zawiadamiając, że wyłom w jego północnej flance został załatany, a polscy buntownicy wyparci za Narew. Pół godziny później musiał ją sprostować, gdyż generał Bosak właśnie zdobył Łapy! Car podobno był wściekły i kazał Murawiewowi się wieszać. Cóż, to ostatnie było tylko fantazją polskich gazet, ale spodobało się wszystkim.

Niestety, druga informacja w depeży generał-gubernatora okazała się prawdziwa. „Wielikij Piotr” dotarł właśnie do Grannego i już szykowano dla niego przeprawę. Wszystko miało się zatem rozstrzygnąć nazajutrz, osiemnastego lutego 1866 roku.

O świcie tego dnia „Zawisza Czarny” stanął w Kowiesach, ale oczekiwanego transportu amunicji tam nie było. Podobno znajdował się gdzieś blisko, ale gdzie dokładnie, Edwardowi nie mówiono. Polecono mu za to wyprowadzić całą kolumnę trzy kilometry za północne rogatki Sokołowa, gdzie formowała się ich grupa uderzeniowa. Tam za niewielkim lasem, koło wsi Nieciecz czekali „giermkowie Zawia-

szy”, to znaczy twarchochody „Kłuszyn” i „Cudnów”, które jeszcze nie brały udziału w walkach.

W Sokołowie na wieść, że w mieście jest towarzyszący naczelnemu wodzowi profesor Maxwell, od konwoju odłączyli Wróblewski i Olszewski. Pożegnanie było zdawkowe, wszyscy spodziewali się zobaczyć niebawem. Niedługo potem Edward mógł wysłać gońca z meldunkiem o wykonaniu zadania. Przybyli na miejsce!

Zatem jeden Model III, dwa Modele II, taboron „Juliusz”, cztery szwadrony husarii ogniowej oraz dwa bataliony piechoty... Robiło to duże wrażenie, ale tylko na cywilach, zwłaszcza miejscowej dzieciarni i wyrostkach ściągających tu gromadami, aby podziwiać niebywały widok. Nie przeganiano ich nazbyt stanowczo. Oficerowie mieli większe zmartwienia na głowie. Świadomość, że to jest ostatni polski odwód, który ma wystarczyć na dwa moskiewskie pancerniki, nakazywała zachować powściągliwość albo wręcz robić dobrą minę do złej gry.

Dla Edwarda stało się jasne, że bez pocisków kumulatywnych nie mają szans. Coraz bardziej zdenerwowany porucznik kręcił się więc po całym majdanie, niecierpliwie wypatrując furgonów z amunicją lub przynajmniej kurierów z meldunkami czy nowymi rozkazami. Tymczasem działa za horyzontem huczały coraz bliżej. Walki na płaskowyżu toczyły się jeszcze według wczorajszego schematu – Moskale robili trzy kroki naprzód, Polacy spychali ich o jeden lub dwa w tył.

Do południa dotarła wiadomość zła i dobra. Po pierwsze, konwój Jadwigi był dopiero w Rozbitym Kamieniu, bite dwie godziny jazdy od celu. Powód spóźnienia ciągle ten sam, to znaczy blokujący drogi uchodźcy, których przybyło gwałtownie na wieść o nadejściu drugiego ruskiego nad-twarchochodu. Rozeszły się paniczne plotki, że Sokołów Podlaski zostanie zrównany z ziemią. Dla równowagi Moskale mieli problemy z przeprawą i „Piotr” wciąż jeszcze znajdował się na prawym brzegu. Popie pokropki na dłuższą metę nie zdo-

łały zmusić Bugu do posłuszeństwa carowi. Spiętrzanie rzeki pod lodem okazało się mieć fatalne skutki uboczne. Zaczęła pękać i wypiętrzać się kra powyżej lodowej grobli, woda z rosnącym impetem przelewała się górą, porywając pracujących saperów i poprzedniego miejsca nie można było wykorzystać ponownie. Najeźdźcy musieli zaczynać od nowa, mniej więcej dwa kilometry powyżej Grannego.

Nie było co filozofować, tylko przez rozum zjeść obiad, choć zupełnie nie chciało się jeść. Edward poprzestał na kilku łykach grochówki i dalej rozgorączkowany miotał się po placu. Tak zastała go informacja, że naczelnik Traugutt wyznaczył już dowódcę „Zawiszy Czarnej”.

Został nim kapitan Zdzisław Bugielski, dotychczasowy zwierzchnik „Witebska”. Oficer ten wsławił się wczoraj brawurowym atakiem na „Katarzynę”, próbując ją unieruchomić przez zniszczenie jej bocznych pasów człapiących lub mniejszych kół, na których się one opierały. Pomysł wydawał się dobry, ale konstrukcja okazała się jednak zbyt solidna dla armat trzycalowych. Bugielski kazał więc podejść bliżej, aby spróbować z dziobowej siedmiocalówki, skutkiem czego wdał się w iście samobójczą, bezpośrednią wymianę ognia z artylerią główną „Katarzyny”.

W efekcie, w ciągu pięciu minut „Witebsk” stracił trzy z czterech wież z kartaczownicami. Ze strzelców zostały tylko dolne połówki ciał. Potem kolejny granat jedenastocalowy, ześlizgnąwszy się po strzępach blachy pancernej pozostałych po jednej z wieżyczek, eksplodował tuż przy samej lewej burcie, która tego nie wytrzymała. Wybuch co prawda nastąpił na zewnątrz, ale do wnętrza twardego chodu wleciały odłamki, które roztrzaskały wszystkie cylindry pędni. Śmiertelnie poranionym maszynistom resztami sił udało się zamknąć do nich dopływ łatwopalnej pary i stłumić pożar kocami azbestowymi, które wkrótce posłużyły im samym za całuny. Unieruchomiony „Witebsk” został odholowany do Sokołowa, gdzie go teraz remontowano, co niestety zanosilo się na dłużej. Pomyślnej ewakuacji rozbi-

tego twardochodu z pola bitwy dokonał taboron „Szymon”, też zdrowo biorąc przy tym po grzbiecie, jego dowódca podporucznik Lubieszewski stracił rękę podczas tej akcji.

Naczelnik Traugutt zamiast gniewać się z powodu drugiego wyeliminowanego z walki Modelu II, docenił inicjatywę oraz śmiałość kapitana Bugielskiego i awansował go na stanowisko najbardziej pożądane obecnie wśród wszystkich twardochodziarzy. Pierwszy bojowy dowódca „Zawiszy Czarnej” miał się pojawić niebawem.

Na razie jednak uwagę porucznika Starosławskiego przykuł Model II, który zjechał właśnie z pierwszej linii frontu, żeby uzupełnić paliwo i amunicję. Były to „Zieleńce”, którym punkt zaprowiantowania wyznaczono niedaleko miejsca postoju grupy Edwarda. Młody oficer ciekaw najnowszych wieści z pola walki natychmiast tam pobiegł. Z kolei od strony Sokołowa, na spotkanie twardochodu zbliżającego się w rozproszonej asyście husarii ogniowej, przyjechał taboron „Jan”, który wcześniej pobierał zaopatrzenie z magazynów miejscowego garnizonu.

„Zieleńce” kiksowały nieco na lewym przednim kole, decentrowanym od jakiegoś wybuchu, ale pokieroszowany twardochód toczył się żwawo. Po chwili zgrabnie wykręcił, ustawiając się tyłem do podjeżdżającego transportera.

Otwarto tylne drzwi...

Dobiegający do nich Edward myślał, że wie, jakiego bukietu woni można się tu spodziewać. Zaskoczenie było więc duże. Oprócz zwykłego odoru nafty, prochu, ludzkiego potu i moczu w nozdrza uderzył go przewrotnie przyjemny zapach domowej kuchni, w której smażyło się lubie lub wieprzowe... mózdzki!

Porucznik stanął jak wryty, żołądek skoczył mu do gardła. Świadomość, że ten zapach, w tej sytuacji, nie może pochodzić od niczego innego jak smażonego LUDZKIEGO MÓZGU wręcz poraziła jego umysł. W popłochu cofnął się od otwartego twardochodu bliski panicznej rejterady.

Z pojazdu zeskoczyło na ziemię dwóch ludzi w biało-srebrnych twarchochodzarskich mundurach, kompletnie rozchełstanych i postrzępionych, miejscami bez mała podartych w pasy, a na dodatek poplamionych krwią do tego stopnia, że Edward na ich widok zapomniał o własnej niedyspozycji.

– Potrzeba wam lekarza?! – zawołał.

– Nam nie, panie poruczniku. – Niedbale zasalutowali oficerowi i pobiegli do taboronu. Po drodze jeden z nich chwycił garść czystego śniegu i energicznie wtarł go sobie twarz.

Z twarchochodu wypadli kolejni żołnierze, równie obszarpani i pokrwawieni, jak dwaj pierwsi. Wynieśli na kocach dwóch rannych kolegów, którymi natychmiast zajął się felczer przybyły na pokładzie „Jana”.

Ktoś z wnętrza „Zieleńców” zamasyżuje wysypał wiadro pełne miedzianych gilz po nabojach Gatlinga. Ktoś inny z donośnym brzękiem cisnął w śnieg naręcze mosiężnych łusek po pociskach do trzycalowej armaty. Zaraz dołączyły do nich puste dyskowe magazynki do kartaczownic. Sterta rosła szybko.

Z twarchochodu wysiadł oficer z manierką w ręku i goglami podniesionymi na czoło. Twarz miał osmaloną sadzą, w połowie sino zapuchniętą. Jakiś odłamek rozciął mu lewy kącik ust tak paskudnie, że nawet gdy wargi miał zamknięte, widać było górne zęby. Mężczyzna zupełnie się tym okaleczeniem nie przejmował i popijał sobie od niechcienia, używając zdrowego półgębka, a zobaczywszy pobladłego Edwarda z upiornym, acz w zamierzeniu niewątpliwie uprzejmym uśmiechem, podał mu swoją manierkę.

Porucznik skorzystał skwapliwie i od razu się zakrztusił.

– Co... to?! – Z trudem złapał dech.

– Spirytus pół na pół z laudanum – wyjaśnił zapytany. Mówił niezbyt wyraźnie z powodu rany ust. – Nie czuje się po tym bólu i zmęczenia... lecz wypić za wiele na raz... to nie radzę...

– Co się wam stało? Wyglądacie wszyscy, jakbyście w szatkownicę kapusty wpadli!

– Et, drobiażdżeńki... – Machnął ręką zapytany i przedstawił się.  
– Kapitan Eryk Dłuski, dowódca tego miłego pudełeczka.

– Porucznik Edward Starosławski, adiutant naczelnego wodza. – Uścisnęli sobie ręce. – To cóż się wam stało?

– Kiedy Moskale z armat... po naszym pancерzu rąbią... chociaż go nie przebija, to jednak wtedy.... od wewnątrz, z wierzchu odpryskują kawałki żelaza... takie jakby rybie łuski, ale ostre paskudniki niczym ułomki brzytwy... No i zacinają one w środku jakby szalony cyrulik golił, w te, tamtą i za się... Nie daj Bóg gogli wtedy nie mieć założonych, bo z oczu bigos! Mnie, jak pan porucznik widzi... uśmiech poszerzyło...

W tym momencie z twarchoodu wyniesiono zwłoki owinięte w azbestowy koc gaśniczy. Tam, gdzie powinna być głowa nieboszczyka, była tylko wielka czerwona plama.

– Biedny Fabianiak... – Kapitan zaszutował poległemu, a porucznik poszedł za jego przykładem. – Był naszym mechanikiem. Miał pecha... Akurat wyglądał na pole, gdy przez jego wizjer odłamek wpadł... Tak duży, że gogle nie pomogły... strzaskało mu je razem z głową... Cały mózg Fabianiaka prosto na pędnię nam poleciał i dotąd się na cylindrach przysmaża... zeskrobywać go było niepodobna... Zapach szczególny, nie uważa pan porucznik?

Edward poczuł, że znów zbiera mu się na wymioty i czym prędzej wyciągnął rękę po manierkę z twarchoodziarską miksturą. Nauczony doświadczeniem upił ostrożnie dwa małe łyki. Nudności przeszły.

– Trzech ochotników mi potrzeba! – zawołał kapitan Dłuski w stronę kręcących się w pobliżu husarzy ogniowych. Wszyscy oni byli szkoleni, aby w razie potrzeby zastąpić każdego członka załogi twarchoodu.



Zgłosiło się pięciu chętnych. Dowódca „Zieleńców” poszedł z nimi pomówić, zostawiając Edwarda samego. Po chwili wybrał trzech, którzy natychmiast zaczęli się przebierać w lżejsze twarchochodzarskie uniformy wydane im z taboronu. Jeden z pozostałych towarzyszy zabrał ich konie.

Tymczasem skończono pozbywać się z pokładu twarchochodu wszelkich zbędnych rupieci, a zaczęto ładować nową amunicję. Żołnierze ustawili się w szereg i podawali sobie z rąk do rąk pociski artyleryjskie oraz pliki talerzowych magazynów do kartaczownic. Edward też pomagał. Inni zaczęli tankować naftę. Robiono to za pomocą ręcznej pompy z blaszanych baniek dostarczanych kolejno z transportera. Wodę utlenioną przyniesiono natomiast w szklanym, owiniętym wikliną trzydziestolitrowym gąsiorze, który po paru minutach wrócił pusty. Potrzebne były jeszcze dwa takie.

Po dwudziestu pięciu minutach postoju „Zieleńce” odzyskały gotowość bojową. Kapitan Dłuski wrócił pożegnać się z Edwardem i odebrać swoją manierkę.

– To jakże tam wam idzie? – porucznik przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

– Lepiej niż pierwszego dnia – odparł dowódca twarchochodu. – Wtedy niepotrzebnie rzuciliśmy się wszyscy hurtem na „Katarzynę”, przez co „Olszynka Grochowska” nam przepadła... Ale teraz już zmadrzeliśmy i tylko panią imperatorową sprytnie podchodzimy... Ona się sroży, piekli, ale nic nam zrobić nie może, bośmy dla niej zbyt zwinni.... Moskale prawie że drepczą w miejscu i ludzi setkami tracą. A pan porucznik wybiera się na audiencję do imperatorowej tym naszym chwatem? – Dłuski spojrzał znacząco w stronę „Zawiszy”.

– Chyba nie – odparł Edward.

– Gdyby jednak, to niech pan porucznik pamięta o goglach. Powodzenia! – wyciągnął rękę.

– Nawzajem, panie kapitanie.

Pożegnali się serdecznie. Dowódca „Zieleńców” wsiadł jako ostatni.

– Pan porucznik się troszkę cofnie, bo cholewki przysmażymy! – przestrzegł żartobliwie ze swoim szczególnym uśmiechem i zatrzasnął za sobą pancerne drzwi.

Niecałą minutę później „Zieleńce” zamasyście parsknęły ogniem z obu burt, nabrały prędkości i łopocząc postrzępioną chorągiewką na wieżyczce dowódcy, pełną mocą popędziły w stronę grzmiącego centrum bitwy, odległego o jakieś siedem kilometrów. Taboron „Jan” też odjechał, ale w inną stronę, do nowego twardochodu, który właśnie pokazał się pod sąsiednim lasem. Rannych twardochodziarzy zabrał już furgon Czerwonego Krzyża i Edward został sam w towarzystwie pagórka łusek oraz bezgłowych zwłok okrytych zakrwawionym białym kocem. Jeszcze raz zasalutował poległemu koledze, po czym szybkim krokiem wrócił do swoich ludzi.

Na miejscu powiedziano mu, że kapitan Bugielski właśnie przed chwilą dotarł i obecnie zapoznaje się z wnętrzem oraz mechanizmami „Zawiszy Czarnej”. Nowemu komendantowi towarzyszyło dwóch ludzi z jego poprzedniej załogi – sternik oraz główny maszynista.

Edward zastanawiał się właśnie, czy powinien teraz dołączyć do nich, czy może lepiej na razie im nie przeszkadzać, kiedy zobaczył wyłaniające się wreszcie z lasu, tak długo wyczekiwane wozy z amunicją. Na przedzie kolumny jechał oddział konnych żandarmów.

Zatem lekkochód Jadwigi powinien być na końcu... Porucznik stał i niecierpliwie wypatrywał go między drzewami. Zobaczył jednak tylko drugą grupę jeźdźców zamykających cały pochód. Tymczasem prowadzący kolumnę żandarm zsiadł z konia i podszedł do Edwarda.

– Pan porucznik Starosławski? – upewnił się.

– Tak.

– Wachmistrz Duchniak, Żandarmeria Narodowa. Melduję dopro-

wadzenie konwoju!

– Dziękuję, wachmistrzu! Gdzie jest moja żona?

Duchniak uciekł w bok wzrokiem.

– Nie powiedzieli panu porucznikowi?

– Nie... – Edward poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Nie był w stanie sformułować pytania, tylko patrzył natarczywie, wyczekująco.

– Przed Kałuszyńskiem była zasadzka... – powiedział Duchniak ściszone głosem. – Pani chorąży Starosławska uratowała konwój... walczyła dzielnie...

– Została ranna?! – nie dał mu skończyć. – Czy ciężko?!

Wachmistrz pokręcił przecząco głową. Edward poczuł, że niebo wali mu się na głowę. Stał wpół ogłuszony, czekając na kolejne słowa

– Była bardzo dzielna... – powtórzył żandarm i pokrótce opowiedział, co zaszło. – Pani chorąży dowodziła z bronią w ręku, ale dosięgła ją kula... a potem lekkochód... całkiem się spalił... – Pańska małżonka już wtedy nie żyła. Na pewno nie cierpiała... – Duchniak sięgnął do kieszeni. – Po tym rozpoznaliśmy ciało... – Podał porucznikowi tombakową obrączkę, której nie zdążyli wymienić na złotą.

Obrączka była nadtopiona i zostało na niej jeszcze trochę czarnej spalenizny.

Nie, to stanowczo nie był czas na niemeńskie zachowanie. Wojsko patrzyło! Edward do bólu zacisnął zęby. Należało za wszelką cenę się opanować, powstrzymać rozpacz. Żołnierz nie opłakuje kolegów zabitych w bitwie, nawet gdy padają na jego oczach, tylko dalej idzie naprzód! Idzie ich mścić! Jadwiga zaś była teraz przede wszystkim koleżanką żołnierką poległą na polu chwały. Żoną dopiero na drugim miejscu.

Dokończyć jej misję! To było w tej chwili najważniejsze. Żal potem... Żal potem!

– Pochowaliśmy panią chorąży koło kościoła w Kałuszynie, z honorami, w porządnej trumnie – mówił wachmistrz Duchniak. – W osobnym grobie, wszak nie uchodziło kłaść zameżnej niewiasty z mężczyznami... Miejscowi ludzie pokażą dokładnie. Pan porucznik może być z małżonki prawdziwie dumny. – Żandarm stanął na baczność. – Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Sława bohaterom!

– Dziękuję wachmistrzu – Edward wziął się w garść, schował obrączkę w kieszeni bluzy mundurowej na sercu i oznajmił. – Jestem z niej bardzo dumny!

– Tak trzeba, panie poruczniku! – zsalutował mu Duchniak.

W istocie, tak było trzeba. Nie było już czasu na żałobę ani na obracanie w myślach słowa „wdowiec”.

– Podjeżdżajcie pod „Zawiszę”! – polecił porucznik Starosławski.

– Według rozkazu! I jeszcze jedno... – wachmistrz sięgnął do raportówki i wyjął z niej blankiet z depeszą eterową. To do pana z Modlina. Duplikat jakiejś ważnej instrukcji, bo poprzednie papiery, co je pani chorąży ze sobą miała... się spaliły.

– Wyładowujcie skrzynie! – Edward na razie tylko upewnił się, że depesza jest od majora Karpowczenki i odłożył jej czytanie na później. Postanowił w pierwszej kolejności zająć się przezbrojeniem krążownika.

– Hola, panie poruczniku! – powstrzymał go niespodziewanie stanowczy głos z górnego pokładu. – Czy pan się aby trochę nie zapomina?!

– Pan kapitan Bugielski? – odkrzyknął zaskoczony Edward.

– W rzeczy samej! – Po chwili nowy komendant grupy uderzeniowej wyszedł z „Zawiszy Czarnej”. – Proszę z łaski swojej objaśnić mi cel tego przedsięwzięcia! – zażądał.

Były dowódca „Witebska” miał na sobie świeży mundur i twarz pozaklejaną plastrami. Brakowało mu prawie połowy prawego ucha,

zapewne odciętego wczoraj odłamkiem, i tę ranę też starannie ukryto pod plastrem. Mimo tej całej schludności sprawiał zdecydowanie mniej sympatyczne wrażenie od sponiewieranego dowódcy „Zieleńców”. Kapitan Bugielski miał około trzydziestu lat, usta wąskie, zacięte, oczy patrzyły wręcz zimno.

– Melduję posłusznie, panie kapitanie, że dotarł właśnie pilny transport amunicji! – oznajmił Edward zgodnie z regulaminem.

– Dlaczego pilny, poruczniku? Sam widziałem, że bunkry prochowe mamy pełne.

– To są pociski specjalne, panie kapitanie. Te w ładowniach wzięliśmy z Dębłina tylko tymczasowo. Trzeba je teraz szybko wymienić na...

– Ja o tym zdecyduję, jeśli pan porucznik pozwoli. Na czym polega specjalność tych pocisków?

– Mają zwiększoną siłę przebijania pancerza.

– Wypełniono je jakimś nowym materiałem wybuchowym?

– Nie, panie kapitanie, tu chodzi o profil ładunku.

– Nie rozumiem.

– To są ładunki specjalnie wydrążone... – Edward poczuł, że nie ma siły tłumaczyć tego wszystkiego jeszcze raz od początku. Ani też dociekać, jak to się stało, że nowego dowódcy „Zawiszy Czarnej” nie poinformowano o tak ważnym szczególe uzbrojenia.

– Jak to drążone?! – zdumiał się Bugielski. – Czy to znaczy, że są w nich jakieś puste miejsca?

– Tak, panie kapitanie, specjalnie profilowane wkładki...

– Do jasnej cholery, poruczniku! Czym wy mi teraz głowę zawracacie?! Jakimiś niedorzecznymi wkładkami?! Zabawkami? Potrzebujemy granatów z ładunkami wybuchowymi z prawdziwego zdarzenia. Nie jakiegoś sera z dziurami!

– Doświadczenia wykazały...

– Mamy otwarty bój z Moskalami! – wskazał w kierunku grzmiącego za horyzontem pola bitwy. – A pan mi tu każe jakieś eksperymenta pirotechniczne robić? Nie bierzemy! – zdecydował.

– Pan kapitan się myli...

– Nie, to pan porucznik się myli, sądząc, że w wojsku rozkazy można dyskutować. Czytałem już o panu co nieco w gazetach... – Bugielski popatrzył na Edwarda z politowaniem. – Dziękuję w imieniu służby za doprowadzenie „Zawiszy Czarnej” na pozycję wyjściową. Od tej chwili jest pan wolny, proszę się odmeldować. I na przyszłość radzę trochę spoważnieć.

– Moja żona poległa, abyśmy mogli dostać tę amunicję.

– Współczuję i cześć jej pamięci. A teraz proszę odesłać ten transport z powrotem do Sokołowa. Pan może zabrać się razem z nimi.

– Panie kapitanie! – zawołał młody oficer ogarnięty czarną rozpaczą. Ofiara życia Jadwigi właśnie obracała się w niwecz... Porucznik w pierwszej chwili poczuł, że rozwiera się pod nim jakaś otchłań bez dna. Potem nagle z przeraźliwą jasnością umysłu zdał sobie sprawę, że nie może pozwolić, by to poświęcenie straciło sens. Za wszelką cenę nie może na to pozwolić!

– Skończyliśmy poruczniku.

– Pan nie rozumie, kapitanie!

– Jeszcze słowo, a każe pana aresztować. Co pan wyprawia?!

Porucznik Starosławski wyjął rewolwer.

– Chce mnie pan groźbą użycia broni zmusić do przyjęcia felernej amunicji?! To jest jawna zdrada, mój panie! Warta do mnie!

Edward przystawił lufę do własnej skroni.

– Po moim trupie odeśle pan te pociski! – powiedział rozedrganym z emocji głosem, ale bez wahania odciągnął kurek.

Wachmistrz Duchniak podszedł do kapitana i szepnął mu coś na ucho. Bugielski zawahał się.

– Rozumiem, że przeżywa pan prywatną tragedię – zaczął łagodniej.

– Te pociski są dobre! Wypróbowane! – krzyknął Edward, przyciskając lufę mocniej do głowy. Uraził ranę sprzed paru dni, zabolęło ostro, ale nie zważał na to. – Bez nich nigdy nie wygra pan z „Katarzyną”!

– Tylko wariata mi tu brakowało... – wycedził przez zęby zirytowany kapitan.

– Nie mogę żyć ze świadomością, że tyle pracy i poświęcenia poszło na marne!

– Będzie mnie pan tu szantażować jak rozhisteryzowana pensjonarka?

– Po prostu zastrzelę się, jeżeli nie zmieni pan rozkazu – odrzekł Edward z wielkim spokojem. Czuł, że duch Jadwigi stoi teraz obok niego. Tylko nacisnąć spust i ją zobaczy... Znów będą razem...

– On się naprawdę zastrzeli – powiedział wachmistrz.

– Nie wątpię... – mruknął kapitan Bugielski, patrząc w oczy desperata.

– Panowie! – Podbiegł do nich major Jasiński. – Apeluję o spokój! Pan naczelnik Traugutt właśnie tutaj jedzie!

Bugielski podszedł powoli do Edwarda.

– Wierzę, że jest pan gotów się zabić – powiedział. – Proponuję panu układ.

– Jaki? – Porucznik popatrzył przytomniej.

– Niech naczelnik nas rozsądzi. Przystaje pan na to?

– Tak... – odetchnął Edward. Bardzo powoli opuścił rękę z rewol-

werem. Jednak następne ruchy przychodziły mu coraz łatwiej. Zwolnił kurek, schował broń, zapiął kaburę, poprawił na sobie mundur.

Po chwili, dotrzymując kroku kapitanowi Bugielskiemu, wraz z nim ruszył na spotkanie dyktatora. Kiedy naczelny wódz wysiadł z opancerzonego lekkochodu, obaj zameldowali się, jak gdyby nic między nimi nie zaszło.

– Widzę, że transport z Modlina dojechał – zauważył Traugutt. – Skończyliście już przeładunek?

– Nie zaczęliśmy, panie naczelniku – oznajmił Bugielski.

– A to dlaczego? – zdumiał się dyktator.

– Mam zastrzeżenia co do tej amunicji, panie naczelniku.

– Porucznik Starosławski panu nic nie mówił?

– Mówił, panie naczelniku.

– Macie jakieś wątpliwości, kapitanie? – Traugutt zmarszczył brwi.

– Przyznaję, że mam poważne, panie naczelniku.

Dyktator namyślał się kilkanaście sekund.

– Poruczniku Starosławski proszę ponownie objąć komendę „Zawiszy Czarnego”. Nominacja kapitana Bugielskiego zostaje niniejszym anulowana.

Zdymisjonowany oficer nic nie odpowiedział. Stał z kamienną twarzą.

– Nie mogę przyjąć tego wyróżnienia, panie naczelniku – odparł Edward, całą siłą woli zmuszając się do zachowania spokoju i jasnego myślenia. – Ja nie jestem twardochodźcą, nie mam w tej mierze koniecznego doświadczenia.

Bugielski obrócił głowę ku porucznikowi. Pierwszy raz spojrział na niego z odrobiną uznania.



– Wobec tego – Traugutt już się nie wahał – pan kapitan zachowa dowództwo „Zawiszy”, ale jest zobowiązany zastosować się do wszystkich wskazówek porucznika Starosławskiego odnośnie użycia nowej amunicji.

– Tak jest, panie naczelniku! – oznajmił słuźbiście Bugielski. – Skoro pan naczelnik tak postanawia, użyję tych pocisków ściśle według zaleceń porucznika Starosławskiego.

– Proszę więc zarządzić przeładunek. Nie macie zbyt wiele czasu. Doniesiono mi, że „Piotr Wielki” już przeszedł Bug.

– Tak jest!

– Mój chłopcze, ogromnie boleję z powodu twojej straty – powiedział półgłosem dyktator, gdy zostali sami. – Generał Plater jest również w żałobie. Jadwiga była dla niej jak przybrana córka.

– Dziękuję państwu – odrzekł cicho Edward.

– Postanowiłem – Traugutt uniósł głos o ton wyżej – poległą chwalebnie panią chorążą Jadwigę Starosławską, z domu Barczewską, awansować pośmiertnie na stopień podporucznika wojsk polskich oraz przyznać jej złoty krzyż Virtuti Militarii.

– Ku chwale ojczyzny, panie naczelniku! – odpowiedział Edward w imieniu zmarłej żony.

– Panu zaś, poruczniku Starosławski, za dzielną postawę i dowodzenie w akcji pod Szydłowcem przyznaję krzyż srebrny.

– Ku chwale ojczyzny! – powtórzył oficer.

Dyktator skinął na towarzyszącego mu pułkownika, który podał order.

– Gratuluję, panie poruczniku! – Kapitan Bugielski wrócił chwilę po dekoracji.

– Mam jeszcze coś dla was – zwrócił się do niego dyktator i sięgnął za pazuchę.

Podał kapitanowi szarą kopertę.

Wewnątrz znajdowały się trzy mosiężne płytki, trochę większe od wizytówek, pokryte misterną mozaiką prostokątnych otworków. Każda miała ścięty jeden róg.

– Co to jest, panie naczelniku?

– Nowy program do sterowników pozytywnych procesu tenardyzacji. Prezent od inżyniera Łukasiewicza.

– Pan naczelnik sam się fatygował z tą przesyłką? – zdziwił się Bugielski.

– Poczta obywatelska... – uśmiechnął się Traugutt. – Ruszajcie, gdy tylko będziecie gotowi. Życzę panom powodzenia! – Uścisnął im dłonie.



## Szarża „Zawiszy Czarnego”

Chwilę później lekkochód naczelnika państwa w eskorcie kawalerii wyruszył na wzgórze koło Grodziska, skąd naczelny wódz zamierzał obserwować bitwę.

Rozkazy wydano. Grupa szturmowa zaczęła formować się do wymarszu. Husaria ogniowa szykowała konie, piechota zwijała biwak. Pozostało tylko dokończyć przeładunek amunicji. W trakcie tych działań Bugielski wezwał na naradę dowódców „Kłuszyna” i „Cudnowa”, by uzgodnić z nimi ostatnie szczegóły wspólnej akcji.

Wynoszone z „Zawiszy Czarnego” ekrazytowe granaty starego typu kapitan Szymański polecił ładować na „Juliusza”, dusząc w zarodku wszelkie protesty swojej załogi kategorycznym poleceniem, że miejsce na te pociski musi się znaleźć i już! Nieważne, że w środku taboronu trudno się będzie ruszyć, ale tyle dobrej amunicji tak po prostu w śniegu nie zostawia! Panowie twarodochoziarze na pewno jeszcze im za to podziękują! Wagonika przyłączyć nie mogli, ponieważ nie miał on odpowiedniego opancerzenia. Zresztą wolny hak holowniczy potrzebny był do ewentualnego wyciągania kogoś z kłopotów.

Edward, korzystając z chwili spokoju, przysiadł na opróżnionej skrzynce i zaczął czytać instrukcję od Karpowczenki. Wkrótce mina porucznikowi zrzędnęła. Wynalazca pocisków kumulatywnych zawiadomił, że podczas kolejnych prób odkrył także ich poważne wady. Przede wszystkim zasięg skuteczny był mały, znacznie mniejszy od tradycyjnych granatów. Wtedy gdy Edward był w Modlinie, strzelali z małej odległości i dopiero późniejsze wydłużenie dystansu ujawniło problem. Pociski kumulatywne nie nadawały się też do wystrzeliwania z dział gwintowanych, ponieważ rotacja pocisku w znacznym stopniu znosiła efekt zwiększonej zdolności przebijania. W grę wchodziły więc tylko gładkolufowe działa kaliber siedem i jednaście

cali. Przy czym, niestety, aby uzyskać pożądany skutek, granat nie mógł kolebać się w locie, a stożkowe pociski wystrzeliwane z dział o gładkiej lufie miały do tego właśnie dużą skłonność. Odcinek trajektorii balistycznej, w którym prędkość początkowa była dość duża, aby zapewnić konieczną stabilizację lotu, wynosił niecałe dwieście metrów dla dział siedmiocalowych i nie więcej niż sto dwadzieścia metrów dla jedenastocalowych, a to z powodu większego ciężaru i bezwładności pocisków, a więc i mniejszego przyspieszenia w lufie. W zamian dobrze powinny się sprawdzić wyposażone w brzechwy bomby moździerzowe, ale to była czysta teoria, gdyż major nie zdążył ich wypróbować. Przygotował w ciemno sześć sztuk i wysłał je z najlepszymi życzeniami...

Skonfundowany porucznik Starosławski zaczął się głowić, kiedy i w jakiej formie powiedzieć to Bugielskiemu? Tym razem kapitan miał pełne prawo się zdenerwować. Zanim Edward wpadł na jakiś dyplomatyczny pomysł, dowódca „Zawiszy” sam przyszedł do niego w towarzystwie pierwszego oficera, który niósł lekki twardochodziarski uniform.

– Proszę to włożyć, poruczniku. W tym zimowym mundurze zaraz się pan przepoci, a jak potem wyjdzie na mróz, zapalenie płuc gotowe!

Edward skwapliwie skorzystał z dobrej rady, odkładając niezręczną kwestię na później. Zmienił kurtkę, zawiązał na szyi apaszkę w biało-czerwoną szachownicę i zawiesił na niej gogle. Na głowę wciśnął gruby filcowy kapelusz, opuszczając od razu rondo na policzki.

– Dajcie mu! – polecił kapitan swojemu zastępcy, kiedy porucznik skończył się przebierać.

Pierwszy oficer wyjął z kieszeni małą, zasklepioną z obu stron szklaną rurkę z białym proszkiem i podał ją Edwardowi.

– Co to jest?

– Cyjanek na wypadek ciężkiego poparzenia – zakomunikował

sucho Bugielski. – Trzeba rozgryźć i szybko łyknąć.

– Podobno oficjalnie się tego nie używa...

– Oficjalnie się również nie sra, panie poruczniku. Tylko prywatnie i na boku. Skoro trucizna panu nie odpowiada, to może pan jeszcze, jakby co, poderżnąć sobie gardło bagnetem albo brzytwą, ale zapewniam, że trudno utrzymać rękojeść w spalonych palcach. Wiem, bo widziałem to z bliska nad Narwią.

– Dobrze – Edward wyciągnął rękę po cyjanek.

– Na czubku apaszki, po wewnętrznej stronie ma pan na to taką specjalną, nieformalną, kieszonkę. Kiedy jednak zrobi się naprawdę gorąco, radzę to stamtąd wyjąć i trzymać pod językiem. Trudno przeszukiwać zakamarki odzieży, jak się jest żywą pochodnią... Jest pan gotów?

– Jestem! – oznajmił Edward. W jego głosie nie było drżenia.

– Swój poprzedni mundur niech pan położy na bunkrze z amunicją. Tam najprędzej zwolni się miejsce.

Weszli do wnętrza „Zawiszy” i wdrapali się wąskimi schodkami na górny pokład. Po chwili stanęli na mostku, pod stalową kopułą, którą w Starachowicach osobiście nitował Edward.

– Wszyscy na stanowiska! – zarządził kapitan Bugielski.

– Są wszyscy na stanowiskach! – odpowiedzieli mu kolejno główny maszynista, nadogniomistrz i pierwszy oficer sprawujący teraz funkcję wyższego sternika, któremu podlegali podsternicy – dziobowy i rufowy.

– Pędnie, mała naprzód!

„Zawisza Czarny” drgnął i ruszył na spotkanie wroga.

„Cudnów” zajął pozycję przy jego prawej burcie, „Kłuszyn” przy lewej. „Juliusz” podążał kilkadziesiąt metrów za rufą lądowego krążownika, który nadawał tempo całej grupie bojowej. Husaria

ogniowa rozsypała się w szeroki półksiężyc za twardochodami. Piechota szła na końcu trzema równoległymi kolumnami.

– Prędkość marszowa! – rozkazał Bugielski.

– Jest prędkość marszowa! – zameldowały kolejne pędnie.

– Proszę założyć gogle! – Kapitan pierwszy dał dobry przykład.

Szklą były grubsze niż denka butelek i mocno zniekształcały obraz. Trzeba było po kilka razy spojrzeć w to samo miejsce, by upewnić się, co się faktycznie widzi.

– Proszę ich nie zdejmować i przyzwyczajając wzrok – poradził Bugielski porucznikowi. – Umysł zaraz sobie z tym poradzi, a perspektywa się wyprostuje.

Edward przyzwyczajał się więc i nie bacząc na ból oczu, intensywnie wpatrywał się w mijaną okolicę.

Po przebyciu kilku kilometrów dotarli na miejsce, w którym doszło do największego dramatu pierwszego dnia bitwy. Pokryty sadzą, zniekształcony wrak „Olszynki Grochowskiej” jeszcze pełgał i dymił. Obok, w kręgu wypalanej ziemi, ktoś postawił brzozowy krzyż.

– Załoga bacność! Na prawo patrz! – zarządził kapitan Bugielski.  
– Chwała bohaterom!

Wszyscy na mostku zasalutowali.

Potem przejechali przez pobojuwisko w miejscu starcia husarii ogniowej z osłoną „Katarzyny”, która wycofując się wskutek tego ataku, zmiażdżyła po równo poległych i rannych Moskali i Polaków oraz leżące konie. Teraz tylko z nieznacznym turkotem przejechali przez zamarznięte na kość upiorne wyboje.

Nikt nic nie powiedział.

Naprzeciwko pojawił się samotny husarz ogniowy. Przygalopował szybko, ominął „Zawiszę”, po czym zawrócił i podjechał do rufy,

uniesieniem ręki dając znak, że ma wiadomość. Z tylnej wieżyczki wysunięto ku niemu tyczkę ze szpikulcem, na który kurier nadział swój meldunek i usunął się na bok, czekając na ewentualną odpowiedź.

Przedziurawiony papier przyniesiono na mostek i podano dowódcy.

– Panowie, oba moskiewskie pancerniki ruszyły! – oznajmił kapitan, zapoznawszy się z treścią. – Na nasze szczęście nie razem. „Katarzyna” idzie przodem, poprzednią trasą od strony Morszkowa. „Piotr” na razie zajął się sianiem terroru. Właśnie dom po domu rozjeżdża wieś Ludwinów, która stanęła mu na drodze. Ludność ucieka do lasu, Moskale strzelają za nimi z kartaczownic. To obecnie zajmuje ich najbardziej! Ale wybiła godzina zemsty!

– „Katarzynę” trzeba dopaść jak najprędzej – zauważył Edward. – Im szybciej, tym lepiej. Szkoda, że jedziemy tak wolno...

– Jest na to sposób – odparł spokojnie Bugielski. – Wszystkie maszyny stop!

Kapitan poczekał na wykonanie rozkazu.

– Proszę wymienić karty w sterownikach tenardyzacji! – polecił. – Na te nowe od naczelnika.

Po chwili maszynownie zgłosiły wykonanie.

– Pędnie w ruch!

W „Zawiszę Czarnego” wstąpił nowy wigor. Odgłosy z maszynowni zabrzmiały głośniejsz, głębiej, bardziej basowo i melodyjnie zarazem, jakby nagle przybyło im w dwójnasób cylindrów, a te jeszcze w cudowny sposób ze sobą zestrojono, co akurat było prawdą. Pancerny kolos zadrżał i zyskał na lekkości, zdawało się, że wszystkie płyty pancerza stały się co najmniej o połowę cieńsze.

– Nowy system tenardyzacji – objaśnił Bugielski, niepotrzebnie, bo wszyscy się tego domyślili. – Obmyślony w miejsce tego, który



skradli nam Moskale i zastosowali u siebie. Znów mała naprzód! – polecił.

Tym razem prędkość wcale nie była mała. Skoczyli od razu na poprzednią marszową.

– Pędnie, drugie tempo! – nakazał kapitan.

Edward nie posiadał się ze zdumienia. Przekroczyli nieosiągalną dotąd barierę dziesięciu kilometrów na godzinę, a szybkość stale rosła. Pędnie grały isticie monumentalną symfonię mocy.

– Kierunek Morszków! Prędkość szturmowa!

Osiągnęli piętnaście kilometrów na godzinę!

„Zawisza Czarny”, któremu w istocie nie ubyło wagi, pędził teraz jak stalowa góra, która wbrew prawom natury zerwała się do biegu. Zdawało się, że zaraz cały sokołowski płaskowyż rozleci się pod nim. Fale potężnych wibracji rozchodziły się szeroko po zmrożonym gruncie, strząsając śnieg z odległych o kilkaset metrów sosen. Niektóre konie husarii ogniowej zaczęły się narowić. Od pędzącego nad-twardochodu szły dudnienia powodujące szczekanie zębów, a niektóre dźwięki były tak niskie, że nie odbierały ich bębenki w uszach, lecz czuło się je jako gniecenie w dołku pod mostkiem. Rozprzestrzeniały się daleko. Nawet w samym Sokołowie zaczęły szaleć psy – ujadły i miały się na łańcuchach, jak gdyby zaraz miał nastąpić koniec świata.

W gnieździe moździerza na grzbiecie krążownika lądowego pojawił się żołnierz z chorągiewkami. Kodem semaforowym przekazał nowe wiadomości do skrzydłowych twardochodów, które po chwili odbiły bardziej na boki.

Kilkanaście minut później dostrzegli „Katarzynę”.

Rosyjski pancernik jechał skosem do nich, w odległości nieco ponad dwóch kilometrów. Na widok „Zawiszy” Moskale zaczęli skręcać w jego stronę. Na drodze stanął im zagajnik olchowy. Bez waha-

nia przejechali przez niego na przełaj, kładąc większość drzew.

– Za dwie minuty wejdziemy w zasięg dział – powiedział Bugielski. – Każe pan ładować te nowe pociski?

– Jeszcze za wcześnie – odparł Edward. Trzeba było wreszcie się przyznać. – Musimy podejść bliżej...

– Jak blisko?

– Na mniej niż dwieście metrów.

– Teraz mi pan to mówi?! – zirytował się kapitan.

– Dowiedziałem się o tym już po naszej scysji – tłumaczył się Edward. – Uznałem, że dla pana bliskie podejście do przeciwnika to rutyna. Po wczorajszym...

– Wczoraj straciłem połowę załogi! – syknął Bugielski. – A teraz jedziemy pudłem trzy razy większym i pięciokroć mniej zwrotnym niż Model II. Ręczy mi pan porucznik za pancerz?

– Ufam, że wytrzyma.

– Zaraz się o tym przekonamy... – mruknął kapitan, zbliżając czoło do wizjera.

„Katarzyna” oddała do nich pierwszą salwę. Na razie chybiła.

– Osłona nieprzyjaciela w zasięgu ostrzału! – zameldował nadogniomistrz.

– Kartaczownice i działa trzycalowe, zaczynać! – zdecydował Bugielski. – Siódemka i jedenastka czekać!

Boczne wieże uniosły pakiety luf pod kątem czterdziestu pięciu stopni w górę. W maszynowniach przyłączono do wałów głowice kabli skrętnych, które zatańczyły jak węże zwijające się w takt dudniącej melodii mechanicznego fakira i poniosły napęd do stanowisk ogniowych. Strzelcy maszynowi ruszyli dźwignie sprzęgieł, kartaczownice zagdakały miarowo. Zawtórowały im zaraz działa małego kalibru. Do ostrzału przyłączyły się „Kłuszyn” i „Cudnów”. Po chwili

grad pocisków rozproszył kolumnę piechoty maszerującej za „Imperatricą Jekateriną”.

To była uwertura do właściwej opery ognia i żelaza.

Druga salwa „Katarzyny” też jeszcze chybiła, ale pociski wybuchły znacznie bliżej „Zawiszy”.

– Choinkowanie! – zarządził kapitan Bugielski. – Na prawą burtę!

– Pędnie stop i małą wstecz – główny maszynista i nadsternik przekładali myśl dowódcy na szereg cząstkowych czynności. – Sternik rufowy lewonaburt! Sternik dziobowy prawonaburt!

Pierwszy jedenastocalowy pocisk z „Katarzyny” uderzył w pancerz dziobowy „Zawiszy” i eksplodował ogłuszająco. Kadłub wibrował jak dzwon. Z przednich przedziałów bojowych doleciały na mostek przekleństwa i brawa.

– Meldować o uszkodzeniach! – rozkazał Bugielski.

– Żadnych uszkodzeń, panie kapitanie! – odpowiedziano mu z entuzjazmem. – Wiwat Starachowice!

Na goglach Edwarda, dokładnie naprzeciwko prawej źrenicy przylgnął jakiś dymiący paproch. Pewnie resztką niedopalonej piroksyliny z wybuchającego granatu. Gdyby nie szkła ochronne porucznik pożałowałby się już z jednym okiem...

Oberwali znowu. Tym razem załoga „Zawiszy” przyjęła cios ze stoickim spokojem.

„Imperatrix Jekaterina” nie zamierzała pozwolić na to, by polski nad-twardochód zaszedł ją z boku. Zaczęła skręcać w lewo, równoważąc manewr „Zawiszy Czarnej”. Ten w odpowiedzi znów dał całą naprzód i przebywszy kilkaset metrów, zaczął powtarzać choinkowanie. Dwa stalowe potwory zaczęły krążyć wokół siebie, miażdżąc napotkane drzewa, sady i zagajniki. Odległość między nimi zmalała poniżej kilometra. Teraz dało się zauważyć, że na „Katarzynie” zainstalowano nowe kartacznice. Dla lepszej ochrony ich gniazda

obłożono workami z piaskiem, zmoczonym i zmrożonym dla większej spoistości, co ujawniło się, gdy ostrzelał je któryś ze skrzydłowych twardochodów.

„Zawisza” był wprawdzie szybszy i zwrotniejszy, o ile te pojęcia miały jeszcze sens w przypadku takich kolosów, ale „Katarzyna” nadrabiała to ruchliwością głównej wieży artyleryjskiej, która tylko za Modelami II nie była w stanie obracać się dostatecznie szybko. Polski krążownik lądowy skrócił dystans do siedmiuset metrów, sukcesywnie zaliczając kolejne trafienia. Moskale nastawiali zapalniki na minimalne opóźnienie, licząc na przebicie pancerza „Zawiszy” i morderczy wybuch w środku. Skutkiem tego ich pociski rykoszetowały od kadłuba lub ślizgały się po nim, eksplodując w pewnej odległości od krążownika albo, co gorsza, w załomach jego bryły. Skorupa z gęsto i grubo nitowanej martenowskiej stali spisywała się dobrze, jednak pod nią robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie. Odłamki wpadające przez szczeliny obserwacyjne raniły ciężko kolejnych ludzi.

W pewnym momencie dostali wprost w ścianę mostka i wszędzie z furkotem i brzękiem, niczym rój szerszeni rozleciały się ostre odpryski od wewnętrznej powierzchni pancerza, o których opowiadał Edwardowi dowódca „Zieleńców”. Kilka z nich wbiło się porucznikowi w lewe udo i łydkę, przecinając cholewę buta, w którym zaraz zrobiło się wilgotno. Jeden skaleczył grzbiet dłoni.

Bugielskiemu rozchlastało policzek i skrzydełko nosa. Wszyscy rozkasłali się od gryzącego żółtego dymu o woni palonej naftaliny, który wdmuchało na mostek przez wizjery.

– Wentylatory w ruch! – wychrypiał główny maszynista.

– Dość tego baletu! – zdenerwował się kapitan „Zawiszy”, przyciskając kłębek szarpi do krwawiącej rany. – Kurs na wprost! Poruczniku, proszę wydać dyspozycje głównej artylerii.

Edward polecił załadować pociski kumulatywne.

– Na sto metrów nie podejmiemy na pewno! – oznajmił kapitan.

– Niech więc działa dziobowe bije na łut szczęścia!

Porucznik Starosławski nie oponował. Pochylił się nad odpowiednimi tubami głosowymi i kolejno uchylił ich pokrywy.

– Jedenastka, ognia! Siódemka czekać na rozkaz!

Najpotężniejsza armata „Zawiszy Czarnego” plunęła ogniem. Pocisk zgodnie z oczekiwaniami nie trafił pod właściwym kątem, ale mimo to na pancerzu „Katarzyny” pokazała się głęboka bruzda. Półtorej minuty później naznaczyli Moskali kolejną szramę. I znowu. Potrzeba było jednak cudu, aby z tej odległości koziołkujący w powietrzu pocisk uderzył nie bokiem, lecz czubkiem. Najlepiej, żeby sam Pan Bóg własnoręcznie któryś poniósł, prostując jego trajektorię balistyczną, ale niebiosa najwyraźniej wstrzymały się od wszelkiej ingerencji.

Tymczasem sternicy i maszyniści skończyli nakazany manewr i „Zawisza” przyspieszył, osiągając ponownie maksymalną prędkość.

Szli teraz na bezpośrednią wymianę ciosów.

Zapalniki na „Katarzynie” zaczęto ustawiać na natychmiastowy wybuch. Moskale już nie liczyli na przebicie pancerza „Zawiszy”. Postanowili go roztrzaskać, tak jak rozłupuje się młotem orzech.

Nie było możliwości uniku, zejścia z linii strzału, nadziei na rykoszet. Należało przyjąć i wytrzymać kolejne druzgoczące salwy, bijące prosto od czoła.

Po pierwszym takim trafieniu „Zawisza Czarny” na sekundę stanął w miejscu. Wstrząs zbił z nóg wszystkich oficerów na mostku.

– Naprzód! – krzyknął rozwścieczony kapitan Bugielski, podrywając się z podłogi. – Niech diabli porwą imperatorową Katarzynę! Porucznika Starosławskiego i jego pociski też! Gdybyśmy mieli zwykłe granaty, mogliśmy odpłacić pięknym za nadobne... – wycedził z pasją.

Istotnie, popełnili błąd, jednak nie było czasu go naprawić. „Zawi-

sza Czarny” toczył się na wroga z prędkością biegnącego człowieka. Poobijanego, zadyszanego, lecz nieustępliwego.

Edward przycisnął gogle do wizjera i patrzył z fatalistyczną fascynacją. Nim osiągnął potrzebny dystans, będą musieli zaliczyć jeszcze jedną taką salwę. Po chwili już wiedział, że „Zawisza” i „Katarzyna” wymienią się ogniem właściwie w jednym momencie. Będzie cios za cios! Przyciskając usta do tuby głosowej, porucznik rozkazał obsłudze siedmiocalówki mierzyć w główną wieżę przeciwnika. I strzelać, kiedy zobaczą błyski w jej lufach.

Bugielski nie skomentował. Zacisnął szczęki.

Moskale zwiększyli moc ładunków miotających.

Siła uderzenia i równoczesnego wybuchu dwóch jedenastocalowych pocisków była wprost niewyobrażalna. Naprężenia wyzwolone w pancerzu sprawiły, że zimna, specjalnie utwardzona stal na mgnienie oka nabrała cech półpłynnych. Zupełnie jakby kadłub „Zawiszy” wykonano z drżącej leguminy, którą ktoś trącił łyżeczką. Od dziobu po wieżę dowodzenia przeszła fala niczym po kamieniu wrzuconym w gładką toń jeziora, lecz o powierzchni z litego żelaza... Łby nitów, które znalazły się na drodze tej fali odstrzeliwały jak korki szampana.

Nity wbite z kolei do środka roztrzaskiwały głowy, łamały szczęki, zebra, ręce. W trzewiach „Zawiszy Czarnego” rozległy się krzyki i jęki ranionych ludzi. Twardochód rezonował zgrzytliwie jak pęknięty dzwon. Pośród ogólnego pandemonium przepadł odgłos wystrzału z siedmiocalowej armaty i nikt z załogi nie spostrzegł nienaturalnie jasnego błysku pomiędzy największymi działami „Katarzyny”.

Edward też nic nie zobaczył. Oślepl. Zewnętrzne szkła jego gogli zalepiła warstwa lepkiej sadzy, niemal wyłamało je z oprawy i wtłoczyło w oczodoły, podbijając mu oboje oczu. Poza tym, chyba też, tak jak wczoraj Bugielski, porucznik stracił właśnie kawałek ucha... O dziwo, jednak zmysł słuchu dalej funkcjonował, choć słyhać było przede wszystkim przenikliwy skowyt metalu pracującego na granicy pęknięcia i trzaski nitów jak wystrzały karabinowe.

Młody oficer zdjął uszkodzone gogle. Ktoś stojący za nim natychmiast podał mu nowe.

– Dostali – stwierdził kapitan i dodał ze zdziwieniem. – Oberwali lepiej od nas!

Edward spostrzegł, że wieża „Katarzyny” jest nieruchoma. Jej lufy nie podążały jak dotąd za ruchem „Zawiszy”.

– Cała obsługa zginęła – stwierdził porucznik, przypominając sobie szczury w modlińskim sejfie.

– Za chwilę przyślą tam nowych artylerzystów – zauważył Bugielski. – Lepiej nie dajmy im znów wystrzelić... Pędnie stop! – rozkazał. – Siódemka, życie?

– Bywało lepiej, panie kapitanie – odezwano się z wieży.

– Przygotujcie Moskałom drugi taki poczęstunek! Mierzcie dokładnie.

– Według rozkazu!

– Ale strzelać tylko na rozkaz! – wtrącił się Edward.

– Ma pan jakiś pomysł, poruczniku? – zagadnął Bugielski, jakby trochę życzliwiej.

– Tak, panie kapitanie. Myślę, że powinniśmy zaczekać, aż w wieży „Katarzyny” znajdzie się nie tylko nowa obsługa, ale także i amunicja do następnej salwy...

– Przednia myśl! – pochwalił kapitan, wpatrując się w wizjer. – O, już są!

Armaty „Katarzyny” drgnęły i znów skierowały się na „Zawiszę”.

– Jeszcze chwilka... – cedził przez zęby Bugielski. – Zaraz wjadą ładunki...

Edward wyobraził sobie windę amunicyjną niosącą z magazynu na dnie brzucha stalowego potwora dwa stożkowe granaty oraz ładunki

miotające – brykiety sprasowanej bawełny strzelniczej w papierowych torbach. Powinno ich być ze cztery, może nawet sześć. Winda powinna już docierać do wieży...

– Jeszcze chwila... – kalkulował głośno kapitan „Zawiszy Czarnego”. – Jeszcze nie... Teraz...? Teraz! Siódemka, ognia!!!

„Imperatricy Jekaterinie” urwało łeb.

Eksplozja amunicji w wieży i pod nią sprawiła, że stalowa kopuła z dwoma najpotężniejszymi działami odleciała w górę i w bok lekko jak czapka zerwana z głowy przez wiatr. Na jej miejscu eksplodował wulkan. Cały przód lądowego pancernika przestał istnieć. Ułamek sekundy później wybuchły kotły naftowe w maszynowniach, a potem rufowy magazyn amunicyjny. Płomienie eksplozji bryzgały z „Katarzyny” wszystkimi możliwymi otworami i wciąż powstawały w niej nowe wyrwy. Zdawało się, jakby rozjuszony ognisty olbrzym rozginał i rozrywał kadłub pancernika od środka, usiłując się z niego wydostać. Całe z „Imperatricy Jekateriny” pozostały tylko jej pasy człapiące.

– Za Jadwigę! – zawołał w uniesieniu Edward.

– Za „Olszynkę Grochowską”! – zawtórował mu główny maszynista.

Odpowiedziała im triumfalna wrzawa z dolnych pokładów.

– Połowa roboty... – stwierdził lakonicznie kapitan Bugielski. Ewidentnie nie był skłonny zaczynać świętowania.

– Drugi klient już w drodze, panie kapitanie – zakomunikował nadsternik, spoglądając przez tylny wizjer.

„Wielikij Piotr” omijał właśnie las oddzielający go od „Zawiszy”. Do spotkania zostało nie więcej jak dziesięć minut.

– Gdyby nie nowe płytki sterujące od Łukasiewicza te imperialne bestie niechybnie dopadłyby nas razem – stwierdził kapitan, po czym podniósł wieko tuby ogólnej i zwrócił się do całej załogi. – Meldo-



wać natychmiast o stratach i uszkodzeniach!

Mieli tylko jednego zabitego i pięciu ciężko rannych, niezdolnych do dalszej walki. Ludzi można było zastąpić. Znacznie gorsze były szczeliny, które pojawiły się między płytami w pancerzu dziobowym, szerokie miejscami na dwa palce. Za dużo nitów puściło. Oznaczało to, że drugiej takiej wymiany ognia już nie wytrzymają. „Zawiszę Czarnego” faktycznie czekał los strzaskanego orzecha. Należało zmienić taktykę. Tylko na jaką?

– Pan porucznik ma jakieś nowe pomysły? – zagadnął Bugielski z sarkazmem.

– Proponuję wycofać się za szczątki „Katarzyny”. Ogień i dym nas osłonią, to może skłonić „Piotra” do podejścia bliżej...

– Proszę bardzo – kapitan wydał odpowiednie rozkazy. – Zyskamy trochę na czasie, kosztem ujawnienia własnej słabości. I co dalej?

Edward milczał.

– No, a dalej już trzeba po polsku – Bugielski odpowiedział sam sobie – czyli kupą mości panowie! Sygnalista do mnie! Dajcie znać do wszystkich twardochodów, żeby przyszły nam z pomocą. Muszą ściągnąć na siebie ostrzał „Piotra”, a na niego ogień ze wszystkich luf! Także trzycalówki, niech go chociaż oślepią. Teraz triumf albo zgon!

– To ostatnie też mam nadać? – upewnił się żołnierz z chorągiewkami.

– Nadawajcie!

Po chwili operujące w pobliżu Modele II zaczęły się zwracać w kierunku nowego wroga. Husarze ogniowi rozjechali się wzdłuż frontu, by zawiadomić pozostałe twardochoody, które nie mogły dostrzec sygnałów z „Zawiszy”.

Z następnej kolejności kapitan Bugielski zamierzał wezwać „Juliusza” i uzupełnić amunicję, zastępując wystrzelane pociski kumula-

tywne granatami starego typu, znacznie lepszymi do walki na duży dystans. Nic z tego jednak nie wyszło.

„Piotr Wielki” ich zaskoczył. Nagle przyspieszył i minął las znacznie wcześniej, niż się spodziewali.

Okazało się, że drugi pancernik potrafi poruszać się znacznie szybciej od „Katarzyny”, swobodnie osiągając siedem, osiem kilometrów na godzinę. Zapewne w jego przypadku rosyjscy inżynierowie, mając więcej czasu, po swojemu udoskonalili tenardyzację. Efekt był taki, że „Zawisza Czarny” nie zdążył się skryć za płonący wrak i w trakcie mijania złomowiska kipiącego wciąż od wybuchów amunicji znalazł się w zasięgu artylerii kolejnego przeciwnika fatalnie zwrócony do niego tyłem.

Moskale nie zmarnowali okazji.

Jeden granat jedenastocalowy rozbił słabo opancerzoną tylną wieżę z kartaczownicą chroniącą wejście do twarchochodu. Drugi pocisk rozerwał pancerz burtowy na wysokości pędni rufowej, która natychmiast stanęła w ogniu.

„Zawisza” naznaczony krzewem płomieni, wlokąc za sobą smugę gęstego od sadzy dymu, skrył się za ścianą ognia buchającego ze szczątków „Katarzyny”. „Cudnów” i „Kałuszyn” skreśliły natychmiast, by osłonić krążownik, ale znajdowały się zbyt daleko.

„Wielikij Piotr” ruszył śmiało naprzód, zamierzając dobić przeciwnika i wziąć pomstę za „Katarzynę”.

– Nakazuję walczyć do ostatniego człowieka albo ostatniego granatu! – krzyczał kapitan Bugielski do tub łączących mostek z wieżami bojowymi. – Walić w tego sukinsyna, czym się da i jak się da!

Na stanowisku dowodzenia siwiało od dymu, gęstniał przenikliwy śwąd płonącej nafty. Palili się! Byli uwięzieni w żelaznej skrzyni, w której szalał ogień... Edwarda ogarnął nagły, irracjonalny zwierzęcy strach. Uciec z tej pułapki! Natychmiast uciekać! Kurczowo, aż zbiełały kłykcie, zacisnął palce na najbliższym dźwigarze, usilnie starając

się zapanować nad chwilą słabości.

Kapitan Bugielski zauważył to i nie znalazł w sobie zrozumienia.

– Cóż, nie tak łatwo zostaje się twardochodziarzem, prawda, panie poruczniku? Nawet z nominacji samego naczelnika państwa...

– Włączyć wszystkie wentylatory! Żywiej! Zwiększyć przekładnię! – wołał ktoś na pokładzie maszynowym. Głośno, ale bez zdenerwowania. – Kable skrętne do wału!

– Przyznaję... – Szorstka drwina kapitana pomogła Edwardowi wziąć się w garść. – Jesteście elitą armii...

Wtem w tubie głosowej rozległ się nieludzki, przejmujący charkot, który jakimś cudem przekształcił się w zrozumiałe słowa.

– Pędnia trzecia melduje zgaszenie pożaru.

– Bogu dzięki, żyjecie! – ucieszył się dowódca „Zawiszy”.

– My już nie żyjemy, kapitanie – odpowiedziano mu z głębi wypalonych żarem płuc.

– Jakie macie uszkodzenia?

– Dwa cylindry rozbite i odstawione. Z pozostałych dajemy moc.

– Jesteście wolni – rzekł kapitan. – Możecie odejść.

– Dokąd oni mają iść? – zdziwił się Edward.

Bugielski bez słowa wskazał na apaszkę, gdzie był schowany cyjanek.

– Czołem do przeciwnika! – rozkazał głośno nadsternikowi i zwrócił się do głównego maszynisty. – Dać zastępstwo do pędni trzeciej.

– Tak jest – odparł stary twardochodziarz ze stoickim spokojem.

Zaczęła się bezładna wymiana ognia przez ścianę płomieni i dymu unoszących się znad resztek „Katarzyny”. To nie mogło przynieść rozstrzygnięcia, ale „Piotr” zbliżał się coraz bardziej, zupełnie igno-

rując atakujące go ze wszystkich stron, coraz liczniejsze Modele II.

– Musimy się wychylić, panie kapitanie – oznajmił główny ogniomistrz. – Nasza jedenastocalówka jest za nisko i jej pociski trafiają w resztki „Katarzyny”.

– Dobrze, wykonać – zgodził się Bugielski. – A kto nie ma nic innego do roboty, niech się modli o cud...

Po wykonaniu tego manewru znów dostali salwę w przedni pancerz. Puściły kolejne nity. Stalowe płyty rozchodziły się w szwach.

Pocisk kumulatywny „Zawiszy” uszkodził lufę siedmiocalówki na dziobie „Piotra”, wyłączając ją z dalszej walki. Pojawił się cień nadziei.

W zamian zameldowano, że segment pancerza pomiędzy głównymi wieżami trzyma się już tylko na słowo honoru. Każdy kolejny pocisk mógł wlecieć do środka.

– Nie ma odwrotu – odparł kapitan. – Odpowiadać ogniem.

– Proszę spojrzeć na „Juliusza”! – zawołał Edward.

Taboron przestał trzymać się z tyłu, wychodził właśnie na pierwszą linię. Na jego prawej, tylnej wieżyczce załopotała duża biało-czerwona flaga. Jedna z tych, które używano do okrywania trumien.

– Bańki z paliwem i część załogi porzucili w szczerym polu – zauważył nadsternik. – Ciekawe, kto pozostał w środku?

– Trzech weteranów pierwszej kampanii – odrzekł porucznik Starosławski, walcząc z ogarniającym go wzruszeniem. – Zdobywcy Dębłina i Cytadeli Warszawskiej... Kapitan Szymański, sternik Cichocki i maszynista Piernacki!

– Wezwałem do boju wszystkie twardochody – stwierdził w zadumie Bugielski. – Zatem oni też posłuchali...

Mały taboron ruszył do szarży na stalowego kolosa.

O nie, to już nie był żaden taboron, podrzędny transporter. To

był znowu twardochód „Juliusz” Model I wzór 1862 nacierający jak przed trzema laty. Pędził wreszcie po zasłużoną chwałę, której dotąd mu odmawiano.

Na pokładzie „Piotra Wielkiego” z początku całkowicie zlekceważono nieuzbrojony pojazd. Moskale nie wiedzieli, że jest on po dach wyładowany pociskami burzącymi. Kiedy zaczęli się czegoś domyślać, „Juliusz” wjechał w martwe pole ostrzału i już tylko jedna trójcałówka zdążyła do niego wypalić, niecelnie zresztą.

Chwilę później Model I wbił się pomiędzy przednie walce a pasy człapiące, znajdujące się na lewej burcie „Piotra”.

Eksplozja była potworna.

Kula ognia postawiła pancernik lądowy na sztorc, a podmuch przygasił pożar „Katarzyny” i na chwilę rozproszył unoszący się nad nią dym. W promieniu trzystu metrów obaleni zostali wraz z końmi husarze ogniowi znajdujący się akurat na odkrytej przestrzeni. Huk był taki, że zdawało się, iż zaraz spadnie na ziemię potłuczone szkło z okien pałacu Boga Ojca.

– Wieszczył Juliusz z natury był cholerykiem... – skwitował kapitan Bugielski.

Pozbawiony urwanych przednich kół i lewego systemu pasów człapiących kadłub „Piotra Wielkiego” zwałił w dymiący lej po wybuchu i tak już w nim pozostał. Niezwykle gruby pancierz główny wprawdzie wytrzymał eksplozję, ale moskiewski potwór został na dobre unieruchomiony.

Z pobliskiego lasu wypadł do ataku na bagnety niewielki oddział polskiej piechoty i stał się z ogłuszoną i zdezorganizowaną osłoną pancernika, z marszu rozpraszając Moskali.

Niemniej „Piotr” wciąż był w stanie kąsać. Wieża główna zachowała ruchliwość, tylko że z powodu głębokiego przechylenia kadłuba jedenastocalowe działa nawet przy maksymalnym uniesieniu nie były w stanie strzelać dalej jak dwieście pięćdziesiąt metrów. Kolejne

Modele II przezornie przystawały tuż za tą granicą i bezkarnie biły w kolosa ze wszystkich armat.

Jednak „Zawisza Czarny”, niezdolny do dalszej wymiany artyleryjskich ciosów, nie mógł podjechać dość blisko, aby definitywnie zakończyć walkę pociskami kumulatywnymi.

– A jaki zasięg ma nasz moździerz? – zapytał Edward.

– Trzysta metrów – odparł kapitan Bugielski.

– Mamy sześć pocisków nowego typu wartych wypróbowania... – zasugerował porucznik.

– Mam serdecznie dość pańskiej amatorskiej pirotechniki – mruknął dowódca „Zawiszy”. – Ale niech pan załatwi to szybko i zejdzie mi wreszcie z oczu. Proszę wyjść na pozycję do bombardowania – polecił głównemu sternikowi.

– Przygotować moździerz! – rozkazał nadogniomistrz.

Na grzbiecie „Zawiszy Czarnego” żwawo zakrzętnęli się artylerzyści, przynieśli ładunki i zaczęli kręcić korbami śrub nastawczych. Krótka, krępa lufa moździerza uniosła się i wyrzała z gniazda. Ktoś wepchnął do niej puc sprasowanej piroksyliny. Dwóch kolejnych ludzi uniosło pocisk, na początek zwykłą, kulistą bombę i ostrożnie opuścili ją na ładunek miotający. Ktoś inny założył spłonkę na kominek u nasady lufy, odciągnął kurek i rozwinął sznur. Obrócono podstawę, głośno odczytując kąty pochylenia i przesunięcia. „Zawisza” stanął. Artylerzyści pochylili się nisko, zatykając uszy, szarpnięto sznur. Błysk i grzmot! Nadwerężona konstrukcja Modelu III stęknęła przejmująco pod wpływem siły odrzutu i bomba pomknęła w górę. U szczytu trajektorii na mgnienie oka nieruchomo zawisła w powietrzu.

Spadła i wybuchła kilkadziesiąt kroków od „Piotra”, ale nikt nie spodziewał się trafić od pierwszego razu. Wzięto poprawki i do dymiącej lufy moździerza wjechał z kolei granat kumulatywny Karpowczenki, aby za chwilę spaść jak piorun na moskiewski pancernik.

Trafili za trzecim razem. Najpierw w sterzącą do góry rufę, bez widocznych następstw. Potem prosto w dach wieży dowodzenia, aż ze szczelin obserwacyjnych buchnęły na zewnątrz kłęby ognia. Kapitana i jego przybocznych musiało rozsmarować na wewnętrznych ścianach niczym tapety. Fakt śmierci całego dowództwa potwierdziła po chwili pospieszna ucieczka reszty załogi, która w panice zaroїła się na pancerzu.

Pamiętano im Ludwinów, więc nie było litości. Zmasowany ogień przeszło dwudziestu kartaczownic w parę chwil wybił wszystkich Moskali do nogi.

– Celować w otwarte włazy! – polecił Bugielski artylerzystom. – Sygnalista, nadać to do wszystkich twarchochodów! Dobić gada!

Pięć minut później nastąpił wybuch kotła w maszynowni, a zaraz po nim kilka coraz to większych eksplozji amunicji, po których „Wielikij Piotr” przestał się czymkolwiek różnić od „Imperatricy Jekateriny”.

Pokiereszowani i zmęczeni walką polscy twarchochodźiarze nie mieli już sił wiwatować. W większości po prostu oddychali z ulgą. Upewniali się, czy oczy im nie kłamią. Dopiero po dłuższej chwili ktoś zaczął śpiewać *Boże, coś Polskę*, stopniowo przyłączały się kolejne głosy.

– Przegrupowanie ku rzece! – Kapitan „Zawiszy Czarnego” wciąż nie zamierzał świętować zwycięstwa. – Trzeba przed zmierzchem zepchnąć Moskali z płaskowyżu i nie dać im czasu na opamiętanie. Im mniej ich wróci za Bug, tym lepiej... – Obejrzał się na Edwarda. – Czy szanowny pan porucznik ma jeszcze jakieś zadania do wykonania na pokładzie mojego twarchochodu?

– Nie, panie kapitanie. Nie będę już dłużej nadużywać pańskiej cierpliwości...

– Bardziej już pan nie zdoła. Irytuje mnie pan porucznik i choć wszystko się dobrze skończyło, nie zamierzam zmieniać zdania. Jed-

nak uznam, że rozstaliśmy się w zgodzie, jeżeli za minutę tu pana nie będzie.

– Panowie oficerowie, dziękuję za wspólną służbę! – Edward zwrócił się do pozostałych osób na mostku.

Pożegnali się bez zbytej wylewności. Bugielski ukłonił się sztywno.

Porucznik Starosławski czym prędzej odszukał swój poprzedni mundur. Przebrał się, uścisnął jeszcze kilka dłoni, po czym otwarto mu osmalone pancerne drzwi.



# Biel Orła

Rzeńskie, mroźne powietrze oszołamiało jak chloroform. Edward odetchnął głęboko i czym prędzej szczelnie zapiął się pod szyją, by uniknąć ciężkiego przeziębienia.

Husarz ogniowy przyprowadził mu konia po poległym towarzyszu.

Porucznik Starosławski wsiadł i popatrzył na płonące opodal złomowisko. Bez pełnego azbestowego uniformu nie dało się tam zbliżyć. Po krótkim namyśle Edward sięgnął do wewnętrznej kieszeni.

– Proszę podjechać do szczątków „Katarzyny” i wrzucić to w ogień – podał husarzowi plik przewiązanych wstążką kopert. – To listy do mojej żony.

– Pan porucznik nie wolałby ich zwyczajnie wysłać?

– W ten sposób dotrą do niej najszybciej...

– Proszę o wybaczenie, panie poruczniku. Już się robi!

Edward nie oglądając się więcej, pojechał odszukać dyktatora. Wciąż nie był w stanie cieszyć się zwycięstwem. Nie docierało to do niego. Zbyt wiele emocji targało dziś jego duszą, teraz nie czuł nic oprócz przyjemnie chłodnego pędu powietrza na twarzy. Na tym wrażeniu wolał się skupić i nie myśleć o tym wszystkim, co zostawiał właśnie za sobą. Uczucie żałoby ustępowało wobec pogodzenia z losem. Kochał Jadwigę, zaznał z nią szczęścia, stracił ją i pomścił – to wystarczało. Musiało wystarczyć! Powtarzał to sobie, poganiając konia.

Naczelnik państwa opuścił już wzgórze, z którego oglądał bitwę. Na punkcie obserwacyjnym zostało tylko dwóch sztyletników, żeby przekierowywać spóźnionych kurierów z meldunkami. Członkowie Straży Bezpieczeństwa poznali Edwarda i zauważyli też, skąd przyje-

chał.

– Świetna robota! – pochwalił bliższy ze sztyletników. – Złamaliście Moskałom kark! Jutro, najdalej pojutrze ten widok będzie we wszystkich gazetach... – wskazał na pobojuwisko. – Zobaczy to cały świat!

Porucznik obejrzał się dopiero teraz i wreszcie zdobył się na uśmiech. Zaczął rozumieć, czego dokonali. Jak bardzo upokorzyli Aleksandra II. „Jebał cara pies!”, wspomniał niedawny krzyk warszawskiej ulicy.

– Za ciebie, Jadziu... – powiedział do siebie już zupełnie bez żalu, za to z niezmierną dumą i godnością.

Arogancja i pycha Imperium płonęły oto na dwóch olbrzymich stosach. Nieco dalej polskie twardochody zakończyły już przegrupowanie i sunęły ławą ku rzece. „Zawisza Czarny” jechał pośrodku szyku. Jak okiem sięgnąć przyłączały się do nich kolejne oddziały piechoty i kawalerii. Resztę widoku zasnuwał dym i nie widać było żadnych Moskali, ale raczej nie zamierzali oni już stawiać jakiegokolwiek oporu.

– Porzucili artylerię i uciekają na złamanie karku – poinformował młodego oficera lepiej zorientowany sztyletnik. – Ich armia nie przeżyła takiego pogromu bodaj od czasów Austerlitz! Da Bóg, że to już koniec państwa carów...

To przypuszczenie zawisło w powietrzu bez dalszych konkluzji.

– Gdzie jest naczelnik? – zapytał Edward.

– Jego ekscelencja odjechał do Sokołowa, panie poruczniku. Na stację telegrafu bez drutu.

– Dziękuję! – Zatoczył koniem. – Dołączę do pozostałych adiutantów.

– Jeszcze raz gratulacje! – zawołał za nim drugi sztyletnik.

Edward popędził wierzchowca i dotarł na miejsce w kwadrans.

Przy zewnętrznym pierścieniu straży spotkał majora Wierzbickiego, innego adiutanta dyktatora Traugutta, który ogromnie się ucieszył na widok młodego oficera. Wpadli sobie w objęcia.

– Był tu przed chwilą goniec od generała Falconettiego – mówił uradowany major. – Batalion ochotników serbołużyckich uchwycił właśnie przyczółek po drugiej stronie Bugu. Jest szansa otoczyć Moskali i srogo odpłacić im za spustoszenie Podlasia! Falconetti poprzysiągł, że zgoli wszystkie włosy, jeżeli ci carscy siepacze mu ujdą.

– Przecież on jest łysy jak kolano – zdziwił się Edward. – Nie nosi brody ani wąsów.

– Nasz dowcipny Piemontczyk miał na myśli partie niżej pasa... – wyjaśnił Wierzbicki.

Roześmieli się obaj.

– Chciałbym się zameldować panu naczelnikowi – rzekł po chwili porucznik, poważniejąc.

– Jest w budynku induktora eterowego razem z profesorem Maxwellem i oboma pańskimi znajomymi.

– A co oni tam robią?

– Nie mam pojęcia, panie Edwardzie. Wiem tylko, że zainstalowali pianolę...

– Pójdę tam!

– Dobrze. – Major Wierzbicki zwrócił się do swoich ludzi. – Proszę przepuścić pana porucznika!

Dyktator Traugutt stał samotnie przed stacją i patrzył gdzieś w przestrzeń.

– Panie naczelniku! – Edward podbiegł do niego i zasalutował. – Melduję posłusznie wykonanie zadania!

– Dziękuję, panie poruczniku. – Traugutt miał w oczach zmęcze-

nie.

– Zwycięstwo! – Przygaszone emocje młodego oficera nagle wybuchły. Wydało mu się, że znużony dyktator nie zdaje sobie sprawy z rozmiarów sukcesu, że trzeba mu to koniecznie uzmysłowić. – Zwyciężyliśmy, panie naczelniku! Moskale pobici na głowę! Nigdy nie pozbierają się po takiej klęsce!

– Obawiam się, że zrobią to szybko, mój chłopcze – odparł dyktator.

Edward nie słuchał, ogarnął go entuzjazm.

– Panie naczelniku, musimy iść za ciosem! Generał Bosak na pewno wytrzyma w łapach jeszcze parę dni. Przez ten czas przeprawimy twardochody przez Bug! Skoro Moskałom się udało, my poradzimy sobie tym łatwiej, nawet z samym „Zawiszą”. Przyjdziemy z odsieczą Armii Narew! A potem weźmiemy Białystok! Potrzebujemy tylko dzień lub dwa na remonty. Przyklepiemy nity i hajże na Moskala!

– Do Białegostoku, mój chłopcze, przybyły nowe siły z głębi Rosji. Sto tysięcy żołnierzy. Oblężenie byłoby dla nas zbyt wyczerpujące, o ile w ogóle udałoby się do niego doprowadzić. Nasze twardochody też wymagają znacznie poważniejszych remontów, niż ci się, chłopcze, wydaje, nowe nity nie wystarczą. Tymczasem Petersburg najdalej w ciągu roku przygotowuje kolejną ofensywę.

– Odeprzemy ich, panie naczelniku! – Młody oficer nie ustępował. – Mamy pociski kumulatywne, które dziurawią jak sito ich najgrubsze pancerze! Co prawda nie możemy polegać tylko na wynalazku Karpowczenki... – Uczciwie przyznał się do błędu. – Na większy dystans stare granaty burzące wciąż są przydatne, ale jeśli uzbroimy w naboje kumulatywne wszystkie nasze twardochody i artylerię polową, nic nam się nie oprze!

– Za rok Moskale też będą mieli takie pociski – westchnął dyktator. – Zresztą i teraz nie dały nam one aż takiej przewagi, jak się spo-

dziewaliśmy. Trochę za bardzo uwierzyłem w twoje zapewnienia, mój chłopcze, ale wyrzucam to sobie, nie tobie. Powinienem być poważniejszy.

– Więc znajdziemy i zastosujemy inne wynalazki, panie naczelniku! Poradzimy sobie! Inżynier Łukasiewicz też na pewno znów coś wymyśli. Geniusz ponad siłą!

– Nasz znakomity wynalazca zamierza opuścić Polskę. Wyjeżdża do Francji. Dotarły do niego jakieś plotki podważające oficjalną wersję śmierci jego siostrzenicy. Że to nie było samobójstwo w celi. – Edward zamilkł wstrząśnięty. Dyktator mówił dalej. – Nie mogę mu tego zabronić. Napoleon III od dawna nalegał na przyjazd Łukasiewicza, a ostatnio zaczął nawet grozić wstrzymaniem pomocy.

– Jakoś sobie poradzimy, panie naczelniku.

– Tak, chłopcze, zapewne odeprzemy nową ofensywę za rok. I może jeszcze kolejną. Jednak nie mamy szansy wygrać z Rosją wojny na wyczerpanie. Car Aleksander dobrze to wie. On i wszystkie europejskie siły reakcji chcą zrobić z Królestwa odstraszący przykład. Sam papież dał na to przyzwolenie. Pius IX napisał mi, że zgangrenowany członek Kościoła Powszechnego trzeba amputować, nawet jeśli tym członkiem okazuje się cały naród. Samo stłumienie naszego powstania już zaborcom nie wystarczy. Oni teraz nie tylko państwo polskie chcą wymazać z mapy, ale wytępić ten naród. Wstępem do tego były pogromy na Podlasiu. My zaś musimy teraz wyżywić tylu uchodźców, że na przednówku czeka nas głód, nie unikniemy go. I tak już będzie w kolejnych latach. Z roku na rok coraz gorzej, aż zacznie się płacz powszechny i zgrzytanie zębów... Aż staniemy się narodem przeklętym, aż żaden Polak nie będzie się śmiał przyznać, że jest Polakiem, po równo ze strachu przed przemocą ziemską i potępieniem wiecznym. Chcą nas zetrzeć w proch, ciała i dusze. Na domiar złego Bismarck jest gotów w każdej chwili rozpocząć powszechną wojnę europejską. Czeka tylko na pierwszą większą klęskę Królestwa. Dzisiaj się nam powiodło. Wątpię jednak, abyśmy

zdołali przetrwać pięć najbliższych lat.

– A król Jan?

– Nie przyjdzie nam z pomocą. Saksonia ugięła się przed szantażem Prus i dynastia Wettynów nie sięgnie znów po polską koronę. Stchórzyli tak samo jak w 1792 roku. Ja nie mam już prawa używać tytułu regenta. Duńczycy też zaczęli się wahać, usilnie zabiegali o francuskie gwarancje, ale Paryż wciąż z nimi zwleka. Podejrzewam, że kiedy Francuzi dostaną Łukasiewicza i zbudują własne twarde chody, zupełnie przestaną się nami interesować. Zostaniemy sami wobec trzech rozjuszonych zaborców.

– Będziemy walczyć! – odpowiedział hardo porucznik.

– Jakim kosztem? – zapytał Romuald Traugutt. – Za cenę życia najpierw tysięcy, a potem milionów wyzutyh z ziemi, wygnanych z domów włościan, kobiet i dzieci, konających z głodu za plecami naszych walecznych armii? Wojsko polskie winne jest polskimi cywilom obronę i opiekę, po to właśnie je powołano! Walczy się nie dla walki samej w sobie, mój chłopcze, nie dla umierania z honorem albo bez. Walczy się dla życia, dla obecnych oraz przyszłych pokoleń. Żołnierz nie może się bić, rozmyślnie narażając na niebezpieczeństwo i nędzę tych, których ma obowiązek bronić. Za taką cenę nie wolno czynić żadnego powstania. Jestem dyktatorem, ale nie despotą. Służę temu narodowi, więc nie mogę nim poniewierać. Nie chcę i nie umiem z zimną krwią patrzeć na zagładę ludzi, którymi przyszło mi rządzić. Tym się różnię od cara.

– Ależ chyba się nie poddamy?! – wykrzyknął Edward. – Mielibyśmy ukorzyć się przed carem-katem?!

– Po tak wielkim zwycięstwie żadna kapitulacja nie wchodzi w grę. – Traugutt uśmiechnął się gorzko. – Gdybym podjął jakiegokolwiek kroki w tym kierunku, natychmiast straciłbym władzę. Nikt, łącznie z tobą, chłopcze, nie zawahałby się wypowiedzieć mi posłuszeństwa, prawda? – Edward nie odpowiedział, spuścił wzrok.

– Znaleźliśmy się w matni bez wyjścia – podsumował dyktator.

– Na szczęście profesor Maxwell znalazł pewne rozwiązanie.

– Co pan naczelnik zamierza?

– Wezmę swój krzyż. Niech mi będzie wybaczone, że nie zrobiłem tego wcześniej, zanim doszło do tej bitwy. Jestem tylko człowiekiem, odwlekałem decyzję, liczyłem na cud... Lecz to pyrrusowe zwycięstwo nie jest cudem, jakiego nam trzeba. Zatem nie mogę już wymagać ofiar od innych, a jedynie od samego siebie...

– Nie rozumiem, panie naczelniku. Cóż pan chce zrobić?

– Profesor Maxwell z pomocą małego Daniela Tesli odkrył, że obok-światy mogą się nie tylko rozdzielać, ale także łączyć ponownie. Ponieważ w naszym świecie przyszłość Polski jest tragiczna, postanowiłem wstrzymać ten ciąg wydarzeń. Jediną prawdziwą rzeczywistością stanie się więc dotychczasowa obok-Polska.

– Ależ tam powstanie styczniowe przegrało! Sam pan naczelnik został zamordowany!

– Wiem. A jednak to właśnie w obok-Polsce nasz naród przetrwał i w końcu wybił się na niepodległość.

– Nam się nie uda, a im tak? Jakim to sposobem, panie naczelniku?! Wszak oni tam nawet na samą myśl o twardochodach nie wpadli!

– Nie wiem jak, mój chłopcze, ale na pewno tego dokonają. Właśnie oni, nie my. Czy wiesz, co przyniósł kurier z przyszłości obok-Polski, ten którego próbowałeś ratować?

– Nie pytałem o to, panie naczelniku.

– To wszak był twój pomysł, chłopcze, ażeby zbierać gazety... – Traugutt sięgnął za pazuchę i wyjął portfel, a z niego wycinek prasowy. – Proszę, zobacz.

Było to zdjęcie przedstawiające grupę dostojnych starców w mundurach, zapewne granatowych lub czarnych. Jedni siedzieli, inni stali wsparci na laskach. Na piersiach mieli ordery. Obok weteranów, na

tle trzymanego za nim sztandaru stał wąsaty mężczyzna w jasnym mundurze i dość dziwnej okrągłej czapce. Podpis pod fotografią głosił: „5 sierpnia 1921 roku Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, na stokach Cytadeli Warszawskiej udekorował żyjących jeszcze weteranów powstania styczniowego orderami Virtuti Militari”.

– Ta data... – Edward zmarszczył brwi.

– To rocznica mojej egzekucji – odparł spokojnie Traugutt. – Pięćdziesiąta siódma. Dlatego właśnie mam mieć pewność, że w obok-Polsce nie umrę nadaremno. Więc wezmę ten krzyż, teraz już jestem gotów...

Porucznik słuchał z szeroko otwartymi oczami.

– Decyzję rozważałem już wcześniej – mówił dalej dyktator – jednak czekałem jeszcze na rozstrzygnięcie tej bitwy. Jako żołnierz nie chciałem ustąpić bez walki. Gdyby pociski kumulatywne zadziałały lepiej... gdyby naszego wysiłku i ofiar było mniej... gdyby zostało nam dość sił na kontrofensywę na Białystok, może wówczas udałoby się rozpocząć nowe rozdanie w politycznej grze... Lecz to już koniec gdybania. Spojrzałem prawdzie w oczy i teraz mam zupełną pewność, że nie ma innej drogi. Profesor Maxwell za chwilę uruchomi pianolę z taśmą z najnowszym zapisem oscylacji. Potem, lawinowo zrobią to samo kolejne stacje induktorów fal eteru w całym Królestwie. Zaczną wkrótce...

– A pani generał Plater? – szepnął Edward.

– Myśmy się już pożegnali. Generał Emilia Plater powiedziała, że nie czuje się nadmiernie przywiązana do długiego życia. Ale jeśli nie zapomni, to odszuka pewnego małego, kilkuletniego Romeczka, żeby go wziąć na kolana i pogłaskać po główce... – Głos dyktatora zdrzął trochę ze wzruszenia.

Edwarda zaniepokoiła pewna myśl.

– Panie naczelniku, kiedy rzeczywistość się zmieni, to ten kawałek gazety stanie się artefaktem z przyszłości, co podobno może spo-



wodować ogromny wybuch...

– Bez obaw, chłopcze. Nasz drogi profesor już zbadał tę kwestię. Atomy w momencie transformacji ulegną harmonicznemu przestrojeniu i nie nastąpi żaden wstrząs temporalny. Niebezpieczna byłaby dopiero sama informacja, przede wszystkim jej niezgodność ze stanem zastanym i oderwanie od materialnego nośnika. To dopiero spowodowałyby znaczne fizyczne perturbacje. Wystarczy w zupełności, jeśli ten papierek zostanie zawczasu spalony. Masz zapałki chłopcze?

– Mam, panie naczelniku.

– Więc proszę tak zrobić.

Chwilę po tym jak z wycinka gazety z rewelacją z przyszłości obok-Polski został tylko popiół, ze stacji wyszedł profesor Maxwell i podszedł prosto do nich.

– Czy wszystko gotowe? – zapytał go Traugutt. Był już zupełnie opanowany i stanowczy jak zawsze.

– Gotowe, ekscelencjo... – Uczony zawahał się. – Lecz czy pan jest pewien? Nie zmienił pan zdania?

– Nie, profesorze. Proszę zmienić ten świat.

– Wobec tego miałbym jeszcze ostatnią prośbę, ekscelencjo. Poproszę o zaszczyt uściśnięcia ręki najszlachetniejszego człowieka, jakiego dane mi było w życiu poznać!

– Żegnam pana, profesorze. – Traugutt podał mu dłoń. – I niech się panu dobrze wiedzie w nowej rzeczywistości.

Edward patrzył na tę scenę ze ściśniętym gardłem. Dopiero w tej chwili postawił sobie pytanie, jaka będzie jego przyszłość w obok-Polsce? Kim on tam będzie? Jednak nie śmiał zapytać. Był na to zbyt mało ważny.

Profesor Maxwell skinął porucznikowi głową i oddalił się szybko. Kiedy wchodził do stacji, na chwilę w otwartych drzwiach pokazał się Zygmunt Wróblewski. Spozrzegł Edwarda i pomachał do niego, a

potem zrobił błazeńską minę i udał, że gasi na sobie płonące ubranie. On też był gotów przyjąć swój nowy, tragiczny los.

Wszyscy byli gotowi. Nikt się nie wahał. Tak było trzeba.

Edward więc też przestał się wahać. Wziął głęboki wdech i stanął na baczność.

– Panie naczelniku, czy mogę być panu jeszcze w czymś pomocny?

– Nie, dziękuję poruczniku. Jest pan wolny, proszę zająć się sobą. Ja, jeśli pan pozwoli, pragnę teraz na chwilę zostać sam, w ciszy...

– Tak jest! – Edward zsalutował, obrócił się na pięcie i zaczął iść przed siebie.

Minął linię straży i szedł w kierunku pogrzmiewającego coraz słabej pola bitwy, ku wiszącej nad horyzontem ciemnej chmurze dymu. Teraz jednak porucznikowi zaczęła dokuczać noga poraniona odpryskami pancerza, więc przystanął. W istocie nie było już dokąd ani po co iść.

Tylko czekać. Niedługo zresztą.

Edward odszedł na tyle daleko, że nie usłyszał już skwierczenia wyładowań elektrycznych, które wykwitły z masztu induktora i rozpląnęły się wkoło, jakby wsiąkając w powietrze i ziemię.

Na Sokołowie Podlaskim zabłysła biała zorza polarna.

I stawała się coraz jaśniejsza i rozleglejsza. W parę chwil niebo nad całym Królestwem zaczęło płonąć bielą, jakby rozpostarł nad nim skrzydła przeogromny biały orzeł. Równie biały jak gołębica Ducha Świętego, a może bielszy nawet od niej. Na pewno bielszy... Fenomen ten rozprzestrzenił się nad całą Europę i świat. Im szerzej sięgał, tym szybciej się wszystko działo. Niezliczone atomy w postępie geometrycznym, z prędkością światła zmieniały fazy i częstotliwości swych drgań, wszelkie relacje wewnętrzne i zewnętrzne.

Porucznik Starosławski zapragnął ostatni raz spojrzeć na swojego

naczelnego wodza. Oddać Romualdowi Trauguttowi hołd choćby tylko jednym, przelotnym spojrzeniem. Obejrzał się i...

Wraz z ruchem jego głowy obrócił się cały świat, zamigotał pasmami światła i mroku, które splotły się ze sobą tak bardzo, że znikły wszelkie kontrasty. Na ułamek chwili jakiegoś czasu-nie czasu zapanował pierwotny chaos, w którym w przyspieszonym tempie wybuchały gwiazdy, formowały się galaktyki, nowa Droga Mleczna i jej konstelacje.

I nowa Ziemia.

Edward Starosławski przestał wiedzieć, czy jest, czy go nie ma. Ani czy w ogóle był, czy też nie.

\*\*\*

Naczelnik Traugutt poczuł brutalne uderzenie w plecy.

Pomocnik kata popchnął go w kierunku schodów na szafot. Drugi oprawca zarzucił na dyktatora długą, śmiertelną koszulę. Traugutt wyprostował się z godnością i zaczął iść w górę, stopień po stopniu.

Towarzyszący mu spowiednik kapucyn był tak roztrzęsiony, że sam wymagał pocieszenia.

– Niech się ojciec nie lęka – szepnął do niego dyktator. – Nadzieja nie umiera nigdy... Szczera ofiara nie pozostaje bezpłodna...

Weszli na podest. Tu, ubrany w długi czerwony płaszcz, czekał kat. Nazywał się Diettwald. W świecie, z którego dyktator przybył, a który już nie istniał, ten człowiek został utopiony w Wiśle w dniu wzięcia Cytadeli. Z tego płaszcza zrobiono toból z kamieniami i przywiązano mu do szyi. Na próżno rozpaczliwie błagał o życie i tłumaczył się, że przecież kat nie ponosi nigdy żadnej winy. Była to żołnierska samowola, której poległy nieco wcześniej kapitan Radoszkowski nie zdołał zapobiec.

– Pańska śmierć nie przyniosła nam zaszczytu, więc to dobrze, że pan zmartwychwstał – powiedział dyktator do kata.

Ten oczywiście nic nie rozumiał, ale nie zdołał ukryć grymasu zaskoczenia na twarzy. Pospiesznie związał Trauguttowi ręce na plecach, założył mu stryczek.

Na sąsiednich szubienicach stali już pozostali członkowie Rządu Narodowego – Jan Jeziorański, Rafał Krajewski, Roman Żuliński i Józef Toczyński. Ten ostatni, nim go związano, sięgnął po swoją pętlę i ucałował ją demonstracyjnie.

Na zewnątrz, za szpalerem bagnatów triumfujących Moskali, stał tłum niezmierny warszawiaków. Dobiegały stamtąd niespokojne szmery modlitw, głośne łkania, płacze, a także co i rusz skierowane do skazańców okrzyki: „odwagi, bracia!”.

Kat dostał znak. Ruszył wykonać swoją ostatnią czynność.

Romuald Traugutt przymknął oczy. Pod powiekami miał wciąż powidok buchającego ogniem, roztrzaskanego czerepu „Imperatricy Jekateriny”.

\*\*\*

Edward zobaczył nad sobą sufit.

Leżał w łóżku, w jakimś mieszkaniu. Nie poznawał go. Okno było zasłonięte, ale niezbyt dokładnie. Przez szparę między połami ciężkich, barchanowych stor wpadało nieco światła.

Porucznik usiadł w pościeli, wymagało to niemałego wysiłku z jego strony. Stwierdził, że jest w koszuli nocnej, ma grubo obandażowaną głowę i parodniowy zarost na twarzy. Zza okna doleciał go dziwny szmer, jakby jęk... Edward ruszył zobaczyć, co to takiego. Zrazu zachwiał się, ale utrzymał równowagę i powoli doszedł do okna. Odsunął zasłonę, wsparł się oburącz o parapet.

Okolicę poznawał i nie poznawał jej równocześnie... W głowie na chwilę zrobił mu się kompletny zamęt, ale zdołał go opanować. Wreszcie przypomniał sobie. To była Warszawa, Nowe Miasto, ulica Zakroczymska, dom, w którym mieszkał... Dlaczego z nim mieszkał?

Z głębi ulicy doleciał głośny, zbiorowy jęk.

– Mój Boże, Edku! – usłyszał równocześnie za sobą kobiecy głos.  
– Proszę, odejdź od okna! Dziś wszędzie pełno szpicli!

Obejrzał się. Jadwiga?!

To była ona, w czarnej żałobnej sukni, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami.

– Jadzia...? Ty żyjesz?! – Ruszył ku niej, najszybciej jak tylko zdołał. Ujął w dłonie jej twarz, pogładził po głowie, następnie mocno uściśnął za ramiona, upewniając się, że ona nie jest duchem. – Boże, ty żyjesz! – zawołał. – Żyjesz!

– Dlaczego miałabym nie żyć? – zapytała zdziwiona i uszczęśliwiona zarazem. – Przecież to ty, Edku, omal nie umarłeś...

– A co mi się stało? – zreflektował się.

– Dostałeś postrzał w głowę.

– Jak to? Gdzie...?

– Pod Szydłowcem, natknęliście się tam na kozacki patrol.

Coś zaczęło mu świtać.

– Czy to było w pierwszym dniu powstania?

– Nie, Edku, dwa miesiące temu... Przez cały czas byłeś nieprzytomny, zrobiono ci dwie trepanacje... Towarzysze przewieźli cię najpierw do Radomia, a potem udało się przemycić cię do Warszawy, żebyś mógł umrzeć w domu. Wszyscy mówili, że umrzesz... tylko ja wierzyłam... Doktor nie dawał wielkich nadziei, ale powiedział, że jeśli odzyskasz świadomość, to już będzie dobrze...

– Ty jesteś moją żoną? – upewnił się jeszcze.

– Tak, Edku.

– A tam co się dzieje? – Wskazał na ulicę.

– Wieszają dyktatora Traugutta. – Jadwiga przełknęła łzę. – Wszy-

szy domownicy tam poszli, tylko ja zostałam przy tobie... Boże, Boże! Sama nie wiem już, czy mam się teraz cieszyć, czy płakać... Taki człowiek zginął, ale ty żyjesz! Żyjesz!

Edward jeszcze raz podjął wysiłek uporządkowania swoich poplątanych wspomnień.

– Więc pan naczelnik został właśnie powieszony... – szepnął. – A co z... – Nie wiedział z czym. – Gdzież są twa... tw... tt... – Jakie to było słowo? Co ono oznaczało? Na pewno coś ważnego. Ale co?!

– Edku, proszę cię, nie męcz się, nie zadręczaj. Lekarz mówił, że po takiej ranie głowy może czasem brakować słów. Nauczysz się ich od nowa, ja ci pomogę.

– Jak to dobrze, że znów przy mnie jesteś!

– Przecież zawsze byłam.

– Że znów cię widzę... – Popatrzył na nią uważniej i teraz zobaczył, że jej brzuch odstaje wyraźnie, że ona nie ma na sobie gorsetu. – Czy ty jesteś...?

– Tak, Edku. To nasze dziecko. Bałam się, że nigdy ci tego nie powiem.

Wziął ją znowu w ramiona, przytulił i wciągnął głęboko w nozdrza zapach jej perfum.

Czuł wszystko wyraźnie. Jadwiga była rzeczywista! To wszystko się działo naprawdę! Na ulicy ktoś, na przekór wszystkiemu zaczął ni to śpiewać, ni krzyczeć. Pełne dzikiej pasji słowa przedostały się do mieszkania:

Jeszcze Polska nie zginęła!

I nie zginąć może!

Bo ty jesteś sprawiedliwy,

O Wszechmocny Boże!

– Moskale nas jeszcze nie pokonali? – zapytała z nadzieją Jadwiga. – Prawda, Edku?

– Nie pokonali, Jadziu – odpowiedział z całym przekonaniem i pocałował brzemienną żonę w czoło. – Oni nas nigdy nie zdołają pokonać!

Nie wiedział skąd, ale miał co do tego absolutną, zupełną i niezachwianą pewność.

KTL

Warszawa, styczeń–kwiecień 2012 r.

## Posłowie

Czy delectowanie się odwróconą, byle nie do góry nogami, historią niesie ten sam ładunek emocjonalny, przynosi te same doznania, refleksje, wnioski, co studiowanie realnych dziejów? Czy poszerza zakres zdobytej już i przyswojonej wiedzy, czy śledzenie literackiej konfabulacji wspomaga krytyczną analizę wydarzeń i zjawisk, czy pogłębia rzetelną i poprawną dedukcję historyczną?

Zanim podejmiemy się rozważań nad tymi zagadnieniami, spójrzmy na krótką odsłonę wybranych dwóch wymiarów powstania styczniowego, które towarzyszą podjętej w desperacji i wymuszonej splotem różnych okoliczności decyzji o wszczęciu zbrojnej walki. Te dwa wymiary, jak można mniemać, znakomicie oddają oblicze i charakter całego zrywu niepodległościowego. Jest nim w pierwszym rzędzie przybierająca na sile z każdym miesiącem powstania i udzielająca się zarówno społeczeństwu, jak i jego przywódcom obawa rychłego upadku, nieodwracalnej klęski, zmarnowania wysiłku.

Z dramatem narodowego trwania w powstaniu, zmagania się z okropieństwem wojny partyzanckiej, skalą złożonych i gotowych do złożenia ofiar, lękiem przed następstwami klęski splecione były indywidualne wymiary ludzkich tragedii, w tym los dyktatora Romualda Traugutta. Ponieważ oba elementy zostały w jakimś odniesieniu do historycznej rzeczywistości wyeksponowane w powieści, dlatego warto raz jeszcze przyjrzeć się im bliżej, by na szali mierzonych argumentów wzmocnić w obrazie literackiego negatywu te wymiary historyczne, które dopełniają odwróconą w rzeczywistości wizję powstania styczniowego, jaką roztacza przed nami Konrad T. Lewandowski.

\*

Zbliżał się schyłek 1863 roku. Trwające od dziesięciu miesięcy powstanie, któremu początek dały podjęte w mroźną noc 22 stycznia



ataki na garnizony rosyjskie, choć przekształciło się w wojnę partyzancką, to jednak bez znaczących sukcesów militarnych i bez wsparcia politycznego wyraźnie chyliło się ku upadkowi. W społeczeństwie wygasła wola trwania w zbrojnym oporze. Nadciągała niekorzystna dla działań partyzanckich kolejna zima. Równocześnie wzrastała fala carskiego terroru. Pogłębiała się niekorzystna dla powstańców dysproporcja sił. W grudniu 1863 roku stan liczebny armii rosyjskiej w Królestwie Polskim i Ziemiach Zabrzanych (Litwa Białoruś, Ukraina) przekroczył już 400 tysięcy. Oznaczało to, że na jednego czynnego w polu powstańca przypadało czterdziestu i więcej żołnierzy wroga. Z ruchu stopniowo wycofywali się aktywni jego uczestnicy. Słabła pomoc udzielana z zewnątrz. Do kraju docierały niepomysłne dla powstańców wieści. Europa pozostawała głucha na odgłosy nierównej walki sił powstańczych z armią rosyjską. Wszystko to sprawiało, że drastycznie malała liczba oddziałów pozostających na polu walki. W Królestwie Polskim namiestnik Fiodor Berg, a na Litwie generał-gubernator Michaił Murawiew sięgali po coraz drastyczniejsze środki represji. Jednych pojmanyh powstańców wieszano, innych zsyłano na Syberię, a na sąsiadów i przypadkowych świadków antyrządowych wystąpień nakładano grzywny i kontrybucje. Władze powstańcze były bezradne wobec polityki terroru i zbiorowej odpowiedzialności.

W atmosferze przygnębienia, malejących szans na odniesienie jakiegokolwiek sukcesu, kurczenia się zaplecza społecznego dla zrywu niepodległościowego oraz w warunkach druzgocącej przewagi wojsk rosyjskich władzę nad powstaniem przejął Romuald Traugutt. Ostatni przywódca powstańczego Rządu Narodowego był wreszcie, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, zawodowym oficerem. Jak na ironię karierę zaczął w armii rosyjskiej, do której wstąpił w 1845 roku, mając 19 lat. Pod dowództwem Iwana Paskiewicza, pogromcy powstania listopadowego, brał udział w wyprawie wojsk rosyjskich tłumiących powstanie węgierskie. W szeregach armii rosyjskiej walczył też w wojnie krymskiej (1853–1856), uczestnicząc między innymi w obronie twierdzy Sewastopol. Po siedemnastu latach służby wojskowej, w czerwcu 1862 roku, w randze podpułkownika,

złożył prośbę o dymisję i osiadł w majątku na Polesiu. Nie należał do żadnej organizacji konspiracyjnej. Wybuch powstania przyjął chłodno. Zrazu był tylko jego obserwatorem. Sytuację w kraju oceniał okiem wojskowego fachowca znającego doskonale stan i możliwości armii rosyjskiej. Powstańcom nie dawał żadnych szans na odniesienie zwycięstwa. A jednak w kwietniu 1863 roku, nie bez oporu, a przynajmniej obaw, zgłosił ostatecznie swój akces do powstania. Zaproszony przez organizatorów walki na Polesiu na naradę do majątku Jana Mitraszewskiego w Bożydarach – uczestniczyła w nim także dwudziestoletnia Eliza Orzeszkowa – uległ namowom gospodarza, który obejmując go za kolana, wołał: „Błagam cię Romualdzie, nie odmawiaj nam i Polsce i przyjmij dowództwo nad naszym oddziałem”. Jak później wyznał podczas śledztwa, wstąpił do powstania, gdyż czuł się Polakiem i za swoją powinność uznał „nieoszczędzanie siebie tam, gdzie inni wszystko poświęcali”. Przejmując dowództwo nad oddziałem walczącym w powiatach kobryńskim i pińskim, stoczył kilka udanych potyczek z przeważającymi wojskami rosyjskimi. Przez pewien czas ukrywał się też w majątku Orzeszków w Ludwinowie.

Gdy dowodzony przez niego oddział został rozбит, opuścił Polesie. Do granicy z Królestwem przemyciła go w swoim powozie Eliza Orzeszkowa. W lipcu 1863 roku przybył do Warszawy. Tu z nominacji Wydziału Wojny Rządu Narodowego otrzymał stopień generała i funkcję pełnomocnika wojskowego na Galicję Wschodnią i Zachodnią. W połowie sierpnia 1863 opuścił Warszawę. Udał się do Lwowa, gdzie z generałem Edmundem Różyckim snuł plany zorganizowania wyprawy na Ruś. Przez Wiedeń dotarł wreszcie do Paryża. W centrum życia polskiej emigracji spotkał się między innymi z Władysławem Czartoryskim, Hieronimem Bonaparte, synowcem Napoleona III, i francuskim ministrem spraw zagranicznych Édouardem Drouyn de Lhuys. Z odbytych rozmów wyniósł przekonanie, że wiosną 1864 roku może dojść do wybuchu wojny europejskiej. Kontynuacja powstania mogła mieć zatem jakiś sens. Należało przetrzymać zimę.

Z obudzonym w sobie „duchem marzeń” wrócił do kraju. W Krakowie przeprowadził inspekcję tamtejszej organizacji powstańczej. Wykorzystując pełnomocnictwa Rządu Narodowego, zwołał naradę przebywających w Galicji dowódców powstańczych. Na posiedzeniu z udziałem generała Michała Heydenreicha („Kruka”), generała Edmunda Różyckiego, dyrektora Polskiej Szkoły Wojskowej w Cuneo, i Aleksandra Waligórskiego, dowódcy sił zbrojnych województwa lubelskiego, oraz generała Józefa Hauke („Bosaka”), naczelnika wojskowego województwa krakowskiego i sandomierskiego, przyjęto plan zintensyfikowania działań partyzanckich oraz odciążenia wojsk rosyjskich od granicy z Galicją. Miało to pozwolić na wkroczenie do Królestwa Polskiego nowych oddziałów powstańczych.

Kiedy 10 października 1863 roku Traugutt przybył do Warszawy, dotychczasowe władze powstańcze z ulgą przekazały mu kierownictwo. W rozmowie z Adamem Asnykiem, Piotrem Kobylańskim i Józefem Narzyskim oznajmił, że przestają tworzyć Rząd Narodowy. W przeciwieństwie do dotychczasowej praktyki nikogo nowego do rządu nie powołał. Oznaczało to jednoosobowe kierownictwo – dyktaturę. Dyktatorem nigdy się nie ogłosił, choć tak tytułowali go bliscy współpracownicy

Niesiony „duchem marzeń”, wierząc w możliwość odnowienia działań powstańczych i upatrując nadziei w sukcesach „Bosaka”, nakładem ogromnego wysiłku podjął próbę ratowania zamierającego powstania. Od podstaw stworzył rozwiązane struktury konspiracyjnej organizacji miejskiej w Warszawie. Na wzór Warszawy reorganizował terenową siatkę władz powstańczych, uporządkował organizację podziemnej poczty i systemu podatkowego. W połowie grudnia 1863 roku zarządził ujednoczenie organizacji powstańczych sił zbrojnych. Każde województwo miało wystawić dywizję składającą się z trzech pułków piechoty i jednego jazdy (w założeniu 6500 ludzi). Połączone dywizje miały tworzyć korpus. Planowano utworzenie pięciu korpusów, lecz tylko drugi korpus „Bosaka” był w miarę kompletny. Pozostałe traktowano zatem jako formacje kadrowe, które dopiero z cza-

sem miały być uzupełniane żołnierzami z pospolitego ruszenia i ochotnikami przybywającymi zza kordonu. Dowództwo nad I Korpusem (Lubelskie i Podlaskie) przejął generał Michał Heydenreich „Kruk”. Korpusem II (Sandomierskie, Krakowskie, Kaliskie) dowodził generał Józef Hauke „Bosak”. Dowództwo nad Korpusem III (Augustowskie) przejął Jan Koziell-Poklewski („Jakub Skała”), były członek Litewskiego Komitetu Prowincjonalnego. Bez obsady pozostały Korpus IV (Mazowieckie i Płockie) oraz Korpus V obejmujący Litwę. Pod koniec zimy planowano zwołać pospolite ruszenie i przystąpić do masowej akcji zbrojnej.

Plan Traugutta, choć w założeniach racjonalny, przyszedł zbyt późno, by zmienić sytuację powstania. Osamotniony „Bosak”, choć odnosił jeszcze sukcesy – 14 listopada 1863 roku stoczył udaną potyczkę pod Opatowem, a 17 stycznia 1864 roku pod Iłżą – skazany był jednak na porażkę. Zaplanowana przez dowództwo rosyjskie szeroka obława na siły II Korpusu zakończyła się osaczeniem oddziałów powstańczych. Ostatnia z wielkich bitew powstania styczniowego – atak na Opatów (21 II 1864), zakończony porażką, oznaczała załamanie się partyzantki w rejonie Gór Świętokrzyskich. Co gorsze, kilka dni po bitwie opatowskiej proklamowany został w Galicji stan oblężenia (29 II). Podjęta przez władze austriackie decyzja przetrąciła aktywność działającej za kordonem powstańczej organizacji konspiracyjnej, którą miały od tej pory ścigać sądy wojenne. Formowanym w Galicji oddziałom partyzanckim nakazano złożenie broni oraz przekazanie zapasów wojskowych i ekwipunku. Zmarnowano w ten sposób ogromne zasoby i rezerwy. Represje i aresztowania dotknęły członków tajnej organizacji oraz byłych, jak i niedoszłych uczestników powstania.

Niekorzystna dla Rządu Narodowego zmiana polityki rządu wiedeńskiego była wynikiem zbliżenia się Austrii do Prus, a pośrednio także do Rosji. Dokonało się to na tle konfliktu Prus z Danią o sporne tereny Szlezwicku i Holsztynu, do czego sprytnie wciągnął Austrię premier Prus Otto von Bismarck. Rząd Traugutta pozbawiono ważnej

w strukturze wojskowej i politycznej bazy, jaką dla powstania w Królestwie stanowiła Galicja. Powstanie straciło także zaplecze w zaborze pruskim, gdzie miejscowe władze udaremniły organizację szykowanych na wiosnę wypraw zbrojnych.

Odnowieniu działań powstańczych, a szczególnie zorganizowaniu pospolitego ruszenia przeszkodziło wreszcie podpisanie 2 marca 1864 r. przez cara Aleksandra II czterech ukazów dotyczących sprawy włościańskiej. Carskie reformy uwłaszczeniowe skutecznie odciągnęły ludność wiejską od powstania, gdyż dawały chłopom wszystko to, co obiecywał im w Manifeście z 22 stycznia 1863 roku Rząd Narodowy. Na przełomie lutego i marca 1864 roku Traugutt stracił najważniejsze atuty mogące przesądzić o wznowieniu działań partyzanckich. Bitwa opatowska z 21 lutego, zakończona rozbiciem II Korpusu „Bosaka”, załamała w Królestwie Polskim działania partyzanckie, wprowadzony 29 lutego w Galicji stan oblężenia przekreślił nadzieję na pomoc zza kordonu, a podpisane 2 marca ukazy uwłaszczeniowe ostatecznie zniechęciły masy chłopskie do powstania.

Skazanego na klęskę i ukrywającego się pod przybranym nazwiskiem Traugutta, który do końca starał się kierować upadającym powstaniem, aresztowano w nocy z 10 na 11 kwietnia 1864 roku. Rozpoczęty wkrótce proces „członków Rządu Narodowego” objął kilkadziesiąt osób, spośród których dwadzieścia trzy postawiono przed sądem polowym obradującym zaocznie w X Pawilonie Cytadeli. W śledztwie Traugutt otwarcie wyjawiał motywy swojego zaangażowania w powstanie, nie obciążając jednak nikogo ze znanych sobie osób. Podpisany przez namiestnika Berga wyrok skazywał ostatniego przywódcę powstania oraz czterech jego współpracowników na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano na stokach Cytadeli 5 sierpnia 1864 roku.

Wraz ze śmiercią Traugutta zamarła działalność władz powstańczych. W różnych częściach Królestwa Polskiego skrywały się jeszcze po lasach słabe kilkunasto- lub kilkudziesięcioosobowe grupy powstańców i Żandarmerii Narodowej złożone głównie z chłopów,

dla których nie było już odwrotu. W okolicach Łukowa do końca października 1864 roku walczył oddział naczelnego kapelana i generała armii powstańczej księdza Stanisława Brzóska. Nie mogło to jednak już w niczym odmienić losów powstania. Ks. Brzóska, „ostatni powstaniec styczniowy”, korzystając z pomocy chłopów, przetrwał trzecią zimę powstania, lecz schwytyany pod koniec kwietnia 1865 roku skazany został na karę śmierci i podobnie jak setki innych powstańców, stracił życie na szubienicy (Sokołów Podlaski 23 V 1865).

\*\*

Jak ten zdawkowy, zimny, a w przesłaniu smutny i tragiczny rys powstania i jego przywódcy ma się do literackiej wizji przeszłości, nie sposób jednoznacznie odpowiedzieć. Wszak historyczne miraży mają to do siebie, że zwodzą, oddalają od rzeczywistości, tracą swój rozmach i koloryt, nie mogąc sprostać konfrontacji ze światem realiów. Równocześnie kuszą pięknem swej ułudy, pobudzają niemiłą dla sfery chłodnej kalkulacji ciepłą mgławicę fantazji, burzą granice zdrowego rozsądku i wreszcie wyzwalają uwięzionego, przynajmniej u niektórych, „ducha marzeń”. Ma też historyczna ułuda moc wabienia, zarzucania sieci, dziwny magnetyzm, czemu łatwo i bez oporu ulegamy, choć wiemy, że trzeba się z niej wyrwać, otrząsnąć, na nowo zebrać, przebudzić z letargu. To popadanie w odległe czasowo nostalgii, spychanie na manowce poznawalności, oddalanie się od wydeptanego szlaku wiedzy może przybrać charakter trwały i nawet pogłębiać się, gdyż wir kuszenia wciąga, osiąga coraz wyższe poziomy, bliskie ekstazie i zapomnieniu nie tyle siebie, co wszystkiego. Taki jest czar i urok literatury.

Wprowadzając się w stan odrealnienia, przejścia w świat fantasmagorycznych bająn – temu też służą powieści z gatunku historii alternatywnej – pragniemy, nie wiadomo z jakim skutkiem, coś z tej podróży zasmakować, przeciągnąć na drugą stronę rzeczywistości, czegoś się nauczyć, uznać za ważne, rozeznaczyć nie do końca fikcyjne, bo przecież stworzone także na bazie empirii konfiguracje, coś przy-

jąc lub coś odrzucić. Nieznany jest nam bliżej efekt testowanego na sobie eksperymentu oddawania się światu ułudy zderzanego z brutalną, bynajmniej nie gładką i jasną ścianą prawdy historycznej.

Czy zmaganie czystej, wolnej od pamięci zmysłowej, lecz kruchej, bo ulotnej wizji przeszłości z opasłym murem nagromadzonych doświadczeń i wiedzy może gdzieś nas zaprowadzić, coś wyjaśnić? Czy z procesu turbowania się fantazji z impregnowaną na naiwność tamą narosłych przez pokolenia uprzedzeń i wyobrażeń wyłonią się jakiegokolwiek drogowskazy? Czy konfrontacja bajecznych retrospekcji z ponurą kartą historii – tej choćby z pokroju dramatu narodowego, przykrej w doświadczeniach pokoleń spuścizny przełomów dziejowych – jest tylko miłym, przejściowym transem kończącym się bolesnym oprzytomnieniem, oznaczającym koniec „ducha marzeń”? Jak daleko mogą się związać, wzajemnie przeniknąć wrzucone do jednego kotła, mieszane i doprowadzane do wrzenia obce składniki: wyselekcjonowany ze spiżarni dziejów fragment dalekiej przeszłości, okraszony gdzieniegdzie tajemnicą mroków czasu minionego, oraz solidne, nadziewane natchnieniem porcje miraży wieków odeszłych, zbudzonych w głowach mistrzów fantazji?

Czy tak sporządzona potrawa jest strawna, czy nasyci, zaspokoi odzywający się co jakiś czas burczeniem niezadowolenia głód na mądrość i prawdę dziejową, zniweluje zgromadzony przez wieki nalot niesmaku, wypłucze osad i gorycz spuścizny lat minionych, złagodzi palenie zgagi przeszłości? A może wymyślony przepis, recepta na nową formę przyswojenia piekących treści historycznych, nie znajdzie żadnych amatorów, nie przypadnie do gustu żadnym smakoszom, może wywoła tylko torsje zwiastujące nadejście nieodgadnionej w czasie zagłady historii?

By się o tym wszystkim przekonać, zagustować, wystarczy zanurzyć się w wizji niesprawdzalnej historii powstania styczniowego, jaką przynosi nam powieść Konrada T. Lewandowskiego. Pociągająca, choć tylko hipotetyczna fabuła wydarzeń – na różny sposób uwiarygodniona i obudowana wieloma historycznymi realiami i logicznymi

argumentami, mocno zespolona ze zbiorem narodowych bohaterów, na swój sposób realna, choć balansująca na granicy ludzkiego pojęcia – skłania przede wszystkim do refleksji, historycznego rozrachunku. Bo przecież osąd genezy, przebiegu i skutków najdłużej trwającego w dziejach narodu polskiego zrywu niepodległościowego jest tragiczny.

Powstanie 1863 roku pozbawione odpowiedniego przygotowania, broni i regularnej armii zakończyło się w wymiarze militarnym, politycznym, materialnym i moralnym klęską. Pochłonęło około 20 tys. ofiar, z czego blisko 1000 zawisło na szubienicach. Drugie tyle (około 35–40 tys.) zostało w ramach represji pognanych na katorgę i osiedlenie w głąb Rosji, skąd połowa już nigdy do kraju nie wróciła. Inni, około 10 tys. osób, musieli wybrać emigrację. Kraj stracił znaczną część elit, których nie sposób było w najbliższych dziesięcioleciach ani zastąpić, ani odtworzyć, bowiem zabici, represjonowani i wychodźcy polityczni tworzyli jeden z najcenniejszych elementów tkanki narodowej. Poszły za tym ogromne straty materialne, niepowetowane ubytki dziedzictwa kulturowego i duchowego.

Zryw niepodległościowy spotęgował antypolskie akcje odwetowe władz rosyjskich, a wraz z klęską powstania kwestia polska na kilka dziesięcioleci przestała być problemem międzynarodowym. Wszczęte po powstaniu represje zapoczątkowały długofalową i wielowymiarową walkę z szeroko rozumianą polskością. Jej celem było gospodarcze, polityczne, kulturalne, a także demograficzne osłabienie i być może zniszczenie polskiego żywiołu, poddanie go brutalnej rusyfikacji. Czy wobec tych tragedii, nieszczęść i upokorzeń, doznanych krzywd można zdobyć się na inne, niż tylko gorzkie i przykre historyczne rozliczenia, podsumowania, znaleźć światło nadziei, myśl pozytywną, podporę w smutku i rozpacz. Gdzie należy upatrywać utulenia, jak pogrzebać żal.

W powieści Lewandowskiego nie uciekniemy od tych pytań. W zmienionej rzeczywistości przewija się bowiem największy dla pokolenia 1863 roku dramat wyboru dróg życiowych, postaw i reakcji spo-



łecznych warunkowanych – jak zawsze – splotem czynników zewnętrznych, ale także miękkością lub twardością ludzkich charakterów, aspiracji, indywidualnych i zbiorowych potrzeb. W fabule odnajdziemy na nowo rozczytane przejawy i pojęcia patriotyzmu, kryjącej się za nim zdrady, poświęcenia splamionego zaniechaniem, miłości tłamszonej pogardą i nienawiścią. Im bardziej przyłgniemy do ducha epoki, zgłębimy losy uczestników powstania, dramat jego przywódców i zwykłych uczestników, poznamy dylematy zarówno zwolenników ruchu, jak i jego wrogów, przeciwności losu i szans zmarnowanych, tym większe wyzwala się pragnienie okazania duchowego wsparcia, wyrażenia tęsknoty za dziwnym wymiarem lepszego, lepszego nie dzisiaj dla nas, lepszego nie jutra dla przyszłych, ale lepszego dla byłych wczoraj.

Ten udzielający się także za sprawą powieści Lewandowskiego rodzaj współczucia, ciężącego po latach czy przez wszystkie lata długu, nigdy do końca spełnionego zadośćuczynienia, zobowiązania za złożone ofiary, można odebrać jako kojący seans zbiorowej kuracji, społecznej sanacji, ale także jako okazję do nawiązania i podtrzymania zrywanej, nie zawsze mocnymi nićmi zespolonej łączności i ciągłości z dziejami narodu, którego w sztafecie pokoleń jesteśmy mniej lub bardziej widocznym elementem, aktywnym lub biernym uczestnikiem, ważnym lub mniej istotnym spadkodawcą, świadomym lub tylko mimowolnym sukcesorem.

Rolą i zadaniem spadkobiercy jest przygarnięcie tej spuścizny i w konsekwencji gospodarka pamięcią historyczną. Przejmując w dziedzictwie zarząd nad całym tym inwentarzem – czy to zdrowych czy zepsutych, przydatnych czy bezużytecznych, cennych czy bezwartościowych pamiątek, rzeczy, zachowań, wartości, wyobrażeń i postaw – dobrze byłoby się zastanowić, w jakim stopniu możemy i potrafimy to wszystko na powrót wprzęgnąć w tryby i zasady funkcjonowania modernizowanego nieustannie organizmu narodu.

Czy z tej perspektywy niesprawdzone, nadwyrężone, zepsute, archaiczne narzędzia obróbki i pojmowania rzeczywistości lepiej

wyrzucić na śmietnik, schować do lamusa zapomnienia i oczyścić się z tych, w naszym pojęciu, rupieci, czy też przeprowadzić jeszcze raz obdukcję, przyjrzeć się zadany ranom, ocenić wady i zalety, wskazać na stare i nowe sposoby ich wykorzystania, okiem rzeczoznawcy ustalić wartość, choćby tylko złomową, dostosować, a może całkiem przerobić i w zmienionej postaci jeszcze raz oddać przejęty majątek, by mógł służyć sprawom publicznym.

Czy pod ciężarem współczesności powstanie styczniowe – rozumiane jako splot trudnych do zaakceptowania, niezrozumiałych, ocenianych jako błędne decyzji i wyborów oraz idących za tym okropnych doświadczeń i ludzkich cierpień – lepiej uznać za rupieć dziejowej spuścizny, niewygodne brzemie odległej epoki, czy akceptując całą jego schedę, pojmować jako znamię cennych dla przeobrażeń wielkich, narodowych czynów, których sens i sukces na opak mierzyć należy nie zwycięstwem, lecz tragedią porażki.

Nie tak znów odległe od rzeczywistych, a jednak odmienne w powieści Lewandowskiego losy powstania styczniowego, prowadzone na froncie wywiadów wojskowych, szpiegów gospodarczych, eksperymentów technologicznych, tajemniczych patentów, wytyczone szlakiem przepraw twardochodów, torem podróży „ducha marzeń” mogą kusić i nabierać rumieńców, lecz nawet w tej postaci, w tej odwróconej fabule upatrujemy ratunku w obłędzie ucieczki przed refleksjami wypływającymi z oceny tragicznego finału.

Oddając się iluzjom Lewandowskiego i śledząc losy bohaterów powieści, dojdziemy ostatecznie do tego samego miejsca, co w świecie rzeczywistym. Patrząc wstecz i nie widząc przyszłości, zapytamy, czy powstanie styczniowe było narodowym fatum, nieuchronnym biegiem do klęski, której konsekwencje przez dziesięciolecia burzyły spokój, przygnębiały pamięć, obciążały rozrachunkami sumień, prowokowały do rozliczeń z przynależnego wszystkim długu wobec ojczyzny, wymuszały zdanie bilansu potomnym, złożenie testamentu kolejnym pokoleniom. A przecież na wypływającą z codzienności i trwającą przez dziesięciolecia gorycz porażki, na żal za zmarnowane

życie własne i następnych pokoleń, na towarzyszące sprawom codziennym indywidualne i zbiorowe kajania, na wyrzucane z siebie obrazy przeszłości, drogie, lecz smutne wspomnienia należy patrzeć też jak na różnego rodzaju wyznania miłości do ojczyzny, jak na tęsknotę za jej lepszym dniem, pragnienie uczynienia ją wielką i wspaniałą, marzenie o jej potędze i sławie.

Ten nieziszczony dla powstańców obraz w wymiarze tęsknoty stawał się niemal realny, bliski na wyciągnięcie ręki, drogi, pożądany, bo jakże zgodny z powszechnymi oczekiwaniami i pragnieniami. Do takiego obrazu chwilami zbliżamy się też na kartach powieści. Wówczas to łapiemy więcej powietrza, odnajdujemy pocieszenie, rozkoszujemy się mirażem, a przy tym odnosimy wrażenie, że świat historii alternatywnej malowany lekkością pióra powieściopisarza, swoim przesłaniem, grozą, a niekiedy powabem, z siłą równą niemal argumentom historycznym przemawia do naszej wyobraźni, umiejętnie uwiarygodnia to, co jest wszak tylko fikcją literacką.

Zderzenie i powiązanie fantazji ze światem realnych wydarzeń na tyle mocno się przeplata, uzupełnia paletą barw, że w końcu spaja lub przynajmniej tylko sprawia złudzenie zazębienia się tak ważnej dla naszej świadomości wiedzy o przeszłości z nie mniej kuszącą i godną poznania historią alternatywną. Przy takim zabiegu głębiej osadza się w nas pamięć choćby o pięciu poległych powstańcach spod Szydłowca, symbolicznie przypominanych w powieści, ale w pewnym sensie uniwersalnych dla całego zrywu niepodległościowego ofiarach złożonych na ołtarzu sprawy narodowej. W powłoce fikcyjnej fabuły jakże bliska staje się nam postać i twarz Romualda Traugutta, którego dostojne, nieco wyniosłe, niezwykle spokojne i szlachetne spojrzenie skrywa w sobie cały dramat przebiegu i tragicznego finału styczniowej insurekcji znajdujący swój wymiar także w osobistych doznaniach i wyborach dyktatora. Literacka i historyczna wizja niezłomności oraz poświęcenia Prometeusza swoich czasów, Prometeusza swojego narodu, jest w równym stopniu samoistna, jak i współbieżna, przez co stanowi atrakcyjną formę przyswojenia kolej-

nego fragmentu w mozaice zbiorowej pamięci historycznej.

Alternatywna historia powstania styczniowego Konrada K. Lewandowskiego w sumie nie tak bardzo odbiegająca od rzeczywistej, ostatecznie nawet zespolona w jeden ciąg realnych wydarzeń, sprawia, że refleksja nad tym przełomowym i tragicznym momentem dziejów narodowych, ucieleśnionym także w postaciach fikcyjnych, pełnych prawdziwych namiętności bohaterów, prowadzi do tych samych wniosków, do tych samych spostrzeżeń. Jakże zbieżne są zatem nasze – czytelnika odczucia, z tymi uwagami, jakie na temat Romualda Traugutta wyraził Paweł Jasienica. Stwierdził on: „Traugutt ocalił moralną wielkość powstania styczniowego (...) To on sprawił, że tak prędko po pozornej klęsce mogła się dokonać pełna rehabilitacja polskiej historii. Postawa, z jaką spotkał śmierć, obdarzyła współczesnych moralnym prawem do uznawania dawnej chwały za własną. Traugutt był jednym z nich. Nosił zwyczajny surdut i okulary w drucianej oprawie”.

\*\*\*

Niech każdemu z nas dane będzie odbyć podróż z „duchem marzeń”.

Stanisław Wiech

Kielce, czerwiec 2012 r.

Rozwój techniki militarnej w połowie XIX w.

Oddawana do rąk Czytelnika książka wpisuje się w kategorię historii alternatywnej. Jej akcja została osadzona w połowie XIX w., w czasie powstanie styczniowego. Inaczej niż to miało miejsce w naszej historii, w książce nie zakończyło się ono klęską. Dzięki wykorzystaniu nowoczesnego uzbrojenia udało się zdobyć przewagę nad liczniejszymi wojskami rosyjskimi. Oczywiście przedstawione wydarzenia stanowią fikcję literacką, która jednak została tak skomponowana przez Autora, że nosi znamiona prawdopodobieństwa, a wiele

wykorzystanych w książce przykładów nowatorskich rozwiązań technicznych istotnie w tym czasie zostało skonstruowanych, tyle tylko że w innych częściach Europy i świata. Dlatego, aby płynniej przenieść się do XIX w., i móc lepiej odnaleźć się w opisywanych realiach, warto najpierw zapoznać się z gwałtownymi przemianami, jakie zaszły w tym czasie w historii, by móc później zapoznać się z jej alternatywną wersją.

Wiek XIX, z czego niewielu dzisiaj zdaje sobie sprawę, był wiekiem ogromnych przemian, przede wszystkim w sferze techniki, w tym także militarnej. Zaczął się on od okresu wojen napoleońskich, podczas którego wielkie armie przemierzały Europę. Były to wojny kolorowe, malownicze, pełne swoistego uroku i nostalgii, gdzie honor i odwaga liczyły się bardziej niż technika. Żołnierze nosili wielobarwne mundury, sama wojna, choć brutalna jak każda, niepozbawiona była szacunku do przeciwnika i rycerskich gestów. Uzbrojenie żołnierzy nie było wyszukane. Przeciętny szeregowiec dysponował karabinem ładowanym z przodu lufy, co stanowiło czynność dość skomplikowaną i zajmowało sporo czasu. W rezultacie szybkość oddawania strzałów nie była zbyt duża. Teoretycznie dobrze wyszkolony piechur był w stanie oddać trzy, czasem cztery strzały na minutę. Konieczność ładowania broni od przodu powodowała, że pocisk musiał mieć mniejszą średnicę niż lufa, co z kolei znacznie zmniejszało celność. Dysponując takim uzbrojeniem, trudno było z odległości 100 metrów trafić w cel mniejszy niż stodoła, nie mówiąc o przeciwniku. Chcąc zwiększyć skuteczność ognia, ustawiano żołnierzy w płytkich i szerokich formacjach, zaś strzały oddawano jednocześnie na rozkaz oficerów. Wykorzystywano efekt rachunku prawdopodobieństwa. Jeśli szansa trafienia wynosiła 1:100, to w przypadku strzału oddanego przez 500 ludzi przynajmniej pięć pocisków powinno dosięgnąć celu. Był to niewielki współczynnik, stąd w dalszym ciągu ważną rolę odgrywał bagnet, który pozwalał znacznie szybciej rozstrzygnąć starcie, choć powodował także duże straty po obu walczących stronach.

Mała skuteczność broni palnej i jej skomplikowany system ładowania powodowały, że kawaleria w dalszym ciągu używała przede wszystkim broni białej – szabli, pałaszów czy lanc, a pistolety i karabinki służyły głównie obronie poszczególnych jeźdźców w czasie indywidualnych pojedynków.

Niska skuteczność uzbrojenia wymuszała stosowanie dużych, ciasnych formacji. Pozwalały one zwiększyć jego efektywność, ale jednocześnie stanowiły bardzo łatwy cel dla artylerii. Ówczesne działa były również mało skuteczne. Ładowane tak samo jak karabiny, od przodu lufy, cechowały się niską celnością i niewielkim zasięgiem, rzadko przekraczającym 500–600 metrów. Jednak gdy kula armatnia trafiała w końcu w cel, jakim była zwarta kolumna piechoty, powodowała ogromne spustoszenie, masakrując wszystko i wszystkich na swej drodze. Dobrze wyszkoleni artylerzyści potrafili tak wystrzelić pocisk, że odbijał się on kilkakrotnie od twardego podłoża, niczym piłeczka pingpongowa, znacząc trasę krwawymi śladami po oderwanych kończynach. Na bliskie odległości stosowano kartacze, czyli puszkę wypełnioną małymi kulkami, które po wystrzeleniu zamieniały w sito wszystko, co napotkały na swej drodze.

Ponieważ poszczególne oddziały ustawiały się w zwartych formacjach, trudno było je ukryć przed wzrokiem przeciwnika. Dlatego nie stosowano mundurów w barwach ochronnych, zielonych czy brązowych, jak to ma miejsce dzisiaj. Zamiast tego nie tylko poszczególne armie, ale nawet oddziały miały oryginalne, bardzo kolorowe mundury i często fantazyjne dodatki, jak futrzane czapy czy wielobarwne kity na czakach. Dzięki temu poszczególne starcia były bardzo malownicze, co możemy podziwiać dzisiaj na wielu batalistycznych obrazach z tamtej epoki. Miało to także bardzo praktyczne zastosowanie. Należy pamiętać, że w tamtym czasie nie było żadnych bezpośrednich środków komunikacji, a dowódca chcąc rozeznaczyć się w rozwoju wydarzeń, musiał polegać na tym, co zobaczył na własne oczy. Różnorodne mundury, charakterystyczne kolory kurtek ułatwiały mu rozpoznanie, gdzie znajdowały się jego oddziały, a gdzie jednostki

przeciwnika, po dodatkach i ich kształcie mógł także rozpoznać, jakie oddziały zajmowały daną pozycję, zaś po liczbie sztandarów, jak liczne były. W zgiełku bitwy, gdzie panował chaos i huk, a dym prochowy w zasadzie uniemożliwiał komunikację, ten prosty system był jedynym sposobem na kontrolowanie przebiegu walki.

Podobnie jak w czasie wojen napoleońskich, walczone przez całą pierwszą połowę XIX w., wzorując się na tym, jak swoje kampanie prowadził sam „Bóg wojny”. Nie inaczej wyglądała wojna polsko-rosyjska z lat 1830–1831, znana nam raczej jako powstanie listopadowe. Walka o Olszynkę Grochowską, ofensywa na Siedlce, nieudana batalia pod Ostrołęką czy tragiczna obrona Warszawy tak naprawdę niczym nie różniły się od bitew pod Austerlitz, Wagram czy Waterloo, może tylko liczbą walczących żołnierzy. Jeszcze walki Wiosny Ludów z lat 1848–1849 nie zmieniły tego klasycznego schematu, ale toczona kilka lat później wojna krymska stanowiła już zapowiedź zmian, jakie przynieść miał rozwój techniki. W jej trakcie po raz pierwszy do celów militarnych zastosowano kolej i telegraf, co znacznie usprawniło przemieszczanie się wojsk oraz pozwoliło na szybsze przekazywanie rozkazów. W efekcie dowódca już nie musiał widzieć swoich żołnierzy w walce, a zamiast posługiwać się gońcami, wydawał rozkazy z prędkością sygnału telegrafu.

Wojna krymska to także jeden z pierwszych konfliktów, w którym okropności pola bitwy były przekazywane opinii publicznej. Było to możliwe dzięki rozwojowi prasy, a także coraz powszechniejszej umiejętności czytania. Już nie tylko wąska grupa elity intelektualnej, ale także przeciętny mieszkaniec miasta, a coraz częściej także wsi, mógł śledzić wydarzenia polityczne i militarne. Miało to bezpośrednie przełożenie na sposób prowadzenie wojen. Do tej pory okropności bitew znane były wąskiej grupie ludzi, prawie w całości ograniczonej do żołnierzy biorących w nich udział. Reszta społeczeństwa dowiadywała się jedynie o jej wyniku i – co najwyżej – o liczbie ofiar. Suche liczby nie robiły, i wciąż nie robią, większego wrażenia, często dlatego że trudno nam dane statystyczne odnieść do rzeczywistości.

Stąd władcy i dowódcy nie musieli się liczyć z liczbą ofiar, a ranni, już nieprzydatni, często byli pozostawiani na pobojowiskach bez żadnej opieki. Ci, którzy mimo wszystko zdołali przeżyć, często stawali się inwalidami i byli usuwani z armii, zazwyczaj kończąc jako żebracy.

Na Krymie znalazło się niewielu reporterów, poza tym był to konflikt odległy, nieprzyciągający nadmiernej uwagi europejskiej opinii publicznej. Jednak w 1859 r. miała miejsce krótką, ale bardzo krwawa wojna, w której z jednej strony znalazła się Francja i Piemont, a z drugiej Austria. Do decydującego starcia, zakończonego klęską wojsk habsburskich, doszło pod miejscowością Solferino. Obie strony poniosły ogromne straty, a co więcej, obraz pobojowiska został bardzo barwnie i dokładnie przedstawiony w prasie niemal wszystkich krajów europejskich. Przez pole bitwy przejeżdżał Francuz Henri Dunant. Widok pobojowiska z blisko 40 tysiącami zabitych i rannych, którymi nikt się nie interesował, wstrząsnął nim do tego stopnia, że wystosował apel do władców ówczesnej Europy o utworzenie organizacji mającej na celu objęcie opieką żołnierzy, szczególnie tych, którzy odnieśli rany w czasie walki. Wkrótce z jego inicjatywy powstała organizacja znana nam jako Czerwony Krzyż.

Początek lat 60. XIX w. to okres coraz większego napięcia w Europie. Rywalizacja między Prusami a Austrią o dominację na terenie Niemiec zbliżało się do punktu kulminacyjnego. Wiosna Ludów pokazała, że powstanie zjednoczonego państwa niemieckiego to tylko kwestia czasu. Niewiadomą pozostawało tylko, pod czyim przywództwem się to dokona, austriackich Habsburgów czy pruskich Hohenzollernów. Jeszcze w 1864 r. Austria i Prusy wspólnie wystąpiły przeciw Danii w celu zdobycia Szlezewiku. Ale już dwa lata później doszło do starcia między dwoma niedawnymi sojusznikami. Austriacy, mimo wsparcia większości państw południowoniemieckich, ponieśli druzgocącą klęskę. Prusacy w pełni posłużyli się najnowszymi zdobyczami techniki, by uzyskać przewagę nad swoimi przeciwnikami. Już w trakcie mobilizacji wykorzystano system komu-



nikacji kolejowej w celu koncentracji armii. Co więcej, pruscy żołnierze po raz pierwszy użyli na polu bitwy nowe karabiny iglicowe skonstruowane przez Johanna Dreysego. W przeciwieństwie do dotychczas stosowanych rozwiązań broń ta była ładowana odtylcowo, przy wykorzystaniu przygotowanych wcześniej papierowych nabojów. Po załadowaniu długa igła przebijała papier uderzając w spłonkę, która powodowała wybuch materiału miotającego. Nowe karabiny można było znacznie szybciej załadować, co zwiększało intensywność ognia. Ponadto ich konstrukcja pozwalała na ładowanie w pozycji leżącej lub klęczącej, co znacznie zwiększało bezpieczeństwo żołnierza, który nie musiał stać pod ogniem przeciwnika. W rezultacie wojska pruskie, dysponujące znacznie większą siłą ognia, dosłownie rozstrzelały siły austriackie, bardzo szybko rozstrzygając wojnę na swoją korzyść.

Pruskie zwycięstwo odbiło się szerokim echem w całej Europie. Wydawało się, że nowe uzbrojenie dało ogromną przewagę Prusakom nad wszystkimi przeciwnikami. Od zjednoczenia Niemiec pod egidą Berlina dzieliła Bismarcka tylko jedna przeszkoda, francuski cesarz Napoleon III, bratanek „Boga wojny”. Prusacy ufni w swoje uzbrojenie oraz posiadający wsparcie niedawno pokonanych państw niemieckich sprowokowali konflikt z Francją. Napoleon III w lipcu 1870 r. wypowiedział im wojnę, na co tylko czekał pruski głównodowodzący Helmut von Moltke. Ponownie wykorzystując kolej oraz telegraf, szybko skoncentrowano armię. Lepsze dowodzenie dało przewagę operacyjną stronie pruskiej, ale niemiłą niespodzianką okazało się uzbrojenie żołnierzy francuskich. Mianowicie dysponowali oni iglicówkami skonstruowanymi przez Antoine’a Chassepota, które miały znacznie większy zasięg od karabinów Dreysego. W rezultacie wojska pruskie poniosły w czasie tej walki duże straty. Wojna ta pokazała jednak, że wciąż nie tylko uzbrojenie decydowało o ostatecznym wyniku walki, ale także lepsze dowodzenie oraz konsekwencja w działaniu. W rezultacie udało się wojskom pruskim okrążyć pod Sedanem główne siły francuskie, a następnie zmusić je do kapitulacji. Nieudolny Napoleon III abdykował, w wyniku czego dru-

gie cesarstwo przestało istnieć. Wojna toczyła się jeszcze kilka miesięcy, ale jej wynik został przesądzony. W rezultacie kanclerz Bismarck zrealizował swój największy cel, mianowicie utworzono Cesarstwo Niemieckie, z królem pruskim na czele, a Francuzi musieli zrzec się, na rzecz nowego państwa, Alzacji i Lotaryngii. Powstanie II Rzeszy Niemieckiej zostało proklamowane w Wersalu, co miało dodatkowo upokorzyć pokonanych.

Wojna francusko-pruska była już starciem nowoczesnych armii, dysponujących mniej lub bardziej sprawnymi instytucjami kierowniczymi. Nowoczesne uzbrojenie oznaczało kres dawnych barwnych wojen, gdzie brawura i rycerskość były na porządku dziennym. Kawaleria, zarówno francuska, jak i pruska, podczas tego konfliktu została zmarginalizowana. Prowadzone z wielką odwagą szarże były krwawo odpierane. Piechota, dysponująca szybkostrzelnymi karabinami, była w stanie dosłownie rozstrzelać kawalerzystów atakujących z szablami i lancami w rękach. Odważne ataki na bagnety, dotychczas mogące rozstrzygnąć starcia, teraz natrafiały na ścianę ognia ukrytych za przeszkodami żołnierzy przeciwnika i kończyły się ogromnymi stratami. O wyniku starć zaczynał decydować rozsądek, nie fantazja.

Przedstawione powyżej przemiany dotyczyły przede wszystkim Europy, która w tym czasie stanowiła centrum zainteresowania całego świata. Konflikty europejskie tego okresu cechowały się dużą intensywnością, ale trwały stosunkowo krótko, nie dając odczuć głębokich przemian, jakie rozwój techniki przyniósł na pola bitew. Inaczej sytuacja wyglądała na kontynencie północnoamerykańskim. W XIX wieku Stany Zjednoczone traktowane były w Europie jako daleka prowincja i nie przykładano większej wagi do wydarzeń, jakie tam miały miejsce. W czasie, gdy wielkie mocarstwa Starego Kontynentu toczyły zmagania o hegemonię, w ojczyźnie Waszyngtona rozgorzała w 1861 r. wojna domowa, która przeszła do historii jako wojna secesyjna. Starcie przemysłowej Północy z rolniczym Południem było pierwszą nowoczesną wojnę totalną, w której obie strony zaangażo-

wały wszystkie swoje środki. Trwający pięć lat konflikt pochłonął więcej ofiar niż wszystkie inne wojny, w których brali udział Amerykanie. Rozległość obszaru, determinacja obu stron oraz poświęcenie nie tylko żołnierzy, ale także całych społeczeństw spowodowało, że trudno było rozdzielić linię frontu od zaplecza. Wojna dotykała wszystkich. Oddziały stosowały terror wobec ludności cywilnej przeciwnika, czego przykładem był tzw. „marsz ku morzu” gen. Williama Shermanna. Miało to złamać opór nieprzyjaciela, ale w praktyce jedynie podsycało wzajemną wrogość, przedłużając konflikt.

Bitwy, do których podczas tej wojny dochodziło często, nie dawały rozstrzygnięcia. Straty ponoszone przez obie strony były tak wielkie, że nie miało znaczenia, kto okazywał się zwycięzcą, gdyż nie był w stanie wykorzystać sukcesu. W rezultacie wojna szybko przemieniła się w walkę na wyczerpanie, a o zwycięstwie zdecydować miało to, która ze stron będzie w stanie dłużej uzupełniać coraz większe straty. Ponieważ Północ dysponowała większym zapleczem zarówno przemysłowym, jak i ludzkim, wojska Południa starały się zrekompensować braki, stosując umocnienia polowe, które z czasem stawały się coraz bardziej kompleksowe i trudne do sforsowania. Pół wieku przed Europejczykami Amerykanie doświadczyli horroru wojny w okopach.

W czasie amerykańskiej wojny domowej po raz pierwszy doszło do swoistego wyścigu zbrojeń, podczas którego konstruktorzy obu stron prześcigali się, by wyprodukować uzbrojenie mające przechylić szalę zwycięstwa. Jednym z elementów mających zmusić Konfederację do kapitulacji, była blokada jej portów, co miało uniemożliwić dostawę uzbrojenia z Europy. Nie mogąc liczyć na rywalizację z flotą Unii, konfederaci zdecydowali się zbudować okręt wyposażony w silnik parowy, którego pokład pokryty zostałby grubymi płytami pancernymi. CSS „Virginia” miał zapewnić przewagę w walce z jednostkami Unii, wciąż będącymi konstrukcjami drewnianymi. W odpowiedzi, na Północy zbudowano USS „Monitor”, który również otrzymał pancierz, zaś uzbrojenie zamontowano w obrotowej wieży pancernej.

Podczas pierwszego starcia okręt konfederacji pokonał klasyczne jednostki Unii, zatapiając dwie jednostki. Wkrótce doszło do starcia obu „pancerników”, które jednak nie dało rozstrzygnięcia. Okazało się, że gruby na ponad 100 mm pancerz obu okrętów był nie do przebicia dla tradycyjnej artylerii, strzelającej okrągłymi kulami ładowanymi od przodu lufy. W efekcie starcie zakończyło się bez rozstrzygnięcia. Dalsze prace nad okrętami pancernymi na południu zostały przerwane zajęciem stoczni przez wojska Unii.

W czasie wojny secesyjnej skonstruowano także wiele nowatorskiej broni, jednak prawie żadna nie znalazła praktycznego zastosowania. Powodem był przede wszystkim konserwatyzm kadry oficerskiej, w szczególności kierownictw departamentów wojny. Dużą popularnością wśród oficerów obu stron cieszyły się rewolwery, w tym bodajże najbardziej znany Colt Navy model 1851. Nie były to jeszcze rewolwery, jakie znamy z westernów. Te, których używano w czasie wojny secesyjnej, wymagały długiego ładowania, gdyż nie używano jeszcze naboju scalonych, ale kapiszonowych, i konieczne było dokładne ładowanie każdej komory. Ponadto rewolwery, jak niemal każda broń krótka, miały bardzo niewielki zasięg, dlatego były używane przede wszystkim przez oficerów jako broń osobista lub przez kawalerię. Prawdziwy przełom stanowiło skonstruowanie tuż przed wybuchem wojny karabinów powtarzalnych na amunicję scaloną systemów Henry’ego Spencera, a tuż przed jej zakończeniem lepiej znanego winczestera. Pierwszy z modeli, posiadający magazynek na 18 pocisków, był w stanie wystrzelić prawie 30 razy w ciągu minuty. Ponadto zasięgiem i celnością zdecydowanie przewyższał używane wówczas przez obie strony karabiny odprzodowe. W czasie samej wojny secesyjnej karabiny powtarzalne nie znalazły szerszego zastosowania, przede wszystkim z powodu ograniczonych mocy produkcyjnych i skomplikowanej konstrukcji. Pomimo niewątpliwych zalet ich produkcja okazała się zbyt droga, by wyposażyć w nie wszystkie oddziały. W rezultacie karabinem tym dysponowali tylko zwiadowcy lub pojedynczy strzelcy wyborowi w regimentach, zresztą często sami kupowali go za prywatne pieniądze.

W 1861 r. został skonstruowany także inny wynalazek, który mógł zrewolucjonizować sposób prowadzenia wojny. Richard Gatling w 1862 r. opatentował swoją konstrukcję, a następnie przedstawił ją władzom wojskowym Unii. Jego kartacznica, będąca pierwowzorem karabinów maszynowych, nie wzbudziła jednak zainteresowania. W tym czasie wojska Unii używały podobnej konstrukcji, mianowicie kartacznicy Agera, która okazała się mało przydatna w walce. Mając niezbyt pozytywne doświadczenia z tego typu uzbrojeniem, decydenci z rezerwą odnosili się do projektu Gatlinga. Tymczasem skonstruowana przez niego broń, posiadająca 6 luf, pozwalała teoretycznie na oddanie 1200 strzałów na minutę. Amunicję stanowiły naboje zespolone, znajdujące się w magazynku zamontowanym pionowo nad lufami, które pod własnym ciężarem zasilają kolejne komory nabojoye. Siłę napędową mechanizmu stanowiła korba. Żołnierz, obracając ją, wprowadzał mechanizm w ruch, powodując odpalenie ładunku, po czym automatycznie następowało wyrzucenie pustej łuski. Konstrukcja Gatlinga stanowiła zapowiedź zmian na polach bitew, przede wszystkim znacznego wzrostu siły ognia. Nie została jednak wykorzystana w czasie wojny secesyjnej, gdyż konserwatywni oficerowie sceptycznie się odnosili do tej konstrukcji. Paradoksalnie, jako największą wadę wskazywano dużą szybkostrzelność prowadzącą do dużego zużycia amunicji, której przemysł nie byłby w stanie produkować w wystarczającej ilości.

To, co nie przyjęło się początkowo w Ameryce, spotkało się z zainteresowaniem w Europie, a konkretnie nad Sekwaną. Opierając się na projekcie Gatlinga, Francuz de Raffye skonstruował tzw. kartacznicę salwową. Pod względem konstrukcyjnym przypominała ona organki zamontowane na łożu artyleryjskim. Całość ładowano od tyłu za pomocą dysku dopasowanego do rozkładu luf, następnie zamykano zamek i odpalano pociski z wszystkich luf jednocześnie. Niestety, to nowe uzbrojenie nie uratowało Francji w 1870 r., ponieważ Francuzi traktowali je jako specyficzny rodzaj artylerii, nie zaś broń piechoty, co wpłynęło na niezbyt efektywny sposób użycia.

Zmiany następowały także w konstrukcji sprzętu artyleryjskiego, choć dopiero pod koniec XIX w. przybrały one powszechne rozmiary. Pojawiły się działa odtylcowe, które posiadały lufy gwintowane, dzięki czemu zwiększył się zasięg, celność, a przede wszystkim zdolność penetracji. Nowości techniczne w artylerii w pierwszej kolejności zastosowano na okrętach, gdyż podczas walk na morzu właśnie zasięg i siła przebicia odgrywały decydującą rolę. Zamiast kul zaczęto używać pocisków o przekroju stożkowym, które pokonując gwintowaną lufę, nabierały rotacji, przez co w znacznie większym stopniu niż okrągłe kule zachowywały trajektorię lotu. Natomiast na lądzie wciąż w użyciu pozostawały działa gładkolufowe ładowane od przodu, jak choćby słynne 12-funtowe „napoleony” stosowane przez obie strony w czasie wojny secesyjnej. Jedynie armia pruska masowo wykorzystywała gwintowane, ładowane odtylcowo działa Kruppa.

Lata 50. i 60. XIX w. były – jak widać – okresem bardzo burzliwym zarówno pod względem politycznym, jak też przemian w sposobie wojowania. Gdy w 1863 r. polscy patrioci wzniesli kolejne powstanie, w Europie ścierały się wielkie mocarstwa dążące do zdobycia hegemonii nie tylko na Starym Kontynencie, ale także na świecie. W tych tytanicznych rozgrywkach sprawa polska nie odgrywała większej roli i traktowana była jako wewnętrzny „problem” Rosji. Gdy w poszczególnych armiach wprowadzano nowoczesne uzbrojenie, powstańcy mogli liczyć jedynie na stare karabiny, zakupioną prywatnie broń myśliwską i tylko nieliczne egzemplarze nowoczesnej broni. Wiele oddziałów, niczym w czasie powstania kościuszkowskiego, posiadało wyłącznie kosy. W takich warunkach, bez wsparcia z zagranicy, nieliczni, słabo uzbrojeni polscy powstańcy skazani byli na porażkę. Tylko cud mógł spowodować, że historia potoczyłaby się inaczej. Jednak ludowe powiedzenie mówi, że jednak czasem cuda się zdarzają. Jak w takim razie potoczyłaby się historia? Jaki byłby los narodu, państwa, Europy, gdyby ten cud się zdarzył? Historykowi nie wolno gdybać. Na szczęście powieściopisarze nie muszą się trzymać tej zasady...

dr Paweł Korzeniowski  
Rzeszów, 11 listopada 2012 r.

## Biogramy

**Aleksander II Romanow (1818–1881)** – car Rosji. Najstarszy syn cara Mikołaja I. Po objęciu tronu w 1855 roku rozpoczął proces modernizacji państwa. W 1861 roku wprowadził reformę uwłaszczeniową, w 1864 roku zreorganizował sądownictwo, w następnych latach zreformował administrację samorządową. Początkowo w stosunku do Polaków prowadził dość łagodną politykę, znosząc w 1856 roku stan wojenny obowiązujący na terenie Królestwa Polskiego od końca powstania listopadowego oraz ogłaszając amnestię dla większości zesłanych na Syberię. To liberalne podejście skończyło się w chwili wybuchu powstania styczniowego, które zostało krwawo stłumione przez podległą mu armię. Dzięki carowi poprawiła się natomiast sytuacja polskich chłopów po powstaniu – w 1864 roku wprowadził reformę uwłaszczeniową na terenie Królestwa. Aleksander II, choć starał się uchodzić za nowoczesnego władcę, zdecydowanie przeciwstawiał się wszelkim ruchom opozycyjnym na terenie Rosji. Stał się obiektem ataków terrorystycznych – zginął w zamachu bombowym przeprowadzonym przez Polaka Ignacego Hryniewieckiego.

**Otto von Bismarck (1815–1898)** – polityk niemiecki, kanclerz, z wykształcenia prawnik. Działalność polityczną rozpoczął w 1845 roku jako poseł saskiego sejmiku prowincjonalnego. Bismarck uważał, że interes państwa powinien górować nad osobistymi poglądami politycznymi i wartościami moralnymi. Swój cel zamierzał osiągnąć „żelazem i krwią”. W 1871 roku doprowadził do zjednoczenia Niemiec. W tym samym roku rozpoczął też „Kulturkampf”, walkę z Kościołem katolickim, który próbował podporządkować państwu. Przeprowadził wiele reform gospodarczych i społecznych, stworzył nowatorski model państwa opiekuńczego, skrócił robotnikom czas pracy i wprowadził pakiet ubezpieczeń socjalnych. W 1863 roku zawarł z Rosją porozumienie wymierzone m.in. w powstanie styczniowe, tzw. konwencję Alvenslebena. Dla ludności polskiej w zaborze pruskim stał się symbolem ucisku narodowego i walki z polską kulturą. Wspierał niemiecką kolonizację na ziemiach polskich wią-



żącą się z wysiedleniem około 30 tys. Polaków, co przeszło do historii jak tzw. rugi bismarckowskie. Epoka rządów Bismarcka zakończyła się w 1888 roku, gdy tron objął cesarz Wilhelm II.

**Stanisław Brzóska** (1834–1865) – ksiądz katolicki, bohater powstania styczniowego. Po wyświęceniu na księdza w 1857 roku pełnił posługę duszpasterską w Sokołowie Podlaskim i Łukowie, gdzie szerzył idee niepodległościowe wśród chłopstwa. Po jednym z kazań został aresztowany i przez rok był więziony. Po wyjściu na wolność zaangażował się w konspiracyjny ruch niepodległościowy. Na początku powstania styczniowego walczył jako zwykły żołnierz. Brał udział w bitwie pod Siemiatyczami oraz starciach pod Woskrzenicami i Gręzówką. W dowód zasług Rząd Narodowy mianował go kapelanem wojsk powstańczych i awansował do stopnia generała. Po rozbiciu jego oddziału długo ukrywał się przed Rosjanami. Został schwytany 29 kwietnia 1865 roku we wsi Sypytki i skazany na karę śmierci przez powieszenie. Publiczna egzekucja odbyła się w Sokołowie Podlaskim. Duchowny był najdłużej walczącym i ukrywającym się bohaterem powstania styczniowego.

**John Ericsson** (1803–1889) – szwedzki konstruktor i wynalazca. W 1836 roku wynalazł i opatentował śrubę okrętową, która zrewolucjonizowała technologię budowy okrętów parowych. Mieszkał na stałe w Stanach Zjednoczonych, gdzie w czasie wojny secesyjnej (1861–1865) służył swoim talentem wojskom Północy. Zaprojektował pierwszy w historii wojskowości okręt pancerny USS „Monitor”, zbudowany 30 stycznia 1862 roku. Skuteczność tego okrętu wywarła wpływ na zmianę strategii prowadzenia walki przez marynarki wojenne na całym świecie.

**Zygmunt Szczęsny Feliński** (1822–1895) – arcybiskup, metropolita warszawski. Brał udział w powstaniu wielkopolskim, został ranny w bitwie pod Miłosławiem. W 1855 roku przyjął święcenia kapłańskie. W 1862 roku z rekomendacji cara Aleksandra II został metropolitą warszawskim. Wzywał do zaprzestania manifestacji patriotycznych i uspokojenia nastrojów społecznych, ale jednocześnie otworzył kościoły zamknięte w odwecie za demonstracje niepodległościowe i

spotykał się z przedstawicielami środowisk patriotycznych. Sympatią darzył stronnictwo „białych”. W chwili wybuchu powstania styczniowego przewodniczył zjazdowi kleru archidiecezji warszawskiej zwołanemu w celu podjęcia działań przeciwko konspiracyjnemu ruchowi niepodległościowemu w polskim Kościele katolickim. Poruszony tragedią powstańców wystosował do cara Aleksandra II list, błagając go o zaprzestanie eksterminacji ludności polskiej i nadanie Polsce swobód politycznych pod berłem carskim. Gdy Wielki Książę Konstanty odmówił przekazania listu carowi, opublikował go we francuskim „Monitorze”. W odwecie władze rosyjskie zesłały arcybiskupa na 20 lat do Jarosławia nad Wołgą. Uwolnił go papież Leon III. Feliński zamieszkał w Galicji, gdzie przebywał do końca życia. W 2009 roku został beatyfikowany przez papieża Benedykta XVI.

**Franciszek Józef I (1830–1916)** – cesarz Austro-Węgier z dynastii habsbursko-lotaryńskiej, syn cesarza Ferdynanda I. Sprawował władzę od 1848 roku. Aby uspokoić sytuację wewnętrzną w kraju i stłumić rewolucję na Węgrzech, poprosił cara Mikołaja I o interwencję wojskową. Początkowo jego rządy miały charakter autorytarny, a on sam kierował państwem poprzez premiera, księcia Felixa Schwarzenberga. Po objęciu osobistych rządów w 1852 roku przeprowadził głęboką reformę struktury państwa w duchu federalistycznym, nadając poszczególnym narodom wchodzącym w skład Austrii szeroką autonomię. W 1882 roku doprowadził do utworzenia bloku polityczno-militarnego z Niemcami i Włochami, zwanego Trójprzymierzem. Układ ten zapoczątkował proces uzależnienia się Austro-Węgier od Niemiec. Był jednym z najdłużej panujących władców w Europie. Zmarł w 1916 roku.

**Fryderyk August I Wettyn** (zw. też Fryderyk August III „Sprawiedliwy”, właśc. Fryderyk August Józef Maria Antoni Jan Nepomucen Alojzy Ksawery Wettyn, 1750–1827) – książę, elektor saski w latach 1763–1806. W powieści występuje pod postacią króla Jana Wettyna. Wnuk Augusta III Sasa, ostatniego króla Polski z dynastii Sasów. Według Konstytucji 3 maja z 1791 roku miał zasiąść na tronie Rzeczypospolitej. W epoce wojen napoleońskich początkowo opowiedział się po stronie Prus. Po klęsce wojsk pruskich przeszedł na

stronę cesarza Francji. Od 1806 roku panował na tronie saskim jako Fryderyk August I. Na mocy pokoju w Tylży z 7 lipca 1807 roku, podpisanego przez Francję, Prusy i Rosję, Fryderyk August został mianowany władcą utworzonego właśnie Księstwa Warszawskiego. Książę był zwolennikiem odtworzenia niepodległego Królestwa Polskiego. Podczas bitwy pod Lipskiem, która rozegrała się w dniach 16–19 października 1813 roku i zakończyła się przegraną Napoleona, dostał się do niewoli pruskiej. W 1815 roku w wyniku postanowień kongresu wiedeńskiego został pozbawiony tytułu księcia warszawskiego. Na tronie saskim panował aż do śmierci.

**Grzegorz XVI** (właśc. Bartolomeo Alberto Cappellari, 1765–1846) – papież. W 1787 uzyskał święcenia kapłańskie, w 1825 otrzymał sakrę kardynalską. Wybrany na papieża 2 lutego 1831 roku. Uchodził za jednego z najbardziej konserwatywnych papieży, stanowczo przeciwstawiał się rozdziałowi Kościoła od państwa, uznawał też, że władza kościelna powinna górować nad świecką. Wszelkie tendencje modernizacyjne uważał za niebezpieczne. Jego zachowawczość miała niekiedy wymiar wręcz groteskowy: na przykład zabronił na terenie Państwa Kościelnego instalacji oświetlenia gazowego i budowy kolei, określając tę ostatnią jako „drogę do piekła”. Potępił także powstanie listopadowe, nazywając jego uczestników „podłymi buntownikami”. Jednocześnie występował przeciwko niewolnictwu i był mecenasem sztuki. Osoba papieża Grzegorza XVI stała się pierwowzorem postaci Papieża w dramacie *Kordian* Juliusza Słowackiego.

**Józef Hauke** (pseud. „Bosak”, 1834–1871) – żołnierz, generał powstania styczniowego i działacz polityczny. Pochodził z polskiej rodziny powiązanej z dworem Mikołaja I, jego ojciec pełnił funkcję carskiego adiutanta. Po śmierci ojca trzyletni Józef został na rozkaz cara skierowany do elitarnej szkoły wojskowej. Brał udział w walkach polowych na Kaukazie w 1859 roku, odznaczając się odwagą w boju. Całkowicie oderwany od polskiej kultury, po raz pierwszy zetknął się z polskim środowiskiem politycznym w 1857 roku w Paryżu, gdzie pełnił misję dyplomatyczną. Odkrycie polskich korzeni przerodziło się w fascynację, która skłoniła go do rezygnacji ze służby wojskowej i przeniesienia się do Królestwa Polskiego. We wrześniu 1863 roku

został mianowany naczelnikiem powstania w województwach krakowskim i sandomierskim oraz awansowany do stopnia generała. Wtedy też przybrał pseudonim „Bosak” pochodzący od jego herbu szlacheckiego. Nie przyjął proponowanego mu stanowiska dyktatora powstania, natomiast okazał się zaufanym człowiekiem Romualda Traugutta. W październiku 1863 roku przeprowadził kilka udanych akcji zaczepnych, ale ostatecznie jego wojska zostały pobite 21 lutego 1864 roku pod Opatowem. Aż do kwietnia kontynuował walkę, potem zdecydował się na ucieczkę za granicę i zamieszkał w Genewie. Na emigracji angażował się w działalność polskich organizacji rewolucyjno-niepodległościowych.

**Leopold Kronenberg** (1812–1878) – polski fabrykant i potentat finansowy, działacz polityczny. Syn warszawskiego zamożnego kupca żydowskiego. Zwolennik pracy organicznej. Swoją potęgę finansową zbudował na zyskach z inwestycji w wielu różnych branżach gospodarczych. Ogromne dochody czerpał z dzierżawy monopolu tytoniowego, handlu, przemysłu przetwórczego oraz z przedsięwzięć finansowych. Był najbogatszym Polakiem swojej epoki. Z przekonania konserwatysta, aktywnie udzielał się w życiu politycznym, początkowo popierając margrabiego Aleksandra Wielopolskiego. W obliczu pierwszych demonstracji patriotycznych zainicjował utworzenie warszawskiej Delegacji Miejskiej, która w lutym 1861 roku podjęła się mediacji między polskimi środowiskami patriotycznymi a władzami carskimi. Przemysłowiec należał do ścisłej czołówki stronnictwa „białych”. W chwili wybuchu powstania styczniowego poparł działania zbrojne, dążąc do tego, by kierowali nim działacze o mniej radykalnych poglądach. Był zwolennikiem dyktatury gen. Mariana Langiewicza, a także głównym aktorem zakulisowych sporów między „białymi” a radykalnymi społecznie „czerwonymi”, w wyniku których na czele Rządu Narodowego stanął Karol Majewski. W czerwcu 1863 roku Kronenberg, poddany ostrej krytyce przez przeciwników politycznych i obawiając się rosyjskiego aresztowania, uciekł z kraju i przez 14 miesięcy przebywał na emigracji we Francji. Po powrocie przeszedł na pozycje ugodowe, rezygnując z działalności politycznej. Całkowicie poświęcił się działalności gospodarczej i społecznej. W

1875 roku założył Szkołę Handlową (obecnie Szkoła Główna Handlowa), objął także mecenatem Bibliotekę Warszawską. Kronenberg został sportretowany przez Józefa Ignacego Kraszewskiego w powieści *Roboty i prace*.

**Marian Langiewicz** (1827–1887) – dyktator powstania styczniowego. W 1848 roku brał udział w Wiośnie Ludów, walcząc w potyczce z Prusakami pod Trzemeszmem. Niepokojny duch, miał się wielu zajęć: był guwernerem, bibliotekarzem, a także żołnierzem w pruskim wojsku, gdzie dosłużył się stopnia porucznika. Studiował we Wrocławiu, Pradze i Berlinie. Latem 1860 roku wziął udział w słynnej wyprawie Giuseppe Garibaldiego, która doprowadziła do zjednoczenia Włoch. Rok później podjął się organizacji Polskiej Szkoły Wojskowej, jednak na skutek konfliktu z Ludwikiem Mierosławskim musiał ją opuścić. W styczniu 1863 roku wrócił na ziemie polskie, gdzie powierzono mu organizację armii powstańczej na terenie ówczesnego województwa sandomierskiego. Po pierwszych prowadzonych ze zmiennym szczęściem potyczkach zorganizował w Wąchocku obóz wojskowy. Dzięki pomyślnie przeprowadzonej akcji w okolicach Pieskowej Skąły zdobył ogromną popularność w społeczeństwie polskim i został mianowany generałem. Langiewicz był zwolennikiem radykalnych zmian społecznych, w tym uwłaszczenia chłopów, jego przekonania zbliżały go do stronnictwa „czerwonych”. Nie cofał się także przed rekwizycjami szlacheckich dóbr materialnych, przydatnych dla wojska. 11 marca 1863 roku z inicjatywy „białych” został dyktatorem powstania. Zwyciężył w jednej z najbardziej krwawych bitew powstania – bitwie pod Grochowiskami. 19 marca przedostał się do Austrii, gdzie został aresztowany i osadzony w Krakowie. Po kilku nieudanych próbach ucieczki przeniesiono go do twierdzy w Józefowie. Pozostał tam do końca powstania. Po uwolnieniu udał się na emigrację do Londynu, gdzie związał się z tajnymi organizacjami rewolucyjnymi. W 1866 roku pojechał do Turcji, aby wśród Słowian bałkańskich szerzyć ideę rewolucji demokratycznej. Zmarł w Konstantynopolu i został tam pochowany na cmentarzu angielskim.

**Ignacy Łukasiewicz** (1822–1882) – polski wynalazca, farmaceuta i twórca rodzimego przemysłu naftowego. Początkowo związał się z

konspiracyjnymi radykałami niepodległościowymi z Konfederacji Powszechnej Narodu Polskiego. W 1846 roku został przez władze cesarskie aresztowany, ale rok później zwolniony z braku dowodów. Zamieszkał we Lwowie, gdzie pracował w znanej aptece Pod Złotą Gwiazdą, której właścicielem był Piotr Mikolasch, następnie podjął studia farmaceutyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tam zainteresował się chemiczną obróbką ropy naftowej. W 1852 roku zajął się destylacją ropy, początkowo z myślą o wytwarzaniu preparatów leczniczych. Niepowodzenie tego przedsięwzięcia skłoniło wynalazcę do eksperymentów z rafinacją frakcjonowaną ropy naftowej do celów oświetleniowych, które zakończyły się sukcesem – Ignacy Łukasiewicz jako pierwszy człowiek na świecie uzyskał czystą naftę. W 1853 roku skonstruował pierwszą lampę naftową. W 1866 roku założył kasy ubezpieczeniowo-pożyczkowe, wypłacające robotnikom zatrudnionym w miejscowych kopalniach zasiłki chorobowe i renty inwalidzkie. Zainicjował także organizację kas gminnych udzielających chłopom bezprocentowych pożyczek. W latach 1877–1881 był posłem na Sejm Krajowy. Dzięki niemu uchwalono ustawy chroniące galicyjski przemysł naftowy i jego pracowników. Prowadził również działania na rzecz rozwoju oświaty na wsi i pomocy chłopskim dzieciom, a także pomagał dawnym powstańcom styczniowym, których zatrudniał w swoich kopalniach i rafineriach. Z powodu prowadzonej działalności charytatywnej lokalna społeczność nazywała go „ojcem Łukasiewiczem”.

**Karol Konstanty Majewski (1833–1897)** – polski działacz konspiracyjny i powstańczy, z wykształcenia agronom. W 1858 roku rozpoczął studia w Akademii Medyko-Chirurgicznej w Warszawie. Podczas nauki związał się z konspiracyjnym niepodległościowym ruchem akademickim, stając się pełnomocnikiem Ludwika Mierosławskiego. Był postacią kontrowersyjną ze względu na działalność polityczną obliczoną na uśmierzenie nastrojów powstańczych wśród polskich organizacji niepodległościowych. Popierał działalność Delegacji Miejskiej i skłaniał się ku stronnictwu „białych”. Próbował doprowadzić do fuzji „białych” i „czerwonych”. Prawdopodobnie z powodu niejednoznacznej działalności konspiracyjnej stracił poparcie Ludwika Miero-

sławskiego. Był wielokrotnie aresztowany przez władze carskie. Po odzyskaniu wolności w czerwcu 1863 roku zrekonstruował powstańczy Rząd Narodowy, wprowadzając do niego reprezentantów „białych” i umiarkowanych radykałów. Okres jego rządów, do września 1863 roku, to czas najintensywniejszych walk powstańczych. Historycy zarzucają Majewskiemu niewykorzystanie potencjału społecznego powstania, brak planu operacji wojskowych i biurokratyzację struktury administracji powstańczej. Nieudolność organizacyjna stała się powodem jego dymisji z rządu. Majewski, ponownie zatrzymany na przełomie lutego i marca 1864 roku, udzielił obszernych zeznań na temat swojej działalności i najprawdopodobniej ujawnił dane działaczy konspiracyjnych. Dzięki współpracy z zaborcą uniknął kary śmierci i wyrokiem sądu w 1866 roku został skazany na katorgę. W 1871 roku powrócił na ziemie polskie.

**James Clerk Maxwell (1831–1879)** – szkocki naukowiec i wynalazca. Urodzony w Edynburgu, syn zamożnego prawnika. Pierwszą pracę naukową opublikował w wieku 14 lat. Naukowo zajmował się fizyką i astronomią, związany był z uniwersytetem w Cambridge i Kings College w Londynie. W 1859 roku jako pierwszy opisał pierścienie Saturna, w 1873 roku ogłosił podstawy teorii pola elektromagnetycznego. Udowodnił także, że poprzez wymieszanie trzech barw podstawowych można uzyskać wszystkie barwy. Odkrycie to okazało się pomocne przy wykonaniu pierwszej fotografii barwnej.

**Dow Beer Meisels (1798–1870)** – rabin, polski działacz niepodległościowy. Podczas powstania listopadowego mieszkał w Krakowie, dostarczał broń polskiemu wojsku. Prowadził także działalność dobroczynną i walczył z antysemityzmem. Podczas powstania krakowskiego w 1846 roku stał na czele delegacji żydowskiej, której działania przyczyniły się do wydania odezwy o równouprawnieniu Izraelitów. W trakcie powstania wielkopolskiego, w 1848 roku, wydał odezwę potępiającą współpracę tamtejszych Żydów z zaborcą pruskim. W 1856 roku Meisels objął stanowisko rabina w Warszawie. Brał udział w demonstracjach patriotycznych w 1861 roku. Kiedy w październiku 1861 roku zamknięto warszawskie kościoły na znak protestu Kościoła katolickiego przeciwko represjom rosyjskim,

Meisels nakazał zamknięcie dwóch miejskich synagog. Wkrótce został aresztowany, a po interwencji konsula austriackiego wydalony z Królestwa na początku 1862 roku. Wrócił do Warszawy dopiero po złożeniu obietnicy lojalności wobec cara. W trakcie powstania styczniowego nie angażował się w działania zbrojne, lecz zabiegał o łaskę dla przedstawicieli ludności żydowskiej zaangażowanych w powstanie. Uczestniczył w negocjacjach między polskimi konserwatystami a władzami rosyjskimi dotyczącymi zaprzestania działań wojennych. Ponownie wyrzucony z Królestwa Polskiego, wrócił do Warszawy dopiero po upadku powstania, gdzie żył pod kontrolą policyjną.

**Ludwik Mierosławski (1814–1878)** – polityk emigracyjny, oficer, historyk wojskowości. Urodził się we Francji w rodzinie polsko-francuskiej. W 1820 roku wraz z rodziną przeniósł się do Łomży. Pobierał nauki w kaliskim korpusie kadetów. Brał udział w nocy listopadowej, m.in. w ataku na Arsenał. Po upadku powstania przedostał się do Francji, gdzie uzyskał obywatelstwo tego kraju. W 1834 roku wstąpił do powiązanej z ruchem Giuseppe Mazziniego organizacji Młoda Polska. W 1843 roku wstąpił do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. W 1845 roku, gdy powierzono mu funkcję naczelnego wodza powstania wielkopolskiego, przedostał się na ziemię poznańską. Został jednak zadenuncjowany i w 1846 roku aresztowany pod Gnieznem. Podczas śledztwa złożył zeznania obciążające wielu konspiratorów niepodległościowych. Przeniesiono go do Berlina i skazano na karę śmierci. Uratowała go berlińska rewolucja marcową, podczas której tłum otworzył bramy więzienia, w którym przetrzymywano Mierosławskiego. Odzyskawszy wolność, wyruszył do Wielkopolski, gdzie 10 kwietnia 1848 roku został we Wrześni ponownie wybrany naczelnym wodzem. Powstanie wielkopolskie nie miało jednak szans powodzenia. Naczelnny wódz po przegranej pod Książem i ciężkich bitwach pod Miłosławiem oraz Sokołowem został pojmany przez Prusaków. Uwolniono go dzięki francuskiej interwencji dyplomatycznej. Z powodu trudnego charakteru niełatwe okazały się jego kontakty z rodzimym konspiracyjnym ruchem narodowyzwoleńczym. Po wybuchu powstania styczniowego Komitet Narodowy Centralny mianował go jego pierwszym dyktatorem. Miero-



sławski przybył do kraju w końcu stycznia 1863 roku, ale po dwóch przegranych bitwach zdecydował się na ucieczkę za granicę. Po wyjeździe nie zrzekł się stanowiska dyktatora, spiskował przeciw Marianowi Langiewiczowi, w końcu poparł wybór Karola Majewskiego na przywódcę Rządu Narodowego. Romuald Traugutt zdymisjonował go ze stanowiska naczelnego wodza. Mierosławski dał się poznać także jako projektant prototypów maszyn wojennych, specjalnych kuloodpornych tarcz i tornistrów bojowych.

**Michaił Murawjow** (zw. „Wieszatiel”, 1796–1866) – rosyjski wojskowy i polityk. Brał udział w ruchu spiskowym przeciwko caratowi. W trakcie śledztwa został oczyszczony z zarzutów. Wydarzenie to wpłynęło na jego ideową metamorfozę, z młodego rewolucjonisty stał się zawziętym konserwatystą i nacjonalistą. Poświęcił się karierze urzędniczej. W 1839 roku awansował na członka tajnej rady cesarskiej i dyrektora państwowego departamentu podatkowego. W 1849 roku wszedł do Rady Państwa, a następnie został ministrem dóbr państwowych. Odznaczał się żelazną konsekwencją w wykonywaniu nawet najbardziej brutalnych carskich rozkazów. Szczególną bezwzględnością odznaczył się przy likwidacji powstania styczniowego. Gdy w 1863 roku powierzono mu funkcję generał-gubernatora Litwy, walczył z wszelkimi przejawami polskich wpływów na tym terenie. Ze względu na zarządzanie zbiorowych egzekucji publicznych przyłgnął do niego przydomek „Wieszatiel”. Represjom poddano prawie 10 tys. osób, z czego większość aresztowano i wysłano na katorgę. Organizowane na jego rozkaz prześladowania objęły także Kościół katolicki. Był też inicjatorem rusyfikacji szkół i prowadzenia kolonistów rosyjskich. Za zasługi w tłumieniu powstania styczniowego uzyskał tytuł szlachecki. Dla Polaków stał się symbolem zaborczego ucisku.

**Karol Olszewski** (1846–1915) – wybitny polski chemik, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1866 roku podjął studia na wydziale chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doktoryzował się w Heidelbergu, habilitował się w 1872 roku w Krakowie. Dziełem jego życia okazało się skroplenie w 1883 roku tlenu, azotu i tlenku węgla. Sprowadzenie tych gazów do stanu cieczy umożliwiło wykorzystanie ich

w kriogenice. Olszewski dokonał tego odkrycia razem z Zygmuntem Wróblewskim, z którym jednak z niewiadomych przyczyn zerwał współpracę. Rok później samodzielnie doprowadził do skroplenia wodoru, skonstruował także najnowocześniejszy w tym czasie aparat do skraplania gazów. Olszewski doprowadził także do stworzenia pierwszego na świecie laboratorium kriogenicznego, w którym w 1895 roku dokonał skroplenia argonu. Odkrycie to przyniosło naukowcowi światowe uznanie. Na przełomie XIX i XX wieku uchodził za niekwestionowany autorytet w dziedzinie kriogeniki. Za swoje osiągnięcia naukowe został nominowany do Nagrody Nobla.

**Iwan Fiodorowicz Paskiewicz** (1782–1856) – generał rosyjski. Uznawany za jednego najwybitniejszych wodzów rosyjskich. Należał do najbardziej zaufanych ludzi cara Mikołaja I. Był autorem sukcesu Rosji w wojnie z Persją (1826–1828). Mianowany naczelnym wodzem armii rosyjskiej, pacyfikującej powstanie listopadowe, odznaczył się wyjątkowym okrucieństwem. Od 1832 roku aż do śmierci pełnił funkcję namiestnika Królestwa Polskiego, będąc bezwzględny realizatorem polityki rusyfikacyjnej. Okres jego rządów przeszedł do historii Polski pod nazwą „nocy paskiewiczowskiej”. W 1849 roku na czele rosyjskiego korpusu ekspedycyjnego brał udział w tłumieniu powstania na Węgrzech, a na czele Armii Naddunajskiej – w wojnie krymskiej. Za zasługi wojenne otrzymał stopień generała-feldmarszałka.

**Emilia Plater** (1806–1831) – bohaterka powstania listopadowego. O jej życiu osobistym niewiele wiadomo. Jej losy wiążą się ściśle z wydarzeniami powstania listopadowego, trudno jednak dociec, co w jej powstańczej biografii było rzeczywistością, a co legendą. Wiadomo, że sformowała oddział partyzancki, który na przełomie marca i kwietnia 1831 roku zadał Rosjanom znaczne straty. Pod koniec kwietnia Plater dołączyła ze swoimi ludźmi do większego zgrupowania dowodzonego przez Karola Załuskiego. Wraz z nim poniosła klęskę w walkach pod Prestowinami. Na początku czerwca jej oddział dołączył do kawalerii gen. Dezyderego Chłapowskiego, który chciał, aby Plater przeszła do cywila. Wobec odmowy nadał jej stopień kapitana i przekazał dowództwo honorowe nad 1. kompanią 25. Pułku Piechoty Liniowej. Po przegranej gen. Antoniego Giełguda pod Wil-

nem kompania została zmuszona do ucieczki. Kiedy gen. Giełgud zdecydował się przekroczyć granicę pruską, Plater uznała ten krok za narodową hańbę. Postanowiła przedostać się do Warszawy w chłopskim przebraniu, trudy podróży spowodowały, że poważnie zachorowała. Rekonwalescencję odbywała w dworze Ignacego Abramowicza w Justianowie na Podlasiu. Tam zmarła po długiej chorobie. Jako żołnierz odznaczała się dużą odwagą i rozważą w boju.

**Pius IX** (właśc. Giovanni Maria Mastai Ferretti, 1792–1878) – papież. W 1827 roku uzyskał sakrę biskupią, w 1840 roku otrzymał godność kardynała. 16 czerwca 1846 roku konklawe wybrało go na papieża. W pierwszych latach pontyfikatu uchodził za liberała, lecz pod wpływem wydarzeń Wiosny Ludów stał się bardzo zachowawczy. Zdecydowanie przeciwstawiał się wszelkim zmianom w społeczeństwach europejskich: rozdziałowi Kościoła od państwa, wolności wypowiedzi i religii. Nie uznawał ideologii lewicowych, propagował też prymat religii nad nauką. W trakcie obrad I Soboru Watykańskiego (1869–1870) głosił dogmat o nieomyślności papieża w kwestii wiary i obyczajów. Jednocześnie stanowczo potępił niemiecki Kulturkampf, a także Rosjan za okrutne stłumienie powstania styczniowego, wzywając katolików na całym świecie do modlitwy za Polskę. Pontyfikat Piusa IX był jednym z najdłuższych w historii Kościoła. We wrześniu 2000 roku został ogłoszony błogosławionym przez papieża Jana Pawła II.

**Nikoła Tesla** (1856–1943) – genialny wynalazca i elektrotechnik. Studiował na politechnice w Grazu i Uniwersytecie Karola w Pradze, ale po śmierci ojca przerwał naukę i podjął pracę w branży telegraficznej w Budapeszcie i Paryżu. W 1884 roku przeniósł się na stałe do Stanów Zjednoczonych. Krótco współpracował z Edisonem. Tesla zajmował się głównie badaniem pola elektromagnetycznego. Do jego największych odkryć należało skonstruowanie w 1883 roku silnika indukcyjnego, a pięć lat później silnika i transformatora prądu zmiennego, które zrewolucjonizowały ówczesną elektrotechnikę. Należał do wielkich wizjonerów nauki, porównywanym z Leonardem da Vinci. Na cześć wynalazcy jednostkę indukcji magnetycznej nazwano tesłą.

**Romuald Traugutt** (pseud. „Michał Czarnecki”, 1826–1864) – polski wojskowy, ostatni dyktator powstania styczniowego. Służył w armii rosyjskiej, jako żołnierz armii dowodzonej przez gen. Iwana Paskiewicza tłumił w 1848 roku powstanie węgierskie. W latach 1853–1856 brał udział w wojnie krymskiej. Za zasługi wojenne otrzymał stopień sztabkapitana oraz, jako jeden z niewielu polskich oficerów, został adiutantem rosyjskiego Sztabu Drugiej Armii. Błyskotliwa kariera wojskowa Traugutta została zakłócona pasmem osobistych tragedii. W ciągu kilku miesięcy, między 1859 i 1860 rokiem, zmarli kolejno: jego babka Justyna, najmłodsza córka, żona Anna i najmłodszy syn. Ciężar bólu doprowadził go do załamania nerwowego. Służbę w wojsku rosyjskim zakończył w 1862 roku w stopniu podpułkownika. Do powstania styczniowego przystąpił dosyć późno, w kwietniu 1863 roku. Wstąpił się rozbitciem 17 maja 1863 roku rotę piechoty i oddziału kozaków carskich pod Horkami. Walczył ze zmiennym szczęściem do 17 lipca, kiedy to przegrał bitwę pod Kołodnem. Zmęczony wojennymi trudami zażywał odpoczynku w Ludwinowie, majątku ziemskim należącym do pisarki Elizy Orzeszkowej. Pod koniec lipca przybył do Warszawy, gdzie nawiązał kontakt z Rządem Narodowym. Został awansowany na generała, powierzono mu także misję organizacji pomocy dla powstania za granicą. W tym celu udał się do Wiednia i Paryża, jednak jego podróż nie przyniosła żadnych efektów. Po powrocie do Warszawy w październiku 1863 roku i upadku Rządu Narodowego objął dyktaturę nad powstaniem. Dekretem z 15 grudnia 1863 roku przeprowadził reorganizację oddziałów powstańczych, wprowadzając strukturę regularnej armii i ujednolicając jej dowództwo terenowe. Starał się utrzymać chłopów przy powstaniu – powołał więc delegatów powiatowych, którzy mieli zająć się realizacją dekretu uwłaszczeniowego ogłoszonego w manifestie powstańczym. Wiosną 1864 roku podpisał układ z Komitetem Narodowym Węgierskim w celu prowadzenia wspólnej walki przeciwko zaborcom. Kontaktował się także z Giuseppe Garibaldim w sprawie pomocy wojskowej. Energiczna działalność organizacyjna i śmiałe reformy społeczne przyszły jednak zbyt późno, by odwrócić los powstania. 11 kwietnia 1864 roku pacyfikujący Królestwo Polskie

Rosjanie aresztowali dyktatora. Po czteromiesięcznym śledztwie został skazany na śmierć i 5 sierpnia 1864 roku stracony przez powieszenie na stoku warszawskiej Cytadeli.

**Fiodor Fiodorowicz Trepow** (1803–1889) – rosyjski wojskowy. Jeden z generałów carskich likwidujących zarówno powstanie listopadowe, jak i styczniowe. Zwierzchnik policji rosyjskiej najpierw w Warszawie (1860–1861), a następnie w Królestwie Polskim w randze generała policmajstra (1863–1866). Był odpowiedzialny za krwawe tłumienie manifestacji patriotycznych w Warszawie. W dowód zasług w walce z powstańcami styczniowymi został awansowany na stanowisko oberpolicmajstra w Sankt Petersburgu. W ciągu dalszej kariery wojskowej pełnił funkcję generała adiutanta, w 1878 roku dosłużył się stopnia generała kawalerii.

**Aleksander Wielopolski** (margrabia Gonzaga Myszkowski, 1803–1877) – konserwatywny polityk, ziemianin, potomek ordynatów pińczowskich. Studiował na uniwersytetach w Warszawie i Getyndze. W czasie powstania listopadowego pełnił misję dyplomatyczną w Londynie z ramienia Rządu Narodowego. Był jednym z najbardziej kontrowersyjnych polityków w historii Polski, opowiadał się za trwałym sojuszem z Rosją. Był też przeciwnikiem zarówno konspiracyjnego ruchu niepodległościowego, jak i środowiska organicznikowskiego skupionego wokół hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, zwolennikiem tłumienia manifestacji patriotycznych organizowanych od 1861 roku. Piastował wysokie godności w Królestwie Polskim: w 1861 roku został dyrektorem Komisji Rządowej i Oświecenia Publicznego, w następnym roku – naczelnikiem rządu cywilnego Królestwa. Założył Szkołę Główną Warszawską, zatwierdził zniesienie pańszczyzny, oczynszowanie chłopów i równouprawnienie Żydów. Pod jego rządami spolonizowano kadre urzędniczą w Królestwie. Był inicjatorem „branki”, przymusowego poboru do wojska rosyjskiego przeprowadzonego w nocy z 14 na 15 stycznia 1863 roku, który stał się katalizatorem wybuchu powstania styczniowego. W trakcie działań wojennych został zdymisjonowany. Popadłszy w niełaskę Rosjan i znienawidzony przez Polaków, usunął się w cień. Wyjechał do Drezna, gdzie mieszkał do końca życia.

**Wilhelm I Hohenzollern** (zw. „Białobrody”, 1797–1888) – król pruski i cesarz niemiecki. Był synem króla Prus Fryderyka Wilhelma III Pruskiego i Luizy z dynastii meklemburskiej. W 1858 roku objął stanowisko regenta Prus, w 1861 roku został królem. W sprawach państwowych często nie zgadzał się z premierem Bismarckiem. Początkowo był niechętny zjednoczeniu Niemiec kosztem Austrii. Zwycięstwo nad Francją w 1871 roku, które doprowadziło do zjednoczenia Niemiec, dało Wilhelmowi koronę cesarską. Pod koniec rządów zabiegał o wzmocnienie współpracy między Niemcami, Rosją i Austro-Węgrami. Był celem kilku zamachów terrorystycznych dokonywanych przez działaczy socjalistycznych, jednak wyszedł z tego obronną ręką. Przydomek „Białobrody” miał nawiązywać do Fryderyka I Barbarossy zwanego „Rudobrodym”, jednego z jego średnio-wiecznych poprzedników.

**Zygmunt Wróblewski** (1845–1888) – wybitny polski fizyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był bratem Edwarda Wróblewskiego, chemika i asystenta Dymitra Mendelejewa. Rozpoczął studia matematyczne i fizyczne na Uniwersytecie Kijowskim, ale przerwał naukę, aby wziąć udział w powstaniu styczniowym. Aresztowany, został na sześć lat zesłany do Tomsku. Po powrocie z zesłania wyjechał na studia do Berlina, następnie do Heidelbergu. Doktorat z fizycznej analizy zjawiska elektryczności obronił w Monachium w 1874 roku. Dzięki stypendium Akademii Umiejętności kontynuował studia w Oksfordzie i Cambridge, a także w Paryżu, gdzie badał zjawisko ciśnienia i skraplania gazów. W 1882 roku wrócił do Krakowa i już jako profesor objął katedrę fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Rok później asystował Karolowi Olszewskiemu w udanym skropleniu tlenu i azotu. Sam zajmował się badaniem właściwości dwutlenku węgla i wodoru. Zmarł tragicznie z powodu poparzeń w trakcie pracy w laboratorium. W 1976 roku jego imieniem został nazwany jeden z kraterów na Księżycu.

**Andrzej Zamoyski** (1800–1874) – arystokrata, polityk, działacz społeczny. Był synem Stanisława Kostki Zamoyskiego i Zofii z domu Czartoryskiej. Od 1825 roku pełnił funkcję dyrektora Wydziału Rolnictwa i Handlu w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji

Królestwa Polskiego. Podczas powstania listopadowego reprezentował Rząd Narodowy w Wiedniu. Po powrocie do Kongresówki wspierał rozwój rodzimej gospodarki, między innymi obejmując w 1850 roku przewodnictwo Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. W 1858 roku zainicjował stworzenie Towarzystwa Rolniczego, pierwszej niezależnej organizacji społecznej na terenie Królestwa, w której objął stanowisko prezesa. Propagował zniesienie pańszczyzny i szerzenie oświaty wśród włościan. Był konserwatywnym politykiem, jednym z liderów konspiracyjnej organizacji „białych”, zwolennikiem autonomii Królestwa Polskiego z zachowaniem konstytucji z 1815 roku. W 1862 roku został wydalony z kraju. Mieszkał w Paryżu, Wiedniu, aby ostatecznie osiąść w Krakowie.

# Tygodnik Ilustrowany





Nr 226.



Teksty: Michał Smętek, Ilustracje i skład: Tomasz Pirowski,  
Ilustracja lektkochoła: Jarosław Masiał



Warszawa, 22 stycznia 1864 r.



### Do Warszawy przyjechał James Clerk Maxwell!

Wczoraj rano po długiej i wyczerpującej podróży naszą stolicę zaszczylił swą wirtuozijną szkocki uczyony James Clerk Maxwell. W Zjednoczonym Królestwie zajmuje się zjawiskami elektryczności i magnetyzmu; twierdzi, że są one tym samym i nazywa je elektromagnetyzmem. Dwa lata temu ogłosił, iż światło jest falą elektromagnetyczną. Ma też osiągnięcia w dziedzinie fotografii. Jako pierwszym udało mu się wykonać kolorowy wizerunek fotograficzny. Do Królestwa Polskiego przybył na zaproszenie Rządu Narodowego i już na dworcu został przywitany z igraszką sławotnością, co przyznał szczerze warszawcy. Zadziwiający wszystkich godną podziwu werwą, prosto ze stacji udał się do Resury, gdzie mieści się siedziba warszawskich kopców, w celu wygłoszenia wykładu o falach elektromagnetycznych. Mimo wielce uczonego charakteru odczytu frekwencja dopisała; chętni stali nawet

## Tryumf Modelu II

wielki sukces  
polskiej strategii!

Wiadomość z ostatniej chwili: Moskale odparci! Wczorajszego dnia podczas pozorowanego odnośtu twarchochodów Model I generał Emilia Plater rzuciła zienacka do boja naszą damą techniczną – „Smoleńską”, „Kluszyn” i „Ośca” wdały się między szeregi carskich żołnierzy i dosłownie dokonały egzekucji. Według niepotwierdzonych na razie źródeł Rosjanie stracili dwadzieścia – trzydzieści tysięcy żołnierzy, a reszta uciekła, porzucając po drodze uzbrojenie i ekwipunek. „W obliczu takich strat pokój z Rosją i wyzwolenie Litwy to tylko kwestia czasu – twierdzi generał Emilia Plater. – Nasza przewaga jest miążdżąca”. „Rosja po raz kolejny po wojnie krymskiej pokazała, że w istocie jest kołosem na glinianych nogach – wypowiedział się minister dyplomacji Emil Starogrodzki. – Car z pewnością też to zrozumiał i w tej chwili naradza się ze swoimi doradcami, jak najkorzystniej wynegocjować warunki rozejmu. Ze swojej strony mogą zapewnić, że moment powrotu Litwy i Ukrainy do Korony jest coraz bliższy”. 38

na zewnątrz, chwytając pojedyncze słowa wylatujące przez okna. Potem nastąpiła uroczysta kolacja na Zamku Królewskim z udziałem wszystkich oficjeli, z Romualdem Trauguttem włącznie, podczas której naczelnik obwieszczył, jakie nadaje Rząd Narodowy wiąże z osobą słynnego uczonego. Okazuje się, że od kilku miesięcy trwają prace nad uruchomieniem w kraju telegrafu... bez drutów! Napełnił trudno nam sobie wyobrazić takie nowum, w związku z czym o zdanie spytaliśmy Stanisława Przystańskiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, dziekana Wydziału Matematyczno-Fizycznego, autora artykułu „O machinach elektro-magnetycznych”, a także jednego z członków projektu.

– Rzeczywiście, w związku z moją specjalizacją naukową, jaką jest elektromagnetyzm, zostałem zaproszony do udziału w przedsięwzięciu. Z damą mogę stwierdzić, że udało nam się dokonać naukowego przełomu, który zmieni sposób prowadzenia wojen w stopniu jeszcze większym, niż uczyniły to twarchochody. Nic więcej nie mogę powiedzieć – wiąże mnie tajemnica naukowa – poza tym, że Polacy wciąż nie powiedzieli ostatniego słowa w rozwoju nauki. 39

### Romuald Traugutt regentem Królestwa Polskiego

Dzisiaj w pobudnie na Zamku Królewskim Romuald Traugutt uroczystie obejmie funkcję regenta Królestwa Polskiego. Zgodnie z Konstytucją trzecionajową tron polski przypada członkom królewskiego rodu Wettynów. W tej chwili król Saksonii Jan norwała, czy osobiście przyjąć koronę, łącząc Saksonię z Polską unią personalną, czy przekazać tron swemu synowi. „Nie da się ukryć, że ze strategicznego punktu widzenia najkorzystniejsze byłoby połączenie potencjałów Saksonii i Polski – twierdzi jeden z najbliższych współpracowników Romualda Traugutta. – Z drugiej strony Polacy mają już dość tego, że dwie monarchie jest poza Warszawą. Ze względów prestiżowych najkorzystniej byłoby, gdyby ksiądz Fryderyk Jerzy koronował się na króla i rezydował w Polsce”. 38



Jego Ekscelencja Romuald Traugutt



### Niedoszły skandal w węgrowskiej winiarni

W marcu podczas późnych godzin wieczornych grupa żołnierzy generała Falconettiego wracała z obierzy, a że nie dość im było na ten dzień trunków, zaczęli dobijać się do pobliskiej winiarni, prowadzonej przez szanowanego członka lokalnej społeczności Józefa Browarskiego. Ponieważ walnie w beznę i wydławanie głośniejszych okrzyków (zidentyfikowano później przynajmniej siedem różnych języków, w tym turecki; skąd jednak ówświadczenie wiedzieć, jak brzmia turecki?) nie przyniosło oczekiwanych rezultatów, awanturnicy zdemontowali świeżo postawioną latarnię i za pomocą tak zaoprowizowanego taranta wyważyli beznę. Słorosowsy główną przeszkodę, ruszyli szturmem na piwniczkę winiarni, po drodze zamykając protestującego właściciela w jego własnej wpialni i biorąc – jak to ujął później „za przewodniczkę” – jego nadobną córkę jodymaczkę, lat ledwie 16. W ten sposób objęli w posiadanie zapasy zaccnego wina, a następnie opróżnili beznę i w kolejności chronologicznej, przy każdym roczniku opijając stosowną do niego batalię i wykonując się tym samym nieprzeciętną znajomością historii wojennej. Biesiada ta trwała do 1853 roku i toasta za bisurmańskie dusze poległych pod Synopą, po czym została gwałtownie przerwana interwencją żandarmerii. Awanturnicy zostali przykładnie skarani tygodniem aresztu oraz obowiązkowymi pracami na rzecz napewany wyrządzonej szkód. O dzieło, wstawiła się za nimi córka winiarza, podkreślając dobre traktowanie, jakie zaszła z ich strony. Trzy miesiące później wydało się, na czym ono polegało, kiedy brzech „przewodniczką” był coraz trudniejszy do ukrycia... Wobec trudności z ustaleniem ojcowskiego skandalu wydawał się nieskonieczny. Na szczęście uczestnicy zajęcia ofiarnie zdecydowali się ciągnąć słuski, po czym za ojca został uznany Hiszpan Alphonso Pérez i to on pojął za żonę winiarniczkę. W zastawinach brał udział sam generał Falconetti, któregoś obito, ale jeśli dzieckiem okaże się syn (w co nikt nie wątpił, dostanie imię po słynnym kondotierze.



Przyjmujemy zamówienia na LEKKOCHÓDY, bezkolne karoty poruszane za pomocą słynnej w całym Królestwie pędzi Łukasiewicz. Do obsługi walców wystarczy dwóch wykształconych specjalistów, a w kabine zmieści się sześć pasażerów (niezależnie od przystosowania zamówienia do potrzeb konkretnego odbiorcy). Wózek porusza się z prędkością lekomyjny parowej, ale nie jest ograniczony do drogi żelaznej. Powierzba przystosowana do transportu.  
Zamówienie zostanie uznane za ważne dopiero po wpłaceniu należności w wysokości 47% ceny ostatecznej.  
Uwaga: przez wzięcie na wyśłek wojenny realizacja zamówień nastąpi dopiero PO ostatecznym zwycięstwie nad zaborcą. Pieniądze z saliterek zostaną spoytykowane na nową technologię salitrową.

Zamawiając lekkochody – wspierasz polski przemysł zbrojeniowy!

## TAK BYŁO NAPRAWDĘ

### KALENDARIUM POWSTANIA STYCZNIOWEGO

**1856** – zakończenie wojny krymskiej Klęka Rojji w tej wojnie i prowadzenie przez cara Aleksandra II Romanowa liberalnej polityki, określonej odwołaniem państwowości, umożliwiły polskim królom politycznym i gospodarczym zwiększenie aktywności. Powstała pierwszych studenckich konspiracyjnych organizacji niepodległościowych.

**CZERWIEC 1860** – pogrzeb wdowy po bohaterze powstania listopadowego gen. Józefie Swobidkim zapoczątkował serię manifestacji patriotycznych, krwawo tłumionych przez rzymskiego zabójcę.

**27 LUTEGO 1861** – policy działacze polityczni, wchodzący w skład warszawskiej Delegacji Miejskiej z Leopoldem Kronenbergiem na czele, złożyli na ręce namiestnika Michała Gorzałkowskiego tzw. adres do cara, domagając się w nim przywrócenia swobód narodowych w Królestwie Polskim.

**MARZEC 1861** – margrabia Aleksander Wielopolski, polski polityk lojalny wobec zaborczy, został mianowany dyrektorem Komisji Wymiaru i Oświecenia Publicznego w Królestwie Polskim.

**17 PAŹDZIERNIKA 1861** – powołanie do życia tzw. „Komiteta”, przekształconego później w Komitet Centralny Narodowy, najwyższej władzy konspiracyjnego stronnictwa „czarowych” – radykalnych działaczy niepodległościowych dążących do militarnej konfrontacji z carem i zaborcą. Stronnictwo „czarowych” łączyło ideę niepodległości ojczyzny z koncepcją głębokich reform społecznych. Głównymi działaczami Komiteta byli Jarosław Dąbrowski, Zygmunt Padlewski i Stefan Bobrowski.

**GRUDZIEŃ 1861** – konkurencyjne stronnictwo „białych”, złożone z reprezentantów środowisk mieszczańskich i ziemian, utworzyło Dyрекcyję Krajową. Działacze tej frakcji konspiracyjnej z rezerwą odwołali się do idei powstania „białego” stał na stanowisku, iż smięjęte zabiegi dyplomatyczne polskich polityków emigrujących władają przetrwać macarstwu zachodnie do interwencji wojskowej, która przyniosłaby niepodległość Rzeczypospolitej. Do członków

reprezentantów tego środowiska należeli Leopold Kronenberg i Andrzej Artur Zamojski.

**CZERWIEC 1862** – margrabia Aleksander Wielopolski został mianowany namiestnikiem rządu cywilnego w Królestwie Polskim. Wprowadził w życie wieli reform w administracji i oświacie będących wyrazem dążeń do autonomii politycznej Królestwa.

**JESIEŃ 1862** – przypięszenie przygotowań „czarowych” do powstania. Organizacja, w szeregu której pod koniec 1862 roku działało około 20 tysięcy konspiratorów, rozpoczęła gromadzenie broni i szkolenie wojskowe przyszłych powstańców.

**6 PAŹDZIERNIKA 1862** – Aleksander Wielopolski z dymem dowiedział się o planach powstańczych i zarządził przemocowy pobór co tysięcy mężczyzn do wojska rzymskiego. Akcja, która przeszła do historii pod nazwą „branki”, stała się katalizatorem wybuchu powstania.

**22 STYCZNIA 1863** – powstańcy Tymczasowy Rząd Narodowy ogłosił manifest wywołujący narząd do walki z zaborcą, a także zapowiadający wstrzymanie obłąpów.

**ROZIEC STYCZNIA – POZĄTEK LUTEGO 1863** – wiele walk i potyczek z carem armią. Decyzję o wybuchu powstania pomimo sporów paparla frakcja „białych”. Plan oparowania miasta gubernialnego Płocka i stworzenia w nim bazy powstańczej sformułował się faktem. Po przegraniu dwóch potyczek pierwszy dyktator powstania Ludwik Mierosławski udał się na emigrację.

**8 LUTEGO 1863** – podpisanie konwencji Alencóna, układu polityczno-wojskowego między Prusami i Rosją wymierzony przeciwko powstaniu w Królestwie Polskim.

**12 MARCA 1863** – dyktatorem powstania został jeden z dowódców powstańczych, gen. Marian Langiewicz.

**19 MARCA 1863** – po zwycięskiej bitwie pod Gruchowiskami gen. Marian Langiewicz przekroczył granicę Austrii, gdzie został internowany.

**10 MAJA 1863** – powołano do życia pięcioletni Rząd Narodowy, który usprawnił i uzmocnił strukturę organizacyjną powstania.

**MAJ – SIERPIEŃ 1863** – apogium walk powstańczych. W tym okresie stoczono około 500 bitew i potyczek, czyli około 40 procent wszystkich zmagani wojennych powstania styczniowego.

**17 PAŹDZIERNIKA 1863** – funkcję dyktatora objął Romuald Traugott.

**15 GRUDNIA 1863** – rozkazem Romualda Traugotta dokonano ostatecznej reorganizacji oddziałów powstańczych, wprowadzając regularną strukturę wojskową z podziałem na kompanie, bataliony i pułki. Tak potrzebne reformy zostały wprowadzone zbyt późno, aby zapobiec klęce powstania.

**21 LUTEGO 1864** – bitwa pod Opatowem dwutyścinowego korpusu królewskiego, dowodzonego przez gen. Józefa Hauke-Bosaka, sformowała się powstania styczniowego.

**29 LUTEGO 1864** – Austria wprowadziła stan obłątania na terenie Galicji, skutkiem odwołując drogi naprzetrzenia dla powstańców na terenie Królestwa Polskiego.

**2 MARCA 1864** – ogłoszenie carskiego ukazu o wstrzymaniu obłąpów i przyznaniu wolnościom ziemi na wolności. Dobrot ten przyczynił się do odwołania tej ustawy społecznej od powstania.

**11 KWIEŹNIA 1864** – aresztowanie Romualda Traugotta wraz z współpracownikami: Janem Jeziorotkim, Rafałem Krajewskim, Józefem Tyczyńskim i Romanem Żalotkim.

**5 SIERPNIA 1864** – stracono na stokach Cytadeli w Warszawie Romualda Traugotta.

**23 MAJA 1865** – powieszenie dowódcy ostatecznego oddziału powstańczego ks. Stanisława Brzóska.

## O autorze



Konrad T. Lewandowski – pisarz fantasy, science fiction i powieści kryminalnych, dziennikarz, redaktor, publicysta, inżynier chemik, doktor filozofii. Współpracował z „Nową Fantastyką”, „Przeglądem Technicznym”, „Sprawami Nauki”, „Lampą”. W 1995 roku został laureatem Nagrody im. Janusza A. Zajdla za opowiadanie *Noteka 2015*.

Największym uznaniem czytelników cieszył się cykl jego opowiadań science fiction o perypetiach dziennikarza Radosława Tomaszewskiego oraz cykl fantasy o kotołaku Ksinie. Konrad T. Lewandowski jest także autorem trylogii historyczno-przygodowej z przełomu XIX i XX wieku *Bursztynowe Królestwo*, pięciu powieści kryminalnych, z nadkomisarzem Jerzym Drwęckim w roli głównej, których akcja toczy się w międzywojennej Polsce, oraz cyklu *Diabłu ogarek*.

## Strona redakcyjna

Konrad T. Lewandowski „Orzeł bielszy niż gołębicą”

Copyright © Narodowe Centrum Kultury 2013

All right reserved

Książka stanowi XI tom serii wydawniczej Narodowego Centrum Kultury „Zwrotnice czasu. Historie alternatywne”

Redakcja: Janusz Krasoń Studio NOTA BENE

Korekta: Anna Szczepańska, Janusz Krasoń Konsultacje historyczne: prof. dr hab. Stanisław Wiech Biogramy: Tomasz Romanowicz

Redakcja biogramów: Edyta Tomczyk

Ilustracja na okładce, ilustracje, projekt graficzny oklejki, reprintu: Tomasz Piorunowski Ilustracje końcowe: Jarosław Musiał

Autor zdjęcia ukazującego K.T. Lewandowskiego: Monika Woźnicka Redakcja wersji elektronicznej: Ewa Paderewska Skład wersji elektronicznej: Łukasz Kuczborski, iSource S.A.

Warszawa 2013

ISBN 978-83-63631-35-2

[Spot książki “Orzeł bielszy niż gołębicą”](#)

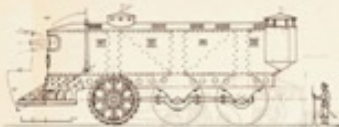
Wydawca:



Narodowe Centrum Kultury ul. Płocka 13

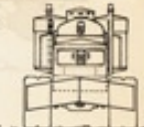
01-231 Warszawa

[www.nck.pl](http://www.nck.pl)



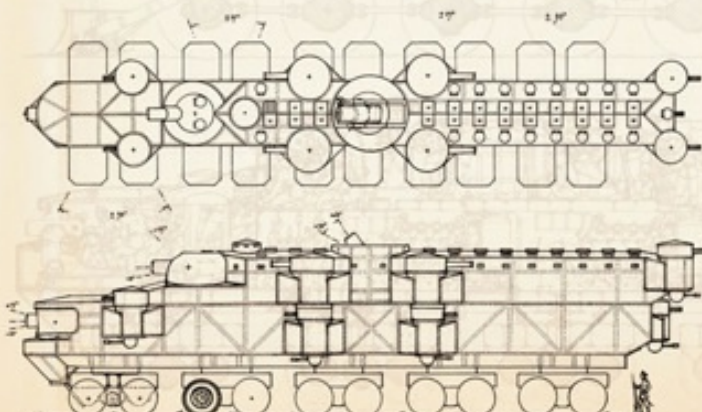
Траншевая Еукрасовская Модель I 1862, кол. пары I тр. пар.

кол. парами I тр. пар.

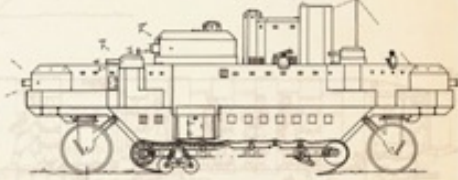
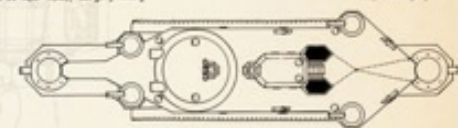


Траншевая Еукрасовская Модель II 1862, кол. пары I тр. пар.

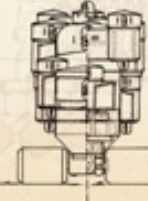
кол. парами I тр. пар.



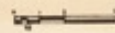
Траншевая Еукрасовская Модель III 1862, "Земляная Грузовая", кол. пары I тр. пар.



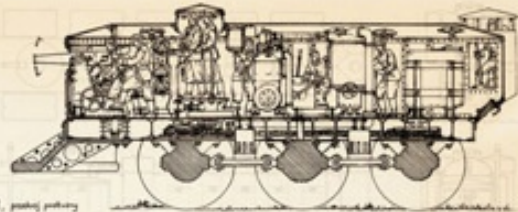
"Специальная Зубчатая" кол. пары I тр. пар.



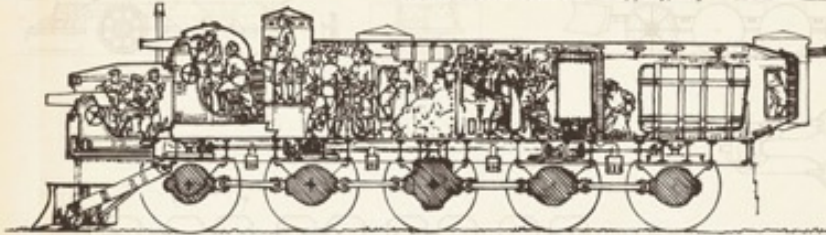
кол. парами I тр. пар.



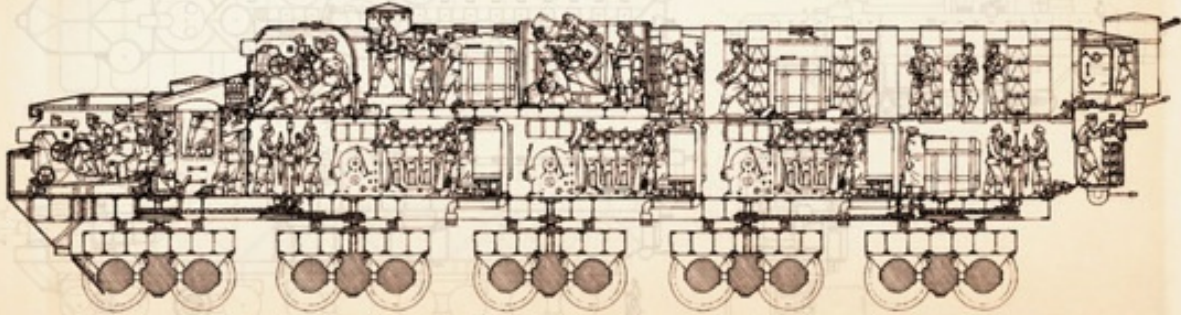
0 1 2 3 metry



Lokomotiv Ekspozitsionny Model I wiatr 1862, pustyj pustyj



Lokomotiv Ekspozitsionny Model II wiatr 1862, pustyj pustyj



Lokomotiv Ekspozitsionny Model III wiatr 1865, 'Zvezda Gornyya', pustyj pustyj